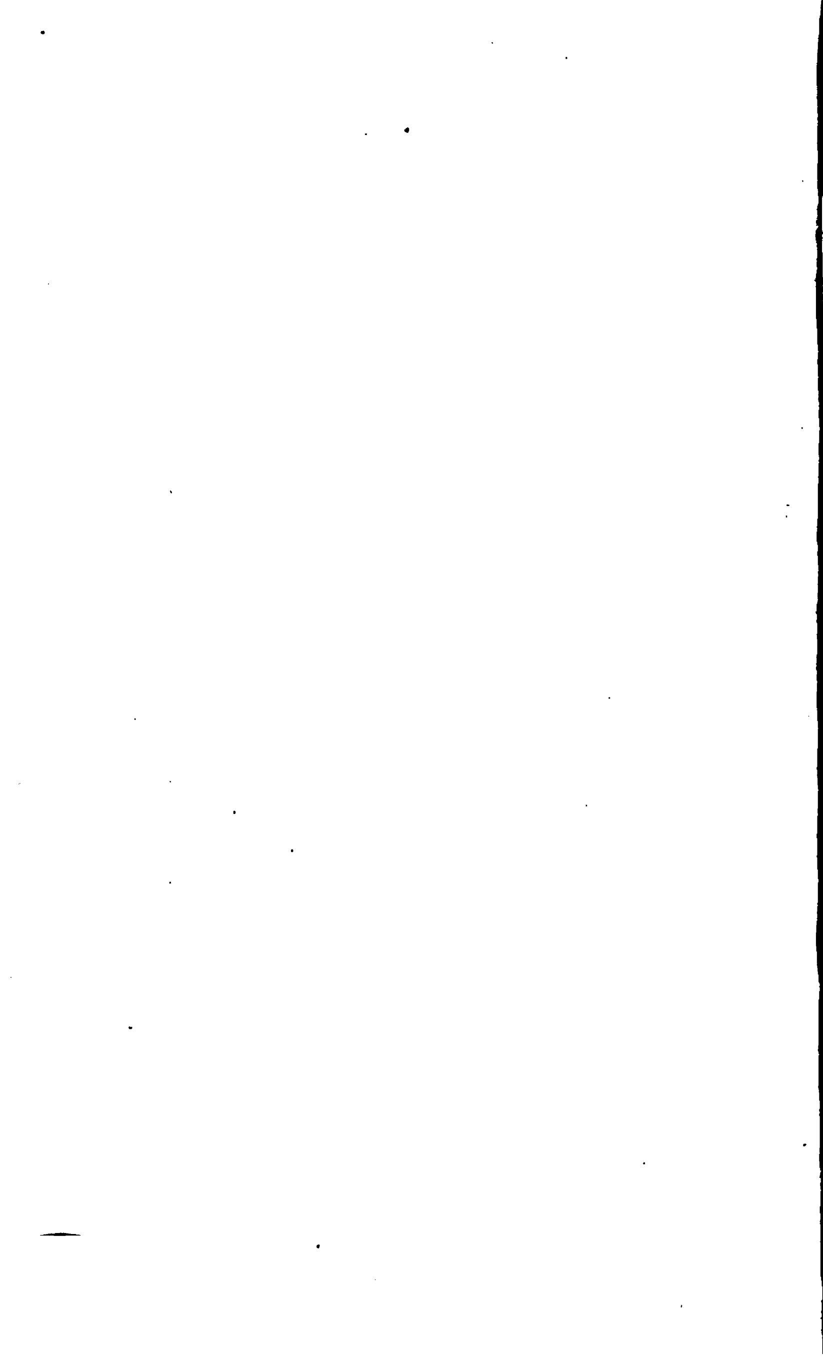




Jan Kochanowski in ~~the~~
Czarnoles
Pictures from the end of the sixteenth
century
by K. z Tańskich Hoffmannowa
Leipsic 1866
(Polish)



BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM TRZYDZIESTY SIÓDMY.

JAN KOCHANOWSKI

W CZARNOLESIE.

OBRAZY Z KOŃCA SZESNASTEGO WIEKU

PRZEZ

K. z TAŃSKICH HOFFMANNOWA.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
1866.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXXVII.

JAN KOCHANOWSKI

W CZARNOLESIE.

OBRAZY Z KOŃCA SZESNASTEGO WIEKU

PRZEZ

Klementyna
K. z TAŃSKICH HOFFMANNOWA.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1866.

PAMIĘCI

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO

W DOWÓD

CZCI I WDZIĘCZNOŚCI

PRACĘ SWOJĄ

POŚWIĘCA

AUTORKA.

PARĘ SŁÓW DO CZYTELNIKA.

Przedewszystkiem winnam podobno powiedzieć dla czego tę nową pracę moją pamięci Brodzińskiego ośmielam się poświęcić? — On mnie do niej zachęcił, wiele myśli podał, i jeźli po długiej przerwie wzięłam się do jej dopełnienia i dopełniłam nareszcie — było to po części i dla tego, żeby wywiązać się z uczynionej mu kiedyś obietnicy i nie zmarnować użytecznych widoków jakie wtedy otworzył przedemną. Bo Jan Kochanowski w Czarnolesie — którego dziś w świat nie bez obawy puszczam — już więcej niż od lat siedmnastu jest mieszkańcem myśli mojej; pierwszy jego pomysł przyszedł mi — pamiętam to dobrze — jeszcze w roku 1824 przy czytaniu historyi polskiej Lelewela, nad opisem świetności nauk u nas w końcu szesnastego wieku. Wydawałam wtenczas Rozrywki dla Dzieci i szukałam chciwie wspomnień narodowych; zdało mi się rzeczą stósowną a nie zbyt trudną, pod firmą Jana Kochanowskiego nakreślić z lekka jakby żyjący obraz ówczesnej literatury polskiej, dołączyć do niego kilka scen wiejskiego życia i rozdzielić to wszystko na dwanaście artykułów czyli na rok rozrywkowy. — Inne rozpoczęte roboty, domowe nieszczęście, nie dozwoliły mi wziąść się do tej pracy, aż

w parę lat później. Wtedy wpatrując się lepiej w ów przedmiot, zaczęłam poznawać wielkie jego trudności, a strwożona niemi, na pół zniechęcona, udałam się po radę i pomoc do kilku zacnych uczonych, którzy od początku mego literackiego zawodu zawsze mnie wspierali łaskawie. — Na ich czele był Brodziński; podany mu planik rozszerzył moje widoki, wzniósł we mnie ducha, i zażądał: ażebym pisma o Janie Kochanowskim nie ograniczała do wydawanego dziennika dla dzieci i literaturę nie brała za główny przedmiot, ale napisała dzieło osobne i ogólniejsze.

I na tem stanęło — a od tego czasu przez lat piętnaście tylą rozlicznych odmian przeplatanych zawsze tkwiła ta myśl we mnie; zbierałam materyały do jej wykonania, kreśliłam urywkowe szczegóły i obrazy, nie wiedząc jednak sama pory, kiedy się odważę ułożyć z tych zapasów jakąś całość; aż dopiero w końcu zeszłego roku, odczytawszy przypadkiem uwagi Brodzińskiego, wzięłam je mocno do serca i postanowiłam już bądź co bądź raz ową dawną myśl doprowadzić do skutku i ozdobić pracę moją jego imieniem; a mimo różnych przeszkód i trudności, uskuteczniłam przecie mój zamiar.

Tak wytłómaczywszy dedykacyą, wypada mi teraz nieco powiedzieć o samem dziele i dla kogo jest napisane. A naprzód wyznać muszę, że ja pisząc mam zawsze pewny rodzaj czytelników przed oczyma, któremu szczególniej pracę moją przeznaczam. Wiadomo, dla kogo była Karolina, dla kogo Krystyna. Jana Kochanowskiego pisałam dla wszystkich Polek wszelkiego stanu i wieku; a najlepiej lubię wystawiać go sobie, jak będzie czytanym głośno, po rozdziale, w kółku rodzinnem, bądź w wieczór zimowy, bądź w poobiedzie letnie, w owych domach; gdzie to matki otoczone dorosłemi

i dorastającemi córkami, trudnią się same ich wychowaniem. Może wśród tego czytania nadejść ojciec, brat starszy, wytłómaczyć, wyjaśnić rzecz nie jedną, dopełnić opuszczenie, sprostować błąd. — Bo choć sumiennie powiedzieć mogę, żem nad tem dziełem szczerze pracowała, że tak w tekscie jak w przypisach zebrałam wszelkie wiadomości, jakie się pomieścić dały i jakie miałam pod ręką: przecież pewna jestem, że nasi uczeni, gdyby je wzięli do przejrzenia, mieliby co przyganić. — Ale jeźli mam prawdę wyznać, nie od nich największych nagan się spodziewam; prawdziwi uczeni są wyrozumiali, jeźli więc czytać zechcą to dziełko, będą pamiętali o tem kto je pisał i gdzie je pisał? wybaczą przeto, poprawią nawet; od innego to rodzaju czytelników oczekuję sroższej krytyki; oto od tych, którzy w książkach szukają jedynie zabawy, mocnego zaintrygowania, zajęcia się, u których za nic dzieło, które się nie da przeczytać jednym tchem: «Sądziliśmy, że to romans a przynajmniej powieść historyczna — powiedzą — a tu rozprawy, opowiadania jedne dłuższe od drugich, lekcye nawet w zapytania i odpowiedzi... Intrygi ledwie cień, miłości słaba iskierka, a rozwiązanie wiadome każdemu co choć najkrótszą biografią Jana Kochanowskiego przeczytał.» — Takich to czytelników chciałabym tą parą słów uprzedzić i prosić, żeby dali pokój tej książce. — Ja w niej — prócz zwyczajnych widoków moralności — miałam na głównym celu obznajmienie cokolwiek naszych Polek z rzeczami ojczystemi, o których one zwykle bardzo nawiasowe mają wyobrażenie, a przeto lekce je ważą; chciałam i wskazać niektóre źródła, gdzie czerpać tych wiadomości mogą, chciałam dowieść, że kiedy ja, pół roku sobie tylko obrawszy z dziejów naszych, nagromadzić potrafiłam prawie nadto ustępów, nie musi być nasza historya

uboga, i warto się nią zająć, poznać ją dokładnie; warto w niej szukać pomysłów, treści do pism wierszem i prozą, które teraz tak obficie z pod pióra naszych młodych autorek wychodzą. — Lecz takie mając widoki musiałam koniecznie być często poważną w obrazach moich, musiałam intrygę, miłość w drugim postawić rzędzie, a naukę w pierwszym, nie mogłam być ciągle — zabawną. — Wreszcie nie po raz pierwszy i da Bóg nie po raz ostatni to oświadczam i dowodzę: Moim celem w tak niezmęczonem pisaniu nie jest zabawa ale — użyteczność. —

Pisałam w Paryżu, dnia 4. grudnia 1841.

SPIS RZECZY.

JAN KOCHANOWSKI

W CZARNOLESIE.

ROZDZIAŁ I.

Ale począwszy od stworzenia świata,
Aż po te nasze ostateczne lata,
Ledwie par kilka w dziejach opisano,
Które za prawe przyjacioły miano.

Jan Kochanowski Księga I. Pieśń 26.

Było to tysiąc pięćset ośmdziesiąt czwartego roku, w drugi piątek po Wielkanocy; czas był nadzwyczaj piękny. Jakąś omyłką, czy pospiechem natury, od samych świąt wiał ciepły wietrzyk. Słońce dogrzewało, trawniki się zazieleniły, niektóre kwiatki pokazywać się zaczęły, nawet kilka drzew łatwowiernych listki puściło. Korzystając z tej wczesnej, a przeto tem milszej wiosny, Jan Kochanowski siedział sobie więcej niż od godziny w obszernym, acz jeszcze bez cienia ogrodzie, i dumał. Z pogody wysokiego czoła, z jasności łagodnej twarzy, z uśmiechu, który i z pod gęstego wąsa wyzierał, z wyrazu ciemnych oczów raz koło siebie, raz w niebo wdzięcznie patrzących, widać było lube jakieś dumanie.

I ktoby zgadł? ale czegoż wybaczyć nie trzeba pobożnemu i serdecznemu poecie! oto matka śniła się mu tej nocy.

Dwadzieścia pięć lat minęło od dnia, w którym cnót pełna Anna z Białaczewskich Kochanowska zasnęła w Bogu, a zwłoki jej złożone zostały obok męża w Zwoleńskim kościele; przecież, ani syn o niej, ani ona nie zapomniała o synu. On modlił się codzień za jej duszę, pamiętał na jej słowa; ona ukazywała się mu niekiedy przez sen, i to w taki sposób, iż ocknąwszy się, sam nie wiedział, czy we śnie czy na prawdę ją widział? a zawsze jej się trafiło w dniach trwogi lub smutku, uspokojenie mu przynosiła; jeżeli w dniach pomyślnych i błogich, zwiastowała mu nową pociechę.

W tej chwili szczęśliwy Kochanowski chyba radości mógł się spodziewać; i właśnie dumał, zkąd i jaka to radość będzie?

Polska — bo któż szczęście prawego Polaka od szczęścia ojczyzny oddzielić może — Polska rozciągająca od morza do morza posiadłości swoje, niepodległa, potężna, groźna obcym,

zaczynająca znowu być rządna u siebie, cieszyła się od ośmiu lat jednym z największych królów, Stefanem Batorym, królową Polką; brzmiała odgłosem spełnionych już zwycięztw i popraw, wrzała chęcią nowych; chlubiła się nieprzeliczonym pocztem znakomitych synów, na których czele stał Jan Zamojski; jaśniała złotym wiekiem języka i nauk. — W miłym acz skromnym Czarnolesie, wszystko również do pana swego się śmiało. — Wioska, gniazdo i dziedzictwo ojczyste, pełna rodzinnych i młodocianych wspomnień, zamieszkała szczęśliwszym niż gdzieindziej kmieciem; dom dostatni i wygodny własną jego ręką stawiany; gospodarstwo dobrze urządzone, sad i pola obiecujące, sąsiedztwo liczne, pokrewne i zgodne; a gdy bliżej jeszcze siebie, bliżej serca spojrzał, jakiż miły widok wpadł mu pod oczy? Żona, zacna Hanna Dorota Podlodowska, młoda jeszcze i piękna, nadzieją siódmego dziecięcia poważna, siedziała o kilka kroków z najstarszą córką, hożą, czarnooką Ewą; lat siedmnaście igrało na okrągłych i rumianych policzkach dziewczęcia, i na koralowych jej ustach; lat siedmnaście objawiała wykształcona i bogata kibić; obie z matką przędły na wyścigi len miękki i włóknisty, a ożywiona i wesoła ich rozmowa tłumiła wartkich kołowrotków brzęczenie. — U nóg ich troje dziewcząt od lat siedmiu do trzynastu, Dorota, Marychna i Hanna, wszystkie czerstwe i udatne, siedziały nachylone nad przetakiem cukrowego grochu, z którego wyrzucały nikczemne i uschłe ziarnka; mimo gęstych żartów i głośnego często śmiechu pracowały pilnie; musiały się spieszyć; jutro ze świtem miano sadzić groch w ogrodzie; była jedna grządka dla nich przeznaczona, i już im zawczasu chrupiały i smakowały zielone a słodkie strączki. — Nieco dalej, pod ciennikiem chróścianym, którego chmielowa zasłona jeszcze nie urosła, kryła się druga z kolei córka Kochanowskiego; pobożna,—jak ją zwano—Ludwina. Odzież jej czarna i fałdzista, dłuższa od powszechnie używanej, mogła była ją ukryć nawet przed wzrokiem ojca; ale świeciła z daleka nadobną bladością i świętym pokojem twarz jej, błyskały dwie białe rączki nawlekające starannie różańce z klekoczki; słychać było lekki szmer odmawianych pół głosem pacierzy. Nareszcie, na łące, dzielącej miejsce posady drużyny od obszernego dworu, wśród młodziuchnej trawy i kryjących się w niej fiołków, biegało śpiewając dziecię, a raczej aniołek. Koszulka z krezą jak śnieg biała nie była bielsza od ciałka, ciemno błękitny letniczek błękitniejszy od oczów; ani krzyżyk złoty, co na piersiach wisiał, więcej złoty od włosków kręconych.

To też jakkolwiek Kochanowski obliczał pilnie i z lubością obywatelskie i domowe skarby swoje, jakkolwiek spoglądał z upodobaniem na budzącą się wiosnę, na żonę i na starsze córki, ku tej miłej dziecinie zwracał się najczęściej wzrok jego,

wlepiał się w nią, i zdawało się, że go oderwać od niej nie może. Nakoniec, patrząc tak długo, wstał nagle i zawołał z tryumfem, jak gdyby znalazł słowo trudnej zagadki: «Tak! on jej nie zna, on dziś przyjedzie.»

«Kto? Kogo? — zapytała ze śmiechem sama Kochanowska. — Mężu kochany — dodała — jeźli dumając już tak dawno na tej tam ławie, bawicie się cichaczem złotą lutnią waszą, jeźli układacie drugą «Odprawę posłów» drugą Helenę uwolnić chcecie, powiedzież i nam, ubawiemy się przed innymi.»

«Nie — odpowiedział Kochanowski — nie tworzę ja w tej chwili pieśni żadnych, ani się przenoszę duchem w owe sławne starej Grecyi wieki, nie ścigam sławy, ni muzy; o żyjące, o serdeczniejsze rzeczy tu idzie; spełnią się da Pan Bóg marzenia moje, a wasza uciecha będzie stokroć lepszą od zabawy. Wszak mówiłem ci, Hanno, wstawszy rano o moim snie; od początku dnia szeptało we mnie: coś miłego, pożądanego ci się zdarzy; lecz niewiedizałem co? teraz wyraźny głos zabrzmiał mi w duszy: «Jakób dziś przyjedzie! kochany nasz podkoniuszy.»

«Daj Panie Boże! — odrzekła Kochanowska. — I nie byłöby wcale nic dziwnego w przyjeździe pana brata; spodziewamy się go w tych czasach. Już to blizko pięć lat jak do nas nie zajrzał, jeszcze przed wojną moskiewską: a kiedy pisał na Boże Narodzenie, wyjeżdżając do Carogrodu, zapewniał, że będzie z powrotem koło Wielkanocy; i bądź co bądź tej wiosny do Czarnolasu zjedzie. Mam nadzieję w opiece Matki Boskiej, iż się mu nic złego nie stało w tej dalekiej drodze, a wiosnę też już mamy i piękną.»

«I on mojej szczebiotki, mego słowiczka wcale nie widział — mówił dalej Kochanowski patrząc znowu na dziecinę. — Nowa radość, którą ukochana matka zwiastowała mi dziś zjawieniem się swojem, niemoże być inna: Przyjacielowi Orszulkę pokażę.»

Kiedy to mówił, dziecina bawiąca się na łące rzuciła zbierane starannie trawki i kwiaty, i co tchu przybiegła; a patrząc ojcu i matce w oczy, pytała: «Wołacie mnie; czy jest co na wasze usługi?»

«Nie, pieszczoto moja — odpowiedział ojciec biorąc ją na ręce i przytulając mocno do siebie — nic; ale powiedz mi, ty, co z górnych krain nie dawno na moje szczęście zesłana, z aniołami w częstych rozmowach być musisz, powiedz: Przyjedzie dziś ten, co go widzieć pragnę?»

Z fiołków, które dziewczynka rwała i rzuciła na łące, jeden zaczepił się za bramowanie letniczka; dostrzegła go, wzięła, a zamiast odpowiedzi rwąc ostrożnie po listku — jak to u starszych siόstr zapewne nie raz widziała — mówiła z kolei przechylając śliczną główkę i patrząc na ojca: «Nie przyjedzie.»

Właśnie ostatni listek urwać miała i wypadało pomyślne słowo: «Przyjedzie» kiedy szczekanie psów, stąpanie koni dały się słyszeć, i wnet skrzypnęły ciężkie wrota od odgrodzonego podwórca będącego po drugiej południowej i zajezdnej stronie domu.

«Ktoś cudzy przyjechał» zawołał Kochanowski — dzieweczki! niech jedna z was pobieży obaczyć kto taki?»

Na ten rozkaz wszystkie dziewczęta się porwały. Ewa rzuciła wrzeciono, mało dbając na to, że przędzę zerwała; trzy młodsze przeskoczyły przetak i wysypała się połowa grochu; Ludwina tylko na odgłos przybycia obcych osób skryła się głębiej pod ciennik, a Orszulka jak gdyby bojąc się utraty miejsca swojego, objęła szyję ojca rączkami, patrząc jednak pilnie wraz z nim w stronę, gdzie siostry pobiegły.

«To nikt» — wołała z daleka a smutnie Ewa wracając zwolna i ledwo co wyjrzawszy za dom.

«Jak to nikt? — zapytał ojciec — kiedym przecie sam słyszał.»

«To nikt, to pan Franciszek. Oto idzie.»

I pokazał się młodzieniec może dwudziestoletni, rosły, gruby, rumiany, z wielkiemi wytrzeszczonemi oczyma, który szedł zwolna jak gdyby miał cztery razy tyle wieku. Suknia jego cała futrem podszyta z kosztownego była aksamitu, ale dobrze powalana z przodu i nieco obdarta w około, szabla wlekła się za nim gdyby pożyczana, a pas, którego, jak widać, bał się ścisnąć, zapewne przez wzgląd dla już szanownego brzuszka, spadać mu chciał, tak, że go co chwila musiał poprawiać; włosy jasne dosyć rzadkie były roztargane, i gdzieniegdzie pierz z nich wyglądał; zupełnie jak u człowieka, co dopiero wstał z pościeli: bułkę chleba trzymał pod ramieniem, którą ofiarował Ewie mówiąc pomału: «Udały się dziś zemły naszej starej Jagience i przywożę wam największą, cieplusieńka: fraszka zemły ... jak się nazywa ...»

«Wiślickie» dopowiedziała dzieweczka kłaniając mu z uśmiechem.

«Tak Wiślickie; zawsze zapominam; głowę coraz mam słabszą» — dodał bijąc się w czoło. —

«A czemuż dziś tak późno w odwiedziny? Panie Franciszku — zapytała uprzejmie Kochanowska, skoro gość usiadł na ławie wedle gospodarza, i pozdrowił go ściskając mu nogi — czemu nie na obiad?»

«Okrutnie późno jadacie, pani stryjenko — odpowiedział — a ja tak długo żadnem prawem wytrzymać nie mogę, natychmiast omdlewam.» I jął przyciskać ręką żołądek, jak gdyby się mu słabo robiło.

«Jeżeliście już dawno po obiedzie, możebyście co prze-

kąsili? — spytała się znowu — mamy jeszcze placków i kołaczy wielkanocnych łaskę Pana Boga.»

«Przekąsić jak przekąsić — chyba kromkę chleba i sera krajankę, albo kawał piernika — wyśmienite wasze sery i pierniki! alebym chętniej się napił. Dziś post święty; obiad był lichy, same ryby; dokładałem jak mogłem pirogami, grochem, śliwkami, kapustą surową, i jakoś mi to pragnienie sprawiło.»

«A cóż pić chcesz?» zapytał Kochanowski.

«Cokolwiek byle mokre; piwo, wino, miód, aby chłeptać.»

Ewa która czekała na rozkazy matki, spojrzała jej tu w oczy pytając co każe dać?

«Przynieście mu staropolskiego piwa i chleba naszego powszedniego — zawyrokował ojciec. — Pan Franciszek za młody na wino i miód.»

«Ja też tam nie koniecznie stoję o te gorące trunki, chyba z towarzyszami; wolę nawet piwo, więcej wlać go można.»

«A nie pytamy się o panią bratowę? — przerwała Kochanowska. — Jakże dziś jej zdrowie?»

«Zawsze źle i nie będzie nigdy inaczej; ani je, ani pije, i tak rogata dusza u tego matczyska: jabym dawno umarł gdybym tak żył powietrzem.»

Tu pachołek przyniósł potężny dzban piwa i dwa duże kufle szklanne i postawił na stole przed Kochanowskim; Ewa wróciła z bochenkiem chleba z solą na gładkim talerzu cynowym. Pan Franciszek wnet spełnił swój kufel i drugi, i trzeci, wreszcie przypiął się do dzbana i wysuszył co do kropli; Kochanowski ledwie usta w swoim kuflu umaczał, i nie uśmiechnął się nawet na dosyć komiczną figurę, jaką wystawiał młodzieniec z owym dzbanem równie okrągłym jak on sam.

«A — Bóg wam zapłać! uraczyłem się — przemówił wesoło pan Franciszek otrząsając się i ocierając usta rękawem — ale coś mi pan stryj nie swój, zamyślony, smutny, bodaj czy nie... jak się nazywa?

«Kordyaczny» — podała Ewa.

«Tak kordyaczny — kordyaka — zawsze zapominam nazwiska tej plagi, bo też spodziewam się nie nawiedzi mnie nią Pan Bóg, ona się boi dzbana. — Pan stryj może dziś z suchotami przy piątku? To licha warto. Pościć zgoda, ale przytem jeść co się zmieści.»

«Ani ja z pokusy ani z choroby, ani też z głodu takim jak mnie widzisz — przemówił Kochanowski z pół-uśmiechem. — Owszem od godziny myśl moja w czystych przetworach buja. Karmię się słodką nadzieją, a przed chwilą jak gdyby raj mi się otworzył ... Ale jeźli ci mam prawdę wyznać, synowczyku, jakkolwiek zawszem ci rad w moim domu, właśnie w porę kiedyś się pokazał, o kim innym my tu myśleli.»

«O kimże takim? Któż to ma zjechać? Może pan jaki albo mędrzec: uciekam — ja się ich boję jak głodu i wojny.»

«Nie uciekaj — brat to mojej Hanny, podkoniuszy królewski, nie pan ani mędrzec, ale dzielny żołnierz i mąż zacny jakich nawet w naszej Rzeczpospolitej mało; więcej on bitew odbył, niż ty bratku czytał o nich; mój przyjaciel pierwszy, jedyny ... bo tylko jeden być może przyjaciel prawdziwy, jak Bóg jeden, jedna żona, jedna matka, i ojczyzna jedna ... Nie bez tego, żebyś już nie słyszał między nami nie raz imienia Jakóba Podlodowskiego, ale pewno niewiesz, oto, i te dziatki nie wiedzą i nikt wiedzieć nie może, krom wielkiego Boga, ile między nim i mną jest stósunków i węzłów.» — I tu Kochanowski zapominając zupełnie, iż przed bardzo cielesnym słuchaczem tajniki duszy swojej otwiera, tak wydał na jaw treść godzinnych dumań i lubych przypomnień swoich: «Myśmy z Jakóbem pod jednemi znakami niebieskiemi, pod tąż samą gwiazdą się rodzili. Ja, będzie temu wnet lat pięćdziesiąt cztery, w wigilią Ś. Jana, w dzień wiele znaczący w tajemnym układzie wyższych rzeczy, przyszedłem na ten świat, w Sycynie, dziś brata Piotra własności, gdzie wtedy rodzice mieszkali, niedaleko spławnej Wisły; on zaś tego samego dnia i roku, o tejże samej godzinie, urodził się w Studzienicy na głębokiem Podolu, nad brzegami niepokonanego Dniestru. Obaśmy rośli o sto mil od siebie niewiedząc jeden o drugim; przecież wyższa i niedocieczoną ręka, co biegiem gwiazd zjednoczyła na niebie nasze losy, sprawiła nasze połączenie na ziemi. — Ojciec jego, żołnierz wielki i poseł na sejmy, niepospolitej śmiałości i wymowy, pragnąc syna widzieć człowiekiem, oddał go na dwór wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego; mnie także matka i brat w jednym czasie tam posłali. Spotkaliśmy się; i poznać zaraz można było, że przyjaźń nasza zapisana gdzieś wyżej od wieków, bo serca od razu do siebie przystały, jakby jedno dla drugiego stworzone. Zaraz wtedy zaczęliśmy gorącą i na potem nigdy nie rozerwaną przyjaźń, żyliśmy jako jedna dusza we dwóch ciałach, zachęcając się wzajemnie do cnoty, do męztwa, do nauki. On mnie pokazywał jak bronią robić — a ja jego czytać i pisać douczyłem — bo nie w szkołach ale w obozach młody wiek przeżywszy, wiele umieć nie mógł, a lubił nauki i uczonych. Jam go i w wierze oświecił, a jak dziś pamiętam, kiedy nam przyszło pierwszą Wielkanoc przebyć razem, poszliśmy oba do spowiedzi, do jednego księdza, pożywaliśmy świętości Pańskie u jednego stołu, przysięgliśmy przed ołtarzem być wiernemi sobie do śmierci, i nawet błagaliśmy Pana Boga ze łzami, żeby, kiedy nas w jednym dniu na ten świat przysłał, żeby nas i o jednym czasie powołać do siebie raczył...»

«Już co o tej młodocianej i prawdziwie dziecinnej modli-

twie, to zawsze z trwogą słyszę — przerwała Kochanowska — nie wolno nikomu własnem życiem ani cudzem rządzić; a czasem w złą godzinę powiedzieć co można. Jest wróg co mięsza ludzkie rzeczy.» A choć żartobliwie mówić chciała, przebijał przecież smutek w jej głosie, i zaszły chmurą piękne czarne oczy. Ale Kochanowski nie zważając na słowa i na rozczulenie żony, tak mówił dalej z równą żywością: «Od tej chwili losy rozmaicie mną miotały; naprzód, spokojny nauk wyznawca i dworzanin, byłem czas jakiś żołnierzem; dalej, żeglowałem przez morza głębokie, nawiedziłem Niemcy, Włochy, Francyą; potem w królewskich komnatach, bawiłem na świetnym i rozkosznym dworze; aż znowu, to ksiądz w rewerendzie, to młodzian w zalotach; pókim nareszcie nie wrócił do pól piaszczystych i do czarnych lasów, na które rad patrzyłem w młodszych leciech. Przemieniałem się wielokrotnie gdyby Proteusz jaki, Bóg wie czegom niekosztował; przecież ani na chwilę, ani ja dla mego Jakóba, ani on dla mnie się nie zmienił. Przygody, lata, przeszły nad przyjaźnią naszą, oto jak te białe obłoki po tym lazurze przechodzą — serce i niebo zostało jednakie. Rzadko kiedy się widujemy, gdyż on żołnierz nie dla popisu i sługa królewski nie dla płacy, a ja cichy i samotny ziemian, ale posyłamy sobie wzajemnie gońców; i przysiągł bym na to, że jak ja za niego, tak on za mnie dnia nie opuści bez zmówienia serdecznego pacierza, i dobrze pamięta na zmowę jaką ma ze mną... Dziatki moje! — dodał obracając się do córek, które wszystkie nawet Ludwina zbliżyły się do ojca, skoro mówić zaczął i słuchały go z uwagą — dziatki moje! każde z was gdy pożyje dłużej pozna silną władzę pierwszych związków. Młodość, wiosna to serca i życia; co w niej zasiejesz, wzrośnie. O! nie marnujcie uczuć waszych i myśli nie rzucajcie na wiatr; kto za młodu nic nie przysposobi, ten w wieku dojrzalszym nie będzie miał po co się schylić!»

«O zapewne! — wyrzekł pan Franciszek głosem nieco przytłumionym i przerywanym, bo czy z roztargnienia czy ze zwyczaju, to krając kozikiem, który zawsze przy sobie nosił, to skubiąc po kawałku bochenek chleba, spożył był prawie połowę — zapewne; ja zawsze sobie myślę: jak kiedy przywiozą bardzo dobre wino z tego ... jak się nazywa? ... z tego miasta nad — ... jak się nazywa?

«Z Kazimirza nad Wisłą» — dmuchnęła z niecierpliwością Ewa.

«Tak, z Kazimirza nad Wisłą; nazwiska nic się nie czepiają mojej pamięci; otóż tedy jak przywiozą dobrego wina z Kazimirza nad Wisłą, poproszę pani matki, żeby mi pozwoliła odstawić jedną beczkę, opasać ją łańcuchem, i nie tknąć jej się! aż za jakie lat dwadzieścia. Toby to dopiero kapitalne

wino się zrobiło! — Niewiem czemu nie przychodzi do tego; co wstawią beczkę do lochu, to się i wytoczy; muszę się poprawić. Ale dalipan — zaledwie mówić mogę, zadusiłem się suchym chlebem...»

«Może by bratanek chciał jeszcze popłukać?» spytała Ewa, a złośliwy uśmiech otworzył jej usta, i ukazały się dwa rzędy zębów białych jak perły. Pan Franciszek, choć nie koniecznie bystry, dostrzegł przecież lekkiego wyrazu szyderstwa na twarzy dziewczyny i może pierwszy raz w życiu odmówił napoju. Lecz ta odmowa skróciła znacznie jego odwiedziny; widać dom mu zapachniał, i swoboda jego; wstał z ławy, i powiedział:

«Panie Boże odpuść, a wszakci to ja zapomniałem pocom tu dziś przyjechał. Panią matkę coś bardzo boli, czy kolano, czy bok doprawdy nie pamiętam, ale boli; Jagienka naraiła jej lekarstwo i mnie przysłali po nie.»

«Czemuż nie mówicie?» okrzyknęła się Kochanowska i córki.

«Wy podobno, pani stryjenko, macie zawsze świeże — jak się nazywa? — te czarne robaki?»

«Pijawki» — zawołały wszystkie razem.

«Tak — tak, pijawki, otóż pani matka prosi, żebyście jej przysłali, niewiem tam wiele — trzy czy sto?»

Ledwie dosłyszała tych słów Ludwina, natychmiast wziąwszy klucze poszła do domowej apteki i niebawem wróciła z mendlem pijawek w szklannym słoiku. Kochanowska dopytywała się tymczasem pana Franciszka o słabość jego matki, ale on jej nic więcej powiedzieć nie umiał, znać że i sam nie wiedział; widok zaś słoika przywiódł zapewne jego pamięci przypomnienie szklanki, i tego co w niej bywa, bo z niezwyczajnym pospiechem wziął pijawki, raz się tylko spytał, czy nie przebiją papieru i czy go nie ukąszą? pożegnał się, i pojechał wraz ze swoim pachołkiem, któremu jednak dla większej pewności i wygody własnej, oddał słoik, skoro wyjechali za wrota.

Kochanowska patrząc za nim trząsnęła głową i zamyśliła się smutnie; Ewa ruszyła ramionami, a nic nie mówiąc jęła szukać wrzeciona w piasku; Kochanowski uśmiechnął się litościwie i powiedział pół głosem: «Pieszczoch! jedynak!» a splótłszy ręce z tyłu, i nachyliwszy głowę przechadzać się zaczął tam i sam po prostej ulicy prowadzącej do domu. — Ledwo parę razy ją przeszedł, ledwo żona i córki zabrały się do przerwanych zatrudnień, kiedy znowu stąpanie konia, ale nie równie prędsze niż pierwej dało się słyszeć. — Już nie czekając rozkazu ojca dziewczęta pobiegły; Kochanowski stanął rześko, wyprostował się i spojrzał wesoło na żonę, która skręcając len w palcach, już ani nogą ani ręką ruszyć nie śmiała, tylko nadstawiwszy

ucha, słuchała pilnie. — Jakoż wnet rozległ się w powietrzu krzyk jeden chociaż z kilku głosów złożony:

«Dobra wieść! dobra wieść! posłaniec od pana podkoniuszego. Jedzie! Jedzie!»

«Jedzie? zapytali oboje jakby własnym uszom nie dowierzając — jedzie! być że to może?» A on sam z młodzieńczą prędkością pospieszył ku posłańcowi i pytał go się, czy to rzeczywista prawda, czy ma jakie pismo w dowód?»

«Niema żadnego pisania — odpowiedział kozak ubrany w barwę Podlodowskich brunatną z czerwonem, dziarski i urodziwy młodzieniec od dwudziestu czterech lat albo więcej, z pięknym czarnym wąsem i krótko przystrzyżoną brodą jak aksamit, lecz znacznie oszpecony szerokim plastrem, co mu pół nosa i część policzka okrywał. — Mój pan to wam jedynie oświadczyć kazali, iż zdrowi są, i jutro da Pan Bóg przed południem tu zjadą. Zostawilim ich w Lublinie. Żeby wam czas do jutra zająć i czekanie osłodzić, rozkazali wręczyć wam tę skrzynkę.»

To mówiąc kozak postawił na stole spory koszyk, jakich jeszcze dziś w Turcyi używają, mocno pleciony, powleczony ciemną skórą; gdy go Kochanowski otworzył, oczy młodszych dziewcząt patrzące weń ciekawie obaczyły z radością wyborne bakalie tureckie, daktyle, figi, rodzenki, których część znaczna wnet przy wesołych krzykach i pląsach, przeszła w ich skupione dłonie; pod spodem były poowijane starannie różne wschodnie szacowności, jedwabne pasy i taśmy, hafty na skórze złotem i srebrem, przezroczyste zasłony, meszty i bóty żółte, kindżały, pachnące paciorki, olejki, balsamy.

«To gościniec z pańskich podróży do Carogrodu: — powiedział kozak. — Daleka i niekoniecznie miła i bezpieczna droga, mil kto wie czy nie trzysta; dwanaście niedziel nam zabrała ze wszystkiem; prawda żeśmy na miejscu prawie półtora miesiąca bawili; ale, bylibyśmy i prędzej wrócili, gdyby nie różne korowody; bo trafiało się i złe i dobre w tej wyprawie, jak to zawsze na tym świecie; koni cudnych prawdziwie tureckich kupiliśmy kilkanaście dla króla, lecz nie obyło się bez srogiego krwi wylewu?»

«Jak to? — zawołał Kochanowski — Pan Jakób znowu się bił.»

«A jakże; bił się i tęgo, po swojemu. Dalipan było tam gorąco i żwawo gdyby pod Połockiem.»

«Ale zkądże znowu — przerwał Jan — przecież mamy pokój z Turkiem.»

«Gdzie tam kiedy pokój w tych pogańskich krajach! — Jużeśmy wszystko byli sprawili, a ujechawszy kilka mil od miasta rozłożyliśmy się na noc w karawanserze — jak oni tam zowią; zaledwieśmy skleili powieki, aż tu napadają na nas

zbójce; było ich daleko więcej niż nas, chcieli koniecznie i koni i ludzi pojmać, do blizkiego lasu gwałtem nas ciągnęli; ale się im nie powiodło, sami uciekać musieli z duszą; i to nie wszyscy zdążyli, bo trzech trupów wzięli z sobą.»

«Nie ranny przecież pan brat?» spytała troskliwie Kochanowska.

«Byli ranni i ciężko w głowę; sroga śmierć już mu w oczy zaglądała; te łotry bisurmany szczególniej na niego zażarci byli; niewiem czy przez zazdrość jaką czy co; gdyż trzeba wiedzieć, że w Carogrodzie Turcy bardzo się dziwowali jego osobliwej urodzie, i jak dzielnie z koniem umie. Udałoć się jednak przy Boskiej pomocy i śmierć i łotry odgonić. Teraz panisko Bogu dzięka, rześcy, zdrowi, piękni, jakby nigdy nic, zdaje się co odmłodnieli; szramę przez głowę już włosy zaczynają pokrywać.»

«Toście wy byli w tej potrzebie z panem podkoniuszym?» — spytała Ewa, której dziwnie się spodobała otwarta postać i śmiała mowa posłańca. — Może i ta rana ztamtąd?»

«Nie inaczej» — odrzekł kozak z uśmiechem; i chciał mówić więcej, lecz spotkawszy czarne oczy młodej dziewczyny, które uprzejmie na niego patrzyły, zamilkł nagle jak gdyby oniemiał.

«Ach Jakób! Jakób! — wymówił Kochanowski odpowiadając myślom swoim — do bitwy jak głodny do obiadu; a kędy się obróci, wszędy boje i niebezpieczeństwa tuż za nim. Zawsze kord w robocie.»

«O i będzie jeszcze da to Pan Bóg, i nie raz — odezwał się kozak, któremu mowa wróciła. — Nie za dzisiejszego króla miecz w pochwie doleży. Jeszcze my się pomścić musimy na tych pohańcach, i za tę naszą krzywdę i za dawne Rzeczypospolitej.»

«Dochodził że przecie pan Jakób tej napaści? byłaż to jaka zasadzka?» spytał Kochanowski.

«Dopominaliśmy się sprawiedliwości w urzędzie, i nie mało czasu na tem się zmitrężyło; ale kto z bisurmanem ładu dojdzie? przysięgali na swego proroka, że to zbójców, łotrów leśnych sprawa, przeciw ich woli i wiedzy, i że skoro którego schwytają, dostawią go nam tu, żebyśmy mu sami głowę z karku zdjęli...»

«Gdyby broń wielki Boże nieszczęście było się stało — zawołał tu boleśnie Kochanowski — co by tysiące ich głów pomogły!» ... A chcąc rozpędzić ściśnienie serca, które go zdjęło na tę myśl samą, przerwał rozmowę i powiedział kozakowi: «Wszak już nie odjedzięsz, bratku, i zanocujesz w Czarnolesie; my dziś nie wieczerzamy dla piątku, ale tobie z drogi posilić się godzi. Ewo, każ, niech dadzą w stajni koniowi miejsce i

obrok, a człeku w kuchni łyżkę strawy, dzban piwa i świeżej słomy na posłanie.»

«Byle koń był pod dachem, ja i na gołej ziemi pod niebem się prześpię: to łoże i namiot żołnierza» — odparł posłaniec. —

Kochanowski już nie dosłyszał tych słów. Mnogie uczucia objęły tkliwą duszę jego; była jeszcze chwila żalu, trwogi, bo on rzecz każdą, co serca dotykała, zwykł był brać żywo, i głęboko; ale niebawem radość, wdzięczność, wszystkie inne wrażenia przemogła. «Jakąż słodką pociechę uprosiłaś mi u wielkiego Boga, matko kochana — zawołał wznosząc oczy i ręce w górę. — Przyjaciel uszedł zdrowo niebezpieczeństwa i obaczę go jutro! W grobie jak za żywota czuwasz ty nad synem twoim; przez modlitwy, przez cnoty twoje Pan Bóg wygładzić raczył z pamięci swojej naganne młodości mojej postępki, i błogosławi mi nad zasługi!» — To powiedziawszy siadł i żadumał się jeszcze głębiej niż pierwej; nie postrzegł, że powietrze ochłodło, że sam został; nie zobaczył nawet Orszulki, co siadła na ławce koło niego, i usnęła oparta o jego ramie. — Pani Hanna również szczęśliwa, ale na tę chwilę więcej czynna od męża poszła do domu, i układała sobie gdzie łóżko brata stawiać będzie, jaką mu da pościel, przypominała, co on rad jada, chcąc same takie potrawy kłaść przed nim przez czas, co w Czarnolesie gościć będzie; przemyśliwała, coby za przysmaki dziś jeszcze kucharzowi nakazać, żeby mimo sobotniego postu uraczyć jutro ukochanego wędrowca. — Ewa zaś ruszyła dopełnić rozkazu ojca; ale już ani pobiegła pędem strzały jak pierwej, ani nawet poszła sama. Słówkiem prośby wyciągnęła siostrę z pod chróścianego ciennika, wzięła ją pod rękę i poszły obie zwolna.

Kozak poszedł tuż za niemi, oczy mając w dół spuszczone; zdawało się, jak gdyby się wpatrywał w ślad stóp dziewczęcych odznaczających się z lekka na piasku, którym była wysypana ulica; ale dostrzedz ich trudno było, bo już zmrok zapadał.

ROZDZIAŁ II.

Jest kto na ziemi coby żył prawdziwie
W bojaźni Pańskiej? taki niewątpliwie
Ma wodzem Pana, który go sprawuje
Temi drogami co je sam lubuje.
Tam troski miejsca niewdzięczne nie mają,
Ale rozkosze słodkie przebywają;
Tam dziatek mnóstwo, podpora starości,
I pewny dziedzic pięknych osiadłości.

— Psalm XXV.

«To widać jakieś wcale poczciwe paniska — mówił prowadząc dalej rozmowę z Czarnoleską czeladzią przybyły kozak, siedząc na ławie pod oknem w izbie kuchennej, i dojadając ogromnej misy klusek z olejem — u was, dalipan, lepiej ludziom niżeli w naszem Podolu, chociaż tam znowu — bez waszej obrazy — gdzie piękniej i weselej; Tatarzyn tu podobno od Kazimierza wielkiego nie plądrował; co u nas, dopiero dzisiejszego króla się uląkł, i to jeszcze czasami szczęścia próbuje; a co gorsze, bo częstsze, nahaj w bardzo gęstej robocie.»

«Jużcić i u nas jest batóg za pasem u włodarza i mole go nie jedzą — odpowiedział kuchcik zsiadły i tłusty Pirożkiem przezwany, poprawiając ogień w piecu — kto co zbroi, rozciągają go na pieńku i okładają nie żałując; sołtys kmieciom nie szczędzi także ciegów, jeźli który przewini; ale co samo panisko rzadko kiedy biorą się do kija; pogrożą, zmarszczą czoła, najeżą czupryny, pokręcą wąsa i koniec; z włościanami a z czeladzią oni jakby z dziatwą.»

«Wieleż tam jest tej dziatwy? — zagadnął kozak. — Bieliło mi się i mieniło dziewcząt kieby motylów na łące, skorom przyjechał; chłopakam żadnego nie widział.»

Bo go też i niema! — powiedziała z westchnieniem sędziwa już niewiasta stawiając na blizkiej kłodzie szafel czystej wody, w której płukała cienką bieliznę — już to takie moje szczęście. Miałam swojego chłopaka i umarł mi; wzięli mnie do dwora,

do Studzienicy, bo ja Podolanka na usługi wasze, i spodziewam się być tam raz jeszcze przed śmiercią — wzięli mnie tedy kiedy już pan Jakób gonił Tatarów, a nieboszczka pani Podlodowska — co to jej na taki smutny koniec przyszło — była przy nadziei. Powiła wnet dziewczynę, naszą Czarnoleską panią; jam ją wypiastowała, i mogę powiedzieć, bez próżnej chwalby, winna mi życie, ni mniej ni więcej, jak pani matce i panu ojcu. Możeście o mnie słyszeli? jam Nastka Petrowna, wdowa po Ostafim Hołowatym, nie powstydzę się mego imienia; i młynarza i księdza mam w rodzie, a co także nie mała rzecz, jam to Hanulkę przed Tatarami ukryła! O! już nigdy mnie od siebie paniątko puścić nie chciało: «Będziesz piastować moje dzieci, jak mi je Pan Bóg da» — mówiła pieszczotliwie i głaskała mnie po twarzy; jużcić musiałam zostać, swojej krainy i krewniaków zaniechać! no! i proszę, i same dziewczęta sypią się nam kieby z rękawa. Sześć ich tego mamy Panu Bogu i Matce Najświętszej na cześć i na chwałę; ale dotąd tylko jednej za mąż się godzi, i będzie go miała, skoro zechce. Ona nie osiądzie na koszu — nie — rutki siać nie będzie.»

«Jak to? mówicie jedna — zapytał kozak — przecież dwie panny dorosłe i urodziwe mnie tu przyprowadziły?»

«Jedna Bogu poślubiona — odezwał się sam kucharz, blady i wywiędły Zubek, wbijając żółtka do ciasta, które wyrabiał w donicy. — Ledwie się urodziła kiedy nasza pani zachorowała śmiertelnie, i pan ofiarował ją Bogu i Matce Najświętszej za życie i zdrowie żony. Rychło patrzyć, kiedy ją do klasztoru odwiozą; męzkiemu oku spojrzeć na nią wara.» —

«A któraż to ze dwóch?» przebąknął kozak, folgując pasa, jakby go nagle ucisnął boleśnie.

«Poznać ci ją snadno — powiedziała stara piastunka — już na świętą patrzy; oczka spuszczone, twarzyczka szczupła, kieby Jezusek, palce splecione, zawsze do pacierza gotowe, suknia długa, płonista czarna...»

Tu kozak odetchnął i uśmiechnął się mile.

«Jużcić nie dla czarnobrewej habit i welon — mówiła dalej Nastka rada, że napotkała ucho powolne gadaniu swemu: bo chociaż wielce była ważona w domu, i poruczone sobie miewała pańskie dzieci do lat trzech w szczególną opiekę, przecież, już w całym Czarnolesie, tak we wsi jak w dworze nikt słuchać jej nie chciał — naszej Ewulce świat się uśmiecha i ona światu. Nie darmo ja w lubistku ją kąpałam co dnia od samego urodzenia; okrutne ma szczęście do ludzi dzieweczka. Zobaczycie, jak się jutro oblecze do pana Jakóba w tę oto bieliznę — a tak mówiąc rozciągała wyjętą szatę — jak włoży na to swój modry kontusik, kwiateczków nakładzie w czarne włosy, nowe półbótki obuje, kieby łąteczka wyglądać

będzie. Jeżeli ją pan Franciszek zobaczy, wiem co się stanie.»

«Co za pan Franciszek?» — przerwał żywo kozak.

«Synowiec naszego pana, dziedzic trzech wiosek i Policzny gdzie jest nasz kościół parafialny, o pół mili drogi ztąd; syn jedyny ś. p. pana pisarza Kaspra, najstarszego z Kochanowskich, co go nasz pan i cały powiat miał za ojca; najbogatszy młodzieniec w tych tu stronach, do którego najurodziwsze dziewki ząbki wystrzyżają, i złapać by go rade.»

«I cóż ten pan Franciszek ma do waszej panny?» naglił dalej przybysz.

«A no poczekajcie, dyć wam powiem; to kozacka krew, to istna siarka, wszystko prędko, nagle, wtojczas. Otóż pan Franciszek zna naszą Ewulkę od pieluch; on oddawna ojca niema; matczysko zbiedzone, schorowane, pragnie jak zbawienia widzieć go żonatym; nasze państwo uważa go za syna, ile niemając dotąd swego. Choć tam jeden Bóg wie, co teraz jest w drodze; nasza pani prześlicznie wygląda, wszak prawda? Ja zawsze jej mówię: tym razem będzie chłopiec; i stręczę jej różne zioła i maści; mamy też i czarownicę we wsi, czarną Świtkę; nie z tych złych broń Boże, a bardzo mądra i wielemożna niewiasta; ona zawsze szepce: Gdyby jedno wasza pani słuchać mnie chciała, wnet bym w to pokurała, żebyście mieli dziedzica» ale gdzie tam, ani jej gadaj o tych rzeczach; na wolą Bożą puszczą to zupełnie; któż temu będzie krzyw, jeźli nam siódmą powije dziewczynę? a wtedy źle się stanie; Świtka mówiła mi wczora — czegom jeszcze jako żywa nie słyszała — kiedy białogłowa siedm ma dziewcząt jedna po drugiej, już nigdy chłopca nie urodzi.»

«Mniejsza o to — ale pan Franciszek?» wyrzekł zniecierpliwiony kozak.

«Otóż pan Franciszek był sobie z Ewulką od dzieciństwa jak brat z siostrą; trzy lata między niemi różnicy; niewiem czy tam rodzice ułożyli co między sobą dla nich czy nie, ale to wiem, mnie to samej nigdy na myśl nie przyszło, choć mam ja zdawna nos do tych rzeczy. Aliści jakoś w mięsopusty, była zabawa u podstarościego w Policzny — bo tam lud dworski zepsuty robi co jedno chce — zaprosili i mnie, a Jagienka, piastunka pana Franciszka — co do dziesiejszego dnia czesała by go i myła, gdyby jedno się dał — powiedziała mi pod wielkim sekretem, że panicz ogniście rozkochany w naszej panience. Jam wierzyć nie chciała z razu; ale prawda, od tego czasu wyraźnie się zaleca, prawie co dnia tu przyjeżdża; bądź rano, bądź w południe; bądź w wieczór musi być choć na chwilę; ta jego klacz bułana, już by tu z zawiązanemi oczyma trafiła: a zawsze musi Ewulce coś do zjadku przywieźć...»

«A ona co na te zalecanki?» — przerwał kozak z widoczną niespokojnością.

«Ona — zwyczajnie jak młode; śmieje się i żartuje; jeżli co smacznego przywiezie, to zje; a skoro usta obetrze — zapomni; Bóg święty ją tam zna, czy go kocha czy nie. Nie trudnoć przecie zgadnąć, co z tego będzie? Weselisko. — Nasze dziewczątka wielkiego wiana mieć nie będą; trzeba im mężów zasobnych; a pan Franciszek znowu musi wziąźć żonę z głową; bo należy wam wiedzieć bratku — i tu stłumiła trochę głosu — taki to panicz jak się za dzisiejszych czasów nie raz trafia między szlachtą, ale u Kochanowskich to nowina, gdyż z nich każdy już jakby mądry się rodzi; on zaś ni książki, ni rusznicy, ni żadnej nauki ani roboty; duszy to jedno miło, co ciału smakuje; cały dzień by jadł, pił, weselił się, a potem drzymałby na ławie nogi na piec założywszy. O Bożym świecie nie wie; w pole, do gospodarstwa ani go napędzić, do jednej piwnicy co czasem zajrzy. Gdyby broń Boże, pani Kasprowa zamarła, albo gdy wstąpiła do klasztoru — jak oddawna zamyśla — majątek poszedłby z dymem; lepiej coby tych dostatków nasza Ewulka użyła, a warta ich. — U naszego pana niczem wszystkie dziewczęta przy Orszulce, ale co u pani...»

«Któraż to Orszulka?» przerwał kozak.

«Najmłodsza; cudowne dziecię nad wiek swój, bo to niedawno wywiązane z pieluch, i niedopiastowane jeszcze. Patrząc na nią sądzić by można co ledwie gadać umie, a ona wymową swoją i rozumem nie raz starego zawstydzi; piosnki sobie już tworzy i śpiewa je sobie; aż człowieka strach często bierze, żeby jej nam kto nie urzekł; ja tam mierzę i odżegnywam dzieweczkę co wieczór kiedy ją do kołyski kładę, bo czort nie spi. Nasz pan za dziesięciu synów by jej nie oddał; ale co u naszej pani, to i panna Ewa nie mało znaczy; prawa ręka, drogie oczko matuni; będzie rada patrzyć na nią całe życie. Ale bo też się i udała naszemu państwu dzieweczka! — mówiła dalej Nastka, widząc że gość zadumał się czy zasłuchał. — I urodzie panny Ludwiny trudno co przyganić; owszem w całem sąsiedztwie żadna się do niej nie umywała. Już wyższa od siostry, białe to jak mléko, gdyby z jedwabiu cała i z aksamitu, taka gładka i miluchna; do rany by ją przyłożyć; chodzenie jej ciche, mowa łagodna i rozmyślna; od samej kolebki pacierza pilnuje, dziecinnych zabaw i igrania się strzeże, nigdy w głos się nie rozśmieje, przy starszych milczy; pletliwe baśni i rozmowy płonne mimo jej uszu przechodzą; cała w postach, w dobrych uczynkach, niewiem czem żyje, chyba modlitwą. Takiej pokory nikt nie widział, ona niczego nie godna, wszystko dla niej za dobre; gdyby jej przyszło chleb swój zarabiać na najprostszych usługach, byłaby najszczęśli-

wsza; a że Bogu dzięka zdrowa jak rybka, kiedy ją kto chwali zawsze powtarza: «Ja wody nosić nie warta za moją patronką.» Ale tamta chorując całe życie — jak mi nasza pani opowiadała — nie mogła żadnem prawem tyle robić dobrego. Bez naszej panny Ludwiny nikt ani we dworze ani na wsi oddać ducha Bogu nie umie: ona własną ręką umarłym oczy zamyka; jak nad łóżkiem konającego usiądzie i z książki czytać zacznie słodziusieńko, aniołowie zda się zstępują do izby, a czort zmyka gdyby oparzony. Będzie ona świętą, będzie; ona bez żadnej zmazy jak dziecię niewinne. Wyśni się pani matce; jeszcze z nią chodziła, kiedy widziała przez sen, iż powiła śliczną córeczkę, którą białe panny w niebo niosły; dla tego też ledwie się urodziła, kiedy przyszło na myśl naszemu panu przeznaczyć ją do klasztoru, i dał jej imie owej świętej, której ciało oglądał gdzieś w dalekich niemieckich krajach. I prawdę rzekłszy, ona już dziś jakby święta; choć w czerni chodzi, jakaś łuna od niej bije; człek grzeszny niema nawet do niej śmiałości. Oto Banaszek, stróż dworski, co drzew rąbie na podwórzu, jak ją spotka żegna się kieby w kościół wchodził; w całej wsi kiedy kto kraju jej szaty się dotknie a pocałuje, myśli że odpustu dostąpił; a czarna Świtka ucieka przed nią jak zmyta. — Co do naszej Ewulki, do tej każdy garnie się śmiało; pełno jej wszędzie; od rana po całym domu ją słychać; piosnki ciągle w ustach; to na tego się zaczai i nastraszy, to juźci na drugim końcu dwora dziewkę którą wykręci, połechce; dziwno mi co jeszcze tego wieczora do kuchni nie wpadła, kurczątka tu ma za przegrodą, sama je choduje; gotowa wstać jak kur pierwszy raz zapieje, żeby raz na raz jeść miały; bo choć do zabawy pierwsza, do roboty nie ostatnia; jej krówki zawsze najlepiej dojrzane, grządki w ogrodzie czysto wypielone, podlane; krzak rozmarynu co go sobie na ślubny wianeczek pielęgnuje, rośnie jak na drożdżach; w wieczory zimowe żadna prządka tutejsza, ba! ja sama jej nie nadążę: co jedno zobaczy, wszystko igiełką misternie wyrobi; a jakie ciasta piec umie! niech się i nasz pan Zubek schowa — dodała po cichu spoglądając z ukosa na kucharza. — To wszystko zaś jeszcze nic: królewskie serce u tego paniątka; duszę by oddała każdemu. Wszyscy we dworze, we wsi, przepadają za panną Ewą. Czy kto się rozniemoże, czy mu krzywda jaka, czy co przewinił, zawsze do niej i przez nią. O i teraz, widzicie ją tam za wrotami?» — Kozak spojrzał ciekawie przez okno i dostrzegł Ewę i Ludwinę; w białych zawijkach, przy zmroku wieczornym, zdały mu się obie jak owi aniołowie, co niegdyś w gościnę przyszli do Piasta. — «Wraca ze wsi — powiedziała jeszcze Nastka — widzę dziś siostrę z sobą wzięła, lubo dzięka Bogu, niemamy nikogo na śmiertelnej pościeli; w tej oto trzeciej chacie po lewej, Papisowej dziewczyna

ciężko zapadła, ale jej nic nie będzie; po kilka razy na dzień dobiega z lekarstwami pańskiemi; bo nasza pani zawołana lekarka; pewno była i u starego Kosika i poniosła mu co z obiadu; były gotowane śliwki i gruszki, dobre jadło dla dziada bez zębów. Ona wszystko rozda co jedno ma. Myślicie, bratku, zjadła sama dar dzisiejszy pana Franciszka? całą bułkę oddała pielgrzymowi co u nas w stodole nocuje; a z owych bakalij coście przywieźli, ledwie parę rodzenków zakosztowała; wszystkim się dostało, i ja mam moją część — a tu wyjęła z zanadrza parę daktyl i fig w szmatce. — I ja ich także nie zjadłam; schowałam dla mego chrzesnego Gryklikowej chłopaka; tęgi chłopak — nie uroczkiem — ślini się nieboże na zęby a szuka, szuka; wszystko by jedno gryzł...»

«Ależ blizkie pokrewieństwo?» zapytał kozak którego widać nie wiele obchodziły dzieci chrzesne sędziwej piastunki.

«Pokrewieństwo! — powtórzyła niechętnie — prawda; pan Franciszek i nasza Ewulka idą od dwóch rodzonych braci, są sobie bratanki; powiadająć ludzie, takim stadłom małe dzieci mrą i należy mieć pozwolenie od kościoła; ale księża w to poradzą, jeszcze dla naszego pana, co wszystko może co jedno zechce. Wy nie wiecie — nasz pan był w Rzymie, z papieżem gadał. A jacy to panowie, senatorowie, kapłani, zajeżdżają do naszego Czarnolasu, ba! nasz pan sam mógł być kasztelanem albo biskupem, jedno chciał. Posiedź no tu bratku z jaki miesiąc, a napatrzysz się i nasłuchasz. To czasem zjazdy jak na odpust, a goście sznurem ciągną kieby w cudowne miejsce; a Pan Bóg widzi, nie na żadne osobliwe biesiady i pijatyki się zjeżdżają; majątek szlachecki nie po temu; a nasze państwo rządne; o mało co nie skąpe; jedno tak przez wielki szacunek. Bo może i tego nie wiecie, co nasz pan księgi pisze a to jeszcze wierszem, po polsku, po łacinie. Jak świat i długi i szeroki tak go znają wszędy, w zamorskich nawet krajach; jego pieśni pobożne śpiewają ludzie Panu Bogu po kościołach; i choć tu zajeżdżają mężowie mądrzy, nauczeni, przecież naszego pana za mędrszego jeszcze od siebie mają, i swoim ojcem, swoim książęciem go zowią. Ja tam się temu zawsze dziwuję; prawda, mnieć to co innego! blizko od dwudziestu lat, dzień w dzień, twarzą w twarz na niego patrzę, i mam u niego łaski nie przymawiając; taki mi się wydaje szlachcic jak i każdy drugi; rozmówi się z każdym, rozśmieje z lada czego, zna się na najmniejszej rzeczy, i najlepszy gospodarz w okolicy. Na nasz Czarnolas wszyscy jak w tęczę patrzą z Policzny, z Grodka, z Sycyny, nawet z Jasieńca, z Janowca, ludzie pytają: «A sieją tam już w Czarnolesie? a wypędzają bydło w pole? a cielęta czy odsadzone od krów? a co tam pan Czarnoleski o urodzajach trzyma?» I cokolwiek w całym po-

wiecie, ba! w całem województwie się stanie, zaraz do niego jak w dym... Dla Boga świętego! — zawołała tu porywając się za głowę — otóż i dzwonią...»

«Co to znaczy? — zapytał kozak słysząc odgłos jakby kaplicznego dzwonu — cerkwim nie widział blizko.»

«To nasza święta panna zwołuje na pacierze wieczorne; raz jeszcze tak zadzwoni. O! bo to już nie wszędzie, tak jak u nas. Nasz pan nauczony a bogobojny, co rano i co wieczór na głos z dziatwą i z czeladką się modli, do chwały Bożej dom swój przyprawując. Ot widzisz, bratku, dzwonek lepszy od miotły, żywego ducha w kuchni niema, jakby wymiótł. I ja idę. Zaraz, zaraz, dla Boga — dodała słysząc powtórzony odgłos dzwonka — jedno to giezłeczko dla Orszulki wyjmę; człowiek przy robocie rzadko przez dzień ma czas wspomnieć o Panu Bogu, dobrze choć w wieczór i rano pokłon mu oddać. I rzecz to bardzo skuteczna, owa wspólna modlitwa; w okolicy okrutnie czort panuje; to dziecko wykrzywi, to krowom mleko urzeknie, to baby niemieją; bij, zabij, nie dogadasz się ani słowa, jakby usta zaszył; u nas przecie nigdy podobne nieszczęście się nie trafiło, choć jest we wsi czarownica. Modlitwy niewinnych dziatek najlepiej złe odganiają.»

«A mnież by tam pójść wolno?» zagadnął kozak.

«I owszem. Państwo radzi temu będą jak was zobaczą; a co takiej Matki Boskiej jak nasza, niema nigdzie chyba w jednej Jasnogórze, bo też to skapany onego cudownego obrazu konterfekt. Możeście wy Grecy? za moich czasów, bywało, co kozak, to Grek.»

«Nie — odrzekł z żywością młodzieniec — Panu Bogu i Matce Najświętszej na chwałę, prawowiernym katolik, i odszczepić mnie nikt od rzymskiego kościoła nie potrafi, prędzej głowę od karku.»

«Walnyś — powiedziała Nastka — idźże ze mną, bracie. Obaczysz oraz izbę pańską; jest druga daleko śliczniejsza od wielkiego dzwonu, od gości — ta zwyczajnie codzienna.»

W izbie obszernej o trzech oknach, z długim stołem dębowym w środku, na którego jednym rogu, białym obrusem nakrytym, leżał dzień i noc bochenek chleba z solą dla gościa — w izbie zastawionej ławami, szafami w około i rozmaitym sprzętem po kątach, przed wizerunkiem Najświętszej Panny Częstochowskiej jarzącem światłem oświeconej, klęczeli oboje Kochanowscy; obok nich, po trzy z każdej strony, koleją starszeństwa sześć ich dziewcząt; wszyscy razem, i rodzice i dzieci ze złożonemi rękoma, z oczyma wlepionemi w twarz Matki miłosierdzia, służyć mogli za wzór jakiemu Dürerowi, do jego prostych, ale wymownych obrazów. Za niemi byli dworscy i czeladź obojej płci różnego wieku i stopnia, przybrani jak kogo dzwonek zastał, klęczący gdzie kto przypadł:

to pod piecem, to przy ławie, to za stołem, to koło komina; włodarz i bakałarz, ten z batem za pasem, tamten z piórem za uchem; szafarz i piwniczny trzose kluczy mieli oba przy sobie, jeden trzymał jeszcze nóż stłuszczony w ręku, a drugi mokry lejek na palcu; kucharz i kuchciki, ów ubielony mąką, tamci szczernieni sadzą i węglem; pomywaczka ze ścierką, pokojowe to z zawijką, to z duchenką; pachołki i pacholęta z miotełkami, ze szczotkami; woźnica i parobki z zgrzebłem pod ramieniem, z barłogiem w czuprynach; stróże z siekierami, dziewki z trawą w płachtach, a znajoma nam gadulska Nastka z zamydloną chustą przed sobą. — Zwolna milczenie ogarnęło izbę i Kochanowski zaczął. Naprzód, zrobił znak krzyża świętego na czole, piersiach i ramionach, a wraz z nim cała obecna drużyna; potem odmówił na głos modlitwę pańską, pozdrowienie anielskie, skład apostolski; akty wiary, nadziei, miłości; wyliczył przykazania Boskie i kościelne, siedm sakramentów, siedm grzechów śmiertelnych i wszystkie miłosierne uczynki; dalej, zaśpiewał litanią do Matki Boskiej, a głosy grube i piskliwe męzkiej i żeńskiej czeladzi, i głosy pieszczone i dźwięczne żony i córek w jeden głos złączone, odpowiadały mu w miarę jakby dzwon mówiący: «Módl się za nami! módl się za nami!» — Po skończonej litanii w osobnej i krótkiej modlitwie polecił miłosiernemu Bogu całą Rzeczpospolitę, króla, królowę, kościół prawowierny, wszystkie stany, rycerski, duchowny, miejski i kmiecy, krewnych swoich, dobroczyńców, przyjaciela, braci, starego stryja, a nareszcie duszę nieboszczyka króla, rodziców, krewnych, a mianowicie duszę matki, brata Kaspra, i księdza Macieja. Te trzy imiona wymówiwszy umilkł; wtedy pobożna Ludwina zanóciła słodko psalm ojca przekładu: «Kto się w opiekę poda Panu swemu» a wtórowali jej wszyscy, gdyż już upowszechnioną była między ludem muzyka starego Gomółki, do której zastósował Kochanowski swoje psalmy.

Po tej pieśni wszyscy uderzywszy się w piersi powstali, wszyscy prócz kozaka, który w kącie przy drzwiach był ukląkł. Kochanowski idąc do sypialnej komnaty postrzegł go modlącego się gorliwie. Zdawało się jakby ślub jakiś potajemnie czynił, bo złożył na krzyż skazujące palce u obudwóch rąk, wlepił oczy w święty obraz, i coś mówił po cichu z głębokiem uczuciem. «Dobrze bratku — rzekł Jan głaszcząc go po głowie — widać z jakiej jesteś szkoły; jaki pan, taki kram; i mój Jakób bić i modlić się umie.» Zerwał się kozak, skłonił się do samych nóg i wyszedł.

ROZDZIAŁ III.

Ale gdy co komu miło
Trudno wytrwać i czas mały
Godzina tam jak wiek cały.

— Ks. II. pieśń VIII.

Radość podobno snadniej od smutku sen z powiek oddala, może dla tego, że człowiek — choćby też do liczby najszczęśliwszych należał — mniej jest z nią oswojony. — Lubo to u nas w kwietniu noc przespać nie sztuka, i słońce już nie leniwe, przecież Kochanowski wyprzedził słońce; rad był zacząć co prędzej ów dzień pomyślny, który go miał złączyć z przyjacielem po kilku leciech niewidzenia się. Wstał więc z jutrzenką; już nie czekał żeby mała Orszulka — jak było jej zwyczajem — ruszyła się ze swego posłania i przyszła do niego w koszulce po paciorek ranny; wstał sam, podsunął co prędzej głowę i kark pod zimną wodę, która szła zawsze w izbie pod oknem za owiedzeniem kurka w wielką miedzianą miednicę, obmył żwawo czuprynę, twarz, szyję i ręce, owinął stopy białemi onuczkami, wciągnął długie skórznie, przywdział kożuch, przytrzymał go rzemiennym pasem, czapkę włożył i poszedł prosto do stajni nagadać się z kozakiem, wypytać się jeszcze lepiej o ową zbójecką napaść, o tę ciężką ranę w głowę, dowiedzieć się dokładniej gdzie pana zostawił, którą drogą zjedzie, o jakiej godzinie? wreszcie zanieść mu parę groszy nowinnego. — Zdziwił się nie mało nie zastawszy w stajni, ani konia ani jeźdzca; a kiedy czeladzi się pytał, żaden nic mu powiedzieć nie umiał.

«To ranny ptaszek — pomyślał sobie — uleciał jak ptaszek. Zaprawdę, człowiek sam niewie jak o tem wszystkiem sądzić. Czy to sen jaki? czy urok? czyby psota czyja? Ależ by się to nie godziło, żarty i krotofile z sercem niemiłosierne i nieprzyzwoite.» — I powtórzył swoje zdziwienie i domysły żonie i dwom starszym córkom, co także już wstały, a odziawszy się

na prędce wybiegły przed ganek, patrzyć jaką Pan Bóg dał pogodę na ten dzień radosny?

«Bo już ja mówiłam jeszcze wczora matce — powiedziała Ewa — jakiś to dziwny kozak. Z razu podobał mi się, takiego dorodnego i mownego młodzieńca w barwie jeszczem nie widziała; ale jak na mnie raz jeden spojrzał, coś mnie wskróś przejęło, i bałam go się cały wieczór gdyby złego.»

«Zły człowiek, albo w zmowie ze złem, nie modliłby się tak jak on, i nie śmiałby wpatrywać się w święty nasz obraz» — odezwała się ujmującym głosem Ludwina.

«Słuszna uwaga — rzekła Kochanowska — a druga rzecz dostrzegłam w nim wielkie przywiązanie do pana brata, z czego takoż dobrze o nim trzymam. I zapewneć, z przywiązania nie z czego innego, zerwał się chłopczysko z pościeli jeszcze pierwej od nas. Chciał pana swego spotkać z pomyślną wieścią o zdrowiu naszem.»

Uspokoiły Kochanowskiego te słowa; przecież już przez poranek cały, nie szły mu jak zwyczajnie jego zatrudnienia i prace.

Wprawdzie odmówiwszy pacierze z dziatwą i z czeladzią, spożywszy czarę piwnej polewki, dosiadł był swego siwosza; pojechał jak codzień w pole, gdzie właśnie dosiewano owsa i jęczmienia; postał trochę nad rolą, którą przekładali na len i na kapustę, ale wnet wrócił pędem do domu jakby w obawie, żeby tam Podlodowski nieprzyjechał w jego nieobecności. — W stodołach młócili proso do siewu; zwyczajnie ostro przestrzegał żeby dobrze plewę z ziarna obijali; lecz dziś na nic nie uważał, nikogo nie strofował; pasterz przyszedł do niego i powiedział: «Miłościwy panie, dobrzeby choć ze troje starszych cielątek od macierzy poodsadzać, byłoby więcej mleka.» — «Jutro, jutro — odrzekł — dziś dajcie temu pokój, dziś, nikomu i niczemu nie robić przykrości.» — Kiedy wracał ku domowi, szanowny pan Łukasz Gupolski, bakałarz, w czarnej rewerendzie, z kałamarzem u pasa, zaszedł mu drogę: «Paniątka uczyć się dziś nie będą: sama Jej Miłość mi to oznajmiła; mam czas wolny, mógłbym dokończyć oprawy dokumentów do relacyi z ostatniego sejmu, ale nie ułożone jak należy. Może Wasza Miłość oświecić mnie raczysz.» — «Idźcie dziś z wędką na ryby, panie Łukaszu — odpowiedział — albo ułówcie słowików i skowronków do rychłego śpiewania, jak to umiecie; a najlepiej róbcie co się wam spodoba; ja głowy niemam, przyjaciela wyglądam.» W szkółce nad sadzawką zostało jeszcze kilka zimowych jabłoni do przesadzenia; mała winnica która była na wzgórzu od południa potrzebowała obrzezania gałązek, obwiązania macic; Franek ogrodniczek czekał na rozkazy pana; lecz i to mu nie szło: «Zostawmy do jutra — powiedział — on mi pomoże.» — Poszedł pod swoją

ulubioną lipę. Stała ona odosobniona o kilkaset kroków od domu ku wschodowi, już dziad jego siadał pod jej cieniem, a on nie raz pacholęciem będąc, krył się w jej gałęzie, i tak całe przesypiał noce, budząc się dopiero z ptaszkami. Teraz, osobliwie też w późniejszej porze, kiedy gęstym liściem się odziała, albo pachnącym kwiatem się nastrzępiła, miał ją za muz świątynią; tam lutnia jego brzmiała najwdzięczniej, tam najswobodniej oddychał; ztamtąd także używał najpiękniejszego widoku, na jaki niewydatny Czarnolas mógł się zdobyć: ztamtąd było widać staw zwierciadlany i dosyć rozległy, młyn Dzbukiem zwany i cienisty lasek jaworowy ręką rodziców jego sadzony, przez który strumyk przebiegał. Ale dziś niemógł i pod lipą dosiedzieć; jakiś dreszcz go przechodził, chociaż dzień był wcale ciepły i słońce mile dogrzewało. — Zwrócił się ku dworcowi; nie było gdzie się podzieć, z kim pomówić; wszędzie nieład, wielkie uprzątanie; żona, córki, czeladź zajęte. Tu jedna dziewka w ganku omiata z pajęczyny wyrzynane słupki, które daszek wspierają: tu druga w sieni okurza sterczące rogi łosie, jelenie i sarnie, zdejmuje wiszące na nich opończe, kożuchy, czapki, trzepie skóry niedźwiedzie i wilcze przed progiem leżące. Tu Ewa z Dorotą i z Marychną ustawia ławy, stoły, stołki, kołowrotki, krosna, ściera pułki, szafy, w izbie już nam znanej, największej z całego domu, ale za to najwięcej uczęszczanej i najwięcej potrzebującej porządku, bo w tej izbie rano i w wieczór zebranie na wspólną modlitwę, trzy razy zastawiane jedzenie; w niej roboty samej pani i starszych córek, narady i rozmowy gospodarskie pana z włodarzem i z sołtysem, zwłaszcza kiedy słota albo zimno w ganku siedzieć nie dozwala; w niej przy ogromnym kominie, w długie wieczory pogadanka i przędzenie na wyścigi; w niej poufalszych gości przyjęcie, małych dziewcząteк gry, zabawy, tańce, i dwóch ulubionych psów domowych Brysia i Obala wieczne pod kaflowym piecem legowisko. — Po drugiej stronie sieni Kochanowska z Ludwiną i z Nastką również są zajęte. Tam jest także obszerna izba salą swana, a w niej kram dobrany. Ławy z poręczami, stołki jaworowe skórą wybite, stoły osłonione kobiercami tkanemi w Carogrodzie, szafy z czarnego dębu jasnem drzewem w wzorki wykładane; tam w oknie szachownica na czterech nogach i na niej olbrzymie szachy z hebanu i z kości słoniowej, ustawione do boju jak gdyby na ówczasowych szachowych rycerzy na Fiedora i na Borzuja czekały; tam na pułkach stoi parę skrzynek z perłowej macicy, kilka puharów srebrnych i czar szacownych, tam są i farfury rzadkie i konchy osobliwe. Na ścianach wisi broń kosztowna, wizerunki familijne, a nad kominem Zygmunta Augusta obraz w hiszpańskim ubiorze, jak na codzień zwykł był się nosić. Do tej izby dzieciom ani czeladzi wchodzić

samym nie wolno; klucz od niej wisi zawsze na kołku w sieni, i tylko czasami Kochanowska z jedną ze starszych córek, albo z zaufaną Nastką pył szanowny zmiata i sprzęt każdy stawia na miejscu, na którem już blisko od lat dwudziestu stoi. — Nawet i z dwiema najmłodszemi dziewczątkami, z miluchną Hanną i z ukochaną Orszulką, nie może mieć zabawy Kochanowski: i one pracują. Leży przed gankiem stós świeżo wyciętego ze stawu tataraku; obie dziewczynki z polecenia matki napełniają zielem swoje sukienki, a przytrzymując je jędną rączką, drugą rozrzucają długie i aromatyczne liście po sieni i po izbach; rzekłbyś dwoje aniołków z chóru tych, co otaczają Niepokalaną Dziewicę, albo para owych, co lecą zanieść palmę męczeństwa jakiemu wybranemu Pańskiemu.

«Pójdę na pokój — powiedział w sobie Kochanowski — odebrałem też temi dniami kilka listów, trzeba je odczytać i odpisać.» A otworzywszy drzwi skryte w kącie izby — zniknął; słychać tylko było przez chwilę wolne stąpanie po schodach, a potem odemknięcie drzwi kluczem. —

Nastał był od niedawnego czasu u zamożniejszych a nadewszystko więcej myślących Polaków obyczaj, iż mieli w domach jedną izbę do uspokojenia, na ustroniu, o jednych drzwiach, gdzie zawsze cicho i samotnie być mogło; tę przezwali słusznie pokojem. Kochanowski stawiając sam swój — i chcąc go uczynić wygodnym, kiedy nie mógł wspaniałym — nie omieszkał opatrzyć sobie podobnego schronienia. Jeszcze ojciec jego w obawie ognia zmurować kazał opodal od dawnego dworu, na suchej i wysokiej piwnicy, lamus czyli skarbiec czworokątny, i tam zamykał co miał droższego. Syn o tę fundacyą ojcowską oparł swój dom nowy, drewniany, podniósł ją na całe piętro, a na wierzchu dał włoskim kształtem dach płaski czyli taras blachą wybity, kratą opasany, z kompasem na środku, zkąd w każdej porze niebo na około mógł widzieć, wschód i zachód słońca uważać; wewnątrz zaś urządził sobie zacisze do pracy i do dumania, gdzie miał książnicę i skład rękopismów, i od którego klucz był zawsze w jego kieszeni. W dnie zwyczajne, nad wielkim stołem stojącym w pośrodku, zielonem suknem okrytym, otoczony księgami, papierami po kilka godzin przesiadywał z lubością, rzucając niekiedy okiem: to na obraz Zbawiciela, włoskiego pędzla, wiszący na ścianie, to na dziewięć muz rozstawionych po pułkach; dziś, ni księgi, ni pióro, ni wizerunki, żadnego nie mają dla niego wdzięku. Klepsydra stała na stole: wziął ją, przewrócił, popatrzył czas jakiś na ziarnka piasku zwolna spadające, wstrząsnął nią mocno, nie pomny, że tym sposobem ani rzetelnej ani sztucznej godziny nieskróci, rozśmiał się sam z siebie i poszedł spiesznie na taras. — Tam, kiedy bywało, w dzień wstąpił, i siadł na ławce samotnej, w górze trzy-

mał i wzrok i duch swój, śpiewał Panu z królem prorokiem:

Tyś niebo jako namiot rozbił ręką swoją;
Chmury twój wóz, twe konie wiatry nieścignione;
Duchy — posłańcy, słudzy — gromy zapalone.

A jeżli w wieczór albo w nocy poszedł, wpatrywał się w gwiazdy, gubił się w tym świecie tajemnic w myślach o ich stwórcy, o biegu życia człowieka, tak ściśle złączonego — jak w ów czas rozumiano — z biegiem planet. — Dziś, jego oczy na dół są zwrócone, oderwać ich nie może od strony, zkąd przyjaciela się spodziewa; złorzeczy pierwszy raz sosnowym lasom otaczającym jego wioskę, które go może ukrywają; a długo nic dojrzeć nie mogąc, zbiega znowu na dół; zniecierpliwiony chce wyjść na drogę i iść póty, choćby też do wieczora, póki upragnionego gościa nie spotka. Już spiął krótki piaskowy kontusz, szablę przypasał, czapkę na uszy nasunął, kosturek wziął w rękę, kiedy zabiegła mu drogę ulubiona jego Orszulka. Wysłała ją z umysłu matka, wiedząc dobrze kto najlepiej ojcu czas skrócić potrafi. Śliczniejsza była niż kiedy bądź zawsze śliczna dziecina. Kochanowski rad popisać się z nią przed przyjacielem, zalecił był jeszcze wczora Nastce, żeby ją jak najstaranniej ubrała, i właśnie w tej chwili po ukończonem rozrzuceniu tatarakowych liści, dokonano ochędóztwa. Koszulka cienka biała bryzowana, nowy letniczek pisany co jej matka sama uszyła, paski złote niedawno z Sandomierza przywiezione, a z włosków dwa uploty niebieską wstążką nad czołem związane. «Ojcze, chodźcie ze mną na łąkę — powiedziała biorąc go za rękę — kwiatków dla gościa narwać trzeba.» Poszedł ulegając jak zawsze woli dziecięcia i mówił w sobie: «Potem na drogę wyjdę.» A kiedy ona biegając i śpiewając zaczęła układać skromny snopek wiosenny, on jej się spytał;

«Szczebiotko! wiesz ty kto tu przyjedzie!»

«O wiem — odpowiedziała jakby nie przerywając śpiewania:

«Przyjedzie tu rycerz
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki
Rzucę mu pod nogi.»

«Pieszczoto moja! — zawołał Kochanowski siadając na trawie i otwierając ku niej ramiona, w które ona pędem wbiegła — i cóż mu powiesz?»

«Oto mu zaśpiewam» — a stanąwszy przed ojcem, lewą rączką ujęła się pod bok, główkę przekrzywiła, tupnęła nóżką

zupełnie jak parobek w tańcu, kiedy przed grajkiem stawa, i tak się ozwała:

«Nie znałeś Orszulki
A ona cię kocha;
Poznałeś ją teraz
Pokochaj że trocha.»

«A za cóż ty go kochasz?» — spytał jeszcze ojciec odchodząc prawie od siebie z zdziwienia, i jakby zapominając, że z dzieciną rozmawia, że może nadużywa władz rozumu budzącego się zawcześnie.

Tu dziewszynka zadumawszy się nieco uroczystym głosem wyrzekła:

«Tak Bóg przykazał,
Czyż tego nie wiecie?
Kto kocha ojca
Tego kocha dziecie.»

«O Bogowie! zawołał Kochanowski w uniesieniu powstając i porywając dziewczynkę — jakaż cudowna śpiewaczka. Safo słowiańska rośnie mi w tobie! chodź słowiczku mój, powtórz matce piosenki twoje; a nie zapomnij je zaśpiewać tak samo wujaszkowi.»

«O! już zapomniałam — wymówiła zakłopotana dziecina — może inne przyjdą; tam jest lepszych siła — dodała przytykając rączkę do wypukłego czoła — biedują się często, a wyjść niechcą, czy nie mogą; aż czasem bolą. Ale, ojcze, patrzcie co tam widać na gościńcu, coś błyszczy, rycerze jadą.»

I dobrze widziała dziewczynka. Podlodowski jechał na dzielnym ukraińskim koniu; już nie młody, ale jeszcze zupełnie ciemnego włosa i nadzwyczaj piękny i dorodny mężczyzna; był uzbrojony jakby na wojenną wyprawę; z pod szarej tatarskiej opończy z lekka na ramieniu wiszącej, widać było bekieszkę, ubiór wielce w ówczas używany przez pamięć na szlachetnego Bekiesza — szablę u boku, i kindżał za pasem. Obok niego młodzieniec hoży i gładki, takoż zbrojny i jeszcze suciej ubrany, harcował na cisawym tureckim dzianecie. Toczył się za niemi wóz ciężki cztero konny, dążyło dwóch pachołków na zwinnych parepach czyli podjezdkach, ale wczorajszego kozaka nie było; znać się zminął z panem w drodze.— Stanęli oboje Kochanowszy z córkami na ganku wołając radośnie: «Witaj że nam witaj! przyjacielu i bracie! — witaj i z temi co w progi nasze wprowadzasz» — dodali widząc nie-

znajomego młodzieńca. — Tabor cały wnet stanął na podwórzu; zaczęły się uściski, pokłony, pozdrowienia. — Czemu Ewa spłonęła rumieńcem kiedy pan podkoniuszy wyrzekł pokazując na towarzysza swego: «Oto mój syn rotmistrz Filip Owadowski, herbu Łabędź; nie on ci mnie ja jemu winienem życie; ale miłuję go jak syna i wy go za takiego mieć raczcie.» Czemu Ewa spłonęła? Niech to młode dziewczęta odgadną.

ROZDZIAŁ IV.

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

— I. 19. —

Lubo Wielkanoc, owo prawdziwe święto zmartwychwstania, od piętnastu dni minęła, tydzień świąteczny zaczął się w Czarnolesie. Dwaj przyjaciele po tak długiem rozdzieleniu, krótkie i policzone chwile mając do spędzenia razem — gdyż pan podkoniuszy dziesięć tylko dni bawić przyobiecał — nacieszyć się z sobą, nagadać, napatrzyć się wzajemnie siebie nie mogli. — Jakkolwiek dzielny, rubaszny, sierdzisty, poważny, niepospolitego wzrostu i siły, mężkiej i rycerskiej piękności Jakób, różnił się zupełnie obejściem i urodą od łagodnego, wdzięcznego spojrzenia, słodkiego języka — Jana, owego pieszczonego wychowanka muz, dworu, i najoświeceńszych krajów, owego miłośnika pokoju i wioski: jakkolwiek,

«Jednemu twardy szyszak docierał do głowy
Drugiego skroń otaczał miękki liść myrtowy»[1].

przecież sercem zgadzali się i pasowali do siebie, tak samo w pośrodku życia, jak niegdyś w dniach bujnej młodości i w pierwszej świeżości uczuć. Jedna w nich była co dawniej miłość Boga, ojczyzny i sławy; jednakowe zdania o wierze, o wolności, o poprawach rządu jakich Rzeczpospólita potrzebowała koniecznie; jednakie zaufanie, że spełnić je potrafi Stefan Batory król równie dzielny jak mądry, zwłaszcza wsparty radą, ramieniem i sercem kanclerza, hetmana, przyjaciela i powinowatego swego, Jana Zamojskiego. — Podlodowski nie był nawet bez wyższego usposobienia rozumu, bez delikatności w uczuciach; wprawdzie życie oddane ciągłym prawie bojom, teraz poświęcone mozolnym i niebezpiecznym podróżom w królewskiej posłudze, nie wiele miejsca zostawiało naukom.

[1] Elegia Kochanowskiego.

Szabla i rusznica droższe i poufalsze mu były od pióra, koń milszy od książki, dwóch rymów nie znalazł odkąd żył na świecie. Ale czyż tylko tych co czytają, piszą i rymują zwać można poetami? Są poeci uczynkowi, w ich życiu jest poezya. Z tych liczby był Podlodowski. Ze starożytnego domu który oddawna przysługiwał się Rzeczypospolitej ludźmi mężnymi na wojnie, światłymi w senacie, syn zacnego i śmiałego ojca, dziedzica szerokich włości, urodzony w głębokiem Podolu, w owej krainie męztwem Giedymina i Olgierda wydartej Tatarom — ale do której ta dzika tłuszcza ciągle prawa swoje mieczem i ogniem wznawiała — ledwie mógł broń udźwignąć, kiedy już był żołnierzem; obóz stał się dla niego domem, koń siedzeniem, żelazna zbroja odzieżą, bitwy z nieprzyjacielem tańcem, a życie i mienie o tyle szacowne i drogie, o ile dla ojczyzny i dla braci poświęcone być mogły. Jeszcze wtedy — właśnie w końcu panowania Zygmunta Starego — nie był wszędzie obmyślony żołnierz do ciągłego strzeżenia granic. Polska, owo przedmurze chrześciaństwa, przez którą barbarzyńskie ludy wnijście do Europy miały, nie zasłoniona od nich górami, nie przedzielona morzem, wstrzymywała ich przecież; lecz całe prawie jej bezpieczeństwo, cała spokojność ościennych narodów polegały na dobrowolnej i ochotnej waleczności rycerskich jej dzieci; i było wielu, w zaślepionej ale poetycznej szlachcie — którzy stawianie fortec, obsadzanie ich regularnem i płatnem wojskiem, uważali za uwłóczenie męztwu stanu rycerskiego. «Piersi synów — mawiali — dostateczną dla matki obroną.» Nadstawiać więc trzeba było tych piersi i oba Podlodowscy tak ojciec jak syn wraz z Daszkiewiczami, z Lanckorońskiemi, z książętami Zasławskiemi, Zbaraskiemi, Wiśniowieckiemi, z Pretficami, Herburtami, Jazłowieckiemi, Sieniawskiemi, zasłużyli się dobrze Rzeczypospolitej i chrześciaństwu, w wstrzymywaniu wielokrotnem własnemi ludźmi, i własnem ramieniem srogich napadów tatarskich, w ściganiu ich i karceniu, gdy silniejsi albo podstępniejsi od nich, zapuścili na Podole, na Wołyń i na Ukrainę krwawe zagony swoje.

Jednak Podlodowski ojciec, widząc rosnącą z wiekiem dzielność syna, może i dumny z nadzwyczajnej jego urody, zapragnął dla niego wyższego ćwiczenia, większego świecznika. Gdzież go miał chętniej szukać i łatwiej znaleźć jak przy boku wielkiego hetmana Jana Tarnowskiego, z którym nawet powinowactwo go łączyło? W owym czasie taka była konieczna kolej wychowania męzkiej młodzieży; każdy musiał się otrzeć między ludźmi, służyć, nim zaczął żyć na własny rachunek i rozkazywać drugim. Po odbytych naukach w domu albo w szkołach, drobna szlachta oddawała synów do majętniejszej braci, majętniejsi do panów, panowie zaś posyłali swoich na

zagraniczne dwory, do cesarza, królów i książąt udzielnych. — Ośmnastoletniego Jakóba powiózł tedy ojciec do Tarnowa i oddał w służbę hetmanowi; tam wnet przybył jak wiemy i nasz Jan, któremu matka wyjednała miejsce na tymże dworze, dla wykształcenia go w naukach, w pisaniu listów, w znajomości rzeczy krajowych; gdyż Tarnowski jak wszyscy nasi wielcy mężowie szesnastego wieku, był razem gromem bojów i muz miłośnikiem. — Oba jednakże i Jakób i Jan rok tylko jeden spędzili na tym znamienitym dworze.

Nowy a okropny napad Tatarów na ziemie ruskie w końcu września roku 1549 przerwał korzystne dla nich życie, wdziękiem przyjaźni ozdobne. Tak potężne było mnóstwo owych najezdników, iż żadne siły 'wstrzymać ich pochodu nie mogły; toczyli się jak powódź rozhukanej rzeki, padali jak ćmy szarańczy na polskie kraje. Już Lwów pamiętny dawniej doznanych niedoli drżał cały, kiedy hetman Tarnowski zaciągnąwszy ku temu nieprzyjacielowi z licznem wojskiem koronnem i własnem, poraził ich na głowę pod Tarnopolem. — I Kochanowski był w tej walnej bitwie; chociaż nie z powołania rycerz «przypasał się na ten raz do miecza»[1] jak sam o sobie napisał; nieodstępny od przyjaciela, przeto w największem niebezpieczeństwie, strzała tatarska w szyi mu utkwiła i była nawet chwila trwogi o jego życie. — Lecz Podlodowskiego boleśniejszy jeszcze cios ugodził. Tatarzy naprzód spustoszyli brzegi Dniestru paląc, siekąc, mordując, zabierając cokolwiek okropną swoją obławą dosięgli. Wtedy sam książe Wiśniowiecki oprzeć się nie mogąc przemagającej sile, poddać im się musiał z żoną i z dziećmi. Stanisław Podlodowski także we własnej wsi, w Studzienicy, znienacka napadnięty, a dobrze pohańcom znany, bronił się do ostatka, aż zakłuty poległ. Żonę jego zacną białogłowę, Ewę Biejkowską rodem, wraz ze wszystkiemi jej kobietami, Tatarzy zabrali w niewolę, i zaraz do hordy odesłali; zniknęła nawet dwuletnia córeczka Hanna z piastunką swoją; i nazajutrz po Tarnopolskiej bitwie, kiedy wszyscy w hetmańskim obozie w radości zwycięztwa byli, a ranni zapomnieli o bólach swoich, wierny kmiotek Studzieniecki przybył donieść młodemu Podlodowskiemu o całem jego nieszczęściu. — Pomścić ojca, wydobyć matkę i siostrę choćby z głębi Azyi, te powstały w młodzieńcu chęci; a gwałt ich zrównoważył nieco w jego duszy żal srogi nad śmiercią ojca, żal, że nie był przy nim w tej chwili! — Rzucił wielkiego hetmana, rzucił rannego przyjaciela, pędem wiatru poleciał. — Odkopanego trupa ojcowskiego, zamordowanego licznemi razami, zaledwie poznał — ale za każdą ranę choć jednego Tatarzyna zgładzić ze świata poprzysiągł; maleńkiej i jedynej

[1] Księga IV. pieśń 24.

siostry szukał to w Kamieńcu, to w Mohilowie, to w miasteczkach i wioskach okolicznych, to na drabnych wozach naładowanych porwanemi przez Tatarów dziatkami, które nasi ścigając ich, zdołali im odebrać, a które w takowych razach wożono do miast głównych, aby matki poznawały i odbierały swoje. — Ale nie tam i nie zaraz znalazł ukochaną siostrę. — Piastunka dwuletniej Hanny, owa gadatliwa lecz wierna i roztropna Nastka — wyprowadziła była dla zabawy panienkę opodal od domu; wtem, znać dano o zbliżających się niespodzianie Tatarach, i wraz, ich okropne krzyki rozległy się w powietrzu. Nastka nie wiele myśląc porwała dziecię na ręce, i uciekła w przeciwną stronę, w stepy; już słyszała jak pohańcy je gonili; lecz ona skryła się w wysokich trawach, a błąkając się długo zaszła do jaskini, gdzie stary czerniec pędził resztę dni swoich w samotności i na modlitwie. Ztamtąd dopiero po kilku miesiącach wyjść się poważyła. — Podlodowski tym czasem przez Dniestr się przeprawił; z ludźmi, z pieniędzmi jakie mógł zebrać, zapuścił się w tatarskie kraje, żeby matkę wyzwolić, wykupić. Znalazł ją nareszcie, ale umarłą. — W mocy u jednego z carzyków, który na proroka swego przysięgał, iż najłaskawszego obejścia doznawała u niego, nie mogła znieść ohydnej niewoli. Uciśnienie jej, łzy, modlitwy widział Bóg, i zlitował się nad nią. — Pogrążony w ciężkim żalu syn, przynajmniej jej ciało wykupił, ze czcią do Studzienicy sprowadził, i własną ręką w grobie ojcowskim położył. — Jedna pociecha czekała go za powrotem do domu — zastał już siostrę z wierną piastunką. — Nie przewidując atoli dla niej ani pewnego ani przyzwoitego schronienia w nadgranicznej majętności, której tak młodo i nieżądanie został dziedzicem, i chcąc ją od niebezpieczeństwa wojny z pewnością uchronić, odwiózł ją sam aż do Sandomierza, miasta opasanego murami, zakwitłego w zamożność i handel, a które od czasów Kazimierza Wielkiego — dzięki jego przezorności — nie doświadczyło tatarskiej napaści. Tam do klasztoru ją oddał, zostawując przy niej poczciwą Nastkę. — Może też do wyboru tego miasta dla siostry, powodem mu była pamięć na rodzinną ziemię przyjaciela, i myśl, że bezpieczniejszą będzie sierota mając dom Kochanowskich w tem samem województwie. Nie przewidywał wtedy o ile się ścieśnią w przyszłości węzły jego z tym domem; chociaż braterstwo powinowactwa mało co już dodać mogło siły braterstwu serca.

Stwierdzał je wiek mimo tak odmiennych przeznaczeń obudwóch przyjaciół.

Jak Jan nauki, tak Podlodowski obrał sobie zupełnie i dobrowolnie stan rycerski za powołanie. Należał on do liczby owych ludzi co to nie żyją na wiatr, z dnia na dzień, ale którzy

wcześnie kreślą sobie zawód, piękny cel znaczą i pracy nie szczędzą żeby dobiedz chlubnej mety. Kamienny i żelazny dla siebie i w ciele swojem, był czuły i litościwy dla drugich i w duszy. Wnet też pozbył się uczucia zemsty, które po stracie rodziców podżegało jego ramię, chęć szlachetniejsza go ogarnęła, zapragnął być obrońcą ojczyzny, obrońcą wiary, zgoła żołnierzem chrześciańskim.

Nie brakło mu na sposobności dogodzenia temu pragnieniu.

Przez całe panowanie Zygmunta Augusta — owego nie bez zalet, ale nie wojennego króla — ani opuścił Podola i Ukrainy; na krótką chyba chwilę żeby przyjaciela i siostrę odwiedzić; zresztą był jakby krzyżownikiem wiecznym, gdyż ciągle z niewiernymi walczył, lub do walki się sposobił. To lud Studzienicki ćwiczył na żołnierza, wzmagał ich w broń i w konie, i układał z nich roty dzielnych kopijników; to z sąsiedzkimi a śmiałymi kozakami w zmowie, wraz z niemi na Tatarów, jak na łowy dzikiego zwierza się puszczał. Często uganiał się za niemi aż do ich hord, tym samym szlakiem, którym ciało matki niegdyś przywiózł. Nie raz wielkie łupy na nich zdobywał, któremi bogacił kościoły i klasztory; zawsze spłoszył ich i opędził skoro na granice napadać chcieli, zawsze gromadkę jeńców zabrał, a potem osadzał je w wiosce swojej, i do wiary chrześciańskiej namawiał. To znowu z Jazłowieckiemi, Pretficami i innemi troskliwemi obywatelami, układał jakby na Ukrainie założyć szkołę rycerską, ustanowić zakon krzyżacki według reguły ś. Łazarza, któryby na całem zadnieprzu składał wraz z kozakami mocne wojenne osady przeciw rabunkom bisurmańskim.

I tak zbiegł wiek jego najpiękniejszy. Mógł był za tyle usług oddanych krajowi, za tyle dowodów waleczności, żądać tytułów, nagrody, owych starostw, po które wielu majętniejszych od niego a mniej godnych wyciągało ręce. Ale on nie starał się o nic. «Sama cnota sobie nagrodą — dosyć jest zasłużyć» odpowiadał tym, co go namawiali o domaganie się łask królewkich, zawsze hojnie szafowanych. Lecz gdy Zygmunt August umarł, gdy ziemie Ruskie (wytrzymawszy raz jeszcze w czasie bezkrólewia po ucieczce Henryka okropniejszy niż kiedykolwiek napad Tatarów) zaczęły używać pokoju pod rządami bitnego Stefana, który zwycięzkim bułatem rzucił postrach na sąsiądów — Podlodowski wnet znalazł, że niema co do roboty u siebie i przykrzyć mu się zaczął bezczynny pokój. «Kiedyśmy dziś z łaski dzielnego króla, takiego właśnie jak naszej Polsce było potrzeba, bezpieczni u siebie — mówił do przyjaciela — kiedy wróciły dla Podola i Ukrainy jakby Witołdowe czasy, kiedy w domu jest sprawiedliwość, na granicach gotowość i siła, Tatarzyn wstrzymany, kozacy w bojaźń

i w karność ujęci, należy nam, szlachcie rycerskiej, otoczyć ojca narodu, i pomagać mu w tem wszystkiem, co on dla dobra i chwały Rzeczypospolitej przedsiębierze.» — I czekał tylko pomyślnej sposobności; a skoro rozesłano wici na wojnę moskiewską, stanął przy królu z wyborem własnych żołnierzy, zawinął się pod chorągwie Jana Zamojskiego, który choć wtedy jeszcze nie hetman i prawie nie żołnierz, już wzbudzał wielki szacunek w dojrzałym wojaku.

Lubo w owej sławnej i zwycięzkiej wyprawie — która Stefanowi Batoremu prowadzącemu ją osobiście imie pierwszego wojownika owych czasów zapewniła — lubo mówię, tylu Polaków na wyścigi z ochotnemi Węgrami, Niemcami ćwiczonemi dało dowody odwagi i poświęcenia się, przecież Jakób Podlodowski z rotą swoją, potrafił zwrócić na siebie uwagę Zamojskiego i króla. Widzieli go zawsze jako prawdziwego rycerza chrześcianina, w boju mężnym, w mowie rzetelnym, sprawiedliwym w sądzie, w radzie opatrznym, w zleceniach wiernym, w obyczajach uczciwym; widzieli, że lud jego w posłuszeństwie żyje, i ma go za ojca; król Stefan tedy, ów prawy sędzia skromnej zasługi, zapytać go się kazał po skończonej wojnie, jakiej by chciał nagrody? On przejęty coraz większą czcią dla monarchy według serca swego prosił o miejsce, któreby go zbliżyło do królewskiej osoby i zgodne było z jego zdatnością i zwyczajami, nie odejmując mu przecież zupełnie wolności, gdyż chciał zawsze doglądać wojennego ludu swego i mieć oko na Tatarów i na kozaków. — I urząd podkoniuszego dany mu został, a że był równie dobry jeździec jak dzielny żołnierz przyjął go chętnie; i zaiste w owych czasach nie był to czczy tytuł. — Koń ze wszystkich zapewne zwierząt najważniejszą odegrał rolę, bo on różnicę między ludźmi zaprowadził; początkowa szlachta w Polsce i wszędzie, czemże była? takiemi co na konia się zdobyli i dosiedli go, gardząc tym co szedł pieszo; długo też koń i szlachcic byli nierozdzielni; w wielu krajach nazwę swoją nawet wzięli od konia, od jeżdżenia; a wszędzie rodzaj koni z szczególnem upodobaniem był chodowany; każdy zamożniejszy wiejski właściciel musiał mieć kilka zdatnych do boju: cóż dopiero król i król taki jak Batory, co kiedy wojny nie prowadził, lepszej nie znał rozrywki nad łowy.

Z upodobaniem też i czynnie spełniał swój urząd Podlodowski; a nie zaspokojony końmi krajowemi — jakkolwiek wtenczas polska rasa słynęła i słusznie — wybrał się był z początkiem obecnego roku aż do Carogrodu, żeby tam w zawołanych tureckich i arabskich dzianetach, na targi spędzanych, upatrzyć godnych stajni Batorego. — Udało mu się. Kilkanaście koni co kupił, (a między niemi jeden szczególnie ciemno gniady, z gwiazdą na czole) tak były rzadkich zalet, że aż

chciwość i zazdrość zbójców tureckich wzbudziły; i o mało co sam podkoniuszy w tylu bitwach ochraniany nie padł tych łotrów ofiarą. Teraz wyprawiwszy ze Lwowa szacowne konie — pod strażą dwóch zaufanych i doświadczonych dworskich swoich Marcina Lubienieckiego i Piotra Broniewskiego prostszą drogą i wolniejszym pochodem — do Grodna, gdzie król bawił, zboczył do Czarnolasu; a ponieważ w tem zboczeniu i w całym pobycie swoim u przyjaciela, nie tylko miał własną przyjemność na widoku, ale szczęście osoby, którą więcej kochał niż siebie, miłe dnie i godziny pędził, i sam się dziwił jakim cudem przy spoczynku tak mu prędko czas zbiega?

I młodzieży kółko nie uskarżało się bynajmniej na leniwość godzin i na brak rozrywek. Filip Owadowski syn przysposobiony Podlodowskiego wnet zapoznał się i zaprzyjaźnił z dziewczętami, jak gdyby w rzeczy samej ich krewnym był się urodził. — Nie było wtedy w obyczajach młodzieży tyle przymusu co dziś; większa daleko niewinność panien, mniejsze mężczyzn zepsucie, łatwiejszy dawały przystęp uczciwej poufałości. Wielką był także pomocą w stósunkach towarzyskich język, który lubo dopiero się kształcił, bogatszym był niż teraz jest, gdyż wystarczał bez pomocy żadnego obcego potocznym potrzebom; a nadewszystko miał jeszcze w sobie owe wygodne i nieocenione wy, które my Polacy podobno jedni ze Słowian wyrzuciliśmy z pokojowej naszej mowy, zostawując je prostactwu, niewiedzieć kiedy i dla czego. — Sposób też życia nierównie prostszy i czynniejszy, ułatwiał wiele takowe stósunki. Nie było po domach szlacheckich osobnych pokojów dla gości na innem piętrze, albo w innem zabudowaniu; nie było wyznaczonych godzin i salonów do chodzenia się z gospodarstwem; zebrane towarzystwo zasiadłszy każde w innym kącie z założonemi rękami nie chciało się bawić samą jedynie rozmową. — Wówczas bywał trojaki rodzaj gości. Pojedynczy, przelotny, który nosił ogólną nazwę pana Zagórskiego, bo zwykle niespodziewanie jakby z za góry się ukazywał; miał on już codzień miejsce swoje zostawione u stołu; taki wstąpiwszy mimojazdem, jeźli w porę trafił, zjadł obiad lub wieczerzę; jeźli nie, przekąsił co lub przepił, powiedział nowin parę i jechał dalej. Po tym, były zjazdy spraszane a przynajmniej wiadome, zapowiedziane; dla nich przygotowana uczta i zabawa, jako to: na imieniny, zaręczyny, wesela, chrzciny, albo też w niedzielę i święta. Nareszcie, byli goście poufali, krewni czy przyjaciele, co już na dłuższy czas przyjechawszy, od razu stawali się domowemi. W izbie wspólnej, często nawet w komnacie sypialnej — jeźli panien i młodzieńców nie było — słano im łoża na każdą noc; od rana do wieczora siedzieli z gospodarstwem, którzy nie zadając sobie z niemi najmniejszego przymusu, nie przery-

3*

wali wcale dla nich codziennych swoich prac i zatrudnień, owszem, załatwiali je przy nich i najczęściej z niemi. — I tak kiedy Podlodowski dzielił z Kochanowskim wszystkie jego sprawy, kiedy z nim jeździł w pole, koło gospodarstwa chodził, w sadzie pracował, sieci na ryby zarzucał, a nawet choć nie piśmienny nie jedną godzinę trawił nad księgami i papierami, dokumenta do wojny gdańskiej i moskiewskiej porządkując i bogacąc, Filip ze swojej strony, drugiego dnia po przyjeździe, już znał każdą z dziewcząt, nie tylko z imienia ale i z charakteru; już im się sprzeciwiał, już z niemi żartował, już Ludwinę uczył pieśni nabożnych, a jej sióstr dumek ukraińskich; już wszystkim pomagał w ich zajęciu koło domu i ogrodu; a wieczorem siedząc z niemi przy kominie — bo nigdy nie zawadził u nas ogień w kwietniu — ledwie mógł nadążyć z opowiadaniem ciekawym dziewczętom na ich zapytania o Podolu, o Turcyi, o Carogrodzie, o Tatarach, o kozakach, a mianowicie o ostatniej wojnie, na której wiedziały, że był z panem podkoniuszym. Gdy zaś jął im opisywać tę wiekopomną wyprawę, czyny bohaterskie tylu rycerzy, a zwłaszcza piechoty, mądrość i dzielność króla i Zamojskiego, upokorzenie nieprzyjaciela, owe ciężkie i niebezpieczne dobywanie Połocka, Wielkich Łuk i tylu innych fortec; jak często koło samego monarchy kule świstały, jak po własnych ludziach zabitych musieli wstępować na wały, jak wszedłszy do miast zdobytych konie broczyły we krwi poległych, albo też wracać trzeba było pędem do obozu dla nieznośnego wyziewu od wielkiej liczby niepochowanych trupów: gdy im to wszystko opowiadał, pobożna Ludwina składała ręce, wzdychała serdecznie za dusze tylu ofiar ginących bez pomocy świętych sakramentów, może w grzechu śmiertelnym; powtarzała z głębi serca swoje ulubione słowa: «Boże, bądź im miłościw! Boże, bądź im miłościw!» oczy zaś Ewy i jej sióstr iskrzyły się ogniem, czoło jaśniało jakąś dumą; a kiedy Filip opowiadał jeszcze z zapałem o dowodach waleczności przybranego ojca, ze skromnością o własnych, i liczył ile mniej więcej oba nieprzyjaciół do grobu wtrącili, wielu zabili bisurmanów w świeżo doznanej tureckiej napaści — strwożona Ludwina odsuwała się od niego zbierając w obie ręce płonistą suknią swoją, jakby z bojaźni by jej krwią grecką albo pohańską nie skalał: — Ewa przeciwnie patrzyła śmielej i uprzejmiej na młodzieńca, i żałowała pierwszy raz w życiu, że się nie urodziła mężczyzną, albo tego, że Filip nie był prawdziwym jej bratem, bo mogłaby rzucić się mu na szyję i wyrazić tym sposobem, ile jej się podoba jego duch rycerski.

Nie zawsze też Filip bywał «błogosławiony między niewiastami» jak go Kochanowski nazywał; codzień, według zwyczaju przyjeżdżał pan Franciszek i codzień swoje smaczne

zalotne przywoził; a zmiarkowawszy iż od czasu przyjazdu gości, obiady Czarnoleskie daleko były lepsze od tych co mu w domu dawano, przetrąciwszy swój wcześniejszy, w południe przybywał do stryjostwa na drugi, jadł jakby nigdy nic, pił za czterech, a po obiedzie znużony snem, dosiadał wiernej bułanej, która go drzymiącego prosto do Policzny donaszała.

Pan Franciszek Kochanowski dobre chłopczysko w gruncie, był sobie próżniak, «warchoł» jak wtedy mówiono; do niczego, prócz do zmiatania półmisków, i do spełniania kufiów. Polowanie na ptaszki już sobie miał za robotę, toż i łowienie ryb na wędkę, nad którem kiedy parę godzin posiedział i kiełbika złapał, pewny był, że bardzo się spracował i wielkiego dokazał. Do zatrudnienia użytecznego a mozolnego miał wstręt zupełny, a to nie tylko z natury, ale i z głębokiego przekonania. Znając się jedynakiem i herbowym, wiedząc, że został po ojcu kawał pięknego majątku, którym matka zarządza, że jak jej braknie — znajdzie się włodarz albo podstarości, wreszcie żona — spuszczał się na to zupełnie; a treść jego zasad, które często rozpamiętywał leżąc zimą pod piecem, a w lecie na trawie, była następująca:

«Kiedy mnie Pan Bóg szlachcicem stworzył i chlebem opatrzył, którego nie przejem — choćby mi też w miłosierdziu swojem drugi był dał żołądek — byłbym głupi jak stołowe nogi, gdybym się czem bądź trudził; pracę zostawić należy kmieciom, miejskim synkom, hołyszom, a naukę ... jak się nazywa ... bakałarzom i poetom. Panom stryjom winszuję ich mądrości, ale im nic nie zazdroszczę; gdybym ja miał nad książką dukwieć, po godzinach gryźć pióro, i nocy nie dospać dla jakichsiś tam ... jak się nazywa ... rotuł, psalmów, Tassów, Wirgilich, kazałbym sobie dać łozy. I niech mi kto powie na co się to przyda? Panu Mikołajowi się zmarło choć rotuły pisał; pan Jan ze wszystkiemi pieśniami i z całą sławą, przez połowę tyle jeść i pić nie może co ja; pan Piotr ze swoją ... jak się nazywa ... Jerozolimą, gdzieś tam daleko poci się jak w łaźni, trawą żyje gdyby baran; pan Andrzej włóczy się ciągle za tym kanclerzyskiem — także człowiekiem bardzo osobliwszym — niemając i chwili spoczynku. Nie było im wszystkim tak zrobić jak ja? Skoro człowiek ma co jeść, co pić, w czem chodzić, gdzie się wyleżeć, czegóż mu więcej potrzeba? Pan stryj namawia mnie do rycerskiego rzemiosła; chce bym wszelką bronią władać umiał; a mnie poco? — żebym jechał na wojnę. — Nie głupim, na wojnie zabić mogą. Wreszcie jedzieć tam tysiące braci szlachty, co ich skóra świerzbi i głowa na karku im cięży — niech sobie jadą — i owszem; im ich tam więcej będzie, tem bezemnie prędzej się obejdzie; nie byłemci na ostatniej wojnie, bom też był prawie

dzieciuchem, dobrze poszła mimo tego. Pójdą tak i inne. Ja tam pychą nie grzeszę, pokornegom ducha. — Pan stryj mówi jeszcze: «Jak tak nie będziesz nic umiał i wiedział, i bronią jak się należy nie władniesz, nie będziesz nic znaczył w kraju, ani na sejmikach, ani w czasie ... jak się nazywa ... elekcyi.» Ja też tego bynajmniej nie pragnę. Co mi do kraju, kiedy ja mam Policznę; po co mi sejmików, kiedy ja i bez sejmiku w sąsiedztwie i w domu objeść się i opić mogę, a to bez guza i rany; bo ja mam mój rozum; skoro się upiję, nie kłócę się jak drudzy mędrsi, jedno spać idę. — Elekcya! a mnie co do niej! czy Rdest czy Gaweński, czy Batory, czy Badura królem polskim, mnie wszystko jedno; ani ten, ani ów nie będzie wiedział czy ja żyję czy nie, i ja go na oczy nie zobaczę; ani ten ani ów wioski ani mi da, ani weźmie, i dalipan więcej mnie obchodzi jaki kucharz co w Polickiej kuchni warzy, niż jaki tam król co rządzi w onym starym krakowskim zamku? «Wstyd, wstyd — mówi nie jeden — tak żyć.» — Wstyd, wstyd, a przecież nikt się mnie nie wstydzi. Matka za mną przepada. Jagienka się przysięga, że niemam równego sobie; i prawda, gdzie tylko pojadę, wszędzie mi radzi, wszędzie mnie karmią i poją, panny się do mnie wdzięczą, i Jagienka powiada: miałbym żon z jaki tuzin, gdyby tyle żon mieć można. Ale ja tam innej mieć nie chcę, jedno tak jak pani matka pragnie — Ewulkę — śliczną Ewulkę. — Najbliżej mi jeździć do niej, moja bułana już wie drogę, prowadzić jej niemam potrzeby — sama idzie. Walna, czerstwa, zdrowa dziewka, kieby rzepka, i gospodarne to, przysmaki różne umie: niech no raz się ożenię, będę przy niej opływał jak pączek w maśle; pieczone gołąbki będą mi szły same do gąbki, a ja tylko będę usta otwierał i smakował.» — A doszedłszy do tej ostatniej części rozpamiętywań swoich, pan Franciszek się oblizował, ślinkę łykał, i najczęściej na tem kończył, że albo co przejadł i przepił, albo dosiadłszy bułanej, jechał do Czarnolasu.

Naszą Kochanowską — jakkolwiek wysoko szacowała matkę pana Franciszka, a jego przyjmowała grzecznie — nie bardzo cieszyły owe zalecanki. Takiego mając męża i brata, znając wielu godnych ludzi, życzyłaby dla córki ukochanej coś lepszego. — «Syn ci to jedyny waszego dobrodzieja — mówiła czasami do męża — ale wybaczcie, to istny bałwan. Ewa nie będzie mogła żadnem prawem go szanować; dziewczyna w jednym palcu ma więcej rozumu niż on w całej głowie; jejby prędzej kord przystał, a jemu wrzeciono; cóż to będzie?» — Kochanowski starał się uspokajać żonę, kiedy mu te swoje obawy zwierzała: «Jeszczeć to nie dziś, ani jutro owo małżeństwo się złączy — mówił jej — jam pani Kasprowej najrychlej za rok naszą dziewkę obiecał, i to jeszcze nie z zupełną.

pewnością. Musi ona koniecznie synalka pierwej między ludzi wysłać; myślę napisać do brata Andrzeja, i z nim jako ułożyć, żeby mógł zabawić czas jakiś pod jego okiem na dworze kanclerza. To chłopczysko młode, rozpieszczone, nic nie zna, ale serce dobre i rozgarnienie jakie takie ma; jak się przekona, że «człowiek nie samym tylko chlebem żyje,» toć się może weźmie do czego. Nie lubię ja wprawdzie małżeństw między bratankami, i matka ich nie lubiła; kościół rzymski je zakazuje i musi mieć w tem jak we wszystkiem słuszną przyczynę — aleć, znałem i podobne stadła zgodne i szczęśliwe; sama pani Kasprowa była cioteczną swemu mężowi, a święta z kościami niewiasta, uprosiłaby zapewne dla jedynaka błogosławieństwo Boskie. Wreszcie, Hanno moja, kogo Pan tak hojnie jak nas dziewkami obdarzyć raczył, ten w zięciach jak w ulęgałkach przecierać nie może. Jednę, Ludwinę naszą, oddaliśmy świętobliwemu panieństwu, i Pan Bóg zdaje się przyjął mile tę ofiarę; dziewcze rośnie jak lilia wśród cierni; już ona mało co z nami, mocno w niebo się ciśnie; rozmyśla dzień i noc o Pańskim zakonie, nic znać nie chce jedno Jezusa, w niego się obłóczy, w nim chodzi; o Boga się pytać, w nim się kochać, jemu służyć, ta jest jej nauka; oczy ku ziemi ma spuszczone, serce już jakby w raju ... Młodszym dziewkom przeszkadzać nie będę do klasztornego żywota skoro w nich ujrzę stateczne powołanie; rodzice w takowym razie nie swej świeckiej pociesze ale woli Boga i zbawieniu dziatek swoich ulegać powinni — ale dotąd nie widzę w żadnej natchnienia ducha świętego; ojcowskie w nich się odzywa — lubią świątek. — Orszula moja jedna, ta aniołem leci w górę; ale tej pociechy, tej pieszczoty, nie dam ni Bogu, ni mężowi, ni komu. To moja — moja własna; moja muza, muza ojczysta, która gdzie szerzej i dalej niźli ja i bracia moi, imie Kochanowskich rozsławi i innego już nie przybierze ... Jakkolwiek bądź — dodał po krótkiem milczeniu i jakby czytając z oczów żony jakiś strach, że on tak Orszulkę nad wszystko wynosi i ceni — jakkolwiek bądź, czterech zięciów nam potrzeba, moja pani, a choć to mówią: dzieweczki bogobojnie i wstydliwie wychowane zawsze męża znajdą, przecież gdzie wiana niema, tam swatowie nie natrętni. Dobry przeto będzie i pan Franciszek dla naszej Ewy; on sam jeden tyle ma ziemi co my wszyscy; nie małą też zgotujemy sobie pociechę zachowując na całe życie córkę pierworodną pod bokiem. Kiedy stanę w oknie mego pokoju i wyjrzę, serce mi nieraz zakołata z radości. Nie dosyć, myślę sobie, że widzę dom bratanka Andrzeja w Grodku, grób rodzicielski w Zwoleniu, jeszcze i w Policzny, w jej modrzewim dworcu da Bóg, dziewkę naszą kiedyś ujrzę, i ona będzie mogła z komnaty swojej znaki nam dawać, wzywać nas w potrzebie ... Jest-ci w rodzicielskiem

sercu dla najstarszego dziecięcia jakieś właściwe, osobne przywiązanie, jakaś wdzięczna pamięć za tyle słodkich wzruszeń, które pierwszy raz, dzięki jemu, serce nasze zaznało. Wierz mi, Hanno, gorzko by mi było, gdyby naszą pierworodną jaki mąż choćby najzacniejszy wywiózł gdzie w głąb Litwy albo Podola.»

«A mnież — odpowiadała matka — mnie com ją urodziła i wykarmiła; mnie, której ona jest wyręczeniem, pociechą»... a głębokie uczucie nie dozwalało jej tłomaczyć inaczej jak łzą drżącą, jak z całej duszy wtóruje mężowi. I tak czas upływał i zaloty pana Franciszka uchodziły; lecz miały wnet okoliczności się zmienić; spisek srogi się knuł przeciw owemu dobrodusznemu kochankowi.

Pan rotmistrz — rzecz dziwna — chociaż było jasno widać iż ugodzony w samo serce czarnemi oczami Ewy, i choć mu na wrodzonej śmiałości i odwadze nie zbywało, przecież więcej daleko rozmawiał z pobożną Ludwiną, nierównie był poufalszy z nią i z młodszemi jej siostrami, niż z najstarszą. Ledwie śmiał wymówić jej imię dotknąć się jej sukni; nie ciągle nawet w gronie dziewcząt był widziany; często przysiadał się do Kochanowskiego i do przybranego ojca, mieszał się do ich poważnych rozpraw skoro pozwolili; z Kochanowską zamieniał słowa pełne uszanowania, wypytywał jej się o różne gospodarskie szczegóły, wychwalając bez przesady jej umiejętność, wspominał z uczuciem o własnej matce, która go odumarła dwunastoletnim chłopcem, pokazywał krzyżyk srebrny, co mu umierając na szyję włożyła, skarb jego najdroższy, tarczę od niebezpieczeństw wszelakich; mówił o siostrze swojej Zuzannie, jedynej już na tej ziemi krewnej; jakie tylko mógł, takie oddawał przysługi pani Czarnoleskiej; to obracał kołowrotek, kiedy jej noga już się zmęczyła, to trzymał przed nią uważnie szerokie moty cienkich nici, podnosił okrągły kłębek na wyścigi z usłużną Orszulką, ile razy z rąk jej się wymknął i potoczył daleko; to w przyrządzaniu lekarstw, w ustawianiu apteki jej pomagał, a kiedy do ryb piątkowych brakło jej szafranu i imbieru, mimo zimnej słoty na całą noc pojechał do Kazimirza, sam w małej łódce przez szeroką Wisłę się przewiózł, a przed śniadaniem stawił się z tem co potrzebowała.

Zataić tego niemożna, ża każdą podobną przysługę nie tylko z uprzejmych ust pani Kochanowskiej, ale i z pewnych czarnych oczów choć ukradkiem wyglądał nagrody; a jeźli one łaskawie na niego spojrzeć raczyły, zdawał się dumniejszy i szczęśliwszy od wszystkich mocarzów świata. Ale kiedy tego samego piątku po obiedzie trafiło się, że wesoła Ewa drzymiącego Franciszka dowcipną psotą obudziła, kiedy mu podziękowała mile za przywieziony w dniu tym kołacz z sercem, i

z poufałością siostry nazwała go po imieniu i wzięła za rękę, Filip — jak by chcąc sprawdzić przysłowie: «Miłość bez zazdrości, jak Polak bez wąsa» w czarną wpadł rozpacz; uchwycił za rusznicę, poszedł do lasu niby na łowy, a wróciwszy wieczorem bez niczego, przysiadł się do Ludwiny, i po raz pierwszy powiedział jej z rzetelną prawdą: iż zazdrości świętobliwego powołania jakie sobie obrała; i zaklął się, że byle przybrany ojciec pozwolił, on także szablę odpasze, kaptur włoży i mnichem zostanie,» do czego pobożna Ludwina całem sercem go namawiała mówiąc: iż dopiero wtenczas spokojnym i szczęśliwym będzie, gdyż na tym odmiennym świecie jedna tylko rzecz jest ważna i potrzebna; wielka to łaska Pana Boga, kiedy komu pozwoli, aby z młodu dla dobra większego i pewnego mniejsze a niepewne opuścił, za krótką uciechę kupił sobie wieczne wesele, za śmierć i ubóstwo, żywot i państwo bez końca.»

ROZDZIAŁ V.

Miłości! a kiedy i w niebie
I na ziemi nikt nie jest bezpieczne od ciebie.
A twym strzałom trudno się pawężą zasłonić,
Ani uciekać, albo rozumem się bronić:
Proszę cię, miałoliby kiedy przyjść do tego,
Niechaj nic nie miłuję, co jest szkaradnego.

— Dziewosłąb.

Tydzień od przyjazdu Podlodowskiego już się kończył, a zdawał się obudwóm przyjaciołom jak gdyby dzień jeden. Bitny rycerz nawet rad mimowolnie chwilowemu wypoczynkowi po długich trudach obozowych i po dalekiej podróży, może też przewidując pomyślny skutek dla najdroższych swoich zamiarów, przyznał sam, iż miło mu było zasypiać na wygodnem łóżku ręką siostry usłanem, z myślą, że nie obudzi go jutro ani trąba wojskowa, ani krzyk murzów tureckich: hała haj, hała haj![1] ale śpiew ptasząt witających już powrót wiosny, albo też odgłos dzwonu miotanego ręką Ludwiny, i zwołującego całą drużynę Czarnoleską na poranne modlitwy.

Przecież, sobotniego poranku, nie doczekał w łóżku ani śpiewu ani dzwonu; jeszcze głucho i szarawo było na świecie, on już wyszedł z izby przed ganek, a zupełnie ubrany, przy szabli, w czapce na lewem uchu przechadzał się szerokim krokiem na około domu, wyglądał niecierpliwie rychło się w nim kołatać zaczną, i ledwie zobaczył Baraczka odmykającego ciężkie okiennice i podpierającego je drągami, natychmiast zastukał w szybę sypialni Kochanowskich, i prosił żeby niebawem oboje do niego wyszli. — Kochanowska niespokojna co bratu się stało, porwała co tchu ranny kożuszek, włosy w nieładzie nakryła białą duchenką i wybiegła; pospieszył za nią mąż, i pytali oboje czego żądał, co mu brakuje, czy jakie złe wieści o koniach otrzymał? Pewno pan brat głodny —

[1] Ma to znaczyć: Boże, zmiłuj się!

odezwała się litościwie gospodyni, która obyczajem polskim zawsze sobie wystawiała, jakoby jej goście nie mieli co jeść — obiad był lichy, wieczerzy nie było; przekąście co przed śniadaniem; jest wyborny lin na zimno, oblejecie wódką piołunkową i nic wam nie zaszkodzi; dziś też wcale ciepło na dworze.» — «Ni jeść, ni pić nie będę — odpowiedział uroczyście Podlodowski, aż odmówię rzecz swoją.» — «Mów więc — rzekł Kochanowski — schrońmy się do naszego ciennika chróścianego, tam ciszej będzie, tam nam nikt nie przeszkodzi.» — I poszli — a ledwie zasiedli na ławkach z kory, Podkoniuszy tak zaczął: «Założyłem ja był sobie, najmilsi moi, tu jadąc przetrwać do ostatniego dnia pobytu mego u was, dopiero na samem odjezdnem do Grodna wytoczyć przed wami całą sprawę, zostawić ją wam do namysłu, a potem za parę tygodni wrócić po odpowiedź; ale jak widzę, serce nie sługa, rozkazać mu nie można. Przychodzę tedy do was jako swat; a że krasnej mowy i dworstwa u żołnierza niema, szablę zowie szablą, a czapkę czapką, powiem od razu, przychodzę prosić was o rękę waszej córki dla mojego Filipa.»

Okrzyknęli się oboje Kochanowscy; bo chociaż nie bez tego, aby oboje nie spostrzegli widocznej skłonności pana rotmistrza, nie mieli jeszcze czasu zastanowić się nad tem, co z niej wyniknąć mogło, ani też sposobności pomówić w tej mierze z sobą, ona więc szczególnie zatrwożyła się mocno tem nagłem oświadczeniem; dreszcz ją przeszedł od stóp do głowy; zadrżało w niej serce; Podlodowski zaś żądał usilnie, żeby mu nie przerywali, póki on wszystkich okoliczności nie wypowie szeroko, i jak się należy.

«Wiecie, moi najmilsi — mówił dalej — iż choć Pan Bóg dał mi kawał majątku i kęs urody, niemiałem i niemam ni żony ni własnych dzieci; kościół, Rzeczpospolita, szabla i koń te były od młodości jedyne moje kochanki, a tańce i zaloty z Tatarami nie dopuściły innych słodszych i weselszych. Kiedy na wyprawę iść przychodziło, rad nawet był człowiek, że nie wiesza się mu u szyi żona zapłakana, że się nie czepiają szat i broni dzieci drobne, nie wstrzymują ręki, nie miękczą serca; w boju bywało się tem śmielszym; nie ścigała myśl zostawienia po sobie wdowy i sierót; ale za powrotem zwłaszcza z pomyślnych wycieczek, nie raz mi już przyszło żałować zajeżdżając przed dom pusty, że mnie nie wita szczęśliwa ze zdrowia mego żona, że mi nie padają do nóg dziatki chlubne możnym ojcem, i nie proszą, bym im ukazał blizny, opowiedział przygody, udzielił zdobyczy. Z wiekiem rósł ów żal, osobliwie, kiedy bywało wspomniałem w co się lud wojenny mojej Studzienicy obróci, gdy przyjdzie po mnie jaki obcy dziedzic, a jeszcze nie rycerz! I kto wie czyby człowiek mimo tego, że już piąty krzyżyk znaczył, że się na bezżennego krzyżaka niegdyś

chciał wykierować, kto wie, czyby nie był przełamał ślubu? gdyby Bóg miłosierny nie raczył inaczej i na lepsze rzeczy obrócić.

Właśnie wróciłem był od was do mojej wioski lat temu pięć, a napatrzywszy się przez cały miesiąc szczęścia waszego, zgodnego pożycia, miłych dziateczek, dom wydał mi się pustszy niż kiedy; nie mogłem w nim się osiedzieć, i pojechałem na Wołyń, w chęci odwiedzenia krewnego — Kruszelnickiego — z którym też miałem i dawną sprawę do załatwienia jeszcze po ś. p. matce mojej. Niechcący trafiłem u niego na zjazd wielki, na huczne uczty i zabawy; było to wesele jego syna, pisarza grodzkiego Krzemienieckiego z panną Zuzanną Owadowską, piękną i uczciwych obyczajów dziewką. Rodzina jej, dawna szlachta i wcale zacna, zamieszkała była w Mazowszu, w wiosce dziedzicznej, lecz nieszczęśliwą koleją przyszło obojgu rodzicom majątek utracić, i własne województwo rzucić; dalej, pozbyli się i życia w młodym jeszcze wieku, i owa panienka wraz ze starszym bratem swoim, dopóki ją Bóg uczciwym mężem nie opatrzył, jedynie z przyjaźni ludzkiej miała przytułek. — Podobała mi się srodze owa Zuzanka, i myślałem sobie: «Ot! gdyby mi Pan Bóg był taką sierotę nadarzył, wnet bym się jak pan pisarz Krzemieniecki na opiekuna przedstawił.» Ale już klamka zapadła; panny Zuzanny, na sto koni nie dogoni — próżno było sobie głowę tem zaprzątać. Atoli z owej przychylności ku siostrze, zacząłem się przypatrywać bratu i myśleć sobie: «Jeźli w pięćdziesiątym roku za późno pojmować żonę, czas jeszcze przysposobić gotowego syna»: a powiedzcie sami, najmilsi moi, któryżby ojciec nie życzył mieć dziedzica takiego jak Filip? Dorodny, dziarski, śmiały, otwarty, roztropny, z pokorną wiarą ku Bogu i kościołowi jego, z gorącą miłością dla Rzeczypospolitej, z uszanowaniem dla starszych, z uczciwością dla płci białej. — Młodzież obecna popisowała się tam jak to zwyczaj; piesze, konne wyprawiała igrzyska; my starsi, na one sztuki i biegi patrzyli; on zawsze był najpierwszy; jego strzały chłopcu, na celu trzymającemu rękę, bez obrazy pomiędzy palce przechodziły, albo gasiły przylepioną na czele świecę; oszczep zawsze najdalej dorzucił i utkwił go gdzie zapowiedział, podkowy łamał jak łątki dziecinne; w biegu wszystkich prześcigał, w pasowaniu się wszystkich zmocował; szalonego konia tureckiego mu podali, na którym nikt jeszcze nie dosiedział; dwóch pachołków trzymało zwierza za uszy; on od razu wskoczył nań, jak chciał tak nim rządził, i póty na nim harcował, dopóki koń zmęczony nie stał się powolnym jak baranek. Kiedy raz ruszyliśmy wszyscy na wielkie polowanie na grubego zwierza, on w lesie ubił go najwięcej, a w izbie przed białogłowami najmniej się chwalił. I niemiałem go pokochać? i

niemiałem mówić w sobie: «Jemu, zacnemu młodzieńcowi, Pan Bóg odjął rodziców i mienie, ale tobie dał majątek a nie dał go z kim podzielić, komu blizkiemu po mieczu zostawić (bo wiecie, iż wszyscy żyjący Podlodowscy dalekiemi są nam krewnemi, gdzie indziej osiedli, i niemam z niemi zażyłości żadnej); powetujcież sobie te wasze wzajemne krzywdy.» Lecz taiłem w głębi duszy owe myśli; beczkę soli — jak mówią starzy — zjeść trzeba z człowiekiem, zanim się go pozna dobrze; strzeżonego Pan Bóg strzeże. — Wtem, przyszła do pana Kruszelnickiego wieść pewna o rychłej wojnie na Moskwę. Pisano, jako Miłościwy Pan już jest w Wilnie, żołnierza jak najwięcej zbiera; pisano, że uchylona dawna ustawa tyle zgubna, żeby wojsko Rzeczypospolitej granic własnych przejść nie mogło; a mądry król chce nie tylko Połock odebrać, ale wkroczyć w kraj nieprzyjacielski, i pomścić się nad dumnym Iwanem za najechanie Inflant, za zniewagę posłów swoich, i za inne krzywdy. W wieczór ta wieść przyszła; nie zmrużyłem powiek całej nocy; wiedziałem też o posłach tatarskich, którzy pokój zawarli z nami we Lwowie — bo król nasz od tego zaczął zwycięstwo, iż opatrzył, aby nie był zwyciężony — umyśliłem tedy ruszyć na moskiewską wojnę, a pierwej oczywiście jechać się przysposobić do domu. Ledwie dzień zaświtał, pożegnałem gospodarstwo i państwo młode i dosiadłem konia, zamiary moje względem pana Owadowskiego zostawując na dalsze czasy. We wrotach kiedy się oglądam, czy jadą za mną wszyscy moi ludzie? postrzegam tuż pana Filipa przy sobie, na owym szalonym Turczynku, co to go ujeździł. Z razu myślałem, że to dowód uczciwości gospodarza, który polecił powinowatemu odprowadzić mnie do pierwszego popasu; aż młodzieniec mi oświadcza skromnie ale stale, iż jeźli na to przystanę, on chce być przy mnie, chce uczyć się wojować i ojczyznie służyć. — «Nic niemam swego — powiedział — prócz zdrowia i życia, oboje oddać pragnę krajowi i Waszej Miłości.» — Rad byłem mu odpowiedzieć, ale jakoś słowa uwięzły w ustach; poznał jednak po mnie, że mi się spodobało co zrobił, i ruszyliśmy oba.

O tylem zabawił w domu, o ile było potrzeba do zebrania dwustu ludzi zbrojnych, tak z własnych jako z najętych, do wsadzenia ich uczciwie na koń — bom też niechciał występować ladajako — i udałem się z niemi pod dowództwo zacnego Zamojskiego. — Znacie wszystkie okoliczności tej pamiętnej wojny, nie tu pora opowiadania ich — ale tego wiedzieć nie możecie, i to wam winienem powiedzieć, jak się tam pięknie sprawował mój Filip. Powierzyłem mu naprzód dziesięciu, dalej dwudziestu, nareszcie stu ludzi; rządził niemi gdyby doświadczony; w ogniu, w wszelakich wycieczkach zawsze był przy mnie; mężnie swój żywot kładł i krwi nie żałował zysku-

jąc sobie własną zasługą tytuł rotmistrza, który mu nadałem, a który sam Zamojski już wtedy hetman potwierdził. — Kiedy skutkiem — podobno niefortunnych namów legata papiezkiego — zawarty został zawczesny pokój z Moskwą — gdyż należało, jak chciał mądry król, gnębić coraz dalej upokorzonego wroga — kiedy mówię nasz Pan Miłościwy, w nagrodę moich wysług podkoniuszym swoim mianować mnie raczył, moj pan rotmistrz zamiast jechać do siostry, pochwalić się przecie przed swemi, wolności, młodości użyć, odprowadził roty nasze do Studzienicy; jeździł ze mną po całej Litwie i Koronie, wszelkie trudy dzielił i osładzał. Nakoniec, w owej zbójeckiej napaści za powrotem z Carogrodu, kiedym już grób swój widział i tylkom Boga prosił, żeby nie pamiętał na grzechy moje, i na ową młodzieńczą zmowę naszą, on, którego właśnie srodze związano, zerwał pęta nadludzką siłą, przypadł do mnie i wybawił mnie od pewnej śmierci. Rozpierzchli się zbójcy, ja głowę mając rozpłataną straciłem przytomność; gdym przyszedł do siebie, obaczyłem go klęczącego nademną, dybiącego na powrót mój do życia. I dokonał tego co zaczął staraniem swojem; po trzech dniach spoczynku w miasteczku Biegarazar i opatrzeniu rany przez tureckiego lekarza — a mają wybornych — jużem prawie był zdrów, i puściliśmy się w dalszą podróż. W drodze myślałem sobie: «Przyszedł czas dokonania dawnego zamiaru.» Przyjechawszy tedy do Lwowa, złożyłem w katedrze na ołtarzu Matki Boskiej czaszkę szczerozłotą jako v o t u m za ocalenie mojej, a w skarbcu kościelnym tyle srebra, ile najcięższa polska głowa zaważyć może; z poradą zaś mądrego prawnika napisałem testament, w którym co mam i co mieć mogę, zapisałem Filipowi, jako memu przysposobionemu synowi i wybawcy. Oto jest ten testament.» I tu wyjął z zanadrza zwój pargaminowy; Kochanowscy oboje drgnęli na ten widok i zawołali: «Schowaj! schowaj!» — «Testament jeszcze nikogo nie umorzył» — powiedział wojak z uśmiechem i tak dalej rzecz swoję prowadził:

«Napisawszy ten testament, któremu brak jedynie podpisu trzech świadków, zaczęło mnie korcić w duszy, iżem takowym zapisem skrzywdził was, pani siostro, na którą część mojego spadku przypadała z prawa po mojej śmierci; kiedy nagle przyszło mi na myśl — a może też to od Boga było natchnienie — żeby nagradzając tę niesprawiedliwość ożenić mego dziedzica z waszą pierworodną. — Dzieckiem prawie była Ewulka, gdym ostatni raz był u was, ale już żwawa, roztropna, wdzięczna; droga mi wreszcie była od pieluch dla samego imienia swego. I powiedziałem to natychmiast memu Filipowi. Przypadła mu do smaku owa myśl; serce jego jak obóz opuszczony było do wzięcia; po mnie, i po siostrze konia Turczynka jedno kochał; mężczyznie zaś w czwartej siódemce żona właśnie się

godzi. Wyprawiłem tedy konie do Grodna, a sam tu postanowiłem zboczyć z Filipem. Gdyśmy dojeżdżali do Lublina, przyszła mi myśl może dziwaczna — alem nasłuchał się nie mało takowych przygód w bajkach tureckich które mi rozpowiadano gdym był chory — i powiedziałem Filipowi: «Wiesz ty co, przebierz się ty i odmień jako, i jedź do Czarnolasu w miejscu sługi, któregom miał do pana Jana wyprawić. Obaczysz sam w rzetelnej prawdzie i dzieweczkę, i rodziców i dom, pogadasz z czeladzią a od niej sąd bywa o pannach najlepszy. Jeżeli ci się wszystko spodoba, jeźli dzieweczka wpadnie ci w oko, będziemy rzecz forytować w przyzwoitym czasie i miejscu; jeźli nie — damy wszystkiemu pokój; cały ten mój zamiar wpadnie jak kamień w wodę; bo ja nie dla tegom ci zapisał co mam, żebym męża dla siostrzenicy kupił, ale dla tego żem cię ukochał jak syna.» — Młodemu żołnierzowi do fortelów wojennych przyzwyczajonemu musiała taka myśl trafić do smaku. — Ubrał się w suknie starego Iwanuszki mego nadwornego kozaka, który pozostał w Lublinie, ja mu przylepił ów plaster okropny, jak gdybym go na szpiega do nieprzyjacielskiego obozu wyprawiał; przybył tu i wzbudził waszą ciekawość jakeście o tem już natrącali ze śmiechem parę razy, a jam was zawsze zbywał. — Przybył — i od tego wieczora wasza dziewka zajechała mu w serce; już przy pacierzu ślub uczynił przed Matką Boską — którą zdawna za matkę sobie obrał — że jeźli ręki Ewy dostąpi, w miesiąc po weselu zostawi ją, a sam pieszo, bez szabli i służby pójdzie do Jasnogóry; od tej pory dziewczę codzień bardziej, gorzej Tatarzyna na niego najeżdża, już nie tylko do Jasnogóry, do Carogrodu przez Bałkan poszedłby piechotą, byle kiedyś żoną mu być mogła; nadarzyła się mu od razu jej uroda, jej mowa, jej obejście; nadarzyli mu się rodzice, dom, wszystko; ale jak to bywa podobno zawsze przy prawdziwej miłości, zdaje mu się że ona go nie lubi, że wy go nie chcecie; pan Franciszek solą mu w oku; wczora cały dzień chodził jak szalony, dziś, całej nocy nie spał i mnie spać nie dał; u nóg mi leżał prosząc żebym zakończył jego cierpienia; znieść niepewności nie może, i ja przy nim; wóz czy przewóz, czarne czy białe, chcemy wiedzieć wszystko od razu. Jeźli moje oświadczenie wam ku myśli, tedy powiedzcie; jeźli nie — tedy i tego nie tajcie, ani owijajcie w bawełnę; ale nie weźcie nam za złe, jeźli dziś natychmiast, pełni smutku odjedziemy. Ni on, ni ja żadnego wiana z waszą Ewą nie chcemy, jedno niej samej, jedno jak będzie można najprędzej. Gdyby się pobrali, niczego potrzebować nie będą oboje; dam im zaraz Studzienicę, pani młodej tysiąc złotych wypłacę na szpilki; sam posłużę jeszcze z parę lat królowi, a potem osiądę przy nich; będą cieszyli duszę moję i żywili starość, i da Bóg jeszcze ich syna gonić Tatarów nauczę.»

Umilkł zmęczony i rozrzewniony wojak, Kochanowski który w czasie całej jego mowy spoglądał często na żonę, i rozmawiał z nią oczami, tak po chwili przemówił: żona zaś dopowiadała prawie każdemu słowu jego, to ustami, to skłonieniem głowy, to westchnieniem lub uśmiechem:

«Oświadczenie twoje, kochany bracie, jakkolwiek nagłe i przejąć nas z razu musiało, nie może być przecież jedno miłe i pochlebiające dla nas rodziców, ile że podaje sposobność ścieśnienia jeszcze mocniej przyjaźni naszej; jednak, zataić ci tego nie możemy, odpowiedzi prędkiej mieć nie będziesz, bo jest przeszkodą. Nie wspominam ja wcale o tem, iż byłoby wielką boleścią dla serc naszych, pozbawić się tak rychło i niespodziewanie pierworodnej dziewki naszej, która matce i w gospodarstwie i w wychowie młodszych sióstr jest niepoślednią pomocą. — Matka i ojciec rodząc i chodując dziatki wiedzieć powinni, że nie dla siebie je rodzą i chodują – pomijam więc naszą acz ciężką ofiarę, ale jest ważniejsza okoliczność. Obiecaliśmy Ewę bratowej naszej pani Kasprowej dla jej syna jedynaka Franciszka; nie było wprawdzie zrękowin, uroczystego przyrzeczenia, ale zacna białogłowa widzi już w dziewce naszej przyszłą synowę, i na tych widokach całe szczęście swoje buduje. Nie możemy więc przyjąć oświadczenia twego, dopóki jej się nie zwierzemy i ona nas nie uwolni. Musimy także dowiedzieć się woli dzieweczki naszej; boć rodziców jest obowiązkiem obmyślić los dziatkom, im zaś wybór zostawić...»

«Ależ wy sami — przerwał Podlodowski mocno zmięszany słowami przyjaciela — wy nic przeciw memu chłopakowi nie macie! powiedzcie otwarcie, w tej chwili tego tylko chcę się dowiedzieć?» — «Nic — zawołali razem oboje — nic, prócz tego żeby nam uwiózł daleko naszą dziewkę; aleć to już takie rodzicielskie przeznaczenie.» — «Tom już prawie pewny wygranej — zawołał z radością podkoniuszy ściskając siostrę i przyjaciela — boć nie sposób żeby dziewczę przeciw nam było? z przeproszeniem waszem, gdzież panu Franciszkowi z moim Filipem się mierzyć! Zawołajcież jej i spytajcie się zaraz; skoro waszej i jej dobrej woli pewni będziemy, łacniej nam przyjdzie poczekać na panią Kasprową.» — A pomówiwszy jeszcze czas jakiś równie otwarcie i serdecznie, odszedł w głąb sadu, gdzie czekał na niego młodzieniec, rodzice zaś zawołali Ewy.

Właśnie co dokończyła była ubioru na ten dzień. Zimna kryniczna woda, którą oblała obficie twarz, szyję i ręce nadała jej świeżość kwiatu skropionego deszczem wiosennym, wesołość i zwinność ptaszka, co się rannej rosy napił. Z wymuskanej świeżo głowy rozjaśnionej równym i czystym przebor-

kiem, spadały po obu stronach dwie krucze kosy splecione, związane u końca czerwoną wstążeczką; kabat ciemny z gładkiemi rękawami kształt foremny odznaczał, sute białe krezy osłaniały szyję łabędzią, czarne półbótki nogę ściskały. Przybiegła pędem jak zwykle na każde zawołanie rodziców, a widząc ich pierwszy raz w tym dniu skłoniła im się do nóg, pozdrawiając ich i oddając Bogu.

Opowiedzieli jej rzecz całą. Za pierwszem ich ust otworzeniem, nim jeszcze wymówili zwyczajne w takim razie słowa: «Jużeś się córko, dosyć u nas chleba najadła, dosyć lnu naprzędła, czas ci iść na swoje,» ona już zgadła była, nie tylko o czem, ale o kim mowa; a wstyd panieński oblał jej jagody. Stała przed niemi, spuściła oczy, a kręcąc nielitościwie długie uploty słuchała w milczeniu. Jak przyszło do okoliczności rozdzielenia się rychłego i już na zawsze, przeniesienia się w głąb dalekiego Podola, trysnęły z jej spuszczonych oczów dwie duże łzy, ale się wstrzymały na długich czarnych rzęsach. — Skończywszy o panu rotmistrzu i nie bardzo nawet się rozwodząc nad korzyściami tego zamęźcia i nad przymiotami młodzieńca, Kochanowscy powiedzieli córce: iż jakkolwiek jej o tem jeszcze wyraźnie nie wspominali, teraz wiedzieć powinna: jako i pan Franciszek pragnie również i od dawniejszego czasu, dożywotniej jej przyjaźni; tu już szeroko jej wyłuszczyli wszystkie przyjemności, jakieby dla niej i dla nich spłynęły z tak blizkiego sąsiedztwa, wszelkie zalety pani Kasprowej, wreszcie życie spokojnie, dostatnie, pewne, jakiego żona dziedzica Policzny spodziewać się mogła; zapewnili ją nareszcie, iż jednakie błogosławieństwo rodzicielskie ją czeka, bądź tego, bądź owego wybierze; gdyż zasłużyła sobie na ich łaskę, karnością, posłuszeństwem, pracowitością i przywiązaniem.»

Na te ostatnie słowa Ewa rzuciła się do nóg ojcu i matce, łzy długo wstrzymywane spadły, złożyła dłonie i rzekła: «O mój mocny Boże! czemuż to nie pan Filip w Policzny!» a to powiedziawszy zapłakała na głos.

Domyślili się rodzice co znaczyła owa uboczna odpowiedź, przecież zażądali wyraźniejszej, ile że ciągle płakała. Uspokoiwszy się cokolwiek i kryjąc twarz rękami, to im powiedziała w przerywanej mowie: «Za pana Franciszka poszłać by, gdyby jej koniecznie rodzice kazali; i zna to dobrze, że Policzna blizko, a pani Kasprowa żywy anioł; chociaż zdaje jej się w tej chwili, że wolałaby daleko pójść z Ludwiną do klasztoru. Co do pana rotmistrza ... to gdyby tylko kto ją zapewnił, że się potrafi odtęsknić, możeby się i odważyła ... Bo ja i pana podkoniuszego bardzo kocham» dodała z pospiechem.

Po cóż o więcej dopytywać się miano? jasną było rzeczą,

że przemówiło i jej serce, że budzić się w niem zaczyna uśpione dotąd a najpotężniejsze uczucie, co jednę wolę we dwóch osobach czyni» co t:ką jest rękojmią szczęścia, kiedy prawe i przyzwoite małżeństwo uświęcić je może. — Oboje tedy Kochanowscy, już niechcąc nawet dowiedzieć się więcej, zaleciwszy córce: żeby nikomu ani Ludwinie ani Nastce nie mówiła i słowa o tem co jej powiedzieli, żeby z panem Filipem starała się być jak przez tamte dni, i żeby dobrze o tem pamiętała, iż on bez zezwolenia pani Kasprowej nie będzie jej mężem, kazali jej odejść; a sami rozmawiali jeszcze chwilę o tej całej przygodzie, jak to małżonkowie zgodni i kochający rozmawiać umieją, zwłaszcza kiedy o los dzieci idzie. —

Ale wnet przerwała się ich rozmowa; ujrzeli skradającego się Podlodowskiego i z synem. Młodzieniec padł im plackiem do nóg; oni mu powtórzyli to co i bratu; objawionej skłonności córki lekko dotknęli, od pani Kasprowej wszystko zawisłem czynili; przecież nie mogli przeszkodzić temu, że najsłodsza nadzieja ogarnęła serce uszczęśliwionego Filipa, i że podczas rannych modlitw ponowił ślub przed tygodniem uczyniony i obostrzył go w taki sposób: iż obiecał Najświętszej Pannie pójść do Jasnogóry dwa kroki naprzód, a jeden w tył, suszyć soboty przez całe życie, byle mu pomogła do rychłego otrzymania ręki, tej co kochał. —

ROZDZIAŁ VI.

«A straciliśmy nie tak brata jako właśniej ojca.»

Przy pogrzebie rzecz.

«Tak, bratku — mówił pół głosem i pół żartem Kochanowski do Filipa, siedząc z Podlodowskim i z żoną tego samego dnia pod wieczór w ganku -- wiem ja dobrze, jaką to jest niewymowną uciechą służyć tej, która nam serce podbiła? ale nie dałem ci dziś iść z naszemi dziewkami, pomagać im, a raczej przeszkadzać do siania owego lnu, bo wiem, żebyś nie wytrzymał i powiedział jakie niepotrzebne słówko Ewie, które by ludzie usłyszeli; a ja powtarzam po raz dziesiąty: niechcę aby ktokolwiek w domu o naszych zmówinach wiedział, dopókąd się nie zwierzę pani Kasprowej, i nie otrzymam jej przyzwolenia. Inaczej, wątpiłbym o błogosławieństwie Bożem nad wami — i nad sobą» — przydał z uczuciem.

«Święta prawda! — domówiła Kochanowska przestając prząść na chwilę z kądzieli, którą obyczajem podolskim wetknęła sobie za pas — co jednemu śmiech to drugiemu płacz na tym świecie. Wasza dzisiejsza radość, panowie, będzie jak piorun z nieba na tę zacną białogłowę; a jeszcze chore nieboże, od dwóch tygodni łóżkiem się bawi.»

«Ja mam wielkie obowiązki względem tej naszej bratowej; wiecie dobrze, przyjacielu — mówił dalej Kochanowski — myślałem ciągle: «Ewą to wszystko spłacę» ale kiedy rzeczy niespodziany obrót biorą, kiedy w córce najmniejszej ochoty do zastawienia się za ojca nie widzę, kiedy przyjdzie ją zmartwić, starajmyż się przynajmniej nie obrazić jej, nie uchybić. Gdybyśmy jedno dali do poznania tu komu, o tem co dziś rano między nami zaszło, jeszcze przed nocą — gdyż znacie rychłość odniesień służebnych — pani Kasprowa wiedziała by o wszystkiem; i więcej niż my wiemy, bo o zupełnej pewności, o dniu zaręczyn i wesela; i gotowaby w cięższą zapaść chorobę. Rzecz wiadoma, złe wieści mają skrzydła. A

pięknaż by to była zapłata dobrodziejstw nieboszczyka brata, onego drugiego ojca ... Bo trzeba ci wiedzieć, panie rotmistrzu — a jak się dowiesz dziwić się mi przestaniesz — lepszego brata jak był świętej pamięci pan Kasper nie znalazłbyś, choćbyś przetrząsł całą Litwę i Koronę; chcąc przytoczyć wszystkie prawa jakie on ma do wdzięczności mojej, żywot mój cały opowiedzieć by należało. Bo i o tem nie zawadzi żebyś wiedział kiedy w naszym domu szukasz żony — i tu lekki uśmiech złagodził rozrzewnienie jakie tamte słowa wzbudziły — Kochanowskim oddawna Bóg udziela błogosławieństw swoich w licznem potomstwie; i jeźliś pragnął kiedy w postanowieniu twojem majętności i skarbów, źleś trafił, panie rotmistrzu, u nas zawsze bywało więcej dziatek niż wiosek. Mój dziad wprawdzie — bo Kochanowscy oddawna rymują — tak był wymienił i opisał swoją chudobę:

Jasieniec — jak wieniec,
Na Baryczy — ryb nie zliczy;
Sycyna — da nam wina,
A Czarnolas — wyżywi nas

ale do tych czterech wiosek było pociechy dziewięcioro: trzy córki i sześciu synów: Piotr mój ojciec, Jan, Wit, Filip, Tomasz, i kochany nasz pan Dobiesław, co jeszcze dzięki Bogu doprzędza szanownej starości swojej w ojcowskiej Baryczy; i muszę cię zawieźć do niego jeźli już cię losy przeznaczyły na naszego zięcia. U moich zaś rodziców jak widzisz u nas sześć dziewcząt, tak tam byliśmy sześciu chłopców; było wprawdzie i dziewcząt cztery, ale pomarły w panieństwie i jedna tylko zamęźcia dostąpiła. Z owych sześciu chłopaków, Kasper był najstarszy, a ja zaraz po nim. Matka — która tam zapewne samem rodzeniem dziatek według słów Apostoła, zbawiona być musi — co jedno dziecię porodziła i wykarmiła, natychmiast Pan Bóg dawał drugie; rośliśmy koło rodziców jak latorostki koło sprawiedliwego w psalmie;

Ojciec siedział za swym stołem,
A dziateczki stały kołem;
By w bujnym sadzie zielone
Oliwki nowo sadzone.

Ale Kasper ledwie miał lat dziewiętnaście, a Piotr najmłodszy jeszcze wisiał u piersi macierzystych, kiedy po niedługiej chorobie umarł nasz zacny ojciec, nie mając więcej nad lat sześćdziesiąt siedm. Bym żył wiek cały nie zapomnę tej chwili i okropnej boleści ukochanej matki. Tyle dziatek, majętność szczupła a zawikłana, gdyż były różne zajścia nie ze stryjami, broń Boże — Kochanowscy z dawien dawna żyli zgodnie

między sobą — ale z ciotkami, a raczej z pociotam, i z ich dziećmi. Dąbrowscy, Mysłowscy, Sienińscy, w które to domy powychodziły trzy siostry mego ojca słuszne i niesłuszne rościli sobie prawa do majątku naszego. Spór był nierozstrzygnięty, a wszystko na karku niebogiej wdowy, która własnego żalu i kłopotów domowych miała wyżej głowy, i nad siły niewieście. Snadź, Bóg miłosierny natchnął duchem swoim naszego Kaspra i odział go męztwem. — W kilka dni po śmierci ojca rzucił się do nóg gorzko płaczącej matce, i powiedział. «Nie płaczcie, pani matko, Bóg da, będę ja waszym i rodzeństwa obrońcą; jedno zasilajcie mnie radą i modlitwą waszą.» Jak powiedział tak uczynił; stał się od razu dojrzałym i doświadczonym mężem; wszelakie trudności, prace i frasunki co pospolicie na wdowę i na sieroty przypadają, wziął na siebie; użył czujności, niespania, mozołu, lecz tak dobrze wszystko sprawował, iżeśmy za pilnością jego żadnego uszczerbku nie ponieśli; nie tylko nam chudobę w całości zachował, ale i przyjaźń powinowatych i sąsiadów; obeszło się bez sporów prawnych, bez przysiąg, których kochana matka gorzej śmierci się bała; i do dziś dnia z jego łaski żyjemy zgodnie z licznemi pokrewnemi naszemi. — Matka odtęskniwszy się nieco po mężu, mogła przy takim synu pędzić dalszy wiek spokojnie. Urodziwy, zacny, mając nie tylko laty ale roztropnością, wymową, pierwszeństwo nad nami wszystkiemi, nie chciał on nigdy rzucić ni domu, ni powiatu swego, rodzeństwo forytował między ludzi, sam siedząc w ukryciu. Mnie szczególniej, którego kochał najlepiej i w którym upatrywał jakieś osobliwe dary niebios, mnie zapragnął ujrzeć na świeczniku, i ku temu wraz z matką żadnych ofiar nie szczędził. Nie dosyć było dla Janka szkoły wiejskiej założonej od dziada i ojca w Policzny, nie dosyć na zacnym nauczycielu księdzu Macieju z Zalesia, mężu głęboko uczonym w wierze, w łacinie i w poezyi, wyprawili mnie na dwór wielkiego hetmana i muz opiekuna Tarnowskiego, gdzie się przyjaciela znalazło, świata trochę poznało...»

«I wojaczki — przerwał z uśmiechem Podlodowski — a bitwa pod Tarnopolem, a strzała Tatarzyna?»

«Zaprawdę — odrzekł żwawo Kochanowski — lubię wspominać sobie te dwie okoliczności. Kiedy słyszę o przykładach męztwa waszego i innej rycerskiej braci, miło mi przypomnieć sobie, że i moja krew płynęła w potrzebie za ojczyznę; ból w owym czasie tak srogi, dziś mi się wydaje jakby uciechą, ciężka strzała Tatarzyna milsza od niejednej złotej strzały miłości. — Przypatrz no się, panie rotmistrzu, jest ci jeszcze ślad oczywisty mojego męztwa, i dalipan, na poetę, to dosyć.» — Tak mówiąc wyciągnął krótką szyję, uchylił żupana, wyjął spinkę od koszuli i pokazał Filipowi znakomitą bliznę. —

«Nie zgadlibyście tego, bratku! a gdyby nie przygody nieszczęśliwe pana Jakóba i odjazd jego do Studzienicy, byłbym mu ciągle nieodstępnym i może tak dzielnym żołnierzem jak on. «Ale do Koryntu przyjść nie każdemu snadno» inaczej chciał on brat poczciwy, co sobie i matce w głowę włożył, że ja nie tylko muzę polską wsławię, ale będę słupem i światłem kościoła, i szerzącym się nowościom w wierze silną stawię zaporę. Trzymali mnie tedy lat parę na akademii krakowskiej, gdzie byli wtedy zawołani mistrzowie do których i cudzoziemcy jeździli. Lecz właśnie w owym czasie, nauka z Niemiec i Genewskie kazania zaczęły brać górę między Krakowskiemi studentami, głośno już powstawali na papieżników — jak nazywali synów prawego kościoła. Matka i brat zlękli się tedy bardzo by się we mnie nie zachwiała stara wiara; choć ja tam w życiu mojem siłam błądził, młodość i krew bujna nie raz mnie uwiodły, i nie mogę się pochwalić abym zawsze namiętności gasić w sobie umiał — alem zawdy się strzegł wywodów religijnych, i nigdym tyle nie tuszył o własnym rozumie, abym miał prawo dosiąść głębokich tajemnic Boskich; com raz obiecał na chrzcie Panu Bogu, czego mnie ksiądz Maciej nauczył, com w domu rodzicielskim widział i słyszał, tegom się trzymać postanowił i tego się trzymać pragnę, dopókąd duszy w ciele. Matka i brat nie ufali mi jeszcze tyle; a znając do mnie niemałą żądzę sławy, odznaczenia się między ludźmi, bali się, żeby mnie nie pobudziły do kacerstwa — jak wielu innych — owe podstępne pochwały; «Oto mi głowa — nie dla kształtu! oto człowiek nad ludzi! nie wierzy jak księża, nie za panią matką pacierz.» I wysłali mnie własnym kosztem do Włoch, wytrząsnąwszy dobrze pierwej wszystkie domowe wacki, mieszki, garnki i kryjówki, tak, że grosza nie zostało; rzecz też to była na owe czasy bardzo rzadka; jeździli już wprawdzie do cudzych krajów synowie pańscy, jeździli i ubożsi wyższe zdatności mający, ale kosztem zamożnych mecenasów, alb też królewskim. — Największemi ofiarami utrzymywali mnie przez lat siedm w Rzymie, w Padwie, w Paryżu. — Jeźlim między temi dalekimi narodami, może oświeceńszemi od nas, ale też nierównie więcej zepsutemi, nie zboczył zupełnie z toru cnoty, nikomu jedno Kasprowi i matce tom winien. Ich listy i upominki przez każdą sposobność przesyłane, były dla mnie jakby głosem Boga, który mnie prowadził, wstrzymywał; a w to pani matka bez pana brata nie byłaby poradziła, nie umiała pisać; podawała więc tylko słowa pełne mądrości Kasprowi, a on je nadobnie układał. Wreszcie, i tom jeszcze mu winien, że śmierć tej najlepszej i nieodżałowanej dotąd rodzicielki nie nabawiła mnie ciężkiej choroby. Spełniło się było to srogie nieszczęście, już on ją złożył w grobie ojcowskim, a mnie tylko napisał iż słabą się czuje i wezwał

mnie do przyjazdu. Czas też było wracać, ile że choć nie raz w twardym niedostatku, anim myślał o miłym do kraju powrocie. Gościłem wtedy w Paryżu, uwikłany w pętach szalonej miłości; jeden tylko przyjaciel, zacny Ossoliński ratował mnie od rozpaczy: Paryżanka piękna, wabna, uczona, zalotna ... prawdziwa miejska Greta, chociaż jej Lidya było na imie ...»

«Nie bardzo tam o tem, panie mężu — przerwała z przymuszonym nieco uśmiechem Kochanowska — nieboszczyk pan Kasper nic w tem nie miał, a panu rotmistrzowi mówić takie rzeczy, niema żadnej koniecznej potrzeby ...»

«Dawne to już czasy, pani żono — odpowiedział Kochanowski — dwadzieścia lat i kilka, a trudno tych win zataić; ośpiewałem dosyć ową czarodziejkę Lidyą w moich łacińskich elegiach znanych całemu światu. Ja niechcę uchodzić przed nikim, ani dziś ani potomności, za lepszego jak byłem, jak jestem ... I wreszcie, cóż ja temu tak bardzo winien, że lubo matka i brat nakłaniali mnie do stanu duchownego, jam ani kęs powołania nie miał...»

«I zawsze mnie licho ciągnęło do zakonu Ś. Adema, jak teraz mojego Filipa — wsunął wesoło Podlodowski — zbawiennyć to także zakon, bez niego ród ludzki by zaginął...»

«I całe moje nieszczęście — odrzekł żwawo zaczepiony — iżem od razu mojej Ewy nie napotkał. — Przecież — dodał po chwili poważniejszym już głosem — wróciwszy do kraju zdjęty srogim żalem, iżem już matki nie zastał, chciałem na gwałt księdzem zostać i na wsi się zamknąć; zrobiliśmy dział majątku, mnie się dostał Czarnolas, a raczej ustąpił mi go kochany brat, widząc jak tę wioskę wysoko cenię: wyrobiłem sobie probostwo Zwoleńskie i chciałem samotne życie spędzić niedaleko grobu rodziców, wśród ksiąg. Księdza Macieja z Zalesia dawnego nauczyciela uczyniłem moim wikarym, przywdziałem rewerendę; a żem nagle wszystkich święceń nie wziął i tom jeszcze winien kochanemu bratu. On ciągle rodzeństwem zajęty, a dumny i uradowany mojem powodzeniem za granicą, sławą jaką mi wiersze moje łacińskie zyskały, przyjaźnią Manucyusza, Karola Sygoniusza, a nadto poufałością z Myszkowskim, Ossolińskim, Radziwiłłem, Górnickim, Fogelwederem i innemi, których to wszystkich w obcych krajach szacunek sobie zjednałem, namówił mnie żebym się nie zagrzebywał na wsi, żebym jeszcze ostatecznie księżej sukni nie oblekał, i żebym się dał poznać u dworu. Już mnie tam zapraszał Filip Padniewski pod ten czas kanclerz koronny, biskup krakowski i wielki mój łaskawca. Pojechałem. Wtedy już pisma urzędowe zaczynano pisać po polsku, gdyż król nieboszczyk bardzo w języku ojczystym smakował, ale zawsze potrzebna

była koniecznie w komorze królewskiej niepospolita biegłość w łacinie. Mogłem jej nabyć siedmioletniem obcowaniem z uczonemi całego niemal świata; zalecił mnie przeto Padniewski królowi, i wnet otrzymałem urząd sekretarza Jego Król. Miłości, wraz z panem Łukaszem Górnickim. Wtedy dopiero przy boku i za łaską takiego pana, co i pieśń, i wino i miłostki lubił, użyło się świata; z Anakreonem w ręku, pisało się i robiło Fraszki...»

«I kochało się znowu» szepnął Podlodowski.

«I nie w jednej — nie stronił ja nigdy od biało-szyjek. A dalipan, niewiem czy kiedy na dworze polskim widzieć się dało tyle cudnych pań, i panien dworskich, co na dworze nieboszczki królowej Katarzyny, i czy był gdzie snadniejszy przystęp a lepsza pogoda do grzechu? Król August, już nie żył dobrze z tą świętą panią a trzecią już żoną swoją, nic nie miał wprawdzie do niej jedno, że bardzo otyła była, i dzieci nie rodziła; zamyślał już o odesłaniu jej do Wiednia i o rozwodzie. Nie jedni tedy rodzice, pamiętni wyniesienia Barbary Gastoldowej, pod różnemi pozorami przywozili córki, tam gdzie król bawił; mnie samemu wpadła strasznie w oko jedna z panien dworskich królowej, kasztelanka Sieradzka...»

«I znowu — mruknęła Kochanowska — na jakież ziółko stąpiliście dziś, mężu, co odgrzebujecie jakby z umysłu stare i zapomniane grzechy?»

«Nie znałem was, Hanno moja, ani rzetelnego szczęścia — odpowiedział — to jedyna, wielu szaleństw młodości wymówka; a w żalu jaki ważniejsze we mnie wzbudzają, w otwartości z jaką pomniejsze wyznaję, jedyna nadzieja, że je Bóg miłosierny wygładzi zupełnie ze swojej pamięci. — Ale bo dalipan, owa Hanno Koniecpolská urodziwa była i nauczona białogłowa; szyja śnieżna, włos złoty, jako gwiazdy oczy; syreną byś ją był nazwał kiedy śpiewała przy lutni; Palladą, kiedy w niewieściej pracy cuda wyrabiała igłą; podbiła sobie zupełnie biednego poetę. — Skoro szary szlachcic zacznie przestawać z bławatnemi pany, przyśniwa mu się łatwo, iż i on w złocie będzie chodził. Sławiłem ją rzymskiemi i słowiańskiemi pieśniami, wieszałem wieńce u jej drzwi, wszędziem za nią chodził, i ona mile na mnie patrzyła, nieszczędząc słów łaskawych. Jużem tedy sądził, że nie wzgardzi nizkim progiem moim, jużem jej śpiewał o starej lipie co jej wygląda z za boru, i o innych Czarnolasu pięknościach. Właśnie biskup Myszkowski następca Padniewskiego, u którego moja polska muza, twarz dziwnie wdzięczną znalazła, wyjednał mi był probostwo Poznańskie; pomyślałem sobie: «Zrezygnuję duchowne łaski, o świeckie prosić będę, i ożenię się.» — Aliści zalotna kasztelanka zwyczajnie dworki, odrzuciła ze śmiechem szczere ofiary moje; a kiedym jeszcze nad jej zdradą płakał, ona już oddała

piękną rękę Czyżowskiemu, kasztelanowi Bełzkiemu, z którego nie raz śmiała się przedemną, że brzydki, stary i głupi — ale pan i bogaty.

> Takim trzeba ustąpić — bo przeklęte dary
> Przeważą winną pamięć i stateczność wiary.

Ustąpiłem więc; a dostawszy takiego odkosza, w smutku i upokorzeniu mojem gdzież miałem szukać pociechy, jeźli nie u brata? On właśnie postanowiwszy braci wszystkich i siostrę, pojął był zacną pannę z sąsiedztwa, pokrewną naszą, i żył z nią szczęśliwie i użytecznie w swojej Policzny; nie zawierając bowiem uczynności swojej i miłosierdzia we własnym rodzie, był opiekunem wdów i sierót całego niemal województwa, pozyskał sobie powszechny szacunek i urząd pisarza ziemi Sandomierskiej. «Janie — powiedział mi, po kilku dniach przypatrywania mi się i badania pilnego a smętnego — bo prawdę rzekłszy, lata spędzone u dworu szarpnęły mi były niemało sił i zdrowia — Janie, krew Kochanowskich w tobie: życia spokojnego w uczciwej mierności ci trzeba. Jużeś kosztował wszystkiego i nic cię nie zaspokoiło; pierwsza młodość uciekła, a szczęściaś nie znalazł. Ani zbyt wesołe życie dworskie, ani świątobliwy żywot kapłański nie dla ciebie; korcić cię też także muszą i bogate dochody, które bez prawa pobierasz; pozbądź się ich, zostań przy swojem. Zaniechaj królewskich i pańskich podwojów, weź żonę równego stanu, oddaj się muzom i ziemiaństwu; osiądź w ojczystym Czarnolesie, a będziesz zdrów i szczęśliwy.» — Jakby mi kto bielmo zdjął z oczu, gdym te jego słowa usłyszał; zdało mi się jakbym się narodził na nowo, jakbym pierwszy raz prawdę zobaczył, jakby mi kto raj ziemski otworzył. — Na próżno król nieboszczyk chciał mnie koniecznie zatrzymać przy sobie, roczną płacę mi wyznaczył, postarał się o to by mnie opatem Sieciechowskim obrano; na próżno najpierwsi i najzacniejsi panowie ciągnęli mnie na świecznik; słowa brata większą miały wagę, pewniejsze wróżyły mi szczęście. — Za radą jego wystawiłem sobie ten oto dom obszerny i wygodny, i dałem mu za napis, modlitwę którą Bóg miłosierny spełniać raczy; potem zaś zacząłem myśleć o żonie. Brat mi przypomniał jako zawsze równie kochany przyjaciel ma siostrę w wieku zamęźcia; on mi ją zmówił, on był moim swatem, moim dziewosłębem; a skorom poznał ową prawdziwą bogdankę, skorom się z nią ożenił, przekonałem się: że jeźli do Lidyi wiodła mnie miłość młodzieńcza, miłość zmysłowa, jeźli do Hanny Koniecpolskiej nęciła mnie miłość dumna i próżna, obcą była sercu mojemu, trzecia a najlepsza: miłość cnotliwa; ta jedna wieczysta i szczęście dająca, ta mnie spoiła z żoną i coraz ściślej jednoczy. Ale

gdzież jest owa ozdoba moja, podpora domu, towarzysz najlepszy? znikła...»

I w samej rzeczy Kochanowska przewidując iż przyjdzie kolej na te pochwały odeszła przed chwilą; pozorów i przyczyn jako dobrej gospodyni braknąć nie mogło; ile, że się zbliżała godzina wieczerzy a od czasu przyjazdu brata, za każdem zastawieniem stołu nowy przysmak był podawany.

Kochanowski rad na ten raz nieobecności żony z większą swobodą i tkliwością o niej, i o szczęściu swojem domowem mówić zaczął. «Nigdy my z sobą — powiedział nakoniec — żadnych rozterków i niesnasków nie mieli; nigdy nikt nie słyszał abyśmy się na dzień jeden, gdzie tam — na godzinę z sobą pogniewali. Niewiem nawet czy jej uroda w czem się odmieniła; zawsze mi się taka cudna widzi jak w dzień ślubu; bo cnoty żony piękną ją czynią w oczach mężowych i wdzięczną w samej nawet starości... I widzisz, panie Filipie — dodał mocno wzruszony — ilem to ja winien bratu. — Ale czekajcie, nie dopowiedziałem końca. Skutkiem niedocieczonych Boskich wyroków, ów brat ukochany, młody jeszcze i tak na tej ziemi potrzebny zapadł na ciężką chorobę i już z niej nie powstał. Mnie, umierając zdał opiekę nad żoną i dziećmi, mnie powiedział: «Umieram spokojnie, zostawiam im ciebie.» — I małeż to są obowiązki moje względem tej zacnej niewiasty, tej świętej prawdziwie wdowy, która do dziś dnia, po siedmnastu leciech dochowuje wiary mężowi i ani z myśli, ani z ciała żałoby jeszcze nie zdjęła. Straciła wszystkie dzieci, jeden tylko Franciszek jej został; ani go też wypuściła z rąk; w trzecim ledwie roku odsadziła go do piersi, pieściła, dogadzała nad miarę, dawała jeść i pić co jedno chciał, a on też rosł i tył, gdyby w karmniku. Broń panie Boże, rózgi, kary, nauki, lub roboty jakiej; nic tylko same igraszki, zabawy, a psoty i próżniactwo. Gdy się mu na ósmy rok obracało i widziałem z żalem, iż mimo obietnic pani bratowej; żadna odmiana w jego wychowaniu nie zachodzi, pamiętam, powiozłem mu książkę piękną łacińską z abecadłem i z modlitwami, i powiedziałem, że przyjeżdżać będę go uczyć — albo też brać go będę do siebie. Nuże chłopiec w płacz i w krzyk, a biedna matka: «Dajcież pokój Franulkowi — będzie chorował,» co on też posłyszawszy, gdym go tylko do książki namówić chciał, wrzeszczał w niebo głosy: «Będę chorował, będę chorował:» i tak się gracko wywijał, iż do dwunastu lat nie znał ani litery. Martwiło mnie to niesłychanie, i ilem razy wspomniał na zacnego ojca, ledwiem nie płakał, myśląc sobie iż syn tak odmiennym torem idzie; gadałem matce co się zmieściło, chłopakam zawstydzał przykładem moich dziewcząt; wszystko to było jak gdyby groch na ścianę miotał. Nareszcie gdy już młodzieniaszek zaczął rok szesnasty i zawsze był nieuk,

a coraz gorszy żarłok, pótym klekotał biednej matce głowę, i gniewem Bożym ją straszyłem, póki nie oddała go przecie do Lublina do szkół, i nie przyrzekła mi, że go tam na całe dwa lata zostawi. Ale cóż? tym co szkołę trzymali, zaleciła, aby Franulko długo i miękko sypiał, wiele jadał, mało nad książką siedział, żeby rózga na jego ciele nigdy nie postała. Tak też uczynili; a ponieważ suto płaciła, suciej jeszcze wszystkiego dosyłała, jęli jej donosić jakoby panicz bardzo dobrze się sprawiał, prześlicznie się uczył; a matczysko rosło z radości. Tymczasem, ja, którym tym doniesieniom nie koniecznie wierzył, wybrałem się z umysłu do Lublina i zastałem iż po roku nic się nie nauczył krom psot od chłopiąt szkolnych, i że się nawet z grubego nie okrzesał; odwiozłem go więc do domu. — Ale ponieważ urósł, tęgo wyglądał, a zaraz pierwszy obiad nie jadł ale pożerał, matczysko na wszystko mówiło: «Nic, nic, zdrów mój Franulko!» i rada temu będąc że już ogląda jedynaka, mało na to dbając czy co umie czy nie, ani go chciała wypuścić od siebie. Teraz kiedy już młodzieniec pod wąsem, kiedy synowie drugiej naszej bratowej, pani Mikołajowej z Jasieńca, wychodzą na ludzi, biedna matka uznaje niedostatki syna — choć niewiem czy chce uznać przyczynę — tai je sama przed sobą, chciałaby ukryć przed światem; i pewna jest że skoro Franulek się ożeni, to się i odmieni. Pragnie tedy tego małżeństwa jak zbawienia, a w naszej Ewie widzi stworzoną dla niego żonę, która go przykładem swoim, namową, nauczy żyć, i być człowiekiem. Widzisz przeto, panie Filipie, jaką jest konieczną potrzebą uprzedzić ją zwolna o tem co między nami zaszło; przygotować ostrożnie i jakąś radę na pociechę upatrzyć.»

«Uznaję to wszystko — odpowiedział pan rotmistrz, który przez ten cały czas stojąc z uszanowaniem przed Kochanowskim słuchał go pilnie — uznaję; ale czyżby nie można upraszać pokornie — i to mówiąc skłonił się do ziemi i ścisnął palce u nóg przyszłemu teściowi — czyżby niemożna przyspieszyć tego rokowania? Gdybyś Wasza Miłość wiedział jakim wiekiem dla mnie każda godzina...»

«Jutro niedziela — odezwała się na to Kochanowska, która wróciwszy przed chwilą stała na progu we drzwiach i słuchała — pojedziemy jak zwyczajnie do Policzny na nabożeństwo; gdyby się dało, możnaby coś wspomnieć...»

«Zapewne — domówił Kochanowski — im prędzej tem lepiej; jabym chętnie dziś jeszcze zbył z siebie ten przykry ciężar. Jutro więc, dosiędę wcześniej mojego siwosza, i jeźli się uda sprawę wprowadzę; nadjedziesz, żono, i może dobijemy targu, chociaż Bóg widzi, ani sobie wystawiam jak się to obróci...»

Młodzieniec uradowany obietnicą, objął kolana obojga

gospodarstwa całując je na znak dziękczynienia; ale nagłe zerwał się jak gdyby wezwanie bojowe usłyszał i zawołał: «Idzie.» — Jakoż wracały córki gospodarskie z czeladniemi dziewczętami z roboty w polu, i wnet ukazały się u wrót, które już Filip na rozcierz otworzył; szły zwolna nucąc smutną piosnkę śpiewaną dotąd w Sandomierskiem przez dziewki wychodzące na pańszczyznę, a w której były i te słowa:

Nasz starosta dziś był zły
Żeśmy rano nie wyszły
Do tej roboty.

«Cóż wam się stało? — zapytał córek ojciec, kiedy przed gankiem stanęły, — zwykle wracacie w skokach i z weselszemi pieśniami; słychać was o kilka staj; Ludwina jedna, ta zawsze zostaje w tyle, i cicho pacierze mówi.» — «To Ewa nas tak wszystkie zasępiła — odpowiedziała Dorota z żalem — gdzie poważniejsza od Ludwiny! Nastka zaśpiewała jej jak na Podolu śpiewają:

Ondryni — ja lon sieju
Skaży z kim zbierać budu.

A ona się rozpłakała i utulić się nie mogła.» — Ewa już mocno rumiana spłonęła bardziej jeszcze na te słowa, i prawie z gniewem przytknęła rękę do ust wielomownej siostry. Pan podkoniuszy szepnął do przyjaciela: «Raczek, nie zły to znaczek» a Ludwina przyszła z nieśmiałością i ze smutkiem do matki, i powiedziała jej do ucha: «Boję się bardzo czy Ewa nie chora; cały czas nic nie mówiła, chwytała się często za głowę, oddech ma ciężki, oczy czerwone, ręce gorące. Możeby jej bzowego kwiatu dać na noc? jeźli jest co złego, prędzej by wysypało.»

«Nic jej nie będzie — odrzekła matka z uśmiechem. — Oto patrz, już mówi z panem bratem i śmieje się. Idźmy do wieczerzy — ryby się przestoją.»

ROZDZIAŁ VII.

Cnoty swych dziatek starsi nauczajcie,
To wychowanie synom waszym dajcie.
A niech nie będą nazbyt pieszczonemi
Niech nawykają spać na gołej ziemi.

Księga III. pieśń 3.

Dom w Policzny różnił się bardzo od domu Czarnoleskiego. Tu był ruch, życie, wesołość; tam cichość, milczenie, żałoba.

Pani Kasprowa Kochanowska straciwszy dozgonnego przyjaciela, przyjęła na siebie stan wdowi. Mówię stan, bo wtedy, kiedy większa pobożność była w sercach, większe oderwanie od rzeczy ziemskich, kiedy pismo święte znano gruntowniej, kiedy powołanie kobiety lepiej było zrozumiane i wyżej cenione jak dziś, wdowieństwo było stanem osobliwym, jak panieństwo, jak małżeństwo. Nie jedna białogłowa po śmierci męża sądziła, że jej się nie godzi, że jej nie przystoi być żoną drugiego mężczyzny; choćby też piękną i młodą była; ślubowała chować czystość, a straciwszy opiekuna i obrońcę, którego z rąk rodziców dostała, za jedynego opiekuna i obrońcę brała sobie Boga. Taka, modlitwą, postami, pracą ręczną, cierpliwością, ubóstwem dobrowolnem, jałmużną, dążyła do doskonałości; taka strzegła się blizkiego przestawania z mężczyznami, zabaw, tańców, śmiechów; takiej, ubiór nawet różny był od ubioru mężatek; smutny, prosty, poważny: taka nareszcie odchowawszy dziatki, im poruczała majętność swoją, a sama najczęściej zamykała się w klasztorze. — Takie wdowy «Chrystusowe» zwane, w wielkiem były u ludzi szacunku i miane prawie za święte; urzędnikom wszelakim zalecone było wyraźnie mieć je w szczególnej opiece, gdyż krzywda takowych wołała o pomstę do Boga, a dobro im uczynione ściągało błogosławieństwo. Zresztą, w owych czasach jeszcze nieco rycerstwem tchnących, wdowy taką powszechną obudzały względność, iż wziętość jaką Stefan Batory uzyskał u narodu prawie zaraz po wstąpieniu na tron, powodzenia jego później-

sze, przypisywane były przez wielu, temu, iż pierwszym jego czynem, jako król, była sprawiedliwość wymierzona wdowie.

Pani Kasprowa w rzędzie «wdów Chrystusowych» śmiało liczoną być mogła. Wszystko u niej barwę wdowią miało. Twarz bladą i wychudłą łagodny smutek powlekał: usta prawie ciągle odmawiały pacierze, ręce jeźli nie zajęte robotą złożone były nabożnie; wysoką i poważną postać, która wolnym krokiem suwała się tylko po ziemi, okrywała suknia długa i płonista z czarnej rasy, z kapturem z tyłu, czapka na głowie czarna z bramką białą związana pod brodą: a zamiast pasa, gruby sznur lniany, u którego wisiała koronka z granatów, z trupią głową z kości słoniowej. — Dwór cały dosyć piękny i obszerny oddała synowi i czeladzi, sama zachowując sobie nie wielką sypialną izbę, czarnym kirem wybitą. Łóżka wązkie i twarde, ławek i stołków parę, stół dębowy, kołowrotek, krzyż wielki z wizerunkiem Zbawiciela, przy łóżku kropielnica z święconą wodą, gromnica, i dwie książki nabożne na pułce, taki był sprzęt cały. Nawet obrazu męża w jego ślubnym stroju nie chciała, zawiesiła go u syna. «Mnie tego nie trzeba — mówiła — ja go mam żywego w pamięci.»

Przecież jakkolwiek oderwaną się zdawała od świata i od ludzi, i cała w Bogu, trzymała się jeszcze mocno ziemi, a syn był tym węzłem, który nie tylko ją wiązał, ale i wikłał. Dla wszystkich miłosierna, dla siebie surowa, dla syna była słabą do zbytku. Jednego tylko mając, całe szczęście ziemskie w nim założyła; nie widziała większej pomyślności nad zachowanie go, większej niedoli nad jego utratę. O! zapewne kiedy po śmierci ukochanego męża czwarte już dziecię złożyła w grobie, gdyby jej był kto zaręczył iż przynajmniej ten jedynak zdrowo się wychowa, przystała by chętnie na to żeby był nieukiem, kaleką, niewiem czem, byle żył. Te okoliczności, te uczucia stały się przyczyną rozpieszczonego wychowania pana Franciszka; i niewiem czyby wiele matek ośmieliło się rzucić pierwszy kamień na panią Kasprowę. — Od kilku lat spokojna o zdrowie i życie syna, zaczęła znowu truchleć o szczęście jego tu, i w wieczności; ale na tę obawę wynalazła dwie drogi ratunku: ożenienie go z Ewą, i poświęcenie się własne. Żona kochana i rozsądna miała zastąpić to wszystko czego mu nie dostawało, zrobić z niego człowieka; w miłosierdziu zaś Bożem pokładała nadzieję, iż on jej ofiarę przyjmie jako okup za syna, jak niegdyś przyjął ofiarę Chrystusową za okup rodzaju ludzkiego. Nikt też nawet ani wiedział ani zgadywał, ile ona męk zadawała sobie za jedynaka: bo kryła się z umartwieniami swemi, jak drugie z rozpustą się kryją. On spał w pierzu i spał długo, ona nocy bez snu na pacierzach trawiła, i ledwie parę godzin spoczynku na twardej desce pozwalała sobie; on nosił wygodne i kosztowne szaty, ona

włosienicę na gołe ciało oblekła; on jadł i pił co się zmieściło, ona tylko tyle pożywała, ile koniecznie do utrzymania jej wycieńczonego ciała było potrzeba; on często to z lenistwa, to dla zabawy opuszczał nakazane nabożeństwo, ona modliła się prawie nieustannie, co tydzień przystępowała do stołu Pańskiego, codzień w kościele obecną była ofierze ołtarza; a prócz tego jeszcze ślubowała Bogu, iż skoro synowi potrzebną nie będzie, natychmiast wstąpi do klasztoru, a to dobierając sobie zakon jak najostrzejszej reguły. — Tymczasem do tych wszystkich zbieranych tajemnie zasług, dorzucała jeszcze widoczną zasługę ciężkiej pracy; od świtu do nocy nie spoczęła ani jej myśl ani ręka; całe gospodarstwo domowe, cały zarząd dosyć znacznego majątku opierały się o nią; zbierała pieniądze dla syna, odsuwała od niego wszelki kłopot, niepomna, że tą zbyteczną dobrocią więcej mu szkodzi niżeli pomaga.

Jednak zaczynało już niekiedy przychodzić jej do myśli: czy to ona dobrze robi? a ta obawa, coraz więcej ją dręczyła. — I właśnie tej niedzieli, zakrywszy głowę i twarz kapturem, ażeby tem lepiej się odosobnić, i nawet choćby ludzie przyszli nie widzieć ich, siadła w swojej izdebce obok łóżka i dumała głęboko. — Chora przez parę tygodni, ledwie dziś rano zwlekła się pościeli, żeby wejrzeć w gospodarstwo, i zaradzić owym nieporządkom i nieładowi jakie wszędzie i zawsze wsunąć się gotowe, skoro braknie oka pańskiego; skoro wreszcie liczna czeladź, niewieście tylko rządy czuje nad sobą. Zmęczona dreptaniem, a więcej jeszcze nieochybnym w takim razie gniewem, nie mała nawet pociechy usłyszeć podziękowań jedynaka, albo jakiego troskliwego słówka o zdrowie swoje, z ust tego, któremu to zdrowie poświęcała.

Pan Franciszek nie był zły i matkę kochał bez wątpienia o ile tylko mógł kochać; ale wiek dziecinny rozpieszczony, życie dalsze nieczynne i prawie jedynie zmysłowe, tłumią w człowieku wszystko co duchowe, serdeczne i piękne; dusza kryje się pod grubą zasłoną, uczucie stygnie, myśl tępieje; kończy się na tem, że prawie samo zwierze zostaje a jeźli wydostanie się z tej głębi jaka czułość, zwraca się do najbliższego przedmiotu — do siebie — czyli jak dawniej mówiono — do sobka. Pan Franciszek nic na świecie nie widział prócz pana Franciszka; nigdy mu nie przyszło na myśl cudzą przyjemność nad własną przełożyć; a jeszcze też przyjemność matki, do której poświęcenia przyzwyczajony będąc od pieluch, ani go cenił, ani nawet widział. Kiedy ona tedy dziś rano, chciała spróbować czyby nie mogła zacząć wyręczać się nim w gospodarstwie, i posłała wezwać go aby do niej przyszedł, on jej kazał powiedzieć, że się wyleżeć musi, gdyż ma drogę przed sobą. Odpust był bowiem w Zawadzie, dobra wyżerka u państwa Mysłowskich, na którą był proszony; a gdy w parę godzin

potem przyszedł ubrany i do podróży gotowy, powiedział jej: «co wy tam pani matko odemnie chcecie, zdrowiście już Bogu dzięka, to sobie radźcie jakeście dotąd radzili; mnie trzeba jechać, bo się spóźnię na śniadanie.» — A nie pytając się ani tłomacząc więcej, ruszył do Zawady. —

«Wielki Boże! — mówiła w sobie z goryczą matka patrząc za nim kiedy za bramę z dwoma pachołkami wyjeżdżał — czyż ja się nie łudzę wmawiając gwałtem w siebie myśl, żem mu koniecznie potrzebna, że on by się obejść bezemnie nie mógł? czyż niegrzeszę narażając szczęśliwą, niewinną, nic nie znająca dziewkę, na dozgonną przyjaźń z człowiekiem, co o nikogo nie dba, o nic się nie pyta; któremu jadło, napój, zabawa za wszystko stają? Żonaż to prowadzić ma męża? nie zakazujeż tego surowo Apostoł święty? A wreszcie jakżeby on żonie dał się prowadzić, kiedy on słów matki nie waży; skoroby pierwsze chwile minęły, nie dbałby o nią jak i o mnie nie dba. Nie — jemu podobno lepszy będzie mistrz surowy niż żona; mistrz, któryby zaczął z nim jak z dzieckiem, uczył go, prowadził, zmusił do pracy, któryby to zrobił dla niego, com ja matka, niestety! powinna była zrobić ... A gdyby on żadną miarą nieznanemu sobie jarzmu uledz nie chciał, nie lepiejżeby jednego jeszcze spróbować sposobu i oddać mu cały majątek; niechby sam nim władnął, niechby musiał sam myśleć o sobie ... Pan brat zawsze mówi: że ja żyję za niego, i już mu nic nie zostawiam do roboty — może dobrze mówi ... A te wszystkie moje udręczenia — rzekła po chwili z podwojoną goryczą — te posty, pacierze, umartwienia, sąż one Panu Bogu przyjemne? Czyż nie grzeszę pychą za cudze poświęcając się grzechy? niemam że ja dosyć swoich własnych? i będęż miała dosyć czasu do pokutowania za nie? ... O! już podobno sam Pan znaki mi daje, że już przyszła godzina własnych przewinień się kajać, uchylić się od licznych pokus. Oto i dziś rozgniewałam się, strofowałam ostrzej niż było potrzeba, może nawet posądziłam niesłusznie; już byłoby się czego spowiadać, a nie dawniej jak onegdaj ksiądz był u mnie ... Żywot bogomyślny którego oddawna pragnę, do którego Bóg w miłosierdziu swojem wołać mnie raczy, potrzebuje zupełnego rozdziału ze światem i z zabawami jego; w klasztorze łatwym mi będzie; tam, miej tylko powolne i posłuszne starszym swoim serce i pokorną myśl ku nim, a już cnoty wszystkie masz; tu, ileż to trudniejszych usiłowań potrzeba, jakiegoż nieustannego bojowania! Już też i starość przysyła mi swoje pozwy; nie obeszłam i połowy gospodarstwa, nie wejrzałam we wszystko jak należało, a nogi drżą podemną, serce mocno kołacze, ręce się trzęsą. Nie byłożby to najlepiej naradzić się z panem bratem, oddać synowi cały majątek, jego za opiekuna mu wyznaczywszy, a samej wstąpić niebawem do klasztoru i modlić się? «Panie

Jezu Chryste ukrzyżowany dla zbawienia nas wszystkich — zawołała obracając zroszone oczy ku krzyżowi i wznosząc ręce — racz mnie oświecić co czynić mam. Ty na niebie mieszkając patrzysz litościwie na ludzkie troski; sierotom opuszczonym Tyś jest ojcem, Ty smętne opatrujesz wdowy, Tyś jest ich obrońcą — nie inny ...» A to powiedziawszy umilkła zalana łzami; wzięła potem koronkę wiszącą u pasa w długie i schudzone palce, a zatopiona w Bogu schyliwszy prawie do kolan twarz osłonioną kapturem, posuwała co kilka minut paciorek po paciorku, a wtedy słychać było te słowa z głębokiem westchnieniem wymawiane: «teraz i w godzinę śmierci naszej, Amen.»

Kiedy zacna wdowa tak rozpamiętywała i modliła się, nasz Kochanowski przybrawszy kontusz świąteczny, podgoliwszy starannie brodę i czuprynę, z karabelą ojcowską przy boku, z ugładzonym wąsem i w białej czapce z czarnym barankiem, już dojeżdżał do Policzny na swoim siwoszu; a mimo całej roztropności i znajomości świata zachodził w głowę z jakiej beczki on to zacznie, jakiemi słowy rzecz wypowie, czem panią bratową pocieszy? Dla duszy poczciwej i kochającej, niema zapewne większej przykrości, jak być posłańcem smutku do tych, których by się rado otoczyć szczęściem. «Możeć mi Bóg dopomódz raczy!» powiedział zsiadając pomału z konia i oddając go pachołkowi, który go przywiązał u słupa za średnie srebrne kółko; w owych wiekach bowiem, przed każdym porządniejszym szlacheckim dworem stał na środku podwórza słup z trzema kółkami do przywiązywania koni; dolne z żelaza dla kmiotka i mieszczana, wierzchnie z mosiądzu dla szarej szlachty, a średnie srebrne dla panów i urzędników; Kochanowski zaś był wojskim ziemi Sandomierskiej; urząd ojcowski, patryarchalny, o który on sam prosił, odmówiwszy jak wszyscy wiedzą krzesła w senacie; bo wojski musiał pilnować domu i obowiązkiem jego było mieć opiekę w czasie wojny nad żonami i dziećmi, tych co wyszli bić się za kraj. — Pan wojski tedy, nie mało zakłopotany, odmawiając «Zdrowaś Marya» do Ducha świętego o dobre natchnienie, wszedł nieśmiało do pani bratowej, która lubo jej przerwał pacierze, i we łzach ją zastał, przecież uprzejmiej go jeszcze przywitała niż zwykle.

Niemamy podobno potrzeby opowiadania szeroko, tego co każdy już się domyślił. W usposobieniu umysłu w jakim się znajdowała pani Kasprowa, wiadome rokowanie łatwo pójść mogło; i poszło z nadzwyczajnem zadziwieniem Kochanowskiego. Obok szczerych powinszowań na jakie się zdobyła ta prawdziwie chrześciańska i miłująca dusza, posłyszawszy o zdarzającym się losie dla Ewy, obok uwolnienia pana brata od wszelkich dawniejszych obietnic, i zupełnego rozgrzeszenia, od

wymówek jakie sobie rad czynił; nie obeszło się jednak bez obfitych łez z jej strony, i ciężkich wyrzutów jakie robiła samej sobie: że nie słuchała dawnych a dobrych rad jego, że nie chowała tak syna jak wszystkie rozsądne matki chowają, jak byłoby nastąpiło, gdyby jej kochany Kasper był żył. «Jedyną moją pociechą — powiedziała nakoniec — jest ta myśl, iż jak ja się oddalę, i już bez przeszkody tylko modlić się za niego będę, on się pomiarkuje, a zostawiony sam sobie będzie musiał się dźwigać. Wy wtedy, panie bracie zasilajcie go waszą radą, a jeźli da Bóg, stanie cokolwiek na nogach, może mu za jakie pięć, sześć lat waszej Doroty nie odmówicie.«

«Dalekie to jeszcze rzeczy — odpowiedział jej z wdzięcznym uśmiechem Kochanowski — i mnieby się zdawało niebezpieczna, zostawić tak pana Franciszka bez blizkiej podpory; gotówby paść i już się nie podnieść; ale tak uczyńmy: powiedzieć mu że Ewa go niechce, bo poznała godniejszego; będzie mu to przykro, i wam słuchać takich uwag bolesna jest — lecz nie uraziwszy nie uleczysz rany; wystawić mu przytem, że on póki takim będzie jak dziś, nigdy dobrej żony nie dostanie, chyba kupną, która nic nie warta; niech więc jedzie na jaki dwór pański, na przykład na dwór kanclerza, pod dozór brata Andrzeja, i tam niech się kształci. Wasza Miłość zaś kiedy chcesz tak koniecznie zamknąć się w klasztorze, wypuścić w dzierżawę Policzną; oto pani Mikołajowa ma trzech synów; najstarszy Krzysztof na królewskim dworze jak wiecie, najmłodszy przy niej, ale średni Adam, co właśnie do domu powrócił szuka zatrudnienia, a obrotny chłopak. Możeby tedy jeszcze tego lata stało się waszej pobożnej woli zadosyć. I nasza Ludwisia bardzo już do klasztoru wzdycha; w domu, ma jednak równie jak i wy, przeszkody do nabożeństwa. Szesnaście lat na Nawiedzenie N. Panny skończy, pragnęłaby w ten dzień rozpocząć nowicyat, a my też z żoną dosyć byśmy temu byli radzi, żeby na weselu siostry nie była. Czego znać nie ma, po co przed oczy jej stawiać? lubo dotychczas wszystkie przysmaki świata tego, nic ją nie wabią. Zaprawdę, równie jak w was pani bratowo, łaska Boga w tem dziewczęciu; bo ta jej świętość nie z ojca; z niegodnego rodzica święte dziecię się narodziło, wyszła róża z ciernia ... Ślubowaliśmy ją do tego klasztoru, gdzie moja Hanna się wychowała, są to siostry łaskawe (Sorores Benignae) szlacheckiego rodu i nauczone; trudnią się dziećmi, kalekami i choremi; tam i święte wdowy przyjmują. Nie dałyżby się tak rzeczy ułożyć, żeby i Wasza Miłość do tego zawinęła portu?...»

Odpowiedź wdowy przerwało przybycie naszej Kochanowskiej. Zostawiwszy starsze córki i gości w ganku szła sama do izby z wielką bojaźnią, niepewna nawet czy już przełamane

pierwsze lody? Radość jej równa była zdziwieniu, gdy się dowiedziała, że wszystko ułatwione; ucałowała ręce i nogi pani Kasprowej. Przecież, wśród tej radości, kiedy jeszcze schylona była u kolan świętej niewiasty, nagły jakiś smutek ją objął; błysnęła myśl i przeszyła jakby strzałą jej serce: że to już nie żartem i nie długo córka jej się wymknie, że ją na zawsze z oczu straci, że ten Filip, co dziś tak dorzecznym i porządnym zięciem się wydaje, i tak ogniście się kocha, może poźniej być złym i niewiernym mężem, a nieszczęśliwa Ewa nie będzie miała nikogo, żeby w łono jego wylać żal swój i męki. «Tuby zawsze mnie miała» pomyślała w sobie; i w ten moment — bo któż tajemnice serca macierzyńskiego odgadnie — może by już była wolała wydać ją za pana Franciszka. — Te wszystkie trwogi i żale uderzyły w jej serce, i gdyby się nie była wstydziła męża, pani bratowej i samej siebie, byłaby zapłakała gorzko.

Lecz nie było czasu na podobne myśli i na łzy. Pani Kasprowa wyjść musiała do gości czekających w ganku; a choć bolesną i upokorzającą było rzeczą witać tych, co pozbawili jej syna spodziewanego szczęścia, przecież w chrześciańskiej pokorze i w polskiej gościnności znalazła dosyć siły, żeby ich przyjąć mile, i zaprosić na śniadanie na prędce. — Do nabożeństwa była jeszcze dobra godzina. — Podlodowski i wychowanek jego, którzy z samej twarzy Kochanowskiego wyczytali pomyślny obrót sprawy, przesadzali się w okazywaniu względów dla gospodyni; a w chęci podobania jej się, zajadali smaczno i rozmawiali ochoczo. Sam też Kochanowski bywał zawsze dobrej myśli w Policzny; tyle rzeczy mu przypominała! Ukochana matka urodziła się w tym samym domu, i jej ta wieś była niegdyś dana w posagu; kościół murowany pod opieką ś. Stanisława i ś. Anny, założony był przez jej ojca Andrzeja Białaczewskiego, herbu Odrowąż, roku 1531 a dołożył się — bardzo znacznie jak na owe czasy — Piotr ojciec jego; bo czterma tysięcami złp. co na dzisiejszą monetę wynosi 36,000 złotych. Przy kościele obyczajem dowodzącym wielką troskliwość dziedziców, i teść i zięć założyli szkołę. «Dobrze ja tę szkołę pamiętam — wspomniał Kochanowski — a wychodząc z kościoła, muszę was do niej zaprowadzić, panie rotmistrzu; niemasz tam ławy, niemasz kąteczka, co by mi się nie dał we znaki; wójt brzezinowy miał gęstą robotę z moją skórą; wszędzie i na każdem miejscu mnie bito; to rozciągano na pieńku, to nie raz przyszło uczyć się geometryi nie koniecznie wygodnym sposobem, to jest grzbietem mierzyć ziemię. Bo wszyscy sześciu braci ile nas było u rodziców, wszyscyśmy w tej szkole pierwsze nauki brali, a ja byłem psotnik całą gębą. Czy deszcz, czy pogoda, szliśmy codzień pieszko, raniusieńko po śniadaniu; w zimie, w baranich kożuszkach,

w szłykach i w skórzniach; w lecie, w koszulach z szarego płótna krajką przepasani, w magierkach, najczęściej boso. Ależ mocny Boże! cóż to za wesoła droga bywała! Ani wiem gdzie zniknęły owe krzaki, owe kamyki, kwiaty, ptaki, motyle, co człowieka wtedy tak zajmowały i bałamuciły, że nieraz Kasper — zawsze najrozsądniejszy — spędzać nas musiał do gromady jak pies pasterski owce. — Naprzód, przyszedłszy do szkoły słuchało się mszy świętej, potem nauka, a o południu już siedzieliśmy w domu u obiadu; i dalipan, wracając nie wałęsało się tyle co idąc, bo o kilka staj od Czarnolasu już pachniały barszcz z rurą albo kapusta z grzybami; a po tych przechadzkach, jak się to spało na gołej ziemi! lepiej niż dziś w puchu. — Był w szkole Dominus stary, Kleofas się nazywał, czytać i pisać po łacinie i po polsku, i śpiewu kościelnego nas uczył; pamiętam go jak dzisiaj, siedział w szkolsku w czapce sukiennej na głowie, w ciżmach na nogach, w czarnej rewerendzie, bat u pasa, a przed nim leżały tablice kamienne, szyfer, i gąbka do ścierania. Ale wnet sprowadził ojciec rektora zacnego i mądrego kapłana, który historyi, logiki, poezyi, i innych nauk nam udzielał. Był to ów ksiądz Maciej z Zalesia, o którym wspominałem wam wczora...»

«A nie przyszło mi się też spytać o szanownego starca — przerwał Podlodowski — kiedym był u was ostatnim razem, odwiedzaliśmy go w Zwoleniu; jeszcze nam twoje dawne wiersze, Janie, dobywał a chwalił.»

«Jak to nie wiecie? umarł przed trzema laty» — odpowiedziała Kochanowska widząc, że mąż się rozrzewnił pamięcią dawnego nauczyciela.

«Umarł — powtórzył za nią ze smutkiem wdzięczny uczeń — i dotąd — niewiem jak to zeszło, nie zebrałem się na położenie mu nagrobka; a chcę żeby miał kamień obok rodziców moich. Nauczyciel pobożny i uczony ojcem duchownym zwać się może; on z grubej gliny naczynie piękne godne pańskiego stołu czyni. Księdzu Maciejowi dwa skarby życia mego winienem: niezachwianą wiarę i muzę moję. On wypiastował ducha mojego, oglądał go, pieścił, i poznał mnie gdzie pierwej, nim ja sam siebie znać umiałem...»

«On wszystkie dziewczęta nasze wodą chrztu ś. oblał — odezwała się Kochanowska — prócz najmłodszej Orszulki.»

«On mego Kaspra na drogę wieczności przygotował» westchnęła wdowa.

«On Ludwinę i mnie — dodała Ewa — katechizmu nauczył i pierwszy raz dał komunią świętą.»

«Panie! świeć nad jego duszą — szepnęła Ludwina składając pobożnie dłonie — a jakież to były święte z nim rozmowy!...»

«Bo to był ksiądz z owych zacnych i uczonych, na jakich

prawemu kościołowi nigdy w naszej Polsce nie brakło — mówił dalej Kochanowski — mało znany, gdyż jak ty Jakóbie, o godności żadne się nie ubiegał, a niedawno też mamy takiego króla co sam zasłużonych szuka. — Wyćwiczony w nauce wiary, nie samemi słowami ale i przykładem pokonywał kacerzy. Kiedy tu osiadł, zagnieździły się były w okolicy religijne nowości; zacząwszy jak wiecie od najpierwszych panów już bałamuciły i szarą szlachtę; pomieszkał czas jakiś, był wikarym w Zwoleniu, i już na całą parafią, został jeden tylko kacerz Łukasz Gupolski; i ten w niedługim czsie do starej wiary wrócił, kształcił się przy nim, i dziś jest u mnie bakałarzem i przepisywaczem, gorliwy katolik, jak tego potrzeba. — I mnie on, mogę to śmiało powiedzieć, utwierdził na zawsze w wierze. Za prawdę miałem ja i mieliśmy wszyscy bracia zaszczepioną pobożność w kolebce, wlaną z mlekiem. Wiele możny jest na dzieciach przykład groźnego ojca, przed którym wszystko w domu drży — a tak działo się u nas — a który przecież sam korzy się przed Bogiem, klęka przed jego obrazem i wzywa go na głos. Wiele także potrafią nauki matki, która bez ksiąg, bez pisma, ale przykładem, staraniem, kładzie w dzieci i jakby w żywą skrzynię pobożność i wiarę — a tak robiła nasza matka. Skoro jedno z nas cokolwiek rączyną władać umiało, rano i w wieczór znaczyła je krzyżem świętym, na pamiątkę tego, na którym Chrystus cierpiał; żadne smaku mięsa nie zaznało, dopóki za panią matką nie umiało powtórzyć wyraźnie całego pacierza. Ale — widziałem ja przecież wielu młodzieniaszków, również dobrze prowadzonych, którzy wszedłszy między ludzi zapominali tych bogobojnych nałogów — mnie zaś ani przebywanie tu i owdzie z różnowiercami, ani nawet blizka zażyłość z niektóremi, jako to: z naszym Modrzewskim, z Orzechowskim, i z tylą innemi nie zachwiała ani na chwilę, bom wszędzie i zawsze pamiętał na słowa księdza Macieja.

«Zaklinam cię Janie — powiedział on mi kiedym już w świat się puszczał — zaklinam na miłość ukochanego ucznia Chrystusa, któremu podobne imie nosisz, strzeż się przez całe życie sprzeczek i rozpraw z rzutkiego spojrzenia, onej silnej wymowy, co to do razu postrzega, zwycięża; twoja wiara jest serdeczna, wierzysz, bo kochasz. Zostaw Protaszewiczom, Solikowskim, powstającemu zakonowi Jezuitów, być młotem na odszczepieńców, ty bądź dla wszystkich przykładem. Niech każdy powie widząc pobożne a cnotliwe życie twoje: «Po co tu odmian i nowości, kiedy przy starej wierze prawym mężem być można.»

«I zawołanym poetą» — dodał pan podkoniuszy.

«Zapewne — odrzekł Kochanowski — jemu w części moje pieśni się należą, on sam biegły łacinnik, karmił mnie z młodu

wybornemi ich poezyami, on mnie do pisania wierszy z dzieciństwa zachęcał; on i w braciach moich dar rymowania rozwinął. Mikołaj co umarł dwa lata temu w Jasieńcu, układał bardzo piękne rotuły; namówiłem wdowę jego żeby je dała naszemu Andryszowiczowi do druku; drugi brat Andrzej co jest na dworze kanclerza Zamojskiego tłomaczy wcale gładko; wziął się do Eneidy Wirgilego i udaje mu się nie najgorzej. A co trzeci najmłodszy, Piotr, ten kto wie czy mnie nie przejdzie; rozmiłował on się we Włoszech, i tam od kilku lat gości; rozmiłował się więcej jeszcze w sławnym dzisiejszym włoskim poecie w Tassie; ale jakże on tego poetę żywcem w naszą polską mowę przelewa; przysłał mi nie dawno dwie pieśni swojej Jerozolimy; dalipan w niektórych miejscach wolę Polaka od Włocha...»

«Już to Kochanowscy powinni się pisać «z Parnasu» — odezwał się tu z przyzwoitą skromnością Filip — bo już nawet lutnia u nich wybiera się iść po kądzieli. Wasza Orszulka jak dorośnie czemże będzie?»

«Cudowne dziecię — podparł Podlodowski — nic podobnego jeszczem nie widział odkąd żyję na świecie; na wyjezdnem złożyła nam na prędce prześliczne wierszyki...»

«Nie przywieźliście jej dziś — powiedziała gospodyni z lekką wymówką do Kochanowskiej — ja tak ją kocham — żywy obraz mojej Jadwichny, którą Pan Bóg w jej wieku mi zabrał!...»

«Owszem — odpowiedziała matka — jedzie z Nastką i z młodszemi dziewczętami drugim wozem; jam ze starszemi i z miłą bracią osobno przybyła. Pewno zajechały prosto przed kościół, podobno i na nas już czas.»

«I wielki — rzekła pani Kasprowa — dzwonią po trzeci raz; alem nie śmiała zacnych gości wypraszać z domu.»

Poszli wszyscy do kościoła, gdzie pleban czekał ze mszą śpiewaną i z kazaniem na kollatorkę, a tymczasem lud wiejski z Policzny, z Czarnolasu i z okolicznych wiosek zebrany i snujący się jak mrowisko, zalegał cmentarz, rozmawiał o siejbie, o zbyt wczesnej wiośnie, o zimnie jakiego należało się lada dzień obawiać, o oziminie jak się pokazuje, o domowych kłopotach lub pociechach; dostało się i włodarzom, i starostom, i sołtysom a nawet i samym dziedzicom; trochę pochwał i błogosławieństw, więcej nagan i skarg — bo świat był zawsze taki sam. — Jak rozmowy ludu tak i powierzchowność jego mało się różniła wtedy, od tego czem dziś jest, zwłaszcza w równej odległości od miast stołecznych jak była Policzna i Czarnolas. — Nasz chłop w owym dziewiętnastym wieku tyle oświeconym i zbytkującym, tak mało zna i używa, iż trudno sobie wystawić, aby kiedy mógł znać i używać mniej. Owszem, kto wie, czy prócz chat kurnych wtedy niemal powszechnych, kto wie,

mówię, czy lud polski w szesnastym wieku, od granic tatarskich i moskiewskich odległy, nie wyglądał lepiej niż dzisiejszy, czy nie był zamożniejszy i mniej się różniący od panów swoich? To pewna, że był ochędożniejszy i zdrowszy. Winni byli kmiotkowie te dobrodziejstwa dwóm okolicznościom: naprzód, rzadszemu pijaństwu, gdyż gorzałka mało jeszcze gdzie była znana; szlachecka była rzecz wiele pić, chłopska wiele jeść; a panowie więcej dbający o sumienie niż o intratę, nie sadzali żydów po karczmach, nie rozpajali poddanych, i tylko piwo lekkie przedawać kazali w gospodach; powtóre, kąpielom parowym; te były w powszechnem używaniu; każda wioska miała swoję łaźnię; parą, potami, chłostaniem się rózgami, nacieraniem rozmaitem, pozbywali się wieśniacy nieczystości i chorób, i rzecz jest dowiedziona przez uczonych lekarzy, że dopiero z początkiem siedmnastego wieku, kiedy łaźnie zaczęły wychodzić z ogólnego zwyczaju, owa obrzydliwa choroba ludu naszego, kołtun, zjawiła się w Polsce; dawniej wcale nie była znaną.

Ale wracając się do Kochanowskich — skoro święta wdowa szanowana od wszystkich dla żałoby i pobożności swojej, okazała się i z gośćmi swemi — ucichła natychmiast gawiedź, zrobiono dla niej szerokie przejście, weszła do kościoła i klękła w małej ławce koło ołtarza naprzeciw grobu jaki mężowi tam wystawić kazała, a na którym Jan, następujący dał napis:

Kaspra Kochanowskiego tu schowano kości,
Człowieka cnoty wielkiej i wielkiej godności.
Płaczcie ubogie wdowy i smutne sieroty,
Umarł ten, co na pieczy wasze miał kłopoty.

Do końca mszy, póki pleban nie przyszedł jej podać patyny do pocałowania, klęczała jakby nieruchoma; życie i czucie widać było po łzach, które niekiedy toczyły się jak perły po wybladłych licach. — Goście jej zaś, zajęli dwie pierwsze ławki w samym kościele. —

Wśród powszechnego nabożeństwa i oznaków jego w obecnej szlachcie dobywaniem na pół, szabli w czasie czytania ewanielii, śpiewaniem łacińskich pieśni, w chłopstwie dotykaniem się prawą ręką obu policzek, biciem się w piersi, leżeniem na krzyż, nie psuła ogólnego obrazu pani Czarnoleska z córkami. Wszystkie skromno i chędogo ubrane klęczały rzędem; trzy starsze modliły się na książkach, Ewa i Dorota na polskich, jedna na godzinkach o Chrystusowym krzyżu, druga na psałterzu Dawida przekładu ojca, a Ludwina na łacińskiej, bo jako przeznaczona do duchownego stanu bieglejsza była w tym języku od sióstr i od matki. Trzy młodsze miały

w ręku różańce roboty przyszłej Chrystusowej oblubienicy, a spuszczając po ziarnku odmawiały także paciorek ze czcią i z uwagą. Może ich słowa nie były zupełnie wyraźnie; rozumiał je przecież Bóg, który na serce i na chęci patrzy. Alboż to i nas starszych zrozumiałe są zawsze modlitwy? Wiemyż my sami często o co gorąco prosimy? Lecz ten, który wie lepiej od nas czego potrzebujemy, umie to wybrać i dać co z naszem jest dobrem, jeżeli przedewszystkiem i szczerze chwały Jego i woli pragniemy.

ROZDZIAŁ VIII.

Żona uczciwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi;
Na niej rząd wszystek swego męża ona
Głowy korona.
Ona mężowym kłopotom zabiega
I jego wczasu na wszystkiem przestrzega;
Ona wywabić troskę umie z głowy
Słodkiemi słowy...
Księga I. pieśń I.

Po skończonem nabożeństwie w Policzny, dziedzice i goście Czarnolescy pożegnali zacną wdowę, i wzięli się do powrotu. — Dwaj przyjaciele bez wielu słów rozmówili się, i Podlodowski przekonał się z najwyższą radością, że jedyna przeszkoda do spełnienia jego życzeń już całkiem usunięta. Mniej jeszcze czasu potrzebowali kochankowie do zupełnego porozumienia się, lubo ich sprawa była zawilszą, gdyż nie zdawała się wcale rozpoczęta. Dotąd nie mówili nigdy z sobą sam na sam, rozmawiali głośno o obojętnych rzeczach, dalecy byli od wszelkich układów, a przecież to szło o nich, i rzecz była dosyć wielkiej wagi, godna roztrząsania. Lecz któż nie wie, że między dwoma sercami które Bóg rozpołowiwszy do czasu na to stworzył, żeby się kiedyś zeszły i jednem się stały; między prawdziwemi Bog-danami skoro im porozumieć się wolno, zachodzi odrazu jakaś zgodność, jakaś jakby odnowiona znajomość; któż nie wie, że dla zakochanych wzajemnie, jedno wejrzenie, pół słowa, więcej powie, niż długie innych wywody i rozmowy? — Już idąc do kościoła, pan rotmistrz zachęcony łaskawym żarcikiem Kochanowskiego — chociaż wszyscy szli razem i droga nie była daleka — znalazł porę i chwilę ofiarowania swojej dozgonnej przyjaźni pannie Ewie, wyrażenia srogiej bojaźni czy przyjętą będzie dobrowolnie? i niepojętego szczęścia, gdy poznał, że odrzucenia nie dozna. — Nie równie dłuższego czasu i daleko więcej słów potrzebowała niewinna Ludwina, której matka i siostra — skoro wszystkie trzy wsiadły znowu do powozu — udzieliły całej tajemnicy. Nie

chciało jej się to wcale pomieścić w głowie, żeby rzecz podobna mogła się zrobić tak nagle; i szczerze się rozpłakała nad myślą, że Ewa pojedzie tak daleko z obcym i młodym mężczyzną! «O! jakże mi ciebie żal, siostro — powiedziała — ileż niepewności, niebezpieczeństwa w twoim losie!» a w sobie samej dodała z pokorą: «Wielki Boże! skądże mnie ta łaska Twoja żeś mi odrazu port zbawienny ukazał i dał za oblubieńca Samego Siebie?»

Przyjechawszy do Czarnolasu zebrali się rodzice w pokoju Kochanowskiego, i tam przy czułych i radosnych uściśnieniach ułożyli, że skoro pan podkoniuszy z Grodna wrócić zdąży, odbędą się uroczyste zaręczyny Ewy i Filipa; potem jak najrychlej wesele, a w tydzień po weselu przenosiny do Studzienicy. Jutro zaś rano pojadą do Baryczy, do stryja Dobiesława po błogoławieństwo. — Pan Dobiesław był najstarszy z żyjących Kochanowskich; w owym czasie kiedy powaga wieku więcej jeszcze znaczyła niż dziś, kiedy «młodzi powstawali przed siwą głową» każdemu noszącemu to imię, zdawało się, że on jego ojcem; i nic ważnego nie zaszło w całej rodzinie bez jego wiadomości.

Po obiedzie wesoło i smaczno spożytym nazjeżdżało się wiele osób z sąsiedztwa. Tak zwykle bywało w Czarnolesie co niedziela i co święto, zwłaszcza kiedy już piękniejsza pora i dnie dłuższe nastawać zaczęły. Bo trzeba o tem wiedzieć, Kochanowscy byli wzorem i światłem całej okolicy, nic nie przesadziła poczciwa Nastka w opowiadaniu swojem w tej mierze. I może nie zawadzi przypatrzyć im się zblizka, przypatrzyć się jakby na własne oczy, choćbyśmy też dojrzeć mieli nie nowych i już napomknionych rzeczy.

Przodkowie Jana z dawnego rzymskiego rodu Korwinów, zagnieżdżeni w Polsce od niepamiętnych czasów — kiedy inne gałęzie tego szczepu wyrastały bujnie i wysoko — trzymali się mierności, i zasłynęli jedynie w swoim powiecie, a to najwięcej, bogobojnością, zamiłowaniem cnót domowych i pokoju, wstrętem do chciwości i dumy. Zawsze liczni a zgodni między sobą, od zajścia z sąsiadem, od sporów prawnych i przysiąg dalecy, do pojednań i przysług skłonni, słowem, k o c h a j ą c y i k o c h a n i, zasłużyli sobie na piękny K o c h a n o w s k i c h przydomek. Ale ponieważ ciche cnoty cichą tylko sławę za sobą niosą, lubo z początkiem szesnastego wieku kilkanaście wiosek było w ich imieniu, mało kto o nich wiedział, i dopiero Jan zajaśniał jak gwiazda między ludźmi. Matka, brat, nauczyciel, odgadli w dziecięciu przyszłego męża, nie szczędzili starań i kosztów, i stało się, jak wiemy, ich szlachetnej chęci zadosyć.

Lecz ów Jan używszy świata i ponęt jego, syt podróży, zabaw, powodzeń, urzędów, zaszczytów, syt nawet miłostek;

w najpiękniejszej dobie męzkiego wieku zapragnął pokoju, żony i wioski. W skromnem zaciszu oddał się związkom i uczuciom rodzinnym, rolnictwu, przyjaźni: ale dla tego książki i pióra nie zaległ, ani obywatelem być przestał; owszem, umiał spoić w jedno to kilkostronne mężczyzny powołanie i żywot jego nadobną harmonią zabrzmiał. Troskliwszego męża, ojca i pana, uprzejmiejszego sąsiada, lepszego gospodarza, miłośnika większego nauk, troskliwszego syna o dobro ojczyzny, a to nawet w rzeczach mniejszej wagi, z trudnością by kto znalazł. I kto wie czy Kochanowski nie jest winien owej nieprzeżytej, tak polskiej i popularnej sławy swojej, temu szczęśliwemu a rzadkiemu spojeniu, które przecież jest w mocy nie jednego u nas.

Nie każdy zapewne dostał jak on dar pisania pięknych wierszy, ale czyż każdy polski ziemianin nie mógłby jak on ozdobić wiejskiego zacisza swojego cnotą i nauką, a przytem pracować nad dobrem ojczyzny? — Kochanowskiego życie pełniejsze było, użyteczniejsze i więcej ożywione w skromnym Czarnolesie, niż niegdyś za granicą, u dworu. Dzień który dla niego wcześnie się zaczynał, a nie raz późno się kończył, gdyż często nie dospał dla pisania, wiedząc, że nie będą

.... jego czułe nocy bez zapłaty;
A co mu za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy!

dzień — mówię, który większa część naszej szlachty nie wie jak napełnić i zabić; jemu, ledwie wystarczał na wszystkie zatrudnienia; on sam prowadził całe gospodarstwo rolne i zewnętrzne, prostego włodarza tylko mając do pomocy; on był doradcą i przewodnikiem żony, córek największą mądrością. Łukasz Gupolski nauczył je wprawdzie czytać i pisać i po łacinie, ale nic więcej; z rzeczy wyższych to jedynie umiały co on im powiedział, te znały księgi, które albo sam napisał, albo z niemi czytał. Niekiedy w poobiednie godziny wołał starsze do swego pokoju. Tam mówił im o tem co na szerokim świecie się dzieje; a najwięcej o tem co w kraju; trzymali się bowiem wtenczas ojcowie owego patryarchalnego zwyczaju opowiadania dzieciom, co wiedzieli sami z dziejów ojczystych, aby i one, według słów króla Proroka «oznajmiły je synom swoim, i wiedział o nich rodzaj drugi. [1]» — Utrzymywał także obszerne związki listowne z dawnemi przyjaciołmi, szczególniej z Fogelwerderem, z bratankiem Krysztofem co był na dworze królewskim, z bratem Andrzejem który bawił przy Zamojskim, z bratem Piotrem przebywającym od lat kilku we Włoszech, a

[1] Ps. 78, 5. 6.

to i w celu zachowania się w ich pamięci, i widoku wiedzenia rychło i dokładnie, co w Rzeczypospolitej i w Europie ważniejszego zaszło? — Wówczas jeszcze nigdzie, nawet w tak dziś dziennikarskiej Francyi — nie było gazet i pism publicznych, któreby peryodycznie przyniosły pod oczy, do rąk ziemianina, wiadomości wszelkich zakątów ziemi, a kiedy teraz w tym oświeconym wieku, nie jeden majętny i bez zatrudnienia szlachcic żałuje kilkunastu złotych, żeby mieć podobny skarb na własność, kiedy się leni wyprawić posłańca o pół mili do pocztowej stacyi, Kochanowski przy szczupłem swojem mieniu i przy innych pracach, niemal co tydzień wysyłał umyślnego z własnoręcznemi listami, coraz w inną stronę Polski; mianowicie tam, gdzie król bawił dworem, gdzie sejm się zebrał, gdzie ważną sądzono sprawę. — Poczta bowiem — jeszcze za panowania Zygmunta Augusta od Włochów Montelupich utrzymywana — była prawie wyłącznie rządowa i królewska; za granicą znała tylko jeden gościniec: z Krakowa do Wenecyi; w kraju: z Krakowa do miejsca, gdzie król przebywał; po drodze zaś, nigdzie się nie zatrzymywała żeby prywatne przyjmować lub oddawać listy. — Nie dosyć na tem, Kochanowski inne jeszcze zadawał sobie prace, inne podejmował zachody i koszta, a w tem naśladował co widział u starego hetmana Tarnowskiego, i u tylu innych zacnych Polaków.

Naród który sam o sobie stanowił, który od sejmu, do sejmu, od elekcyi do elekcyi przyszłość sobie sam zakreślał, potrzebował mieć nieustannie pod ręką wierny obraz własnych dziejów. Drukowane księgi — aczkolwiek już więcej niż od wieku druk był wynaleziony i za owych czasów więcej było drukarń w Polsce niż dziś — drukowane księgi nie przychodziły mu bardzo w pomoc. Kroniki nasze z małym wyjątkiem ukazywały się opodal od chwili obecnej; Polak odważny w boju, zuchwały na obradach publicznych zawsze był drażliwym na głos historyi własnej — wszystkie śmielsze dzieła zostawały w rękopismach. Naród sejmami stojący nie miał publicznych dyaryuszów. Wszystko to więc zastąpić należało domową skrzętnością. I lubo niestety! teraz nie należymy do tych ludów co najwięcej skarbów historycznych liczą, śmiało powiedzieć można, iż w żadnym kraju większej nie okazywano troskliwości na zachowanie pamięci spraw narodowych. Każda znakomitsza rodzina staropolska — na wzór klasztorów — które mają księgi gdzie spisują z kolei dzieje swoje pod tytułem: H i s t o r i a d o m e s t i c a — utrzymywała także domowe akta historyczne, gdzie syn po ojcu zapisywał, to osobiste przygody, to sejmowe, sejmikowe i trybunalskie wypadki, to szykował w rosnących plikach mnogie polityczne korespondencye monarchów zagranicznych, królów polskich, senatorów, ministrów, relacye wypraw wojennych, poselstw ... Ko-

chanowskiego zbiory należały do najbogatszych; wszystkie cztery ściany jego pokoju zastawione były od góry do dołu pułkami w przegrody, z których każda oddzielny w sobie skarb kryła. Żadna ważniejsza publiczna przygoda ujść jego wiadomości nie mogła; prawie każdą ośpiewać musiał; niefortunną opłakał, pomyślnej dodał chluby; a kiedy tego trzeba było odzywał się głosem przestrogi i prawdy: rzucał nawet błogie ustronie swoje, żeby osobiście w zgiełku obradującej szlachty przemówić. Znaczniejsze prywatne zdarzenia również wiadomości jego nie uchodziły; znać mu o nich dawano z całej Polski; żal po stracie rodzica, towarzyszki, lub syna, zdawał się mniej dotkliwy sierocie, mężowi, ojcu — szczęście w zawieranem małżeństwie pewniejsze, chwała z odniesionego zwycięstwa na wojnie większa, kiedy śpiewak z Czarnolasu nastroił złotą lutnię swoją i rozgłosił po kraju, smutek, wesele, czy tryumf. — Zajmowało także mocno Kochanowskiego cokolwiek się w Rzeczypospolitej nauk, jakby w tem jego państwie działo. O wszystkich tych szczegółach dowiadywał się nie tylko z odbieranych listów, ale i z ust ówczesnych pisarzy, którzy mając go za pierwszego polskiego poetę, odwiedzali go chętnie, czasem w licznem zebraniu. — Na przyjmowaniu tych gości i sąsiadów, na innych obowiązkach nie mało czasu mu schodziło. W każdem położeniu są takie zabawy i trudności, iż człowiek swej wolności użyć nie może, i często ludzkim niewolnikiem być musi; on też dla tego opatrzył sobie ów kącik osobny, ów pokój prawdziwy, i rzadkim był dzień, żeby tam na czas jakiś się nie schronił, nie zamknął się sam w sobie, a w świat inny, w świat lepszy się przenosząc nie spędził kilku godzin w owej błogiej strefie, którą poeta łagodny i pobożny stwarzać koło siebie umie. Najczęściej nawet jego pracę modlitwą nazwać należało; od czasu jak mężem i ojcem został, zaprzestał zupełnie płochych i rubasznych Fraszek; psałterz tłomaczył, pobożne pieśni składał. Kiedy też żona przyszła zakołatać do drzwi, i zaprosić go do stołu, lub donieść o jakiej domowej okoliczności, o przyjeździe posłańca czy gościa, on szedł natychmiast bez przymusu i gniewu, i wnet jego giętki i układny umysł, który do wszystkiego i do każdego sposobić się umiał, brał czynny udział w potocznem życiu, jak gdyby nigdy nie bujał gdzieś wyżej.

Żonie atoli jednej wolno było przyjść pod drzwi owego pokoju; nawet Orszulka nie poważyła się dotąd pójść ani razu na górę; żona wiedząc ile drogie i miłe są mężowi owe samotne chwile, ułatwiała za niego póki mogła różne sprawy; i wiedział on dobrze iż jego Hanna nie zakołacze do niego chyba w rzetelnej potrzebie; nigdy dla widzimisię, ani dla własnej przyjemności.

Bo też Bóg łaskaw na Kochanowskiego wypełniając nad

nim błogosławieństwo macierzyńskie, opatrzył go owym prawdziwym a rzadkim skarbem: dobrą, wierną, roztropną, rządną towarzyszką.

Hanna Dorota Podlodowska tak nieszczęśliwie straciwszy matkę w pierwszem dzieciństwie swojem, wychowana była jak wiemy w klasztorze; i gdyby nie traf, który Kasprowi Kochanowskiemu przypomniał jej imię, wtedy kiedy doradzał bratu ożenienie się, byłaby najpewniej została zakonnicą. Trwożył ją bowiem ten świat gdzie nie miała rodziców, z którego pamiętała tylko zamięszanie, tułactwo, żałobę; i sam brat, jedyny jej opiekun i blizki krewny — jakkolwiek go kochała — rycerz zawsze zbrojny i do boju gotowy wzbudzał w niej pewną obawę. Nie miała przecież powołania do duchownego stanu; stworzoną była na żonę i na matkę. Żywa i wesoła, owego świata który ją trwożył strasznie była ciekawa i myślała o nim nieustannie; nie raz klęcząc przed obrazem Matki Najświętszej, zapominała naznaczonych pacierzy dla wpatrywania się z lubością w Boskie Dzieciątko, i coś w niej mówiło: «I jabym dzieciątko piastować rada.» — Kiedy więc właśnie w porze gdy lat ośmnaście skończyła, brat do kraty klasztornej ją wywołał i spytał jej się czyby nie miała wstrętu do małżeństwa? zarumieniła się i rozśmiała w miejscu odpowiedzi; a gdy jej oświadczył jaki mąż jej się trafia, ona bez wahania się przystała na oddanie mu ręki. Gdy zobaczyła Kochanowskiego, nie pożałowała prędkiego namysłu. Miał on wprawdzie lat prawie drugie tyle co ona, nie był wcale tak piękny jak Podlodowski, a życie może zbyt wesołe przerzedziło włosy przed wiekiem, ale był przyjemny, a co wiele zawsze znaczyło w niewieścich oczach, był sławny, okrzesany, dowcipny, rozmowny. Obyczajem owych czasów, w tydzień po poznaniu swojego bogdana, już była jego żoną; a na drugi tydzień panią w Czarnolesie. — Złączona z mężem tylu węzłami, nowe, inne zupełnie życie rozpocząwszy, pokochała dozgonnego przyjaciela całem sercem, wszystką myślą swoją. Przez niego prowadzona, oświecana, w świecie zupełnie jej obcym, uważała go za pana i mistrza, za prawdziwego «wodza młodości swojej.» Przyjrzawszy się z blizka cnotom jego, wziętości, widząc jak cząstka tego ludzkiego szacunku i na nią spływa, pojąć się często nie mogła: za jakie zasługi Bóg miłosierny takiem szczęściem obdarzyć ją raczył. Łzy pokory roniąc modliła się gorąco, żeby jej dopomógł do stania się godną tej łaski; i temu staraniu poświęciła życie, przyjmując cierpliwie — że nie powiem radośnie — wszelkie przykrości nieodłączne od powołania niewiasty.

Bo wtenczas kobiety mniej uczone, mniej ogładzone i wykwintne, może mniej powabne i zajmujące od dzisiejszych, więcej z najważniejszą umiejętnością—z nauką życia i szczęścia

— obeznane były; i sprawdzało się na nich owo dawne przysłowie: «Nie kto co siła umie, ale kto co potrzeba, mądry.» Rzetelnie pobożnym i rozsądnym, nie przyszło nigdy do głowy, żeby kto mógł być na tej ziemi zupełnie szczęśliwym. Podległość, bóle, troski, trudy, prace, na które dziś weszło w zwyczaj gorzko i ostro narzekać, w ich oczach prostowidzących należały do powołania kobiety, żony, matki, gospodyni, jak cień należy do światła, starość do wieku; zniesienie ich mężne, osładzanie cierpliwością i swobodą umysłu rachowały do koniecznych obowiązków tego stanu. — Kochanowska byłaby posądziła o niewczesne żarty, tego, coby się poważył utyskiwać nad nią lub dziwić się, że ona męża słuchać musi, że do spraw rządowych nie jest wzywana ani przypuszczana, że «nie jest posełkiną na sejm, wojsku nie hetmani»[1], że w zamian dzieci rodzi, a zatem cierpi i choruje; albo ktoby ją żałował, że karmiąc sama, nocy nie dosypia, że trudniąc się córkami, gospodarstwem, rano wstawać musi, pracować, doglądać czeladzi, nie raz zmartwić się lub rozgniewać, że wreszcie prostą będąc szlachcianką, nie używa tego, czego używają żony panów, nie ma takiego zamku ani dworu jak pani Firlejowa w Janowcu, albo pani kanclerzyna Zamojska w Knyszynie. —

Tak myśląc była sobie swobodną, wesołą, szczęśliwą, nie żeby w jej losie żadnych przykrości nie było, ale że je znosić umiała. — Zapewne Kochanowski w utworze, w układzie pism swoich, nie radził jej się, ani z nią rozbierał sposobów poprawy Rzeczypospolitej, ani też rozprawiał o wysokich naukach, o teologii, astrologii, filozofii; nie: tego nie było, i podobno — obeszło się; mężczyźnie uczonemu, pracującemu umysłem miłą jest zapewne żona, która go rozumie; ale milszą jeszcze i potrzebniejszą ta, przy której wypocząć może; ta, która wszystkie trudy potocznego, poziomego życia bierze na siebie, żeby on swobodniej i bezpieczniej mógł się wznosić gdzieś wyżej.

Nie było jednak bez tego, żeby Kochanowska niewiedziała o tem co mąż pisze, żeby jej nie przeczytał jakiej pieśni nowo ułożonej; psalmy zwłaszcza które w wyższej myśli i z taką pracą przekładał, powtarzał przed nią i przed córkami skoro który wykończył, i były w ustach córek i całego domu; co więcej, sam przyznawał, że zyskuje przy niej, że ona najlepiej w to radzi iż

sajdakiem uzbrojone dziecie
Z macierzystych gałązek jemu wieniec plecie;

nie raz bowiem, z jej opowiadania, z pieśni nabożnych i świe-

[1] Łukasz Górnicki w Dworzaninie.

okich, które przy robocie śpiewała, uchwycił wyraz, obrot i tok słów, myśl nawet, bogacił tą zdobyczą wiersze swoje; a potem świat się dziwił, zkąd czerpie nowych ozdób, zkąd dobiera nadobnych i trafnych wyrażeń? i jakim cudem, pod jego piórem poezya polska tak długo gruba i nieokrzesana, godna się staje obok greckiej i łacińskiej stanąć?

Gdzie rodzice podobni są do obojga Kochanowskich tam już prawie potrzeby niema pytać się o dzieci, choćby też ich i najwięcej było. «Jakie drzewo, takie owoce.» Bez wielkiego mozołu, jedynie ciągłym dozorem, dobrym przykładem, wpojeniem od pieluch posłuszeństwa i zamiłowania pracy, dobra matka prowadziła gromadkę swoją, jak biegły i troskliwy pasterz trzodę swoją prowadzi. Bojaźń Boska i bojaźń ojca — owego obrazu Boga na ziemi — całą były jej sztuką. Te proste słowa: «Pan Bóg na nas patrzy.» «Ojciec się dowie» były prawie zawsze dostatecznym hamulcem od złego dla starszych; a z małemi, które jeszcze prawd moralnych nie rozumieją, a są najczęściej harde, uparte, kłamliwe, obchodzono się też wtedy powszechnie bez dzisiejszych wytworności:

Róźczką dziateczki Duch święty bić radzi,
Róźczka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi i t. d.

Tej piosnki — choć podobno nieco później objętej rymem — wszystkie matki się trzymały w najwyższych i najniższych stanach; a to równie bez złości, gniewu i uniesienia, jak bez spazmów i płaczów serdecznych. W dzieciach, ani póki dziećmi były, ani gdy wyrosły, nie powstawał z tej przyczyny żaden żal do rodziców. Plagi należały się tak młodym, jak rany i cięcia mężczyznom, boleści rodzenia białym głowom; uważane za rzecz konieczną i zbawienną nie martwiły, ani obruszały nikogo. Wszak Kazimierz Jagielończyk mawiał: «żadna muzyka nie jest milsza uszom moim jak kiedy słyszę chłostanie synów.» Nie mówił tego z żadnej skłonności do okrucieństwa, bo był to król dobry jak cały ród Jagiełłów, ale mówił tak, gdyż go cieszyło, że mistrze wybrani do prowadzenia królewiczów, nie pieszczą ich ani im folgują, i wykształcą ich, nie tylko na książąt, ale na ludzi. Bo rzecz uwagi godna, że w owych czasach plagi nie poniżały, nie bydlęciły — że tak wyrazić się poważę — owszem zdaje się dodawały hartu młodej duszy i przyzwoitej śmiałości. Niewiem jak się to działo — aleć każdy przyznać musi, że z pod tego bicia nie wychodzili podli i ślepo posłuszni niewolnicy.

Żadne dzieci najwięcej cackane, głaskane, najzupełniejszą wolność mające, podług najmędrszych i najnowszych ksiąg prowadzone, nie mogą mieć rzetelniejszej czci i miłości dla rodziców, od tej, jaką miały dzieweczki Czarnoleskie; i żadne

choćby na łonie zbytku, wśród hucznych i wyszukanych zabaw, w jedwabiu i w złocie chowane, nie mogły być od nich weselsze, swobodniejsze, zdrowsze, i szczęśliwsze. Była w prostem i surowem wychwaniu dawniejszem, korzyść wielka dla samychże dzieci; wszystko dla nich było wyborne, wszystko je bawiło; wcześniej i lepiej, poznawały i pamiętały co złe a co dobre, co im wolno, czego nie wolno; ztąd, postępowały raźniejszym i pewniejszym krokiem. — Najmniejsze dziecko, jeźli tęgie plagi za jaką winę weźmie, nie dopuści je się drugi raz, bo pamięta karę; po lekkiem choć by też częstem łajaniu, albo kiedy dziś za jednę rzecz jest napominane, a jutro mu ją przepuszczą, wraca się do niej, gdyż się zapomina albo nie dba; i wiecznie jest strofowane. Również, przy dzisiejszej chęci niektórych matek, żeby ich dzieci były doskonałe, i przy ważności jaką im nadają w wielu domach, otacza zbytnia troskliwość, która je nudzi, psuje, i do rozwinięcia ich natury przeszkadza. — W Czarnolesie nie było żadnej przesady, wszystko szło z prosta. Dziecię każde poczytywano za błogosławieństwo, ale żadna z dziewcząt nie wystawiała sobie, że jest jakąś ważną osobą; a wiedząc iż rodzicom winna życie i wychowanie, raczej uważała siebie jako stworzoną dla posługi i pociechy rodziców, niźli rodziców stworzonych dla siebie. Każda ze starszych wiedziała też dobrze, iż nadejdzie wnet czas, kiedy ich porzuci; kiedy jak gałązka wierzbiny od pnia odłączona, sama w drzewo kształcić się będzie musiała; spieszyła się tedy z okazaniem wdzięcznej miłości matce i ojcu, pragnąc za tyle łask odebranych oddać choć trochę.

Z tem przekonaniem i w tych uczuciach wzrosła i rozwinęła się Ewa; Ludwina znająca od kolebki przeznaczenie swoje i godna jego, poszła jeszcze wyżej; a za ich przykładem — jak to zwykle bywa — za starszemi siostrami rosły, rozwijały się i dążyły młodsze. Nie postało w głowie ani ich ojca ani matki układać mądrze plany ich wychowania, albo troskać się o ich umiejętność i talenta. Ów kłopot dzisiejszych rodziców, ów robak dzień i noc je gryzący, ówczesnym zupełnie był nieznany. Skoro dziewczę miało matkę, już rzecz była skończona. Edukacya, pensye, guwernantki, instytuta, nawet z nazwiska znane nie były; język nasz nie miał tych wyrazów; sieroty albo panienki przeznaczone do duchownego stanu oddawano do klasztorów, czasem zaraz z dzieciństwa, częściej później, jak to na przykład Ludwinę; były także po dworach królowych i pań bogatych córy szlacheckie, najczęściej ubogie, pod dozorem poważnej mistrzyni; ale były to już panny odchowane, dorosłe, które po kilku leciech wydawano za mąż, dawszy im posag jaki taki; o mężów też daleko było łatwiej niż teraz, bo niemal wszyscy mężczyzni się żenili.

Nie była tedy kłopotem żadnym dla naszej Kochanowskiej, ani edukacya, ani przyszłość jej sześciu córek. Ona nawet — w dzisiejszem rzeczy rozumieniu — nie uczyła je niczego sama; i w tej mierze przyznać trzeba: ówczesne matki daleko mniej miały pracy od dzisiejszych, które często podejmują ciężar nad siły swoje, i dźwigają go z własną i z dzieci szkodą. W każdym szlacheckim domu, gdzie rodzice chcieli, żeby ich dziatki coś umiały, był i bakałarz który je czytać, pisać, rachować i łaciny uczył, nauki wiary zaś nikt tknąć się nie ważył, prócz duchownych. To samo było i w Czarnolesie; ksiądz Maciej wyuczył dziewczęta tego co głównem jest w katechizmie, i to w krótkich słowach, bo wtedy kobiety nie rozumowały o wierze, tylko wierzyły; a pan Łukasz wziął inne rzeczy na siebie. Kochanowska na swoje nauki nie miała godzin: i nie dawała żadnych — jak dziś zowiemy — lekcyi. Nauczyła pacierza każdą z córek, zresztą miała je zawsze przy sobie; a głównem staraniem jej było, żeby od chwili, kiedy dziewczę już sposobne do jakiego bądź zatrudnienia, żeby coś robiło zgodnego z wiekiem swoim i z siłami. W prostem, wiejskiem życiu dla trzech, cztero-letnich już łatwo było o takowe zajęcie; postępując tak ciągle z każdym rokiem coraz trudniejsze i cięższe zadawała im roboty, żądając zawsze rachunku z nich, i kończyło się na tem; że Ewa i Ludwina nie ucząc się formalnie, już to samo umiały i robiły co matka, i we wszystkiem pomocą i wyręczeniem jej były. — Lecz z czegoż to się składała owa ich umiejętność? Oto umieć chodzić koło nabiału, koło drobiu, koło przędziwa, koło ogrodu; umieć pięknie prać chusty, szyć w ręku i w krosnach; znać sekretów lekarskich i przysmaków kuchennych i aptecznych jak najwięcej. Wtedy prace ręczne i gospodarskie były powszechnem kobiet zatrudnieniem, zacząwszy od królowej Anny, skończywszy na najprostszej szlachciance; mało kiedy zajmowały się piórem albo książką. — Wreszcie, jakże to wówczas inaczej wyglądało czytanie jak teraz! Nie można było położyć się niedbale, i wziąść się do niego z lenistwa, z próżniactwa. Należało zasiąść przed stołem, księgę położyć przed sobą na pulpicie i czytać z całem przyłożeniem uwagi, nie oczami tylko, ale najczęściej głośno, po słowie. Wtedy, tak niedawno po wynalezieniu druku, nie było lekkich książek ani treścią, ani wydaniem; z arkuszowej, gockim drukiem, poważnego stylu, czytało się po trochu, jakby na lekarstwo; i gdyby kto był powiedział Kochanowskiej i jej córkom: że są kobiety co się nie znają ani na kuchni ani na gospodarstwie, co prząść i szyć nie umieją, tylko cały dzień czytają i piszą, byłyby się więcej zdziwiły i zgorszyły niż my dziś, gdyby nam kto powiedział, że jakaś osoba wysokiego rodu i majątku czytać i pisać nie umie. — Ale też tamtą i dzisiejszą porę lat blizko trzysta przedziela! Cie-

kawa rzecz co będzie za drugie trzy wieki? — Mnie coś mile do ucha szepce, że i pół wieku nie upłynie, a udoskonalone kobiety nauczą się łączyć prostotę i pracowitość dawną z dzisiejszą oświatą, i znowu dziwić się i gorszyć będą: jak mogły być jedne tak niebaczne, co niechciały łączyć zalet niewieścich z korzyściami, jakie postęp wieku przynieść koniecznie musiał; a drugie tak ciemne, co dla cząstkowych nadużyć potępić były gotowe wszelkie światło, i do dawnej a już niepodobnej wrócić niewiadomości? —

Ale ja wpadłszy na ulubiony sobie przedmiot zapomniałam zupełnie o gościach Czarnoleskich. Czas do nich powrócić.

ROZDZIAŁ IX.

Ale wczas wiedzcie, że nie dzierżę z temi
Który przyjacioł szukają pełnemi.

I. 26.

Goście zebrani w dniu tym w Czarnolesie byli wszyscy blizcy sąsiedzi Kochanowskiego, a po większej części i krewni; równi jemu urodzeniem, może i wyżsi majątkiem, nie dochodzili go daleko wychowaniem, ogładą i nauką. Jednak lubo z jego poezyi najlepiej rozumieli i cenili Fraszki, lubo o nich to on myślał, kiedy pisał: że «próżen słuchaczy gra za płotem» oni szanowali w nim wyższego człowieka, i z równą chęcią i uszanowaniem wchodzili na jego nizkie progi, jakby na najwyższe.

Owej niedzieli jeszcze z większą niż kiedy pospieszyli ochotą, jakby pszczoły na kwitnącą tatarkę; różne ważne publiczne wieści krążyły w powiecie; obaczywszy więc pana wojskiego w parafialnym kościele z panem podkoniuszym królewskim, osądzili w sobie, iż niezawodnie dowiedzą się od niego prawdy, i że więcej jeszcze im udzieli nowin niż zwykle.

Dla całego swego sąsiedztwa, Kochanowski był chodzącym dyaryuszem spraw krajowych, gdyż nikt w okolicy, nie miał tyle stósunków z dworem królewskim, z kanclerzem i z innemi panami rad, nikt tyle o wiadomości się nie starał. Nie tajno tedy było nikomu, iż on wie wszystko najpierwej i najrzetelniej; a że ludzie niczego chętniej nie udzielają drugim jak nowin, wiedziano o nim i to, iż je rad rozpowiada, nie ukrywając przytem własnego zdania o rzeczach. — Jakkolwiek wszystkie te względy pomnażały szacunek sąsiadów dla pana wojskiego, nie można przecież przyznać, aby on był kompasem podług którego nastawiano polityczne zegary w całym powiecie. — Nie. — Trudna zawsze była sprawa z naszą polską szlachtą, i z niej urosło to przysłowie: «Co głowa — to rozum.» Mimo tedy wysokiego szacunku dla Kochanowskiego, mało w czem z nim się zgadzali. — On uczeń starego Modrzewskiego,

owego praojca Leszczyńskich, Konarskich, Kołłątajów, zwolennik i wielbiciciel króla Stefana i Zamojskiego, chciał poprawy Rzeczypospolitej, chciał silnej najwyższej władzy, porządku w elekcyach, stałych podatków i żołnierza, wołał na uciemiężenie kmiotków i mieszczan, na nadużycia panów i szlachty, złorzeczył owej wolności co tak często w swawolę się obracając niewolą groziła, nie mógł przeto znaleźć potakiwania u tych, dla których te wszystkie nadużycia były najdroższym przywilejem, którzy mówili, a raczej w nieszczęsnej godzinie bluźnili: «Lepiej aby nieprzyjaciel trzykroć Rzeczpospolitę przeszedł i zwojował ją, niżliby się co z praw naszych wykroczyć miało.» — Lecz dla tej samej różności zdań, zjazdy w Czarnolesie były zajmujące; wyższe wychowanie gospodarza, znajomość świata, cześć jaką wzbudzał, oddalały nieprzyzwoite kłótnie i krwawe zatargi — gdzie indziej dosyć pospolite — zachowując tylko sporom i rozprawom iskierkę owego ognia, który podochoceniem rozmowy nazwać się może.

Nie mogło też i braknąć wątku do gadania ludziom, co chętnie rzeczami publicznemi się zaprzątali, tak przez przywiązanie do kraju, jako i z powodu owej wolności i sposobności, jaką miał każdy do ganienia tego co wyżsi robili. — Zawsze też w każdej porze jest jakaś główna krajowa, albo zagraniczna okoliczność, która umysły zajmuje, ciekawość wznieca, krytykę budzi. Od czasu jak ludzie zebrali się w towarzystwo, braknąć na takich nie mogło; jedna tylko zachodziła zawsze różnica: mniejszy lub większy rozgłos nadany tej okoliczności; miarą zaś tego rozgłosu najczęściej traf rządzi; nie raz drobna, ladajaka przygoda więcej się rozsławi od wielkiej, jeźli przyjdzie sama; pamiętam w Warszawie, o jakiemś malowanem oknie, o dwóch wierszykach, gadano i pisano przez kilka tygodni, w parę lat potem zjawiła się cholera, i mało kto o niej wspominał.

W owym roku 1584 — który jest jak wiadomo rokiem bieżącym niniejszych obrazów — nadto było wielkości i swobody w Polsce, aby ktokolwiek miał się trudnić mocno, malowaniem albo wierszykami; za nadto znowu szczęścia i bezpieczeństwa, aby podobnie straszliwe zdarzenie jak n. p. morowe powietrze nie było zajęło wszystkich. — Rok ten, ósmy od wstąpienia Stefana Batorego na tron, może się nie liczy do najważniejszych i najpomyślniejszych z pamiętnego jego panowania; nie widział on owych zwycięztw jak pod Gdańskiem, pod Połockiem, pod Wielkiemi Łukami; data jego nie została zapisana na podobnie ważnych ustanowieniach, jak trybunały dla Korony i Litwy, urządzenie kozaków, akademia Wileńska; ale był to rok dosyć obfity w wypadki, a zatem i w wieści. — Obecnie dwie przygody miały najwięcej rozgłosu w Sandomierskim województwie i w Polsce całej; jedna: śmierć okropna Iwana

Moskiewskiego, owego niesłychanego potworu, okrutnika, dziwaka, ciemięzcy, którego dzikie panowanie nie było przecież bez blasku, bo póki go nasz Stefan nie upokorzył miał się za niezwyciężonego; druga: coraz większe zuchwalstwo Samuela Zborowskiego, wygnańca za zabójstwo od czasów króla Henryka i skazanego na gardło, gdyby do ojczyzny wrócić się poważył: a który mimo tego słaniał się po całym kraju z uzbrojoną zgrają, a jak słychać było — z nieprzyjaciołmi Rzeczypospolitej miał zmowy, i knuł spiski na życie króla i Zamojskiego.

Te dwie przygody, wszelkie ich skutki — gdyż pokój zawarty z Moskwą przed dwoma laty, dwóch tylko monarchów obowiązywał, a zuchwalstwo Zborowskiego albo jego życie albo powagę prawa na szwank narażało — te przygody, mówię, dostarczyć mogły treści do obfitej i żwawej rozmowy. I dostarczyły. Od godziny drugiej z południa do samej wieczerzy nie ustała ani na chwilę; a że u Polaków zawsze było łatwiej o głos niż o ucho, słychać było silne gadanie, krzykliwe zdania na kilkanaście staj w około; każdy zaś z obecnych mało co od drugiego się nauczył i niezawodnie z takiem samem zdaniem odjechał jak przybył. —

Dzień był jeden z tych najcudniejszych jakiemi w naszym kraju, wiosna na samym wstępie czasem nas darzy, a które potem nie raz w maju i w czerwcu mrozem i śniegiem odpokutować przychodzi. Powietrze było ciche, czyste i ciepłe; oddychając, patrząc na błękit nieba i na jasne słońce, zdawało się, że ziemia jedynie przez zapomnienie, godową szatę swoją ledwo na pół oblekła. — Zamiast tedy zamknąć się w izbach, cały zjazd na dworze się rozgościł.

Przed domem Czarnoleskim był jak wiemy obszerny ganek, było i wielkie podwórze okolone płotem, zamknięte wrotami; na boku wznosiła się jak wszędzie studnia, nad nią na belce między dwoma słupami umocowany krąg po którym liną wciągano kubeł, w środku słup wiadomy z trzema kółkami; z dwóch zaś boków rosło kilka pięknych jaworów; pod niemi, stały ławki; na podwórzu leżały, sterczały jak to w gospodarstwie, belki i tarcice, pale i kołki, które synowcom Kochanowskiego, a często i córkom służyły do ćwiczeń rozmaitych wtenczas w używaniu będących, do biegania, skakania, ciskania, trafiania. Każdy więc wiek, płeć każda znalazły tam dla siebie przyzwoite i dogodne zabawy i miejsce. — Pan wojski z panem podkoniuszym i ze starszymi mężczyznami rozmawiając ciągle zajął ganek; kazał stół wynieść, dzbany z piwem i kufle postawić, i zalecił piwnicznemu żeby raz na raz pełne były. Nie próżnował stary Marcin i chwili; i to nie do piwnicy chodził dzbany swoje nalewać; przezorny i doświadczony wystawił beczkę na podwórze, położył ją na ligarach, już z umysłu

zawsze koło ganku stojących, i tak toczył a toczył piwo, póki szło klarowne. — Kto wiele i żwawo mówi, temu w gardle zasycha; wiadoma i najmniej zaprzeczana prawda.

Koło prawego węgla domu, pod najstarszym jaworem, przy którym kilka ławek stało, pani wojska zebrała sąsiadki przybyłe z mężami. Ewa i Ludwina przyniosły stolik, nakryły go białym obrusem, zastawiły ciastem, owocami smażonemi i suszonemi, nawet kilkanaście jabłek szczecinek, zachowanych z zimy wynalazły; dobyły także z piwnicy butelkę syconego miodu, podały małe srebrne kubeczki. Szanowne białogłowy kosztując przysmaki, popijając je słodziutkim trunkiem wcale nie milczały: i one miały wiele do powiedzenia sobie; znając się oddawna i zblizka, jeden rodzaj życia prowadząc, podobne mając zatrudnienia, też same widując osoby, wszystko im było wspólne, wszystko zajmujące; rozumiały i uciechy i kłopoty wzajemne, oceniały trudy i prace. To jedna drugą pytała o młodsze dzieci pozostałe w domu, o słabość przebytą lub spodziewaną; o czeladź, jak się sprawia, o krowy, czy poprawiają się z mlekiem? to znowu o ogrodzie, o innem gospodarstwie była mowa. Jedna się chwaliła, że już grządki w swoim wirydarzu zasiała pachnącemi ziołmi, róży nasadziła; druga, że ogórki posiała w skrzyni, także i melony; trzecia, że z liliowych korzeni napaliła wódki do apteki; ta, że już się jęła do bielenia płótna; tamta, że pokrzywy młode z otrębami przenicznemi daje kokoszom, żeby jej się dobrze niesły; owa że już ma spore kurczęta, bo je pod własnem łóżkiem wychodowała. To znowu opowiedziawszy sobie co już zrobiły, wyliczały co zrobić zamyślają; wszelkie obawy i nadzieje swoje; a w tej całej pogadance widać było, że i starsze i młodsze bardzo polegają na zdaniu pani wojskiej, i nie mało o jej dobre słowo im idzie. — Kiedy już o domu, i o sobie do woli się nagadały, nie ręczę czy na nieobecne sąsiadki jaka fatalna kolej nie przyszła; czy się tam czego nie dostało próżniactwu tej, rozrzutności owej, niedbalstwu lub kordyace tamtej; czy nie było mowy o snach, o urokach, o czarach, w które wtedy najrozsądniejsze wierzyły? ale to pewna, że im nie wiele czasu zostało do tych pocisków i do tych bajek, ile że przerywaną była często i głuszoną ich pogadanka przez dziatwę i przez młodzież.

Bo dwie gromadki, któreśmy tu opisali, uważać tylko należy jako dwie podstawy zebranego towarzystwa; znajdowały się tam inne nierównie głośniejsze, ruchawsze i weselsze, które zdawało się, że całość stanowią. Zacznijmy od bliższej.

Były to trzy młodsze Kochanowskie, a z niemi kilkoro dzieci sąsiedzkich. Trzymały się niedaleko matek, jak gdyby pod ich cieniem, i choć które odbiegło, wnet wracało i zawsze coś miało swojej do ucha powiedzieć. Prawda, że ich też wabiły nie pomału rozstawione tuż przysmaki. Dla nich nie po-

stawiono ani ławki ani stołu; murawa była im siedzeniem i nakryciem, jeżli się zdarzyło, że które usiadło i chciało zjeść porządnie. — Chłopcy rzucali w górę chwytkę, łapali ją zręcznie, puszczali cygę, pobudzając ją biczem kiedy już kręcić się przestawała, wywracali kulki; dziewczynki wiązały trawę, ubierały sobie łątki, albo też która z figlarniejszych, siadała naprzeciw drugiej jak mogła najbliżej, wpatrywała się w nią oko w oko, mówiąc:

Patrzajmy się,
Nie śmiejmy się:
Kto gębą ruszy
Tego za uszy.

A z tego zalecenia nie śmiania się powstawały śmiechy tak wielkie, iż matki musiały aż strofować za ten zbytek, z bojaźni, żeby się dzieci nie zaniosły, albo kaszlu ze śmiechu nie dostały.

I druga gromada już cały krąg podwórza zajmująca doczekała się niekiedy strofowania poważnych białych głów, przynajmniej należące do niej dzieweczki, skoro która bez pamięci biegać i skakać zaczęła, albo też dała się ciągnąć za ręce, szarpać za suknie. Prawda, że tam było najweselej, najzabawniej, tam była młodzież, ta prawdziwa pani świata. Prócz dwóch córek gospodarskich, Ewy i Doroty — gdyż Ludwina świadkiem tylko bywała wszelkich igraszek — było jeszcze kilka młodych panien. Było i mężczyzn drugie tyle: Adam i Jędrzej Kochanowscy z Jasieńca, Mysłowscy z Zawady, Dąbrowski z Piastkowa, Sieniński z Stawczyna; zjechał i pan Franciszek z odpustu i z uczty, ale ociężalszy niż kiedy, a nawet smutny, gdyż mu jakieś niespokojności przychodzić zaczynały, i jakby przewidywał, że dostanie odkosza przysiadł się do starszych, i niby słuchał czy dumał, a podobno drzymał; nasz zaś Filip, którego pobudzały miłość i szczęście, był na czele całego grona i coraz nowe wynajdywał zabawy, popisy, w których on zawsze wydał się najlepiej. To — podzieliwszy się na dwie strony, grali w żołnierzy czyli w obóz; Adam Kochanowski był carzykiem tatarskim, pan rotmistrz hetmanem koronnym; wraz z towarzyszami staczali wzajemnie boje; najzaciętsza jednak walka była o branki. W obozie nieprzyjacielskim stały smutne wszystkie dzieweczki, odbić je było trzeba; zaczaiwszy się misternie dotknąć się której z nich, a potem odbiedz tak prędko, żeby nikt dogonić nie potrafił. Nie łatwo to przychodziło; przecież Filiy cztery uwolnił, a najpierwej tę, której sam był niewolnikiem. — To znowu nasunąwszy czapkę na oczy, zmrużkiem się ogłosił i krzyczał: z drogi! z drogi! biegał jak szalony, wszyscy uciekali przed

nim, on nic nie widział, przecież zawsze Ewę uchwycił. To zachęcał do takich ćwiczeń w których mógł dać dowody zręczności lub siły; młodzieńcy na przechwał jeden przed drugim, ciężary niosąc na oszczepach, biegli do naznaczonej mety, rzucali do słupa, pociskiem, mieczem; strzelali do celu, jajka rzucali w górę i łapali je w całości, wskakiwali pędem na wysoko leżącą belkę jakby na drewnianego konia, po wązkim płocie chodzili, broniąc się z całych sił tym, co zepchnąć ich chcieli. Gdy w tej ostatniej zabawie przyszło do głośniejszego gadania, a nawet do lekkich przemówień między młodzieńcami, dzieweczki cokolwiek zestrachane zbliżyły się do matek, i z młodszą gromadką bawić się zaczęły. Ewa której nigdy wątku do zabawy nie brakło, i w której oczach śladu już nie było łez wczorajszych, wybiegła na chwilkę, za drugi róg domu do kuchni, do Nastki; a wnet obiegając przez ogród, pokazała się dzieciom jak stara baba; schylona, kulawa, cała owinięta płachtą trzymała w ręku kij, jakby wielką kądziel, także osłonioną białą chustą. Oznaczyła kijem wielkie koło, powiedziała grobowym głosem: «To moje państwo» i kazała wszystkim dzieciom usiąść w wieniec w tem kole. Dzieci usłuchały chętnie, patrzyły na nią, a ona siadła w środku koła, i niby przędzie ze swojej kądzieli i drzymie. Nagle owa stara baba zrywa się, podskakuje w górę, spada z niej płachta, spada i chusta z kądzieli, i okazuje się pęk świeżych pokrzyw wiązanych koło kija. Tą bronią miotając na wszystkie strony goni za spłoszonemi dziećmi, wołając: Rusałki! Rusałki! ale jej władza za naznaczonem kołem ustaje, rzuca ze śmiechem parzącą broń, i znowu co innego wymyśla. — Oto do przepióreczki zwołuje i wabi; to także gra zabawna. «Kto chce być przepióreczką?» pyta. «Ja! ja!» odpowiada kilka głosów. Ona Dorotę jako domową obiera, stawia ją na miejscu jednem, a całej drużynie każe wziąźć się za ręce, kręcić się koło niej, i śpiewać:

Jako rybka tuż za rybką,
Jak jaskółka za jaskółką;
Tak dłoń w dłoni, raźno w kółko,
W pląsach, w skokach, krążmy szybko.

Ale stojącej w środku dzieweczce przykrzyć się zaczyna; jakkolwiek jej więzienie ruchawe, wesołe, zawsze więzienie; wreszcie drudzy biegają, śpiewają a ona stoi na jednem miejscu i milczy. Bieży tedy w tę i w ową stronę, pragnie wydobyć się z żyjącego wieńca; lecz na próżno! czy rozerwać chce trzymające się mocno ręce, czy przeskoczyć, czy podejść, wszędy wyjście zagrodzone, wszędy piosnka brzmi wesoła:

Fit, fit, przepióreczko
Przepióreczko młoda, hoża,
Nie ucieczesz nam do zboża
Nie ucieczesz, kochaneczko.

Z rozpaczy dobywa siły, rozrywa koło, wybiega, nizki płot przeskakuje i ucieka daleko; gonią za nią drugie, i przyprowadzają nareszcie zmęczoną, dyszącą, jak prawdziwą ptaszynę, kiedy ją strzelec lekko zrani i póty goni, póki nie schwyci.

Lecz nie tylko sama Dorota, już cała gromadka zmęczona. Kochanowska zaleca Ewie, żeby poważniejszą grę wymyśliła. «Grajmy w piekło i w niebo — odpowie Ewa — do tej gry i Ludwina należeć może.» Przyjęła wezwanie łagodna dziewica, choć byłaby pewno wolała pójść samotnie w ogród dokończyć pacierzy; siostra dobrała jej w parę, gładką, wesołą, dziarską Justynę Mysłowską, i coś długo z obiema radząc i błagając Ludwiny prawie na klęczkach, postawiła je pod dwoma jaworami na dwóch kamienach co za siedzenie służyły, i dała każdej w rękę koniec długiej rąbkowej tuwalni. Utworzył się tym sposobem łuk biały; Ewa stanęła pod nim i wyrzekła poważnym głosem: «Oto droga żywota; na jednej stronie niebo, na drugiej piekło; idźcie i wybierajcie!» a zebrawszy sznurem po starszemu wszystkie dzieweczki i dzieci, przeszła z niemi dwa razy pod łukiem wielkie tworząc koło. Kiedy już trzeci raz przechodziła, Ludwina z Justyną zatrzymały Orszulkę, która jako najmłodsza szła na samym końcu; zatrzymały ją spuszczając pod jej nogi białą tuwalnię, i powiedziały:

Pierwsze przepustne
Drugie darowane
Trzecie: Do kogo chcesz?

Śliczna dziecina spojrzała i jednej i drugiej w oczy, a przyglądając się mile pięknej i łagodnej Ludwinie zawołała: «Tu niebo!» i przy niej stanęła. Podobnie za każdym nawrotem pod łuk, dzieweczki stojące zatrzymywały i pytały każdego; każdy obierał sobie jednę z nich, a większa połowa poszła za przykładem Orszulki. Nakoniec gdy już z całego sznura sama Ewa została, krzyknęła z całych sił skazując na siostrę: «Oto starosta piekielny; oto djabeł» i przywiązała ją do drzewa białą tuwalnią. Wesoła zaś Justyna zeskakując z kamienia mówiła z tryumfem; «Ja wrotny niebiesk', ja anioł!» Wszyscy potępieni strachem przejęci, ile że się tego bynajmniej nie spodziewali, uciekać, kryć się poczęli przed wybranemi, i musieli dać okup za swoje dusze. Jedna tylko Orszulka została przy Ludwinie; wcale jej się nie podobała ta gra: «Matka zawsze prawdę mówić każe — powtarzała zachmurzona — Pan

Jezus za kłamstwo się gniewa.» A całej siły swojej używszy wstąpiła na kamień, i wspinała się na palce, żeby uwolnić uwiązaną siostrę. Patrząc na tego białego aniołka, i na dziewicę w czerni, jakby święte męczeństwo cierpiącą, i starszym zdawać się mogło: «Tu niebo.»

Ale szło teraz o odebranie okupu złożonego za dusze w ręce udanego anioła. Były to rzeczy nie drogie, przecież szacowne jak zwyczajnie u młodych: paciorki, wstążeczka, pierścionek, szpilka, medalik i t. p. Justyna usiadła na kamieniu, nakryła te wszystkie skarby chustą i pytała się na głos: «Co ma ten zrobić kogo fant trzymam w ręku?» Na to zapytanie zbliżyła się młodzież męzka oświadczając, że ona sądzić będzie, gdyż płci białej żadne urzędowanie nie przystoi; a na powtórne zapytanie Justyny, krotofilny Adam Kochanowski odpowiedział: «Niech pokaże kolanko!» Padł ten wyrok na Marychnę, ale się nie strwożyła; wiedziała z dawniejszego doświadczenia, że w takim razie kolanko, to łokieć. «Niech nogi założy na drzewo» odezwał się takoż z uśmiechem pan Andrzej. I w tem nie było nic nieprzyzwoitego, bo to nogi — od stołka. «Niech węgiel żarzący przyniesie w uchu» wyrzekł Mysłowski. Na małą Orszulkę ta kara wypadła; pobiegła do kuchni i przyniosła rozpalony węgiel w uchu — od klucza. «Niech pokaże sztukę» postanowił Filip Owadowski. Dzieweczka której się to wykonać dostało w wielkim była kłopocie; ale wybawiła ją Ewa; zbliżywszy się do stolika uderzyła weń drobną pięścią po kilka razy i zapytała się sędziego: «A co, czy nie sztuka?» Sędzia uznał się zwyciężonym i poważył się ucałować tę drogą rączkę, pod pozorem, że stłuć się musiała, sztukając mocno w stół twardy.

Lecz w ciągu tych i tym podobnych zabaw, gospodyni, która się była wymknęła przed chwilą z uwolnioną Ludwiną, stanęła w ganku i zaprosiła na wieczerzę. Na ten głos powstali poważni mężczyzni, obudził się pan Franciszek, panie się zbliżyły; ruszyła młodzież po panny i wszyscy weszli parami do izby. W czasie kiedy zajadali i zapijali smaczno, zajęły całe podwórze, wozy, półwózki, osiodłane konie, wreszcie woźnice i pachołki, którzy przez ten czas także się posilali z łaski gospodarzy.

Po wieczerzy nie zatrzymywała nikogo Kochanowska, i męża prosiła żeby nie przedłużał pożegnań. Przyczyna tego niezwyczajnego postępowania była chęć wypoczynku. Jutro raniutko mieli jechać do stryja Dobiesława — należało wstać przed świtem..

ROZDZIAŁ X.

Słuchaj, mogłeś na winnik chróstu nie żałować.

Ostatni wiersz Satyra.

«Pani żono, panno córko, nie mitrężyć; kwadrans czasu jedno pozwalam i w drogę.» Tak wołał nazajutrz w poniedziałek, Kochanowski wychodząc z izby do sieni, a wtórował mu pan podkoniuszy stojący w ganku i zupełnie gotów: «Ot! gdyby białogłowy i dzieweczki żołnierzami były—mówił z przekąsem — nieprzyjaciel by uderzył, rozgromił, poraził, wszystką korzyść odjął nim by się one — ubrały.»

«Matkę wstrzymuje dziatwa co zostaje w domu — powiedział ciszej Kochanowski — ale co Ewulka, to pewno przed zwierciadłem się mizdrzy i pyta go się: czy jej do twarzy? Panie Filipie, wasza w tem wina, dawniej, zaprawdę, rychlejsza była w swojem ochędóztwie.»

«Już przy śniadaniu nic pannie Ewie nie brakowało — odrzekł młodzieniec skłaniając głowę z uśmiechem — mnie się widzi, że pani matce pomaga i z siostrami się żegna.»

«Niema lepszych rzeczników jak kochankowie — powiedział pan wojski — ale źle robią niewiasty co się nie spieszą; konie wasze już strasznie niecierpliwe; patrzcie na mego, jaka powaga!» — I w rzeczy samej konie Podlodowskiego i Filipa, konie nie ladajakie, przyzwyczajone do trudów, od jakiegoś czasu próżnujące, a na dobrym obroku, dziś tak wcześnie okulbaczone wystawić sobie musiały: że ich rycerska wyprawa czeka; rżały, pieniły się, nogą ziemię kopały, wydzierały się wstrzymującym je pachołkom, aż Filip chodzić musiał od jednego do drugiego, głaskać je ręką, łagodzić słowem, zwłaszcza ulubionego sobie a zawsze żwawego Turczynka; kiedy przeciwnie siwosz pana wojskiego stał sobie spokojnie, a jakby na dopełnienie rannego obroku skubał czubki młodych pokrzyw co pod płotem rosły. I trzy klacze zaprzężone do półwózka, którym Kochanowska z córką jechać miała, także bardzo cierpliwie owo czekanie znosiły, znać do tego nawykłe.

«Białogłowy już z zrządzenia Bozkiego dom lubią — mówił dalej Kochanowski i wielkiem to jest szczęściem. Ja tam prześladuję i niby gromię panią żonę, ale w duszy rad w niej widzę to zamiłowanie. Która mężatka chętnie i łatwo dom rzuca, za biesiadami chodzi, w towarzystwo różnych ludzi się wdaje, czyż nie otwiera drogi do tego, aby kto o jej stateczność się starał? a jak może dziać się dobrze, w domu w którym gospodyni nie siedzi i sama wszystkiego nie opatrzy? Pani jest głową czeladzi, co ona czyni, to i oni. Trudno żądać aby słudzy lepszemi byli od panów. — Jednak dziś chciałbym żeby moja Hanna nieco prędzej się wybrała. Do Baryczy dwie mil drogi, a pan stryj gniewał by się gdybyśmy późno przyjechali. Na godzinę przed południem jada a skromnie żyje kiedy sam; nie mogła by już stryjenka dodać jednego i drugiego półmiska do obiadu, i przykro byłoby staremu. Broń że mnie Boże w czem najmniejszem go obrazić; szanuję go jak ojca. Nieuwierzycie przyjacielu, co to dla mnie za wesele patrzeć na oną sędziwą twarz, co na moich rodziców patrzyła. On mnie dzieckiem znał, do chrztu podawał; on jeden już na całej ziemi Jankiem mnie nazywa; kiedy jestem w Baryczy, zda mi się żem o jakie trzydzieści lat młodszy... Wreszcie i skorzystam nie raz od zacnego choć surowego starca; mego Satyra jam prawie z jego słów ułożył?...»

«A co się dzieje z jego synami? — zapytał Podlodowski — powiedz że mi, nie przystoi jadąc do ojca o synach nie wiedzieć.»

«Zacni zawsze ludzie obadwa, zdrowi, i dobrze im się powodzi; pan Jan przeniósł się do ziemi Stężyckiej i jest podstarostą; pan Andrzej poseł na sejmy, stolnik Sandomierski mieszka zawsze w Gródku z żoną; niewidzieliście ich u nas, gdyż oboje pojechali do Lublina, objąć jakieś dziedzictwo po Mysłowskich; a potrzebny im grosz, gdyż dużo łożą na wychowanie dwóch synów w Lublinie i zaczęli już stawiać kościół w Gródku; chwalebnyć to cel, i stare stryjostwo zbiera co może, chcąc im w tem dopomódz...»

«Poczciwy i bogobojny ten ród wasz — przerwał Podlodowski — mój Filip — dodał widząc młodzieńca zajętego ciągle końmi — nacieszyć się nie może, iż z takiego domu będzie miał żonę; wczora do północy prawił mi o swojem szczęściu; a dla mnie jakaż pociecha! siostrzenicę, córkę twoją, nazwać córką...»

«Prawda — dopowiedział Kochanowski — tego jednego węzła nam niedostawało żeby nas te same dziatki ojcami zwały.»

«Przyjdą da Bóg i takie — rzekł wesoło podkoniuszy — co i dziadami wspólnie nas nazwą, i my się o to nie rozgniewa-

my.» — I zaczęli oba przyjaciele rodwodzić się nad błogą przyszłością, która do nich się śmiała.

«A zda się — rzekł Jan — że się nią nacieszymy; stoimy w samym pośrodku życia, co to już nie jest młodością, ale przecie od starości jeszcze daleki; zdrowie moje teraz dobre Bogu dzięki; prawie za nadto mam sił i krwi; a mimowolnie szacuję zdrowie dwojako, boć nasza młodzieńcza zmowa zawsze stoi.»

«Stoi — ile że z mojej strony możesz być bezpieczny — odezwał się Jakób — uczony jeden mąż z gwiazd wyczytał, jako na wojnie nie zginę; co zaś choroba, to chyba stuletniego powali.» A ktokolwiek spojrzał na Podlodowskiego musiał przyznać na ten raz prawdę słów gwiazdarza. Twarz czerstwa, piękna, pełna w miarę, udatna postawa, godłem zdrowia być mogły. —

Kochanowski słuchając z upodobaniem przyjaciela spojrzał znienacka na słońce, a obaczywszy, że już wzbiło się dosyć wysoko: «Dalipan — zawołał — przyjdzie i połajać te niewiasty, co tak bałamucą; a doprawdy gniewać mi się dziś nie chce; ochotną mam myśl, ochotne serce; jedyny kamień jaki tamtych dni mi ciężał zdjęła mi dobrocią swoją pani Kasprowa... Ale otóż idą przecie...»

I nadchodziła pani wojska z córką ubraną jak był jej zwyczaj — przyzwoicie i stósownie. Głowę nakryła czarną jedwabną czapką z wązkim forbotem, na bawełnianą spodnicę karmazynową czarnym sznurkiem bramowaną u dołu, włożyła suknię zamkniętą pod szyją, otwartą od stanu, czarną muchajerową żółtemi perewistkami obłożoną; dosyć wysoki kołnierz od koszuli tęgo ukrochmalony, i takież brzegi rękawów rozjaśniały ów ubiór poważny. Ewa miała na głowie bramkę czarną aksamitną w podobieństwie do czółek mazowieckich dziewek; długie jej krucze warkocze spadały z tyłu i odbijały dobrze na białych krezach i na niebieskim czamlotowym kabacie sznurowanym z przodu, i spiętym do dołu na haftki; obuta była równie jak matka w skórzenki czyli bóty z miękkiej kozłowej skóry do kolan dochodzące, gdyż takich wówczas używały kobiety do drogi. Nie zaraz jednak wsiadły obie do półwózka, który wnet przed gankiem stanął; wszystkie dziewczęta, Nastka, cała prawie czeladź wyszły przed dom; już oddawna się nie trafiło żeby pani Czarnoleska na cały dzień odjeżdżała, było więc poleceń, zapytań, pokłonów, całunków nie mało. Aż pan podkoniuszy się rozśmiał: «Nie miałem tyle do powiedzenia domowym — rzekł — kiedym wyjeżdżał na moskiewską wojnę.» — «A niech małe dzieweczki nie chodzą blizko stawu, i daleko w pole» — zalecała jeszcze Kochanowska starej piastunce. — «Pani siostro, choćby też i poszły, i Tatarzy je napadali — dopowiedział pan Jakób — toby nasza Nastka

nie dopuściła do nich nic złego; ręczę za nią» — Skłoniła się mu do nóg zasłużona niewiasta a biorąc na ręce Orszulkę, zawołała: «Osobliwie tego oczka pilnować będę.» — «O pilnuj! pilnuj!» zawołał już siedzący na koniu Kochanowski.

«A wracajcie rychło — powiedziała dziecina wyciągając do niego ręce. — Wy sami znacie, ojcze,

jak to licha
Dziecina zostawiona do matki swej wzdycha.[1]

Nie stulę oczków, póki was nie zobaczą.» — W Kochanowskim już powstawała chętka wziąźć ukochane dziecię z sobą; byłby ją z duszy przez całą drogę trzymał na koniu; ale nie była ubrana, wypadałoby czekać, a czas naglił. Ruszył więc z męztwem i wszyscy za nim; mimo kołatu skaczącego półwózka po nieutartej jeszcze zupełnie grudzie zimowej, mimo stąpania rączego dzielnych koni, słyszeli jeszcze długo głosy pożegnań i błogosławieństw dzieci i czeladzi.

W drodze nasz Jan jadąc koło swego Jakóba rozmawiał z nim ciągle; Filip harcował koło półwózka. Rad on był sposobności popisania się nie tyle z jazdą swoją — bo wtenczas wszyscy jeździć umieli — ile z ulubionym koniem. Wtedy koń dla młodzieńca polskiego, był prawie tem samem czem dziś jest jeszcze dla kozaka, dla Araba, towarzyszem, przyjacielem, bratem, jakąś częścią jego samego. Wtedy bowiem nie widziano mężczyzn ni starych ni młodych, rozpartych w rydwanach, zamkniętych w kolebkach; wszystkie powozy znane i używane zostawione były kapłanom, niewiastom i chorym; szlachcic każdy musiał mieć konia, jak dziś nasi panicze muszą mieć kocz i zegarek; i pewno wyżyć by bez niego nie umiał. — Filip jak wiemy, całą duszą do swego był przywiązany i przyznać należy, że pięknie im było razem; w dniu tym zwłaszcza, w swoim biegunie, w swojej osobie, w broni, i ubiorze, połączył wszystko co wówczas było miane za najlepsze, w rynsztunku młodzieńca:

Koń Turek
Chłop mazurek
Szabla węgierka
Czapka magierka.

I miło było na niego patrzeć. — Wydało się to jeszcze lepiej kiedy przestając wstrzymywać dłużej swego Turczynka — któremu nie bardzo był w smak jednostajny kłus przy kołach — puścił mu cugle, klasnął i jak wiatr poleciał. — Kochanowska

[1] Ps. CXXXI.

krzyknęła i Ewa miała ochotę, ale wstrzymała się; pobladła trochę, i dumnym okiem ścigała za silnym i zręcznym jeźdźcem. Już zniknął przed jej wzrokiem, lecz wnet go ujrzała; nawrócił nagle w największym czwale, kilka szerokich rowów i wysokich płotów przeskoczył, a w samym pędzie, kiedy już zbliżał się ku niewiastom, zebrał cugle, zawołał stój! i w mgnieniu oka koń rozhukany stanął jak wryty; zdawało się, że wszystkie cztery kopyta nagle wrosły w ziemię.

Lecz już dojeżdżali do Baryczy. Już widać było podwórze, słup dla koni, studnię z żurawiem i skromny dwór państwa Dobiesławów, który mało co się różnił od otaczających go chat włościańskich; chyba tem, że był większy i miał komin murowany wyprowadzony nad dach. Podobny i do dzisiejszych naszych dworków szlacheckich zawierał w sobie sień, po lewej ręce kuchnią obszerną — gdzie czeladź, a często domowe zwierzątka i ptactwo przytułek miały — sporą komorę czy alkierz, a po prawej ręce dużą lecz jedyną izbę z piecem i z kominem, gdzie państwo oboje spali, jedli, gości przyjmowali, a załatwiwszy zewnętrzne gospodarstwo, trudnili się na przemiany, to ręczną pracą, to modlitwą. — Nam, inaczej przyzwyczajonym wreszcie inaczej czas trawiącym, podobny układ mieszkania zdawał by się bardzo przykry; dawniejszym ludziom nie był wcale uciążliwy, jak i dziś nie jest nim dla prostego ludu. — Nie mającym zatrudnień, któreby wymagały odosobnienia i cichości, taki układ jest wygodniejszy i przyjemniejszy; w jednej izbie cały dzień siedząc wszystko mają pod ręką, w zimie im cieplej, w smutku raźniej, w chorobie weselej. Nie raz na starego chłopka, parę lat przed śmiercią przyjdzie taka niemoc, iż prawie z łóżka ruszyć się nie może; coby on robił sam w jakim odosobnionym choćby i najpiękniejszym pokoju? tak leżąc w wspólnej izbie jeszcze żyje, bo dzieli przygody rodziny, a nie tyle zawadza, gdyż usłużyć mu łatwiej.

Ale nie wchodząc w to dowodzenie podobno zbyteczne dla czytelniczek moich, wolę je poznać z szanownemi mieszkańcami owej jedynej izby.

«Gości nam Pan Bóg prowadzi — przemówił do żony słysząc kołat powozu i tentent koni, starzec najmniej ośmdziesiąt letni, prawie sążnisty, szlachetnej i pogodnej twarzy, oczu niebieskich, długiej siwej brody, w koszuli szerokiej i długiej do kolan, w szarawarach płóciennych, w giermaku z szarego sukna, rzemieniem opasany, i w skórzniach za kolana krajką przytrzymanych. — Kto byto mógł być? Andrzej ze swoją w Lublinie, Jan był niedawno?» — A dogadzając ciekawości swojej wstał z zydelka na którym siedział okrakiem, położył na stole kosz z rokiciny którego dopletał, i zbliżył się do okna. — Żona może z jakie dziesięć lat młodsza, małego

wzrostu i szczupła, w głębokiej czapce z futrem i z uszami, w kożuszku baranim powstała z ławy pod piecem, mówiąc sobie: «Nie czemu też to sroka krzekcała dziś na płocie, i kot się głaskał rano?» a odstawiwszy na bok kądziel z wełną, poszła także do okna; i wyjrzeli oboje ocieniając sobie ręką osłabione już oczy długiem patrzeniem na świat. «Zaprawdę, mój to chrzestny, Janek, ze swoją panną i z dziewuchą — zawołał radośnie starzec — poczciwe chłopczysko!» — «Ale i obcy są panowie» — dodała żona. «Pomóż Bóg! nadarz Bóg! Witajcie w nizkich progach naszych!» mówili oboje wychodząc spiesznie przed sień; a Czarnoleska drużyna już na nogach, pozdrawiała ich czapkując im i ściskając za kolana. Kochanowski przedstawił z imienia i z godności, przyjaciela i jego wychowanka, napomykając nieco o chlubnie odbytej przez nich ostatniej wojnie. «Otóż to, otóż to — wołał pan Dobiesław — rad ci zawsze jestem, mój Janku, a dwojako kiedy mi przywozisz mężów rycerskiego rzemiosła.» — «Siadajcież, mili panowie i bracia, rozgoście się» — mówiła pani Dobiesławowa wprowadzając gości do izby, wskazując ławy pod oknami i pod piecem, i dwa skromne łóżka w dwóch rogach izby stojące, przedzielone oknem i stołem.

«Niech kto co chce mówi — prowadził dalej stary skończywszy odpowiadać na troskliwe wypytywania się przybyłych o zdrowie jego — niech sobie będą księża, panowie radni, nie przeczę iż potrzebni; ale u mnie nic nad żołnierza i jego zabawy; a proszę, czem tu lepiej skrócić młodego burzliwość, jak niespaniem, zimnem, wojenką? Możeż być co sprawiedliwszego a świętszego jak zastawić własne gardło dla ziemi w którejeś się urodził, dla domu w którymeś wychowan, dla żony, dziatek, zgoła dla całej Rzeczypospolitej i wiary ku Bogu? Jestże większe męztwo, jak gdy na ten cel gdzie z działa biją, żołnierz na miejsce zabitego następuje; wie, że najpewniej zginie, przecież na rozkazanie hetmańskie idzie, aby się rząd nie targał, i nie czyni tego dla pieniędzy, ale z miłości sławy, ojczyzny i czci Bozkiej. I nie bywaliż i święci Pańscy żołnierzami? W Krakowie nie mamyż ciała Floryana rycerza; kiedy król Kazimierz prosił papieża o jakie święte kości, papież bez namysłu wybrał kości rycerskie, bo wiedział co upodobają sobie na ziemi polskiej. A czemże, jeżeli nie wojną, owa nasza ziemia urosła, rozciągnęła swoje granice od morza; i czemże przecie dziś jakby z długiego snu otrzęsła się i zajaśniała? Gdyby mi się raz jeszcze rodzić przyszło, skarz mnie Panie Boże, niczem bym nie chciał być ni papieżem, ni cesarzem, jedno żołnierzem. Polacy póty chwalebni, póki bitni; a na innego króla się nie piszę, tylko na wojownika» — Podlodowski, któremu te słowa bardzo trafiały do przekonania, ścisnął starca za kolana; Filipowi zaiskrzyły się oczy; a na

twarzy Ewy błysnęła żywa radość i jakby tryumf, że męża wojennego serce podbiła; tytuł księżnej nie brzmiał tak mile w tej chwili w jej uszach, jak tytuł pani rotmistrzowej. — «Dla was, panie podkoniuszy — mówił jeszcze starzec — to z czem się tu popiszę nie będzie żadną nowiną; ale ciebie dzieciaku — dodał bijąc Owadowskiego po ramieniu — ciebie, na świecie nie było, a może i ojca twojego, kiedym ja tę zbroję przywdział i bił się w niej. Zaprawdę, były to czasy pomyślne i dla nas i dla Rzeczypospolitej, jakie już potem nie wróciły i podobno nie wrócą...»

A to mówiąc silną jeszcze ręką wysunął z pod łóżka ogromną, długą, dębową skrzynię, podniósł ciężkie wieko i okazała się jakby olbrzymia postać leżącego rycerza. Filip drgnął mimowolnie. Rozśmiał się starzec na głos. — «Żywego byłbym się, dalibóg, nie przeląkł» rzekł pan rotmistrz nieco zawstydzony. — «Myślałeś, dzieciaku, że to umarły? — domówił pan Dobiesław z uśmiechem. — Niedługo czekając, legnie w tej skrzyni umarły; śmierć wyciągnie do miary i wyprostuje członki skurczone dziś przez wiek; bo ta skrzynia, bratku, to moja trumna, a ten ubiór towarzysza pancernego, który nosiłem w najpiękniejszych latach mego żywota, będzie moim ubiorem śmiertelnym. — Wam młodym, co wam mleko jeszcze po brodzie ciecze — dodał spostrzegłszy ile ten widok zaćmił smutkiem twarze obecnych — wam młodym, pojąć trudno jak można przed czasem grobem się otaczać; ale nam zgrzybiałym i śmierci blizkim, którym świat codzień tańszym się widzi, słodko i zbawiennie mieć tuż koło siebie, owo ostatnie mieszkanie. Człowiek wie wcześnie jak z jego cielskiem będzie, a tem goręcej Pana Boga prosi, żeby się okazał miłosierny dla duszy. Nie raz kiedy mi się trafi niespać w nocy dla bólu albo kłopotu, i w ciepłej pościeli miejsca sobie znaleźć nie mogę, myślę z radością o owem zimnem łożu, gdzie mnie nic dolegać nie będzie. I moja panna równie przezorną jak ja; jedno codzień Matki Bozkiej proszę, żebym tego niewidział, jak ją tam złożą. To synów i wnuków sprawa — jam starszy, ja pierwszy śmierci się stawię.» — I tu wysunął drugą skrzynię nieco mniejszą z pod łóżka żony, otworzył ją, i ujrzeli w niej obecni ubiór zupełny zakonnicy. «Co kto lubi — rzekł stary z uśmiechem — i co komu przystoi. Ja księży szanuję, ale ani za życia ani po śmierci mnichem być niechcę; mojej pannie po ośmiorgu dziatkach, mniszką być się podobało. Wolno jej. — To mi habit i paciorki — powiedział nachylając się znowu do swojej trumny. — Patrz, dzieciaku, nie brak tu niczego; jest pancerz stalowy, jest misiurka, a z niej spuszczona kratka żelazna co nam zakrywała część twarzy, kark, ramiona i plecy; z ramienia przez pancerz wisiała ta oto szabla, łuk, kołczan; dziś, leżą spokojne, ale swego czasu chlastały one,

cięły, trafiały nieprzyjaciela Rzeczypospolitej ... U pasa krucice, czarka do picia, sztuciec z łyżką, widelcem i nożem, boć bez pożywienia żyć i bić się trudno; kańczug na łotrostwo i kilka łokci sznura do krępowania jeńców; zaprawdę, tak uzbrojony żołnierz jak dosiadł tęgiego konia był straszny i śmiały. Dziś, słyszę, więcej na lekką jazdę rachujecie; piechota zaczyna wchodzić w komput wojska, a szlachta nawet nie wstydzi się służyć w piechocie; za moich czasów mówiono: «Polska piechota — lichota» była to rzecz cudzoziemców najętych, kmieci i miejskich synków, szlachcic wzdrygał się konia porzucić; ja bym zda mi się nie uznał herbu pieszko.»

«Ja sam — odparł pan podkoniuszy — piechotę mniej sobie ważę lubo przyznać należy, iż w ostatniej wojnie przy dobywaniu fortec tęgo się sprawiła — za żadne skarby świata tego służyć bym w niej nie chciał ani dał syna; i uważam to za wielki dowód władzy naszego króla i wziętości Zamojskiego, iż potrafili zebrać kilka tysięcy piechoty, ze szlachty, herbowych zrzucić dobrowolnie z konia; ale chociaż mam największy szacunek dla ciężkiej jazdy, dla husarzy i pancernych, chociaż wiem, że na niej polega największa siła i ufność wojsk naszych, i że «póki kopii, póty Polaków» przecież lekką jazdę, jak ją zowiemy kozacką, wysoko sobie cenię. W naszych nagłych wyprawach i spotkaniach, ona dalipan najlepsza; ubiór lekki, nie kosztowny, koń szybki, do małych utarczek zwinny i zdatny, siodło i strzemię tak urządzone, że się na wszystkie strony obrócić można; dzidy, łuku, szabli, rusznicy, z jednaką łatwością używać...»

«Tak — przebąknął stary — boście już sami zdrobnieli i osłabli. Mnie cały ten wiek kark gniecie, bom się urodził porządnie, tysiąc pięćsetnego roku a podobnom wyższy od was.» — To mówiąc wstał, wyprostował się; i prawda, że lubo Podlodowski był jak wiemy z dorodnych, i także wstał i prosto stanął, dawny towarzysz pancerny o pół głowy go przenosił; takaż sama znowu była różnica między podkoniuszym i młodym rotmistrzem. — «Wszystko na dół idzie — rzekł smutnie pan Dobiesław — ze śmiercią starego króla i hetmana, i Rzeczpospolita umierać zaczęła. To mi był król, to hetman, to czasy! Możecie tam sobie zwać panowanie syna złotym wiekiem dla nauk — dodał patrząc życzliwie na Kochanowskiego — równać go z onym niegdyś rzymskim Augustem, może i dzisiejszy król być dzielnym wojownikiem, sprawiedliwym mężem i mieć walecznych koło siebie, już to przecież nie to co było za wielkiego Zygmunta, za ojca jego i dziada, owych zacnych Jagiełłów, a cóż dopiero za owych mądrych Kazimierzów i przesławnych Bolesławów? Wówczas mało komu było dane znać tajemnice państwa; dziś każdy chce być głową, nikt innemi członkami ciała, każdy chce mieć więcej władzy

i rozumu od monarchy i senatu, wszystko sobie chcemy wymyślać i nadawać sami, i wiarę i króla. Oj! te elekcye! elekcye! wymysł to dzisiejszy, który jeźli się utrzyma — Panie! nie dosłysz słów moich! wtrąci Rzeczpospolitę do grobu. Alboż tom ja nie był już dwa razy świadkiem owych gorszących tumultów? Alboż nie widzę jaką już odmianę zaprowadziły w sposobie myślenia, w obejściu się braci szlachty?...»

«Panie stryju — odezwał się tu nieśmiało Kochanowski — wszak od początku naród polski mianował sam sobie królów, a w żadnych konstytucyach nie wyczytacie, aby kiedy wyrzekł się tego prawa?»

«Co mi tam chłopcze, prawisz mądrze; — odpowiedział z żywością starzec — co było, jak było, co napisano, co wyczytano, nie wchodzę, to jedno wiem, że od starego Mieczysława, król następował po królu, syn po ojcu, i nigdy go nie brakło jak teraz za waszych czasów. Dziadowie nasi, jeźli chcecie dawali, przysądzali koronę, ale pewno nią nie frymarczyli. Nie obiecywał ją jeden Francuzowi, drugi Niemcowi, trzeci Moskalowi, a to nie patrząc bynajmniej, który będzie lepszym ojcem dla Rzeczypospolitej, ale który lepiej posmaruje mu łapę. Jestem szlachcic jeszcze od Rzymian, drogi mi każdy przywilej szlachecki, ale choćbym — czego broń Chryste Jezu — króla dzisiejszego przeżył, nie pojadę już na żadną elekcyą. Piękny mi przywilej spychać się z mostów, grabić mieszczan, i puszczać niesforną gawiedź w koło panów rad?...»

«Wybaczcie co śmiem wam przerywać — odezwał się tu Podlodowski — ale wielu braci szlachty dzieli wasze zdanie, sam król jasno tę rzecz widzi i niezawodnie mają być uchwalone porządne opisy elekcyi, które złemu dalszemu zapobiegną.»

«Opisy! opisy! — zawołał trząsając głową starzec — młodzik jesteś niedoświadczony, panie podkoniuszy, wszystko ci się widzi różowo, łatwo. Alboż to już nieupatrywano złego na sejmie Lubelskim, lat temu piętnaście? alboż nie wołano o opisy? Dawał rozumną radę marszałek Czarnkowski, popierał ją król, któremu także nie zbywało na łacińskim oleju. Wszystko rozpruł niecnik Drohojewski. Wszak ci to ów zuchwalec w moich oczach, w obec królewskiego majestatu, wśród koła starszej i młodszej braci porwał się do kija na Czarnkowskiego, wszczął zamięszanie i wszelakie mądre myśli udaremnił... Gdybyć jeszcze wybierała króla starszyzna, ludzie rozumni, Rzeczpospolitę miłujący, od województw wybrani, byłoby może pół biedy; ale wybiera każdy który tylko do krwi szlacheckiej przypytać się może, hołota luźna, bezbożna, krnąbrna, jadąca na elekcye jakby na obławę, byle zalać gardło i napełnić

mieszki. A kto pierwszy ten obyczaj uchwalił, oto wasz pan kanclerz, hetman czy starosta — bo i niewiedzieć jak go nazywać, podobno najlepiej jak w Babinie «Totum-fakiem.» Mądry to i zacny mąż nie przeczę, miłuje Rzeczpospolitą, dzielnie jej służy, a nawet dobry żołnierz z niego, ale gdzież to kiedy słyszano żeby taki co niedawno z teką do szkoły chodził, dziś już i pieczęć i buławę piastował. Za nadto on bierze na kark swój, nadto ufa rozumowi z książki, zbyt łechtliwe ma ucho na pochwały młodszej braci; dziś ma ją w kieszeni; będziemy zawsze mieli tego króla, którego on nam dać raczy, ale niech nie potakuje zbytecznie swawoli, bo nie zatrzyma on rozumem co rozumem rozpuścił, i sam tego pożałuje; a daj Boże, aby z nim nie pożałowała i matka nasza Polska stara... Dalibóg, ile razy wspomnę o tem co po mnie będzie, gorzki smutek zalewa mi serce. Już jakbym widział, jako ta zacna Rzeczpospolita w niwecz się obróci. Radujecie się wyborem królów, wolnościami waszemi, a oto haracz pohańcom płacicie. Kłócicie się u siebie, upominacie się o własną najmniejszą krzywdę, a kiedy Tatarzyn pół Polski plądruje, kiedy Moskwicin szarpie i urywa co może, wypędzić was przeciw nim nie można, grosza wydrzeć z gardła na broń, na konie. Bóg litościwy zesłał wam raz jeszcze — a bodajby nie ostatni — dzielnego i mądrego króla; ale wytrważ on długo przy żywocie jeżeli mu tak dopiekać będziecie? Dobreć on ma zęby, ależ trudno wszystkim się odgryzać. Wreszcie cóż on zrobić potrafi, kiedyście mu związali ręce? Wszak ci to on w najnaglejszej potrzebie, jednego żołnierza bez zezwolenia stanów zaciągnąć nie może; a oweż stany kiedy się zwykle zbierają? Wstyd mówić, najczęściej wtedy, kiedy nieprzyjaciel wpadnie, splądruje i łupy uniesie. Dawniej hetmani wetowali przynajmniej straty w krajach najezdnika, dziś im zaledwie przez ćwierć roku pozwalacie szukać pomsty za granicą. Dawniej królowie i hetmani wojowali według prawideł rycerskiego rzemiosła, czy cząstkami czy kupą, dziś, zabroniliście królowi rozdzielać was na części. Chcecie wszędzie chodzić kupą; oj! nie miłość to Rzeczypospolitej wami włada, ale obawa, aby nieukrócono w czem waszej swawoli. Oj! pójdziecie wy kiedyś kupą, ale jako wojenni brańce, pod panowanie wroga, co włoży jarzmo na wasze karki...» Tu mocne wzruszenie przerwało mowę starca; ulżyły ciężkiemu żalowi dwie łzy które stoczyły się gdyby perły po białej jak śnieg brodzie, a których ślady obtarł co prędzej z twarzy połą giermaka. — «Ej — przemówił z przymuszonym nieco uśmiechem — po co ja się też rozrzewniam jak baba jaka, po co wam to wszystko prawię i wymawiam, jakbyście temu co winni byli; wybaczcie staremu co ludzi rzadko widuje, dużo rozmyśla, co lepsze czasy pamięta, kraj nad życie miłuje, i któremu się zdaje, że wstałby z trumny, choć w kilka wie-

ków, gdyby obcy na grób jego wstąpił... Zapomniałem nawet przy onem gadaniu o przyjęciu was jak należy. Kachno, wódki, chleba, soli, co Bóg dał: nim obiad będzie, trzebać przepić i przegryźć trocha.»

Nie czekając na to wołanie męża, skrzętna gospodyni wraz z dziewką służebną postawiła już na stole flaszę kminkówki czystej jak łza, chleb pytlowy położyła, świeże pachnące masło, kiełbasy wędzone, szynkę odgotowaną, pierniczki, śliwki na rożenkach, i różne owoce suche i w syropie. «Wszystko to nie wytworne — powiedziała z pokorą — ale z dobrej woli wam ofiarowane.»

«Wiemy zdawna — odezwała się nasza Kochanowska — że u pani stryjenki wszystko smaczne; jedno się uczyć, a oblizować palce.»

«Ja zawsze mojej Hannie głowę suszę, czemu jej wódka nie tak wyśmienita jak Waszej Miłości?» — przemówił Kochanowski przyjmując od Podlodowskiego kubeczek wódki, który tenże jako gość z rąk gospodarza był już wychylił.

«Może pani Janowa włoszczyzn nie kładzie przepalając, ani surowego mięsa, jak my stare rabiamy; wszystko to smak łagodzi i odtręt oddala.»

«A cóż za doskonałe konfekta! — powiedział podkoniuszy — czy kijowskie? a piernik bez wątpienia toruński.»

«Kijowskie! Toruńskie! — powtórzył z uśmiechem pan Dobiesław trzymając przy ustach najmniej łokieć kiełbasy z którego już ugryzł dobry kawałek — słyszycie Kachno? — Wszystko co tu widzicie, mili panowie i bracia, Baryckie jest, nie kosztuje złamanego szeląga. I mogłoby bezpiecznie tak być w każdym szlacheckim domu, gdyby młode gospodynie równie były skrzętne a przemyślne jak stare; wtedy i w Rzeczypospolitej lepiej by się działo. Bo co dziś najwięcej nas gubi? oto zbytki, obczyzna, chciwość; bez pieniędzy ani wyżyć; trzeba ich co nie miara, na trunki, na sprzęt domowy, na szaty; a więc się przedaj, upodlij, kraj i duszę zastaw, byleś złota dostał. Dawniej, sami panowie chodzili w bławacie, obuwali szafranowe bóty; dziś, ubogiej szlachcie to co domowe nie przystawa, nie smakuje. Ja zaś powiadam: ani jadła, ani napoju, ani rozumu, ani wiary Polak z daleka nie potrzebuje; wszystko najzdrowsze i najlepsze co w domu; kuchenne rzeczy zkąd indąd przywozić, piwnice i śpiżarnie napojem i pokarmem postronnym napełniać, izby zastawiać sprowadzonym zdala sprzętem, zda mi się istnem szaleństwem. U mnie wszystko po staremu; co dom ma — to jest; czego niema, bez tego się i obejdzie: tak nasi rodzice się obchodzili, a żyli długo i wesoło. Łyżką cynową, na drewnianym talerzu człowiek się naje, aby było czem. Nie zobaczycie też u nas

srebrnych półmisków i złotych kubków; z glinianej miski jadamy, z czarki drewnianej pijemy...»

«I rzetelnie — zapytał się z ciekawością Podlodowski — Wasza Miłość nic nie kupujesz?»

«Ani na owinięcie palca — odpowiedziała jakby nieco obrażona pani Dobiesławowa — wstydziłabym się jeździć po strawę do miasta, jatki i apteki zwiedzać, albo żydowi się spowiadać.»

«Przecież — coś nie coś?...»

«Nic zgoła — dopowiedział starzec — i pocóżby, pytam się? Alboż to na wiosce gdzie grzyby i ryby, łąka i mąka, brakować czego może? W naszej Polsce jak wiadomo «jest z łaski nieba, żyto do chleba, len do płótna, owca do sukna, stado do koni, kruszec do broni.» Jak się raz z młodu w broń zaopatrzyło, to i czegoż szukać więcej?

«Ależ — dowodził podkoniuszy — jakże stół dostatecznie opatrzyć, gdzie korzenie, wino?»

«Wina nie pijamy — odpowiedział pokornie Dobiesław — i wybaczycie, że go wam nie dam; nie widujemy wina inaczej jedno na ołtarzu, przy mszy świętej, a nie kosztujemy go chyba raz na rok w kościele, w dzień Niewiniątek. Niema się tego człowiek napierać co się w domu nie rodzi; kiedy Pan Bóg naszej Polsce winnych jagód nie dał, a te co gwałtem od czasów królowej Bony sadzą, kwaśne są, znać iż Polak może być zdrów, i bić się tęgo bez wina. Piwo, miody, wiśniaki, maliniaki, gorzałka, azaż to nie dosyć i do ochłody i do zagrzania żołądka? W miejscu imbieru, pieprzu, i innych onych nieprzeliczonych korzeni, bez których jak słyszę, mało która kuchnia szlachecka dziś się obchodzi, mamy chrzan, gorczycę, jałowiec, kmin, anyż, majeran, szałwię, koper, rdest, nasionko wyborne, co go moja panna pieprzem polskim nazwała; mamy dla smaku grzyby, cebulę. Za limonie stanie nam agrest i jabłka cienko krajane, za rodzenki wiśnie suszone, za migdały orzechy, za cukier miód. Co nam po oliwach zamorskich, kiedy domowy olej z maku, dobrze czysto wytłoczony bardzo dobrze smakuje, równie tłusto omaści, i jeszcze od kurczenia się żołądek strzeże. O ryż nie dbamy, są natomiast rozmaite krupki. A co do tego czem stół zastawić, alboż to niema w ogrodzie jarzyn, alboż ja sobie wołu upaść nie mogę? a moja panna czy nie trzyma zawsze wieprza w karmniku? Są też i braki między owcami, i cielęta wszystkie trudno wychować; drób jest, w Bozkiej oborze zwierząt i ptastwa dostatek, w stawach ryb bez liku; kury jaja znoszą, krowy mleko dają, po sól jedno pojechać do Kazimierza — dalibóg, ani wiem coby tu kupić? Przedać — to nie mówię; gospodarz winien grosze zbijać, trzeba mieć kilkadziesiąt złotych w zapasie, na chwałę Bożą, na podatek w czasie wojny,

dla synów, na jaką nadzwyczajną przygodę własną lub braterską...»

«Lecz przecież są jeszcze rzeczy konieczne do domu — badał dalej Podlodowski widząc, że starych cieszy owa rozmowa — trzeba świec, mydła...»

«Mydło moja panna sama robi, nawet białe, co go to królowa Bona ze swego Baru do nas zaprowadziła — a byłoby się i bez niej i bez jej mydła obyło. — Co do świec, a kto w lecie o świecach słyszał? słonko do woli objaśnia, w zimie, jest ci tęgi ogień na kominie, to i widno w izbie; są kagańce tłuste dobrze postanowione, jest też i smolne łuczywo kiedy kto chce iść z miejsca na miejsce...»

«I wybaczcie, panie ojcze — przerwała gospodyni — mam ci ja i świece w zapasie, pani Janowa nauczyła mnie je robić; są łojowe i woskowe; łój jest raz na raz z naszego bydełka, a wosku obficie pszczółki nam dają; przedaje się trocha i mam już w komorze stós kręgów odłożonych do kościoła, do Gródka, da Bóg doczekać, jak go pan syn wystawi.»

«Wszystko to nic — odezwał się Kochanowski — i mojej Hannie przyznać to trzeba, że prócz korzeni i wina, których wychód nie wielki, i u nas wszystko co się pożywa, to domowe. Ale co dziwniejsza, pan stryj i pani stryjenka ani łokcia jednego materyi, ani jednej nitki nie kupują nigdy, a i zimą i latem, i oni i czeladź dobrze są odziani.»

«Jeszcze by też! na to nikczemne cielsko wydawać! — odburknął się pan Dobiesław. — Szaty wynalezione są dla wstydu i dla potrzeby, żeby nagość okrywały, od zimna i od gorąca chroniły, nie zaś dla zbytku. Jest swój len, swoja wełna, swoje konopie, a czegóżby więcej trzeba? Nasz sam król i z braćmi, kiedy był chłopięciem, w szłyku i w baranim kożuchu chadzał, a starej szlachcie miało by się chcieć bławatów? u mnie lnianka, parcianka, sukno, to czamlot, falendysz i aksamit; pani żona i dziewki kądzieli pilnują; mamy dwóch tkaczy, przedrzeć niemożna szat i bielizny co oni wyrobią; ze skór kozłowych i cielęcych mamy obuwie, ze spożytych baranów i jagniątek kożuchy, ze złapanych lisów szuby, z ubitych wilków futra na łóżka. Przypatrzcie się naszym łożom, zaprawdę wygodne a nie kosztowne; tapczan w domu sporządzony, wór z własnego płótna, siano codzień się w niem przetrząsa, a odmienia co sobota; mamy w Janowcu kuśnierzy; za parę korczyków zboża który z nich tu przyjdzie i co wypada zrobi; oto zeszłej jesieni wycelował tę wielką oponę z wilków, okrywa cały tapczan i na podłodze jeszcze kawał spory leży; ja na tych wilkach sypiam, i dalipan miękko staremu a ciepło. Do przykrycia się mamy koce wełniane, a na wierzch jeśli zimno lisy. Poduszki pierzem nasypane, co go moja panna z gąsek swoich skubała i darła, nasypki i prześcieradła z do-

mowego płótna. Za łóżkami na ścianach w miejscu waszych tureckich makat, są jak widzicie maty słomiane; uplotłem je własnemi rękami w zimowe wieczory, a od wilgoci i robactwa wyśmienicie chronią. — Łyżki drewniane, kubki sam strugam, kosze pletę, chodaki z łyka robić umiem, i wiele innych rzeczy co drudzy młodsi kupują. A na czemżeby człowiekowi czas zszedł inaczej? Wioska maleńka, większe synom się oddało; nie źle urządzona, wszystko idzie gdyby z płatka; jak wstanę ze słonkiem, trochę pochodzę, potem konia dosiędę, to i w parę godzin wszystko ułatwione w gumnach i w polu; na resztę dnia cóż zostaje? pacierze i robota ręczna; gość u nas nie koniecznie częsty, do starych obcy nie rad zagląda, chyba synowie, krewniacy czasem przyjadą, albo mój poczciwy Janek, chrzestnego odwiedzi. Jeden nasz wydatek, to na garnki, na miski i na żelaztwo; dwa razy do roku jedno z nas do miasteczka wybrać się musi i zostawić tam kilka złotych — aleć się więcej daleko przywiezie, to za wełnę, to za miód, za wosk, za masło, i inne rzeczy, których w domu spotrzebować trudno.»

«Apteka i lekarze, Bogu dzięki waszego grosza nie widzą» — podsycił znowu z uśmiechem Kochanowski.

«Uchowaj Boże! odrzekł starzec. — Wszystko to są nowe, obce wymysły, które się nie czepiają nas dawnych ludzi, cośmy chwała Bogu z granic Polski nie wyjrzeli, chyba ścigając nieprzyjaciela. Dobrze ja wiem, co «koń bez uzdy, Tatary przez Podole, pigułki przez brzuch, nigdy bez szkody nie przejdą.» Z owych Włoch, z owej Francyi przyszły na Polaków z ich zbytkami, jakieś dziwne, bezecne, a nieznane choroby, z chorobami leki i lekarze, co jeszcze złe pogorszyli. Są ci i bywały zawsze od grzechu Adamowego bóle cierpienia na człowieka; na przemienne, dał Pan Bóg każdemu krajowi właściwe ziółka, i baby leczyć niemi nauczył. Oto i moja panna zna się na wielu i umie dziwne sekreta; kiedy naprzykład chce chorego przeczyścić to bierze bzu polskiego, trzeba, żeby złe dołem poszło, to na dół skrobie korę, trzeba, żeby górą, to do góry, a jak da zażyć, zawsze jest oczekiwany skutek. Takie tedy i tym podobne mamy lekarstwa proste domowe na cierpienia przemienne, a co na śmierć nieodmienną, niema rady; nikt się od niej nie wybiega, czy król, czy hetman. Dlatego też w dawniejszych czasach, jak mi jeszcze ś. p. mój ojciec powiadał, sami duchowni byli lekarzami; choroby nie bywało innej jedno ostatnia śmiertelna; ksiądz kiedy bywało, przyszedł do chorego ulżył nieco ciału, a co ważniejsza duszę opatrzył... Ale mili panowie i bracia rozgadaliśmy się do zbytku o starych i domowych rzeczach, powiedzcież, proszę was, co się tam na świecie dzieje, co jest nowego? Prawdaż, co przecie Moskiewskiego czort wziął jako swego? możeć znowu Pan Bóg da

wojnę! A ten śmiałek Zborowszczyk długoż on tak gospodarować będzie po kraju? piękna mi władza króla i hetmana kiedy jednemu młokosowi dać rady nie mogą? — Lecz wyjdźmy przed dom, mili bracia, siądźmy sobie na krokwiach co się tam suszą na podwórcu, będą kiedyś służyć da Bóg choć na dzwonnicę w Gródku! słonko dogrzewa, żywioł to starego, a nie było jeszcze kiedy nacieszyć się niem latoś; białegłowy zostaną w izbie, aż nadto się dziś nasłuchały rzeczy poważnych.»

«Z Panem Bogiem i owszem — rzekła z udaną urazą gospodyni — za drzwi, co do wąsa; zostawcie nas same w izbie, nie braknie nam na wątku do rozmowy i do roboty.»

Poszli mężczyzni; nie ręczę czy pan rotmistrz chętnie wyszedł i czy się nie obejrzał parę razy, co pan Dobiesław to wypytywał się o wszystko, i ganił prawie wszystko, w sposób jakiegośmy próbkę już widzieli.

Tymczasem pani Dobiesławowa pogadawszy z synowicą i z Ewą, z pomocą dziewek swoich, a nawet z pomocą gości — gdyż między krewnemi przymusu i tajemnic wtedy nie bywało — zajęła się obiadem i zastawą stołu. Do zwyczajnej domowej strawy dodała parę półmisków, i nie wyszło dwóch godzin kiedy wezwała panów braci, przekomarzając się jednak z niemi: iż «możeby woleli, daleko od niewiast, rozmawiać do wieczora o poważnych rzeczach.» Ale oni — zdania pana Filipa na ten raz — nie chcieli słyszeć o dłuższym rozdziale; na świeżem powietrzu pamięć śniadania wywietrzała zupełnie, i gotowi byli spałaszować obiad. Dobiesław nawet naglił żeby szli co prędzej mówiąc: «Stare ustawy, świeże potrawy — najlepsze.»

Przed obiadem stanąwszy za stołem przeżegnał się, krótką odmówił modlitwę, a potem rzekł: «Proszę was, goście mili, pożywajcie co Bóg dał z weselem i posilcie ciało wasze.»

Obiad był bez wykwintu. Postawiono naprzód na środku stołu donicę krupniku z gęsiemi dróbkami, pachniał koperkiem i grzybami, a ziarnka białej kaszy jak prawdziwe perełki w nim się uwijały; na drugie, była tuczna gęś smażona z cebulą i z jabłkami, potem dano groch żółty okrągły z jagłami i z wędzonką; dalej dwie ryby: łupkiego dwułokciowego szczupaka i ogromnego a tłustego karpia, z niemi aż cztery polewki czyli sosy w miseczkach: do szczupaka jeden biały z chrzanem i ze śmietaną, drugi żółty z krokoszem, do karpia jeden szary i kwaśny miodowniku i z octem, drugi zupełnie czarny z powideł. Zakończył się obiad czterema kapłonami z rożna, z których goście ledwie kości zostawili, a kapłony były nadziane tartym chlebem pszennym z masłem i z pietruszką. Kochanowski osobliwie zajadał ochotnie i jadł jeszcze choć już drudzy skończyli; stary stryj rad patrzył na niego, a trochę

podniósłszy nad nim ręki, mówił: «Boże, daj ci na zdrowie!» — Przy rybach hojnie zlewanych wytrawnym miodem, i na końcu obiadu, pan Dobiesław raz jeszcze gości przeprosił, że niema wina. »Zdawna to tak bywało w Baryczy — powiedział — a inaczej w Sycynie, gdyż ś. p. brat Piotr lubił wino i miał go zawsze podostatkiem. Panowie bracia, o tem nie wiecie, a Janek może tej okoliczności winien swoją umiejętność pisania wierszy; pierwsze jakie złożył, będąc jeszcze dzieciakiem, były z tego powodu, chowam je też dotąd.» To mówiąc wstał od stołu, wziął książkę łacińską od nabożeństwa, w czarną skórę oprawną, której kartki niegdyś białe zupełnie żółte się zrobiły, i wnet wynalazł nie duży papierek wielkiemi literami zapisany i także już dobrze pożółkły. «Wróciłem był właśnie z wojaczki do mojej panny — ciągnął dalej — wyparliśmy byli z hetmanem Tarnowskim wojewodę Wołoskiego z Pokucia, spoczywałem w domu, aż tu przyjeżdża posłaniec od pana Piotra z Sycyny — gdyż tam jeszcze w on czas mieszkał, z tym oto karteluszkiem. Otwieram i czytam:

Dobiesławie
W twoim stawie
Na Baryczy
Ryb nie zliczy;
A Sycyna
Nie bez wina.
Złącz oboje
Ryby twoje
Z dobrą naszą
Wina flaszą.

Biegnę natychmiast do stawu. Bo trzeba wam wiedzieć, że od młodości byłem wielki stawiarz; po wojnie, nic mnie tak nigdy nie bawiło jak rybołostwo, i dotąd w porządek stawiarski równie dobrze jestem opatrzony jako i w żołnierski. — Zarzucamy sieć na szczęście pana brata; połów okazuje się cudowny, prawie taki jak on Piotrów w Ewangelii; szczupaki gdzie dłuższe od dzisiejszego, i karpie jak łopaty; dalejże ja na konia, a ryby na wóz; zastaję w Sycynie zjazd wielki, było to święto pani bratowej. Jedliżeśmy i pili, i dalipan nie znać było po mnie iżem wina nieprzyjaciel; dałem buzi węgrzynkowi, a Janka wszyscy chwalili; ksiądz Maciej rosł jak na drożdżach, matka płakała z radości, a chłopak przy stole wyciął nam łacińskie wierszyki.»

«Już to u mnie wtedy nie było nowiną — powiedział Kochanowski — wiersze sypały się jak z rękawa, łatwiej niźli teraz.»

«Możeć przecie i dziś powiesz nam jakie, Janku? — rzekł pieszczotliwie starzec głaszcząc poetę pod brodę —

słuchać starszych trzeba» — dodał grożąc mu palcem na nosie.

«Radbym z duszy — odrzekł Jan poddając się pieszczotom stryja — ale nic nowego nie przychodzi mi jak na złość do głowy.»

«Powtórz stare» — szepnął Podlodowski — te naprzykład coś dla mnie napisał: «Sława jedna zostaje po człowieku.»

«Nie — odparł Kochanowski — inne powiem, choć nie skończone.»

Kto ma swego chleba
Ile człeku trzeba,
Może nic nie dbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta, o wysokie grody.

To pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem:
Kto więcej szuka jawnie to znać daje
Sam na się, że mu jeszcze nie dostaje.

Siła posiadł włości
Kto ujął chciwości:
Trudniej to przyjdzie niż Turki shołdować
Albo waleczne Tatary wojować.

«A widzisz co się znalazły, i wyśmienite a prawdziwe — zawołał starzec — młodych pogłaskać nieco potrzeba, pogrozić trocha, i zrobisz z niemi wszystko.»

«Młodych! a te nici srebrne w głowie, panie stryju, co znaczą?

«Siwiejesz, Janku? być nie może; co się też to z dzisiejszymi ludźmi dzieje! A wieleż lat sobie rachujesz?

«Pięćdziesiąt czwarty kończę na wasze usługi.»

«Wszelki duch Pana Boga chwali! mnie się zdaje jakby nie było więcej nad tuzin lat od dnia jakeś to przyjechał do mnie na pożegnanie... Janku, pamiętasz łaźnię?

«Pół kopy z górą, panie stryju; ale i ja to pożegnanie pamiętam jak gdyby wczorajszą przygodę» — dodał poprawiając się na ławie.

«Mężu kochany — poprosiła nasza Kochanowska — opowiedzcie tę przygodę; młodym nie zawadzi słyszeć takie rzeczy.» — A wiedziała, że tem przypomnieniem i mężowi i stryjowi dobrej myśli przymnoży.

«Oto — zaczął Kochanowski spełniwszy kubek miodu, który mu stryj nalał — wiecie wszyscy, żem nie dokończył nauk w domu, ale mnie wcześnie matka i brat wyprawili między ludzi. Jakkowiek mnie cenili wysoko, i za mądrego

mieli, przecież osądzili oboje, iż ośmnastoletniemu parobkowi wypadało dać na drogę staropolski upominek. Ojciec już przed rokiem był umarł, ksiądz Maciej chory na suche bole leżał w Policzny, w wigilią tedy mego wyjazdu z domu, matka wysłała mnie do pana stryja z listem, i kazała mu go oddać do rąk własnych. Nie zamknęła go żadnym woskiem ni sygnetem, ale byłbym pewny, że ręka mi uschnie, gdybym się był ważył otworzyć go i przeczytać. Przyjeżdżam tu — oddaję — opowiadam jako już puszczam się w świat. Było to może na godzinę przed obiadem. Pani stryjenka wyszła za gospodarstwem. Pan stryj przeczytawszy po cichu list, i pogadawszy trocha ze mną, pyta mi się: «Używałeś dziś łaźni, Janku?» — «Nie używał» — odpowiadam w dobrej wierze. «To pójdź ze mną, pora po temu, zdrowo ci będzie.» — «Zgoda.» — Idziemy. Leżał tam stós chróstu w kącie, alem ja nań nie zważał. Aliści kiedy dobrze dodano pary i pot lać się mnie zaczął, pan stryj do chróstu; — a nie winniki to były takie jak nasze, panie Jakóbie, cośmy się dziś niemi głaskali — gałęzie grube a świeże, daj Boże zdrowia. Nuże jak mnie zacznie z całych sił okładać nie szczędząc przytem nauk, oczywiście jako chrzestnemu, jak się mam sprawiać na świecie, Pana Boga chwalić, starej wiary nie opuszczać, wstydu pilnować, matki nie zasmucać. Niewiem czy słowa były przejmujące czy cięgi skuteczne, alem płakał jak bóbr...»

«A nie krzyknął i razu — przerwał starzec z rozczuleniem — a gdym skończył padł mi do nóg.»

«Już cim ja dobrze wiedział iż tego dla uciechy ani przez gniew nie robicie, jedno na moje dobro i z polecenia matki. — O! jadłżem też obiad potem dzielnie! pamięta pani stryjenka; na koniu jednak długo przykro było siedzieć, dłużej jednak nawijał się suty podarek pana stryja, bo po staremu ociąwszy pogłaskał; po łaźni dał ścierkę, jak nasz Chrobry rabiał. Do samych Włoch za wasz grosz dojechałem, jak wiecie...»

Przy podobnej o dawnych czasach rozmowie, przy coraz nowym gąsiorku miodu zeszła jeszcze u stołu z jaka godzinka mile i wesoło. — Wstawszy, po zwykłych dziękczynieniach Bogu, gospodarstwu i obecnym, Kochanowski wziął stryja na bok, i opowiedział mu główny cel swoich odwiedzin. Ucieszył się starzec, wieść o dobranem małżeństwie zawsze była rodzinną radością; za panem Franciszkiem nie wstawiał się też nigdy, jak łatwo zgadnąć można. Żona jego już wiedziała o wszystkiem od naszej Kochanowskiej, oboje tedy dali najchętniej i z głębi duszy błogosławieństwo swoje młodej parze klęczącej przed niemi. — Gdy się to spełniło, pan Dobiesław szepnął coś swojej Kachnie do ucha, ona poszła do komory, i wnet wyniesła garnek natłuczony. Starzec trząsać nim zaczął, ozwał się dźwięk kruszcu; z różnych sztuk złota i srebra bitych

za Jagiełłów, zebrał złotych sześćdziesiąt, całą kopę, kazał Ewie nadstawić sukni i wsypał je. «Masz to od nas dzieweczko, na gospodarstwo, na on nowy klasztor do którego się zabierasz, wielu rzeczy potrzeba.» I zanócił piosnkę dotąd śpiewaną w takich razach między naszym ludem:

Trzeba jej dać
Nie żałować.
Trzeba jej na miskę
Trzeba jej na łyżkę
Trzeba jej na sitko
Trzeba jej na wszystko.
Trzeba jej dać
Nie żałować...

«A jak posłyszysz o naszej śmierci, Jewulku — dodała pani Dobiesławowa — westchnij tam za naszą duszę. Pan Bóg i z Ukrainy usłyszy.»

Te ostatnie słowa zmieniły radość wszystkich w tęskne jakieś rozczulenie, zwiększyło się jeszcze kiedy sędziwy Dobiesław żegnając się już z gośćmi swemi powiedział Kochanowskiemu całując go serdecznie: «Nigdym cię jakoś tak nie kochał jak dziś, mój Janku, nigdyś mi tak ojca nie przypominał; jakby coś we mnie mówiło: «Już go więcej nie zobaczysz — raz to ostatni.» — I nie dziwota, dla takiego dziada jak ja, któremu starość już trzecie wici okazuje, każdy dzień uproszony.»

I rozjechali się — ani przyszło komu wówczas pomyśleć, że nie stary Dobiesław był z brzega.

ROZDZIAŁ XI.

A ja zaś tak rozumiem, że do ożenienia
Nie stanu wysokiego, nie dobrego mienia,
Nawet ani gładkości tak wam szukać trzeba,
Jako wstydu a cnoty, darów przednich z nieba.

Dziewosłąb.

Ów dzień poniedziałkowy nie tak wesoło się skończył jak zaczął. Ledwie drużyna Czarnoleska wróciła do domu, ledwie matka zdążyła powitać stęsknione córki i czeladź, a ojciec popieścić cokolwiek swoją Orszulkę, która najpierwsza zoczyła zdaleka wracających rodziców — zaraz pan podkoniuszy oświadczył, iż jeszcze tego wieczora odjechać musi. Gorliwego królewskiego sługę korciło już mocno, że dla rodzinnych powinności i uciech, ukradł dni dziesięć obowiązkom urzędu. — Przyjaciel i siostra nie śmieli go zatrzymywać ile wiedząc, iż nie rad zmienia słowa. Wyjechał więc zaraz po wieczerzy na całą noc, nie tak suto opatrzony w żywność jakby gospodyni była życzyła, gdyż konno samotrzeć ruszył. Stanąwszy w Grodnie, po odebraniu rozkazów królewskich, miał natychmiast wyprawić posłańca i napisać Kochanowskim, kiedy będzie mógł zjechać na zaręczyny ażeby oni stósowne porobili przygotowania.

Pan Filip bez żadnego przymusu, jednak z wyraźnego rozkazu ojca — który jakkolwiek nie znał prawie miłości, wiedział przecież, że o niej człowiek marzy całe życie, a używa ledwie chwil parę — został w Czarnolesie; na to jedynie pozwolił Podlodowski, żeby go o mil kilka na pierwszy nocleg odprowadził, i młodzieniec poradził sobie dobrze, żeby ani jednej chwili widzenia Bogdanki nie stracić; na tę noc bez snu się obchodząc, wrócił do Czarnolasu ze świtem, a zdążywszy tylko wykąpać się w czystym stawie — jak miał codzienny zwyczaj — i przebrać się świeżo, stawił się wraz ze wszystkimi na odgłos dzwonu Ludwiny; na łóżko zaś Ewy rzucił nieznacznie wieniec, z urwanych w drodze przez las pierwiosnków i przyłaszczek; oznaka miłości wówczas bardzo używana przy najskromniej-

szych zalotach. Ewa w dowód łaskawego jej przyjęcia włożyła natychmiast wieniec na głowę i nosiła go póki nie zwiądł, bo od chwili powrotu z Policzny, nie było już nic tajnego w miłości Filipa; cały dom wiedział i mówił o rychłem zamęźciu starszej panienki; a stara Nastka podwoiła dawną ważność swoję, gdyż rozgadywała wszędzie i każdemu: że «ona nie kto inny wzbudziła ową miłość, w sercu przebranego kozaka swojem opowiadaniem w kuchni, że nawet poznała się na nim od razu.» — Czy tak było — niewiem, to jednak pewna, iż już nie jedno usłyszała dobre słowo z ust szczęśliwego młodzieńca, i nie jeden dostała podarek. Tak ujęta przestała nie tylko popierać pana Franciszka, ale i żałować go, że odkosza dostał, że go Ewa w grochowy wieniec ubrała. On zaś zaprzestał zupełnie uczęszczać do Czarnolasu. Kochanowski którego charakter otwarty i serce kochające nie mogły znieść żadnego udania, zwłaszcza z tymi co mu drodzy i blizcy byli, zaraz nazajutrz po wyjeździe Podlodowskiego pojechał do Policzny rozmówić się sam na sam z panem Franciszkiem. Zastał go jeszcze w łóżku pod pierzyną, i dobrą miał porę zawstydzenia go i wymawiania mu tak gorszącego lenistwa. «Nie dziwuj się, synowczyku — powiedział — że cię ubiegł w sercu Ewy taki, który dziś całej nocy oka nie zmrużył, mil kilkanaście czwałem ujechał, byle nie stracić jednej chwili oglądania swojej lubej.» — I opowiedział mu wszystko, tak jak się był z panią Kasprową ułożył; biedny pan Franciszek aż zapłakał, ale nieumiał odpowiedzieć i bronić się. W tym stanie upokorzenia nakłonił go łatwo stryj, żeby przecie raz wziął się do czego, świata przewidział, otrząsł się z tej gnuśności; a ukartowawszy wszystko z matką, posłali go naprzód do ziemi Stężyckiej, do syna pana Dobiesława, żeby tam się trochę przetarł, nimby do dworu Zamojskiego był oddany. — Pojechał nic nie mówiąc, milczał jak baranek, zrobił wszystko co kazano, jednak do Czarnolasu nie chciał ani raz zajrzeć nawet na pożegnanie: «Rozchorowałbym się niezawodnie» powiedział.

Nasi kochankowie tym czasem słodkie dni i godziny pędzili, a im więcej poznawali się wzajemnie, tem się i lepiej kochali. Ale ich obejście się i rozmowy nie były wcale w dzisiejszym wytwornym guście, obraziłyby i zgorszyły nie jednę wysokich uczuć damę; i jakkolwiek ich opisowi cały przeznaczyłam rozdział, lękam się, żeby nie był bardzo krótki i nudny. Tak mało jest do powiedzenia obojętnym, o niewinnej i szczęśliwej miłości. — Oboje tedy mimo tego, że się kochali serdecznie — jedli, pili, spali wyśmienicie; Ewa odpłakawszy przez dzień jeden czy obawę pójścia za pana Franciszka, czy myśl rozstania się z rodzicami zaniechała łez, zapewne myśląc sobie: że dosyć będzie wtedy płakać kiedy chwila odjazdu na prawdę już przyjdzie. Tymczasem zamiast coby się miała

pokryć uroczą, księżycową bladością, zajmującym smutkiem, jeszcze była kraśniejsza, weselsza niż zwykle, bo rumieniła się i śmiała daleko częściej. Zamiast powłóczyć zwolna kroki chwiejące i przywodzić obraz słabej i giętkiej rośliny szukającej podpory, raźniej jeszcze niż dotąd chodziła, biegała koło gospodarstwa, bo sporzej jej szły domowe zatrudnienia od czasu jak Filip na nią patrzył, jak jej pomagał, i dążyła z niemi jeszcze usilniej, żeby je pokończyć co prędzej, zasiąść do kądzieli albo do krosien, i rozmawiać z nim swobodnie.

Ale i te rozmowy jakżeby się wydały zimne, proste, gminne nawet, obok tych z jakiemi nas oswoiły teraźniejsze obyczaje i romanse? Nie było w nich ani słowa o spojeniu dusz, o morzu uciech, o nieśmiertelności kochania, o rozkoszy łez, o sile poświęcenia, o owych nadziemskich a przecież w gruncie bardzo cielesnych uczuciach, o niesmaku życia, o wstręcie jaki reszta ludzi wzbudza, i t. d. Ani Filip, ani Ewa nie tylko by się zdobyć nie mogli na podobne rozmowy, ale nie zrozumieliby ich z innych ust. Wolą Boga przeznaczeni sobie, wolą rodziców zmówieni, wiedzieli: że chociaż podobało się jedno drugiemu nawzajem, przecież dlatego jedynie wolno im jest się kochać, że wnet mężem i żoną się nazwą; o tej więc przyszłości mówili najchętniej, a ich czystych rozmów nawet dziewieza Ludwina słuchać mogła. On jej rozpowiadał o rodzinie swojej, o wychowaniu, o siostrze, o przybranym ojcu, za którego w każdej chwili gotów był dać życie; o wsi rozległej, co ich własnością będzie; wyliczał piękności i bogactwa zielonego Podola, szerokiej Ukrainy. «To zupełnie co innego jak u was, inne niebo, inna ziemia; rola raz nawozem spulchniona rodzić może przez lat dziesięć najwyborniejszą pszenicę; pod oziminę orzą dwa razy, pod jarzynę raz, i na tem cała uprawa się kończy; nie spracuje się tam ani człowiek, ani bydlę; te krainy powinnyby zamieszkane być jak tu żadna, i należałoby się żeby tam król przebywał, i sejmy zwoływał, gdyż niema żadnej części Polski w tak dogodnem i pięknem położeniu. Obaczycie sama, da Bóg, że tak jest, że ja we wszystkiem mam prawdę.» — «Ja też we wszystkiem wam wierzę» — potakiwała Ewa.

«U nas, w wielu miejscach niema potrzeby sadzić drzew owocowych, rosną same z siebie; wiśni, czereśni, tyle co chłopstwo ledwo przejeść je może; gruszki, jabłka, śliwki suszą, i całą zimę żywność zdrową mają; kawony słodkie i soczyste większe od dyń waszych rosną na polu. Gospodarze skrzętni gdyby na żart się zajęli sadem, wnet by najcudniejsze mieli owoce, prawie winogrona.» — «O! ja się nauczę od ojca i nasadzimy winnice — dopowiadała dziewczyna — będziemy potem mu przysyłać Studzienickie wino. Tego i dziadunio Dobiesław skosztuje bo nas nic kosztować nie będzie, krom trocha pracy.» — «A jakie to łąki nasze i pastwiska! co za

bydło! jakie konie! jaka woda kryniczna ze skał wytryskuje! Wasza Wisła szeroka i poważna, ale nasz szumny Dniestr gdzie piękniejszy; wody jego czyste, zimne, bystre, dziwnie zdrowiu pomocne. Nasze pola dotykają lewej jego strony; każę wam rozbić namiot, cośmy w wojnie moskiewskiej zdobyli, i będziecie się kąpać bezpiecznie, z kobietami dobrze świadomemi miejsca. W łożysku Dniestru w górach, ja sam znajdowałem kamyczki krzemieniem powleczone, w których ukrywają się drogie kamienie, czerwone rubiny i inne; w Łuczyńcu, niedaleko nas, jest głęboko w ziemi glinka miękka, mydlasta, która do prania płócien używaną być może; a jakie to lny u nas, dopiero prząść cienko będziecie...» — Ewa słuchając tego wszystkiego otwierała wielkie oczy; już z pewną pogardą na piaski i na sosny Czarnoleskie patrzyła, ziemią obiecaną było dla niej Podole. «To tylko bieda — mówił jeszcze — że lud daleko ciemniejszy jak wasz; nie mówią po polsku, nie umieją radzić sobie, ni to jarzyn przechować przez zimę, ni płótna dobrze wybielić — prawda, że to po części wina panów; jest ich nie wielu, gdyż posiadłości ogromne, a mało który w nich siedzi, mając inne dobra bliżej stolicy; druga rzecz, nie takie bezpieczne życie jak tu, oczywiście jak na pograniczu; jeżli nie od Tatarów to od Turków, a nie, to i kozacy umieją dać się we znaki.» — «Ani jedno, ani drugie nic mnie nie odchęca, ani straszy — mówiła Ewa — kiedyć mnie pan Łukasz wyuczył dosyć gładko łaciny, to wy mnie nauczycie daleko prędzej ruskiego bratniego języka; będę z kmieciami rozmawiać, będę ich tak odwiedzać jak naszych Czarnoleskich, będę ich uczyć różnych tajemnic gospodarskich, których mnie matka nauczyła, i obaczycie wnet złagodnieją. — Przy was, nie bałabym się też żadnej napaści, wy mnie obronicie.» — «I miałbym nawet gdzie was ukryć, broń Boże, jakiej straszliwej. — W naszej rzece Ladawie, nad samym Dniestrem jest skała, do której my jedno z ojcem wiemy jak się dostać i gdzie już po kilka razy chowano co było najdroższego w domu; tam jest jakby cerkiew i trzy cele wykute: musieli tam przed wiekami czerńcy mieszkać; ojciec niedawno kazał drzwi i okna porobić, samiśmy je osadzali, widok z nich pyszny i rozległy; opatrzyłbym tak, żeby wam i kobietom waszym na niczem nie brakowało — a skorobym pogodną chwilę upatrzył, zakradałbym się do was.» — Na takie opisy Ewa widziała się już w owej niedostępnej skale nad Dniestrem, witającą męża zwycięzcę, i kto wie, może i rada była w tej chwili, żeby znowu kiedy Tatarzy na Podole napadli. — «Za to — mówił jeszcze młodzieniec — nasze wieśniaczki ubierają się piękniej niż wasze (a właśnie kiedy to zaczął, przyszła była do Ewy dziewucha wiejska z jakąś prośbą, w grubej koszuli, w szarej ciasnosze, i w płachcie, którą i głowę i kibić nakryła); nasze

Podole już niedaleko owej sławnej niegdyś Grecyi, i nasze kobiety przejęły cokolwiek ze stroju Greczynek. Kiedy wychodzą z domu zupełne namiotki kładą na głowę; jak je rozpuszczą, całe są zasłonione do samych stóp, a kiedy je zdejmą, widać koszulę płonistą, nieco otwartą na piersiach, krótką spódnicę, zapasek krótszy jeszcze, a na głowie włosy splecione, jakby korona, wieniec zielony, i wstążki w kilku barwach rozpuszczone z tyłu; zaprawdę, strój śliczny, ale to też i kobiety nasze dorodne.»

Na ten raz nie podobał się jakoś Ewie ten taki szczegółowy obraz; nie powiedziała nic, lecz z większą jeszcze życzliwością niż zwykle dała odpowiedź czekającej — a suto szpetnej — dziewusze. Filip może bez namysłu tylko z instynktu, dał już pokój kobietom podolskim i strojom. «Będę też was miał gdzie wozić, i różne osobliwości wam pokazywać, — mówił — pod Jampolem, na Dniestrze jest poróg, zkąd na jakie dwadzieścia stóp wysokości woda spada; rzecz to prześliczna, mianowicie kiedy słońce świeci, jakby dyamenty się toczyły, wsród śnieżystej kurzawy. Pojedziemy i do naszego Mohilowa; dziwne miejsce! tygodniem całym wcześniej w nim wiosna, a tygodniem poźniej zima niż gdzie indziej; kiedy na górach otaczających miasto jeszcze saniami jeździć trzeba, tam już drzewa kwitną.» — «Czy i w Studzienicy tak?» — zapytała już udobruchana Ewa. — Filip kłamać nie umiał, nie przyszło mu też na myśl słówko, którem więcej wprawny zalotnik byłby się wywinął: «że gdzie ona będzie, tam wieczna wiosna;» nic więc nie odpowiedział, tylko tak dalej mówił: «Z Mohilowa pojedziemy przez wielkie, głębokie, długie doliny do Kamieńca, mil blizko dwadzieścia. Może kiedy i do starego Kijowa zajrzymy; na ośm mil w około dawne mury się ciągną i pyszne są cerkwie. W pieczarach pełno jest ciał umarłych niegdyś za wiarę świętą męczenników, które się nie psują a są cielistej barwy, wcale nie czarne. Jest tam osobliwie ciało dzieweczki, świętej Barbary; zaprawdę podobna wielce do waszej Ludwiny, ładnie a wdzięcznie patrzy, w długie i przejrzyste płótno odziana, z długiemi i miękkiemi włosy gdyby len... Wiele ona już serc nawróciła i nawróci ku Bogu, tem swojem wdzięcznem patrzeniem... Ten Kijów musiało to być wspaniałe miasto staremi czasy. Słyszałem sam od naszego księdza biskupa, Paca, iż do Kijowa aż ku Smoleńsku są podziemne przechody, co nawet pod Dnieprem są prowadzone; przezacna by to była a prawie nadludzka robota. Będziemy też zwiedzać i miejsca cudownemi obrazami słynące, Tynnę, Latyczew, Grodek, Wońkowce...»

«A i tam jest Grodek, jak tu nasz, co stryj Andrzej w nim mieszka — zawołała zdziwiona Ewa — ale wy mnie coś bardzo bałamucić chcecie tak wielkiemi podróżami? Matka nigdzie

nie jeździła, a ja ślubowałam naszej Matce Boskiej, że będę tak dobra jak matka; ojciec zawsze mówi: «Białogłowie domu pilnować należy. Biada tej co cudzych dymów patrzy.»

«Jedno też w pierwszym roku — zapewnił Filip — kiedy jeszcze nikogo do pilnowania nie będzie. Dalszych lat ja sam nie pozwolę.»

Na tę uwagę Ewa uśmiechnęła się, ale wnet spłonęła i spuściła oczy, Filip tak jeszcze powiedział: «Bo nawet dla potrzeb gospodarskich po różne rzeczy do miasta jeździć wypadnie, młodzi nie mogą dziś tak się obchodzić jak pan Dobiesław z żoną; należy tak robić jak inni. U pana ojca, jednego jest nadto, drugiego wcale, zwyczajnie jak tam, gdzie gospodyni od tylu lat niema. Ja bym rad żeby u nas tak było jak u waszych rodziców; jeszcze żaden dom szlachecki tyle mi się nie podobał.» — I tu dopiero rozpowiadać zaczynał szeroko Ewie, jaką to jest Studzienica. — Jeżeli byli w ogrodzie kreślił szablą na piasku gdzie stał dwór, gdzie stajnie, gdzie wieś, gdzie kościół udatny, który pan ojciec z bogactw na nieprzyjacielu zdobytych postawił, i coraz go czem nowem zdobi, gdzie inne zabudowania; gdzie się odbywają ćwiczenia i gonitwy rycerskie, gdzieby ogród, gdzie sad najlepiej założyć? kędy nową drogę poprowadzić? radził jej się o sprzęt domowy, o liczbę czeladzi, i o inne podobne rzeczy. A widać trudna musiała być rada — choć się nigdy nie spierali o sposoby — bo rozmowy ich codzień wznawiane nie wyczerpane były.

Kochanowska nie przeszkadzała im do nich bynajmniej. Wprawdzie sama poszła za swego męża nie przemówiwszy do niego więcej nad słów parę w obecności brata albo zakonnic, i była szczęśliwą, ale uważała to zdarzenie jako i cały los swój za traf nadzwyczajny, równie jak miała męża swego za nadzwyczajnego człowieka; w pospolitem życiu, z ludźmi pospolitemi, zgadywała, że wielką musi być ulgą i pomocą dla dzieweczki znać choć cokolwiek tego, któremu wnet całą siebie oddać przyjdzie, i ośmielić się do niego trochę. Już tedy jako prawdziwa matka wyzuwając się zwolna z praw swoich do córki, mniej dbając o własną posługę i wyręczenie, nastręczała sama Ewie jak najczęstszą sposobność rozmawiania z Filipem, zawsze jednak pod swojem okiem. «Słyszeć niemam potrzeby co bzdurzycie — mówiła do córki — wreszcie wiem, że mi to powtórzysz, lecz widzieć nieustannie was muszę; i pamiętaj to sobie raz na zawsze, teraz dla siebie, poźniej dla córek, jak ci je Pan Bóg dać raczy: panna uczciwa nigdy pokątnych rozmów mieć nie powinna — już ani wspominam z obcemi mężczyznami, bo mi się to widzi płochość zbyt wielka — ale nawet ze swoim Bogdanem; do samego ślubu zawsze starać się ma, żeby ją na każdy moment oczy ludzkie widziały. Na taką pannę nigdy nikt nic złego nie powie, choćby też jakim przy-

padkiem, zamierzone małżeństwo nie doszło do skutku. Zmówiny, to nie zaręczyny, narzeczony jeszcze nie mąż; i od ołtarza oblubieńcy się rozchodzą.»

«Dziwne też to były za tego Batorego matek nauki i bardzo nudne romanse — pomyśli sobie przeczytawszy ten rozdział nie jedna dojrzała światowa dziewica — za tych dawnych czasów tak zachwalanych ani warto było być młodą i ładną.» Młode zaś, niewinne i dobrze wychowane dzieweczki powiedzą na głos w tem miejscu: «Mój Boże! jak też ten świat nic się nie odmienia! Matka nas tak samo przestrzega, jak przestrzegano w szesnastym wieku, i my tak samo postępować chcemy.»

Lube dzieweczki, słusznie mówicie, na wszystko co dobre i piękne przedawnienia niema; błogosławcie matkę i idźcie za jej radami, skromność wasza i sława pewne; może nie tyle się nasłuchacie w oczy cukrowanych słówek, ale też was nie obmówią za oczy, może mniej użyjecie zabawy, ale więcej szczęścia, może mniej albo wcale zalotników mieć nie będziecie, ale pewno mąż zacny wam się trafi. «Cnota hojnie płaci utraty dla niej podjęte» powiedział mądry i pobożny pisarz.

ROZDZIAŁ XII.

Kto z gospodarstwa, a kto zaś z wysługi,
Zbierze dostatki i z kupiectwa drugi,
Jeźli się żona nie przyłoży ktemu,
Zginąć wszystkiemu.

I. 1.

«Cóż dziś moja Hanna tak nas do pacierza zagania? — szepnął jednego wieczora Kochanowski Filipowi widząc, że żona — ledwie co usta po wieczerzy otarli — już każe Ludwinie iść dzwonić na modlitwę. — Pewno, musiała coś arcynaglącego w swojej księdze wyczytać, i jutro chce wstać przed świtem. Ta księga, niewiesz jeszcze bratku, to nasz statut Czarnoleski, wszyscy rządzić się według niego musimy, i ty się nie wybiegasz.»

A wiedzieć trzeba, iż Kochanowska jako staranna gospodyni miała prócz kalendarza krakowskiego drukowanego — który oczywiście co rok się odmieniał — swój osobisty, pisany, wieczysty, czyli pamięć robót gospodarskich w każdym miesiącu, zacząwszy od pierwszego stycznia do ostatniego grudnia. Zebrane tam było dokładnie i prawie dzień po dniu: «co i jak przez cały rok z kolei robić wypada, żeby dom był zawsze zaopatrzony jak się należy, żeby czas się znalazł na każdą robotę.» Był to sposób najlepszy niezapomnienia o niczem i załatwienia każdej rzeczy w właściwą porę. Ta księga arkuszowa, w treści swojej bardzo ważna, użyteczniejsza podobno dla ziemianek od sztambuchów i albumów, oprawna była w skórę, zamknięta na srebrną klamrę, i pisana na pargaminie wielkiemi literami; każdą kartę przegradzał arkusz białego papieru: a to dla tego, że rok każdy nowe doświadczenie przynosił, i do nowych dopisków stawał się powodem. Znana i szanowana od dzieci, domowników i sąsiadek, leżała zawsze w pokrowie, na pulpicie, w oknie wspólnej izby, i nie raz zastać było można Kochanowską dumającą głęboko nad nią, albo też odczytującą głośno wyjątki z niej córkom i czeladzi.

Dosłyszała pani wojska słów nieco ucinkowych męża, a z przyrodzoną sobie wesołością odrzekła: «Zapewne, żem wyczytała; jutro wyjąwszy Waszą Miłość i wasz pokój, cały dom będzie w ruchu pod mojemi rozkazami i znajdzie się i dla gościa robota. Maj za pasem, wszystko do samej niedzieli wróży nam czas piękny, kalendarz obiecuje pogodę; jeźliby deszcz padał to chyba stronami — jak pisze — słońce też jasno zachodzi, sól sucha, jaskółki wysoko latają, żaby raźno skrzeczą, Nastka dzwony Zwoleńskie dziś słyszała — co zawsze stałą pogodę zwiastuje; trzeba przeto wziąźć się bez zwłoki do roboty zapisanej w moim statucie na początku piątego rozdziału. Wstąpiwszy — da Bóg — w przyszły miesiąc, wypadną inne zatrudnienia nieprzewidziane w tej księdze — dodała z uśmiechem patrząc na Filipa — a co z głowy, to zawsze zyskane. «Co masz dziś zjeść schowaj na jutro, a co masz jutro zrobić, zrób dziś» tak mawiali starzy ludzie.»

Nie przekomarzał się już więcej Kochanowski, owszem gorliwość żony i zamiar pochwalił; ona zaś prawdziwa kobieta, a zatem cokolwiek przebiegła, nie wymieniła głównej przyczyny dla której przyspieszała robotę zwykle w ciągu maja odbywaną; oto rada była zręczności popisania się od niechcenia przed przyszłym zięciem z dostatkami domowemi, i z biegłością swoją i córki w ich utrzymaniu.

Tą robotą bowiem był przegląd szatni i jej przewietrzenie. Ale trzeba naszym dzisiejszym czytelniczkom jaśniej to opowiedzieć.

W owych wiekach kiedy ubiory i męzkie i żeńskie trwały nie parę miesięcy jak teraźniejsze ale kilkanaście, czasem kilkadziesiąt lat, po wszystkich pańskich domach bywały izby, komory, często i budynki osobne przeznaczone na szatnią, czyli na schowanie wszelkich szat, to jest rzeczy należących do stroju, ubioru, odzieży, a do których liczyły się i niektóre porządki domowe, jako to: kobierce makaty, obicia, pokrowce, pościel i t. p. — Dozorca szat pana zwał się szatnym, miał kilku pachołków pod sobą, i był uważany za jednego ze znaczniejszych urzędników dworu; dozorczynią szat pani była panna wyprawna, czyli z wyprawą jej dana; rozkazów tej panny orszak dziewcząt słuchał. Oboje odbierali powierzone sobie skarby pod rejestrem, i przynajmniej raz do roku przed wyższymi od siebie urzędnikami, albo też i przed samem państwem liczbę ścisłą zdawać z nich musieli. — Zwyczaj ten bardzo chwalebny, który wiele oszczędzał, do wielu zbytków i nadużyć panom i służącym drogę tamował, rozsądnej hojności dogadzał, był naśladowanym przez gospodarniejsze domy szlacheckie, i Kochanowska rządna białogłowa, wprowadziła go i utrzymywała u siebie, z tą jedynie różnicą, że szatnia Czarnoleska nie była w osobnym budynku, ale w domu mieszkal-

nym pod dachem, nad bawialną salą, a ona sama była i szatnym pana i własną gieradną panną, naprzód z pomocą Nastki, a od lat kilku z wyręczaniem się starszych córek.

Nie jedna dzisiejsza polska gospodyni, w której podróże i pobyt w obcych krajach, zabawy światowe, nie wytępiły zamiłowania ojczystego gniazda i niewinnych uciech, jakie kobieta tylko we własnym kraju i domu mieć i kosztować może — nie jedną, mówię, prawdziwa Polka (a staje mi na myśli kilka podobnych w tej chwili), z rzetelną przyjemnością byłaby przejrzała szatnią pani Kochanowskiej, i ścigała ją samą we wszelkich zatrudnieniach i pracach, jakich wymagało utrzymanie tego składu, nie tylko w dnie przeglądu, który na wiosnę i na jesień się odbywał, ale przez ciąg całego roku. — Poddasze było obszerne i długie przez całą głębokość domu, z dwoma oknami na przestrzał; w środku były stoły, pod ścianami szafy z grzędami, z pułkami, skrzynie na kręglakach luzem stojące, żeby je zewsząd owiewało powietrze. Każda szafa, każda skrzynia szczelnie zamknięta obejmowała odmienne rzeczy: tu były szaty Kochanowskiego, tam jej samej; owdzie córek, tu nic tylko futra, tam bielizna, tu znowu domowe porządki, albo nietknięte jeszcze zapasy: półsetki płótna, obrusy, ręczniki, płócienka, drylichy, baje, sukna. — Raz w tydzień zimą czy latem, owa szatnia okurzaną i zamiataną była, wietrzoną, o ile razy dozwalała tego pogoda. W każdy wieczór sobotni, Kochanowska przychodziła tam z koszami, dla siebie, dla męża, dla córek; ku domowej wygodzie, brała co na tydzień potrzebnem być mogło, do czego znowu na dole w sypialnej komnacie miała przyzwoite schowanie. Nic do szatni inaczej nie wracało tylko czyste i całe; to czego już nie podobna było naprawić i nosić, odkładano w skrzynię osobną do głównego przeglądu i do ostatecznego wyroku; a zgadnąć łatwo, iż w domu nie majętnym a oszczędnym, gdzie sześć było córek, nie jedna szata już leżąca w ukryciu czas jakiś, wychodziła znowu na jaw wyczyszczona, przerobiona, ale coraz mniejsza. — Lecz do tego wszystkiego trzeba było zachodu, wiadomości i biegłości, i koniecznie należało zająć się tem parę razy do roku — z gruntu.

Nic tedy dziwnego, iż jak już nadeszła pora owego zajęcia, gospodyni była czynniejsza jeszcze niż zwykle, i raniej wstać chciała niż codzień. — Muszę nawet wyjawić, że Kochanowska nie spała dobrze tej nocy, choć i mąż i wszystkie dzieci były zdrowiuteńkie. O północy zdało jej się jak gdyby mocny deszcz padał, i wstała słuchać pod oknem; koło drugiej, znowu się obudziła: przez serce wykrojone w okiennicy promień księżyca do sypialni się wciskał, a ona myśląc, że to już słońce, zerwała się i ubrała, a choć się przekonała, że to jeszcze noc, bojąc się zaspać, od niechcenia już tylko na łóżku się położyła, i drzy-

mała lekko do świtu. — Skoro się ukazał, w moment jeden cały dom zbudziła a sama wyszła przed ganek.

Wszystkie wróżby pogody się spełniły, niebo było zupełnie czyste, czasem tylko lekki obłoczek, jak gołąb biały ukazał się na chwilę na błękicie i zniknął. Zacierając ręce z radości gospodyni zaczęła rozrządzać robotą i robotnikami. — Już za dworem, ze strony sadu, w tak zwanym ogrodzie, nie daleko ciennika chróścianego na łączce gdzieśmy pierwszy raz Orszulkę poznali, parobcy wbijali kilkanaście rzędów pali wysokości człowieka; na tych palach, skoro opadła rosa zaciągniono sznury, a po rannym pacierzu i sutszem niż codzień śniadaniu, zabrali się wszyscy do pracy.

Kochanowska rozpowiedziawszy dobrze starszym córkom i Filipowi w jakim porządku wieszać i rozpościerać szaty, poszła z Nastką na górę, i przez dziewki służebne posyłała suknię, futra, inne rzeczy, dopóki ich stało. Schodziły obładowane kobiety z trudnością, głowy im nie było widać przed stósem ubiorów, ale za to wracały lekko i swobodnie wyprzedzając jedna drugą, i ochoczo nadstawiały plecy i ramiona po ciężar nowy. — Gdy już wszystko w szatni wypróżniono, dziewki z miotłami i ze szczotkami zajęły się wyczyszczeniem poddasza, szaf i skrzyń. «Jeźli pyłku kurzu i ani jednej pajęczyny nigdzie nie zostawicie — powiedziała im pani odchodząc — czółko z pięknemi wstążkami każdą z was czeka.» Zabrały się do roboty z podwojoną ochotą, a ona zeszła na dół pańskiem okiem wszystko zobaczyć.

Już wszystkie sznury były zasute; niektóre nawet rzeczy, jako to kobierce, opony, makaty, sztuki całe rozciągnąć musiano na trawie, i piękny był widok tych szat rozmaitych i tkanin różnobarwnych. Rozjaśniło się czoło Kochanowskiej na widok tylu przyborów, a niektóre wzbudziły jej czułość. Tu wpadła jej w oko ślubna suknia ogoniasta, adamaszkowa biała z wielkim wzorem srebrnym, tylu tajemnych i rozmaitych uczuć świadek niemy, która już nieszczęsnej jej matce w podobny dzień służyła, wnet Ewie posłuży, i z nią na Podole wróci; — tu znowu spojrzała na kożuszek jarmuszkowaty tabinowy popielicami obłożony z szerokiemi rękawami, w jaki była ubrana, kiedy pierwszy raz zjechała do Czarnolasu, i obaczyła ten świat swój, gdzie miała żyć zawsze — i tak szczęśliwie. Tam dalej postrzegła kabat z atłasu amarantowego sobolem obłożony, który mąż jej kupił w Krakowie za pierwszą córkę; trzy razy go tylko miała na sobie, bo go chowa na dzień zaręczyn i ślubu dzieci swoich. — Na drugim sznurze wiszą mężowskie szaty: płaszcz rasiany, rewerenda falendyszowa, kołpak gładki aksamitny, jarmułka tabirowa, ubiór zupełny w którym za granicą chadzał, kiedy się uczył w akademiach i księdzem miał zostać; nieco bliżej, strój czarny dworski jedwa-

bny, trochę z hiszpańska, biret z piórami, krezy białe, bo Zygmunt August taki lubił i nosił najczęściej. Na obadwa niechętnie i niedługo patrzy Kochanowska, zawsze jej to przychodzi na pamięć, że kiedy je mąż nosił, jakaś tam Lidya, paryżanka, jakaś Hanna dworska panowały w jego sercu — woli przeto obejrzeć żupan jedwabny fiałkowy z wysokim kołnierzem, kontusz zielony aksamitny z guzami koralowemi, pas złocisty, czapkę aksamitną białą sobolem obłożoną, bo to ubiór jego ślubny; woli przyjrzeć się starannie futrom rozmaitym, z których nie jedne kosztowne i rzadkie. Bo wtenczas Polacy i Polki nie zbałamuceni klimatem zachodnich i południowych krajów, zgadzali się z własną strefą i stósowali się do niej, korzystając ochoczo i wdzięcznie ze wszelkiej obrony przeciw zimnu północnemu, jakiej nam hojnie udzieliła Opatrzność. Zamiast się starać o blondyny, koronki i wielkie robótki na przebój, dziś tak wzięte i przepłacane, a które i od wietrzyka letniego nie osłonią, dawne Polki w fütra się zaopatrywały, futra były ich odzieżą i strojem. Zawsze na kołku przy łóżku wisiał dostatni kożuszek, u bogatych sobolowy, u mniej majętnych popielicami, lisami, wreszcie królikami, barankiem podszyty; niewieście zrywającej się w nocy do dzieci, albo skoro świt do gospodarstwa, nie raz i w sierpniu nie wydał się zbytecznym, gdyż jak wiadomo tym co rano wstają, u nas «od świętej Anki, chłodne poranki» a i przed święta Anką nie tak wiele ciepłych. — Skoro zima nadeszła już Polka futra z siebie nie zdjęła; miała lżejsze, krótkie szaty niem podbite do domu, ciężkie, długie do kościoła, czy w sąsiedztwo. Do stroju, na wielkie zgromadzenia, do dworów królewskich i pańskich, aksamitne, adamaszkowe i atłasowe jej suknie, pod samą szyję, z długiemi rękawami, takoż futrem podszyte, a przynajmniej okładane były; naszych królewien najzamożniejszych wyprawy niemal z samych futer się składały; im białogłowa była bogatszą, tem ich więcej na sobie nosiła uważając ciepłych szat niedostatek za dowód srogiego ubóstwa; wszak nawet owe krostki, które występują na ciało z zimna, w naszym logicznym a tak często poetycznym języku sierotkami się zowią. I zapewne gdyby jaka matrona z czasów Zygmuntowskich obaczyła dzisiejszą polską elegantkę z której, w mróz trzaskający suknia koronkowa prawie do połowy ciała spadła, która do krótkich przed łokieć rękawów, ledwie się zdobyła na króciutkie do kostki rękawiczki i resztę gołej a zsiniałej ręki jak może przezroczystą chusteczką osłania — nie poznawszy się na tem, że owa suknia kilka tysięcy, a owa chustka kilkaset złotych kosztuje, litowała by się nad nią jak nad biedaczką i sierotą jaką, co niema czem się odziać; a gdyby jej kto z boku powiedział: że to bogata pani ale niewolnica mody, przeżegnała by się zapewne z podziwienia, albo też ruszyła by ramiona.

Ale też matrony Zygmuntowskich czasów owych dziwnych bolów i chorób rozmaitych, które dziś nasze Polki dręczą nawet z nazwiska nie znały; żadna, ani hetmanowa, ani kanclerzyna, ani senatorowa, tem bardziej prosta szlachcianka nie potrzebowała wód i lekarzy zagranicznych, włoskiego nieba; każda zdrowa, czerstwa, dzieci silne rodziła ojczyznie, poźniej i szczęśliwej dochodziła starości.

Kochanowska idąc za powszechnym przykładem i za własnym rozsądkiem, największe bogactwo szatni swojej zakładała w futrach. I ona i córki miały parę kożuszków codziennych i jeden od święta, miały i czuchy czyli szuby, a na wielkie mrozy spódnice ich nawet były futrem podszyte. Traciła może na tem kibić, ale zdrowie zyskiwało. Kochanowski miał także kilka futrzanych ubiorów zupełnych, delią, szubę; i ten był cel najważniejszy wiosennego przeglądu szat: żeby futra zimowe dobrze wytrzepane, ponaprawiane, ułożyć w skrzyniach — póki jeszcze robactwo lądz się nie zacznie — przekładając je smolnem łuczywem, przesypując pieprzem i różnemi ziołami, a potem owinione ściśle w płótna, zamknąć szczelnie aż do pierwszych dni października; pora, kiedy je wydobywano z więzienia, żeby znowu do maja służyły; miano bowiem w ów czas za jednę z największych kalendarskich bajek owe słowa: «Zima się zaczyna 21. grudnia, a kończy 21. marca.»

Ucieszona Kochanowska widokiem domowych dostatków i pomyślnym stanem szacowniejszych rzeczy, równie dumna jak troskliwy dowódzca kiedy przed nim sute i dobrane roty w porządku wystąpią, nie mogła na ten jeden raz oprzeć się pokusie; pobiegła do męża pokoju, zastukała do drzwi, chociaż wiedziała, że on tam rozmyśla i pisze, i prosiła żeby koniecznie przyszedł niebawem, bogactwa ich zobaczyć. — Właśnie pewien paru godzin wolnych, zdjął był z siebie zwierzchnie suknie, odpasał szablę, usadowił się wygodnie, i rzucał na papier pieśń co sobie był w myśli ułożył, wracając dziś z pola; uderzył go był nagły postęp wiosny, szeroką Wisłę widział z daleka, gdyż jeździł do wzywającego jego rady sąsiada. Tyle już był napisał:

> Serce rośnie patrząc na te czasy!
> Mało przedtem gołe były lasy,
> Śnieg na ziemi wyżej łokcia leżał
> A po rzekach wóz najcięższy zbieżał.
>
> Teraz drzewa liście na się wzięły,
> Polne łąki pięknie zakwitnęły,
> Lody zeszły, a po czystej wodzie
> Idą statki i ciosane łodzie.

Teraz prawie świat się wszystek śmieje
Zboża wstały, wiatr zachodni wieje;
Ptacy sobie gniazda omyślają
A przededniem śpiewać poczynają...

Przecież chociaż dopiero był w połowie tak miłego i gładkiego utworu, na pierwsze zawołanie żony położył pióro, a wdziewając na siebie złożony kontusz, mówił sam w sobie: «Należy mężowi brać uczestnictwo w pracach dobrej żony, ona nieboga cały rok się trudzi, i nie wymaga innej zapłaty nad dobre słowo moje.» — Poszedł więc — a skoro spojrzał na ubarwioną łąkę uśmiechnął się nadobnie i rzekł: «Panie rotmistrzu, nie zdaje się wam, żeście z ojcem jaki obóz tatarski zabrali, i w namiotach carzyka i ułanów znaleźli moc dostatków. Pani żono! wy cichaczem musicie się bawić z dziatwą podobnemi wyprawami, bo ja dalipan tylu domowych przyborów nie pamiętam.»

«Są ci tu i tatarskie, i moskiewskie, i tureckie zdobycze» odrzekła Kochanowska, a to mówiąc pokazywała mężowi i Filipowi podarunki braterskie w rozmaitych czasach im przysyłane.

«Zaprawdę — powiedział poeta obszedłszy sznury na których szaty jego wisiały — jakbym kronikę mego życia czytał! Ten kontusz piaskowy wytarty i taki szczupły, któregobym dziś ani dopiął, przerobiony z ojcowskiego żupana; miałem go na sobie kiedym poznał drogiego przyjaciela; on był świadkiem naszej zmowy, on słyszał naszą przysięgę, Jakób przypomniał by go sobie pewno od razu. A ów zagraniczny, ów dworski strój! o! dobrze co gadać nie umieją, miałyby wiele do powiedzenia... Ręczę, co tam w kieszeniach jeszcze by znalazł jakie wierszyki krotofilne czy miłosne:

Lubesz me wesele, lube me biesiady!

albo

Matko miłości
Szafarko trosk i radości...»

«Już ja zdawna wszystko wytrząsnęłam — przerwała Kochanowska nie bardzo rada przypominaniu tych czasów i wierszy zwłaszcza przy córkach — móle najsnadniej w papier się wdadzą, rzecz niebezpieczna. Ale panie mężu, ja nie dla samej mojej uciechy was tu zwabiłam, musicie mnie dopomódz w jednej ważnej sprawie.» — To mówiąc odprowadziła go cokolwiek na bok, a głos spuściwszy tak powiedziała: «Przy Bozkiej pomocy zdaje się być rzeczą pewną zamęźcie naszej dzieweczki; po zaręczynach wypadnie zaraz myśleć o wyprawie; nie podobna inaczej jedno uczciwie córkę opatrzyć i dać z domu, a jeszcze najstarszą! Chciałam tedy za jedną drogą odłożyć co będzie można, i z radą waszą.»

«Zupełnie w tem na ciebie się zdaję, Hanno moja — odpowiedział Kochanowski — ty się na tych rzeczach lepiej znasz; rób przeto co jedno zechcesz, pamiętając przecież, iż Ewa jakkolwiek pierworodna nie jedynaczka, i że da Bóg doczekać cztery takie wyprawy, matko, będziesz miała do dokonania.»

«Pięć, panie mężu, pięć — odrzekła z żywością — jedna Święta nasza co niczego nie potrzebuje i potrzebować nie będzie; jej najlepsza cząstka już się dostała, patrzy na te wszystkie kosztowności, jak drugi na błoto; ale co Orszulka, ta dostanie odemnie sutą, bogatą wyprawę, a choć najmłodsza, doczekam przecie tego, żebym ją także do ślubnej łożnicy w moim amarantowym kabacie zaprowadziła. Patrzcie sami, jak ona tu ciągle biega, śpiewa, chwali, śmieje się. Jak się przygląda teraz ciekawie owej zielonej bławatnej sukni z tureckim haftem — schowam ją dla niej... Orszulko, Orszuleczko, chcesz życie moje, daruję ci tę sukienkę? — wołała na nią pieszczotliwie.

«A mnie na co? — odpowiedziała dziecina — i według swego zwyczaju poczęła sobie biegać i śpiewać rymując:

Te stroje
Wezmą siostry moje,
Orszulki szaty
Giezłeczko i kwiaty.

Ojciec już zapominając i wierszy zaczętych w pokoju, i rad które miał dawać żonie, zajął się cały ową najdroższą pociechą swoją, poszedł z nią i długo bawił się jej słowy, jej wdzięcznemi żarty; to mu trafiała ukłon pana rotmistrza, to wyrażała wspaniałą postawę Podlodowskiego, to udawała obyczaje panien i dziewcząt, które były w Czarnolesie ostatniej niedzieli; to jakie bądź on jej powiedział wiersze, zatrzymywała je w pamięci jak gdyby na kamieniu się wyryły, a co chwila obejmowała jego szyję rączynkami swemi, jakby mu dziękując, że ją nie oddala od siebie, że jej pozwala z nim się nacieszyć. O zaprawdę dziwić się nie było można Kochanowskiemu, iż tak miłuje to dziecię, bo rzadkie to było dziecię i z rannego rozumu i z dziwniejszej jeszcze dobroci i czułości, i sprawdzało te słowa:

Iż ledwie się kiedy dziecie urodziło
Coby łaski rodziców swych tak godne było.[1]

Tymczasem Kochanowska ciągnęła dalej rozpoczęte dzieło. Córkom rozdała roboty, Ewie zszywanie porozparanych futer, Dorocie wybieranie ze starej bielizny lepszych kawałków na

[1] Thren XII.

onuczki, a była nie mała potrzeba płótna na tyle osób — dwom młodszym kilka szat do sprucia dla łatwiejszego przerobienia. Ludwinie zaś w takim razie dostawało się zajęcie zgodne z jej sercem, i naprzód się cieszyła na nie. Jej było poruczone upatrywać i odkładać rzeczy, które już jedynie dla ubóstwa przydać się mogły, a które potem połatawszy, przerobiwszy własną ręką rozdawała według potrzeby, to wieśniakom Czarnoleskim i ich dzieciom, to przechodnim żebrakom. Bo Ludwiny pobożność była razem oderwana i czynna; a jeźli jej anielska dusza najczystszych rozkoszy używała w modlitwie, w rozmyślaniu, w czytaniu ksiąg świętych, jeźli dla niej samej, Bóg wystarczał zupełnie, lubiła żeby przez nią drudzy dóbr i pociech ziemskich używali i to było jej najsłodszą uciechą. Kiedy ją kto chwalił z tego wyzucia się samej siebie, a wylania się całkowitego dla bliźnich, mawiała z głęboką, z rzetelną pokorą: «Czego mnie chwalicie? ani ja się sama stworzyła, ani ja się sama wychowała, Bogu a rodzicom chwała.» I dla tego to wyższe jej usposobienie, nie było nikomu natrętne, nie pokorzyło nikogo, ani też ją samą wbijało w dumę i w tę myśl, która tak często jest skopułem dla doskonalszych, więcej duchowych osób: iż są wyżsi nad sferę swoją, i marnieją w niej żyjąc.

Ale wróćmy do Kochanowskiej.

Po wielokrotnem obejściu sznurów i troskliwem liczeniu na pięciu palcach, po głębokim namyśle i długiej naradzie z Nastką, odłożyła na bok część starszej córki do wielkiej skrzyni, która już oddawna Ewy imieniem naznaczona była; zamawiając jednak u samej siebie, iż rozpatrzy się jeszcze w tych rzeczach za dni kilka, i wezwie do ostatecznego sądu nietylko męża, ale i brata, skoro wróci. Kiedy idzie o to żeby drugich dzieci dla jednego nie skrzywdzić, możeż dobra matka być nadto troskliwa? — Suknia tylko ślubna bez żadnego namysłu i pytania się odłożoną została dla przyszłej pani rotmistrzowej, chociaż w całej szatni nie miała równej sobie; był to już przywilej starszeństwa, na który sarkać, młodsze siostry nie miały żadnego prawa; i Ewa podobnież, choćby jej Pan Bóg dał dziesięć córek, dla najstarszej zachować ją była obowiązana.

Dokonawszy co było najtrudniejszego, już dalsza robota poszła Kochanowskiej jak z płatka. A chociaż dopiero w sobotę przed wieczorem zdążyła uporządkować wszystko w szatni, chociaż przez te wszystkie dni prawie ciągle była na nogach — co w jej stanie mogło być z jaką szkodą na zdrowiu — przecież więcej daleko doznała uciechy niż zmęczenia. Nie brakło jej też na pomocy. Dwóch kuśnierzy i dwóch krawczyków sprowadzonych wcześnie z Kazimierza, co trudniejszego było podszyli, pocerowali, skroili, uszyli; córki pracowały także sercem

całem, nawet Orszulka, która już umiała pomódz do każdej roboty, która w posłudze rodzicom wszystkie sługi wyprzedzała, która nawet klucze matki często nosiła i wiedziała gdzie co znaleźć, jak do wszystkiego trafić. — Pan Filip też nie dopuścił nikomu pierwszeństwa w dzielnem a ostrożnem trzepaniu futer kosztowniejszych i szat, w przyzwoitem i ścisłem układaniu ich w skrzyniach; uważano tylko, że skrzynię Ewy imieniem oznaczoną, bardzo tymczasowo pakował. Kropla deszczu nie padła przez te wszystkie dni chociaż kilka razy wiatr się zrywał i niebo groziło; wyznać też należy, że młodsze dziewczynki w piątek rano wzięły dobrze rózgą, żeby — się lepiej modliły o pogodę. Słowem Kochanowska w wieczór sobotni odpoczywając w izbie przy kominie, kazała Ludwinie zapisać w księdze pamięci pod artykułem szatnia na białej karcie między kwietniem a majem następującą przestrogę:

«Pilnować odtąd żeby ile możności przed końcem kwietnia odbyty był przegląd zwyczajny wiosenny, gdyż to jest pora najlepsza, jak mieliśmy tego jasny dowod latoś roku pańskiego 1584. Zaczęliśmy w imię Boże w dzień pięciu świętych papieżów, a skończyli pomyślnie w dzień ś. Witalisa. Panu Bogu niech będzie chwała i Matce Najświętszej. Amen.» — Czy jednak ta przestroga na drugie lata nie okazała się mylną — za to ręczyć bym nie śmiała? Tak rzadko kiedy rok do roku podobny, nietylko w pogodzie!

ROZDZIAŁ XIII.

Szlachetne zdrowie — nikt się nie dowie
Jako smakujesz — aż się zepsujesz;
Tam człowiek prawie — widzi na jawie
I sam to powie — że nic nad zdrowie
Ani lepszego — ani droższego.
Bo dobre mienie — perły, kamienie,
Także wiek młody — i dar urody,
Miejsca wysokie — władze szerokie
Dobre są, ale — gdy zdrowie wcale.
Gdzie nie masz siły — i wiek nie miły.
Klejnocie drugi — mój dom ubogi
Oddany tobie — ulubuj sobie.

— II. 30. —

Kochanowska uradowana pomyślnym skutkiem jednej roboty, wnet zebrała gromadkę swoją do drugiej. — Deszcz jak gdyby tylko czekał na ukończenie przeglądu szatni spadł był obfity; z razu zimny ocieplił się był stopniami, zajaśniało też potem słońce i maj przyszedł jak zawsze przychodzić powinien, zupełnie zielony i kwiecisty — ziół zbawiennych i kwiatów leśnych rozwinęło się mnóstwo. — Troskliwa gospodyni nie mogła opuścić tej pory, ile że ją miała zapisaną wielkiemi literami w księdze pamięci; przy śniadaniu więc we wtorek widząc męża dobrej myśli zapytała się:

«Panie mężu? — nie zechcecież nam dziś towarzyszyć na wielką pieszą wyprawę?»

«Pani żono — odpowiedział — wiesz zdawna, że ja trzymając z moim Jakóbem i z całą bracią szlachtą, piechoty nie koniecznie szacuję. Weźcie pana rotmistrza z sobą; chorągiew pod którą dziś służy potężniejsza niż cała moc hetmańska i cała zręczność Urowieckiego; gotów więc pewno i na piechóra, w razie zaś będziecie mieli lepszego odemnie obrońcę.»

«Jużem prosił o tę łaskę i otrzymałem ją» — rzekł z uszanowaniem młodzieniec.

«Aleby nam z wami jeszcze raźniej było — nalegała Kochanowska — i przy tej pięknej pogodzie pewno by się jaka piękna pieśń urodziła.»

«Poszedłbym ci jak najchętniej nie dla pieśni ale dla was, ale dalipan, mam wiele do roboty; miesiąc to najpracowitszy dla gospodarzy się zaczął, a rok ten dał Pan Bóg wczesny, wszystko jak na drożdżach rośnie: trzeba chmiel podpierać i zakładać na tyczki, winnych gałązek muszę nałamać i nasadzić, bo jedno patrzyć rychło latorośle puszczą pąpowie. Mam też jeszcze i naszczepić kilkanaście płonek nad Dzbukiem, trzeba kazać przysposobić gliny, bo wiadomo, że ściany się nie padają kiedy je w tym miesiącu lepić; zboże w śpichlerzach należy przerzucać i o pszczołach pomyśleć; w tych dniach najlepiej smarować dziurki w ulach mlekiem owczem, będą się prędzej pszczoły roiły; — zgoła, roboty jest co nie miara; trudno ją wszystką przeliczyć, cóż dopiero przerobić; wiecie także, iż niema się na kogo spuszczać, samemu dojrzeć najlepiej, wiecie i to, że spieszyć się wypada, bo lada chwila zawita posłaniec z Grodna; już mnie nawet kłopocze, że do tej pory nie nadjechał...»

«Pójdziemy więc sami — powiedziała przekonana Kochanowska całując męża w rękę — waszym pracom szczęść Boże; a nie kłopotajcie się o pana brata; my dnie liczyli z panem Filipem wczora w wieczór, dopiero jutro spodziewać się należy wiadomości.»

«Może i dobrze mówicie — odrzekł Kochanowski — ale ja się nie pytam dokąd i poco ta wasza piesza wyprawa?»

«W pole, do lasu, po zioła i kwiaty, ku potrzebom apteki, wanny i kuchni. Zwykle przez lato odprawiamy ich kilka, jeźli pamiętacie, ale wiosenna najszacowniejsza, gdyż wiele jest ziół póty skutecznych, póki młodziuchne...»

«Dziwna rzecz co ta młodość niczemu nie zawadzi — odrzekł wesoło pan wojski — wyjąwszy winu i wierszom — dodał obaczywszy przez okno nadjeżdżającego z daleka zakazanego wierszokletę Tomasza Bielawskiego, który jak wszyscy tego bractwa członkowie, lubił namiętnie czytać głośno przenudne swoje płody, i jak mógł najczęściej do Czarnolasu zajeżdżał. — Weźcież go z sobą, ja z nim zostać nie chcę; zwój papierów ma widzę pod ramieniem, pewno już skończył swojego Myśliwca; przed pół rokiem czytał mi cztery obroty a obiecał jeszcze dwanaście, nie głupim czekać; gdyby nalegał, gotówbym mu powiedzieć ową Fraszkę, com dla Bączalskiego zrobił:

Nie przeto pytam, Pietrze, gdzie się chcesz przechodzić,
Abym się miał na jednę drogę z tobą zgodzić;
Ale gdziekolwiek ty chcesz, to mnie tam nie w drogę,
Bo twego głupstwa słuchać — już dalej nie mogę.

I Kochanowski przywitawszy na prędce wchodzącego gościa, wymówił mu się grzecznie nagłemi zatrudnieniami i uciekł jak zmyty, a pan Bielawski posiliwszy się na prędce smacznem śniadaniem, musiał rad nie rad iść w pole. Nie rozstał się jednak ze swoim zwojem, lubo Kochanowska oddawna go znająca, groziła mu, że z tego papieru trąbki porobi, jak jej miejsca na zioła w koszach nie zostanie.

Lecz nie było tej obawy, wszystkie nasze dziewczęta, Nastka i dwie dziewki kuchenne stawiły się uzbrojone w koszałki, w kosze, a nawet i w wielkie płachty, było przeto gdzie mieścić, choćby najobfitszą zdobycz.

Ruszyli tedy wszyscy, Kochanowska na czele; Ludwina tylko została: uboga komornica umarła właśnie tej nocy, była przy jej skonaniu, własną ręką zamknęła jej oczy, a teraz poszła obmyć ciało, modlić się nad niem, pocieszyć, nakarmić, opatrzyć pozostałe dziatki.

Nasza drużyna weselsza, ale zapewne nie więcej szczęśliwa od świętej dzieweczki, pełna była żartów, piosnek i śmiechu, jak to zwykle bywa, na wsi, na wiosnę, w rodzinnem i swojem gronie, i na swojej ziemi. — Nie zawadzał nawet i pan Bielawski, gdyż był z liczby owych dziwnych i wygodnych ludzi, co to śmieszni i nie mądrzy, ale pozwalają żartować z siebie, bo dobrzy w gruncie i pokorni, są tylko opanowani jakimś rodzajem manii czy lekkiego szaleństwa.

Tymczasem pani wojska dobrze miejsc świadoma, zaprowadziła gromadkę swoją w pola na pozór nieurodzajne, w odwieczne odłogi, lecz gdzie w zamian zboża, na piasku, na kamieniach i wydmuchach, wśród jałowców i berberysów, w dołkach, na wzgórzach, wiele szacownych ziół rosło. Rwali je wszyscy ochoczo, na wyścigi, każdy rodzaj kładąc osobno, a Ewa, która się najlepiej bawiła, najwięcej śmiała, zebrała przecież najwięcej; może i nie trudno odgadnąć przyczyny? Filip zawsze był przy niej i oddawał jej co znalazł. — Poszli potem na brzeg lasu, a gdy słońce dobrze w górę się wzbiło weszli w głąb; tam obfite zebrali żniwo kluczyków, inaczej zwanych pierwiosnkami, których kwiat żółty i pachnący sparzony ukropem, wybornym jest napojem na uspokojenie krwi, a moczony w okowicie, suche bóle skutecznie leczy.

Po kilku godzinach chodzenia, schylania się i pracowania wróciła ochocza drużyna z tak sutym plonem do domu, że pana Bielawskiego — który w ciągu całej przechadzki błagał na próżno żeby gdzie siedli i posłuchać go chcieli — już bardzo strach brał o jego papiery. — Zaraz po obiedzie wzięli się wszyscy do dokończenia dzieła, to jest do oczyszczenia z piasku, z niepotrzebnych liści i trawek zerwane zioła, i do zrobienia z nich przyzwoitego użytku. Jednemi czysto oskubanemi jako to kłuczkami, piołunem, macierzanką, napełnione zostały

próżne gąsiorki i nalane okowitą, inne jak n. p. oman prawy, rozchodnik, przeznaczone zostały do usmażenia w tłustości, jako bardzo pomocne na rany, a najwięcej ziół zaniesiono na górę pod dach. Tam obok szatni, była suszarnia gdzie na stołach i pułkach — jak wypadło — to zioła i korzenie, to krupy, mąki, grochy, suszyły się i wietrzyły, bo Kochanowska w tem jednem pozwalała sobie, i na to mąż rozsądny i wyrozumiały bynajmniej jej nie żałował, żeby miała gdzie wygodnie się rozpoztrzeć ze swojem gospodarstwem. Sama nie posiadała osobnego pokoju; komnata z niżą była sypialnią i dla męża, i dla niej, i dla dzieci, w spólnej izbie cały dzień siedziała, albo w oknie, albo przy kominie, według pory dnia i roku; ale za to miała nietylko szatnią i suszarnią, ale inne jak wtedy zwano komory. Miała na górze ogromną śpiżarnią, skład główny krup, mąk, okrasy, grzybów, owoców suszonych i innych gębnych grubszych zapasów, a na dole pod ręką skarbczyk czy apteczkę, gdzie były smaczniejsze, kosztowniejsze rzeczy. W tej apteczce całą jedną połać przeznaczyła szacownemu zdrowiu. Tam stały gąsiory z różnemi wódkami naciąganemi na słońcu albo przepuszczanemi przez alembik na suche bóle, paraliże, na słabości wewnętrzne; były tam wódki z szyszek młodych, z glist kopanych na wiosnę, a nawet z gadzin różnych. Tu znowu wody z konwalii od bólu głowy, z goryczki, z rzęsy od trzęsionki, z róży, na zapalenie oczów, a nawet wody piękności: marcowe, poziomkowe, liliowe; owdzie octy zaprawne ziołmi, korzeńmi od mdłości. Tu jeszcze cudowne maści z żywokostu, złopianu, pod któremi złamane kości się zrastały, a jad z ukąszenia gadów moc swoją tracił, tam, ulepki z fiołków i z innych kwiatów na kaszel, na żołądek; w słojach pijawki, żaby, maiki, w słoikach rozmaite proszki: to korzeń liliowy utarty na słabości dziecinne, to raki suszone i utłuczone na miazgę od ukąszenia psa wściekłego, a w worach i trąbkach z papieru w szufladkach, ziołka, kwiaty, korzenie suszone na napoje, do nakadzania, do kąpieli. Każden zaś szczegół właściwym był napisem oznaczony po polsku i po łacinie, jakby w prawdziwej aptece. — Dziś, chociaż sztuka lekarska nierównie więcej jest upowszechniona, nie jedna troskliwa matka i dziedziczka stara się mieć podobne zapasy u siebie, i nie raz okazują jej się bardzo przydatne i zbawienne; cóż dopiero w owym wieku, kiedy po każde lekarstwo jeździć było trzeba do większych miast, gdyż tam tylko znajdywały się apteki zasobne, i kiedy sami jedynie królowie i panowie, lekarzy na dworach swoich trzymali? — Kochanowska zacząwszy już lekarskie nauki swoje w klasztorze gdzie się wychowała, od zakonnic i od Nastki, zbogaciwszy się potem radami pani Kasprowej i kilku starszych sąsiadek, wiele także doświadczeniem i czytaniem — gdyż wówczas mieliśmy już niemało książek

łacińskich i polskich o sztuce leczenia — Kochanowska, mówię zrobiła się zawołaną lekarką, i tej wiadomości swojej udzielała za każdą sposobnością starszym córkom, to ustnie, to praktycznie, to wreszcie dając im do przepisywania różne sekreta: «My białogłowy — mawiała do nich — mamy na pieczy zdrowie ludzkie, a to nie jedno męża, dziatek, czeladzi, kmieci, ale nawet gościa i ubogiego przechodnia; nie dosyć zaś wiedzieć jak leczyć, trzeba umieć ochronić od choroby, zwłaszcza w czasach zarazy.» — Lubo też w owych wiekach grasowało po różnych stronach Polski morowe powietrze, Czarnolas zawsze uchodził szczęśliwie tej straszliwej plagi. Troskliwa gospodyni za pierwszym posłuchem o wrogu kazała palić koło dworu i po wsi całej ogonie z drzewek jesionowych, jałowcowych, w domu podwajała schludności, chroniąc kątek każdy od wszelkiego zatęchnienia albo zgnilizny; rano nim jeszcze okna otworzono, kazała kadzić rozmarynem, jałowcem, mirrhą, okna otwierała od północy i od wschodu, gdyż ztamtąd wiatr bywa suchy i zimny a zatem najczystszy, nikomu z domu wyjść nie dała na czczo, musiał się napić jeźli w dzień mięsny, polewki, jeźli w post, piwa grzanego, a jeźli z suchotami, zjeść choć skibkę chleba octem nakropioną; zakładała na szyję dzieciom i mężowi orzechy laskowe żywem srebrem napełnione, czeladzi — gąbki kawałek umaczanej w occie, z przykazem wąchania jej często; podłogi wysypywać dawała codzień świeżem zielem, tatarakiem, piołunem, jedliną siekaną, ściany nawet osobliwie nad łóżkami okładać kazała płachtami maczanemi w occie, dla zniszczenia wszelkich zarodów złego.

Wielką też były jeszcze pomocą do oddalenia choroby, a razem i nowem polem do zachodów dla każdej gospodyni, wspominane już łaźnie. Kiedyć każda wioska miała swoją, nie mógł się bez niej obejść i każdy dwór szlachecki. Zwano je potnikiem, suchą wanną; u panów były z wielkiemi wymysłami, u uboższych proste ale czyste. W izdebce zupełnie odosobnionej ogromny piec mocno rozpalony zlewano wodą. Osoba chcąca użyć kąpieli — a było wiele takich co używało jej codzień — wstępowała zupełnie rozebrana na coraz wyższe stopnie, a ogarniona parą coraz obficiej potniała. Wtedy kazała się siec winnikami (miotełką z brzozowych różczek z liściem) żeby się coraz lepiej pory otwierały, nacierała ciało różnemi wódkami, a tak wszystko złe, cała nieczystość człowieka wraz z potem spływała, smarowanie siły dodawało. — W domu Czarnoleskim była łaźnia, a nawet cieplica — tak wtedy zwano dzisiejszą zwyczajną kąpiel — Kochanowska i jej córki używały częściej drugiej niż pierwszej. — Przykład nie zbyt dawny a tak smutny królowej Barbary, która — jak mówiono — najwięcej zaszkodziła swemu zdrowiu i wpadła w nieuleczoną chorobę zbytecznem używaniem łaźni — wstrzymała cokolwiek

kobiety od tego zwyczaju, który też zawsze więcej był upowszechniony między mężczyznami. Łaźnia Czarnoleska obok kuchni będąca, opatrzona była różnemi wonnemi olejkami, różnemi wódkami, ziołami, mydłem, bielizną; był zwinny i zręczny pachołek przeznaczony do usługi mężczyzn, łaziebnikiem zwany, była dziewka, łaziebnica dla kobiet, a nad tem wszystkiem miała główny dozór sama pani, gdyż każdemu gościowi skoro nocował, łaźnią co dzień ofiarowano, a gospodyni w tem zakładała swoją chlubę, żeby wszędzie wszystko znalazł ochędożnie, przyzwoicie i wygodnie.

Takiemi to i tym podobnemi staraniami, Kochanowska stawała się zupełnie duszą domu swojego; dni jej zbiegały szybko, mile i użytecznie. Nieodbicie potrzebna u siebie, nie dziw iż wyjeżdżać nie lubiła, choćby na kilka godzin. Od samego zamęźcia, nie trafiło jej się podobno dwóch nocy przebyć w gościnie. — W owych wiekach niewiasty były prawdziwemi domownicami, Hausfrauen, jak dobrze Niemiec je nazwał; najmajętniejsze siedziały zawsze u siebie i na jednem miejscu. Licznym dworem płci obojga otoczone były jak królowe na małą stopę i znały to wybornie, że ich władza i znaczenie, wielkie we własnej sferze, nikły za tym obrębem. — Tem zamiłowaniem własnych śmieci, tem chętnem siedzeniem na temże samem miejscu, kobiety ówczesne lubo daleko mniej uczone od dzisiejszych, więcej znaczyły, i lepiej spełniały owo przeznaczenie Boga, który je «w pomoc mężom» stworzył. Znakomici urzędnicy, kanclerze, hetmani, posłowie do obcych krajów, wreszcie ludzie rycerscy, rzadko kiedy mogli siedzieć u siebie, zajęci zawsze to sprawą publiczną, to wojną; w cóżby się były obróciły liczne pańskie dwory męzkie i żeńskie, owo źródło największej wziętości u szlachty, w co wszędzie wychowanie dzieci, rozpoczęte budowy, roboty, wreszcie cały zarząd majątku, gdyby nie zostawała zawsze w domu żona, owa druga męża połowa, na którą zdawał władzę swoją, która w jego niebytności rządziła, zawiadywała wszystkiem, z tem większą troskliwością, iż pragnęła za powrotem jego uzyskać pochwałę

Niewiem też czy komu w spółczesnych kronikach i pamiętnikach zdarzyło się wyczytać, żeby jaka pani polska przenosiła się do Krakowa na zimę, albo jeździła za królewskim dworem. Jeźli się natrafi kiedy w dziejach na imię jakiej znakomitej matrony, jest to zwykle imię wdowy, która szukając sprawiedliwości u stóp tronu, sama dopominać się musi o skrzywdzenie na dzieciach lub na majętności. Dopiero, gdy z drugą połową siedmnastego wieku zaczęliśmy mieć królowe Francuzki, gdy rosły coraz większe frymarczenia o koronę, kobiety okazały się potrzebne do intryg, i coraz więcej świecić się zaczęły na królewskim dworze i po stoli-

cach. — Co do podróż za granicę, w zakład by pójść można, iż w owych czasach żadna Polka nie była widzianą w obcych krajach, u cudzoziemskich monarchów. Badałam usilnie pierwszych śladów owych niewieścich włóczęg, dziś tak u nas pospolitych; znachodzić się dopiero dają w ośmnastym wieku. Wiemy wszyscy, jakiem pasmem błędów i nieszczęść był ów wiek dla Polski, wiemy także, iż nie jedna z owych Polek zaniedbawszy dla obcych bogów domu i ojczyzny, za powrotem już nie zastała domu ni ojczyzny.

ROZDZIAŁ XIV.

A ty ojcze i matko zacna krwi oboje
Wesołem i chętliwem sercem dziecie swoje
W rękę obcemu dajcie! . . . .
. . . .
Błogosławcież im spólnie; zacne to są rzeczy
Kiedy ojciec i matka dziatkom dobrorzeczy.

Epithalamium na wesele Radziwiłła.

Cały dom Czarnoleski jeszcze pachniał wonnym zbiorem, jeszcze Ludwina z Nastką rozkładały skuteczne zioła w suszarni, jeszcze pan Filip prawił pannie Ewie, że te liście i kwiatki ani podobne były do podolskich, jeszcze pan Tomasz Bielawski nie przejechał granic Czarnoleskich i nie pokonał wstydu jaki muzę jego spotkał, kiedy stanął przed wrotami zmęczony posłaniec i wnet wręczył gospodarstwu list następujący od pana podkoniuszego:

«Najmilsi moi!

«Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi» inaczej rzeczy się obracają niżeśmy sobie układali. Dojeżdżając tu, o mil dwie spotkałem się z ludźmi memi i końmi w dobrem zdrowiu, Bogu dzięki; jeden tylko kary zapada trochę na nogę, ale zda się nic mu nie będzie. — Nazajutrz rano, miałem posłuchanie u Miłościwego Pana, mówi że zdrów, zdawał mi się przecież zmieniony na twarzy, łaskawszy zaś niż kiedy; rad był nad zasługi i mnie i koniom, wszystkie chwalił, mianowicie białego Iwaszkę i siwego jasno jabłkowitego Greora; co zaś ciemno gniady, ulubieniec Filipa, i Miłościwemu Panu wpadł w oko, przezwał go Batorym, i powiedział, iż w czasie pierwszej bitwy jaką Pan Bóg w sprawiedliwości swojej dać raczy, chce na nim siedzieć i zwyciężyć. Chłopaka Turka Kiziamusza, któregom wraz z końmi kupił i przywiózł, wyznaczył wyłącznie do jego posługi, mówiąc: «rzecz słuszna, kiedy Batory król ma dwór cały, żeby Batory koń miał choć jednego sługę.» — Pan podkoniuszy koronny Kasper Maciejowski, i pan Jakób Piasecki

koniuszy litewski odchwalić się także mego kupna nie mogli. — Ale dosyć o koniach, trzeba już orzech zgryźć i powiedzieć wam nowinę, która was zasmuci. Wczora Miłościwy Pan rozmówiwszy się ze mną sam na sam w komnacie swojej, rozkazał, abym niebawem do Turcyi znowu jechał, drugie tyle koni nakupił, zwłaszcza arabskich, jeszcze inne a ważne spełnił polecenia, które papierowi zwierzać, nie widzi mi się rzeczą bezpieczną. Nie do smaku mi ta podróż, jak miarkować możecie, aleć powinność przedewszystkiem iść musi. Jutro ztąd wyjeżdżam, da Bóg we środę nad wieczorem ujrzycie mnie; pół trzeciej doby jedno zabawię i pożegnam was. Miłościwy Pan radby, żebym w sierpniu był z powrotem. Na mój rozum, miasto zaręczyn wyprawićby dziatkom naszym po prostu tego czwartku wesele. Jużcić Ewulka miała czas się ułaskawić, kilka tygodni zna swego Bogdana, mało której dziewce tak się uda; niechno zapyta pani matki jak z nią było? a cóż jej się złego stało? Odjechałbym spokojny, gdybym mego Filipa już żonkosiem zostawił. Możebyście przechowali komorą państwo młode u siebie przez te parę miesięcy, a za moim powrotem z Turcyi odbyłyby się przenosiny do Studzienicy — ja bym ich tam przyjął, da Bóg! Zostawiam to z resztą mądremu baczeniu waszemu.

«Wasz wierny brat i przyjaciel

Jakób Podlodowski,
Podkoniuszy królewski.»

«P. S. Jedno dobre co się stało tym nagłym wyjazdem jest to, iżem prosił Miłościwego Pana o podpisanie mego testamentu; uczynił tem chętniej tej prośbie zadosyć gdy się dowiedział, że ten zapis obchodzi waszą córkę. Z wielkim i należytym jest zawsze szacunkiem dla ciebie Janie. Wieczorem kazał nadwornym śpiewakom odśpiewać twój Epinicion, wyborną a huczną muzykę dorobił nasz Klabon — aż krew we mnie zawrzała, żeby znowu bić się; i wolałbym iść na Turka jak jechać do Turka — ale może przyjdzię i do tego.»

«Dan w Grodnie, w dzień ś. Witalisa 1584.»

Odczytanie głośne tego listu przez Kochanowskiego, sprawiło wielkie a przykre zdziwienie w obecnych. Owa niespodziewana podróż Podlodowskiego, owo albo naglenie albo odłożenie stanowczego aktu nie mogły być nikomu na rękę. Jeden pan rotmistrz powinien był się radować, widząc przed sobą podobieństwo tak rychłego połączenia się na zawsze z tą co kochał — ale on owszem najsmutniej. się zamyślił, a kiedy Kochanowski zapytał go, co o tem wszystkiem trzyma, i zachęcił by zdanie swoje wyjawił śmiało, on tak odpowiedział z uszanowaniem: «Wolno Waszym Miłościwym zrobić co się

wam jedno podoba; moim obowiązkiem słuchać ich. I zaiste nie byłoby dla mnie większego i mniej spodziewanego szczęścia, jak gdybym tego czwartku nie narzeczoną ale żonę z rąk waszych dostał — a tu zbytek pomięszania prawie dech odjął rozkochanemu młodzieńcowi — jednak — dodał — zataić nie mogę i nie powinienem, iż choćby przyszło prosto od ołtarza odjeżdżać — odjadę, gdyż ojca, dobroczyńcy mego, samego do Turcyi nie puszczę. Za nic byłoby mi wszystko, gdyby jemu w tej drodze nowe nieszczęście się stało.»

Jeszcze nie dokończył tych słów, kiedy Kochanowski powstał i rzucił się mu na szyję: matka z za łez spojrzała na niego z pochwałą, Ewa nie ruszyła się ze swego miejsca, spuściła oczy, ale jej serce napełniło się błogiem uczuciem i podwojonem przywiązaniem do swego Bogdana; kobieta godna tego imienia, zawsze jest szczęśliwa i dumna, kiedy jej kochanek powinność nad nią samą przeniesie, w sercu szlachetnem, niema ku cnocie zazdrości. — Już tedy ani mowy być mogło o weselu; wreszcie, gdzież wyprawa? gdzież inne przygotowania? Na zaręczyny więc wszyscy się zgodzili. — Matka zastanowiwszy się nie bardzo się gniewała iż parę miesięcy dłużej patrzyć będzie na pierworodną swoją. I Ewa, prawdę rzekłszy, najwięcej smutkiem Filipa smutną była. «Nie widzieć się przez czas jakiś, trochę później iść za mąż — myślała sobie — nie takie znowu wielkie nieszczęście, kiedy na całe już życie będę pana rotmistrza i z nim... Owszem ... może nawet lepiej; kochanym rodzicom trocha dłużej posłużę, siostrami, czeladką więcej się nacieszę; przypatrzę się cnotom świętej naszej, i może nauczę się ją naśladować choć w niektórych rzeczach; oswoję się bardziej z taką zupełną życia mojego odmianą...» Ale Kochanowskiego, im więcej się zastanawiał, tem go boleśniej przejmował ten cały zawód; ścisnęło mu się serce, dreszcz go przechodził, jakieś przeczucie nieszczęścia go ogarnęło — zdawało się jak gdyby księgę przeznaczeń ludzkich kto przed nim otworzył, i błysnęła nagle karta jego i przyjaciela z okropnym wyrokiem. Na domiar jeszcze tych trwożących myśli, kiedy odczytywał po cichu list swego Jakóba, i zatrzymał się nad temi słowami: «Pół trzeciej doby jedno zabawię i pożegnam was» dzwon żałobny dał się słyszeć w Policzny i uderzył o duszę jego. Nie było nic w tem dziwnego, chowano właśnie komornicę, której Ludwina w nocy pilnowała, ale jemu ten głos prorockim się wydał: «I nam obudwom wnet tak zadzwonią,» rzekł w sobie.

Przecież nie chciał wcale wyjawiać przed drugiemi tego co się w nim działo; jako człowiek wyższy od tego co go otaczało, nawykł on był wiele uczuć i wrażeń zamykać w sobie wynurzać je tylko przed Bogiem, usiłował więc i teraz przezwyciężyć się, zagadać, zagłuszyć samego siebie, i zaczął radzić z żoną o tem

co było do zrobienia. — Filip i Ewa ze swojej strony radzili, on się martwił i narzekał, ona go cieszyła jak siebie dopiero co; młodzieńcowi nie wpadały wcale do myśli te pociechy; wymawiał kochance jej obojętność, troskał się czy w czasie tak długiego rozłączenia nie wyjdzie z jej pamięci: «Co z oczu, to i z serca — mówił — łatwo to zapomnieć o co kto nie dba.» — Zgoła nieco zimny układ Ewy — i zimniejszy może na pozór jak był w istocie — zasmucał Filipa, ale zwiększał jeszcze jego miłość, bo tak bywało za Batorego, jak dziś bywa: im mniej namiętnie mężczyzna kochany od kobiety, tem sam kocha namiętniej.

Już była późna godzina wieczorna, przeto prócz spólnej narady Kochanowscy mało co w tym dniu zrobić mogli. Ona tylko rozesłała na różne strony po kurczęta, po jaja, po raki, po zwierzynę jaką w maju mieć się godzi, on zaś powiedział, że jutro skoro świt ruszy do pani Mikołajowej do Jasieńca, oświadczyć jej zamęście córki, i zamówić na zaręczyny, oraz wezwie syna jej Adama jako najstarszego z synowców, ażeby w jego imieniu objechał liczne sąsiedztwo i krewnych, i zaprosił ich na czwartkową uroczystość. Jemu, urzędnikowi całej Sandomierskiej ziemi, mężowi już w wieku, i tak poważanemu nie wypadało samemu tego uczynić.

Wystawić sobie łatwo jaki był ruch w Czarnolesie przez dni następujące; warto o nim coś nadmienić. Ale naprzód powiedzieć należy, że smutek Kochanowskiego, który jednak przez całą noc go niepokoił, ustał w ciągu poranku. Właśnie wracał z Jasieńca, kiedy dojeżdżając do domu, napotkał Orszulkę z Nastką; naparła się koniecznie dziecina, żeby wyjść przeciw ojcu; chciała pierwsza powitać go z drogi, i donieść mu dobrą nowinę: pan podkoniuszy, w wieczór dopiero spodziewany — przyjechał. Ta radość przywróciła zupełnie swobodę duszy poety; ktokolwiek kochał, wie jakiem jest dobrodziejstwem dla znękanego serca widok drogiej osoby; jak słońce ranne wszystkie trwogi nocy niespanej rozpędza, tak twarz przyjaciela ufność, bezpieczeństwo sprowadza. Jak się troskać miał nasz Jan, kiedy widział swego Jakóba zdrowym, wesołym, pełniejszym niż kiedybądź, dobrej myśli, co do krajowych i własnych powodzeń? czego miał przewidywać jakieś nieszczęścia, kiedy podkoniuszy królewski mu opowiadał, pokazywał z jakiemi ostrożnościami wracać teraz będzie z Carogrodu, jakiemi listami glejtowemi jest opatrzony, kiedy mu wyrachował czarne na białem i tak jasno jak dwa razy dwa są cztery, że na dzień w Niebowzięcia Matki Najświętszej, na piętnasty sierpnia, w Czarnolesie się stawi. — Tak uspokojony Kochanowski podzielił sercem całem z przyjacielem żywą radość, jaką w nim postępek wychowanka sprawił; drożył się to niby przybrany ojciec z początku, ale przecież rad był ofierze;

i po niedługiem certowaniu się przyjął, gdyż czuł w sobie, iż w podobnym razie tak samo byłby postąpił.

Kochanowska, córki, czeladź cała i sam pan rotmistrz rzucili się do roboty. Na uroczystość tak znakomitą należało przyrządzić dom, jadło, napoje i ubiory; było więc o czem myśleć, ile że czas był tak krótki. — Już to z domem najmniejsza była robota; prawda, «że wszędzie kwieciem strzęsiono, wszędzie zawieszono wianki» ale w izbach żadna inna nie zaszła zmiana. — Jakkolwiek pan wojski oświadczył z wielką radością młodzieży, że będzie muzyka i tańce, nie było przecież żadnej potrzeby urządzania bawialnej sali w «salę balową,» jakbyśmy dziś w takim razie powiedzieli i zrobili. Ówczesny sposób ustawiania sprzętów, był zupełnie różny od teraźniejszego. Tylko na składach przedajnych ławki, stoły, krzesła, sepety, kantorki stały w szerz, w zdłuż, w poprzek i na środku izby; tam gdzie ludzie mieszkali, ruszali się, przechadzali, było przestrono, szeroko, konieczne a przeto nie liczne sprzęty ustawiono rzędem pod ścianami, a że wązkie były, mało zabierały miejsca. Nie weszło też jeszcze w zwyczaj polegiwanie się, które dziś wymaga tyle kanap, sof, tatusiowych krzeseł, poleżków; panny siadały na samym brzeżku ław i stołków, młodzież męzka rzeźka, zahartowana, i pełna uszanowania, nie tylko, że się nie kładła, nie opierała w obecności starszych i białogłów, ale usiąść nie śmiała bez wyraźnego rozkazu; poważne zaś matrony i mężczyzni sędziwi, jeżli czuli potrzebę wypoczynku, szli do łóżka. — Mogła tedy zostać sala bawialna Czarnoleska w swoim dawnym porządku; podłogę tylko dębową zamieciono dobrze, umyto schludnie, żeby nic kurzu nie było, a Kochanowska przyrządziła za piecem na murku gąsior wody pachnącej zmięszanej na pół z tęgim octem, postawiła obok lejek, żeby w ciągu tańców polewać niekiedy podłogę w używane dotąd esy i floresy, sposób arcy wyśmienity, gdyż i kurz w izbie opadał, i powietrze się odświeżało.

Większe były zachody koło jadła i napojów, bo już to u nas i dawniej — i dziś jeszcze podobno po wsiach — najwięcej o papkę dbano, i dosyć ogólną była zasada: «cała rozkosz człowieka tyle jest co zażyje.» Mało szło szlachcicowi gdzie i jak gościa posadzi, byle go nakarmił i napoił do zbytku. — Miał być tedy obiad, podwieczorek, wieczerza, podkurek, czyli od południa do północy ciągłe jedzenie i picie. I matki i córki nie żałowały rąk w przygotowaniu różnych przysmaków, Zubek kucharz sadził się jak jeszcze nigdy; dom też był zasobny, jak wiemy, piwnice dobrze opatrzone, stawy rybne, apteczka pełna. Prócz tego, kmiotkowie Czarnolescy skoro się dowiedzieli o zaręczynach starszej panienki znosić zaczęli rozmaite podarki. Nie było chaty w całej wsi, gdzieby Ewa z dobrego i hojnego serca swego znaną nie była, nie było też

chaty, gdzieby w tym dniu nie myślano o sposobie okazania jej wdzięczności. Papisowa przyniosła w koszu dwanaścioro kurczątek, co je pod własnem jej łóżkiem siwa kokosz jeszcze w styczniu wysiedziała; Ewa doglądała jej dziewuchy w długiej chorobie, jakże jej nie miała oddać co było najdroższego w domu? Kosikowa parę tucznych kapłonów wydobyła z pod ramienia, panienka pamiętała już od lat trzech o jej starym ojcu, co leżał ciągle w łóżku, powietrzem ruszony. Baranowa całą misę glinianą świeżych jajek przydźwigała, a nie było ani jednego po czarnej kurze; kiedy Nastka jej syna podawała do chrztu, Ewa swoją ręką mu uszyła cały ubiór chrzestny! Gryklik, gospodarz i najlepszy łowczy we wsi całej, wziął rusznicę ze dworu, i na szczęście panienki ruszył w dalekie zarośla i bagna; ogromny pęk przyniósł cyranek i kurek wodnych; w zimie kiedy staczał z wozu sztukę drzewa przywiezioną z lasu, stłukł był sobie nogę, starł aż do kości i ślimaczyła się mu okropnie; Ewa przez cały miesiąc na przemian z Ludwiką opatrywała ranę i wygoiła zupełnie. I inni za tym podobne przysługi, a czasem tylko za prostą życzliwość — bo kmiotek często wdzięczniejszy za dobre słowo niźli za pogardliwy datek — znosili co tylko mogli: to kwartę manny uzbieranej troskliwie przed wschodem słońca na łąkach, to tłustych serów kilka, to worek orzechów suszonych, to grzybów parę wianków, to raków ogromnych kopę, a każdy i każda za największą łaskę prosili, żeby panienka przyjęła mile ich skromne dary i żeby na uczcie zaręczynowej spożyte były.

Przy takiej obfitości nie wypadało się już troskać, żeby czegobądź brakło; zostawało jedynie ustanowić porządek w wydawaniu, gdyż nie pomoże i zbytek wszystkiego, kiedy ładu niema. I temu zapobiegła Kochanowska, a to najwięcej za pomocą Ludwiny. Święta dzieweczka trzymająca się jedynie świata przysługami jakie drugim oddać mogła, którą z dzieciństwa nikt ani do zabaw, ani do tańców namówić nie zdołał, najszczęśliwszą była, kiedy jej pozwolono tam być, gdzie dużo było pracy a nic wydatności. Z najżywszą wdzięcznością podjęła się tedy zatrudnienia wydzielonego jej przez matkę, i otrzymała uwolnienie od pokazania się gościom. Pod jej zarząd oddane zostały podręczne zapasy: ciasta, wędliny, zimne mięsiwa, których według potrzeby użyczać miała; nauczyła ją Kochanowska kolei w jakiej Zubek potrawy winien był wydawać, co należało dać na obiad, co zastawić na wieczerzę, co na podkurek, zgoła, jak to i dziś bywa u dobrych i przewidujących gospodyń, z góry i wcześnie pomyślano, żeby w niczem ani szkody, ani wstydu nie było.

Ale i o ubiorach wypadało pomyśleć. Kochanowski przywdział swój ślubny, ozdobił go bogatym złotym łańcuchem, który niegdyś od Zygmunta Augusta był dostał, i całą postać

przybrał godową; ani by nikt zgadł po nim onegdajszych smutków i niepokojów, mocno wszystko czujący, z całą pełnością serca używał radości ojca, dzielił szczęście przyjaciela. — Kochanowska równie wesoła a tem szczęśliwsza, że zapewniając pomyślny los córce nie traciła jej jeszcze z oczu, wystroiła się w ów kabat amarantowy, który za Ewę od męża dostała, głowę i piękne jeszcze ciemne włosy — ale których od zamęźcia już świat nie widywał u dawnych Polek — przykryła nizką czapką niebieską aksamitną z sobolem, z pod której wychodziła jakby siatka złota z perłami. — Lecz oczywiście i matkę i całą płeć niewieścią domową zajął najwięcej strój oblubienicy. Wypadało jej być ubraną pięknie, a przecież nie kosztownie i do tańca. Biała barwa była najprzyzwoitsza — ale wówczas lekkich sukien jak dzisiejsze balowe wcale w naszej Polsce nie znano, i niewieście za Batorego, którejby chciano włożyć przezroczysty kabat, byłoby tak dziwno jak nam, gdybyśmy usłyszały o jakim mężczyznie, że koronkowy frak nosi. Był rąbek, były tureckie i indyjskie muśliny, ale używano je tylko na zasłony i tak zwane zawijki czy rańtuchy; na to miejsce jednak miano jedwabne materye na suknie, które prać się dawały: do ich liczby należał czamlet czyli kamlot. W taki więc kabat czamletowy biały, trochę mniej pod szyję niż codzienne suknie, sznurowany z przodu złotą tasiemką — gdyż suknie z rozporkami z tyłu zwano wtedy nieskromnem ochędóztwem — ubrała się nasza Ewa. Szeroka taśma jedwabna zielona, gęsto złotem i perłami przerabiana, prawdziwa turecka, podarek Podlodowskiego (a złożył ich nie mało dzieweczce i jej rodzicom w imieniu Filipa) odznaczała stan jej wcięty i składny; żółte półbótki na małej nóżce świeciły. Włosy długie powiązała w warkocz, krótsze skręciwszy rozpuściła w pierścienie, przyciskał je na czole wieniec z żółtych jaskierków barwinkowym liściem przeplatany. Był to także dar Filipa:

Włóż na piękną głowę twoją
Tę rozkwitłą pracę moją

powiedział jej kiedy się ubierać zaczynała, od przyszłego teścia pożyczając mowy — ale kwiatki i liście tego wieńca na złotej łubce osadzone były i spinał je z przodu kosztowny szmaragd, w dyamenty oprawny. Ewa była śliczna w tym stroju, a choć jej siostra Dorota, zupełnie do rodu Podlodowskich podobna, daleko piękniejszą i wyższą być obiecowała, choć panny Mysłowskie, Sienińskie, Dąbrowskie i inne, które z rodzicami na tę uroczystość zjechały, były prawie wszystkie dorodne, ona, gdy między niemi stanęła, wydała się najlepiej. Nie była przecież piękna; średniego, prawie małego wzrostu, rysów twarzy nieregularnych, była raczej hoża, zgrabna, gładka,

drobna i co dawniej nazywali wdzięczna. Jak gdyby na nią ojciec patrzył kiedy napisał:

> Co pocznie, gdzie się ruszy, wdzięczność ją sprawuje,
> I wszędy niewidoma za nią postępuje.

Ale nie wyprzedzajmy i opowiedzmy porządkiem uroczystość owego czwartku.

Dobrze przed południem zaczęli się zjeżdżać wezwani goście: żaden nie chybił, bo gdzież kiedy Polak do uczty się nie stawił? Skoro zbliżał się kto do wrót — na ten dzień na oścież otwartych — czy konno czy powozem, muzyka uszykowana w jednym rogu podwórza blizka domu, witała go huczno i z okrzykiem, aż się rozlegał odgłos radośny po całej okolicy. Bo już to wówczas żaden obrzęd, żadna biesiada nie obeszła się bez «gędźby» — tem bardziej w domu Kochanowskiego, który za muzyką przepadał. Nie dosyć majętny żeby mieć nadwornych grajków i jakiego Bekwarka, starał się przynajmniej iżby niektórzy z jego dworskich i czeladzi grać jakokolwiek umieli, choćby nie z partesu. Woźnice, pachołki, ogrodnicy, stawnik, młynarz dęli nie źle w trąby, bili w bębny, puzony ciągnęli, pasterze odzywali się dosyć mile na multankach i na piszczałce; włodarz gniótł dzielnie i nadymał dudy, a sam pan Łukasz Gupolski w potrzebie uderzał wybornie w cymbałki. Służba też Podlodowskiego z samych Podolaków, Ukraińców i kozaków złożona, owych muzykalnych ludzi, nie dała się zawstydzić w tej mierze Mało- i Wielko-Polanom. Jeden z teorbana a raczej z cytry dźwięki dobywał słodkie, drugi przygrywał pięknie na lutni, tamten na drumli, ów na sałamajkach, a wszyscy głosy mieli donośne, rzetelne, czyste. Prócz tego, dwóch śpiewaków Serbów, z tych co wtedy po wszystkich krajach sławiańskich krążyli, zaszedłszy właśnie do Czarnolasu, stanęli na przodzie gędziebnej gromadki, pochyliwszy głowy ciągnęli długiemi smyczkami po skrzypcach, zapominając na ten raz smutnych dum swoich, wtórowali nadobnie i wesoło śpiewom bratnim.

Niebawem zasiedli goście do obiadu. Ponieważ sam obrzęd zaręczyn dopiero po obiedzie miał się odbyć, i wieczerza uroczystą ucztą mianowaną była, nie siedzieli jeszcze narzeczeni przy sobie u stołu, i choć dosyć ochoczo szły kielichy, przecież ukradkiem tylko i pod pokrywką spijano ich zdrowie. Nasłuchała się jednak Ewa nie mało żarcików i przycinków i «nieboraczka nie jednego spiekła raczka;» byli nawet tacy z młodzieży co żale wynurzali swoje, zwłaszcza gdy wino zaczęło trochę zagrzewać czupryny, byliby chętnie i Filipowi przypinali łatki, gdyby nie wysoki szacunek dla gospodarza i przekonanie, że z panem rotmistrzem Owadowskim żartować rzecz

niebezpieczna. Nawet i panny — lubo nie tak wyraźnie — przecież miały jakąś niechęć przeciw biednej Ewie: «najmłodsza z nich i najmniej ładna — przynajmniej w ich mniemaniu — porwąła im dziarskiego, majętnego, rycerskiego młodzieńca, ledwie co przybył w ich okolice. Gdyby miał był czas przyjrzenia się trochę lepiej, byłby niezawodnie wybrał inaczej.» — Bo już to tak zawsze bywało i będzie, że skoro zejdzie się jaka para, wszyscy młodzieńcy i dziewice, co dawniej ani o niej ani o nim nie myśleli, roszczą sobie jakieś żale do nich obojga, zupełnie jak gdyby oni ich ubiegli, jak gdyby im wzięli ich własność. W takim zdarzeniu po gniewie męzkim, po zazdrości niewieściej, sądzić by można: iż tylko ten jeden młodzian i ta jedna panna na świecie, a przecież zostaje jeszcze i jednego i drugiego łaska Pana Boga.

Ale te wszystkie niechęci i żale, te wszystkie chmurki towarzyskie, które zarówno z chmurami powietrznemi nie zmieniły się i nie zmienią do końca świata, rozpierzchnąć się miały, skoro ważne nastąpiło zajęcie.

W parę godzin po obiedzie, kiedy już trochę ostygły zagrzane czupryny, Kochanowski, który wyszedł był na chwilkę z bawialnej sali, wrócił w towarzystwie księdza ubranego w białą komżę, za którym szedł organista z tacką w ręku i z wodą święconą. Był to sędziwy proboszcz z Policzny; zajęty obowiązkami pasterza, nie mógł zjechać na obiad, lecz teraz przybywał poświęcić zrękowiny Ewy i Filipa. — Dawniej żaden ważniejszy obrzęd nie mógł się spełnić bez uczestnictwa kościoła; dopiero wtedy nabywał wagi.

Wnet na stole biało nakrytym pod środkową ścianą zajaśniały dwie świece jarzące i okazał się między niemi wizerunek Zbawiciela z kości słoniowej na hebanowym krzyżu. Kapłan o ten stół się oparł i obrócił się twarzą ku obecnym — wszyscy powstali i umilkli. Ewa, która się bawiła wśród młodzieży, uciekła jakby pisklę przestraszone skryć się pod skrzydła matki. Filip bez trwogi i zwolna stanął obok przybranego ojca, Kochanowski zbliżył się do żony i oboje stojąc czekali z powagą. Nie czekali długo. Podlodowski, którego niezwyczajnej urodzie w tym dniu strój rycerski i wykwintny nowego dodawał blasku, wziął za rękę również prawie dorodnego a piękniej jeszcze przybranego Filipa, stanął przed niemi, skłonił się nizko i w krótkich słowach prosił o ich córkę dla swego syna. «Nie wzdrygajcie się, ani żałujcie — dodał widząc urzędową wstrzymałość na twarzy ojca, a łzy w oczach matki — zostanie z wami dzieweczka wasza; obrzęd dzisiejszy jest jedno rękojmią, iż bądź co bądź się stanie, dacie ją za żonę, skoro czas pogodny nadejdzie, stojącemu tu przed wami rotmistrzowi Owadowskiemu, w zakład czego pozwólcie, niech w obliczu ukrzyżowanego Boga, w oczach tylu zacnych świadków, mój

parobek i wasza dziewka zamienią pierścienie, i niech je sługa Boży poświęci.»

Kochanowski odpowiedziawszy stósownie, podał córce szacowny pierścień rubinowy, krwawy jak dla rycerza przystało — ona wsunęła go — jak chciał zwyczaj — na największy swój palec, ale spadał, gdyż był bardzo duży. Podlodowski ze swojej strony wręczył synowi pierścionek misternej roboty z jasnym jak gwiazda i nieskażonym w kształcie serca dyamentem; młodzieniec wcisnął go na czubek serdecznego palca. Wtedy organista podał tackę oblubieńcom; złożyli na niej pierścienie, a prowadzeni przez ojców ziemskich, stanęli przed ojcem duchownym. On modlitwę zmówił nad pierścieniami, pokropił je święconą wodą i oddał dwojgu młodym. Ewa z rozkazu ojca dała rubin Filipowi, a on bez rozkazu ofiarował jej dyament, a nachyliwszy się i ukląkłszy, naprzód błogosławieństwo kapłana przyjęli, potem padli oboje do nóg ojcom i matce, i z pełności ich serca odebrali obfite i szczere błogosławieństwo. — Nie wiele jednak słów słyszeli obecni; jakkolwiek nagotował się Kochanowski do długiej mowy, jakkolwiek w podobnych razach obcym prawić i śpiewać umiał, dla pierworodnej słów nie znalazł i prędzej by się były łzy nastręczyły, ale wstrzymał się od nich, żeby nie rozczulić więcej już tak rozczulonej matki i córki. — Nastąpiła więc chwila uroczystego milczenia. Przerwał ją wnet pan Adam Kochanowski; mianowany od stryja starostą całego obrzędu, zawołał wielkim głosem: «Kielichem! kielichem.» Na to hasło jakby na wystrzał bojowy, albo na pobudkę obozową, wszyscy w sali ruszyli się, przemówili. Świece zgaszono; Ludwina pod bocznemi drzwiami stojąca — i modląca się serdecznie o szczęście siostry, którego ani pojmowała ani zazdrościła — odebrała ze czcią z rąk matki wizerunek Zbawiciela i odniosła go do sypialnej komnaty; ksiądz zdjął komżę, organista wyniósł się ze święconą wodą, a gospodarz podniósłszy w górę szacowny roztruchan w kształcie kruka, który przed sześcią laty od Zamojskiego był dostał, za napisaną na jego wesele Odprawę Posłów — wniósł zdrowie młodej pary, i kazał zabrzmieć stojącej pod oknami muzyce. Zaczęły się dopiero okrzyki, powinszowania, życzenia; roztruchan przechodził z rąk do rąk, a choć kwartę z górą trzymał, w mgnieniu oka był spełniany. Wino było dobre, wytrawne, tego wieku co narzeczona — gdyż według staropolskiego zwyczaju w roku jej urodzenia wtoczono je do ojcowskiej piwnicy — samo więc się prosiło, jak to mówią o rzeczach smacznych. I zaiste, gdyby losy Filipa i Ewy tak mogły były iść po myśli, jak ów złoty trunek szedł gładko do gardła gości i domowych, ledwie z imienia znane by im były kłopoty, zawody i smutki. I w tej chwili stojąc obok siebie, trzymając się za ręce, pewno ani wątpili oboje, że będą zawsze

doskonale szczęśliwi. I czyż mógłby się kto im dziwić? Kochali, byli młodzi. Spojrzawszy na nich zdawało ci się, że widzisz uosobione szczęście i życie. Bo i cóż może być nadobniejszego i potężniejszego razem jak dziewczyna tkliwa, niewinna, co ledwie siedmnaście wiosen liczy i młodzieniec zakochany, szlachetny, śmiały, któremu niedawno lat dwadzieścia cztery minęło, i którym pozwalają iść społem. Jeżeli ci nie myślą, że ziemia, przyszłość, szczęście, zgoła świat cały ich jest — a czyimże on będzie?

Ale najsmaczniejszego wina i za najdroższe zdrowie pić ciągle nie można, wreszcie «kiedy grajki pod oknami, a płeć biała pod ścianami, lepsze tany od kielicha.» Skoro tedy roztruchan parę razy kolej obszedł między mężczyznami, i znikły ogromne farfury ciast rozmaitych i konfektów, któremi częstowały przy winie młodsze córki gospodarskie, pan Adam dał znak muzyce. Zagrała poważnie i huczno, i wszyscy mężczyzni starzy i młodzi poprawiwszy pasa, szczęknęli karabelami, czapki pod lewe ramię złożyli, a chybotając się zwolna, stanęli przed paniami nachylając głowę. Każdego innego dnia gospodarz domu byłby się zbliżył do matrony najstarszej wiekiem i godnością, byłby przed nią kark nachylił, prawą dłoń jej podał, prosił, aby swoją rączkę w niej złożyła i w taniec z nim poszła — ale dziś, przyszedł do Ewy choć do córki i do najmłodszej, i z nią stanął uroczyście na środku sali. Gospodyni Filipowi znak dała, żeby ją wyprowadził. Dziś, Filip i Ewa byli najstarszemi, było to ich prawdziwe święto. — Kiedy już całe towarzystwo zebrało się w pary i muzyka pierwszą część tańca przegrała, pan wojski tupnął śmiało w takt prawą nogą, lewą wysunął naprzód, a prawą do niej przysunąwszy, znowu takt rozpoczynał tupaniem, i tak wybijając nogami i potakując głową, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, obchodził jak największem kołem obszerną salę, a za nim wszyscy. Za drugą połową tańca, smutniejszego niecu tonu, skręcił pochód na drugą stronę, i to puszczał swoję parę, to znowu z nią się łączył — a co on robił, robili wszyscy. Nareszcie gdy tak obszedł kilkakrotnie salę, raz w gładkie koło, drugi raz w węża, a za każdą częścią tańca nową robił zmianę, pan podkoniuszy, który z umysłu dotąd nie tańczył, stanął przed pierwszą parą, a klasnąwszy mocno w dłonie, żądał z grzecznością odstąpienia panny. I otrzymał. Kochanowski przeszedł do drugiej pary i odbił ją, Filip do trzeciej i tak dalej; panie na tem nie traciły, nowych tancerzy zyskiwały, źle tylko było ostatniemu bo sam jeden został; nie tracąc czasu odbił Ewę panu podkoniuszemu, i trwały tak te odbijania i przemiany, dopókąd Kochanowski wszystkich par nie przeszedł, i nie został z kolei sam jeden. Wtedy zawołał: «Płeć biała sama!» Wszyscy mężczyzni posłuszni rozkazowi, skłoniwszy głowy

z uszanowaniem, odstąpili pań swoich. Szła tak płeć biała sama czas jakiś, drobną nóżką także silnie takt znaczyła, głową pomagała nóżce. Ale wnet sprzykrzyło się niewiastom tańczyć samym; Ewa dała przykład, wzięła sobie parę, wszystkie ją naśladowały, a nie jedna panienka w tym wyborze na żart zdradziła może prawdziwy serca wybór.

Ewa nie wybrała przecież Filipa, już on jej był pewny: podała rękę Podlodowskiemu i z nim tańczyła rozmawiając wesoło. Wyborowi dobrowolnemu płci białej przeszkadzać nie było wolno; po obejściu tedy parę razy sali, panie dały poznać grzecznie, że już mają dosyć, i pokłoniły się uprzejmie; mężczyzni wyjmując czapkę z pod lewego ramienia podsunęli ją zręcznie pod rączkę pani, a złożywszy na tej rączce pocałowanie, puścili ją; i tak się zakończył taniec pieszy, jak go wówczas zwano, taniec, który my dziś tańcujemy i zowiemy z cudzoziemska polonezem.

Lecz gdzie było młodych par kilkanaście, i gdzie obchodzono zaręczyny dwojga ludzi, co razem ich wziąwszy ledwie lat czterdzieści mieli, tam, na takim poważnym tańcu jak pieszy, skończyć się nie mogło. Nastąpiły żwawsze, a wszystkie przeplatane śpiewkami, bo wtenczas nie było tańca skocznego bez pieśni. Filip — czego łatwo domyśli się każdy — rej wodził między wszystkiemi i już Bogdanki z rąk nie wypuścił. To stawał z nią na czele par innych, naprzód śpiewał przed muzyką i śpiewał do niej, a potem wywijał się żwawo, wykręcał całą salę w takt. — Raz dwa — raz dwa obiegał, a za nim śpiewali, wywijali się, wykręcali się, obiegali drudzy, trzymając się parami ramię na ramieniu. To znowu w innym zupełnie tańcu występował z nią samą jedną; naprzeciw niej, jak mógł najdalej stanąwszy, tupał jakby z niecierpliwości, a potem okrążając salę dziwy z wielkiej ochoty wyprawiał; jeźli w bok sunął i skoczył, zdawało się, że oknem jak wiatr wyleci, jeźli znowu przysiadł do ziemi, rzekłbyś, że się wczołga pod ławy jakby gad jaki. Ewa, przypiąwszy do białego kabatu zapasek zielony z kieszonkami, odpowiadała mu na każde jego wezwanie, tupała tyle razy co on, ale tańczyła zupełnie inaczej; drobne stawiała kroki, a choć nie były i one bez sztuki, przecież wydawały przyrodzoną pieszczotę płci jej bardzo przyzwoitą; czasem tylko jakby przez zapomnienie podskoczyła lekko; wtedy brząkały klucze w kieszonkach zapaska, a obecni winszowali z uśmiechem Podlodowskiemu: «Ot! jaka walna gospodyni będzie!»

Po tych tańcach dziś jeszcze nam znanych pod nazwą krakowiaka i kozaka, wzięto się do rozmaitych już teraz zarzuconych: były to cenar, goniony, gniewus, lipka, dorobuszka i inne; galarda tylko i wyrwańca nie dozwoliła Kochanowska; pierwszego dlatego, że obcy, drugiego, że nieobyczajny; jakoż

w tym tańcu, według wiarogodnych opisów, tancerz z tancerką ująwszy się z blizka wodzili się niby za nosy, i zdawali się spowiadać sobie z popełnionych grzechów, a kręcąc się prędko i co raz prędzej, obracali się w koło. — Niewiem czyby dziś tak wzięty u nas walc, uszedł klątwy pani Czarnoleskiej; mnie się zdaje, że on coś bardzo na wyrwańca zarywa?

Przed samą wieczerzą koło naszej siódmej godziny (ale nie rannej tylko wieczornej) Filip coraz więcej rozochocony wezwał do najweselszego tańca i w którym jako sobie rodowitym, nad wszystkie inne celował:

Hejże dalej do mazura,
Podajcież mi ręce która

śpiewał podrygując w sali i uderzając piętą o piętę, i wyprowadził Ewę na środek; a skoro inni młodzieńce dobrali sobie podobnież pary, i stanęli w wieniec, śpiewał do Bogdanki, i do drugiej będącej przy nim z lewej strony dzieweczki:

Podajcież mi obie ręce,
Niechże w koło się wykręcę.

Tak i inni śpiewali, ręce sąsiadkom podając i utworzyło się wielkie koło; wtedy wszyscy trzymając się mocno i tupiąc gęsto jakby w deptaku kręcili się wołając:

Hoc, hoc, na około
I obróćwa się wesoło.

A trzymając się coraz mocniej, tupiąc coraz silniej i kręcąc się coraz żwawiej krzyczeli:

Kiedyśwa się rozhulali,
Hopa! hopa! dalej — dalej.

Siedzącym pod ścianami matronom, stojącym we drzwiach poważnym mężom mogło się wydawać, patrząc na nich, czując wiatr od szat ich sprawiany, że to jakiś wir nowego rodzaju, jakaś trąba osobliwsza, które tak kręcąc się z wzrastającą szybkością i siłą i ich ogarną i porwą. Ale rozigrane koło wstrzymało się nagle, i podzieliło się parami, zawsze jednak stojąc w wieniec. Nie jeden tancerz, widząc swoją panią bardzo zmęczoną, obrócił się ku niej, a machając czapką, wietrzykiem twarz jej gorącą ochładzał. Filip zaś z Ewą wnet wystąpił, i to kręcił się w kole, to skakał, to tupał, bił hołupca, trzymając raz jej ramię, raz obie ręce na krzyż, a przytem tak śpiewał:

Kej Mazur tupnie nogami
I zakrzesze podkówkami,
Kej ma dziewcze jak anioła,
Oto mu chwila wesoła!

Inne pary tym przykładem zachęcone tak samo występowały i tańczyły z kolei, śpiewając co komu przyszło do głowy; potem znowu zebrawszy się w jedno wielkie koło, kręciły się do upadłego, wołając ciągle:

Hoc, hoc, na około
I obróćwa się wesoło,
Kiedyśwa się rozhulali,
Hopa, hopa, dalej, dalej.

Kiedy tak hulali, Kochanowski stanął we drzwiach sali z kielichem w ręku, zawołał:

Wiwat Mazur, Krakowiaki,
Wiwat dziewki i chłopaki.

a spełniwszy kielich duszkiem, wezwał do wieczerzy.

Chociaż prawie ciągle od obiadu za staraniem Kochanowskiej i dozorem Ludwiny było co jeść i co pić, przecież owo wezwanie do wieczerzy mile zostało przyjęte. Każdy tanecznik wziął pod rękę swoją panią, zaprowadził ją do stołu i sam siadł przy niej. Już teraz i Filip miał miejsce koło Ewy i to najpierwsze, i nie raz spełniano zdrowie ich obojga. Oblubieniec odwdzięczał się zwyczajem mękim, spełniając podany sobie kielich co do kropli; Ewa dotykała się tylko ustami naczynia i dziękowała skłonieniem głowy i słowem. Bo jakkolwiek Polacy w owych wiekach tęgo spijali, i często przy biesiadzie z ludzi w zwierzęta się zamieniali, od kobiet — czem niechcący przyznawali nam lepszą naturę niż sobie — nigdy nie wymagali wzajemności. Paprocki w swoich dziesięciorgu przykazaniach niewieścich napisał:

Pókiś panną, dosyć masz abyś to wiedziała,
Gdy kto pije do ciebie, odpowiedź mu dała.

A cnotliwy Modrzewski wspomina ze zgrozą o kilku domach miejskich, gdzie się schodzili mężczyzni i białogłowy; mężczyzni pili za zdrowie łaskawych na siebie, a «białogłowy, czego nawet rzymskie niewiasty acz poganki nie pozwalały sobie, pełniły rzkomo, aby się nie zdały nie życzyć zdrowia onym, co za ich zdrowie przepoje czynią.»

Wieczerza dostatnia i smaczna, kształtnie zastawiona i chędogo dana, trwała dopóki się nie ściemniło zupełnie; wtedy

sala bawialna, sień, zajaśniały jarzącem światłem, na podwórcu wzniosły się ognie ze słomy, kagańce rozpalone, zeszła się wezwana przez dziedzica Czarnoleska gromada; bo u prawdziwej polskiej szlachty, godnej tego imienia, niema uciechy, kiedy jej kmiotkowie nie dzielą, wie ona, że «ziemia nie nasza ale Boża, tak pan jak chłopek tylko gospodę ma na niej.» Wytoczono dla nich kilka beczek piwa, parę baryłek miodu, a dodano nierównie więcej w miarę mięsiwa, krup, jarzyn, sera i chleba; grajkowie również posileni odezwali się hucznie, i nowa ochota do tańca wszystkich przejęła; każdy tanecznik już nie czekając, żeby zdjęto ze stołu półmiski i obrusy, porwał za swoją panią, i pospieszył do świeżo umiecionej i pokropionej sali. — Naprzód według zwyczaju całe zgromadzenie ponowiło taniec pieszy, a potem przyszły z kolei wszystkie inne, z tą różnicą, że jeszcze raźniej, weselej i głośniej niż pierwej, jak to zawsze bywało i bywa po dobrej wieczerzy i przy dobrem winie. Ochota trwała pozno w noc, dopóki się młodzież zabawą nie zmęczyła, dopóki starszym, którzy długo z natężonem uchem muzyki słuchali i pilnie na tańczących patrzyli, sen nie zaczął zamykać omdlałe oczy.

Ewa wytańcowała się za wszystkie czasy i podobno na całe życie. — Był to jej pierwszy, jak dziś zowiemy, bal, a kto wie, czy nie ostatni. W owych wiekach huczne zabawy nie należały wcale do przeznaczenia kobiety; taniec nie był bynajmniej koniecznym i powszednim dla młodzieży chlebem, rodzice nie liczyli do obowiązków swoich dostarczanie córkom sposobności bawienia się, i wydania, jak weszło w zwyczaj mówić. Mężczyzni zjeżdżali się do miast, na pańskie dwory, jedli, pili, dokazywali, i wtem mieli zwykle widoki obywatelskie; dla kobiet nie było innych zjazdów prócz z krewnemi, z przyjaciołmi, z powodu jakiego familijnego obrzędu; trafił się raz w parę lat, to dobrze, nie trafił się, nie miano to za żadną krzywdę. Często dzieweczka do samego wesela nogą nie ruszyła, chyba na żart, dla wprawy, dla ruchu z siostrami, w żadnem licznem towarzystwie ani postała, a ślubna suknia była pierwszą jej strojną suknią; nie uważała się przeto za nieszczęśliwą, a wydała się lepiej i prędzej, niż dzisiejsze panny. Rano wstając, wcześnie spać chodząc, cały dzień zatrudniona, zkąd jej było wziąźć czasu na nudy, zkąd pragnienia zabaw? Schadzki też mężczyzn z płcią białą po wieczorach i nocach jedynie dla tańców, dziś tak powszechnie przyjęte, wtedy jedynie po stolicach widzieć można było, a domy, gdzie się odbywały, równano z najgorszemi. Mężatki i panny, co tam uczęszczały, w złej były sławie: «Bo będzież która — mówi jeszcze zacny Modrzewski — coby z podobnej biesiady lepszą do domu wróciła? któraż z takich schadzek odejdzie, odnosząc wolne serce od nagannego lubowania, chociażby też na ciele

splamioną nie była? O nieszczęśliwe dzieweczki, które się w takowych schadzkach kochacie! O nieszczęśliwi rodzice i mężowie córek i żon takich.»

Smutnie to a może niewcześnie rodzajem klątwy na tańce i zabawy rozdział o zabawie i o tańcu zakończyć; ale bo i któżby się ważył przyganiać młodzieży, kiedy się przyzwoicie i niewinnie bawi? Sam Modrzewski o tem nie myślał; zbytek tylko, niestósowność uciech, ślepe ich zamiłowanie i pragnienie, jak gdyby człowiek do samej zabawy się urodził — tym — zawsze i wszędzie przyganiać należy.

ROZDZIAŁ XV.

Bodaj szczęśliwie tę drogę odprawił
I wszystko według myśli swojej sprawił.

Księga II. pieśń 7.

I przykrego zdarzenia nie trzeba, żeby po hucznej i wesołej biesiadzie, dzień następny wydał się głuchy i ponury; cóż dopiero być musi, kiedy komu wypadnie prosto z tańca i od stołu żegnać się z ukochanemi osobami, puszczać je na dalekie przygody i prawie nieochybne niebezpieczeństwa? — Tak przecież się trafiło Czarnoleskiej drużynie, i wyznać należy, iż nie zniesła tej przemiany bez srogiej serca boleści. Kochanowski osobliwie, gdy już wybiła przykra godzina rozstania, gdy konie zaszły i wszyscy przed gankiem się zebrali, tkliwym się okazał aż do zbytku; może to był skutek wczorajszego wina, które jeszcze w nim pracowało, może jakieś okropne przeczucie, jak upornie utrzymywał: dosyć, że rzęsistemi łzami oblewał twarz przyjaciela żegnając go, pełne smutku mówił mu słowa, o dotrzymaniu młodzieńczej zmowy upewniał, a w końcu uwiesł mu się u szyi, i nie chciał go wcale puścić. — Do tego przyszło, że Podlodowski nic nie mówiąc tylko ściskając ukochanego Jana za rękę — co zawsze bywało niemem świadectwem najgłębszych uczuć — oderwał się od niego prawie gwałtem, wskoczył od razu na konia, i ruszył za wrota czwałem, nawet nie oglądając się.

Filip i Ewa nie mniej zapewne uczuli żałości, lecz pokazywać jej tyle nie śmieli; pocałowanie ręki jedyną było wówczas pieszczotą dozwoloną narzeczonym, bądź w oczach rodziców, bądź za oczami; z trudnością też przyszło młodzieńcowi wypuścić z męzkich i szorstkich rąk swoich drobną i gładką rękę dzieweczki, a osobliwie owego małego paluszka, na którym od wczora błyszczał jak gwiazda zakład obiecanej wiary. Byłby rad wziął go z sobą jakim cudem, i dziwne rzeczy mu prawił: «jak ma przypominać swojej pani wiernego i dozgonnego jej sługę, co jej mówić w wieczór i rano w jego imieniu, od czego strzedz ją i bronić.» A snadź, nie Filip pierwszy i ostatni

wpadł na myśl dziwaczną przybierania sobie podobnego powiernika; wszak do dziś dnia młode dziewczęta wiedzą pełno rzeczy niewiedzieć zkąd i od kogo? a jak ich się zapytać: kto im to wszystko powiedział? «Serdeczny paluszek» odpowiadają z uśmiechem. — I Ewa ze swojej strony obracając się także do wczorajszego pierścienia, którego rubin szacowny, jak kropla oprawna w dyamenty, czerwienił się na palcu stroskanego rotmistrza, przemówiła kilka słów rzewnych, jakich by może nie była się odważyła wyrzec wprost: «Niech że cię jak najrychlej oglądam znowu, drogi pierścieniu, i w całości — mówiła drżącym i pełnym łez głosem — tęsknić tu będę za tobą, a skoro raz wrócisz szczęśliwie, już cię więcej nie dam od siebie.» — Pod ciężkiem zaklęciem przysiągł Filip, jako wróci pierścień w całości, i wraz z nim słać się będzie pod stopy pani, którejby nigdy oba porzucać nie radzi. — «Raczej życie stracić niż ciebie» — mówił sobie w duszy, gdy ucałowawszy nogi przyszłych rodziców i odebrawszy serdeczne ich błogosławieństwo, wsiadł na swego Turczynka, i złoty znak przyciskał do ust.

Ruszył i on za przybranym ojcem, a choć się wielokrotnie oglądał, wnet go dopędził. — Długo widać ich było obudwóch, długo migały się jak błyskawice dobyte szable, któremi znaki robili w powietrzu na pożegnanie, dłużej jeszcze z tarasu Kochanowskiego — na który wstąpiła cała rodzina — widać było obłok kurzawy wzbijany przez konie ich, i licznej dosyć służby; ale nareszcie wszystko znikło, samo milczenie i smutek zostały, tem przykrzejsze, że zaraz od południa czas się zmienił; ostry wiatr dąć zaczął, a choć to był początek pięknego maja, sprowadził wnet deszcz zimny na pół ze śniegiem.

Kochanowski zamknął się u siebie i przez parę dni mało co się pokazywał; wyjeżdżał w pole, chodził koło gospodarstwa, kiedy tego była konieczna potrzeba: najchętniej jednak osobności szukał, tam, zagłębiał się w myślach, i jednej Orszulce wolno było przerywać jego tęskne dumania. Luba dziewczynka skoro zobaczyła ojca siedzącego samotnie, skoro wpatrując mu się w oczy, dostrzegła na jego czole niezwyczajnych śladów smutku, czepiała się jego sukien, siadała mu na kolanach, albo stanąwszy na ławce obok niego, spinała się jak mogła, i póty czoło jego pocałowaniami gładziła, póki nie znikły marszczki pod jej różanemi ustami, jak śnieg znikał przed wiosennem słońcem. Nie raz także własną jego bronią go biła i pokonywała; chodząc na około, piastując łątki swoje, nóciła jakby od niechcenia stósowne wyjątki z psalmów, jak naprzykład:

Gniew Pana nie trwalszy piany
A łaski wiek nieprzetrwany;
Kogo w wieczór zafrasuje,
Tego rano umiluje.

Albo te:

Użyję zwykłej litości,
Obrócę płacz twój w radości;
Zdejmiesz z siebie wór żałobny,
Włożysz na się płaszcz ozdobny. — i t. p.

Kochanowska choć szczerze przejęta odjazdem brata i przyszłego zięcia, choć nie mniej wystawiającá sobie od męża wszystko złe, co ich w tak długiej drodze spotkać mogło, nie pozwoliła przecież ani sobie, ani tem bardziej córce, wzdychać, narzekać, usychać, i smucić się w bezczynności. Wreszcie coby uszło kobiecie przy dzisiejszych wykwintniejszych obyczajach, nie mogło mieć miejsca obok dawnej prostoty. Dziś, panna na wydaniu rodu i majątku Ewy jakież zwykle ma zatrudnienia? oto czytać, pisać, grać, rysować, szyć na kanwie; choćby tedy przez parę dni dla jakowejś tęsknoty i zniechęcenia opuściła ręce, i nie ruszyła pamiętników czy romansu, choćby nie wprawiała się w etiudę, nie skończyła jakiego przerysu, i dała pokój zaczętemu haftowi, nikt o tem wiedzieć nie będzie, a przynajmniej nikt nie poniesie szkody; ale niechnoby gospodarna Ewa nie była dojrzała krów, spiżarni, kuchni, niechby była grządek swoich nie podlała, złych ziół nie wypełła, kurcząt nie nakarmiła, nie odwiedziła chorych, wnetby nieład był widoczny, i matka ostrem łajaniem byłaby wypłoszyła takie dziwne i kordyaczne żale.

I te same żale, jakkolwiek powód do nich był słuszny, przy ciągłej a koniecznej pracy zwolnieć musiały; mimo tego ówczesne kobiety nie były mniej czułe dla drugich, ale wyznać należy, po większej części były mniej czułe dla siebie, niż częstokroć dzisiejsze.

Ewa pomagając matce, przewodząc siostrom do przywrócenia porządku w domu po ostatniej biesiadzie, do obrachowania już nie tego co wyszło lecz tego co zostało, nie zapomniała bynajmniej o Bogdanie swoim; nikt tego nie wymagał po niej, owszem każdy byłby jej pustą wesołość i obojętność za grzech poczytał. Wówczas wolno było pannie się kochać, może nawet jawniej, niż teraz, ale kochać się raz tylko jeden na całe życie, za wiedzą rodziców czy starszych, i w przyszłym mężu. Nie kryły się też panny ze swoją miłością, a z tej jawności rodziła się stałość, bo skoro o której wieść się rozeszła: «Zakochała się, trafiła na swego Bogdana» już dla tego samego miłowała go niezmiennie, żeby nie ujść za płochą

i za lekkomyślną. Ewa tedy nie tracąc ani na chwilę Filipa z pamięci, choć już nie tak wesoła i figlarna jak dawniej, rozerwała przecież ciężki po nim smutek. Nie tylko rano i w wieczór, daleko częściej spoglądała na swój pierścionek i przypominała sobie ostatnie pożegnanie; z matką, z Nastką, rozmawiała o panu rotmistrzu, o jego rzadkich zaletach, o przyszłem z nim szczęściu, ale obok tego nie zaniedbała żadnego obowiązku, nie zapadła na zdrowiu, ani też nie nudziła ani siebie, ani nikogo, narzekaniami i melancholią. — Następujących dni przyszła też nowa robota, którą zajęła się pilnie cała płeć niewieścia domowa, a która dla Ewy szczególnie miała wdzięk wielki, jak to pojmą zapewne wszystkie panny idące za mąż. — Tą robotą była **wyprawa**, czyli **gierada**, jak wówczas niektórzy mówili.

Sądząc po tem, co dziś w takich razach w niejednym polskim domu się dzieje, wnosić by należało, iż zaczął się ten zachód od tego, że pan ojciec po długiem targowaniu się i trząsaniu głową dobył worka, albo też co jeszcze częściej się trafia — pożyczył od kogo pieniędzy, a pani żona z panną córką zapisawszy różne cudności z za granicy i z za morza, ruszyły do stolicy, albo do najbliższego obcego miasta zakupić tam rzeczy i szaty pospolitsze, i wzięły z sobą choć jednę brykę pod owe towary? — Nie — Kochanowski nie dał ani grosza, żona i córka nie napisały ani jednego listu, i nie ruszyły się na krok z domu; Nastka sama jedna pojechała do Kazimierza po jedwab, guziki, igły, taśmy, i t. p. drobnostki i przybory, a ów kuśnierz, i ów krawiec, co już byli w Czarnolesie podczas przeglądu szatni, teraz na kilka tygodni wezwanemi zostali. — Dawniej, wyprawa panny nie robiła się tak, jak nam nieraz widzieć się przytrafia: na gwałt, na przepych, bez zastósowania do posagu, do dalszego życia i przeznaczenia przyszłej mężatki, której często nasprawiają takich rzeczy, jakich ona później ani włożyć może. Staropolscy rodzice jeźli mieli pieniądze dla córki, woleli dać jej gotowizną pod poduszkę, a trwonili jak najmniej na tak zwane fatałaszki. — Myślano tedy o wyprawie kilkanaście lat przed weselem, starając się opędzić ją ile możności tem, co dom miał. W tem wczesnem obmyślaniu — któreby dziś powodem było do żartów i do wróżb niepomyślnych — nikt żadnej śmieszności, ani próżnej chwalby nie widział, owszem, rozsądną przezorność. W owych czasach, więcej do natury zbliżonych, nie miano wcale za rzecz nieprzyzwoitą albo niebezpieczną myśleć o dorodnej i dobrze wychowanej dzieweczce, że pójdzie za mąż, i mówić jej o tem. Ukrywać przed nią to główne przeznaczenie kobiety uważanoby za rzecz równie zbyteczną i dziwną, jak taić przed chłopcem, że kiedyś z Tatarami, albo z Moskwicinem czy z Turkiem rozprawiać mu się przyjdzie. Bo przy lepszych obyczajach i

większej pobożności nie było wcale — jak już wspomnieliśmy wyżej — starych panien świeckich; wszyscy niemal mężczyzni się żenili, rzadka zaś była rodzina, któraby choć jednej córki nie chowała na zakonnicę. Bez żadnej więc tajemnicy matka dzieweczki, przeznaczonej do świata, myślała o jej wyprawie niemal od kolebki; dzieweczka od dzieciństwa pracowała w tym celu, siostry pomagały jej chętnie, a co wynikło z tych spólnych prac, składane było do osobnej skrzyni. Toż, kiedy się trafiło panience dostać w darze od chrzestnych, od starszych krewnych nieco pieniędzy, sztukę bławatu, błam futra, przestrzegali ją rodzice mówiąc: «Zbyteczne to teraz dla ciebie, raczej na wyprawę schować» i moneta szła do garnuszka, a podarek do skrzyni.

Znalazł się w rzeczach matki strój który poważnej matronie już nie przystawał: «Zda się dla mojej dziewki» mówiła, i strój szedł także do skrzyni. Czasem, sztuka domowego płótna, obrus, ręczniki, pstre jakie płócienko dziwnie pięknie się udały: «Żal by się tego, Panie Boże, na codzienne nasze obejście — wyrokowała gospodyni — odłożyć to dla naszej dziewki.» I tym sposobem skrzynia się napełniła, a kiedy mąż się trafił, nie było wydatków i korowodów, należało tylko rozpatrzyć się we wszystkiem i urządzić jak najlepiej.

I z wyprawą Ewy nie zaszedł żaden inny zachód. Otworzono wielką skrzynię jej imieniem oznaczoną, już nam znaną, do której — o czem zapomnieliśmy wspomnieć — pan podkoniuszy nie mało dorzucił w dzień, kiedy do Czarnolasu na zaręczyny zjechał. W owej ciężkiej bryce bowiem, co to za nim z Turcyi się przytoczyła, znalazły się atłasy, kitaje stambulskie, różne wschodnie wełniane i bawełniane tkaniny, czabany podolskie, baranki krymskie, nowogrodzkie marmurki, syberyjskie sobole, a Podlodowski te wszelkie cudności ofiarował Ewie. — Kochanowska tedy wkrótce po odjeździe lubych gości, z trzema starszemi córkami i z wierną Nastką wypróżniła całą skrzynię; parę poranków strawiła w szatni, i wnet wszystko przyrządzono według następującego spisu; zostało tylko prawie przerobić używane już rzeczy, przykroić, uszyć, naznaczyć nowe, uprać bieliznę, i to co się prać dało.

Spis wyprawy Ewy Kochanowskiej.

«Kożuszków codziennych sukiennych bielnią podszytych dwa.
Kożuszek brunatny teletowy popielicami podszyty jeden.
Kożuszek turecki kitajowy zielony krymskiemi barankami podbity jeden.
Czucha (szuba) od szarzania sukienna szara z lisami.
Czucha od święta atłasowa karmazynowa brzuszkami nowogrodzkiemi podszyta.

Kabat ślubny biały adamaszkowy ogoniasty.
Kabat zaręczynowy biały czamlotowy.
Suknia czarna atłasowa sobolem obłożona rozwarta na przodzie.
Suknia zielona adamaszkowa gronostajami obłożona.
Giermach jedwabny fiołkowy podbity bobrem.
Letnik tawtowy ceglasty białym kitajem podszyty.
Letnik pisany płótnem żółtem podszyty.
Mentlików płócienkowych pstrych barchanem podszytych dwa.
Koszul wyszywanych i marszczonych z długiemi rękawami i z kołnierzem cztery tuziny.
Koszul bez kołnierza z długiemi rękawami dwa tuziny.
Obrusów różnej miary trzy tuziny.
Ręczników wyszywanych dwa tuziny.
Gładkich tyleż.
Ręczników tureckich rozmaitych tuzin.
Towalni jedwabnych sześć.
Spodnica jedwabna biała atłasowa.
Spodnica karmazynowa kitajowa.
Spodnica futrzana.
Spodnic wełnianych dwie.
Spodnica czerwona.
Spodnic barchanowych trzy.
Prześcieradeł dwa tuziny.
Cztery poduszki puchowe z pochwami.
Pierzynka pstra jedna.
Kołder wełnianych dwie.
Materacy drylichem w pasy pokrytych dwa.
Łóżko żelazne z namiotkiem.
Opona do przykrycia łóżka z materyi tureckiej.
Opona futrzana.
Kobierców na stół dwa.
Kobierców wązkich na ławy dwa.
Czepców bogatych dwa.
Czapka czarna z uszami z barankiem.
Czapka karmazynowa aksamitna z sobolem.
Zasłona muszlinowa turecka.
Myczka białogłowska jedna.
Duchenek nocnych cztery.
Krez białych rąbkowych karbowanych dwie.
Forbotowa ze złotem jedna.
Gładka jedna.
Pończoch szytych par sześć.
Pończochy czarne sukienne jedne.
Pończochy czerwone sukienne jedne.
Pończochy futrzane jedne.
Trzewików kurdybanowych par dwie.

Trzewików skopowych o dwóch podeszwach para.
Skórzenki kunowe.
Bótów sakowych długich dwie pary.
Pantofle tureckie haftowane.
Zarękawek futrzany.»

Niebyło na tym spisie srebra, klejnotów, jakie Kochanowscy dać mieli przy ślubie córce, gdyż jeszcze dział tych rzeczy na pięć równych części nie był sporządzony; wreszcie około kosztowności podobnych, żadnej nie było roboty, dosyć było czasu w dzień ślubu ofiarować je, i do rejestru dołączyć. Kształt sztucców, czar, puharów, miednic, nalewek, nie zmieniał się wtedy co lat kilka, równie jak się nie zmieniała oprawa drogich kamieni; rodzinne, od dziadów pradziadów cyfry, kształt staroświecki, dodawały im nawet ceny, świadczyły tem samem, że już dawno są w domu, co za większą poczytywano chlubę, jak gdyby za pieniądze zakupić coś nowego u złotnika i jubilera, choćby też w samej Wenecyi, w Norymberdze, albo i w Paryżu. — Wiemy jednak z dobrego źródła, że, gdy już przyszło Ewie iść do ołtarza, dostała od matki:

Łyżek srebrnych sześć z cyfrą i herbem Podlodowskich.
Kubków srebrnych tyleż z napisami.
Misę wielką srebrną z Turcyi przywiezioną.
Puhar kosztowny, dar ślubny Białaczewskich.
Czarę złocistą na Tatarach zdobytą przez ojca Podlodowskiego.
Noszenie na szyję smaragdowe z perełkami po babce macierzystej Kochanowskiego.
Pierścień z obrazem Matki Boskiej, po Janie Odrowążu, biskupie Gnieznieńskim, 1454. roku zmarłym;

a na drobniuczkim złotym łańcuszku banieczkę w kształcie jabłuszka; była to balsamka, puszka kryształowa na rozmaite wonie w złoto oprawna, matce Kochanowskiego darowana niegdyś od jej chrzestnych. —

Jakkolwiek wyprawa Ewy Kochanowskiej wyda się może nie jednej mniej znakomitej od niej dzieweczce zbyt skromna, przecież ona nad dopełnieniem jej daleko więcej pracowała od wielu panien dziś idących za mąż, których przepłacone trousseau kilka by zajęło arkuszy, gdyby warto było spisywać, gdyby nazwać można, wszystkie składające go elegancye. — W rozkładzie prac dostało się Ewie naznaczenie całej bielizny, wyszycie koszul z kołnierzem w rozmaite wzorki, i utkanie dwóch pięknych stołowych nakryć; te wszystkie zaś roboty nie szły tak łatwo, jak dziś pójść by mogły, takich pomocy nie było; wszystko należało wymyślić i wykonać samej, a każda

ówczesna robotnica według słów późniejszego nieco poety Kaspra Miaskowskiego:

«Cienkie obrusy tkała rączkami,
Nadobne wzory kładła myślami.»

Prócz tego, należało do koniecznych obowiązków panny idącej za mąż, zrobić coś bardzo pięknego przed ślubem własną ręką dla swego przyszłego. — Ewa po długich naradach z matką, po namysłach z samą sobą, przedsięwzięła czaprak, zgadując, że ozdoba ulubionego Turczynka najmilej od pana rotmistrza przyjętą będzie. Amarantowy turecki atłas nałożyła w krosienka, i szyła na nim kruki czarnym jedwabiem, łabędzie białym, obwodząc jedne i drugie i łącząc je srebrnym sznureczkiem; były to jak wiadomo Kochanowskich i Owadowskich herbowe znaki, a wtedy owe «piątna szlacheckie» kładziono chętnie, gdzie tylke się dało, nie raz z przesadą. — Może ten wzorek nie ułożył się z doskonałym gustem, może ptaki nie były jak żywe, a kruki nie raz większe od łabędzi, jednak wydawało się to wszystko razem wcale nie źle; cały dwór Czarnoleski, wszystkie sąsiadki i młodzi sąsiedzi uwielbiali zręczność panny wojskiej, a ona tymczasem, w tej pracy niepojęty wdzięk znajdowała. Rano wstawszy obaczyć jak się wydaje, czy dużo już zrobionego? rachować, za jak wiele tygodni będzie mogła być skończona? Z wszelką ważniejszą robotą jak najspieszniej dążyła, żeby mieć więcej czasu do ulubionej, a kiedy siedziała przy swoich krosienkach, owe ptaki, które mimowolnie wyszywała zawsze parami, tysiączne słodkie myśli jej podawały...

Od wyjazdu Filipa Ewa zarzuciła także zupełnie dawne wesołe piosenki swoje, polubiła smutne nócenie, i wszelakie wiersze. Wiele poezyi ojcowskich już było drukowanych, ale ona nie znała i połowy; teraz odczytywała je pilnie, i bardzo jej było dziwno, że niektóre pieśni niegdyś zupełnie dla niej obojętne i trudne, teraz rozumie, pamięta, i nawet jakby siebie w nich widzi: ledwie parę razy którą pieśń przeczyta, już ją powtarza, i zdaje jej się, żeby taką samą, może jeszcze lepszą złożyć potrafiła, jak na przykład następująca:

«Jako ptak kiedy towarzysza zbędzie
Nigdy na rózdze zielonej nie siędzie,
A między bory i pustemi lasy
Sam jeden lata po swe wszystkie czasy:

Tak ja nieszczęsna w jego niebytności
Muszę być zawdy w trosce i w żałości;
Chronię się sama niewiem czemu;
Radam gdy świadka niemam płaczu swemu.

Troszczą mnie smutną srogie morskie wody,
Troszczą mnie wiatry i złe niepogody;
Troszcze mnie wszystko cokolwiek być może;
Tobie go ja tam poruczam, mój Boże!

I to mi czasem na myśl więc przychodzi
(Bo łacno gdy chce nieszczęście ugodzi)
Że może serce próżno się frasuje
A on podobno gdzie indziej miłuje.

Źlećby mi płacił moje życzliwości,
Bym miała doznać takiej niewdzięczności:
Bodajbym pierwej ostatnie skonała
Niźli nowiny takiej doczekała.

Aleć ja dufam jego szczerej cnocie
Że mię nie będzie chciał mieć w tym kłopocie;
Będzie pamiętał i statecznie chował
Miłość i wiarę którą mi ślubował.

Usilne wiatry co morzem władacie
Jeźli też kiedy to co miłość znacie,
Dodajcie mu tak szczęśliwego biegu
Że w rychle stanie na ojczystym brzegu.»[1]

Często jednak Ewa ciężkie wymówki sobie czyniąc, iż wiersze świeckie umie i powtarza jak pacierz, że nie do kościoła ale dla Turczynka jej taka piękna i trudna robota, prosiła pobożnej Ludwiny, żeby koło niej usiadła, i prym trzymała a jakiej świętej pieśni; a tak wtórując siostrze spokoiła sumienie swoje, pan Filip zaś na tem nie tracił, bo robota szła jeszcze sporzej, a modły ofiarowane były za niego.

I Kochanowski po kilku dniach zaczął przecież otrząsać się ze smutku swego, i znajdować rozrywkę nie w samych pieszczotach Orszulki; najmocniej jednak zajął go i zwrócił myśli jego w inny kierunek, list synowca Krzystofa najstarszego syna pani Mikołajowej Kochanowskiej z Jasieńca, który, jak się wyżej wspomniało, zostawał przy dworze królewskim. Umieszczony tam najwięcej dla zasług stryja, dotąd bez szczególnego urzędu i zatrudnienia, układu jednak i głowy wcale na dworaka, i jakbyśmy dziś powiedzieli na dyplomatę, uważał pilnie wszystko, brał nawet udział we wszystkiem, i rozumiał nieraz, że do wszystkiego należy; wypłacał się stryjowi za posadę swoją — w której wielce smakował — donosząc mu wiernie to co widział, słyszał, co się działo, i czego się domyślał. — List jego był prawie w tych słowach: (spolszczyliśmy bowiem łacinę, bez której ówczesne korespondencye mężkie rzadko się kiedy odbywały.)

[1] Księga II. pieśń 11.

«Wielmożny mnie wielce miłościwy
«Stryju a Panie!

«Pierwsza miłość od siebie, donoszę przeto na samym przedzie Waszej Miłości, iż zdrów jestem dzięka Panu Bogu, i powodzi mi się po myśli. We trzy dni po odjeździe naszego pana podkoniuszego (któregom mocno obowięzywał, aby wam oświadczył moje służby, ale nie wiem czy nie przepomniał z wielkiego pospiechu) król, Pan nasz miłościwy idąc do kaplicy, na mszę świętą postrzegł mnie, spytał czy do Waszej Miłości często pisuję, pozdrowić was rozkazał, a nazajutrz nasz pan marszałek [1] zawołał mnie, oświadczył: jako skutkiem osobliwszej łaski królewskiej, policzony zostałem w poczet płatnych dworzan, jakich bywa najwięcej szesnastu przy monarsze, a którzy, jak Waszej Miłości wiadomo, nie są wcale brani z szarej szlachty, gdyż Herburtowie, Niemojowscy, Kretkowscy, Gołuchowscy, są dziś między niemi. Pobierać będę jako i każdy z nich na sześć koni obrok, strawnego trzy złote co tydzień na chleb, piwo i wino, i czterysta złotych rocznych zasług, a co jeszcze lepsza, choć i tamto nie najgorsze, zbliżę się daleko więcej do majestatu, co jest dobrodziejstwem i szczęściem bez ceny, a będąc koło wielkiego ołtarza będę mógł i sam korzystać, i Waszej Miłości przysługiwać się jeszcze rychlejszemi i pewniejszemi nowinami niż dotąd.

«Nie czekając nawet dłużej prosząc was tylko, abyście moje służby pani stryjence i bratankom przełożyć raczyli, i pani matce przesłali jak najrychlej przyłączone tu pisanie, opowiem wam dokładnie co tu u nas słychać, co porabiamy i porabiać myślemy.

«Już to — mówiąc między nami — nie bez przyczyny pan podkoniuszy tak spiesznie wyprawiony powtórnie do Carogrodu; do czegóżby proszę tyle koni w królewskiej stajni, gdyby się nie miało na wojnę? Będziemy tedy mieli wojnę niebawem, a to nie jednę ale dwie, ręczę słowem szlacheckiem. — Przybyłoć tu wprawdzie przed kilkoma dniami poselstwo moskiewskie w obdłużnych szatach żałobnych: poseł Andrzej Jemoiłów przywiózł listy nowego Wielkiego Kniazia Fiedora Iwanowicza, z żądaniem potwierdzenia dawnego pokoju. Miłościwy Pan przyjął go uprzejmie, ale poseł Rzeczypospolitej wysłany jak wiecie jeszcze do srogiego Iwana, mądry nasz Lew Sapieha, ostrzegł króla przysłanem potajemnie pismem, aby nie przystawał na to. Łacna ma być teraz owa ogromna ziemia do zawojowania, gdyż niezgoda ogarnęła najzacniejszych bojarów, lud jest strwożony śmiercią Iwana, w którego wierzył choć on go tak katował i woła na głos: «kto nas obroni kiedy

[1] Stanisław Przyjemski.

jego nie stało!» a kraj cały wycieńczony wojnami! podatkami; młody zaś Kniaź Fiedor, w którym ostatnia nadzieja — jak mówią — kęs niedołęga. I musić to być i w tym razie «głos ludzki głosem Boskim» kiedy sam ojciec zmierając naznaczył mu opiekunów, żeby oni krajem rządzili a nie on; z kąd też wszczęły się kłótnie, które ich wszystkich zgubić mogą. To wszystko zważywszy rzec śmiało można, iż nie było nigdy i nie będzie lepszej pogody do nowej wojny, i król nasz ów miłośnik bojów i mądry wódź, jak niegdyś owi dawni Cezarowie i Aleksandrowie, chce z niej korzystać. — Zamyśla on odzyskać księstwo smoleńskie i wszystkie kraje od korony oderwane, spodziewa się nawet całe państwo moskiewskie tak przestrone i przemożne, tyle sposobów do wojowania ofiarujące podbić, przyłączyć do Polski, albo przynajmniej na pożytek całego chrześciaństwa obrócić. Bo panie stryju, nie skończymy dalipan na tej jednej wojnie, niebawem rozpoczniemy drugą, śpiewając naszemu Stefanowi wraz z waszym Psalmistą i po waszemu:

Wsiadaj z dobrem sercem, o królu cnotliwy,
I w dobrą godzinę na swój koń chętliwy;
Zajedź drogę śmiele nieprzyjacielowi,
A zastaw się o mój lud poganinowi.[1]

«Tak — nie inaczej — zwalczywszy Moskwicina ruszymy wszyscy na Turka, na ową potęgę co śmie grozić chrześciaństwu zagubą, co chce oblać ciemnotą swoją całą Europę; wiem dowodnie, że i w Rzymie i gdzie indziej, są dane tajemne polecenia dowiadywania się, jakiejby chęci w takim razie król polski mógł się spodziewać od ojca świętego, i od innych panów chrześciańskich? Wiem ja — bom w ciemię nie bity — że i nasz pan podkoniuszy nie po same konie pojechał; ma on tam przepatrować siły tureckie, stan wojska i wierną zdać o tem sprawę, a królowi naszemu — choć tak za pięknemi końmi przepada — ręczę, że na tej wiadomości więcej zależy, niż gdyby mu ze stajni sułtańskiej kilku uprowadził arabskich dzianetów.

«Skoro da Bóg, że owych potężnych wrogów pokonamy, nową chwałą się okryjemy, prawemu kościołowi się zasłużymy, skarbami zasilimy, wtedy snadno nam będzie wewnętrznym nieprzyjaciołom poradzić. Groźni sąsiadom, pewni pokoju, poprawimy ciężkie wady Rzeczypospolitej, ustalimy niepewność jej losów. Założą się szranki swawoli, ukróci się zuchwalstwo możnych, swobodom nada się trwałość, ustanowi się następstwo tronu, a przynajmniej sposób elekcyi

[1] Psalm XX.

poprawiony zostanie. — Jakaś istna kara niebios, że nam z tem następstwem tak się rwie, bo chociaż Polakom z dawien dawna, wolno obierać sobie królów, przecież naród nasz zawsze rad bierze brata po bracie, syna po ojcu. Ale coś nasz orzeł od jakiegoś czasu w pustułkę nam się zamienił, i nieodżałowana szkoda, iż po takim królu jak dzisiejszy nie wolno nam spodziewać się potomka! Jedna wada naszej Miłościwej Pani, te owe lat pięćdziesiąt z górą! Słyszałem ja niedawno od osoby, co wiedzieć takie rzeczy może (jedno mnie nie wydajcie przed nikim na miłość Boską): iż dla tego jedynie Gryzelda Batorówna dana w małżeństwo Zamojskiemu, dla tego rok właśnie temu, owo monarchiczne wesele, tryumfy, igrzyska, rozrzucanie pieniędzy, żeby jeźli nie on, to kiedyś syn jego, skoro mu go synowica królewska urodzi, był swego czasu królem. — Lecz cóż? jakby o tym zamiarze posłyszała nieprzyjazna Fortuna. Pani kanclerzyna — czego może Wasza Miłość jeszcze nie wiesz, gdyż nie koniecznie z tą nowiną się noszą — poroniła niedawno w Knyszynie, i według dworskich pogłosek tyle miała szkodować na zdrowiu, iż ani dalszego potomstwa, ani długiego życia lekarze nie obiecują. Kanclerz jakkolwiek nie wie i słowa o tym ich wyroku, przecież z razu bardzo wziął na serce to nieszczęście, zwłaszcza gdy się dowiedział, że dziecię było płci męzkiej; przez parę dni płakał, czego, od śmierci drugiej żony nikt po nim nie widział; niewiadomo jednak czy te łzy były za synem, czyli za królem? lubo Wasza Miłość znasz lepiej nawet odemnie, że on pragnie dzieci jak zbawienia, a korony wcale sobie nie życzy, a to nie tyle z bojaźni zawiści dawniejszych od siebie panów, o których bynajmniej nie dba, ile dla tego, żeby sobie nie zniechęcił szarej szlachty, o którą wielce stoi. Z innej strony powiadano mi znowu, jakoby on sam namawiać miał Miłościwego Pana do wyjednania dla synowców indygenatu, i podania potem jednego z nich narodowi na swego następcę. Z tą powieścią nie zgadza się wcale niedawne wysłanie pana Andrzeja Batorego do Rzymu, poświęcenie go duchownemu stanowi, i staranie się dla niego o kardynalstwo. Tego ostatniego postępku Miłościwego Pana, któremu jak się zdaje bardzo sprzyja kanclerz, całym swoim dowcipem nie pojmuję, lubom już nie mało głowy nad nim nałamał, a Jego Królewska Miłość przywięzuje wielką wagę do owego kardynalstwa; jak przyjedzie z Krakowa poczta panów Montelupich, najpierwej się pyta o listy księdza dziekana Reszki, ochmistrza pana Andrzeja, i jakby tajemnego naszego posła w Rzymie. — Co do mnie, jabym zacnemu młodzieńcowi raczej życzył korony niźli kapelusza, ile że w kilku okazyach bawiąc przy naszym dworze, pokazał się dla mnie szczególniej życzliwy; na mój rozum, jabym go ożenił z królewną szwedzką, córką nieboszczki

królowej Katarzyny, takiej prawej Jagielonki jak nasza Miłościwa Pani; po najdłuższem życiu obojga dzisiejszych królestwa, mielibyśmy znowu Batorego i Annę, coby się nam rozkrzewili jak niegdyś 'owi zacni Jagiełłowie, a możeby przecie nie wygaśli tak rychło jak oni. Mówią niektórzy jakoby królewna acz jeszcze młodziuchna, i takiej świętej matki córka zaciętą już była kacerką. Lubo to już teraz nie tak w naszym senacie i w całej Rzeczypospolitej jak było za nieboszczyka króla , jest jednak dosyć takich panów, co by dla tego samego radzi ją mieli na tronie; wreszcie OO. Jezuici których liczba i gorliwość codzień się zwiększa, wnet by ją prawemu kościołowi pozyskali.

«Mało kto jednak to mądre moje zdanie podziela, i ja też wiem dobrze przed kim z niem się otwierać; wielu z tych co Miłościwej Pani sprzyja, głośno się oświadcza za królewiczem szwedzkim; rzecz to podobno ułożona od czasu jego urodzenia między dwiema Najjaśniejszemi siostrami, żeby go forytować na tron polski, i królowa Katarzyna przy śmierci miała zakląć o to naszą Miłościwą Panią, na pięć ran Zbawiciela i na całą miłość siostrzańską, jaka między niemi była zawsze tak serdeczna. Niewiem atoli czyby ten Szwedzik był królem dla nas; ci, co przyjeżdżają ztamtąd, prawią, iż on przy ojczyznie zacięcie stoi i stać będzie, a jakkolwiek zacny ksiądz Warszewicki uczy go po polsku i nieustannie koronę polską mu przed oczy stawia, młodzieniec żadnej skłonności do matczyzny nieokazuje. Nie jest on bez pięknych przymiotów i wielkich zalet, ale raczej na księdza niźli na monarchę, a to jeszcze na polskiego; gorliwy katolik, wcale uczony, obyczajów prawie świętych, wszystkie pacierze i godzinki jezuickie odprawia, jakby uczniem był sławnego świętego Ignacego Loyoli; wizerunek nawet jego, niedawno przysłany Miłościwej Pani, wystawia go w sukience duchownej klęczącego z paciorkami w ręku, a ksiądz Warszewicki stoi za nim. Miarkując z tego malowania królewicz nie wydaje lat ośmnastu, szczupły jest i dosyć urodziwy, czoło wysokie, twarz ściągła, nos piękny, jedno kęs za duży. Ma być małomowny, poważny i zimny, ale roztropny; po modlitwie, malarstwo i złotnictwo najmilszą mu zabawą.

«Nasza Miłościwa Pani od czasu, jak zawsze nosi przy sobie jakiś kamień indyjski przysłany jej z Rzymu, dosyć jest zdrowa; w ostatnim liście, który tu pisał sekretarz jej Jędrzej Petrycy, donosił jako 24. zeszłego miesiąca, była w kościele ś. Anny w Krakowie na mszy, z dworem swoim, gdzie idąc, na ofiarę zostawiła pięćdziesiąt czerwonych złotych. Po mszy gdy z kościoła wyszła, zastąpili jej na cmentarzu doktorowie i mistrzowie akademicy, i zaprowadzili do kollegium do wyższej sali, gdzie ją witał mową rektor akademii, nasz Marcin z Pilzna

wyliczając jej dary i szczodrobliwości jej przodków Jagielonów. Odpowiadał od królowej Petrycy. — Potem prowadzona była do biblioteki, ztamtąd do izby spólnej, gdzie ją marcepany, cukry i konfekty częstowano. — Oglądała też pamiątki po naszym błogosławionym Janie Kantym: ów obraz Matki Przeczystej, przed którym, jak wam wiadomo, zwykł był się modlić w nocy, kiedy kollegium było zamknięte, napisy świątobliwe na ścianach jego ręką kreślone, i rewerendę purpuryanową, w którą do dziś dnia oblekają każdego dziekana filozofii nowo obranego, w nadzieję, że wraz z suknią i mądrość wielkiego męża oblecze. — Po tych odwiedzinach przysłała Miłościwa Pani akademii przecudny kubek złoty, który waży 135 dukatów. Wręczył go starszym kollegiatom Kasper Sadłocha, aby został na zawsze ślad dnia tego. — Owe względy królewskie dla akademii krakowskiej nie koniecznie idą w smak pewnym ojcom, którzy by już wszystko dla swoich zagarnąć chcieli, lecz są między niemi tacy, co zasługi tej starej Matki naszej szczerze uznają, a na ich czele ksiądz Piotr Skarga niegdyś jej uczeń który coraz bardziej wymową i świątobliwością swoją słynie; teraz gości właśnie w Krakowie, i pracuje nad założeniem przy kościele ś. Barbary, banku pobożnego na wzór włoskich; byłoby to wielkie dobrodziejstwo dla ubogiego ludu. — Miłościwa Pani nad zamiar swój długo bawiąc w Krakowie, — gdyż już blizko roku — niezawodnie wyjechać miała pierwszych dni bieżącego miesiąca na Skałę i Częstochowę do swojej ukochanej Warszawy, dokąd ją też powołuje kościół osierocony odjazdem dziekana. Koniecznym sposobem chciałaby królowa JM. wyjednać u małżonka swego rychły powrót do Polski księdza Reszki, ale Miłościwy Pan ani słyszeć o tem nie chce. Dziwny człowiek ten ksiądz dziekan; musiałby się na poły przedrzeć, gdyby chciał obojgu królestwu i wszystkim swoim obowiązkom dogodzić; są ludzie których na j e d n o aż nadto, są drudzy których na c z w o r o za mało.

«Zborowszczyk zawsze po swojemu: mówią, jakoby to z jego poduszczeń, kozacy Niżowscy zdobyli i splądrowali Bender, czem Turek bardzo się obraził i zemsty szukać obiecał; Miłościwy Pan wpadł w gniew srogi dowiedziawszy się o tej nowej psocie, ile że jeszcze nie pora bisurmanów obrażać; już do tego przyszło, że mało kto śmie wspomnieć w obliczu królewskiem imię Samuela, gdyż zaraz zapala się bardzo. Łotr tymczasem przejeżdża się po Koronie jakby po swojej własności, głosząc, że do Włoch jedzie, czemu jednak nikt nie wierzy. — Ów spisek na życie Pańskie w Niepołomicach coraz większej jawności nabiera; Gosławski i Bokszyc, oba szlachta — co ze zgrozą wyznać przychodzi — wygadali się jako byli namówieni od panów Zborowskich, do zgładzenia ze świata

Miłościwego Pana, skoroby według zwyczaju swego oddalił się od dworzan w czasie łowów. Bokszyca nieboraka już sprzątnęli za długi język. Gosławskiego, sam kanclerz ma na oku. — Ale — zapominam wam donieść, kanclerz lada dzień w województwo Sandomierskie zawita; przemógłszy mężnie domowy smutek i własne sprawy nieco załatwiwszy, jedzie do Krakowa sądy grodzkie odprawić, ztamtąd uda się do Lwowa, gdzie już na niego czeka poselstwo tureckie, z którem ma traktować w imieniu króla i Rzeczypospolitej, o owe przez kozaków wyrządzone krzywdy; ze Lwowa zjedzie do Lublina, dokąd i my zjechać mamy zaraz w drugiej połowie sierpnia. — Jam tej drodze bardzo rad, gdyż skoro obowiązki służby pozwolą, pobiegnę ucałować nogi najukochańszej pani matki i Waszej Miłości; ale co nasz pan, to zostałby tu daleko chętniej. Coraz więcej zda się lubić Grodno; już to między nami mówiąc, woli on jednego swego Węgra Kiepszę albo Terensa od dziesięciu Polaków, a dziesięciu Litwinów od dwudziestu koroniarzy. Panowie też litewscy Bogiem a prawdą, szczerzej go kochają i pomagają mu chętniej do spełnienia wielkich jego zamysłów. Z naszych możnych, jeden prawie kanclerz co dla niego wylany duszą i ciałem, i słusznie powiedzieć się godzi: iż nie było nigdy dotąd równie rzetelnej przyjaźni między monarchą a poddanym, zawsze jakby jedna dusza w dwóch ciałach. Od lutego nie był u nas kanclerz, ale w zamian, ciągle jeżdżą posłańce z listami do Knyszyna i z Knyszyna; gdyby choć jeden taki list mieć w ręku, i gdyby go się godziło przeczytać, dopierożbym Waszej Miłości ciekawych a ważnych rzeczy naprawił.

«Miał też Miłościwy Pan ostatnią pocztą, mieli i inni listy z Włoch od księcia Radziwiłła Sierotki i jego służby, o tych listach głośno i obszernie mówiono, a niektóre sam miałem w ręku. Już ukończył ślubowaną pielgrzymkę do ziemi świętej, i Wielkanoc odbył w Ferarze. Chorował mocno we Włoszech ale już zdrowszy i ma tu zjechać z początkiem lipca, złożyć dzięki naszemu królowi za staranie jakie czynił koło niego prawie ojcowskiem sercem. Rozlicznych doznał przygód w tej podróży, ale może Wasza Miłość wiesz o tem wszystkiem tyle co i my; znane przywiązanie Radziwiłłów do was, a szczególniej tego książęcia i wdzięczność za tak piękne opisanie męztwa jednego z nich; nie dziwiłbym się wcale, gdyby jadąc z Krakowa do Grodna o Czarnolas zawadził. —

«Kursowała tu niedawno nowa książka Fausta Socyna przeciw Paleologowi; Miłościwemu Panu nie podobała się kretesem, i jakoś jej już teraz nie widać; wystarać jej się muszę dla Waszej Miłości, który wszystko lubisz mieć w swojej książnicy, co jedno z pod naszych pras wyjdzie. Słychać, że Socyn rad

nie rad wyniesie się z Krakowa. Lepiej udało się naszemu księdzu Sokołowskiemu. Wiadomo Waszej Miłości, iż przestał już miewać kazania przed królem, tylko spowiednikiem jest królewskim i pisze ile może; zdrowie niesposobne, ciągły ból głowy nie pozwalają mu większej pracy. Temi dniami złożył jednak Miłościwemu Panu świeże pismo swoje przeciw kacerzom; król mu powiedział: «Ojcze kaznodziejo, oba walczymy, ty przeciw nieprzyjaciołom wiary, ja przeciw nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej.» — «Prawda, Miłościwy Panie — odpowiedział — a gdybym tak umiał władać piórem jak WKM. orężem, i jabym zwyciężał.» — Jedno co nas tu martwi u dworu, to co raz większa wiara jaką król daje owemu przybylcowi bezbożnemu różnowiercy Symoniusowi; gadatliwy, zarozumiały, a wcale niedoświadczony lekarz, i nawet jakiś niepewny człowiek się zdaje. Bukcella, który go królowi polecił, już tego żałować zaczyna. Miłościwy Pan nasz, ma tę słabość wielu zacnym monarchom spólną, że lekarzami otaczać się lubi, i radzi się wszystkich skoro o jakim sławnym posłyszy. Zdrowej i czerstwej jest Bogu dzięka natury, dawnej choroby wcale nie cierpi; mimo zawsze ciekącej rany w nodze prawej, cały dzień gotów nie zsiąść z konia i nie widzi się zmęczony: żadnego też zbytku w niczem a niczem sobie nie pozwala, wody wprawdzie nieprzyjaciel, ale wina nie wiele pije; prawdziwy wzór wstrzemięźliwości; szkodzi mu jedynie gniew a zgryzota, niestety! do obojga nie brakuje mu powodów. — Między nami mówiąc obawia się on też niepomału trucizny, tylu znając przeciw sobie zaciętych nieprzyjaciół; bardzo często jakieś leki bierze chroniące od jej skutków, które daj wielki Boże, aby mu z czasem zdrowia nie zepsuły. — Powiadał mi o tem nasz vere nobilis rotmistrz Sobocki, który ciągle w wysokich łaskach jest u Miłościwego Pana, i muszę wyznać godzien tego. Z nim on lubi rozmawiać poufale o obcych krajach, i przypominać sobie swoje dawne podróże. Co u stołu, to rad zawsze widzę pana Smolika choć nierównie młodszego od siebie, bo i o wojnie z nim mówić może i nie raz się rozśmieje z jego trafnych odpowiedzi i dwuznacznych wyrażeń. Właśnie wczora zmówiło się o przebiegłości różnych narodów, pan Smolik rzekł: «Polaka Niemiec, Niemca Włoch, Włocha Hiszpan, Hiszpana żyd, żyda sam djabeł oszuka.» Wszyscy jednogłośnie przyznali, iż jak najrzetelnej owe stopnie oznaczył.

»Ale jużem się bardzo szeroko rozpisał; tuszę sobie, że Wasza Miłość nie zarzucisz mi lenistwa, zebrałem com jedno rozumiał godnem być waszego zajęcia; posyłam wam nadto trochę obrazków jakie zgromadzić się dało, ciekawy jeden wizerunek w Paryżu zrobiony, satyra na króla Henryka wystawiająca Polaka co na krakowskim rynku herby jego tłucze,

i wizerunków rytowanych na miedzi kilka, Miłościwego Pana w koronacyjnym stroju, i kanclerza naszego w hetmańskim ubiorze: przydadzą się do waszego, jak zowiecie Sylwa rerum. Przyłączam nadto dzieło pogrobne Stanisława Orzechowskiego: «Nauki dla panujących» które Jakób Górski tylko co wydał i przypisał naszemu panu, choć on dalibóg, nauk niczyich nie potrzebuje. Dziwna rzecz z tym Orzechowskim, tyle wrzawy narobił za życia, a nawet niewiedzieliśmy kiedy i jak umarł. Wszystko się zmienia na tym świecie. Rokuję przecież sobie i wszystkim Kochanowskim, iż sława Waszej Miłości nigdy się nie zmieni, i niemasz prawie dnia, żeby mi nie wypadło chełpić się na głos żem jest waszym synowcem. — Żal mam też wielki do pana Franciszka; wszystkich nas w pole wyprowadził, ja sam ustąpiłem mu miejsca jako synowi najstarszego ze stryjów, aż tu cn dał sobie włożyć grochowy wieniec przez przybyłego wojaka. Tak to bywa często, postronni mają lepsze szczęście od swoich. — Z Franulem kłócić się nie będę bo ani warto, ale co Ewulce i panu rotmistrzowi nie daruję; na kołacze weselne zjadę, i do białego dnia z panną młodą tańczyć będę.

«Nim to nastąpi racz Wasza Miłość przyjąć pokorne służby moje.

«Wasz przywiązany synowiec i prawdziwy sługa

Krzysztof Kochanowski,
Dworzanin królewski.»

P. S. «A — muszeć przecie przysłużyć się jakim kwiateczkiem pobożnej bratance, może się w nim wróżba ukryła. — Piszą z Rzymu jako OO. Jezuici szczycą się bardzo zakonnicą Hiszpanką nie zbyt dawno zmarłą, która żywotem swym, śmiercią i pismami wielką cześć Kościołowi przynosiła, i zapewne w poczet świętych policzoną będzie. Jest to Teresa z Awila, jak ją zowią cudowna; była z zacnego i bogatego rodu Sanchezów, bardzo urodziwa, dowcipu ostrego, rozsądku dojrzałego. W pierwszej młodości lubiła świat, zabawy, towarzystwa, ale w 21. roku życia wszystko rzuciła, habit przyjęła, i mocno trwając codzień do samej śmierci postępek w pobożności brała. Założyła dwa klasztory bardzo ostre panien Karmelitanek bosych i OO. Karmelitów; cnót jej i darów Boskich, jakie w sobie miała, wyliczyć by trudno, równie jako i zrachować dusze które przykładem, modlitwą, wymową, księgami pełnemi mądrości, Chrystusowi pozyskała. Umieranie jej tak było ciche jak gdyby rozmyślanie odprawiała, i różne cuda działy się nad jej ciałem. Życie jej opisuje szeroko jej spowiednik i ona sama je opisała w dziele które zostawiła; tłomaczyć je ma z hiszpańskiego na łacińskie ksiądz Fran-

ciszek Ribera; wtedy nasza pobożna Ludwina będzie miała na co się zapatrywać. Teresa od siódmego roku już się zaprawiała w pobożności czytaniem ksiąg nabożnych; żywoty męczenników tak ją zagrzewały, iż dzieckiem będąc pragnęła męczenniczką zostać, i wyszła z bratem z domu rodziców, chcąc się udać do Maurów między pogaństwo żeby tam krew swoją dla Chrystusa rozlać. — Niechże Wasza Miłość pilnuje naszej świętej, żeby do Turków się nie wybrała.»

Pisano w Grodnie dnia 6. maja 1584 r.
w święto męczeństwa Jana Chrzciciela.

ROZDZIAŁ XVI.

Gdzieś to piękne boginie tak łaskawe były,
Żebych ja ile chęci tyle miał i siły
Służyć ojczyznie miłej, a jej sprawom sławnym
Nie dopuszczał zamierzknąć w ciemnym wieku dawnym.

Był to jedenasty maja, po kilku dniach zimna i słoty odmienił się wiatr, i nastała znowu ciepła, wonna pogoda. Korzystając z niej Kochanowska kazała przeprać sztuki płótna, płócienka, drylichu, barchanu, obrusy, ręczniki i inną bieliznę przeznaczoną Ewie, żeby miększa i łatwiejsza była do krajania i do szycia, a chcąc te wszystkie rzeczy mieć pod okiem, przesuszyć w miarę, w samą porę wymaglować i wyprasować, dała je rozwiesić i rozpoztrzeć koło domu, na łące, na podwórzu; dostało się i chróścianemu płotowi i gałęziom starych jaworów, i belkom i krokwiom, a nawet wrotom i słupowi z kółkami. — Kochanowski, który kilkoletnim pobytem za granicą nabył cokolwiek owego zmysłu porządku — nie koniecznie hojnie udzielonego Polakom — owego zmysłu, co to rad widzi zawsze każdą na właściwem sobie miejscu, i wstręt czuje do tych domowych zamięszań, które w czasie pokoju rabunek wojenny przypominają, Kochanowski, mówię, wróciwszy z pola — gdzie się przypatrywał z radością pięknie rosnącej przenicy — zganił żonie takowe rozpoztarcie się z chustami wszelkiego rodzaju, na samym widoku, jakby już w całym Czarnolesie innego miejsca prócz podwórza nie było; ale ona zamknęła mu usta — i sprawiła, że czapkę nasunąwszy na uszy poszedł spiesznie do swego pokoju — temi trochę uszczypliwemi słówkami, które najlepsza, najłagodniejsza kobieta ma na doręczu, przy każdej wielkiej domowej pracy; zwłaszcza, kiedy jej się wydaje, że mąż wchodzi w jej prawa, i nie ocenia należycie ważności i potrzeby jej zachodów: «Jednęć tylko w życiu wyprawę córce się sporządza — rzekła sucho — można przecie raz nieżałować podwórza i płotu. Nie bójcie się, maluczko już Ewulka naprzykrzać wam się będzie, i ona i jej przybory zejdą wam z oczu niedługo, a na zawsze.»

Tymczasem okazało się, że Kochanowski — jak się to często panom mężom nie tylko w szesnastym ale w dziewiętnastym wieku zdarzyło i zdarza — miał zupełną słuszność w swoich naganach.

We dwie godziny po południu, kiedy w najlepsze całe podwórze zawieszone i zasute było, i nawet ścieżki nie zostawiono, żeby dojść z wrot do dworu, dał się nagle słyszeć tentent prędko stąpających koni; dworzanin suto przybrany z pachołkiem za sobą, stanął za płotem, a zobaczywszy przeszkodę do dotarcia przed ganek, wezwał Nastki właśnie koło bielizny zajętej, ażeby zrobiła mu miejsce co rychlej, «gdyż inaczej roztratuje chyba te gałgany; pilno bowiem rozmówić się musi z panem wojskim, jeżeli jest w domu, i nawet zsiąść z konia mu nie wolno.» — Nastka dogodziła co żywo tak śmiało wyrażonej woli i pobiegła wezwać swego pana. — Kochanowski wyszedł na ganek pozdrawiając przybylca; ten zaś uchyliwszy czapki tak mu powiedział: «Miłościwy pan mój, wielki kanclerz i hetman koronny, w przejeździe swoim z Knyszyna do Krakowa, zatrzymał się o pół mili ztąd w gospodzie, gdzie popasa z licznym orszakiem swoim; mnie zaś tu przysłał dowiedzieć się czy Wasza Miłość jesteś u siebie, gdyż zjadłszy obiad chce zboczyć z walnego gościńca, a wraz z waszym bratem panem Andrzejem pozdrowić was w waszym domu, i zabawić jaką godzinkę; dłużej nie może, jadąc z wielkim pospiechem na sądy swoje starościńskie.»

Kochanowski przejęty i uradowany tak wielkim zaszczytem prosił dworzanina «żeby oświadczył pokorne i życzliwe jego służby kanclerzowi i powiedział, iż czekać będzie z utęsknieniem spełnienia jego łaskawej obietnicy.» Młodzieniec usłyszawszy te słowa spiął konia ostrogą i chciał pędem odjeżdżać, kiedy Kochanowska nie wiedząc kto i po co przyjechał, ale widząc ze swego okna obcych, wysłała co tchu Ewę z kuflem i z dzbanem miodu. Nie podobna było odmówić grzecznej dzieweczce, spełnił dworzanin kufel duszkiem, pachołek także słodkim napojem nie wzgardził, i ruszyli oba wołając: «Bóg zapłać! najdalej za godzinę będziemy z powrotem i nieco liczniejsi.»

Pojąć można łatwo, z jaką szybkością gruchnęła ta ważna wiadomość po całym domu. «Wielki kanclerz i hetman koronny, starosta krakowski, druga osoba w Rzeczypospolitej po królu, za godzinę tu zjedzie.» — Było czemu się dziwować zaprawdę, ile że od czasu jak Jan Zamojski piastował te wielkie godności, i tyle spraw odmiennych miał na głowie swojej, nie widziano go w Czarnolesie. Same tedy słychać było zewsząd wykrzykniki, jeden tylko Kochanowski nie zdziwił się tak bardzo, ani też bynajmniej nie stracił zimnej krwi swojej; znał on Zamojskiego od jego pierwszej młodości, a

jako starszy kilkunastą laty, nie raz u stołu Zygmunta Augusta wyżej siedział od niego, nie raz w trudnych przygodach dobrą radą go zasilił; wreszcie nawykły do poufałości nie tylko z panami, z wysokimi urzędnikami, ale z monarchami, równy im ogładą i nauką, nie mógł przeląc się podobnych odwiedzin, owszem rad temu jawnemu dowodowi szacunku i niezmiennej przyjaźni znakomitego męża, rad, że brata uściska, odzyskał zupełnie przyrodzoną wesołość, i żartować sobie zaczął z żony, która jakby odszedłszy od przytomności, niewiedziała: czy się ubierać, czy podwórze uprzątać, czy dom zamiatać, czy podwieczorek przyrządzać? a z rumieńcem w plamy na twarzy, z oczyma zastraszonemi, z duchenką na bakier, i z mentlikiem roztwartym, biegała tam i sam, chwytając się to za głowę, to za suknię, i zaczynała wszystko nic nie kończąc. — «Pani żono — powiedział jej z uśmiechem — a co, choćem zły, niegodziwy bez serca ojciec, mąż bez żadnego względu i wyrozumienia, czy nie dobry miewam nos?» — «O! już na drugi raz słuchać was będę ślepo we wszystkiem — odpowiedziała pokornie ściskając go za kolana — choćbyście i do moich garnków zaglądać chcieli. I na tę chwilę raczcie jeno rozkazać, wszystko co do litery wypełnię.»

«Oto naprzód — odrzekł łagodnie i już bez złośliwego uśmiechu — wypij, moja dobra Hanno, kufel zimnej wody na uspokojenie, potem, ubierz się co prędzej ochędożnie a nie strojno; dziewczęta niech także się ogarną, wszakże w taki sposób, żeby dociec nie można czy to z umysłu czy z niechcenia; Orszuli mojej włóżcie letniczek nowy i paski złote; już ja pisałem nie raz o tej mojej Safo do kanclerza, i chcę mu ją pokazać. Nastka z czeladzią niech zbierze wszystko z podwórza co do nitki, Ludwina niech pootwiera okiennice i okna w bawialnej sali, niech kurz pościera, roztruchan z krukiem z puzdra dobędzie i na oku postawi; nagotować tam w kąciku, na stole, najlepszego naszego wina, węgrzyna ojcowskiego, i parę farfurek konfektów kijowskich; w izbie ciasta i pospolitego wina dla dworzan, jako też chleba, miodu i piwa dla służby. Niech stróże psy pozamykają, a wody w koryto naciągną, żeby się i konie napiły. Z resztą na mnie się zdajcie; będę was ostrzegał kiedy co robić wypadnie, skoro wąsa pokręcę, będzie to znak jako sam z kanclerzem chcę zostać; a niech żadnej wzmianki nie zajdzie o stracie jaką poniósł, o spełnionem i odżałowanem nieszczęściu wspominać panom niemasz potrzeby, najlepiej udać niewiadomość. — Przykazać także ostro dziewczętom i czeladzi, żeby żadnego głośnego gadania, trzaskania drzwiami nie było...» —

W każdem zamięszaniu kiedy rozsądny naczelnik ster i rządy weźmie, wszystko z nieładu wraca do porządku, a każdy wiedząc co ma robić, robi wczas i dobrze. — Toż samo stało

się tego popołudnia w Czarnolesie; jeszcze nie ubiegła naznaczona godzina, a już pani wojska zupełnie uspokojona stała ubrana w ganku wraz z córkami, i wszystko w domu było porządnie, cicho, jak Bóg i mąż przykazał.

Nadjechał też niebawem wyglądany gość; towarzyszył mu Andrzej Kochanowski, ten sam dworzanin co był dopiero, jeszcze takich dwóch, i sześciu pacholików, tęgo zbrojnych. Rotmistrz Wybranowski z kilkudziesiąt jazdy (część tylko orszaku wielkiego kanclerza i hetmana) zatrzymał się podewsią, gotów na pierwsze zawołanie. — Jan Zamojski ubrany wspaniale, w ferezyi z szkarłatu długiej po kostki, złotogłowem podszytej, sobolem obłożonej, w krótszym żupanie z niebieskiego adamaszku cudną dyamentową spinką spiętym pod samą szyją, w bótach podkutych, z bogatą szablą przy boku, z kindżałem drogiemi kamieńmi sadzonym za kosztownym pasem, w białej czapce z kitką i z rubinowem spięciem, mąż czterdziestoletni, miernego wzrostu, nie wielkiej urody, ale pełen dziélności i powagi, zsiadł rączo z karego arabskiego konia w sutym złotym rzędzie, i pozdrowił uprzejmie kłaniające mu się do kolan gospodarstwo z dziatwą. — «Sądziłem, że Wasza Miłość rad będziesz — powiedział z uśmiechem do Kochanowskiego — widzieć brata swego Andrzeja, a odjeżdżać mnie ani na chwilę nie chciał.» — «Zawsze się starać będę — odpowiedział dwornie nasz Jan — mieć kanclerza, hetmana, a przynajmniej starostę krakowskiego przy braciach moich; jakoś człek nie źle na tem wychodzi. Dziękuję wam, panie Andrzeju — dodał ściskając brata — że mimo tak znakomitych prac i tyle pospiesznej drogi, nie zapomnieliście o mnie. Przez tę pamięć waszą spotkała mnie wielka a nie zasłużona cześć i pociecha. — Ale oto żona moja i córki — przemówił już wprost do kanclerza — pokorne służby Waszej Miłości oddają.»

Dygały wszystkie nizko jakby świece maczał w czasie tych słów, a Zamojski rzekł grzecznie: «Dziwna rzecz jak na tutejszej roli dzieweczki pięknie się udają i rosną szybko; kiedym u was był raz ostatni i połowy tych kwiateczków nie było.» — «Brat Jan — odezwał się tu Andrzej — chce koniecznie jako poeta do liczby dziewięciu Muz dostąpić.» — «Dałbyś temu Wasza Miłość pokój — przemówił kanclerz — postarać się lepiej o Apolina.» — «Możeć go i dadzą nieba» odparł Kochanowski skazując nieznacznie na żonę. — «Winszuję z serca, pani wojska, wpraszam się w kumy, i chcę mieć Jana» — zawołał kanclerz, ale gdy to mówił, lekka chmura zasępiła wysokie jego czoło. — «Czy do komnaty Wasza Miłość nie raczy? — spytała zarumieniona Kochanowska — spocząć należy po drodze, i usiąść łaskawie w chacie naszej, żeby nam dziatki spały.»

Poszedł chętnie i żywo, siadł na wysłanej ławie pod środkową ścianą, położył czapkę koło siebie, najeżoną czuprynę podniósł jeszcze palcami w górę, oparł się potem ręką na stole, gospodyni i obydwom braciom usiąść kazał, a dworzanom i służbie dał znak, żeby za drzwiami zostali. — Kochanowska posiedziawszy trochę, dostrzegła męża pokręcającego wąsa i nieznacznie wyszła, kanclerz rozmawiając dotąd uprzejmie, ale dosyć leniwo, poufalej i obficiej mówić zaczął.

«Cóż, panie wojski? — rzekł — kiedy wam dziatki z łaski Boskiej szczęśliwie na świat przychodzą i w dobrem zdrowiu się chowają, nie daliżbyście się teraz namówić na kasztelanią? snadno by przyszła, wakujące krzesło jest, a król, pan nasz rad je rozdaje takim co nie proszą o nie; co do mnie, zawszem Waszej Miłości życzliwy przyjaciel i służyć gotów.»

«Uniżenie dziękuję wam, miłościwy panie — odparł Kochanowski — trzymam się zawsze jednego, a moją mierność nadewszystko cenię. Takim mężom jak Wasza Miłość, do wielkich dzieł zrodzonym, radzić przystoi o rzeczy publicznej; mnie śpiewać za płotem i cieszyć się myślą wolną i zdrowiem.»

«Jakież teraz pieśni Wasza Miłość składasz? oddawnam nic nowego nie czytał, a nie godziłoby się zalegać pola; należy utrzymywać do końca, co przez lat tyle szło z taką chlubą. Panie Janie, nie zasypiajcież na wawrzynach, bierzcie przykład z młodszego brata; pan Andrzej szybko i pięknie Wirgilego przekłada.»

Kiedy Andrzej za tę pochwałę — może nie zupełnie zasłużoną — ściskał nogi kanclerza, Jan tak się odezwał:

«Wasza Miłość śmiać się ze mnie będziesz; praca do której dziś się zabieram pójdzie może molom na pokarm, albo na trąbki do apteczki, ale objęły mnie na starość jakieś przypomnienia Homerowskie, jakieś chęci bojowe:

> Tuszę, że kiedyś w trąbę Aońską uderzę,
> I dawne w zgiełk marsowy powołam rycerze.

Już o niczem śpiewać nie chcę, jedno o swoich ojczystych rzeczach; to jest moje dzisiejsze omen, to mi się zda moje właściwe rzemiosło, część moja od Boga mi dana jak Waszej Miłości i królowi Rzeczpospolitę dźwigać, bronić, uzdrawiać. Orzechowski łacińską prozą pisał swoje Turcyki, nasz Stryjkowski wyrymował niedawno ciężkie na pohańców żale, jabym rad dobrym polskim wierszem polską chrześciańską epopeję utworzył; ośpiewam żywot i zgon Warneńczyka, owego syna

co ojca nie wydał,
Lecz ku sławie dziedzicznej i swą własną przydał;
Któremu grób Europa, słup śnieżne Bałchany,
Napis: wieczna pamiątka między Chrześcijany.

a oraz chcę wydać na jaw niebezpieczeństwo jakiem krzyżowi hardy półksiężyc grozi, chcę obudzić pobożnego i wojennego ducha...»

«Wybornie Wasza Miłość trafiasz, szczęść Panie Boże — przerwał uradowany kanclerz — dziwnie by się narodowi naszemu a jeszcze w tych czasach przydała taka epopeja, a to z ust ojca poetów naszych. Zróbcie z Warneńczyka polskiego Achilla, wynajdźcie i Helenę jaką, wszystko to będzie dobrze przyjęte, a we waszych wierszach upominajcie lud młody do dobrego, sławcie więcej piechotę nad jazdę, karność żołnierza przekładajcie nad samo męztwo; będą to zbawienne nauki dla braci szlachty i dla panów. — Potrzebna nam wojna, konieczna nawet, może równie tyle dla ukrócenia swoich jak dla pognębienia postronnych: a przyjść musi kolej i na bisurmana, skoro ligi panów chrześciańskich pewni będziemy. Boć to naszej Polski odwiecznem przeznaczeniem być jako mur wielki przeciw pogaństwu i barbarzyństwu, i jeszcze stary Długosz napisał: «Straszne Turkom imie Polaków.» — Naszemu też narodowi pokój nie idzie w zdrowie; leniwsi gnuśnieją i oddają się zbytkom, rozpuście, żwawsi do swawoli się biorą i niezgodę niecą. — Musicie wiedzieć, panie wojski, do jakiego już stopnia dochodzi zuchwalstwo panów Zborowskich i ich stronników Kazimirskich, Pękosławskich i tylu innych. Wszak ci to kiedym z mego Knyszyna wyjeżdżał, Drohojewski starosta Przemyski, Koniecpolski starosta wieluński i inni jeszcze z ludźmi swemi zajechali mi drogę, i ofiarowali się towarzyszyć mi zbrojno, gdyż ów wartogłów Samuel za nic sobie ma moją starościńską władzę, i wszędy się przechwala: jako inną stroną, ale o jednej porze ze mną postanowił wjechać do Krakowa. Dziś zaś, doszła mnie wieść jako chce koniecznie bitwy ze mną, i ma koło siebie gawiedź dobrze uzbrojoną a liczną. Prawda, co od mego wyjazdu z Knyszyna zawsze tak swoje popasy i noclegi urządza, iż je odbywa najdalej o pół mili od miejsca kędy ja się zatrzymuję z moim orszakiem, i różnemi sposobami wiedzieć mi daje, iż wziął łuk do ręki swojej i strzałę przeciw mnie już ma na cięciwie. — Ja bitwy z nim nie stoczę, lubo mi suszy o to głowę mój Żółkiewski, ów prawy syn bogini Wenus i Marsa; broń mnie Boże postąpić sobie z tym nędznikiem jak z równym, ale jeżeli w jurysdykcyą moją wjechać się poważy, uczynię z nim jako prawo każe; jużem go w tem wyraźnie, czarne na białem ostrzegł: spadnie głowa z karku panu Zborowskiemu, jakby

spadła prostego kmiecia lub miejskiego synka, gdyby również zawinili; powinność i sam prawie gwałt wcisną tę ostateczność na mnie, lecz ja z sumieniem i z przysięgą moją igrać nie umiem. Nie darmo dochody Rzeczypospolitej pobieram, malowanym starostą być nie myślę, sądów grodzkich zarówno jak spraw kanclerskich i hetmańskich pilnować chcę. Wiem, że od sześciu przeszło lat jak trwa zuchwalstwo pana Zborowskiego, żaden starosta nie odważył się wykonać dawnych ale zawsze obowiązujących królewskich rozkazów, wiem, że panowie starostowie wyrządzanie sprawiedliwości w czas nakazany, nazywają nadto wielką fatygą swej pańskiej osoby, — ja trzymam inaczej; w mojem przekonaniu ostatni nawet dech obywatela ojczyznie się należy, a jakkolwiek ważne a przeciwne sobie urzęda piastuję, nikt przecież zarzucić mi nie może, abym uchybiał któremu, miłość dobra pospolitego umie mnożyć czas i siły. Same prześladowania, potwarze, obelgi nie zbiją mnie z mego toru; bylem dobro publiczne powiększył, będę zawsze wołał: «Narodzie prześladuj mnie, a słuchaj,» będę zawsze pocieszał się w sobie tem zdaniem: «piękniejsza nienawiść o cnotę, niż o przewrotność pochwała.» — Dopóki też panowie Zborowscy mnie samemu szkodzili, mnie z czci i sławy obedrzeć chcieli, na moje życie nastawali, dopótym był obojętny i patrzyłem przez szpary; ale powadze jaką mi król i Rzeczpospolita nadali, władzy prawa uwlec nie pozwolę. Dam straszliwy przykład, skoro zajdzie jego potrzeba, ulękną się nim przecie, ci, co wichrzyć pragną, co niweczą najlepsze zamiary. — Bo zaiste, wtem wszystkiem co panowie Zborowscy knują jest osobistość, jest zawiść: oni wraz ze mną książęcia siedmiogrodzkiego na tron polski wynieśli, lecz oni to zrobili dla tego żeby ich wyniósł i ubogacił, ja dla tego iżem w nim uznał prawego monarchę. Źli tedy na króla, że im się nie wypłaca, mnie przeszkodą swoją być mienią; szlachcicowi spanoszałemu zazdroszczą szybkiego wyniesienia, bogactw, urzędów, a nadewszystko poufałości królewskiej i blizkiego z nim powinowactwa. Chcieliby Węgra zrucić z tronu i mnie zgubić, myśląc iż z Austryakiem albo z Moskalem lepiej by im się udało. Ale wierzajcie mi w ich postępowaniu jest jeszcze coś więcej nad spór szlachty możnej z miernym niedawno szlachcicem, jest walka wyuzdanej swawoli z władzą i z prawem. I tak, już u nas moc wykonawcza jest słaba, moc prawodawcza mało czynna, oniby jeszcze osłabić je radzi, a to żeby sami mogli dokazywać i używać, dopóki nie wykopią grobu ojczyznie i sobie. Słusznie mądry król mówi: «Temu narodowi potrzeba żelaznego ramienia.» Lecz o takowe między nami najtrudniej; znajdziesz wielu tyranów, pojedynczego, dzielnego męża nie nadybiesz; razem będą bezprawia wyrządzali, jeden, nie ośmieli się

sprawiedliwości wymierzyć. Dałby nam jednak Bóg miłosierny więcej takich królów jak dzisiejszy, a możnaby jeszcze śmiało rokować wielką przyszłość naszej drogiej ojczyznie...»

Iskrzyły się ciemne oczy Zamojskiego, kiedy tak mówił, twarz płonęła żywym rumieńcem, ręka jedna uchwyciła za szablę, druga zdawało się, że rozkazuje. Zatrzymał się nagle i rzekł: «Folgujcie mi, panowie bracia, iżem się tak zapomniał; dowód to mego szacunku dla was, mało ja przed kim duszę otwieram.» — Kiedy domawiał tych słów, drzwi uchyliły się zwolna, i stanął w progu inny znowu dworzanin, kurzawą okryty. «Listy z weneckiej poczty?» zapytał kanclerz.

«Tak jest, miłościwy panie — odpowiedział młodzieniec — ledwie Wasza Miłość wyjechałeś z gospody, nadeszły listy z Krakowa i pan Żółkiewski mnie tu wyprawił.»

Kanclerz wziął spiesznie paczkę z rąk dworzanina, stanął w oknie, rozdarł pieczęci i czytał ciekawie. Dwaj bracia przez ten czas oddaliwszy się w sam głąb komnaty, nie śmiejąc usiąść kiedy znakomity gość stał, rozmawiali po bratersku, pół głosem, oparłszy się o ogromny piec kaflowy. Zwykli oni byli pisywać często do siebie i donosić wzajemnie o wszystkiem; lecz któż nie wie, że kwadrans rozmowy lepszy od półrocznej korespondencyi.

«List od księdza dziekana z Rzymu, z ośmnastego kwietnia najświeższy i najciekawszy, będzie potrzebował odczytania — przebąknął kanclerz przejrzawszy papiery, a dwaj bracia się zbliżyli. — Wiadomo wam zapewne, panie Janie, iż pan Andrzej Batory nie był kreowany kardynałem — ciągnął dalej przechadzając się po komnacie — kiedy to niedawno Ojciec święty kilku razem ich mianował; jam tego za złe nie uważał, i na mojem się stało; będzie niezawodnie mianowany osobno, co z większym będzie dla niego i dla Jego królewskiej Miłości zaszczytem. — Wielu się dziwi temu wyprawieniu pana Andrzeja do Rzymu i kierowaniu go do stanu duchownego — rzekł po chwili — nie wiedzą, że Batorowie mają do zmycia z siebie wszelkie podejrzenie o kacerstwo; nie wiedzą, że nam teraz więcej niż kiedy Rzym mieć po sobie, i z Rzymem trzymać należy. Rzeczpospolita polska winna być silna a katolicka; upokorzywszy wyznawców Proroka powinna stanąć dzielnie jak przegroda niezłomna i niezdobyta między szerzącem się niemieckiem kacerstwem i zawsze potężnym greckim kościołem... Taka jest tajemna polityka dzisiejszego króla, zupełnie inna niż była nieboszczyka. Wielom się wydaje iż szkoda pana Andrzeja! jakby to kapelusz zdjąć się nie dał dla ważniejszej ozdoby, jak gdyby nie raz zaszczyt nie spotkał rychlej, tego co niby o niego nie dba... Wreszcie,

pan Andrzej nie jest jedynym krewnym królewskim ... mogliby się trafić i inni następcy...»

Tu kanclerz zadumał się smutnie; Kochanowski miarkując iż już mówić poufale nie będzie, a chcąc przykrę jego myśli rozerwać, zapytał się czyby nie pozwolił sobie czem służyć? «Możebyśmy spełnili kielich węgrzyna — powiedział — za zdrowie ojczyzny, alboliteż za królewskie i Waszej Miłości, bo to troje na jedno wyjdzie?» I to mówiąc wziął kielich i butelkę pleśnią okrytą w kącie komnaty przygotowaną.

«Nie wzgardzę winem — zawołał kanclerz jakby otrząsając z głowy ważne i natrętne myśli — ile, że wiem zdawna, iż się na tych rzeczach znacie. Czas nam też kęs pobłaznować. Spełnij Wasza Miłość kielich w moje ręce jak mówiłeś, a ja do zdrowia króla i Rzeczypospolitej dodam wasze, którem znowu pan Andrzej nie wzgardzi.»

I tak się stało. Zasiedli pod ścianą jak pierwej, a kielich z wytrawnym węgrzynem krążyć między niemi zaczął; wypróżniły się wnet trzy i cztery butelki, znikały konfekta z farfurek, choć kanclerz się skarżył, że mu słodycze zęby przed czasem zepsują, że nadto ich jada; sypały się z ust dwóch braci różne krotofilne słówka, gdyż wiedzieli, że Jan Zamojski lubił żarty i zwał je zaprawą albo osłodzeniem życia ludzkiego, a szczególniej kiedy jadł i pił, zawsze rad bywał wesołej myśli, odkładając na ten czas na bok wszelkie swoje trudy i kłopoty, z ową mocą i przytomnością umysłu jaką posiadał w wysokim stopniu.

W liczbie różnych wiwatów wnoszonych dla gładszego spełniania kielichów, musiała przyjść kolej i na płeć białą; ledwie Kochanowski wypił zdrowie pani kanclerzyny, kiedy kanclerz zażądał wypić zdrowie pani wojskiej w jej obliczu. Poszedł tedy pan Andrzej wezwać bratowę, a tym czasem nasz Jan oświadczył zacnemu gościowi, rychłe a pomyślne postanowienie najstarszej córki. Ucieszył się bardzo tą wieścią Zamojski, gdyż szacując wysoko Podlodowskiego, uważał był także i młodego Filipa, prosił więc żeby Ewa z osobna przedstawioną mu była. Kochanowska zaś wiedząc czem się mężowi podoba i rozmowę podsyci przyszła z Orszulką na ręku. — Namawiała ona już blizko od pół godziny dziewczynkę, żeby jakim wierszykiem powitała kanclerza; dziewczynka jakoś nie zdawała się być przy poetyckiej ochocie, i powtarzała marszcząc czoło: «Nie znam tego pana, boję się go.» Na próżna matka rozpowiadała jej różne rzeczy o nim: «jaki on możny i bogaty jak nikt w całej Litwie i Koronie, jakie ma śliczne pałace i zamki, suknie złote, klejnoty, żonę księżniczkę; a taki dobry, tak dzieci kocha, sam zaś niema ani

jednego, a pragnąłby bardzo, osobliwie syna.» — Dziewczynka jakby tego wszystkiego nie słuchała, obiecała jednak matce być grzeczną, dać buzi wielkiemu panu «chociaż wcale nie taki ładny jak pan podkoniuszy.» — Zaniesła ją tedy Kochanowska a ledwie kanclerz ją ujrzał, zaczął wymawiać obojgu rodzicom, że mu ją tak późno pokazują, a ujęty jej anielską pięknością wziął ją na kolana, i pieścił się z nią czule. — Ona mu długo w oczy patrzyła, potem, nic nie mówiąc oglądała jego suknie, dotykała się drobną rączką drogich pierścieni i klejnotów jakie miał na sobie, a gdy jej się spytał: «Czy to piękne? czy jej się spodoba?» ona już swoim obyczajem tak mu odpowiedziała:

«Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie;
Ale gdybyć Bóg dał dziecie
Dałbyś pewno wszystko za to.»

Kanclerz zdumiał i aż zbladł cokolwiek: «Któż cię to takich wierszyków nauczył?» zapytał z przymuszonym uśmiechem. «Nauczył? — powtórzyła z zadziwieniem dziecina — nikt, ja sama tak z siebie zawsze sobie gadam.» — «Tak, nie inaczej, sama z siebie — mówili za nią przestraszeni rodzice — jak nam Bóg miły!» a Kochanowskiej serce mocno bić zaczęło, gdyż zmiarkowała, że powieścią swoją narobiła tej biedy. «Kiedy tak — rzekł jeszcze kanclerz zdobywając się na powtórny uśmiech, i chcąc żartem zagoić bolesne choć niewinne dotknięcie niezagojonej jeszcze rany — to ja nie będę szukał innych dzieci, jeno sobie będę miał Orszulkę; daruję twemu ojcu te wszystkie śliczności, a ciebie wezmę z sobą do Krakowa. Już moja Orszulka, już moja!» — wołał, i owijał ją w połę aksamitnej ferezyi, i tylko jej śliczną twarzyczkę było widać otoczoną sobolem. — Ale ona wyrywając mu się i trząsając główką tak jeszcze przemówiła:

«Nie — ja dziewczyna
Tobie — trzeba syna.
Mnie weźmie ktoś inny
Aniołek niewinny.
I poproszę Boskiej Matki
Dla ciebie o zdrowe dziatki.»

Nie mógł już wytrzymać Zamojski; zbladł jeszcze mocniej, łza zakręciła mu się w oku, wstał, oddał pani wojskiej dziecinę, mówiąc z uczuciem: «Bez żadnej przesady były listy wasze o niej, panie Janie: to prawdziwie cudowne dziecię; oby jej

słowa były prorockie! i oby ją wam Bóg uchować raczył!» — A spostrzegłszy teraz dopiero Ewę, która od chwili była w komnacie, i stała nieśmiało w oknie, zapytał się: «Czy to ta dorodna dziewka pana Owadowskiego narzeczona? — Otrzymawszy odpowiedź rzekł głaszcząc Ewę pod brodę: «Szkoda co godzina już upłynęł, mógłbym ci dzieweczko, wiele miłych rzeczy o twoim Bogdanie naprawić; widziałem go nie raz w ogniu, dzielny rotmistrz z niego. Ale komu w drogę to i czas; jedno ci jeszcze powiem, możesz go serdecznie miłować, godzien tego.» — Tak mówiąc nieco przerywanym głosem zaczął poprawiać pasa, wykręcać ferezyą, i parę razy przytknął rękę do szyi. — Kochanowski przeląkł się znowu czy skutkiem boleśnego a utajonego wzruszenia sprowadzonego słowami Orszulki, nie napadają kanclerza mdłości, do których bardzo był skłonny: potwierdził się jeszcze w tej myśli dostrzegłszy, że z pewną żywością rozpina żupan. Już chciał stołek podstawić, wołać o wodę, o apteczne kordyały, kiedy Zamojski obróciwszy się ku Ewie podał jej cudną dyamentową spinę, którą z kołnierza był wyjął, i powiedział z przymileniem: «Sam twój ojciec gdzieś napisał:

Miłość w dyamencie ryje
Swe czułe obietnice i pod serce kryje;

weź przeto tę spinkę, noś ją na piersiach, dzieweczko, i niech ci przypomina jaką być winna twója miłość dla przyszłego męża.» —

Jeszcze i Ewa i wszyscy obecni zdumieni byli uprzejmemi słowy i szacownym darem kanclerza, kiedy on całując w ramię gospodarza kłaniającego mu się do kolan, pozdrawiając wszystkich, wsiadł spiesznie na konia wraz z panem Andrzejem, i kazał swoim dać znak umówiony. Wnet z dwóch stron nadjechały pędem dwa oddziały straży hetmańskiej ukryte podewsią; zabrzmiały trąby, zachrzęściły pancerze, zabrzękły szable, rozległy się krzyki obozowe, zatętniała ziemia pod jeźdzcami, wzniosła sią kurzawa od licznych kopyt; ruszyli wszyscy ku Wiśle, a po chwili wszystko cichnąć zaczęło, aż nareszcie zupełnie ucichło. — Nie ucichły atoli równie prędko rozmowy Czarnołeskiej drużyny o tych odwiedzinach i wszelkich ich okolicznościach, a osobliwie pochwały Zamojskiego. Ewa pyszniła się z jego daru, który w rzeczy samej był wysokiej wartości, tak dla wielkości dyamentu, jako dla foremnego kształtu i żywego ognia; kiedy się weń ustroiła do kościoła zwróciła wszystkie oczy na siebie, a młode sąsiadki podobno na ten raz zazdrościły jej jeszcze więcej spinki jak

Bogdana. — Kochanowski znowu pysznił się swoją Orszulą, chociaż w tej okoliczności dziecinna jej muza napędziła mu nieco strachu; myślał sobie żeby nie oddał tej drobnej dzieweczki, ani za buławę hetmańską, ani za wielką pieczęć kanclerską; co Kochanowskiej — to przy całej radości i dumie utkwiły boleśnie w duszy owe słowa Zamojskiego: «Oby ją wam Bóg uchować raczył.» Obracała je na różne strony w swojej głowie a zawsze ją niepokoiły. Serce matki tak łatwo się zatrwoży.

ROZDZIAŁ XVII.

Bóg pomóż, Królu jedyny
Szerokiej polskiej krainy!
Umiesz ty hardym dogodźić
Ani się im dasz rozwodzić.

Księga I. pieśń 17.

Kochanowski przejęty do żywego łaskawą poufałością i hojnością kanclerza, dowiedziawszy się od kilku domowych i kmieci, którzy to na własne oczy w sąsiedzkich wioskach widzieli, na własne słyszeli uszy, jako pan Samuel Zborowski coraz nowych ludzi zgromadza, i coraz głośniej się odgraża, iż napadnie z nienacka na Zamojskiego, i zabije go choćby własną ręką — Kochanowski, mówię — jeszcze owego jedenastego maja, w parę godzin po wyjeździe kanclerza z Czarnolasu, dosiadł swojego siwosza, objechał kilku bliższych pokrewnych i sąsiadów, do dalszych rozesłał gońców, z zaproszeniem: ażeby każdy kto może, ruszył dobrze uzbrojony tej nocy drogą krakowską, a to w celu powiększenia orszaku kanclerza, i łatwiejszego pobicia i schwytania zuchwalca Zborowszczyka, gdyby do krwawej walki przyszło. — Pan wojski Sandomierski w tym objeździe i obesłaniu swojem nie potrzebował wielkich namów, ani też okoliczna szlachta nie wybierała się długo. W owym czasie nic nie było pospolitszego w naszej Polsce jak zatargi możnych między sobą, a wszelkie bojowe wyprawy czy na obcych czy na swoich, żywiołem były rycerskiego stanu, najmilszem jego zatrudnieniem; w każdej zagrodzie był zawsze w stajni koń rzeźwy z uczciwym rzędem, rusznica na ścianie, szabla przy boku, gotowość więc była wszelka do boju gdyż i w chęciach, i w możności. — Dobrze tedy przed północą z jakie sto koni tak z panami jak z ludźmi (według feudalnego sposobu mówienia) pędziło krakowską drogą za kanclerzem, do Iłży, miejsca jego noclegu; Kochanowski zaś zalecił synowcowi swemu Adamowi, który jako zastępca stryja został ogłoszony dowódzcą całego zebrania, żeby w jego imieniu zameldował się Zamojskiemu, «przeprosił,

że dla niesposobnego zdrowia i ramienia, nie on sam przewodniczy tej garstce szlachty Sandomierskiej, i żeby uprosił sobie pozwolenie towarzyszenia mu do samego Krakowa.»

Nazajutrz i dni następnych drużyna Czarnoleska była prawie w ciągłym ruchu. — Wiadoma, czem jest dla mieszkańców wiejskich każda przygoda dziejąca się w sąsiedztwie; nieznajomy człowiek widziany w boru, zgłodniały wilk w kniei, już są ciekawym i zajmującym wypadkiem. Cóż dopiero podobne temu wydarzenie: Rozprawa Zamojskiego ze Zborowskim! Była to zupełnie jak gdyby wielka żyjąca tragedya, która się odgrywała pod ich oczyma. Główna osoba dopiero co tu była u nich, i tyle łaskawą się okazała; przeciwnika także znał oddawna osobiście sam Kochanowski, a nie dalej jak wczora, właśnie kiedy kanclerz gościł w Czarnolesie, pan Łukasz Gupolski wracający ze Zwolenia spotkał się z panem Zborowskim: siedział piękny młodzian na dzielnym ukraińskim koniu, z sukien jego złoto i srebro kapało, pytał się o pana Jana Kochanowskiego, zdawać się mogło, że także o odwiedziny do niego chce zjechać; ale nasz bakałarz nie głupi, wiedząc żeby pan nie był rad takiemu gościowi powiedział mu: że go niema w domu. — Prócz tego, każdemu było wiadomo, iż w tej rozprawie idzie o śmierć albo o życie, i że obadwa bohaterowie, przynajmniej do czasu, niemal równie są narażeni. Mógł Zamojski bezpiecznie dopókąd w jurysdykcyą swoją nie wjechał, paść ofiarą zdrady albo przemocy, ile że wiedziano o Samuelu, że i sam śmiały i śmiałość drugich suto płaci, mógł łatwiej jeszcze Zborowski gdyby się nie upamiętał i naigrawać śmiał do końca starościńskiej władzy, podać hardą głowę pod miecz katowski. — Trzy dni rachowano jazdy do Krakowa, termin więc nawet rozwiązania tragedyi nie był daleki, i oprócz jedności miejsca, prawie zupełnie według reguł Arystotelesa. — Nieustanne przeto były gadania, wieści, nowiny: chłopi wracający koło południa z jarmarku mówili jakoby słyszeli nad rankiem mocne strzelanie, wnosili ztąd, że zapewne Zborowski napadł w nocy na kanclerza i przyszło do krwawej walki, nad wieczorem znowu przywędrował dziadek po proszonym chlebie z tamtych stron, i przysięgał się jako o żadnej bójce nie słyszał; mówił tylko «iż ludzie po wsiach i po miasteczkach na gościńcu Krakowskim są jakby w oczekiwaniu wielkiego wydarzenia: pan Zborowski rozsyła wszędzie swoich szpiegów, sypie pieniędzmi po drodze, Bóg wie co nie gada i nie obiecuje, a coraz mniejszy przedział miejsca jest między nim i kanclerzem, tak iż się zdaje, że lada chwila do jednej gospody zajadą, i bez żartu się rozprawią.»

Ale im więcej oba przeciwnicy oddalali się od Czarnolasu, tem rzadsze oczywiście dochodziły wieści. Nie pomagały nic pytania, wychodzenie na drogę, wyglądania z tarasu, cała

ciekawość i niespokojność; nie było innego ratunku tylko czekać cierpliwie wiadomości od pana Adama, a tymczasem mieć dosyć na wnioskach mniej lub więcej podobnych do prawdy. —

W ciągu tych kilku dni wcale niemiłych — gdyż czekanie i niepewność wrogami są życia — trzeciego coś poobiedzia, kiedy rodzina Czarnoleska siedziała sobie w ogrodzie, niemal tak zajęta jak widzieliśmy ją na początku pierwszego rozdziału — Kochanowska przerwała na chwilę już nie przędzenie ale szycie swoje, a widząc męża przechadzającego się tam i sam w zamyśleniu powiedziała:

«Nie dumalibyście tak głęboko, niech Pan Bóg radzi o swojej czeladzi; my w tem nic nie pokuramy. Jabym wam nastręczyła, panie mężu, cobyście mogli zrobić lepszego.»

«Cóż takiego?» zapytał ciekawie stając naprzeciw niej.

«Oto wy co wszystko wiecie — mówiła z nadobnym uśmiechem — opowiedźcie nam rzędem tę całą sprawę pana Zborowskiego; od wyjazdu pana Adama dziewczęta mi się pytają a pytają, a ja ledwie piąte przez dziesiąte owe przygody pamiętam, i niewiem zgoła jak o tych rzeczach sądzić.»

«O prosimy! Ojcze, prosimy! powiedzcie nam jak to było!» wołały dziewczęta ściskając go za kolana.

«A to istna tatarska napaść — mówił broniąc się — czego wam się też zachciało!»

«Znacie dobrze, drogi mężu — powiedziała jeszcze Kochanowska — jak my wszystkie rade słuchamy każdej waszej powieści; i miłoć przecie i pożyteczna nie siedzieć we własnym kraju jak w rogu, jeno wiedzieć co w około się dzieje. A któż nas czego nauczy jeźli nie wy?»

«No — to już wam i powiem — rzekł po chwili — ale czy sobie sam wszystko przypomnę jak należy, za to nie ręczę. Bo wiecież wy, co już od lat dziesięciu ta sprawa się toczy.»

«Od lat dziesięciu? — przerwała Marychna — taka stara jak ja.»

«Właśnieś ty się urodziła dzieweczko — rzekł Kochanowski głaszcząc ją po głowie — jakoś w pierwszych dniach lutego 1574. roku, kiedy ona pierwszy początek wzięła, było to w czasie koronacyi króla Henryka.»

«I pamiętam dobrze — przypomniała z wdzięcznością Kochanowska — nie pojechaliście wtedy do Krakowa choć całe Sandomierskie jechało, żeby mnie chorej nie odjeżdżać.»

«Otóż w czasie tej koronacyi — mówił dalej — odbywały się wielkie uczty, i w poniedziałek zapustny mieszczanie Krakowscy postawili nowemu królowi majestat w rynku, gdzie on też kilka osób pasował na rycerzy. Ztamtąd był na sutem

weselu pana Andrzeja Zborowskiego, bo wiedzieć wam naprzód trzeba, że panowie Zborowscy zdawna byli i są wielce możni! znamienitsza daleko ich rodzina niż Zamojskich, ich przodkowie starego herbu Jastrzębia, już za Bolesława Śmiałego jaśnieli, a o pierwszym Saryuszu dopiero za Łokietka mowa. Ojciec dzisiejszych Zborowskich, Marcin na Rytwianach jak się pisał, podczaszy starego króla był bardzo bogaty i rozrodził się wielce; z Anny Konarskiej z którą żył lat czterdzieści zostawił ośmiu synów i ośm córek.»

«To wesoło było w domu,» wsunęła Dorota.

«Z tych dziatek czterech synów żyje dotąd: Jan kasztelan Gnieźnieński, mąż rycerski i zacny na którym żadna wina nie cięży i którego nasz Pan Miłościwy szacuje wysoko; Andrzej marszałek nadworny królewski, com to wspomniał o jego weselu; Krzysztof nie wiele wart, duszą i sercem Austryakowi oddany, i ten oto nieszczęsny a najmłodszy Samuel, o którym jak tylko go zapamiętam, jeszcze za nieboszczyka króla, zawsze zła była sława; strojno chodzić, hojnie u stołu używać, w samych igrzyskach się kochać — to były jego skłonności, a co gorsza niepohamowaną miał pychę i do swawoli popęd; występnych lubił, a od towarzystwa dobrych uciekał, co najgorszym jest znakiem u młodzieńca.» — «Inakszy mój Filip» pomyślała tu sobie Ewa — a ojciec coraz bardziej w mowę się wkładając usiadł koło żony, i tak już ciągiem opowiadał:

«Po śmierci rodzica znaczne odziedziczywszy majętności, Samuel w jednej ze wsi swoich, w Krupem, w Lubelskiem, postawił sobie zamek obronny, jeden z najmocniejszych grodów w naszej Koronie; otoczył go murami, basztami, rowami ciemne porobił bramy, tak, że ten gmach raczej do więzienia zbrodni był podobny, niż do mieszkania zacnego pana polskiego. Mówiono wtedy, że Zborowski zrobił to na przekor Janowi Zamojskiemu, którego już wówczas nienawidził, a który ma półtory mili od Krupego piękny zamek w Krasnymstawie; ale mnie się widzi on to zrobił więcej dla tego żeby mieć na wszelki przypadek niedobyte schronienie, dopuszczał się też bezkarnie w tym zamku, liczną w nim utrzymując gawiedź, szaleństw, rozpust, bezeceństw; nawet prawa gościnności obrażał: żony, Zofii Jordanownej, córki wojewody Krakowskiego prawie gwałtem dostawszy, tam ją zamykał, sprzyjając kacerstwu wyrządzał obelgi kapłanom naszym, zgoła, gdyby to nie był pan zamożny, zdawna już by głowy na karku nie nosił; ale bogaty, wysoko urodzony, piękny, wspaniały, waleczny, miał nawet wielki rum u niektórych ludzi i u wielu niewiast, i za staraniem to jego i braci Zborowskich, król Henryk na tron polski był wyniesiony, z czego pożal się Boże, nie przyszło nic więcej Rzeczypospolitej prócz

wstydu i próżnych kosztów. — Ale wracając się do uczt koronacyi, nazajutrz po weselu pana Andrzeja Zborowskiego były jak zwykle w takich razach turnieje, gonitwy na zamku Krakowskim. Pan Samuel młodzieniec dwudziestoletni, sławny z dzielnego jeżdżenia na koniu i używania kopii, wystroił się wspaniale jak lubił i zapragnął popisać się z umiejętnością swoją. Postawił według przepisów kopiją swoją w szrankach, wyzywając każdego któryby chciał doświadczyć co on umie. A miał on oko na Tęczyńskiego kasztelana Wojnickiego, z którym oddawna był źle, podobno jeszcze o żonę, gdyż zadzierał ze wszystkimi. Tęczyński który się uważał za obrażonego i pogardzał Samuelem, domyślił się zaczepki; ale nie przyjął dla siebie wyzwania jeno wziąźć kazał kopiją słudze swemu; i to jeszcze ów sługa nie był Polak, ale Chorwat. — Gdy się o tem dowiedział ognisty młodzieniec, wpadł w gniew, wyzwał kasztelana na pojedynek, a ostatniemu ze sług swoich z Chorwatem czynić kazał. Sługa tak dobrze Chorwata ugodził, iż ten zmarł prawie na placu, i dla tego już więcej nikomu dnia tego nie dano się gonić. Pan Samuel jednak nie słuchając zakazu, nagotowawszy się przyjechał na zamek, i chciał czekać na kasztelana by się z nim zmierzyć; król Henryk jakkolwiek go miłował i był mu wdzięczny za tron, wyraźnie mu rozkazał ustąpić. Wyjeżdżał więc rad nie rad z zamku z ludźmi swemi, a nie szło mu sporo, bo się nie pomścił. Tymczasem Tęczyński posłyszawszy, że on na niego czeka na zamku jechał spiesznie zbrojno z przyjaciołmi, ważąc jeszcze więcej jak to ludzie rycerscy radzi czynią — cześć swoją niźli zakaz królewski; zetknęli się oba przeciwnicy w samej bramie zamkowej. Samuel uniesiony zapalczywością młodzieńca, porwał się pierwej na Tęczyńskiego, a gdy w tak niespodzianym i bezprawnym napadzie Wapowski, kasztelan Przemyski, towarzysz i przyjaciel tegoż, rzucił się na jego obronę, rozjuszony Samuel uderzył go w głowę czekanem, aż spadł natychmiast z konia; i w tej chwili też ktoś ze strony Tęczyńskiego strzelił. — Czemu dosyć wydziwić się nie można nikt na Zborowskiego się nie porwał, dano mu uciec wraz ze swymi, a tymczasem ów wystrzał umyślny czy przypadkowy wielkie zrobił zamieszanie w zamku; król Henryk pewny iż to spisek na niego i na jego Francuzów, uzbroić się swoim kazał i sam się uzbroił, a gdy się do pokojów królewskich dobywano dał otworzyć, chcąc wyjść własną osobą na buntowników, bo na waleczności jako Francuzowi mu nie zbywało. — Ale w miejscu buntowników pokazał się Tęczyński srogim żalem zdjęty, i słudzy jego prowadzący zbroczonego krwią Wapowskiego a już prawie bez zmysłów; wielkim głosem domagał się sprawiedliwości, król zaprzysiągł ją wymierzyć, zakazując surowo obrażonemu szukać samemu zem-

sty; lecz tymczasem Wapowski tejże nocy szóstego marca umarł...»

«O! już choćby za to jedno zabójstwo — przerwała Kochanowska — Samuel Zborowski godzien srogiej kary; taki zacny, taki znakomity pan kasztelan Wapowski, i została po nim wdowa, pobożna i cnotliwa pani, którą ja dusznie kochałam i kocham. — Ona Maciejowska z domu przebywała w klasztorze gdziem ja się chowała, bo miała tam ciotkę zakonnicą; prawie równego wieku zaprzyjaźniłyśmy się bardzo; nieboga męża swojego nad życie kochała, i gdyby nie dla syna pewnoby śmierci jego nie przeżyła...»

«A nieboga była właśnie w Krakowie w tej porze — mówił dalej Kochanowski — kiedy nazajutrz zawieziono ciało jej męża do króla na saniach, ubrane, jak miał zwyczaj nieboszczyk chodzić, przykryte suknem i aksamitem; jechała i ona z synem i z krewnemi w siedmiu kolebkach żałobnych — wstąpiła do królowej Anny, na on czas jeszcze królewnej; mimo ciężkiego żalu stanęła i przed królem, pan Stanisław Maciejowski czynił od niej żałobę; przez trzy dni, tak jeździła ciągle, żałość jej szczera zapewne nie mało się przyczyniła do tego, iż więcej jeszcze powstawali wszyscy na króla i na stany, że Samuela nie schwytano, nie ukarano zaraz wtedy. Dano mu bowiem czas zemknąć za granicę, a bracia jego takich sposobów użyli, by go od surowości prawa zasłonić, iż wytoczona mu sprawa ciągnęła się przez cały wielki post, a chociaż statut starego Zygmunta był wyraźny: iż zabójstwo podczas sejmu lub przed królem popełnione powinno być karane śmiercią na obecnym, a na zbiegłym wywołaniem i odsądzeniem od czci i majątku, przecież z powszechną zgrozą, wyrok wydany na Samuela przełamał statut, bo go nie odsądził od czci, a majątek jego oddano bratu, który go zaraz oddał synowi winowajcy; już bowiem wtenczas Samuel miał syna, a później przybył mu jeszcze syn jeden i córka...»

«O biedneż dzieci! biedne!» — przemówiły dziewczęta prawie razem. — «Z występku i bezbożności się rodzić — dodała półgłosem Ludwina — cóż to na nieszczęście! O Panie! bądź im ojcem!» dokończyła ciszej jeszcze.

«Zborowski tedy — prowadził dalszą powieść Kochanowski — na wygnanie został skazany, jedno przecie — i na to uważajcie — zabroniono mu pod utratą życia wracać do ojczyzny; rozesłany został do wszystkich starostów całej Rzeczypospolitej rozkaz, aby za pokazaniem się jego w kraju do ich jurysdykcyi należącym, natychmiast był schwytany i ukarany śmiercią. — On zaś przez czas kiedy się to działo, schronił się do ziemi Siedmiogrodzkiej, gdzie był właśnie książęciem panującym król [nasz dzisiejszy; ułożył się przed nim jak to on dobrze umie, wyłgał, i ze wszelką ludzkością

był przyjęty i podejmowany. Prawda — i podobno jedna ta dobra sprawa udała mu się w całem życiu — prawda, on pierwszy podał Stefanowi Batoremu myśl starania się o koronę polską, gdy od nas uciekł tak haniebnie król Henryk; prawda, on przez braci swoich torował mu do niej drogę, prawda, wspaniały Stefan obiecał wszystko czynić co w mocy jego będzie — skoro dojdzie do tronu — żeby zdjąć z niego zapadły wyrok; prawda i to, że jadąc już do Krakowa, pozwolił mu doprowadzić się do samej polskiej granicy, do Stosowa, majętności Aleksandra syna Samuela, ależ król polski nie mógł dotrzymać obietnic księcia Siedmiogrodzkiego; gdy raz się dowiedział jak się rzeczy mają, niechęć i wzgarda zastąpiły miejsce dawnej życzliwości, a doznali ich i bracia Samuela, wyjąwszy Jana. Pieczęci mniejszej i większej, buławy, starostw, wszystkiego się domagali panowie Zborowscy od króla, a on wszystko Zamojskiemu dawał; wreszcie w roku zeszłym synowicę mu poślubił, ztąd zawiść panów Zborowskich przeciw Miłościwemu Panu i kanclerzowi, ztąd gwałty i bezprawia Samuela. Bo choć on ma zaledwie dziś lat trzydzieści, nagromadził już siła przestępstw na głowę swoją; to co przed oczyma naszemi w tej chwili wyprawia, nie jest największą jego zbrodnią; on to w ciągu tych lat dziesięciu pobudzał kozaków do buntu przeciw Rzeczypospolitej, hetmanił im, on w czasie wojny moskiewskiej bawiąc w obozie naszym nie bił się jedno wichrzył, i zarówno ze zdrajcą Ościekiem zaprzedał się nieprzyjacielowi, on w początkach tego roku knuł spiski na życie króla i kanclerza, a to w chęci wezwania na tron nasz, Iwana moskiewskiego, który mu obiecywał wynieść go tak wysoko jak Batory Zamojskiego wyniósł. Własny jego chłopak Wojtaszek, nie zły torbanista przyniósł podkomorzemu królewskiemu, Filipowskiemu, list Krzysztofa Zborowskiego, do brata, w którym to liście jawnie widzieć można było, iż chcieli zabić króla w Niepołomickim lesie. Kasztelan Gnieźnieński prosił Miłościwego Pana ze łzami żeby zbiegowi, ladaco chłopakowi wiary nie dawał; król dał mu listy i pieczęcie braci do rozpoznania, kasztelan musiał przyznać, że prawdziwe, odejść z gorzkim wstydem i zamilczyć; teraz stronnicy Zborowskich niewiedząc już jak się bronić, głoszą, że Wojtaszek czarnoksiężnik, że szatan mu pomagał do naśladowania doskonale pisma cudzego, że te listy na rozstajnych drogach sporządzone piekielnemi sposoby... I byłaby może ta dziwna sprawa ucichła, gdyby nie wyuzdane obecne zuchwalstwo Samuela. Ale jakby ośmielony tą bezkarnością podniósł jeszcze wyżej hardą głowę, i zdaje mu się, że Batory, Zamojski, prawo, są niczem, on królem, kanclerzem, władzą. A co za serce w nim niewdzięczne, jakie zaślepienie! Pan nasz Miłościwy pamiętny dawniej i zażyłości i usług, nie przestawał przez te wszystkie

lata dawać mu ojcowskich przestróg, napominał go przez braci, przez powinowatych; raz nawet kiedy Jan będąc marszałkiem, najwyższą władzę na dworze sprawował, pozwolił mu przyjść do królewskiej komnaty, to mu groził, to folgował, dopuszczał mu już mieszkania w Złotowie na granicy byle cicho siedział: niecnota, na nic dobrego tej łaskawości monarchy nie użył, owszem coraz więcej zacina się w zbrodni, i zobaczemyć dziś, jutro, na czem skończy. — Nie tuszę, aby dobrze skończył — i potrzebny ten przykład. Szkoda będzie szlachetnie urodzonego młodzieńca, szkoda ojca trojga dziatek, małżonka zacnej niewiasty; piękny, możny, waleczny, nieustraszony, hojny, lecz cóż kiedy te wszystkie dary Boskie na szatańskie dzieła obraca...»

«I na życie dobrego króla, na życie naszego kochanego kanclerza nastaje — zawołała Ewa spoglądając na spinkę, którą według dobrej rady ciągle nosiła na piersiach — choć wielki pan, niegodziwy z niego człowiek; co bądź z nim zrobią żałować go ani myślę, i wielka szkoda co pana rotmistrza tu niema, on by go już był dogonił i nauczył.»

«O! gdyby to już wiedzieć można jaki będzie tego wszystkiego koniec — mowiła Dorota — jam strasznie ciekawa i nie gniewałabym się, gdyby pan Zborowski cały wyszedł.»

«A ja Boga jeno proszę, żeby upamiętanie dać mu raczył! — szeptała składając ręce pobożna Ludwina — chętnie bym trzy dni i więcej, suchotami pościła!» —

Nie przyjęło niebo na ten raz pokornych modłów dziewicy; w kilka dni po tem opowiadaniu Kochanowskiego, w tydzień po odwiedzinach kanclerza, zaczęła wracać zbrojna szlachta Sandomierska do domów, nie bez żalu iż nie przyszło nigdzie do krwawej rozprawy, a stary Mysłowski przywiózł list Adama Kochanowskiego do stryja. Był prawie w tych słowach:

«Służby moje życzliwe zalecając pilnie w łaskę Waszej Miłości donoszę naprzód ową wielką nowinę: jesteśmy w Krakowie zdrowi, Samuel Zborowski schwytany, i już się podobno nie wybiega. Rzecz cała tak się ma. — Dogoniliśmy kanclerza rano po wyjeździe naszym niedaleko Iłży, i raczył przyjąć mile nasze dobre chęci. Jechaliśmy przeto z nim razem. — Wierny temu coraz postanowił, kanclerz znosił cierpliwie coraz bliższe dojazdy Zborowszczyka i coraz głośniejsze pogróżki, chronił się wszelaką mocą bitwy — choć wszyscy młodzi wrzaliśmy chęcią boju — przejeżdżał spiesznie całe nasze województwo, o ile mu tego powaga dozwalała, spodziewając się, że ów zuchwalec nie odważy się wjechać w Krakowskie, że ujdzie z kraju, a tak zostaną całe i przysięga urzędnika, i prawo, i ten co je pogwałcił. Wielu z nas także podobnie myślało, ale omyliliśmy się. W niedzielę stanęliśmy na nocleg

w Proszowicach, już w jurysdykcyi starosty Krakowskiego; choć spokojniejsi od napaści, żaden z nas ani pomyślał o spaniu, i o wypoczynku, koczowaliśmy pod gołem niebem, i żwawe były rozprawy czy Zborowski zatrzyma się nad granicą starostwa czy wjedzie? około dziesiątej godziny przybył nawet szpieg kanclerski z wieścią, że pan Samuel z ludźmi swemi zajął Podolany, wieś, jak wiecie, o milę od granicy starostwa, i tam noc ma przepędzić; kiedy ci którzy jego stronę więcej trzymali, już tryumfować chcieli, jeden z naszych na wywiady wysłany wrócił i doniósł z pewnością: że Samuel wjechał i z towarzystwem w Krakowskie; towarzystwo swoje zostawił w Jakóbowicach, a sam z kilkunastą zbrojnych przyjaciół puścił się do Pieczmy do pani Włodkowej swojej siostrzenicy młodej i gładkiej wdówki, która — jak ludzie mówią — ma być zdawna na niego łaskawa. — Zamierzał on wysłać połowę ludzi swoich na przód do Krakowa, żeby dojeżdżającemu kanclerzowi zajechali drogę, a on sam z drugą połową miał mu wziąźć tył, i tak zewsząd go ogarnąć; w Krakowie zaś rozpustna i próżnująca młodzież na jakiej nigdy w wielkich stolicach nie zbywa, pobudzona przez stronników Zborowskich, (którzy kanclerza zowią «starostą piekielnym») już była gotowa buntownikowi dopomódz. Były to wojenne a piękne fortele, które się przecież z łaski Pana Boga nie powiodły. — Kanclerz dowiedziawszy się o wszystkiem dokładnie, osądził w sobie, że już dłużej czekać się nie godzi; jako jednak przezorny jest i baczny, złożył pierwej radę z tych co bliżej otaczają jego osobę; był w niej i stryj nasz Andrzej i bystry Herburt, i wymowny Piskorzewski i uczony Heidenstein, bo wiadomo wam, że on bez mądrych ludzi nigdy się nie ruszy — był i śmiały Urowiecki, dzielny Żółkiewski i kilku innych. Wszyscy okazali się tegoż samego zdania co on. Wysłał tedy natychmiast poczet wybranego ludu z dzielnym Żółkiewskim na czele, wkrótce za nim Łukasza Sernego, Szymona Charlińskiego, Wybranowskiego i Mroczka, doświadczonych mężów w rycerstwie. Żółkiewski ze swymi podszedł cichuteńko pod sam dwór pani Włodkowej, i otoczył go pierwej niż kto bądź usłyszał. — Zborowski bawił się spokojny u swojej przyjaciółki, czynił sobie dobrą myśl jakby co najlepszego zrobił, a jego ludzie po wsi byli rozproszeni. Pierwej jednak posłyszał jakiś niezwyczajny hałas, zląkł się i nie wiele myśląc zruciwszy z siebie suknie wpadł do komnaty panieńskiej i ukrył się w pierwsze łóżko jakie napotkał. Lecz nie pomogło to niewinne schronienie; Żółkiewski wpadł do dworu, trafił na sypialnią i wywlókł go z pościeli. Nie porywał się na niego, jako na bezbronnego, pozwolił mu nawet oblec się w żupan, zarzucić ferezyą, szabli jeno mu nie dopuścił, ani broni żadnej, a ująwszy go mocno za barki, wsadził na swego konia i przed

świtem stanął z nim w Proszowicach przed kanclerzem. Nie mam potrzeby opisywać Waszej Miłości tego co się działo w całym obozie, jaki tryumf, jakie gadania, a razem i jakowyś strach! Ciekawość nas brała straszna wiedzieć jak się stawi Zborowszczyk w obliczu kanclerza, ale ani słówka dowiedzieć się nie mogliśmy; czterech ich tylko było w czasie rozmowy: sędzia, winowajca, Żółkiewski i Urowiecki, i nic się nie wydało. Po tej rozmowie kanclerz spędził godzin kilka na pisaniu listów, które rozesłał na wszystkie strony, a najpierwszy oczywiście do Grodna, do Miłościwego Pana; pisał podobno i do pani Wapowskiej: czyby nie miała woli dochodzić teraz zabójstwa swojego męża. — Pojmanie Samuela szybko jakby cudem w tej okolicy się rozniesło, nad rankiem już o niem wiedziano w Krakowie, choć z Proszowic jak wiadomo pięć mil do stolicy. — Ruszył też wnet i kanclerz do miasta i my wszyscy z nim; jechała naprzód kolebka ściśle na wszystkie strony zamknięta, i mocną strażą otoczona, a w niej jak zgadnąć można więzień nie koniecznie wesołej myśli. — Był w Krakowie właśnie zjazd wielki szlachty z powodu sądów grodzkich, było i wielu stronników Zborowskich. Wysypali się przeciw kanclerzowi wraz ze znaczniejszymi obywatelami i z całą niemal ludnością a ci którzy najwięcej dokazywać mieli ucichli zupełnie. — Kanclerz oddawszy więźnia pod straż Urowieckiemu jako podstaroście Krakowskiemu, pojechał na zamek, i tam stanąwszy na ganku miał mowę do licznej szlachty, co go aż na to miejsce odprowadziła; w niej przełożył zbrodnię Samuela i obowiązki starosty, z takim ogniem i przekonaniem, iż gdyby w ten moment był kazał go wyprowadzić i ściąć mu głowę bez innego sądu, nikt by nie był wyrzekł i słowa. — Ale kanclerzowi ciężko jest widać, nawet tak występnym żywotem szafować, czeka przeto z wykonaniem prawa, odpowiedzi króla i senatorów. Odpowiedź ta przyjdzie najrychlej na dwudziesty piąty bieżącego miesiąca, i wtedy niebawem koniec nastąpi. Skoro się to stanie, wnet Wasza Miłość ujrzysz mnie w Czarnolesie; lecz pierwej odjeżdżać mi nie sporo, nie żeby kanclerz mnie lub kogokolwiek potrzebował, jeno iżem wielce ciekawy rozwiązania tej tragedyi. — Niektórzy tu zaczynają głosić, że powinien król darować życie Zborowskiemu, inni znowu zbierają się wykraść go, porwać z pod rusztowania, i odgrażają się bardzo. — Wielu z naszych mniej ciekawych niźli ja, żegnało się już dziś z kanclerzem, a on im dziękował uprzejmie za ich dobrą chęć; gdym mu oświadczył przez stryja Andrzeja, że jeszcze nie odjeżdżam, ale wyprawiam posłańca z listem do Waszej Miłości, rozkazał mi czekać na swoję przysyłkę; jakoż przed chwilą jeden z dworzaninów wręczył mi małą krobeczkę, którą przyłączam, upraszając Waszej Miłości, abyś raczył przyjąć powolne me służby.»

Na krobeczce był napis: «Orszuli Kochanowskiej» a gdy ją otworzono ukazał się krzyżyk rubinowy na złotym weneckim łańcuszku; kartka była przy nim z temi słowami:

«Aniołku uproś u Boskiej Matki
Zdrowe dla mnie dziatki.»

Orszulka uszczęśliwiona z daru oddała natychmiast Annie siostrze swojej, dawny złoty krzyżyk, który od urodzenia nosiła; nowy i cudniejszy włożyła na szyję i powiedziała: że go nie zdejmie póki życia, i widziano ją odtąd często jak klękała w trawie i modliła się trzymając znak zbawienia w złożonych dłoniach. Kiedy ojciec ją tak spostrzegł, cieszył się, i przypatrywał jej się w milczeniu i z lubością, bo zupełnie zdawać się mogło, że anioł z najpiękniejszych przelatując nad jego wiejską zagrodą spoczął w niej, i rozmawia z temi, co zostały w niebie.

ROZDZIAŁ XVIII.

Widziałem złego w szczęściu tak wyniosłym
Że był Libańskim równy cedrom rosłym;
Obejrzałem się, a już było po nim
Szukam, nie umiał nikt powiedzieć o nim.

Psalm XXXVII.

Cała niewieścia drużyna Czarnoleska, która teraz mimo wiosennej pogody częściej siadywała w izbie niżeli na dworze, z powodu wielkiej i ciągłej roboty koło wyprawy Ewy, zebrana była w przedostatni dzień maja. Już przy śniadaniu Kochanowski upewnił, iż według wszelkiego jego wyrachowania, los Samuela musiał być roztrzygnięty przed trzema dniami, a zatem wieczorem należy się spodziewać powrotu pana Adama. Teraz zaś zjadłszy obiad w zamyśleniu, i podumawszy chwilkę na ławie pod piecem, poszedł do swego pokoju, a według zwyczaju jaki miał skoro jakaś ważna sprawa toczyła się w kraju, porządkował dokumenta, które do obecnej przygody zebrać był potrafił, i rzucał na papier szczegóły, dotąd tylko po ustach krążące, dołączając do nich swoje wnioski i uwagi. Właśnie wszystko ukończył, właśnie zamyślił się nad tem, iż zapewne wnet znakiem krzyża świętego i słowami: requiescat in pace przypieczętować wypadnie ów zbiór cały, kiedy hałas w domu zwiastował mu przyjazd obcych. — Nie czekając żeby żona oznajmić mu przyszła kto przyjechał, zbiegł szybko na dół, i ledwie drzwi izby otworzył, zobaczył synowca, a po jego twarzy spoważniałej, po smutku żony i córek, poznał nim słowo wyrzekli, że już po Samuelu. —

Wszyscy w Czarnolesie wiedzieli przestępstwa Zborowskiego, wszyscy znali, że zasłużył na karę, że konieczny był przykład sprawiedliwości, wszyscy sprzyjali Zamojskiemu, przecież, gdzie jest serce, któreby się mogło oprzeć uczuciu litości, kiedy się dowie, że głowa ludzka, głowa młodzieńcza,

głowa znakomita, której brakło tylko dobrego kierunku, aby zajaśniała użytecznie w ojczyznie, i na długie lata ozdobą jej była, padła pod mieczem katowskim, jak pada głowa najpodlejszych zbrodniarzy. Sama Ewa co niedawno tak się odrażała na żyjącego zuchwalca, teraz przez długą chwilę niewidziała wcale roboty swojej przed sobą, dla łez cisnących się do jej oczów, wszystkie jedwabie zdawały jej się czerwonej barwy; tem przykrzej jej to było, iż jak wymiarkowała odrazu, śmierć Zborowskiego wypadła w dzień ś. Filipa, dwudziestego szóstego maja, w dzień imienin jej Bogdana; ta wylana krew złą wróżba jej była, i już przeczuwała zawczasu jak ścigać ją będzie we dnie i w nocy owa głowa ucięta i drgająca, ów kadłub, który krew toczy... — Ludwina zaś czemsiś wyższem jak ziemią zajęta, nie czekając szczegółowego opowiadania tej okropnej przygody, wymknęła się z izby, i poszła w głąb sadu; tam uklękła pod kwitnącą jabłonią — na której korze jeszcze dziecinną ręką wyryła była krzyż i odmówiła cały różaniec po dwa razy, ofiarując pierwszy raz za duszę winowajcy, drugi na odwrócenie wszelkiej kary od sędziego, gdyby się omylił jako człowiek. — Wietrzyk wieczorny, jedyny służebnik tej kwiecistej kaplicy, okrywał listkami bladoróżowych kwiatków świętą dziewicę, otaczał ją ich wonią, i zanosił odgłos jej czystych modlitw chórom niebieskim. —

Ostatni koniec Samuela Zborowskiego był taki. Udzielamy go w krótkich słowach odsyłając po dokładniejsze szczegóły i po dalsze skutki tego zdarzenia do spółczesnych pism i kronik.

Cały Kraków trząsł się przez te dni czternaście od pogróżek, poduszczań i przekupstw Zborowskich i ich przyjaciół. Wielu z nich przychodziło do kanclerza i nalegało śmiało, aby się wstrzymał do sejmu z wykonaniem wyroku przez króla Henryka na Samuela wydanego. Zamojski nie wzbraniał się od tej łaskawości, byleby kto przyjął na siebie obowiązek stawienia winowajcy przed sąd sejmowy. Nikt tego podjąć się nie chciał, ani śmiał ręczyć za obwinionego. Wtedy powiedział: «Zrobię co Miłościwy Pan każe.» Oczekiwano tedy niecierpliwie powrotu Grodzieńskiego posłańca; nadjechał dwudziestego piątego maja i przywiózł wyrok śmierci. Król Stefan w liście własnoręcznym napisał między innemi te słowa: «Wściekły pies zabity nie kąsa.» Nadchodziły też ze wszech stron odpowiedzi senatorów podobnejże treści, i kanclerz wszystko przyrządzić rozkazał do wykonania prawa nazajutrz po odebraniu królewskiego pisma. — Uprzedziwszy Zborowskiego o losie jaki go czekał, nad wieczorem poszedł do jego więzienia, w towarzystwie kilku znakomitych osób i

tam powiedział: «Jako mu bolesno jest z całego serca, iż tak zacnie urodzony młodzian spraw swoich nie wiódł inaczej, jako byłby mu z duszy życzył, żeby się nie był w owe sidła zaplątał, i ostrzegał go o tem po kilka kroć; ale on jakby na przekor samemu sobie, lazł oślep w zgubę.»

Kiedy Zborowski wymawiał mu ostro, iż to wszystko nie czyja jeno kanclerska sprawa, i że gdyby nie jego osobista zawiść ku całej Zborowskich rodzinie, nigdyby do tej ostateczności nie przyszło, Zamojski przeczytał głośno list i wyrok królewski. Złorzeczył długo i okropnie winowajca, powoływał sędziów swoich na sąd Boski, ale nareszcie wątpić sobą zaczął, okazywać wcale niewłaściwą sobie trwogę, pytać się: «Czyby to już żadnym sposobem rzeczy inaczej obrócić się nie dały? czy tak wiele królowi i Rzeczypospolitej na jego gardle stoi?» — Z wielkiego żalu za życiem, gdy mu już śmierć straszliwa w oczy zajrzała, ów Samuel hardy i niesworny wziął się do pokory i do upamiętania, i wyrzekł: «Z Boskiego widzę zrządzenia dostałem się na to miejsce; tu w tym samym Krakowskim zamku, gdziem wylał niewinną krew Wapowskiego, tu i moja co do ostatniej kropli popłynie.» — Pytany o zamachy przeciw królowi i o spisek ukartowany w Niepołomickim lesie, bez zająknienia się obwinił braci swoich Krzysztofa i Andrzeja, że oni wszystko układali, a jego mniej od nich uczonego a śmielszego do wykonania użyć chcieli. — Zamojski jakby wstręt mając od słuchania oskarżeń brata na braci, z umysłu nie wypytywał się już więcej; radził mu tylko «aby kiedy już od ludzi nic spodziewać się nie może, pogodził się z Bogiem, i stał się godnym przez serdeczną skruchę, owego nieba, którego się wyrzekł sprosnemi sprawami, dodał, że co do niego, przebacza mu i zapomina wszelkie urazy.» To powiedziawszy wyszedł ze łzami w oczach i wnet przysłał na miejsce swoje spowiednika.

Nie zachowały nam dzieje imienia tego posłannika Boskiego, zważywszy jednak przestępstwa Zborowskiego, nieugięty dotąd charakter, błędy kacerskie w jakich trwał jeszcze, chęć szlachetną kanclerza pozyskania niebu duszy tego, którego zbawić nie mógł na ziemi, domyślić się można, że dobierał mu troskliwie owego ostatniego przewodnika, a wybór jego może padł na księdza Piotra Skargę, który wówczas jak wiemy bawił w Krakowie. To pewna, że spowiednik Zborowskiego wysłuchawszy całego pasma jego życia, po kilku godzinach wyszedł tak pomięszany, iż zdawało się niektórym iż utracił zmysły; pokutnik zaś po odejściu jego leżał do świtu twarzą ku ziemi, nie śmiejąc podnieść oczu, płakał tak

obficie, że podłogę więzienia zwilżył swemi łzami, a te łzy przecież ugasić jego żalu nie mogły. Skoro dzień zajaśniał, wyprowadzono go na miejsce kary zwyczajnym winowajcom przeznaczone, za bramę zamkową, i tam kat publicznie, ale przy zupełnem milczeniu ściął mu głowę. — Ciało pod słupem zostawione wzięli krewni, zabalsamować kazali i przysięgli uroczyście nie dać mu pogrzebu, trzymać je u siebie, wozić przed króla, przed sejm, dopókąd sprawiedliwości nie uzyskają. Troje dziatek jego ubrali w grubą żałobę i pokazywali ludowi dla pobudzenia go do zemsty. — «Panowie Zborowscy — mówił w końcu Adam Kochanowski, który to wszystko z większemi szczegółami opowiadał słuchającej go ciekawie rodzinie Czarnoleskiej — Panowie Zborowscy mają swoich stronników, bo pieniędzy nie żałują, przecież między uczciwemi i rozsądnemi ludźmi jeden jest tylko głos, że Samuel na los swój zasłużył; pospólstwo Krakowskie z pewną nawet radością widziało pańską i znakomitą głowę pod mieczem katowskim; ulicznicy zawsze weseli a często dowcipni śpiewają sobie:

Za króla Stefanka
Strach i na panka.

Kradnij, rozbijaj
Ale Kraków mijaj.

«Widziałem jednak sam i na własne słyszałem uszy nie jednego ze znakomitej szlachty, co całem gardłem wtóruje panom Zborowskim. W śmierci Samuela nie widzą słusznego wykonania prawa, ale nadużycie władzy jednego z pomiędzy siebie i powtarzają proste przysłowie: «Kto wyjrzy z korca, tego strychulcem w łeb;» zbierają świadków zadających ciężkie zbrodnie kanclerzowi, twierdzą jako mają dowody, że chciał otruć Krzysztofa Zborowskiego przez kuchmistrza swego Dzierżka. Pani Włodkowa ze swojej strony pozwać go chce za najechanie w nocy domu swojego. Zgoła na wielką zanosi się burzę, i słychać, że przed sejmem będzie zebrana konwokacya w Lublinie dla osądzenia tej sprawy.»

«A co najgorsza w tej całej przygodzie — dodał Kochanowski ze smutkiem, wysłuchawszy synowca — to, owa okoliczność, iż umysły rozjątrzone, prywatą zajęte, nie zechcą do spraw publicznych się przyłożyć; wszystka Rzeczpospolita zburzona, sejm jaki w tym roku być ma, znowu na niczem przeminie, i wielkie a zbawienne zamysły króla i kanclerza

gotowe spełznąć bez skutku. Dziwny, pod niefortunną gwiazdą urodzony ów Samuel Zborowski; pierwej, prawo publiczne nie mogło być względem niego zaniedbane bez największego kłopotu, teraz nie można było statutów wykonać bez najokropniejszych rozruchów. O biada nam biada! Kiedyż my słuchać się nauczymy! Pókiż swawolić będziemy! Kiedyż przestaniemy bezprawie zwać złotą wolnością!»

ROZDZIAŁ XIX.

Gdzie pojrzę, wszędy widzę Polskiej siły znaki,
Tu do czarnego morza jeszcze świeże szlaki;
Tu droga znakomita przez śnieżne Bałchany,
Tu psie pole, a sàm brzeg Pruski zwojowany.
A ktoby oczy podał jeszcze w głębsze lata,
Przodkom naszym wielka część hołdowała świata:
Bo od zmarzłego morza po brzeg Adryański
Wszystko był opanował cny naród Słowiański.

Księga I. pieśń 29.

Cień ponury jaki przygoda Zborowskiego rzuciła na Czarnolas — który już i tak od wyjazdu ukochanych gości nie był oczywiście tyle wesołym i ożywionym co dawniej — znikać zaczął pomału, została przecież całemu domowi jakaś poważna, łagodna, że nie powiem uroczysta barwa; złożyły się na nią dwie lube przyjaciołki człowieka: praca i nadzieja. Każda z osób składających główną część drużyny Czarnoleskiej posiadała owe dwa żywotne warunki szczęścia potocznego; u każdej ręka była zajęta użyteczną, pilną robotą, a myśl bujała w miłej przyszłości. — Kochanowski zachęcony przez Zamojskiego, zagrzany chęcią napisania dzieła, któreby prócz innych korzyści i zalet pochlebiać mogło powołaniu i skłonnościom drogiego przyjaciela, nie zaniedbując prac koło roli tyle ważnych w tej porze roku, zabrał się całą duszą do swego rycerskiego poematu, i ujrzał się wnet w najmilszej pisarskiej dobie: kiedy to autor, podobien matce nad kolebką syna, już widzi ów płód swojego ducha dojrzały, ozdobny w wszelkie przymioty i wdzięki, przynoszący mu pociechę i chlubę, a jeszcze nie miał czasu i sposobności mozolić się, ślęczyć nad nim i doznać zawodu. — Kochanowska zajęta z kolei to robotami nakazanemi w księdze pamięci, jako to: rozsadą kapusty, pieleniem ogrodów, zbieraniem i smażeniem ziół, paleniem wódek, bieleniem płótna, suszeniem ryb i t. d. to znowu wyprawą Ewy, myślała z pobożną wdzięcznością o odmiennym, a przecież szczęście obiecującym losie dwóch starszych swych

córek; cieszyło ją równie zamęźcie jednej, jak dziewictwo drugiej. Już widziała Ewę w czepcu białogłowskim kochaną od męża, piastującą dziecię — pierwsze jej wnucze! — widziała Ludwinę pod zakonną zasłoną bliżej jeszcze Boga niż teraz, już prawie świętą; wspominała także z lubością na dziecię co nosiła w łonie: wszystkie kobiety we dworze i we wsi, a na ich czele Nastka i Świtka, obiecywały jej syna; potwierdzały nadzieję dziedzica i inne wróżby; pragnęła go całem sercem, gdyż sądziła, że po Orszulce, syn tylko mógł być z rzetelną radością przyjęty od ojca, i ścieśnić nowem ogniwem zobopólne ich a tak drogie węzły. — Ewa i Ludwina bujały także w przyszłości; «młodość przestrono patrzy.» Jednej przesuwały się z kolei: powrót szczęśliwy Bogdana, wesele, które rodzice jej obiecowali dwa razy sutsze od zaręczyn, owe kołacze «grunt wszystkiego» co je Nastka upiec miała, jak niegdyś dla swojej Hanulki w Sandomierzu, zupełna odmiana życia, nowe szczęście, nowe stroje, powaga małżeńskiego stanu, podróż, majątek, Studzienica. Drugiej znowu stały na pamięci uroczyste obłóczyny, ofiara dobrowolna owych pięknych jasnych włosów i całej krasy urody i młodości, które jej ciężyły; pożądana cichość i jednostajność klasztorna, pokorne ubóstwo, szczęśliwość życia poświęconego zupełnie Bogu, życia w którem jej się zdawało, że nie będzie miała sposobności nigdy zgrzeszyć... Było więcej żywości, uroku, w marzeniach pierwszej, więcej spokoju, gruntu, pewności w obrazach drugiej. — I Dorota, którą już matka wprawiać zaczynała do trudniejszych robót domowych, dumała sobie także o chwili, kiedy będzie najstarszą panną w Czarnolesie, prawą ręką rodziców, a choć jej smutno było wspomnieć o odjeździe dwóch sióstr, znaczenie które nabyć miała, pocieszało ją niemal zupełnie; Dorota była z tych dziewcząt co raczej męzki charakter mają, lubiła być pierwszą, miała własną tęgą wolę, i łatwiej jej było dać sobie samej radę w trudnym nawet razie, niż usłuchać cudzej rady w najdrobniejszej rzeczy. Są na świecie różne charaktery i ułożenia, bo też i przeznaczenia różne. — Aż do starej Nastki — choć to zwykle starym mało co od ziemskiej nadziei się należy — wszystkich w Czarnolesie opanowała owa czarodziejka. Kochanowska częścią z życzliwości ku dawnej i tak wiernej słudze, częścią z troskliwości o córkę, przyrzekła jej, że ona odwiezie przyszłą panią rotmistrzową do Studzienicy, a przytem — jak sobie tego oddawna życzyła — obaczy raz jeszcze przed śmiercią kraj młodości swojej, zielone Podole. «Jeźli ci tam dobrze będzie, to i zostań — mówiła do piastunki wdzięczna matka — choduj moje wnuki, jeźli nie — to wróć do nas.» Poczciwa kobieta pomagając ile jej sił starczyło do robót domowych, prawie ciągle tę podróż widziała przed sobą. Lat trzydzieści kilka zwinąwszy zupełnie

w pamięci, jakby ich nie było, wystawiała sobie krewnych, przyjaciół, tak jak niegdyś ich zostawiła, cieszyła się, że ich powita, i że oni do niej się uradują. «Czemużby pomrzeć mieli i odmienić się dla niej, kiedy ona żyje zdrowa, i o nich pamięta?» Z ruchomostek i pieniędzy jakie posiadała — a które teraz wspaniałością Filipa i Podlodowskiego znacznie się powiększyły — dla każdego jakiś gościniec sposobiła, a przechodząc myślą wszystko co jej się zebrało do opowiadania przez lat tyle, czuła już zawczasu wielką niespokojność języka, i całą czeladź Czarnołeską nudziła więcej niż kiedy swoją wielomównością. —

W takich marzeniach i zatrudnieniach przerywanych jak to bywa na wsi, to świąt uroczystych obchodem, to przyjazdem gości, to wreszcie odwiedzinami krewnych i sąsiadów, upłynął prawie cały czerwiec; słowik ucichł, drzewa okwitły i spłowiała cokolwiek dziewicza ich świeżość trawy, urosły i padły pod kosą, zboże się wykłosiło; dzień już się zmiarkował, przybywać go przestało, i zaczęły się mocne dosyć upały; Kochanowski uchodził często w cień ulubionej lipy swojej przed skwarnemi promieniami słońca, a «z lutnią na łonie, przy dzbanie zimnej wody» dumał o pracy i Jakóbie swoim; tam właśnie siedział jednego poobiedzia kiedy przybył pożądany i wyglądany posłaniec od ukochanych podróżnych i cały dom napełnił radością. — Obiecali oni wyjeżdżając wyprawić z pod Bałchanu doświadczonego dworskiego kozaka, starego Iwanuszkę, żeby dać wiedzieć o sobie, i dotrzymali słowa. —

Droga szła im pomyślnie; z razu służba im się rozniemogła, i oni sami trocha słabowali, ale jak pan podkoniuszy otworzył obozową szkatułę apteczną, którą i pani wojska zaopatrzyła swemi lekarstwami, jak leczyć zaczął, uzdrowił ich zupełnie i siebie; odtąd wszystko im idzie według tego jak zamierzyli i rozrachowali sobie. — Przebywszy granice Polski — w której wszędzie o niczem tylko o Samuelu mówiono — przejechali przez Wołoską ziemię, przez Bukowinę, owo miejsce smutnej pamięci «gdzie za Olbrachta, poginęła szlachta;» potem, na Suczawę i Łopuczno dojechali do Kilij, miasta zamieszkałego już przez Turków, gdzie przez władze byli z wielkiem poszanowaniem przyjęci, gdyż Turcy zwłaszcza pograniczni wielką cześć niosą królowi polskiemu, i mówią, że «Batury Isztywan jest wybrańcą znamienitych mocarzów Chrystusowych, wlekącym poły wspaniałości i powagi, dzierżącym wodze spraw narodów chrześciańskich.» Z Kilij jechali brzegiem wspaniałego Dunaju pięknym krajem, do Jazu, gdzie łowią wyzinę. Z Jazu jadąc długo, zajechali do miasta Baby, dziwnie nazwanego, ile że te białogłowy co im się w niem ukazały wcale nie były stare. Ztamtąd do Halapapy, gdzie są wały i mury

zburzone, i widać dawny gród znaczny. Minąwszy Bazarczyk, Prowadyą, dotarli do wsi Ciengiej pod same stopy góry ogromnie wysokiej, pod stopy Bałchanu; tę górę nie przejechać ale objechać mieli we dwa dni, a ztamtąd na Haidosz, Kierglisz, Biegarazar i Bikułce, ruszyć już lepszą drogą do Carogrodu, gdzie spodziewali się byli stanąć z pewnością na piętnasty czerwca. — Z równąż dokładnością opisywali dyaryusz powrotnej drogi, i wyrachowanie oczywiste, na trzechkrotnem doświadczeniu oparte: iż zabawiwszy dni kilkanaście w stolicy państwa tureckiego stawią się niezawodnie w Czarnolesie na wigilią święta Wniebowzięcia Najświętszej Panny. «Wtedy — pisał w końcu listu Podlodowski — ujęci naszą rzetelnością i pospiechem, nie będziecie mieli serca, najmilsi moi, odkładać długo wesela, i w tydzień, dajmy dwudziestego drugiego sierpnia, oddacie już na zawsze waszą dziewkę memu parobkowi. — Pobladł mi tu i schudł nieco z wielkiej tęsknoty; zdaje mu się, że nie zasłużył sobie na miłość Ewulki, i że mu ją tam kto odmówi. Przyrządźcież więc wszystko żeby już żadnej zwłoki nie było: będę sobie uważał tę uczynność waszą za dowód rzetelnej przyjaźni, i wdzięczność wam dochowam do grobu.» — Iwanuszkę kozaka, co z temi listami konno przyjechał, obładowali o ile się dało rozmaitym gościńcem, obiecując «daleko szacowniejsze podarki, gdy już nie przez nieme listy, ale sami osobiście służby swoje złożą.»

«O! niech nam jeno siebie samych całych a zdrowych przywiozą! kwituję ich z reszty» — zawołał Kochanowski; Ewa pomyślała to samo, chociaż miała kęs żalu do pana rotmistrza, iż śmiał wątpić o jej wierze, a z rzeczy przysłanych w darze, gdy je matka rozwinęła i kazała wybierać co chce? wzięła sobie tylko sznurek paciorków różanych, które ponosiwszy przez kilka godzin na śnieżnej szyi, i widząc, że jej w nich bardzo do twarzy i że pachną mile, zdjęła przed wieczorem i zawiesiła w izbie u obrazu Matki Boskiej. «Nie chcę je nosić bez pana Filipa — powiedziała w sobie — i ślubuję nie odpiąć je aż piętnastego sierpnia; niech wonieją do tej pory przed Najświętszą Panną, może raczy uprosić u Syna Swojego powrót pana rotmistrza na wigilią dnia tego.»

Kochanowski uradowany wiadomością o dobrem zdrowiu i powodzeniu przyjaciela poszedł z listami do swego pokoju, zrucił wszystko z zielonego stołu, księgi, papiery, klepsydrę, pióra, kałamarze, i rozłożył mapy jakie miał Europy, Turcyi, Węgier i Polski, chcąc ścigać okiem ukochanych wędrowników i naznaczyć sobie ołówkiem ich drogę. — Sztuka robienia map była daleka w owym czasie od dzisiejszej doskonałości i mnogości; były w wielu szczegółach mylne, a nierównie rzadsze i droższe niż teraz, ale przecież istniały; kreślili je i nasi Polacy, a każdy człowiek światlejszy, co nie ograniczał

świata swego na zagonie który orał, co choć sercem jedynie przywiązany do ziemi co go zrodziła i pochować miała, myślą sięgał najodleglejszych: każdy taki człowiek starał się mieć je u siebie, żeby nie wychodząc z pokoju mógł świat znany objechać, i widzieć dalekie kraje oczyma imaginacyi. — Kochanowskiego mapy były jedne z roku 1522, Polski, Prus i Litwy, wydane w Straszburgu przez bezimiennego, drugie z roku 1552 z wielkiego dzieła ułożonego po łacinie przez Sebastyana Münstera pod tytułem: Kosmografia powszechna, trzecie narysowane w Wenecyi przez Jakóba Gastolda Piemontczyka roku 1568, z napisem: Il vero disegno del Regno di Polonia, czwarte z roku 1570 wykonane przez Wacława Godreckiego, i innych wiele które pomijam; znalazłszy na nich prawie wszystko czego szukał, nie mógł się wstrzymać od chęci podzielenia tej swojej serdecznej i rozumowej uciechy z żoną i z córkami. Zawołał kochanej Hanny i trzech starszych dziewcząt, i znaczył im miejsca w listach wspominane, mówiąc za każdem: «Tu byli, tu może dziś są, tu wnet będą.» Nachylone koło stołu wszystkie cztery patrzyły pilnie, Ewa jednak z największą pilnością. — Dawniej, ojciec nie raz opowiadał starszym córkom ciekawe rzeczy z map o Polsce i o innych krajach, Ludwina i Dorota słuchały uważnie czarnobrewa dzieweczka zaś mówiła w sobie: «Wolę ja z tarasu ojcowskiego patrzyć na Zwoleń, na Policznę, na Grodek i inne wioski których dojrzeć mogę; co mi tam po tych wsiach i miastach dalekich, żadnej w owem szukaniu nie znajduję przyjemności, i niemogę żadną miarą się przekonać, żeby ów arkusz papieru, miał być świat, a owe napisy kraje i miasta.» — Dziś, już inaczej myśli; duch jej sięga dalej niż zmysły; ów arkusz papieru, owe napisy przybrały dla niej wielkie znaczenie, te kraje zdają jej się niemal jak prawdziwe, każde miasto które widzi w liście, i na mapie czyta, pamięta, wystawia sobie, i oderwać wzroku swojego od Carogrodu niemoże, gdyż tam właśnie według wszelkiego podobieństwa gości teraz Filip z ojcem. — Matka przyglądająca się także ciekawie mapom, nasyciwszy się jednak prędzej niż córka tureckiemi krajami, prosiła męża o pokazanie jej Podola i Studzienicy, i o wymienienie miejsc przez które, za parę miesięcy, pani rotmistrzowa przejeżdżać będzie. Uczynił chętnie zadosyć jej woli Kochanowski; od Zwolenia, który na karcie Godreckiego znalazł, wskazał jej wszystkie znaczniejsze miasta, a skończywszy tak powiedział:

«Dobrze też, cośmy od niechcenia do tej trocha uczonej rozmowy przyszli, podobno od Środopostu nie było pory na takowąż, i możeście już zupełnie zapomniały, dzieweczki moje, to wszystko com zimowemi wieczorami nie raz wam opowiadał: rozum człowieczy zwłaszcza u płci waszej i w waszym

wieku ślizki jest, snadno się z niego rzeczy umiejętne wymykają; a przecież, kiedy Pan Bóg dotąd nie dał mi syna, radbym was widział nieco mędrsze od córek naszej szlachty, radbym w was wpoił to przekonanie, że im kto więcej umie, tem większy pan, gdyż tem więcej ma pod władzą swoją. Powtórzcież mi przynajmniej dziś rzeczy najważniejsze; ja was się będę rzędem pytał, wy odpowiadajcie śmiało a uważnie; rózgi w moim pokoju niema, nie bójcie się więc, a która się najlepiej popisze, tej przywiozę z miasta szklannych paciorków i pszennych kukłów — skoro na kiermasz pojadę» — dodał z uśmiechem. —

Ręczyć by trudno czy zupełnie temi słowami i równie gładko i od razu szły odpowiedzi, to jednak pewna, że treść rozmowy dnia tego ojca z córkami była następująca:

Pytanie. «Jaki jest początek narodu naszego?»

Odpowiedź. «Jako wszystkie niemal insze narody baśniami więcej, niźli czem pewnem początków swoich dowodzą, tak i Polski naród praojców swoich do tej doby nie jest pewien.»

P. «Jakichże mu przecie przodków kronikarze nasi podawają?»

O. «Scytów, Sarmatów, a nakoniec lud Słowiański, od którego już wprost iść mamy.»

P. «Czy sami jedni Polacy od Słowian pochodzą?»

O. «Nie; wiele innych narodów tenże ma mieć początek, bo owi Słowianie nie zatrzymali się nad Wisłą, ale przeszli Elbę, Dunaj i aż nad morzem Adryatyckiem usiedli; i był to wielki a zacny naród.»

P. «Jaki jest dziś los narodów co od Słowiańskiego szczepu wiodą początek?»

O. «Niektóre z nich jako to: Serbowie, Illiriaki, Bośniaki są w niewoli, inni jako to Moskale w grubiaństwie żyją, sami jeno Polacy i Czechowie cześć utrzymują Sławiańskiego imienia.»

P. «Który był pierwszym księciem słowiańskim co go Polskim zowiemy?»

O. «Lech, panował koło roku 550 po narodzeniu Chrystusa; a musiał to być możny jakiś książe, gdyż poźniej kilku książąt polskich Leszkami się nazywało, jakby od wielkiego jakiegoś Lecha mniejsi Leszkowie za czasem się pokazali.»

P. «A imię Polaków zkąd?»

O. «Jedni mówią, że od tegoż Lecha, to jest ludzie po Lechu czyli Polacy; przecież się zdaje, że owo imię Polak nowsze jest, i dopiero w tych naszych krainach urosło, od pola bez chyby, a jak jeszcze inni chcą od polania na chrzcie świętym.»

P. «A Ruś dla czego nas dotąd Lachami zowie?»

O. «Od wiary Lackiej, to jest łacińskiej, gdyż sami są greckiej, Polacy zaś od początku z Rzymem trzymali, i trzymać się go zawsze powinni.»

P. «Który był pierwszy książe Polski co chrzest przyjął?»

O. «Mieczysław, roku 969 za namową Dąbrówki, księżniczki Czeskiej, żony swojej.»

P. «Od Lecha do Mieczysława, przez lat czterysta z górą, jakie są imiona książąt Polskich godne pamięci?»

O. «Krakus co Kraków wystawił; Wanda, córka jego odważna i piękna, która ślub dziewictwa uczyniwszy bogom swoim, wzgardziła ręką Niemieckiego księcia, i wrzuciła się w Wisłę; Przemysław co dostał korony fortelem; Popiel, co go myszy zjeść miały; Piast kołodziej, który od pługa do tronu przyszedł: i syn jego Ziemowit wojownik.»

P. «Czy historya od Lecha do Mieczysława pewna jest?»

O. «Wiele do niej baśni domieszano, przecież znać ją trzeba, gdyż gęste o niej wspomnienie bywa w księgach i w rozmowie, wreszcie musi być niej i część prawdy; mogiły Krakusa i Wandy wznoszą się dotąd koła Krakowa nad brzegiem Wisły, a zatem Krakus i Wanda musieli żyć.»

P. «Kto był pierwszym królem polskim?»

O. «Bolesław Chrobry, król i wojownik wielki i mądry; on to prawdziwie Polskę zbudował, a zbudował potężną.»

P. «Czy byli jeszcze inni Bolesławowie?»

O. «Było dwóch, Śmiały i Krzywousty, a chociaż pierwszy splamił się okropną zbrodnią, bo zabił świętego biskupa, Stanisława, przyznać trzeba, że za Bolesławów Polska była prawdziwie wielką.»

P. «A Krzywousty jaki błąd popełnił?»

O. «Podzielił państwo swoje między czterech synów, czem na długo osłabił potęgę Polski, a może i podkopał na zawsze byt jej.»

P. «Wielu było Kazimierzów królami polskiemi?»

O. «Czterech: pierwszy Mnichem zwany, bo nim wstąpił na tron, miał być w klasztorze we Francyi, drugi Sprawiedliwy, syn Krzywoustego, trzeci, Wielki, król chłopków, syn dzielnego króla Łokietka, a czwarty Jagielończyk, syn Jagiełły.»

P. «Kto to był ten Jagiełło?»

O. «Wielki książe Litewski; ożeniwszy się z królową Jadwigą, wnuczką Kazimierza wielkiego, przyjął chrzest, wziął imię Władysława, i przyłączył Litwę do Korony.»

P. «Wyliczcie potomków Jagiełły, którzy byli królami Polskiemi?»

O. «Bitny Władysław co zginął pod Warną; Kazimierz Jagielończykiem zwany, co panował najdłużej ze wszystkich

naszych królów lat czterdzieści pięć, i przyłączył Prusy do Polski; Jan Olbracht syn Kazimierza; Aleksander, brat jego; Zygmunt król mądry i wielce kochany, i Zygmunt August, ostatni król z krwi Jagiełły, który umarł dwanaście lat temu.»

P. «Po nim co się stało?»

O. «Wielka zmiana w układzie naszej Rzeczypospolitej, bo gdy nie było potomstwa po królu Zygmuncie Auguście, panowie Polscy i szlachta postanowili, iż odtąd wolnemi głosami, na otwartem polu, kogo chcą obcego lub swego, na króla sobie obierać będą, i o tyle mu będą posłuszni o ile on przyrzeczonych narodowi obietnic, to jest zaprzysiężonych paktów konwentów dochowa.»

P. «Jaki był król pierwszy, takim sposobem obrany?»

O. «Henryk Andegaweński, dzisiejszy król Francuzki; po okropnem bezkrólewiu i długich kłótniach został naszym królem, ale na mało się przydał, bo po pięciu miesiącach uciekł do swojej Francyi.»

P. «Po Henryku kogóż obrano?»

O. «Annę Jagielonkę, siostrę Zygmunta Augusta, dając jej za męża dzisiejszego króla naszego, Stefana Batorego, który od lat ośmiu chwalebnie nam panuje, i bogdajby panował jak najdłużej.»

P. «Która z was pamięta pochwałę wierszem najznakomitszych królów Polskich niech ją powie.»

Na to wezwanie ojca Dorota się odezwała i wypowiedziała bez omyłki:

«Ktoby cię nie znał Lechu, słowianinie,
Któryś najpierwszy zasiadł w tej krainie,
I opanował męztwem swojem mocne
Brzegi północne.

Kraka patrz jako siedząc tak wysoko,
Przecie ku miastu swemu skłania oko;
Wandę wydawa ubiór, bo z postawy,
Zda się mąż prawy.

Tu fortelny Przemyśl jest wniesiony,
I ten co dostał trefunkiem korony,
Dojrzawszy zdrady, gdzie koń prędkonogi
Biegł zawód drogi.

Bóg fałszu nie chce: o jako miłuje
Sprawiedliwego, Piast i dziś to czuje,
Bo mieszka w niebie, a jego cne plemię
Rządziło ziemię.

Ziemowit stoi wedle ojca, prawie
Z drugiemi równo; ty wyżej Mieczysławie,
Którego sprawą chrześciański zakon
Podan Polakom.

Tuż po nim widzę mężne Bolesławy,
Przez których dzielność i stateczne sprawy,
Polska szeroko swych granic pomknęła
I serce wzięła.

W tejże jest liczbie on zakonnik święty,
Z cieniów klasztornych na królestwo wzięty;
Są dwa Leszkowie; jest król wzrostem mały
Ale mąż śmiały.

Widzę Jagiełła i dwu Kazimierzu
Dobrych tak w boju jako i w przymierzu;
Widzę i ciebie gwiaździe równym prawie,
Cny Władysławie.

To też jest Olbracht król serca wielkiego,
Tuż z Aleksandrem Zygmunt, za którego
Polska zakwitła, a po długim boju
Wytchła w pokoju.»

Pogłaskał Kochanowski Dorotę za to, że tak dobrze jego wiersze utkwiły w jej pamięci, i użył zapewne w tej chwili w duszy swojej najsłodszej pisarza pociechy, a zachęcony do dalszej rozmowy natężeniem i ciekawością, które się malowały w oczach dziewcząt i dumną radością ich matki, tak jeszcze powiedział:

«Dobrze co swoje rzeczy jako tako znacie, ależ to nasza Polska nie sama jedna na tym wielkim świecie, wszak prawda?»

«O! jest wiele innych krajów — odpowiedziały wszystkie razem.»

«Będę was się pytał o znaczniejsze; a naprzód wymieńcie te co naszej Rzeczypospolitej są bliższe, i mają z nią stósunki; te znać, rzecz najpotrzebniejsza; powiedzcie mi każdego miasto stołeczne, imię panującego, wiarę i znaczenie.»

«Naprzód na południe państwo Tureckie — odezwała się Ewa płonąc żywym rumieńcem — stolicą jego Carogród, po turecku Stambuł, a po dawnemu Konstantynopol. Panujący zowie się sułtanem czyli cesarzem, ma żon ile chce; dziś jest sułtanem Amurat III.; kraj ten bardzo piękny a nieszczęśliwy, bo w niewoli i prawie w pogaństwie zostaje, dawniej był chrześciański i miał chrześciańskich cesarzów, od lat stu trzydziestu zawojowany został przez Turków, którzy nie

wierzą w Jezusa Chrystusa, ale w fałszywego proroka, Mahometa. Mieszkańcy są tedy mahometańskiej czyli muzułmańskiej wiary; jest między niemi wielu dawnych chrześcian, którzy są bardzo uciemiężeni. Turcy stali się potężni i straszni; Wołochów, Mołdawian, Serbów i wiele innych ludów sobie shołdowali, ziemia święta, Betleem, Jerozolima, gdzie Zbawiciel nasz rodził się i umarł za nas, w ich są ręku, i Bóg jeden raczy wiedzieć, dokąd by już doszła ich władza, gdyby jej Polacy i Węgry nie wstrzymywali. — Tatarów, którzy także na południu są Polski, dziś już prawie do Turków liczyć należy, bo jednej są wiary i z niemi trzymają. Dawniej byli oni straszliwi dla Polski, dziś nieco upokorzeni dzielnością króla i rycerstwa naszego.»

Zadziwił się ojciec nad tem gładkiem opowiadaniem Ewy; nie przypominał sobie, żeby ją kiedy równie wymowną słyszał, mówiła nawet rzeczy o których on dotąd nie wspominał córkom; ale po chwili zastanowienia roześmiał się w duszy i pomyślał: «Niemasz mistrza nad miłość.» Nie wydając jednak domysłu swojego, z bojaźni zawstydzenia dziewczęcia, zapytał się jej jeszcze: «Czy niewie o jakiem wielkiem zwycięztwie które niedawno panowie chrześciańscy nad bisurmanami odnieśli?»

«Wiem, wiem — odpowiedziała Ewa — pan Filip mi o niem rozpowiadał, żałując, że tylko jeden Polak do tego tryumfu należał; było to gdzieś na morzu, przed trzynastą laty; chrześcianie tak pobili Turków, że im spalili trzysta kilkadziesiąt okrętów, zabili do trzydziestu tysięcy ludzi i zabrali ogromne skarby; byliby może dobili i samego Carogrodu, gdyby się nie byli pokłócili o łupy.»

«Widzicie, moje dzieci — przerwał tu Kochanowski — poganiec byłby już dziś wygnany z Europy, gdyby się nie była wkradła niezgoda o marne rzeczy pomiędzy chrześciańskich panów. Tak to niezgoda ludzka udaremnia największe łaski Opatrzności. Dziś Turczyn już się odgryzł po tak wielkiej klęsce, znowu prawej wierze grozić zaczyna, i bogdaj czy obrona tej wiary nie spoczywa na samych Polakach i ich królu. Obyśmy nie powtórzyli tak gorszącego jak tamci przykładu!... Ale dosyć o Turkach, o których za powrotem naszych kochanych podróżnych, dowiecie się jeszcze więcej; niech nam Ludwina teraz powie jakie jeszcze kraje leżą na południe i na zachód Polski z któremi także blizkie mamy stósunki?»

«Siedmiogród, Węgry, Czechy, Szląsk, margrabstwo Brandeburskie» — wyliczyła bez długiego namysłu, bo jakkolwiek w rzeczach świętych najbieglejsza, obejmowała z łatwością i świeckie; umysł jej wyższy, do zastanawiania się nawykły, przyjmował chętnie naukowe wiadomości, wreszcie w każdej

upatrzyć umiała szczegół stósowny do tego, czem żyła jej dusza.

«Powiedz że nam słów kilka o każdym z tych krajów?» ponowił ojciec.

«Siedmiogrodu nasz król był księciem dopókąd na tron Polski nie wstąpił — odpowiedziała — dziś, panuje tam synowiec jego Zygmunt. Kacerstwem zarażona jest ta nieszczęsna ziemia, ale nadzieja w miłosiernym Bogu, że za staranięm pobożnych Batorych wróci do prawego kościoła. — Z Węgrami niegdýś wspólnych miewaliśmy królów: Ludwika, ojca owej prawie świętej królowej Jadwigi, która całą Litwę Chrystusowi zniewoliła, Władysława, króla męczennika, bo zginął młody bijąc się z pogaństwem z rozkazu Ojca świętego. — Stolicą Węgier jest Budzyn. — Czechy jednego z nami słowiańskiego rodu, dobrymi bracmi nam się okazali, bo im winniśmy wiarę. I Węgry i Czechy dziś osobnego króla nie mają: cesarz Niemiecki, książe Rakuski, Rudolf drugi, jest oraz ich królem; są też mniej wolni niż byli dawniej i mniej od nas szczęśliwi. Szlązk do śmierci Krzywoustego był jednym krajem z Polską, a choć dziś osobných ma książąt idą oni od syna Krzywoustego i polskiemi się zowią; lud mówi po polsku i wiarę prawdziwą wyznaje. Margrabstwo Brandeburskie nie tyle szczęśliwe, kacerstwo tam okrutnie górę wzięło, a monarcha jego Jerzy Fryderyk, oraz książe Pruski i hołdownik Polski, pochodzi od Alberta niegdyś mistrza Krzyżaków, który — o czem zgroza wspominać — zrzucił suknią zakonną i żonę pojął!...»

«A na północy i na wschodzie Polski jakie są kraje, które nas obchodzić winny?»

«Szwecya i Moskwa. — Żoną dzisiejszego króla szweckiego, Jana Wazy, była nasza królewna Katarzyna Jagielonka, wielce pobożna pani; jej syn Zygmunt Waza będzie podobno panował nam kiedyś. Król Jan jest katolikiem, i radby jak mówią wszystkich swoich poddanych prawemu kościołowi przywrócić — bo Szwecya oderwała się od Rzymu, — ale mu się to nie bardzo udaje. — W carstwie Moskiewskiem, rozległym a barbarzyńskim kraju, po niedawnej a okropnej śmierci srogiego Iwana, panuje syn jego Fiedor. Stolica jego zowie się Moskwa, i od niej nazwisko ludu i kraju całego. Bitni oni są bardzo, wytrwali, ślepo swoim carom posłuszni; niedawno wybili się z pod jarzma Tatarów; nie trzymają się rzymskiego ale greckiego kościoła, nie zowią ich kacerzami ale odszczepieńcami. Przed kilkoma laty, w czasie naszej wojny z niemi głoszono, że car z całym narodem swoim chce wrócić na łono prawego kościoła; w tej nadziei Ojciec święty wstawił się za niemi u naszego króla o pokój, ale gdy zawarty został, ucichła zupełnie ta wieść pożądana.»

«Jaki jest jeszcze kraj na zachód Polski położony z którego mamy kupców, rzemieślników, i wiele rozmaitych rzeczy? — zapy.ał się Kochanowski Doroty.»

«Niemcy — odpowiedziała. — Zwane są Rzeszą, czyli zbiorem wielu państw. Cesarzem a razem naczelnikiem Rzeszy jest wspominany król Czeski i Węgierski, Rudolf. Cesarze Niemieccy noszą tytuł cesarzów Rzymskich, i mocno się trzymają prawego kościoła. Książęta Rzeszy poszli prawie wszyscy za nową nauką, mianowicie Sascy. Cesarzów obierają wolno, tak jak my królów naszych, z tą różnicą, że nie cała szlachta jak u nas, jeno książęta elektorowie.»

«Co mówią o dzisiejszym cesarzu Niemieckim?»

«Że oddaje się bardzo astrologii, alchemii, a zaniedbuje spraw państwa. Dla tego nie koniecznie go lubią Niemcy.»

«A Niemcy czem dziś głównie zajęci?»

«Kłótniami o wiarę: w Niemczech kacerstwo się urodziło i coraz bardziej się szerzy; kacerze piszą na katolików niestworzone rzeczy, i wszyscy mówią, że jeżeli Pan Bóg się nie zlituje, nie obejdzie się bez okropnej wojny.»

«Jakież są dalsze kraje do których my Polacy chętnie jeździmy, które i ja niemal wszystkie zwiedziłem i często wam o nich prawię?»

«Naprzód Francya — odezwała się Ewa. — W jej stolicy, w Paryżu bardzo sławna jest akademia; panuje tam dziś ów Henryk co go Polacy swoim królem obrali niewiem za co; nie szkoda, że nam królować nie chciał, bo jego Francuzy jeno nas obmawiali, a on sam rozpustny, słabego charakteru a przytem okrutny. W duchu katolik a przecież z kacerzami się łączy, i Bóg wie na jaki koniec mu przyjdzie. — Królowie Francuzcy uważają się za starszych synów kościoła.»

«A o Anglii kto mi powie?» zagadnął Kochanowski.

«Ja — zawołała Dorota: — jest to państwo zamorskie, lecz przez handel w stósunkach z Polską, gdyż potrzebuje naszego zboża, naszego drzewa i pieńki. — Panuje w niem białogłowa Elżbieta; pisuje często do naszego Miłościwego Pana i wielki ma dla niego szacunek. Od niej to niedawno przyjechał do nas poseł Herbert. Mądrą ją mianują, ale to szkoda, że prawie tyranka; niezważa ani na sejmy, ani na wolność ludu swojego. Mówią, że przepisuje nawet krój sukien jakie powinni nosić jej poddani; pacholiki dworscy biegają po ulicach miasta stołecznego Londynu, i obcinają gwałtem zbyt wysokie kołnierze osobom przechodzącym. Aż trudno temu wierzyć...«

«A co gorsza — przerwała ze smutkiem Ludwina — i ona i lud jej sprzyjają kacerstwu, katolicy srodze tam prześladowani; królowa Szkocka Marya Stuart, któraby mogła mieć prawo do korony, więziona jest najwięcej dla tego, że prawej

wiary opuścić nie chce; wróżą jej też, że niedługo koronę ziemską na męczeńską zamieni.»

«O Hiszpanii pamiętacie com wam rozpowiadał?» zapytał jeszcze ojciec.

«Pamiętamy — to państwo bardzo potężne, naród rycerski — odpowiedziała Dorota — i nasi panowie jeżdżą tam, żeby się w sztuce wojennej ćwiczyć. Dzisiejszy król Hiszpański, Filip drugi, jest podobno najbogatszym monarchą na świecie, bo ma w drugiej części świata, w Ameryce — zeszłego wieku odkrytej — pełne złota kraje; jest on gorliwym opiekunem katolickiej wiary, lecz niestety! okrutny, chciwy, może jej więcej zaszkodzi niż pomoże.»

«Czy wiecie jaki kraj temi czasy Hiszpania zyskała, a jaki straciła?»

«Zyskała Portugalią, straciła Niderlandy — mówiła jeszcze Dorota. — Król Portugalski Sebastyan zginął niedawnemi czasy w bitwie z afrykańskiemi Muzułmanami, król Filip mianując się — prawem mocniejszego — najbliższym jego dziedzicem, ogłosił się królem Portugalii, i przyłączył ją do Hiszpanii. Biedna Portugalia musi gorzko opłakiwać utraconą niepodległość, bo to wielkie dla kraju nieszczęście stracić niepodległość.»

«Wielkie i bardzo wielkie, moje dzieci — powtórzył Kochanowski — Pan Bóg karze tym sposobem narody za długie i ciężkie grzechy, osobliwie za swawolę, zbytki, niesprawiedliwość, gnuśność i bezrząd. — Ale powiedzcież mi jakim sposobem Niderlandy oderwały się od Hiszpanii?»

«Znudzone ciężkiem jarzmem króla Filipa zrzuciły je z siebie parę lat temu, obrawszy sobie naczelnika, Wilhelma, księcia Oranii.»

«Cóż im najwięcej pomogło do spełnienia tak wielkiego dzieła.»

«Zgoda, wytrwałość i posłuszeństwo — odezwała się Ludwina — i napisali na swoim herbie te słowa: Concordia res parvae crescunt (przez zgodę małe rzeczy rosną).»

«O moja ty pobożna dzieweczko — zawołał z uczuciem Kochanowski — módlże się codzień żeby i nasza Rzeczpospolita przybrała i spełniała to godło; tymczasem zaś powiedz nam jeszcze o kraju, o którym wiem co myślisz najczęściej i najchętniej... Prawda też co i stryj Piotr tam ciągle mieszka...»

«Włochy — odrzekła z lubym uśmiechem — to państwo złożone z kilku, — a między innemi z Wenetów, handlowego i rycerskiego ludu nad morzem — jest w moich oczach najszczęśliwsze, gdyż całe katolickie, a w jego stolicy, w starożytnym Rzymie, jest stolica kościoła, mieszkanie zastępcy Zbawiciela naszego, Ojca świętego, papieża. Dzisiejszy zowie się Grzegorz XIII. Panuje od lat dwunastu; choć jego państwo

ziemskie niewielkie, wyższy on od wszystkich królów i cesarzy. Gorliwy jest bardzo o rozszerzanie wiary prawdziwej, wysyła apostołów swoich w dalekie nieznane dotąd a pogańskie kraje, do Indyi, do Japonii; szkody jakie kacerze kościołowi prawemu, owej matce naszej zadali, Ojciec święty wraz z Ojcami Jezuitami stara się z innej strony nagrodzić, i Bóg miłosierny pomagać mu raczy.»

Na tych słowach skończyła się uczona rozmowa Kochanowskiego z córkami; tyle się przekonawszy o ich pamięci i uwadze, już nie wypytywał się więcej, ani też tego dnia nic nowego udzielić im nie chciał. Wyraził im tylko ukontentowanie swoje, przyrzekł każdej gościniec z jarmarku i uczynił im uwagę: «o ile Polskę zwać należało szczęśliwszą od tylu innych krajów; w wieku sporów i walk o wiarę, ona była prawie zupełnie spokojna z tego względu, i zdawało się, że bez krwi wylewu, mimo chwilowego zachwiania się — za czasów nieboszczyka króla — zostanie już na zawsze przy prawowiernym kościele.» — Kochanowska zaś zstępując poważnie ze schodów, i zasiadając do porzuconej przez parę godzin roboty, nie mogła uciszyć w sobie coraz silniejszej dumy, iż tak mądre miała córki; żałowała tego jedynie, że pan brat, że pan rotmistrz nie byli obecnymi tej rozmowie, i z tej strony wcale jej dziewcząt nie znali. — W rzeczy samej, w całem sąsiedztwie Czarnolesia żadna szlachcianka tego wszystkiego nie umiała; równych wiadomości chyba w domach pańskich, senatorskich, szukać wtedy u kobiet należało. — Panny dzisiejsze nad któremi od pieluch rodzice i nauczyciele ślęczą, które dnie całe nad naukami trawią, zapewne rozśmieją się z owej próżności macierzyńskiej i z owej mniemanej mądrości panien Kochanowskich, byłoby bowiem ciężkim grzechem wątpić na chwilę, iż każda z nich wie na palcach to, o czem tu była mowa, i każda o stanie dzisiejszym ojczyzny swojej i wiary, o tem co się dziś na świecie, w każdym kraju dzieje, wie nierównie lepiej i dokładniej, niż one wiedzieć mogły to, co za ich czasów się działo. — Dla lepszego jednak przekonania się o tej swojej uczoności, niech sobie podobne i zastósowane do obecnej chwili zadadzą pytania i odpowiedzi ułożą. Badanie takowe nigdy nie zawadzi.

ROZDZIAŁ XX.

Tak rość, mały Michniku, jakobyś mógł sławnych
Przodków swych dorość, onych Radziwiłów dawnych.
Abyś nie tylko imię i bogate włości
Brał od nich, lecz dziedziczył w męztwie i w dzielności;
. . . .
Abyś u swych był wdzięcznym i miłym w pokoju
A pohańcom zaś srogi, i straszliwy w boju.

Księga II. pieśń 29.

Już czerwiec się kończył; doroczne święto Sobótek i imieniny Kochanowskiego odbyły się przy dosyć licznym zjeździe, zbliżało się Nawiedzenie Matki Boskiej, dzień na który Ludwina miała sobie przyrzeczone rozpoczęcie nowicyatu. Pani Kasprowa Kochanowska zajęta jeszcze ostatecznem urządzeniem majątku dla jedynaka, i ciągle słaba, nie mogła jechać z synowicą do Sandomierza, by wraz z nią oblec suknię zakonną; ojciec przeto odwieźć ją był obiecał, ale im bardziej ten dzień stanowczy się zbliżał, tem mniej o podróży mówiono, rodzice z żalu, córka przez względność dla nich. Lecz, że wtedy powaga słowa ojcowskiego była wielka, a starsi najwięcej na prawdzie i na stałości panowanie swoje i władzę domową gruntowali, rodzice oboje — jakkolwiek z bólem serca — postanowili pomówić otwarcie z córką, gdyby tego pragnęła koniecznie, spełnić natychmiast uczynioną obietnicę, gdyby się zaś uprosić dała, zatrzymać ją jeszcze parę miesięcy.

Nie tyle własnej chęci — bo nie lubił Kochanowski zmiany raz postanowionych układów — ile słabości macierzyńskiej folgował w tej okoliczności. Jego Hanna acz rzetelnie pobożnej a przeto mężnej i zgadzającej się duszy, nie mogła przemódz tego na sobie, żeby rozpocząć sama, dobrowolnie rozdzielenie się z dziatkami. — Znają dobrze matki jaka to uciecha, jaki tryumf dla nich, mieć jeszcze w wyłącznem posiadaniu wszystkie dzieci swoje, panować nad niemi bez podziału, i módz na każdą chwilę zebrać je koło siebie jak kokosz zbiera pisklęta

14*

swoje, chlubić się niemi, pieścić, osłaniać je. Prócz tego wspólnego wszystkim matkom uczucia, szczęśliwa Kochanowska nie utraciła dotąd żadnego dziecięcia, wszystkie wykarmiła sama i nigdy od żadnego rozłączoną nie była; nigdy jeszcze dnia takiego nie spędziła, żeby na każdej córce z osobna i na wszystkich razem nie spoczęło jej baczne oko, nigdy nocy takiej nie pamiętała, w którejby swoją ręką nie okryła, nie otuliła każdej, nie słuchała czy spi, jak spi? nigdy takiego poranku nie miała żeby każdej nie wydzieliła pracy, nie zarządziła — że tak powiem — losem całego jej dnia; zgoła, była do tej pory wszechwładną królową tego prawdziwego narodu swojego.

Niewiem tedy czy znalazłaby się tyle nieczuła albo tyle doskonała matka — bo ostateczności często się tykają — któraby za złe wzięła naszej Kochanowskiej, ów wstręt do rozerwania, nawet dla Boga, swego macierzystego wieńca, któraby nie wtórowała jej słowom do męża: «Tak mi słodko — mówiła mu — mieć je wszystkie koło siebie; pozwólcie niech tak zostaną dopokąd się da; skoro mi pan rotmistrz Ewulkę zabierze, oddam natychmiast Ludwinę i razem je odpłaczę, w moim stanie, unikać należy ile możności rozkwilania się i utrapienia; mogłabym wam jakiego kordyacznego chłopaka urodzić... Jać wiem, że nasza święta w klasztorze bezpieczniejszą i świętszą będzie niż u nas, ale już ja na to patrzyć nie będę, już wszelkie prawo do niej utracę. Kiedyć ją Panu Bogu oddaję z serca na całe życie, wszak nie grzechem zatrzymać ją choć dwa miesiące? A właśnie tak mi jest potrzebna! Ewa już nie ta co była, już ona połową ducha swego w Studzienicy; Dorota jeszcze niewprawna, a wszystko by chciała swoją głową robić; tyle zaś w tym czasie kłopotu w domu z wyprawą, na wsi z choremi.»

Co do Ludwiny samej, łatwiej przyszło otrzymać od niej pożądaną zwłokę niż rodzice sądzili. Jakkolwiek bardzo pilno jej już było rzucić świat, żeby się oddać bez żadnej zapory służbie Bożej, jakkolwiek pragnęła rozpocząć ów żywot klasztorny, cichy, jednostajny, żywot bez wczora i bez jutra, raczej bez żalu za wczora, bez zachodu na jutro, żywot błogosławiony, którego opisy zachwycające w księgach świętych czytała, o którym — jak wiemy — ciągle marzyła, przecież, za pierwszem objawieniem chęci ojca i matki uległa im bez żadnego szemrania, i zostać z niemi przyrzekła, dopókąd będą chcieli, dziwiąc się tylko, że ją prawie prosili, kiedy rozkazać mogli. — Ludwiny pobożność choć bardzo wzniesiona i niepospolita była przecież prosta, gruntem jej była pokora i uległość; znała ona i pamiętała te słowa ś. Jadwigi księżnej Polskiej: «Nic nie czyń, córko, bez dozwolenia starszych, bo wielką ma zapłatę u Boga posłuszeństwo.» Nie tam przeto

widziała wolą Boga, gdzie ją własna jej wola ciągnęła, ale tam gdzie ją prowadzili przełożeni; najlepszy uczynek pewną była, że na jeszcze doskonalszy zamieni, skoro go odstąpi z uszanowania dla starszych, z miłości bliźniego. — I dnia tego kiedy żądaniu rodziców uległa, i zwlekła chwilę upragnionej szczęśliwości, nikt nie ujrzał chmury na pięknem jej czole, ani łzy w błękitnem oku; nieco dłużej wieczorem pod swoją jabłonią klęczała, a kiedy za powrotem matka spytała jej się czemby jej mogła wynagrodzić doznany zawód? ona rzuciła jej się do nóg prosząc, żeby jej wolno było godziną poźniej się kłaść dla modlenia się, a w tygodniu dzień jeden więcej pościć.

Kiedy Kochanowska ze skrytem uwielbieniem, ale przecież nie bez upomnień i uwag ulegała nabożnej prośbie córki, Ewa z Dorotą wbiegły do izby całe zadyszane z oznajmieniem, iż wracając ze wsi, gdzie do chorych chodziły z lekarstwami, spotkały pod Bożą męką przy drodze pielgrzyma. Usiadł sobie na kamieniu bardzo znużony, i powiedział im, że wraca z ziemi świętej, a dalej dla słabości iść nie może. One mu obiecały przynieść posiłek jaki, a teraz proszą rodziców o nocleg dla niego. — Bo wiedzieć trzeba, że gościnnym obyczajem ojców naszych była w Czarnolesie obok izby pana Łukasza Gupolskiego izdebka ogrzana w zimie, chłodna w lecie, gdzie na świeżej słomie zmęczony przechodzień mógł wygodnie noc przepędzić i odpocząć strudzonym członkom. — «Dziwny to jakiś pielgrzym — mówiły jeszcze dziewczęta — suknia jego szara bagazyowa mocno wytarta, kostur w ręku, sznur gruby zamiast pasa, przecież jakby jakieś państwo z oczu mu patrzy.» — Kochanowski który wszedł był do izby na te ostatnie słowa, usłyszawszy je zawołał: «O! pójść ja muszę do tego pielgrzyma, a wy przynieście co tchu dobrego wina.» Jakoż wziąwszy czapkę wyszedł z pospiechem. Żona i córki pobiegły za nim domyślając się czegoś; nawet Ludwina nie została na ten raz w domu, gdyż słowa «pielgrzym, i ziemia święta» miały dla niej niepojęty urok.

Nieznajomy powstał choć z trudnością, za ich zbliżeniem się, a Kochanowski ledwie nań spojrzał, rzucił mu się na szyję, i zawołał: «Książe Sierotka.» Zdumiały kobiety na ten widok, lecz wnet zrozumiały rzecz całą; znużony a nieco dziwny pielgrzym, był to ów sam, którego odwiedziny zapowiedział na pół w swoim liście, pan Kochanowski dworzanin królewski: był to Krzystof Mikołaj Radziwiłł, książe na Nieświeżu i Ołyce, wojewoda Wileński, Mikołaja Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiej syn, Sierotką zwany, dla tego, że w czasie godów weselnych Zygmunta Augusta z Katarzyną Austryaczką, zostawiony był od matki w królewskich pokojach; król idąc do sypialni swojej zobaczywszy uśpione na ławie czteroletnie dziecię i same, spytał się: «Cóż to za sierotka?» i ten smutny

przydomek mu został. — Pełen wielkich nadziei i rychłych przymiotów, wychowany był w nauce kalwińskiej którą ojciec wyznawał, ale za staraniem złotoustego Skargi, do kościoła Rzymskiego przeszedł, i wnet okazał się gorliwym katolikiem. W roku 1575 kończąc lat dwadzieścia sześć, potargawszy zbytkiem zdrowie od natury wzięte całe i dobre, wpadł w ciężką chorobę okrutnych boleści głowy i innych przypadków pełną. W tej chorobie ślubował, iż skoro go Bóg dobrotliwy powróci do pierwszego zdrowia, on grób Zbawiciela w Jerozolimie nawiedzi, czasu jednak pewnego temu przedsięwzięciu nie postanawiając. — Długo, dotkliwe cierpienia, podróże do cieplic niemieckich, dalej, wojna Moskiewska w której pułkiem własnego zaciągu z wielkiem męztwem dowodził, przeszkodą mu były. Nareszcie gdy pod Połockiem ciężko ugodzony kulą w głowę, i zrzucony z konia został, w ponowionem niebezpieczeństwie życia, ponowił ślub dawny, a skoro pokój zawarto, napisał testament, urządził wszystko w domu swoim jak by już nigdy się nie spodziewał wrócić do ojczyzny, a pożegnawszy się z królem Stefanem w Grodnie, 19. września 1582. roku wyruszył z Nieświeża. — Wiedziała o tej jego drodze cała Litwa i Korona, wiedział lepiej od wielu Jan Kochanowski. Rodzina Radziwiłłów wówczas tyle znakomita i zasłużona, zaszczycała poetę wysokim szacunkiem, a on jej się odwdzięczał wierszami, które pewno równie długo jak Radziwiłłowie żyć będą; książe Sierotka wyrósł prawie w jego oczach: on to pieszcząc się z jego imieniem Mikołaja przezwał go jeszcze w dzieciństwie Michnikiem, pięknym rymem drobny jego wiek wsławił, nie dziw więc, iż książe pamiętny tych lubych wspomnień, jadąc z Krakowa do Grodna oddalił się od gościńca i od służby, a jakby dopełniając ostatku ślubu swojego, zdjął bogate szaty, przywdział zszarzane pielgrzymskie, by się ukazać dawnemu przyjacielowi przy życiu, i w owej szacownej sukni, w której miał zamiar ledz kiedyś w grobie. Uszedłszy blizko milę pieszo, sam, z tłomoczkiem pod ramieniem, a jeszcze nieco osłabiony po odbytej we Włoszech chorobie, zmęczył się nadzwyczajnie, i może by już zajść do dworu nie był potrafił, gdyby kielich wina, który mu Ewa podała nie postawił go na nogi. —

Radość Kochanowskiego na widok zacnego i tak ciekawego gościa była wielka, niewiem jednak czy wyrównywała troskliwości samej Kochanowskiej o zdrowie jego. Znikły z jej oczu tytuły, miliony, zaszyty możnego Radziwiłła, widziała tylko chorego pielgrzyma. Z należytem przeto uszanowaniem, ale bez owej mimowolnej trwogi, jaką w niej zwykle wielcy panowie i senatorowie wzbudzali, wzięła księcia wojewodę pod ramię, i wraz z mężem poprowadziła go do domu; tam, sporządziwszy mu na prędce lekką a posilną wieczerzę, nazno-

siła sama pościeli do bawialnej komnaty — gdzie podobno dotąd nikt nigdy nie spał — usłała mu wygodne łoże, zmusiła żeby się wcześnie położył, nie dozwalając mężowi trudzić go by najmniejszem wypytywaniem o jego podróż. «Jutro, jutro — mówiła — jeźli Wasza książęca Miłość czuć się lepiej będziesz, to nam może co o ziemi świętej opowiedzieć raczysz; mam córkę któraby zawsze podobnych opowiadań słuchać rada, ale dziś, zdrowie pierwsze. Bronże wielki Boże, aby tak świętą a daleką odbywszy pielgrzymkę, w własnym kraju, i z drogi do Czarnolasu przyszło Waszej Miłości zachorzeć.» — I nastawiała jeszcze koło niego różnych wódek, kordyałów, napojów, żeby ciało natarł jednemi, drugie wypił, to dla pokrzepienia sił, to ku ochłodzie, i nie odeszła póki nie przyrzekł, że nazajutrz użyje łaźni, i że gdyby w nocy czego potrzebował zawoła Nastki, która w przyległej izdebce całą noc czuwać będzie.

Przyjął z wdzięcznością książe Sierotka te wszystkie życzliwej przyjaźni oznaki, i usnął smaczno ze słodkiem przekonaniem, że już jest na ziemi ojczystej, kiedy tak uprzejmej gościnności doświadcza.

Nazajutrz wstał zdrów prawie, a użyta łaźnia z aromatycznemi nacieraniami i dobre śniadanie nadały mu zupełną czerstwość. Dziękując serdecznie gospodarstwu chwalił sobie, że już oddawna tyle rzeźkim się nie czuł; zasiadł z całą rodziną w ganku, pieścił się z Orszulką, żartował z Ewą i z Dorotą, rozmawiał świątobliwie z Ludwiną, a wciągnięty nieznacznie trafnemi pytaniami obojga Kochanowskich, nim przyjechała kolebka jego ze służbą — stósownie do rozkazów jakie był wydał odchodząc — opowiedział im w krótkości całą pielgrzymkę swoją.

To opowiadanie było prawie w tym sposobie:

«Nikt lepiej nie wie od was, panie wojski, gdyż znacie mnie z dzieciństwa, ile zmarnować potrafiłem darów od miłosiernego Boga mi danych, i jakiej doznałem od niego łaski. Wybawiony od dusznej i cielesnej śmierci umyśliłem, lat temu dziewięć, nabożną drogą do ziemi świętej i do grobu Zbawiciela do reszty złe w sobie ukrócić, a gorętszą miłością ku Panu Jezusowi się zapalić. Przeszkód doznałem nie mało, znaleźli się też i tacy, co mnie od mego zamiaru odmawiali strasząc trudnościami na ziemi i na morzu, niewolą Turecką i najazdami. Jam się niczego nie uląkł i wyjechałem z Nieświeża blizko dwa lata temu, z liczną dosyć służbą; ze znaczniejszych a wam znanych byli ze mną Michał Konarski, Jędrzej Skorulski, Jerzy Kos, Piotr Bylina, Włoch, doktor, Abraham Baro de Dona, którego wziąłem dla biegłości w różnych językach, i mój poczciwy kucharz Jeremi.

«W dzień Niepokalanego poczęcia Najświętszej Panny

której szczególnej opiece oddałem tę peregrynacyą moją, stanąłem w Wenecyi, w owem osobliwem mieście, gdzie ulicami są kanały, a wozami łodzie. Tam stanąwszy w klasztorze ś. Franciszka, rozmawiałem często z gwardyanem, Jeremim de Boessa, który dwanaście lat w ziemi świętej mieszkał, i bardzom wiele się od niego nauczył. Jadąc do obcego kraju lepiej daleko rozmówić się z jednym rzetelnym człowiekiem co w nim był i mieszkał, niż przeczytać dziesięć ksiąg. W Wenecyi bawiłem nad zamiar długo, a to najwięcej z powodu niesposobnego zdrowia; nareszcie otrzymawszy od Ojca świętego pozwolenie i błogosławieństwo, dnia siedmnastego kwietnia 1583. roku wsiadłem w imię Boże na okręt. Gdy lekki wiatr powiewał, i budynek nie koniecznie się bujał prawie bez mdłości i cierpień jechałem, i na drugi dzień minęliśmy szczęśliwie odnogę Tergestyńską. Zastanowiwszy się, dziwnać to rzecz i bardzo straszna bujać tak na kilku zbitych deskach między bezdennem morzem a wysokiem niebem. Jak mi Bóg miły, wolę iść na wojnę, tam przynajmniej człowiek stąpa śmiało. — Koło wyspy Kandyi nagle wiatr gwałtowny się zerwał i okręt w wielkiem był niebezpieczeństwie; liny i powrozy się rwały, kotwica przepadła, ale uciekliśmy się wszyscy pod Matki Najświętszej obronę, wołaliśmy wielkim głosem do tej gwiazdy morskiej i nastąpiła cisza, a wnet ujrzeliśmy Cypr, gdzieśmy ostatnich dni maja wysiedli i wypoczęli *nieco* z wielką moją pociechą; dziwnie miły wydawał mi się stały ląd, po owem długiem kołysaniu się na niepewnej wodzie.

«W Cyprze nająłem okręt nie wielki, który tam karamuzem zowią, już jeno dla siebie i dla mojej służby; patronem jego czyli sprawcą był Arab, ale nie Muzułman, dobry katolik; pierwszego czerwca, o godzinie wtórej w nocy odbił od brzegu, i ku południowi, to jest ku ziemi świętej się obrócił; gdy mi to oświadczył, zdało mi się jakobym dopiero wtedy prawdziwie peregrynacyą moją rozpoczął, i nie tęskniłem sobie na wodzie tyle co z początku, chociaż nie zatrzymał się tak rychło. Minęliśmy bowiem Cezareę, Ptolemaidę, Tyr, Sydon, owe wszystkie miejsca których samo nazwanie świętą pamięć obudza, i nie wysiedliśmy aż w Tripoli. Tam widziałem pierwszy raz owe przesławne cedry Libanowe i miałem ochotę pokłonić im się, boć one są jakby wybrane między drzewami, takie częste jest o nich w Pismie świętem wspomnienie, i spór jest dotąd nie roztrzygnięty czy nie z cedru był krzyż Zbawiciela?... Wydały mi się wspanialsze od wszelkich drzew które widziałem, nieco podobne do naszych modrzewiów, jeno gęściejsze, ciemniejszej zieloności i nie gubią igieł swoich na zimę.

«Z Tripoli opatrzywszy się w kilkunastu zbrojnych Janczarów — gdyż tam drogi bardzo niepewne — puściłem się lądem

a przebywszy Liban, ujrzałem Damaszek, miasto rozłożone na pięknej równinie u samej krawędzi góry, dziwnie nadobne i w oko wpadające; wielu rozumie, co Adam w tem miejscu stworzony został, i snadno temu uwierzyć iż Pan Bóg obrał je na raj ziemski: niewiem czy już gdzie piękniej być może, chyba w niebie. Lecz w owym cudnym Damaszku źli ludzie mieszkają, i gdyby nie Janczarowie co nas obronili, byłbym rozszarpany i ze służbą moją.

«Pragnąc jak dusznego zbawienia ujrzeć co prędzej Jerozolimę, z Damaszku ruszyłem konno, najprostszą drogą, pojazdu, choć mnie na to namawiano używać nie chcąc; mimo słabości zdrowia i pospiechu nie opuściłem żadnego miejsca wspominanego w starym i w nowym zakonie, nawiedzałem każde; miałem wielce miłą i spokojną nad spodziw drogę, a spotykałem wiele karawanserów czyli gromad kupieckich z wozami, końmi i wielbłądami. Z niesłychanem wzruszeniem serca przyszedłem nad Jordan, nad ową rzekę, której wody omywały niegdyś święte ciało Zbawiciela naszego, i były pierwszemi wodami chrztu; naczerpałem sobie jej dużą flaszę; mętna jest Jordanowa woda, ale nie psuje się. Niemniej błogo było mi patrzyć na jezioro Tyberyady, po którem żeglował Pan nasz; za niem zaczyna się Galilea, ojczyzna Chrystusowa, kraj dosyć wesoły, żyzny i pachnący; rozmaryn rośnie tam w polu jak tu jałowiec, chodować go nie trzeba, a niektóry w spore drzewka wyrasta. Widziałem studnię starego patryarchy Jakóba, cofnąłem się pamięcią na jakie kilkadziesiąt wieków; byłem w Betsaidzie, miejscu rodzinnem ś. Piotra. — Niedaleko miasta Sichar, w granicach Samaryi spotkaliśmy sandżaka, a raczej księcia tureckiego, który wiódł z sobą stu Mameluków mężnych i bitnych. Nie było tam do rzeczy srożyć wąsa i dobywać korda, choć była niezmyślona ochota, bo nam hardo się stawił; zsiadłem przeto z konia i z całą służbą, a zapominając na ten raz iżem Radziwiłł i lepszy książe niżeli on, pozdrowiłem go zwyczajem pielgrzymów chyląc głowę bardzo nizko. Ta pokora ubłagała sandżaka, i nie zrobił nam przecie nic złego; opłacić się jednak musiałem: kazał sobie dać po dwa cekiny od każdej głowy, a cekin znaczy dwa nasze złote. — Ziemia Judzka właściwa, w którą wjechaliśmy wtedy, podobała mi się dosyć z wejrzenia; są w niej liczne ślady dawnej uprawy i żyzności, mury winnic trwają jeszcze, owoców wiele rośnie same z siebie, mianowicie daktyl, cięży jednak na niej przepowiadane tyle razy spustoszenie... Ależ nareszcie doczekałem się chwili tyle pożądanej: dnia dwudziestego piątego czerwca 1583. roku, ujrzeliśmy miasto święte nad świętemi, Jerozolimę. Padliśmy natychmiast wszyscy na kolana bijąc twarzą ziemię, a według zalecenia stolicy apostolskiej, każdy z nas odmówił na głos jedno Ojcze

nasz i jedno Zdrowaś Marya. Na półtory godziny przed zachodem słońca wstąpiliśmy w święte mury.

«Dopieroż tam zaczęły się nabożne stacye nasze, i pokłony Zbawicielowi; miejsca one, na których były ślady świętych nóg jego, odprawa przedziwna zbawienia naszego, męki i śmierci pamiątki, całowałem wszystkie i oblewałem łzami. Kiedym przyszedł tam gdzie ukrzyżowany został Pan nasz, Jezus Chrystus, upadłem, i nieśmiałem podnieść oczu, pewny, że go ujrzę na krzyżu, a niewiedziałem sam czy mnie przejmuje żal srogi nad cierpieniem Jego, czyli też wdzięczna radość, że je podjąć raczył, aby nam niebo otworzyć... Z miejsc, które ewangelia święta mianuje, tak w Jerozolimie jak w okolicach, nie opuściłem żadnego, wszystkiem oglądał, ale te najbardziej które się cudem jakim albo sprawą Zbawiciela wsławiły; wszystkiem zaś obchodził nie jazdą ale pieszo. Widziałem w Betleem miejsce gdzie się urodziło Boskie Dzieciątko a to miejsce które Pan Bóg sobie obrać raczył na ten cud miłosierdzia i mnie dziwnie się upodobało; zbudowany tam jest kościół i kaplica wielkiej piękności. — Byłem na górze Tabor, gdzie się stało Przemienienie Pańskie, byłem i na tej puszczy gdzie Pan Chrystus lud siedmiorgiem chleba nakarmił. Największą miałem trudność w dostaniu się do wieczernika Pańskiego, gdyż poganie Turcy z tej świętej gospody zrobili meczet, ale przecież wszedłem i mogłem dziękować pokornie Bogu za ten dar cudowny, na tem samem miejscu gdzie go postanowił. W kościele grobu Pańskiego, czciłem owe kamienie między któremi Boskie ciało leżało; widząc okropne zniszczenie tej przezacnej świątyni zobowiązałem się za siebie i za następców moich, płacić wiecznemi czasy corocznie z sumy złożonej w Wenecyi, sto dwadzieścia pięć czerwonych złotych; dałem także dwa wielkie kielichy szczerozłote, jeden tu, drugi do Betleem, szczęśliwy, iż czemkolwiek przyłożyć się będę mógł do uczczenia i przechowania tych najdroższych pamiątek, które widząc w srogiem zaniedbaniu, serce się kraje w człowieku... O! na zupełne tych miejsc świętych podźwignienie, trzaby znowu drugiej Heleny cesarzowej, która w ziemi świętej do trzechset kościołów niegdyś postawiła, trzaby nowej a pomyślnej wojny krzyżowej, nowego Godfreda Bulioniusza... Widziałem też w Jerozolimie grób jego i Baldwina; przypominałem sobie Tassa i brata waszego który tak pięknie go przekłada, a przez pamięć owego króla rycerza i towarzyszów jego, zapragnąłem też i ja być uczynionym rycerzem grobu Pańskiego. Pasował mnie i sześciu tych co ze mną byli, Ojciec gwardyan Angelus Stella; pozwolił mi nosić krzyż i herby ś. Jerzego, patrona rycerzy i mianował mnie prowizorem generalnym. — Przed ostatecznem rzuceniem Jerozolimy, poszliśmy na puszczę gdzie ś. Jan Chrzciciel mieszkał,

i znużeni całodzienną podróżą, prosiliśmy o gościnność w klasztorze ś. Sabby, niedaleko ztamtąd będącym; przyjęli nas zakonnicy wielce uprzejmie, i zabawne miałem w tym klasztorze zdarzenie. Kiedyśmy siedzieli przy stole jedząc skromną ale smaczną strawę, jam rozmawiał z memi sługami po polsku; aż tu jeden z mnichów odezwał się tym językiem wcale dobrze, i opowiadać nam zaczął, że przed laty bywał w Litwie; pytał się o różnych panów, a między innemi o księcia Radziwiłła co to go Sierotką zwano, którego znał młodzieniaszkiem; « ale Wasza Miłość — dodał — obracając się ku mnie, zapewne tam tak wysokich nie masz znajomości.» — Jam mu odpowiadał na wszystko i na to odpowiedziałem, nie wydając się wcale, cieszyło mnie bowiem kiedy mnie za prostego człowieka brano; słodko mi było uniżać się na tej ziemi, gdzie Zbawiciel nasz tak się uniżył.

«Ósmego lipca, zaczęliśmy się wybierać ostatecznie z Jerozolimy, lubo mi żal było rzucić owe miasto na zawsze. Poszłem sam do kadego, żeby mi przydał straż na drogę; choć Turek, okazał się dobry człowiek, i co rzecz osobliwa nie łakomy. Bo trzeba wiedzieć, że na owych wszystkich świętych miejscach, jakby dla pamięci, że w ręku są pogan, wszędzie srodze okupować się trzeba. — Nająwszy muły i osły wyjechałem dziewiątego lipca z Jerozolimy; uwoziłem z sobą drogie pamiątki i relikwie, i spory kawałek słupu porfirowego przy którym Pan nasz Jezus Chrystus biczowany był; własną ręką udało mi się go ułupać. Nie brakło nam przez długi czas miejsc świętych do nawiedzenia po drodze; byliśmy w Emaus, w Jope, i jeszcze w kilku. W Jope, pamiętam, miły traf mi się nadarzył. Spotkałem biskupa katolickiego, któremu Turcy zagrabili wiezione z Egiptu różne drogie rzeczy; bardzo rozpaczał nieborak; jam je zakupił potajemnie wszystkie od Turków, i kazałem mu oddać, nic mu nie powiadając zkąd; on też sobie wystawił, że pogan sumienie choć raz ruszyło, i jam go zostawił w tym błędzie. — Z Jope wyjechawszy bawiłem kilka dni w Tripoli, nagradzając sobie pierwszy krótki pobyt w tem mieście; trzydziestego lipca nająwszy dżermę, statek dosyć duży, wziąłem z soba Janczara, Achmeta, który dobrze słowiańskie języki umiał, i popłynąłem do Egiptu. Naprzód, dobiliśmy do Cypru, gdzie miło mi było znowu się znaleźć i wypocząć; tym razem zajęła mnie mocno na owej wyspie uprawa bawełny, i bardzo mi zasmakowały wina tameczne czerwone, szkoda jeno, że zbyt tęgie, nie można je pić do woli. — Z Cypru płynąc do Damiety, doznaliśmy zupełnej ciszy morskiej; jest to rzecz prawie równie okropna jak burza, zdaje ci się jakoby okręt twój wrósł w morze, jakoby wszystko koło ciebie skamieniało, umarło, i ty tak skamienieć i umrzeć będziesz musiał. — Za gorącemi modłami naszemi powstała

z martwych natura, rozdął żagle wiatr pożądany, i ósmego sierpnia wpłynęliśmy we wrota Nilu, a w godzinę później w przystań Damiety. Ztamtąd mniejszą dżermą puściliśmy się Nilem do Kairu. Nieustannej przez tę drogę musieliśmy używać baczności, gdyż pełno tam jest rozbójników nurków, którzy wyskoczywszy z pod wody niespodzianie napadają przejeżdżających, odbierając im chudobę a często i życie. Tak są wprawni ci łotrowie, iż po kilka godzin pod wodą wytrwać mogą. Długo przed Kairem ujrzeliśmy owe sławne piramidy Egipskie, dawnych żydów — jak mówią niektórzy — ciężka i opłakana robota. Skorośmy przylądowali do miasta, Turcy mytnicy rzucili się na nas, myśląc, że towary mamy; między niemi był żyd; skoro usłyszał moję służbę mówiącą między sobą, zagadał do nich po polsku: odkryło się, że jest rodem z Chełmna, że dziwnym sposobem się tu dostał i zamieszkał; i pókim tylko bawił w Kairze służył mi gorliwie a natrętnie, jak to i nasze żydki umieją. — Z porady konsula Francuzkiego, męża wielce zacnego, nająłem sobie w Kairze gospodę i pomieszkałem czas jakiś. To miasto większe jest trzy razy od Paryża, lecz nie tak porządnie osadzone i murowane; powiadali mi jednak, że ma domów do dwóch kroć sto tysięcy, a samych meczetów blizko siedm tysięcy, a samych żydów półtora miliona. Krajowcy Egipcyanie są oracze, gospodarze i rzemieślnicy, Turcy urzędnicy, żydzi i murzyni kupcy, a Arabowie rozbójnicy. Murzynów atoli mają za najgorszych, potomstwo to Chamowe bez wątpliwości żadnej; tak są okrutni, źli i zepsuci i tak nieufni względem siebie, że mąż żony, pan sługi na noc zamyka, bojąc się być od nich zabitym, a ojciec z dorosłemi synami jeno na ulicy rozmawia w dom ich nie wpuszczając.

«Z owej wielkiej ludności Egipskiej ledwie trzecia część ma zdrowe oczy; reszta wszystka choruje i prawie ślepa, a to dla wielkiego gorąca i kurzu. Okropne, niesłychane tam panują upały; wzdychałem za naszemi Litewskiemi mrozami. We dnie piasek tak bywa rozpalony, iżem ja choć w trzewikach, ledwie przez pacierz wytrwać mógł ogniu takiemu, krajowcy zaś bosemi nogami chodzą. Ośm tysięcy wielbłądów, każdy z dwiema beczkami skórzanemi, wnosi codzień wodę do Kairu; czego ludzie nie spotrzebują leją na ulice, ale to mało co wielkiemu kurzowi zapobiega. — Przecież ta kraina żywności jest pełna; winna to dobrodziejstwom Nilu: owa rzeka oczywistym jest dowodem opatrzności Boskiej i przemysłu ludzkiego; napatrzyć jej się i nadziwować dosyć nie mogłem, ile żem był świadkiem dorocznego otwarcia grobli Nilowych, co jest rzeczą prawie cudowną. Lecz cały ten kraj wielce jest ciekawy, zwiedziłem go ilem mógł; ta jedna szkoda, że ludzie źli, zbójców i złodziei siła, i wielu w ciężkiej niewoli żyć musi.

Kilku tych nieszczęśliwych wykupiłem, rad byłbym wszystkim to samo uczynił, choćby na pokazanie tym pogańcom czego to uczy nauka Chrystusa, i nie raz płakałem, iżem tego dokazać nie miał mocy. — Wydało się też pieniędzy dosyć na różne ciekawości; zwierząt żywych nawiozłem, koziorozców, lampartów, kota który piżmo czyni, dwa szczurki Faraonowe i inne zwierzątka rzadkie, jako i ptactwo, papugi zwłaszcza cudne; zakupiłem też i mumii kilka; jużem to wszystko posłał prostszą drogą do Nieświeża, i podobno nie jedna z tych osobliwości pierwszy raz w naszym kraju będzie widziana.

«Zabawiwszy dwa miesiące w Egipcie, żaląc się nie raz w duszy nad tem iż tak wiele ludzi Chrystusa nie zna, dziewiątego października wsiadłem na nawę Francuzką, Saicyą zwaną i ruszyłem z Aleksandryi. W drodze i od żywiołów i od ludzi mieliśmy strachu nie mało. — W czasie wielkiej burzy, moim mumiom przyszło na koniec; przesąd jest głęboki między żeglarzami, iż okręt co mumią wiezie utonąć musi, dopatrzyli moich i musiałem wrzucić je w morze. Ścigała nas też i Turecka armada, która gdy kogo potka w niewolę bierze. Lecz dozwolił Bóg miłosierny, uprosiła Matka Najświętsza, iześmy uszli tego nieszczęścia i przypłynęliśmy do Kandyi. — Tam gościłem aż czternaście niedziel, a lubo z wielką ludzkością przyjmowany, lubom odbierał cześć tak wielką iżem jej sam unikał, przecież wyglądałem chciwie sposobności popłynienia do Wenecyi. Już mi strasznie było tęskno do ojczyzny, i już mnie bawiło, to com mógł widzieć ciekawego. — Nareszcie przypłynęła nawa, a w niej dwóch Polaków, z których jeden Piotr Broniewski przywoził mi list glejtowy od króla naszego, u cesarza Amurata wyrobiony. Powitałem ich jak zbawców, ile że mi zdrowie wcale nie służyło: trapiła mnie mocno febra z kaszlem. — Szlachcic jeden handlujący oliwą miał mnie zabrać na swoją galerę, ale iż się bardzo nie sporo wybierał, upatrzyłem sobie inną, niedawno przybyłą, Lorenza Prynla, i w imię Boże wypłynęliśmy z wyspy Kandyi, czwartego lutego bieżącego roku.

«Po szczęśliwej żegludze stanęliśmy na ziemi Włoskiej i zdało mi się żem własny kraj powitał. Nie był to jednak koniec utrapień moich. Jadąc z Baru — gdziem widział ciało starej królowej, które leży w zakrystyi niepochowane a wierzchnia warga już się psuć zaczyna — jadąc z Baru, mówię, napadli nas zbójcy pod hetmanem Jakóbem de Montebrando, bo tam i szlachta tem pięknem rzemiosłem się bawi, a chcąc ujść ich napaści, trzeba mieć znajomość albo z niemi albo z ich krewnymi. Napadli mnie tedy; obronić się im ani było podobieństwa; zabrali mi pieniądze i kosztowności jakie miałem przy sobie, obdarli z kosztownych sukien, dobrze, com ze

służbą z życiem uszedł. Po tej przygodzie i innych które już pomijam, tak byłem zmieniony i do siebie niepodobien, iż przyjechawszy do Ankony, gdym się stawił przed rządzcą miasta wziął mnie za oszusta i za łotra, a choćem mu listy papiezkie i naszego Miłościwego Pana, glejt turecki ukazował, nic nie pomogło, niechciał żadnem prawem uznać księcia w podartych sukniach, nie chciał dać żadnej pomocy, i pewny był, że ja z ludźmi memi okradłem a może i zabiłem prawdziwego Radziwiłła i teraz samozwańcem się czynię. — Ledwie przedawszy kilka kosztowności, które rąk zbójeckich cudem uszły, zdołałem nająć wóz czterokonny, i pojechałem do Ferrary gdzie odprawiłem wielkotygodniowe nabożeństwo; we wtorek wielkanocny przybyłem do Wenecyi, a padłszy na kolana, w kościele grobu Pańskiego, dziękowałem Matce Najświętszej za powrót szczęśliwy. Tam wkrótce przybyła ta część służby mojej, ze świętemi a drogiemi zabytkami, którąm był z Tripoli osobną nawą wyprawił; chorzałem czas jakiś w Wenecyi, i leczyć się musiałem, nareszcie trzeciego maja puściłem się do kochanej ojczyzny przez Trydent, a Dunajem do Wiednia; zkąd wyjechawszy przed dziesięciu dniami, oto tu dziś jestem, a skoro służba moja nadjedzie, ruszam dniem i nocą do Grodna, podziękować Miłościwemu Panu; dobę tam jedną zabawię a potem jak najprędzej pospieszę do mego Nieświeża, zkąd mnie chyba jaka nowa wojna, usługa Rzeczypospolitej, lub rozkaz królewski poruszy. — Tyle świata zwiedziwszy nie rzucę dobrowolnie gniazda swego, ani też póki życia za granicę Polski nie wyjadę. — Dobrze jest podróżować, zbawiennie święte odbywać peregrynacye, ale odbywszy je, trzebać ziarno zebrane daleko we własnej ziemi zasiać i pielęgnować. Dobrze jest ciekawości niewidzianych nazwozić, ale jeszcze lepiej przywieźć skarb myśli i zamiarów użytecznych, i do skutku je doprowadzić. Ja com jedno widział dobrego w oświeceńszych krajach, wszystko to chcę w moich dobrach naśladować. Będę włości lepiej urządzał i ozdabiał, drogi prostował, naprawiał, drzewami osadzał, żeby przecie znać było, żem zjeździł Włochy, Francyą, Niemcy; będę zakładał nie jedno same kościoły, ale i szpitale, szkoły, domy dla ubogich sierót, w dowód, że przybywam z ziemi świętej, żem się rozmiłował w Zbawicielu, który wszystkie niemoce leczył i dziatkom przychodzić do siebie kazał. Dał mi Bóg dostatek chleba, abym i sam pożywał i swoim udzielał; niech mnie nie zowią Radziwiłł ale Radżywił, a zwłaszcza ubogich i potrzebujących. — Muszę także podać do druku opis peregrynacyi mojej. Chciałbym takim sposobem w dojrzałym wieku moim spełnić wróżby, które Wasza Miłość o małym chłopięciu składałeś; już się bywało «straszliwym w boju» teraz być należy «u swoich wdzięcznym i miłym w pokoju.»

Łatwo wystawić sobie jak szczerze i serdecznie Kochanowski podpierał i chwalił owe piękne zamysły, jak mu było błogo, że wierszyk jego utkwił tak silnie w pamięci, a raczej w sercu książęcia. — Gdy służba nadjechała, rozstać im się przyszło z przykrością: poeta obiecał na rok przyszły zajechać do Nieświeża, a książe nie odjechał, póki — z owego tłomoczka, który z sobą był przydźwigał — nie dobył różnych świętych kosztowności i nie obdzielił niemi całą rodzinę. Ludwinie jednak dostało się najwięcej, a między innemi flaszeczka poświęcanej wody z Jordanu, i piękny turkusowy różaniec, przez samego papieża pobłogosławiony. Modliła się też rzewnie dziewica za pobożnego księcia, i Bóg wysłuchał jej prośby, gdyż Krzysztof Mikołaj Radziwiłł żył długo i szczęśliwie, spełnił wszystko co zamierzał, na chwalebną pamięć zasłużył, i może niema u nas dotąd z owych czasów więcej popularnego imienia nad księcia Sierotki.

ROZDZIAŁ XXI.

A to węzeł jest mocny i nad inne trwały,
Który pięknej pamięci córki zawiązały.

Księga IV. pieśń 22.

Parę tygodni upłynęło od odwiedzin księcia Sierotki, i od tej chwili ciężkie panowały upały i zupełna susza, rosy nawet skąpo było; słońce jasne i gorące nie zakryte nigdy cieniem dobroczynnego obłoku królowało samowładnie na czystym błękicie, a w podobieństwie do znużonego i opuszczonego despoty kładło się zwolna krwawe i bez promieni, i wstawało smutne. Stósownie do słów naszego poety: «ziemia spiekła się prawie na popiół, świata nie znać było w kurzawie, rzeki dnem uciekały, a zagorzałe zioła wołały dżdżu z nieba.» — Kochanowski krwisty z natury swojej i do bólu głowy skłonny, cierpiał mocniej jeszcze niż kto bądź inny, na owym afrykańskim spieku; często jakby z sił opadł, i do żadnej pracy nie był sposobny; upewniał, że Muza jego wyschła wraz z sadzawkami domowemi; przecież, jednego poranku przejęty widokiem ogólnego cierpienia, wzniósł umysł swój tam, zkąd najsnadniej przyjść może ratunek i natchnienie, i złożył następującą modlitwę:

«Wszego dobrego dawco i szafarzu wieczny!
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny
Modli się dżdżu, i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów, zboża upragnione.
Ściśnij wilgotne chmury świętą ręką swoją
A one suchą ziemię i drzewa napoją
Ogniem zjęte. O! który z suchej skały zdroje
Niesłychane pobudzasz, okaż dary swoje!
Ty nocną rosę spuszczasz, Ty dostatkiem hojnym
Żywej wody dodawasz rzekom niespokojnym;
Ty przepaści nasycasz i łakome morze
Zkąd gwiazdy żywność mają i ogniste zorze.
Kiedy Ty chcesz wszystek świat powodzią zatonie,
A kiedy chcesz od ognia jako pióro spłonie.»

W wieczór przy wspólnych pacierzach, Kochanowski powtórzył rzewliwie modlitwę swoją z dziećmi i z czeladką, i zaraz nazajutrz, jak gdyby w rychły skutek tych próśb, wszystko od rana zaczęło wróżyć zmianę powietrza i deszcz nieochybny: kury piały w niezwyczajnym czasie, gęsi kąpały się we stawie, jaskółki latały nizko i trwożliwie, kot się mył siedząc na ganku, muchy nad obyczaj dokuczały, sól zwilgotniała, Nastkę darło okrutnie po nogach. Jakoż, w rzeczy samej koło południa zaczęły się zbierać chmury; wychodziły jedna za drugą ze wszech stron, a coraz czerniejsze jakby goście wezwani na stypę; zeszło się ich tyle, iż zdawać się mogło, że miejsca im braknie w przestrzeni, a przeciążone niemi niebo spuści się na ziemię jak namiot; dzień oblókł się prawie zupełnie w noc, lecz wnet błyskawice rozjaśniać zaczęły tę ciemność; ozwały się dalekie, niemal ciągłe grzmoty i zagroziła wielka, straszliwa burza, a Kochanowskiego mimowolnie strach tajemny przeszedł, czy on nie nadto naprzykrzał się Bogu, i czy ukaranym nie będzie — jak się to często człowiekowi zdarza — samem wysłuchaniem próśb jakie składał.

W owym czasie nie tylko nie znane jeszcze były konduktory, ale mało kto wiedział naturalną przyczynę grzmotów i piorunu; uważano je niemal powszechnie jako dowód gniewu Boskiego. «Pan zagrzmiał niebem! — mówiono — piorun, to słowo jego karzące; zemsta pańska pobudza okrutne na powietrzu trwogi!» — Jednak mimo tego przekonania może mniej było rzetelnej, szkodzącej zdrowiu bojaźni grzmotów, niż dziś. Ten sam Bóg co straszył, ten i cieszył, z jednej ręki trwoga i uspokojenie spływały, chwila owej walki żywiołów była chwilą uroczystą, religijną; było to, że tak powiem święto domowe do obchodzenia którego miano osobne obrzędy i modlitwy, o którem przez cały ciąg roku myślano. — Naprzód, z początkiem wiosny, w dzień ś. Marka ewangielisty, odbywała się w każdej parafii processya w polu, już to dla uproszenia urodzajów, już dla odwrócenia szkodliwych gromów i gradów; prócz tego, pobożna gospodyni, w wigilią Bożego Ciała składała wianki z ziół na ółtarzu, któremi potem w czasie burzy dom cały okadzała, gospodarz w oktawę tegoż święta zakopywał w czterech rogach włości swojej cztery ewangielie, nareszcie w dzień Oczyszczenia Najświętszej Panny, wśród srogiej jeszcze zimy, każdy niósł z kościoła do domu poświęcaną świecę, gromnicą nazwaną, gdyż przeznaczeniem jej było, oświecać izbę bladem ale łagodnem i jednostajnem światłem, wtedy kiedy na dworze ogniste a przemienne błyskawice rozparały chmury i raziły oczy jaskrawym swym blaskiem.

I w pobożnym Czarnolesie wszystkie te środki bezpieczeństwa i ochrony, i inne jeszcze wiernie były opatrywane i wypełniane. Skoro w letniej porze postrzeżono już zbliżającą się

burzę, cała drużyna w cichej modlitwie podnosiła serce do Tego, który i gromu nie potrzebuje, ażeby w każdej chwili pozbawić nas życia, bo śmierć i żywot w Jego jest ręku. Za każdą błyskawicą widać było pobożne głów nachylenie i słychać święte wyrazy: «A Słowo stało się Ciałem, i mieszkało między nami.« Kochanowska zapaliwszy gromnicę i okadziwszy dom cały poświęconemi wiankami, wychodziła przed ganek, a biorąc w rękę najszacowniejszą ze wszystkich relikwię — szczątek drzewa z owego krzyża na którym wisiało Zbawienie ludzkie — żegnała nadchodzącą chmurę wzywając miłosiernego Boga, aby ją odwrócić raczył od mieszkań człowieka, a puścił na bory, na lasy, na miejsca niedostępne; Ludwina zaś uzbrojona w dzwonek loretański — który Kochanowski niegdyś z samego Loretu przysłał był matce swojej — odziana w płaszczyk fiałkowy jedwabny, już z umysłu do tego sporządzony, obiegała po trzy razy dwór i gospodarskie zabudowania, błagając z pokorą opieki Boga Rodzicy nad niemi. Nie raz już chmury rzęsistym deszczem lunęły, pioruny latały jak strzały ogniste, wiatr dął gwałtowny, dzieweczka ufna w obronę Tej, która światu wszystkiemu jest obroną i ucieczką, w oczach której czystość i niewinność nieporównaną ma cenę, spełniała swoje posłannictwo bez żadnej trwogi, a ktokolwiek z domowych lub z włościan ją postrzegł, albo jej dzwonek posłyszał, nabierał pewnej otuchy, że nic złego w całym Czarnolesie się nie stanie, skoro święta panienka czuwa nad nim i poleca go Bogu. — Nareszcie jeżeli srogość burzy nie uśmierzała się i coraz mniejszy był przedział czasu między błyskawicą i hukiem, wypędzano z domu wszystkie psy i koty, wszystkie nieme stworzenia, a ktokolwiek miał głos i mowę, wszyscy, panowie i słudzy, starzy i dzieci klękali przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, i śpiewali powtarzając prośbę każdą po trzy razy, ów hymn potężny jeszcze od. ś. Ambrożego w pierwszych wiekach kościoła ułożony, a który u nas oddawna narodowym się stał:

«Święty Boże, Święty Mocny, Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!
«Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli! Wybaw nas Panie!
«Od nagłej i niespodziewanej śmierci! Zachowaj nas Panie!
«My grzeszni Ciebie Boga prosimy! Wysłuchaj nas Panie!
«Abyś nas do prawdziwej pokuty przyprowadzić raczył! Prosimy Cię Panie!
«Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył! Prosimy Cię Panie!» —

I dnia o którym mówimy, wszystko podobnież się odbyło w domu Czarnoleskim, a mimo trwożliwych przeczuć Kochanowskiego, mimo nadzwyczajnej srogości burzy, żadna szkoda się nie stała; uderzyło wprawdzie kilka piorunów niedaleko, ale dwa wpadły w staw Dzbukiem zwany, a jeden rozdarł na

dwoje starą wierzbę przy drodze stojącą; deszcz zaś, który padał rzęsisty przez godzin kilka, ożywił całą naturę, ochłodził powietrze, opłukał, odświeżył ziemię. Miły to był widok patrzyć jak wszystko się budzi, powstaje, uśmiecha prawie i dziękczynienia wznosi. Kochanowski nasycić się nim nie mógł: «Tak będzie z stęsknionem i oschłem sercem mojem — mówił w sobie — skoro mój Jakób powróci, a zdrowiem swojem mnie rozweseli, i o długiem życiu upewni.» — I chodził po ogrodzie i po sadzie, od kwiatka do kwiatka, od drzewa do drzewa, radując się nad każdem, winszując każdemu. Ledwie go żona zwołać potrafiła do wieczerzy, chociaż dobrze miarkował po wolnej głowie, po lekkości i rześkości całego ciała, że lepiej dziś jeść będzie, niż we wszystkie dni poprzednie. Jakoż jadł smaczno, ile że cała wieczerza była na zimno: chłodnik litewski ze śmietaną, z ogórkami, z rakami i z boćwiną, pieczeń cielęca, szynka, ser, jagody, owoce świeże i w cukrze.

Kiedy tak Czarnoleski gospodarz z drużyną swoją ochoczo dar Boży pożywał rozmawiając mile o minionem niebezpieczeństwie, i o tym nowym dowodzie Opatrzności nad niemi, wjechał człowiek obcy konno na podwórze, a wnet jeden z domowych pacholików wszedł do izby i oddał panu list. «Umyślny z nim przyjechał — rzekł — uwiązał konia u żelaznego kółka i powiedział, że czekać będzie na odpowiedź.» — «Doroto! — zawołała Kochanowska, która już używać zaczynała córki średniej do ważniejszych posług — ukrój chleba, nalej piwa, i wynieś mu; widać sługa jakiś.» — Wstała Dorota żwawo, a ojciec powiedział: «Raczej go do kuchni zaprowadzić i dać wieczerzę; jak widzę na kopercie domagają się odemnie odpowiedzi na pismie, ta czas zajmie: ile że najadłszy się, wcale mi się niechce iść na górę i pisać.»

A otworzywszy list i przeczytawszy go, zawołał: «Ot! niespodzianie chcą mnie zajechać i uczcić!»

«Któż taki?» spytały się córki i żona.

«Bracia w Apolinie — odpowiedział z uśmiechem. — W Babinie, w owej wesołej — jak wiecie — a nie zbyt dalekiej od nas rzeczypospolitej, zjechało się na sejm doroczny, czy też z innej jakowejś okoliczności dziewięciu mężów piszących wierszem, lubo i proza nie jest im obcą. Tych tedy dziewięciu poetów, a jak piszą sami, te dziewięć Muz w żupanach, szukają sobie Feba z wąsami, i chcą tu niedalej jak pojutrze na obiad zjechać i ruszyć z Bogiem przed wieczorem. Pytają się czy pani wojska nie ulęknie się tej napaści?»

«Dziewięciu mężów piszących! — przebąknęła — wielki Boże! cóż to będzie mądrości!»

«Ja ich się tam nie boję — dopowiedziała Ewa — pewno żaden z nich nie mędrszy od was, panie ojcze?»

«Tego nie powiem — odrzekł Kochanowski — z nie jednym mierzyć bym się nie śmiał, zwłaszcza po łacinie i w niewiązanej mowie?»

«Czy to księża? — zagadnęła nieśmiało Ludwina, która nad ojca tylko duchownych widziała.»

«Minęły już te czasy — odpowiedział — kiedy nauki były prawie wyłącznym przywilejem duchowieństwa; są przecie i dziś w naszej Polsce bardzo uczeni i wymowni księża, lecz między tymi co do nas się wybierają, dwóch jeno świętą sukienkę nosi.»

«Powiedzcież nam, panie mężu, jak się zowią, co za jedni, żebym naprzód wiedziała czy ich się mam lękać czy nie? może oni i byli już w naszym domu, boć do was każdy Polak sławny a mądry, czy pan czy szlachcic, czy duchowny czy świecki, prędzej czy później zajrzeć musi.»

«Niektórzy nie byli jeszcze nigdy, drudzy już bywali. — Starego pana Reja na przykład — że koleją wieku zacznę — nie znacie wcale; on się mi obiecuje od lat dwudziestu i dopiero teraz mu przyszło...»

«Pana Reja! czy owego Reja z Nagłowic — krzyknęła Kochanowska — owego wyuzdanego szatana, jak go zwali u nas w klasztorze, owego opilcy, obżercy nieumiarkowanego? Toż on jeszcze żyje?... Jam sądziła co oddawna gdzie się zapił i zajadł... Nie godzi się przed nikim wrot zamykać, wolałabym jednak, żeby sobie był został w Babinie. To dla niego przyzwoite miejsce, tam mu być spowiednikiem, albo kaznodzieją...»

«Zwolna, zwolna, nie srożcie się tak, pani żono, nie unoście się, upamiętał się on; za młodu do zbytku światek mu smakował, dziś, dobiegł siódmego dziesiątka, broda i czupryna biała, to i statek przyszedł za starości szronem. Dużo też tego człowieka czernili, ba! i on sam siebie nie oszczędzał; prawda, co dawniej był sobie próżniak, warchoł, drugi nasz pan Franciszek nie przymierzając, bo go też rodzice kubek w kubek tak pieścili jak pani Kasprowa swojego, a że mu Pan Bóg dał dowcip i rozum jak mało komu, i pieniędzy dosyć, to jak tak nienauczony puścił się między ludzi, zrobił się snadno z niego odstępca, rozpustnik; ale teraz, zapewniam was wcale on inny, mówią nawet niektórzy, że i katolikiem został; jeno sobie zawsze wolny żywot prowadzi bez pracy i urzędu, w domu, ani nigdzie miejsca nie zagrzeje, i rad zjeżdża gdzie o biesiadzie posłyszy. Je i pije co się zmieści; jakem go widział w zeszłym roku u kanclerza w Knyszynie, silił się żeby nas wszystkich młodszych przetrzymać i dokazał swego, bo znacie, jak to nie jeden szlachcic ma sobie za chlubę wepchać i nalać w siebie zą dziesięciu chłopów; prawdziwie zwierzęca chluba!

Boć szkoda zwać człowiekiem, co bydlęco żyje...[1]

A co prawie równie nagannie zawsze takowi ludzie chwalców i dziwowidzów znajdą...»

«Co o jadło i o napój to najmniejsza — przerwała tu pani wojska — pociechą owszem dla gospodyni widzieć gości zajadających smaczno, ale nie będzież on obrażał uszu naszych dziewcząt, nie będzież przeciw wierze świętej bluźnił?»

«A pamiętacie «Żywot człowieka poczciwego» — zapytał się tu Kochanowski — który wam nie raz czytuję zimowemi wieczorami, i tak rade słuchacie tej księgi.»

«Pamiętamy» ozwały się wszystkie.

«Wszak on go napisał, a jestże tam co gorszącego? przeciwnie najzbawienniejsze nauki i przykłady, a w nie jednem miejscu jakby iskry wyższego światła. Otóż stary Rej im starszy, tem pilniej się wpatruje sam w to swoje Zwierciadło, i radby w niem własne podobieństwo upatrzył. Jeźli chcecie, jest on sobie wesół i rubaszny, liche wiersze i grube żarty sypią mu się z ust gdyby z rękawa; przy stole trudno by w nim mędrca dopatrzyć, niema jednak w jego rozmowie wiele co gorszego niż w rozmowie naszej pospolitej szlachty. Bo choć on z jakie pół kopy ksiąg napisał i jest pisarzem u nas najwięcej czytanym, choć na zawsze należeć mu się będzie ta chwała iż pierwszy zaczął pisać czystą polską mową, i o takich rzeczach, o jakich dotąd żaden człowiek świecki pisać się nie poważył, jest on sobie prosty szlachcic całą gębą. — Co do mnie, mam dla niego wdzięczność osobistą, on pierwszy moje wiersze polskie publicznie pochwalił. Młody jeszcze i mało komu znany przysłałem był z Włoch, pieśń jednę; na wielkiem zgromadzeniu czytano ją i czytano obojętnie, dopiero obecny tamże Rej wziął ją, rozebrał pochwalił, i wróżył, że go daleko w poezyi wyprzedzę...»

«Jeźli tak, niechże przyjedzie, rada mu będę z duszy — upewniła Kochanowska — a inniż?»

«Najznakomitszy majątkiem, godnościami, układnością, a może i nauką to mój dawny spółpracownik w królewskiej komorze, Łukasz Górnicki, starosta Tykociński...»

«Ten co «Dworzanina polskiego» napisał?»

«Ten sam i rzec można śmiało, że był i jest żywym dzieła swego wizerunkiem; od śmierci nieboszczyka króla mieszka on na wsi z żoną i z dziećmi, i wiele rzeczy po łacinie i po polsku, wierszem i prozą napisał i pisze, ale podawać je do druku nie śmie, bojąc się obrazić. Starszy on odemnie z jaki dziesiątek lat, lecz dobrze się trzyma i dworskiej grzeczności wcale nie zaniechał...»

[1] I. 19.

«Ja wiem, ja go znam — przerwała Kochanowska — był przecież w naszym Czarnolesie, temu lat trzy, kiedy to dzieweczki nasze i sąsiedzkie przedstawiały wasze Sobótki; był wtedy i ten poeta z Lublina, co to ma złą żonę, zły urząd, ale gładko pisze, choć czasem złośliwie; ten co Flisa ułożył i tak lubi wszystkim prawdę mówić...»

«Sebastyan Klonowicz — dopowiedział Kochanowski — przyjedzie i on. Ja wysoko cenię tego poetę, choć nieborak pod niefortunną gwiazdą się rodził; zawsze krucho koło niego, zaniedbany, narzekający i wcale dać sobie rady na świecie nie umie. — Drugi także pisarz nieszczęśliwy — ale podobno w jego skargach więcej jest udania, niż prawdy — to ksiądz kanonik Stryjkowski, kroniki polskiej i litewskiej autor, wielki bywalec i doświadczony człowiek, żołnierz, wędrownik, a nareszcie kapłan. Ostrzegam was, dziewki moje, żebyście się broń Boże, z niego nie roześmiały. Jemu się trafił dziwny przypadek w dzieciństwie: wpadł w wodę, wyciągniono go jako umarłego i już chować miano do grobu. W tem huk dzwonów obudził go, powstał, ozdrowiał, z wielką rodziców pociechą i żyje dotąd, lat już temu czterdzieści; wszakże od tego czasu bardzo się jąka. Każde kalectwo i ułomność każda od Boga są, równie jak wdzięki i uroda, kto tedy z nich urąga, Boga obraża. Ale ksiądz Maciej nie dla tego nieszczęśliwy, że jest nierychłego języka, tylko dla tego, że ma wiele zarozumiałości i że go opanowała chęć wierszowania a talentu Feb nie dał. — Wielce też przekładam nad niego Bielskiego Joachima, którego podpis także tu widzę; gdy on dopełni i poprawi pracę ojca swego Marcina i wyda ją kiedy, dopiero będziemy mieli kronikę polską po polsku: a obok zalet pisarskich, ileż on liczy cnót jako człowiek...»

«Ja go znam dawniej niźli was, panie mężu — on się ożenił z Borzechowską moją powinowatą i odwiedzali mnie jeszcze w klasztorze; prawda, lepszego syna szukał by na próżno ze świecą; sama Bielska mi mówiła, że to on tę całą kronikę polską wypracował, i chce koniecznie udać ją za ojcowską, bo stary Bielski był o kacerstwo posądzony i jego kronikę świata katolicy źle przyjęli; syn, radby tem drugiem dziełem plamę pierwotnego zmazać. I mąż i ojciec dobry!...»

«Nie dałabyś pewno takich pochwał, Hanno moja — przerwał tu Kochanowski — panu Bartoszowi Paprockiemu, który także ma nas obecnością swoją uraczyć, z czegobym go chętnie pokwitował. Pracowity i obfity pisarz, ani słowa przeciw temu; o czem mało komu jeszcze u nas się śniło, zbiera z mozołem piątna czyli herby szlacheckie, chcąc o wszystkich znaczniejszych rodzinach polskich wspomnieć; objechał w tym celu Litwę i Koronę, zwertował publiczne, klasztorne, domowe

archiwa, ale cóż kiedy w tym człowieku rzetelności niema, a jest chciwość, próżność, żółć; ożenił się jedynie dla pieniędzy i dla imienia ze złą i starą białogłową; już oddawna owdowiał, a jeszcze na całą płeć białą obelgi miota, a co gorsza wielkie jest o nim podejrzenie, że się zaprzedał nieprzyjaciołom kanclerza...»

«Gdyby tak było nie przyjeżdżał by do Czarnolasu — odezwała się Ewa — musi przecie wiedzieć ile wy, ojcze, kanclerzowi sprzyjacie?»

«Alboż to ludzie na świecie ułożyć się nie umieją — odpowiedział Kochanowski — on mi tu gotów z jakiem pochlebstwem w oczy wyjechać, lubo wiem dowodnie, że mnie nie lubi. Lecz kto jest przyjacielem kanclerza i moim, o kim wiem, że pani wojska rada mu będzie, to o pewnym młodzieńcu; nie starszy od pana Filipa, uroda rzadka i dowcip, a skromność większa nad te wszystkie zalety...»

«Zgaduję, zgaduję — zawołała Kochanowska śmiejąc się — Szymon Szymonowicz, co przy boku kanclerza bawi, listy mu czasem pisuje, i wierszami swemi go broni, co tu był kilka razy z panem Andrzejem; prześladujcie mnie nim jako chcecie, ja zawszę będę mówiła, że jego poezye są mi do smaku, zaraz po waszych. Pamiętam tej zimy, słuchając jego sielanek, przy kominie w ciężki a mglisty mróz, zdało mi się, że wiosna, żem w gaju, trzody i pasterze widzę... — Ależ jak sobie uważam — powiedziała jeszcze rachując na palcach — już do dziewięciu owych Muz w żupanach, dwóch jeno brakuje...»

«Rybińskiego Jana i Stanisława Grochowskiego — powiedział Kochanowski — młodzi oba nie wiele jeszcze prac swoich podali do druku, lecz zwłaszcza pierwszy już wytrawny poeta; jego wiersze łacińskie czasem zdają mi się dzielniejsze od moich, a i Grochowski lubo jeszcze bardzo młody, już dobrze pisze i niepospolitą posiada naukę; zwłaszcza od czasu jak księdzem został i do nabożnych wziął się rzeczy, cale pięknie mu się udaje. Ludwinie smakowały by jego wiersze — jaśnieje w nich czysta i słodka pobożność.»

«Mój ojcze — przemówiła tu Ewa, która od początku tej rozmowy ściegu nie zrobiła w krosnach, tylko trzymając igłę nieruchomą patrzyła się w oczy Kochanowskiemu — wieluż tam jest owych mężów piszących w naszej Polsce, kiedy tak na raz dziewięciu wytrząsnąć można, a każdy według słów waszych ma swoje zalety?...»

«Moja dzieweczko, nie skończyłbym ja do nocy, gdybym wam chciał wyliczać tych wszystkich, których nauką, zdatnością do wiersza, piękną wprawą w prozie, szczycić się nam godzi. Wiek dzisiejszy przeszedł wszelkie inne w tej mierze, wiek to prawdziwie ozdobny i wielki; mamy nie tylko grono ludzi znakomitych, Muzom przyjemnych, ale mamy i uczonych

we wszystkich rodzajach: historyków, ludzi stanu, mówców, filozofów, lekarzy, astronomów, fizyków. Śmiało rzec mogę, dziś w żadnym kraju, wyjąwszy Włochy, nauki nie stoją równie wysoko jak u nas; mamy trzysta drukarń rozrzuconych w ośmiudziesiąt miastach, a każda ma robotę, a co najlepsza, język nasz ojczysty niedawno gruby i prosty w pismie, sztukujący się czeskim, zostawiony białogłowom, dzieciom i domowym potrzebom, obecnie przeszedł wszystkie słowiańskie, wyścignął francuzki, niemiecki i o mało co włoskiemu nie sprosta... Prawdziwie serce we mnie rośnie, tajemna duma powstaje mi w duszy, kiedy wyprzedzając wieki posunę myśl w przyszłe czasy, i niecielesnemi oczyma spojrzę na to, co będzie u nas za parę set lat. Do jakiej doskonałości dojdą wszelakie nauki? czem stanie się język, który w młodocianej dobie już męzką okazuje dzielność, i nieprzebrane odkrywa bogactwa. Ledwieśmy rozpoczęli pracę koło niego, a już się hojnie wywdzięcza... W tem nagłem a skutecznem chodowaniu mowy polskiej, dank się należy nieboszczykowi królowi, on wspierał ją i zachęcał jak żaden jeszcze z monarchów; większy zaś jeszcze starej matce naszej, akademii krakowskiej: tam my się nauczyli po polsku, i młodsi od nas pisarze, co zapewne nas przejdą, także są jej uczniami... — Lecz ja tu z wami, Bóg wie o czem bzdurzę, a zapominam, że człowiek czeka, koń retoryki słucha; wybaczcie mi panowie Babińscy, już idę na pokój, i odpiszę wam jak najspieszniej, nawet wierszem, jeźli się uda. — Oni Apolina szukają — dodał list odczytując — przyznać się nie mogę do tej godności parnasowej. Raczej w ich gromadzie, gdzie i młodzieńców jest kilku, piękny Feb się mieści; mnie staremu i mieszkańcowi lasów, słuszniej by Chirona imię przystało.» — A tak sobie mówiąc i śmiejąc się sam do siebie, poszedł wesoło i spiesznie. — Pół godziny nie minęło gdy już wrócił z odpisem i przeczytał go żonie. Był w tych słowach:

«Jako Chiron ze dwojej natury złożony
Wzgórę człowiek, a na dół koń nie objeżdżony,
Rad był kiedy przyjmował do swej leśnej szopy
Nauczonego syna pięknej Kalliopy,
Na on czas gdy do Kalchów rycerze wybrani,
Pławili się przez morze po kożuch barani:
Równiem wam i ja tak rad, zacni Poetowie;
A jeźli u Chirona oni bohaterowie
Przyjmowali za wdzięczne wieczerzę ubogą,
(Bo tam wszystka cześć była mleko z świnią nogą)
Nie gardźcie i wy tem, co dom ubogi niesie,
Bo jako Chiron także i ja mieszkam w lesie.
Będzie ser, będzie szołdra, będą wonne śliwy;
Każecieli też zagrać, i na tom ja chciwy;

Owa prosto będziecie mieć ze mnie Chirona,
Tylko że ja nie wlóczę za sobą ogona.»[1]

Śmiech pusty i serdeczny nie dozwolił odczytać wyraźnie ostatnich dwóch wierszy — wtórowały mu wesoło żona i córki; całe zaś pismo opieczętowane i zapisane: Do Poetów, oddane zostało posłańcowi z Babina. Gdy już pojechał, Kochanowski zaczął wypytywać się żony, czem przyjąć myśli tak zacnych gości? «Na tobie, moja Hanno podstawa rzeczy — powiedział — choćbym ja im zaśpiewał jak Horacy i Wirgili, jeźli będzie głodno i na sucho, nie pójdzie im w smak. Obiecałem im wprawdzie w moich rymach nie wiele, to cośmy dziś na wieczerzę mieli; ale i to może za nadto, bo kiedyśmy jedli, tośmy i zjedli.»

«Wiecie przecież, panie mężu — odpowiedziała z lekką urazą — że ja Bogu dzięki resztkami nie gonię, owsa z pudeł nie wytrząsam, i nie spię do południa, bo są na grzędzie kury co nas budzą rano. Kiedyście wy odpowiedź waszą pisali, ja tu z dziewczętami radziłam o obiedzie. Jak wam się zdaje, byłby dobry taki: Dwie polewki: jedna, rosół, krakowską kaszką zasypany w którym będzie kura, wołowina, para jarząbków, korzeni i włoszczyzny jak najwięcej, druga: barszcz zabielany z rurą, z uszkami, z pieprzem i z kiełbasą. Właśnie zabiliśmy wczora wołu, a dziś każę cielę zabić; postawię wam na pierwsze danie mostkową sztukę mięsa z chrzanem i z ogórkami i pieczeń przekładaną z cebulą; będzie do tego kopa ogromnych raków i trzy misy jarzyn: groch cukrowy z marchwią, rzepka młoda z baraniną, i kapusta kwaśna z wędzonką, choć przeszłoroczna jeszcze cale dobra. Na drugie danie przyjdą potrawy: kapłony z kluskami, mostek cielęcy na biało z móżdżkiem, młode kaczki z zielonym agrestem rumiano, tłuste prosię czarnym sosem podlane, zrazy z kaszą i flaki z szafranem po sandomiersku, pospolite jadło, ale wy je lubicie, to i ujdzie. Dalej nastąpi pieczyste: dwie gęsi, dwa indyki, paw, pieczeń cielęca, zwierzyna, jaka teraz być może, a ponieważ kilku z owych panów jako i wy w Włoszech gościli, dam wam i trawy różne: sałatę głębiastą, rzerzuchę wodną, chmiel młody. Na czwarte i ostatnie uraczę was słodyczami: będzie ciasto wysokie przekładane migdałami, posypane maczkiem, zaprawione piżmem, które ja sama upiekę: Ewa z Ludwiną zrobią biankę i tortele z ryżem ... a Nastce doskonale się zawsze udaje arkas i rosiata...»

«Dobrze, wyśmienicie — zawołał uradowany Kochanowski — jedno znowu nie sadźcie się do zbytku pani żono; chędogo, obficie, smaczno, a z prosta, tegoć od nas żądać mają prawo

[1] Księgi IV. p. 29.

a nic więcej; wiedzą, żem ja nie pan, żem kasztelana w domu nie chciał, żeby nie strwonił tego co zebrał Kochanowski, wiedzą i to żem kucharza Balcera po nieboszczyku królu nie przyjął a Stanisławski dzisiejszym zajęty...»

«I jać dobrze o tem wszystkiem wiem, przecież trzeba żeby było przyzwoicie i uczciwie, wszak prawda, panie mężu? Jutro skoro świt, wyślę Nastkę do Kazimierza; musi mi nakupić kilku rzeczy: muszkatołowej gałki i kwiatu, karuku, cukrowego maczku różnej barwy, i piżma...»

«Bez tego by się obeszło; nie trzeba wydawać pieniędzy, apteki zbogacać...»

«Nie dam jej też więcej nad sześć złotych na sprawunki, ale już tego nie żałujcie. Któż mnie to w pierwszym roku zamęźcia nauczył owego przysłowia: «Przy gościach lepszy talar szkody niż szeląg wstydu?»—O napojach sami jak zwykle pomyślicie; już to wasza rzecz i Marcina. — Co do porządku stołowego i co do usługi, można być spokojnym, starsze dziewki nasze tego dojrzą, i ja też rzucę okiem. Zresztą, cóż mi to za wielka osobliwość, obiad, gdzie tylko jeden starosta i czternaście osób? Stary Żubek za nic sobie nie będzie miał tak małej liczby gości, boć więcej nas się nie zbierze, choćbym też i ja ze trzema starszemi córkami do stołu siadła; a — dobrze, co mi na pamięć przyszło — miałam się was zapytać! Panie mężu, czy mamy zasiąść z wami? — Raczcież powiedzieć.»

«Myślę sobie — odpowiedział po chwili milczenia — że mężczyzni u stołu, zawsze wolniejsi bez płci białej. Zasiądź przecież z nami, ale z jedną Ewą, jako z pierworodną naszą i już narzeczoną; weźcie między siebie pana Reja, a obok, ty, pana starostę, ona księdza kanonika; i miła Hanno moja, — dodał z przymileniem — bądź gościom naszym rada jak to umiesz a pewno wszystko dobrze przyjmą. Atoli skoro zbyteczna wesołość nastąpi, odejdźcie obiedwie pod jakim pozorem, albo i bez pozoru; wiecie, że skoro mężczyzni sobie dobrze podchmielą płci białej dosiadywać z niemi nie wypada.»

I tak stanęło. Kochanowska zaraz nazajutrz zajęła się całem sercem, całą przytomnością umysłu — jak zwyczaj miała przygotowaniem wszystkiego, na uczciwe podjęcie spodziewanych gości; nic nie ujęła z pierwszego planu obiadu, raczej dodała, dosypując do każdej potrawy korzeni i zapachów, znała ona bowiem obyczaje lepszych kuchni ówczesnych, znała męża swojego, i wiedziała iż on jakkolwiek o prostocie, o mierności i o oszczędności mówi i pisze, lubi przecież żeby w jego domu wszystko było jak najlepiej, osobliwie przed osobami, które niemal wszystkie po dworach pańskich i królewskich bywały, za granicą gościły. — Gdy już nadszedł dzień

naznaczony, dzień dwudziesty drugi lipca, i zbliżało się południe, sama ze starszemi córkami dopilnowała urządzenia izby i zastawy stołu. — Do fontanny z kurkiem w rogu, pod oknem będącej, nalano świeżej wody, i nagotowano wiązkę haftowanych ręczników koło ogromnej miednicy. Konieczne było albowiem wówczas — i dla słusznych przyczyn jak się poniżej wykaże — mycie rąk przed jedzeniem i po jedzeniu, a liczba i piękność ręczników stanowiły część zasobu domowego, dowodząc oraz staranność i zręczność gospodyni. — Na licznych dębowych pułkach, które — jak wiemy — osłaniały ściany izby, w szafach olszowych za drewnianemi kratami śklniły się stojące stosami i rzędem talerze i misy cynowe, flasze, konwie z uszami, czary, kubki, puhary, roztruchany; w kominie — gdzie już przecie od trzech blizko niedziel ogień nie postał — rozpierały się na ligarach dwie ogromne beczki wystałego, dwurazowego piwa a opodal stał rząd beczułek i gąsiorków z miodem, z wiśniakiem, dereniakiem, maliniakiem i lekkim węgrzynem; piec cały otoczono butlami lepszego wina, lubo najszacowniejsze i wiekiem i smakiem, kryło się jeszcze w lochu, unikając ciepła izbowego. Stół jaworowy na nogach toczonych, długi a nie szerszy nad dwa łokcie, wysunięty został na sam środek; Kochanowska pokryć go kazała kobiercem, a potem nałożyła aż czterema obrusami z których najcieńszy a najmniejszy był na spodzie. Zwyczajem to było w porządniejszych domach zdejmować za każdem daniem spluskany obrus, a odkrywać świeży; żeby zaś plamy nie przesiąkały, pod każdą misę podścielano tak zwane miśniki, czyli prawdy okrągłe ze słomy; mniejsze zaś takowe miał każdy stołownik przy swoim talerzu dla oparcia srebrnej łyżki i żelaznego sztucca; odmiany bowiem sztucców za każdą potrawą nie znano wtedy, chyba na królewskich stołach, i srebrne widelce i noże nie były wcale upowszechnione; już to był znak dostatku domowego kiedy się znalazły jak w Czarnolesie srebrne łyżki dla wszystkich; nie wszędzie nawet kładziono przed każdym sztucce, nie były koniecznie potrzebne, gdyż prawie każdy nosił z sobą własną łyżkę i nóż, i najchętniej niemi jadał. — Już to przyznać należy, iż w owych czasach kiedy tyle u nas jadano, porządek polskich stołów szlacheckich, nie był wzorowy, myślano o tem co dać, a nie tak dać, usługa także nie była wcale wyszukana i trudna; pachołcy nie mieli prawie innej roboty jak stawiać i zbierać półmiski, nalewać kufle, kubki i szklenice, a w dnie ciepłe oganiać gości z much zawsze licznych i natrętnych nie jeden biesiadnik odbywał na jednym i tym samym talerzu cały obiad, choćby też z kilkunastu potraw złożony; kości podawał psom domowym, które wiernie stołu pilnowały, a sosy i inne resztki zmiatał sobie chlebem. Kobiety jedne zawsze obyczajniejsze od mężczyzn,

mniej i przyzwoiciej jadały, a podobno dopiero od królowych Francuzek i dam ich dworu, rozszedł się po naszym kraju zwyczaj serwet dawniej zupełnie nieznany, i do którego nie jeden prostaczek długo nawyknąć nie mogąc, usiadłszy do porządnego stołu, kładł serwetę pod talerz, a usta obrusem obcierał. — Dziś, na eleganckich stołach często zastawa przechodzi wartość jadła: dadzą jednego kapłona i dwie kuropatwy na dwanaście osób, ale jakże to wybornie urządzone, jak subtelnie pokrajane. Bez wątpienia, szlachcic polski z szesnastego wieku posłałby mieszkańcom piekła równie szczupły obiad, albo zjadłby sam co dla dwunastu zgotowano, lecz przyznać należy, iż jest w tym wstrzemięźliwym wykwincie jakaś cecha wyższości człowieka; już się nie pasie, nie rozpycha jak zwierzę, ale pożywa jako stworzenie z ciała i z duszy złożone, które je bo musi, i tę konieczność zwierzęcą uszlachetnia ile może.

Ale wróćmy do naszych gości.

W dzień naznaczony, o umówionej godzinie zajechali w dwóch sześciokonnych kolebkach — dostarczonych im przez pana Pszonkę dziedzica Babina — a w których już nie raz bujały się równie dojrzałe a wesołe dzieci. W głębi pierwszej aksamitem żółtym wybitej, w piękne kwiaty malowanej i dosyć suto złoconej, rozpierał się stary Rej zasapany i czerwony, w żupanie karmazynowym z adamaszku, spiętym na wielkie bursztynowe żołędzie, które przyszyte rzędem od szyi do nóg coraz prościej sterczały, gdyż okrągły brzuch pana z Nagłowic, bogatym pasem podparty, wystawał pewno na cwierć łokcia dalej niż biała i długa jego broda. — Chociaż na takiemże samem siedzeniu na przodzie, trzy osoby siedziały wygodnie, koło Reja ledwo się wcisnął i to bokiem sam jeden Łukasz Górnicki, także nie złej tuszy człowiek i latami poważny, ale jako dworak i bywalec umiejący zajmować mało miejsca w potrzebie. Naprzeciwko tych dwóch mężów — których nawykliśmy wszyscy kłaść razem imiona i ważyć zasługi — siedziało tedy trzech; rozprawiali żwawo językiem i ramionami, i jeżli nie ostremi słowy, to przynajmniej szerokiemi rękawami, krajami ferezyi dotykali się często wzajemnie: był to Bielski, Paprocki, Stryjkowski; zaszła między niemi sprzeczka historyczna, każdy obstawał z zapałem za swojem zdaniem, mało słuchając argumentów drugiego: pan Joachim z przekonaniem, Pan Bartosz hardo i obficie, a ksiądz kanonik szybko i namiętnie, tylko, że czasem w największem uniesieniu więzło mu słowo w otwartych ustach, i dopiero po kilku sekundach, albo po silnem tupnięciu nogą w pokład powozu, wylatywało skwapliwe. — W drugiej kolebce nierównie mniejszej i skromniejszej, także pięciu mężów się mieściło, prawda wszyscy szczupli i smagli, bo jeszcze młodzi, ale co dziwnego, najmłodszemu

z pośrodka siebie tyle potrafili zostawić miejsca, iż żaden z nich nie dotykał się szerokiej jego kapy włoskiej z czarnego bławatu; zdawało się jakby mu tym sposobem jakąś cześć wyrządzić chcieli; jakoż suty złoty łańcuch, którym miał owiniętą szyję trzy razy, i który do samego pasa mu spadał, coś cudzoziemskiego w całym układzie, oznaczały osobę znakomitą obcą, i ledwie obie kolebki zajechały na podwórze, młodzieniec ten wpadł zaraz w oko stojącemu w ganku Kochanowskiemu, ile że mu był całkiem nieznany, a twarz jego ściągła i blada, małemi tylko rumieńcami okraszona, żywe oczy czarne, czoło wysokie i przed czasem poorane okazywały umysł bystry i pracujący. — Jeszcze też Rej podnieść się i wygramolić z głębi kolebki swojej nie podążył — lubo mu pomagali Górnicki i Bielski — kiedy po pierwszych słowach pozdrowienia wołał na głos śmiejąc się:

«Otóż panie wojski, kiedyście Apolinem być nie chcieli, i jedno wam stać na Chirona, przywozim wam młodego Feba.

Prawie że z nieba.

Już on świat swoim geniuszem zadziwił, i imię Polskie daleko rozsławił, poeta uwieńczony, Stanisław Niegoszewski...»

«A — odrzekł z widoczną radością Kochanowski — ów młody mędrzec któremu uczony Aldo Manucci równego na całej ziemi nie widzi, co dziwem był Wenecyi, gdzie właśnie tej zimy tak nadzwyczajne odbył posiedzenie. - Zaszczyt dla mnie rzetelny mieć go pod dachem moim.» —

I podał rękę wysiadającemu młodzieńcowi, który uścisnąwszy ją z uszanowaniem powiedział może z nieco udaną skromnością i w rzymskiej mowie: «Trąby sławy często są omylne, zwłaszcza gdy odgłos idzie zdaleka; pragnąłbym jedynie Waszej Miłości kiedyś sprostać, i żyć w pamięci ludzkiej tak długo jak Jan Kochanowski.»

«Jeno wróć do ojczyzny, bracie, a pisz po polsku i po polsku rozprawiaj; Włochy bez naszego rozumu się obejdą, łacina też już od Horacego dojrzała i wyrobiona.» — Tak się odezwał najbliżej stojący młodzieńca i sam jeszcze młody, a po prawdzie tych słów i po zaniedbanym ubiorze poznać było Klonowicza.

«Wejdźcież do komnaty, panowie bracia — mówił gospodarz skończywszy powitania — niechże was przedstawię mojej Hannie i starszym córkom.»

«To pani i paniątka w komnacie? — przerwał Rej — tam do licha, bracie:

Kiedy Jejmość w izbie bawi,
Gość się czystą ślinką dławi.

«A biedny Mikołajek — dodał głaszcząc się po brzuchu — już od dwóch godzin nic nie dostał. — Bo Wasza Miłość, która mnie pierwszy raz w życiu widzisz — powiedział jeszcze wchodząc do komnaty, u drzwi której stała Kochanowska ze starszemi córkami — może nie wiesz, że stary Rej nic nie umie, jedno czapkę zdjąć, dobry dzień dać i o jadło pytać.»

«Godziż się obmawiać siebie — odrzekła z uśmiechem gospodyni — w Żywocie człowieka poczciwego innego Reja poznałam i takiego tylko znać pragnę.» — A skłoniwszy mu się głową, witała innych gości w miarę, jak ich mąż mianował, wyrażając im po prostu ale uprzejmie szczerą radość, że tylu zacnych panów, na raz w domu swoim przyjąć może. Córki kłaniały się także, otwierając wielkie oczy i nastawiając pilnie uszy, żeby i twarzy tylu sławnych osób się nauczyć, i jednego słowa z owych mądrych ust nie utracić. — Kochanowski tymczasem obnaszał się z flaszą anyżówki i ze srebrnym kubkiem, zachęcając do różnych przekąsek, które na stole na farfurkach leżały, a Rej zapijając i zajadając smaczno powtarzał: «Przegłodzenie najwdzięczniejszy przysmak żołądkom naszym; wszystko mi się tu nektarem i ambrozyą być widzi.»

«Bo i jest tak — wymówił dwornie Górnicki — czyż bogiń nie ma?» dodał wskazując na matkę i na córki. — Rozmowa z początku na przysadny ton nastrojona szła dosyć kulawo, jak to zwykle na wstępie kiedy wiele jest osób, a każda by rada coś grzecznego i dowcipnego powiedzieć. — Wysunęła się też wkrótce gospodyni i z córkami; po niedługiej chwili ukazała się już z jedną tylko Ewą, a z nadobnem przymileniem wzywając gości na skromny obiadek, podała rękę Rejowi. Pan starosta podał swoją pannie Ewie, lubo już Niegoszewski ramię był wyciągnął w tej samej chęci. Paprocki ze Stryjkowskim zetknęli się biodrami w progu i wtłoczyli się razem, inni certowali się przededrzwiami, prócz Grochowskiego z Rybińskim, którzy czekając spokojnie na boku, poszli w ostatniej parze do izby, gdzie stało czterech pachołków w porządnej barwie: Janaczek z wielką gałęzią lipową do much oganiania, Szymek przy kredensie dla podawania mis i talerzy; Jurek zaś i Gąsiorek wraz z starym piwnicznym pilnowali napojów, surowy mając od pana przykaz, żeby broń Boże żaden kufel, żadna szklenica nigdy próżne nie były.

Umywszy ręce u fontanny taką koleją jak przyszli, i otarłszy je szacownemi ręcznikami, goście zasiedli do stołu bez drożenia się i wahania, gdyż gospodarz sam znaczył każdemu miejsce. Rej tylko dopytywał się usilnie, gdzie misa? i tam chciał siedzieć, mówiąc:

«Zawdy ci więcej jedzą
Którzy bliżej misy siedzą.»

Ale mis jeszcze na stole nie było; kurzyły się w dwóch głębokich donicach z uszami, z pięknej gliny Iłżeckiej, korzenne i treściwe zupy; do wyboru rozdawane były dla każdego wielkiemi chochłami cynowemi, lecz wszyscy za przykładem pana Mikołaja zjedli i barszcz rumiany zawiesisty i złotą polewkę. «Barszcz ojciec, a polewka matka; mój żołądek dobry syn, oboje miłuje zarówno,» tak się tłómaczył z tego apetytu. — Jeden przecież Niegoszewski poprzestał na samym rosole; ledwo pokosztował ciężkich mięs z pierwszego dania, a kiedy mu Ewa nałożyła — jak innym — talerz pieczeni z cebulą, zakręcił nosa, i wyjąwszy z zanadrza jakąś flaszeczkę wąchał ją nieznacznie; odstawił też był na samym początku obiadu kufel tęgiego piwa, a prosił o jakie lekkie słodkie wino, albo o wodę. — To obejście się kawalera rzeczypospolitej Weneckiej w niesmak poszło panu Rejowi, który po dwa razy nabierał każdej potrawy, a za każdą wypróżniał kufel chmielowego soku, twierdząc iż to najlepszy sposób rychłego trawienia; mimo więc pełnych ust mięsiwa i ogórków, przebąknął z przekąsem jakby sam do siebie:

«Włochy tem się chlubią, że perfumy mają,
A też śmierdzieć nie mogą, bo cienko jadają;
Od Polaka perfuma, pieczenia z cebulą,
A potem konew piwa, aż się oczy stulą.»

Mimowolnie wszyscy głośnym śmiechem parsknęli na ten wierszyk trochę gruby ale niespodziany, a wyzwany młodzieniec dobrze się znalazł, bo chociaż pokraśniały mocniej okrągłe jego rumieńczyki, przecież rozśmiał się także i rzekł:

«Raczcie mi folgować, panowie bracia, kilkonastoletni pobyt we Włoszech a może więcej jeszcze praca osłabiły moją naturę; żołądek zcudzoziemczał ale serce zawsze polskie, wierzajcie. Zresztą może bym zwolna wrócił do dawnego, lecz teraz nieszczęsne losy chciały, aby wysiadłego z pocztowego woza panów Montelupich, skołatanego długą drogą z Wenecyi do Krakowa, synowiec pana Pszonki zdybał w Krakowie, i natychmiast porwał do Babina, gdzie mi przez cały dzień wczorajszy gwałtem jeść, pić i śmiać się kazano, a ja był chory i tęskny. Podobny ów tryb rzeczy pogorszył jeszcze mój stan, i zupełniem nie swój, wcale nie taki, jakimby tu rad się pokazał, jakim zwykle jestem.»

«Ale też Wasza Miłość tą kordyaką i niesmakiem zasłużyłeś sobie na urząd W e s o ł k a i Ż a r ł o k a rzeczypospolitej Babińskiej — przemówił ze śmiechem Paprocki — rzadsza nierównie godność, niżeli szlachcica i kawalera rzeczypospolitej Weneckiej — bo jedyna.»

«I od tej nominacyi jeszczem tęskliwszy i mniej jeść mogę niż przedtem, jakby na potwierdzenie słuszności mego patentu.» To mówiąc dobył z kieszeni zwój pargaminu z pieczęciami i podpisami, pokazując go Kochanowskiej i Ewie.

«Przyjmij ofiary kanclerza, panie Stanisławie — przemówił prawie ojcowskiem uczuciem Joachim Bielski — zostań z nami, a inne patenta i dyploma będziemy wnet widzieli w twoim ręku. Akademia Krakowska niebawem uczciłaby cię katedrą, a król zaszczytami.» — Na te słowa młodzieniec szukał odpowiedzi ale mu nie szła; Kochanowski widząc to zwrócił rozmowę na tor dawny i zapytał: «Długożeście bawili w Babinie, panowie bracia, i bawiliżeście się dobrze?»

«Niechcący zjechaliśmy się jak nas tu widzicie w przeciągu trzech dni — odpowiedział Górnicki — i pan Pszonka nazwał ten nasz zjazd sejmem.»

«Mnie już zastali — odezwał się Klonowicz — wiecie, panie wojski, że ja, jako blizki sąsiad dobiegam tam ile razy mogę, uciekając od urzędu i od żony...»

«Chcieliśmy też gwałtem — przerwał Rej który wypoczywał nieco, gdyż właśnie po zdjęciu pierwszego obrusa, pachołki drugie danie zastawiali — chcieliśmy wydać przywileje Babińskie panom Klonowiczowi i Paprockiemu i dozwolić jednemu dobrać sobie drugą żonę do żyjącej, a drugiemu wziąść aż trzy na raz, ale uciekali od płci białej jak djabeł od święconej wody. Dała im się snadź we znaki. Pan Bartosz zwłaszcza z takim zapałem powstawał przeciw małżeństwu, i bluźnił temu Boskiemu wynalazkowi, iż ja sam go podałem na dziewosłęba rzeczypospolitej Babińskiej: co pan Sebastyan ten został zausznikiem wysokich dygnitarzy, i pierwszym myśliwym rzeczypospolitej.» —

«Przecież nie tak już gładko idzie w Babinie — przemówił jeszcze Górnicki — lubo zawdy tęgo jedzą i piją, jak szło za nieboszczyka pana sędziego. Kiedy stary Pszonka przewodził i był starostą, a uczony Piotr Kaszowski kanclerzem, wtedy jaśniały złote czasy Babina, i już podobno się nigdy nie wrócą.» —

«Snadniej to przekazać następcy wioskę i piwnicę, niż dowcip i wesołość» — zawyrokował Klonowicz.

«Może się nam i tak wydaje, panie Łukaszu — powiedział Kochanowski — młodość wszystko krasi barwą swoją wschodzące to słońce, przy jego promieniach czarne skały rumiane się widzą. — Jakieżeście tam jeszcze urzęda rozdali, i kto trzymał protokół na tym waszym sejmie?»

«Ja — odpowiedział Stryjkowski — znacie co mnie łatwiej pisać niż mó-ó-ó-wić.»

«A co się tyczy urzędów i godności — dokończył Paprocki udało się nie najgorzej je porozdawać; panu Rejowi do

dawnych zaszczytów dodaliśmy urząd Postka czyli Suchotnika; pana Joachima, który od wszelkiej czci się bronił, pan starosta przezwał Chamem. I ksiądz kanonik z kwitkiem nie odjechał, ma patent.»

«Ksiądz kanonik — przerwał Stryjkowski — sam prosił o urząd ora-a-a — i minęło kilka sekund nim mu z ust wypadło leniwe — tora.»

«I dowodzisz nam czarne na białem, bratku — powiedział tymczasem Klonowicz — iż nie żadną intrygą stał się ten wybór znających się na rzeczy Babińczyków.»

«A mójże Szymon kochany — zapytał gospodarz lękając się żeby z tych żartów do grubych przycinków nie przyszło — cóż przecie dostał?»

«Jako młodzieniaszka przepomniano go na ten raz — odrzekł Rej oblizujący właśnie palce w tej chwili po chrupiącem uszku prosięcia — ale co tych dwóch panów — dodał wskazując na Rybińskiego i na Grochowskiego — którzy tam tyle mówili co i tu mówią — ja sam podałem na Gadułów Babińskich; i przeszło bez oporu.»

«Trzeba przecie, żeby ktoś słuchał kiedy inni rozprawiają» rzekł na swoją obronę Rybiński.

«I na świecie i w klasztorze przy starszych młodsi milczą» — przytoczył skromnie Grochowski.

«Panowie wracają ztąd do Babina?» — zapytała gospodyni.

«Wracamy dziś jeszcze na całą noc, jakeśmy to w liście naszym powiedzieli — odrzekł Bielski — musimy odwieźć panu Pszonce jego kolebki; u niego też zostały jakby w zastawie nasze konie i powózki, któremi każdy ruszy jutro wieczorem do domu; Wasza Miłość wiesz najlepiej, że kiedy luba żona i miłe dziatki czekają z utęsknieniem, trzeba wracać.» —

«Ja jutro skoro świt pospieszę do Krakowa — dodał Niegoszewski — mam tam niektóre sprawy, a czas mego bawienia się w ojczyznie krótki. Muszę się stawić w końcu jesieni w Wenecyi, na drugi publiczny popis, który spodziewam się lepszy będzie od pierwszego.» —

«Chciejże nam Wasza Miłość powtórzyć — odezwał się Górnicki — z czego to był złożony on pierwszy; jako mieszkańca wsi wieść o nim niedokładna mnie doszła.» —

«Długo by o tem mówić — odpowiedział kawaler — lecz dosyć będzie powiedzieć, że mając z przyrodzenia i z pracy łatwość wielką do tworzenia wierszów każdego rodzaju — przytem ogromną pamięć jak nikt podobno na całej ziemi, bom gotów tysiąc wierszy przeczytać i spamiętać — ogłosiłem na kilka miesięcy naprzód: «jako w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej, roku bieżącego w kościele ś. Jana i Pawła zacznę

dowodzić wszelkie teologiczne twierdzenia i całą Arystotelesa naukę, na zarzuty zaś jakie by mi kto czynił, odpowiem wierszem heksametrem i pentametrem, równie jak na bądź jakie w przedniejszych naukach zadanie lub zapytanie.» — Zbiegło się ludzi uczonych i ciekawych pełno, dotrzymałem obietnicy, rozprawa trwała całe dwa tygodnie, wszyscy się pomęczyli prócz mnie jednego, byłem okryty pochwałami i zaszczytami, a chciałbym drugim razem zebrać ich jeszcze więcej, przeto wcześnie sposobić się muszę. —

«Zadziwiająca rzecz prawdziwie — przemówił Kochanowski — tego rodzaju sławy nam dotąd nie dostawało.»

«Nie będzie ona jednak zupełna póki podobnego ogłoszenia na rynku Krakowskim nie otrąbią — dopowiedział Bielski — i do kościoła Panny Maryi na polski popis nas nie wezwą.»

«Bez wątpienia Polak winien siebie polskim rzeczom poświęcić — uchwycił Paprocki wyglądający zdawna podobnej sposobności — bierz ze mnie przykład, panie kawalerze. Oto niesłychaną pracą i wielkim nakładem napisałem dzieło, które ściągnie na mnie chmarę nieprzyjaciół, ale póki stanie szlachty w Polsce — to jest zapewne do skończenia świata — póty o Bartoszu Paprockim wspominać będą. — To mówiąc dobył z kieszeni księgę w czwórkę, kosztownie oprawną. — Jeszcze prawie wilgotna, przed kilkoma dniami wyjęta z pod pras Garwolczyka; godny przypis do Miłościwego Pana złożyłem nie dawniej jak szóstego bieżącego miesiąca, długom się wahał czy jego, czy swój umieścić konterfekt, ale rytownik niecnota nie wygotował Bartosza, musiałem na Batorym poprzestać. Jak się wam widzi? podobnyż?» —

Kochanowski wyciągnął rękę po otwartą księgę i rzekł spojrzawszy na wizerunek królewski: «Wcale podobny, jego brwi w łuk podniesione, jego wąs, broda przystrzyżona, czupryna niewielka, nos może ma nieco więcej zadarty, a tuszę mniej okazałą, ubiór, taki w jakim go widziałem raz ostatni: bekiesza z sobolem, żupan z złotogłowiu, guzy jakby konchy kamieńmi nasadzane, czapka nizka z piórkiem kapłoniem, jedna ręka w kieszeni, jak ma zwyczaj, ależ — ducha gdzie szukać? owego mądrego a przenikliwego spojrzenia, owej bohaterskiej postawy; włoskiego by pędzla na to potrzeba... Lecz zapominam patrzyć tytułu waszego dzieła: Herby rycerstwa Polskiego; dziękujemy wam panie bracie.»

«Podziękujecie spodziewam się jeszcze lepiej — odpowiedział pawiąc się autor — obaczcie jedno stronnicę 556.» —

«Domyślam się — wyrzekł Kochanowski spoglądając ukradkiem na żonę i zamykając księgę. — Wszak już są raki na stole, czegoż Wasza Miłość chcesz, abym i ja stary raki piekł?»

«To ja przeczytam — wniósł Górnicki biorąc księgę — wiem naprzód co tam nic nadto nie będzie: «Herb Korwin, ptak z pierścieniem O klejnocie Korwin, który zkąd a jako dawno do Polski przyniesion, o tymeś już czytał pod Ślepowronem, co za przodkowie tej familii jakiej zacności bywali. Tu w Polsce jakiej zacności, jakiego zawołania, jakiej ozdoby dom Kochanowskich, samego Jana imię daleko o tem znać dawa; z greckiemi, z łacińskiemi poety, które on wiek stary za najprzedniejsze liczył porównał; w naszym polskim języku przed nim nigdy, a po nim trudno będzie o takiego, coby z nim porównać miał.»

«A ja dodam jeszcze coś więcej do tej pochwały — przemówił Paprocki — wiersze które złożyłem w tej chwili:

Jan Kochanowski w Czarnolesie,
Wsi ojczystej mieszkając, takim wierszem śpiew
Jakiego i Helikon podobno nie miewa;
A snaćby mieli mówić po polsku Bogowie
Jużciby z Kochanowskim przestali na mowie.

«Dosyć, dosyć — wołał Jan zasłaniając sobie twarz talerzem, z którego właśnie zmiótł był dobrą porcyą ulubionej sobie potrawy — co tam chwalić czcze wiersze, oto lepiej jedzcie a chwalcie Sandomierskie flaki.»

«Kapusta i flaki, dobry obiad taki» powiedział Rej podsuwając powtórnie swój talerz Kochanowskiej — smaczna potrawa mnie zawsze do powtórzenia wzywa. — Ależ pani wojska — dodał — u was widzę nie obiadek jakeście mówili prowadząc nas tu, jeno całą gębą obiad; każdy wstawszy — jeźli wstać podoła — będzie mógł śmiało powiedzieć, że się objadł.»

«Wasza Miłość — odpowiedziała ze śmiechem gospodyni — zaraz by z bicza z jednego słowa dwa uczynić umie.»

«Bo jeno uważcie, moi mili — mówił dalej Rej, który mając już słuch nieco przytępiony nie zupełnie słyszał co na drugim końcu stołu mówiono — uważcie wielki rozum naszych przodków w układzie języka, na którym my szaleńcy długo się nie znali: jaka to trefność w nazwaniu codziennego a rozmaitego jadła: śniadanie: kiedy się je, na dworze jeszcze śniado; obiad, już wyłożyłem; podwieczorek, wieczerza, dosyć nazwać żeby wytłomaczyć; podkurek zaś, wielki mój przyjaciel, danym być powinien do łóżka o północy na zapianie kurka.» —

«Wy jednak pierwsi panie Reju — odezwał się tu Górnicki — dopatrzyliście owych szczególności, wy pierwsi z Polską mową tak igracie.»

«Taki gracie! pięknie panie starosto, wymyślać staremu, a pamiętaj no Wasza Miłość coście i wy nie dzisiejsi. A kto

to mnie już blizko przed dwudziestą laty w jakowymś Dworzaninie o podobne rzeczy obmawiał? Zresztą, mżoe tam z mdłou był kęs dowcipu w tej głowie, ale co dziś są nierównie lepsi odemnie, którym igraszka słów wypada z ust jak kamień z procy, z którymi ani się dogadasz. Na przykład vere nobilis pan Smolik, młody jeszcze a już kuty w konceptach. Wiecie co powiedział tej zimy? Oto idącemu ulicą w Krakowie zaszedł drogę żebrak, i mówi do niego: «Proszę Waszej Miłości na chleb.» — A on mu na to: «Jedz bracie sam, ja wolę iść do księdza biskupa, który mnie prosił na zraz pieczeni.» — On także kiedy go się niedawno pytano jak sobie uważa świętych odpowiedział: «U mnie najlepszy To-masz, a najgorszy Jadam.»

«Wybornie, udało się — mówili obecni śmiejąc się. — Niech żyje Smolik i Rej.»

«Lepszego pono od nas obudwóch stotkałem niedawno, zwłaszcza w sztuce odpowiadania na to, czego mu nie mówiono — prawił dalej rozochocony staruszek — a to prostego chłopa, kiedy zaś mówię prosty nie to się ma znaczyć co nie krzywy, ale że zgoła gbur. — Kasztelan Międzyrzecki jechał tej wiosny na zaloty, i mnie obrał sobie towarzyszem. Przyjechawszy rano do Łęk, pięknej wsi pod Krosnem, pytam się chłopa, bo lubię z niemi rozmawiać:

«A kto tę wieś trzyma?»

«Ziema a płoty» odpowiada mi.

«A któż tu panem?»

«Ten co ma najwięcej pieniędzy.»

«A któż tu starszym?»

«Jest tu baba co jej już przeszło sto lat.»

«A któż tu najwyższym?»

«Lipa nad kościołem, co ją oto widać.»

Zmiarkowawszy co już o wieś się nie dopytam, chciałem się dowiedzieć jaka pora: «Dalekoż południe?» mówię mu.

«Nie szło tędy, miły panie, niewiem jak daleko może być.»

Rozgniewany taką przebiegłością krzyczę na niego: «Ej! widzi mi się chłopie, weźmiesz w gębę.»

«Nie wezmę panie, bom nie pies, wolę w rękę jako człowiek.» — I to mówiąc nadstawia łapę, i dalibóg dałem mu złoty, bo mnie rozumu nauczył. Teraz znowu będąc w Żarkach pytam gospodyni: «Bije tu zegar?« Zegaru nie ma — odpowie — ale pan tęgo bije.» —

«Nasz lud ma swój własny, nienauczony, lecz wielki rozum» — przemówił Górnicki gdy ustały śmiechy temi konceptami wzbudzone.

«Tak — zwłaszcza kmiecie i pasterze pana Szymona» — rzekł Klonowicz.

«Temu zaprzeczam — mówił dalej pan starosta — właśnie bawiąc teraz parę tygodni w Krakowie, uczęszczałem oczywiście do kanclerza, i pan Szymon w gronie uczonych które zawsze tego wielkiego męża otacza, mówił nam najnowszą swoją sielankę: Zalotnicy. Niech się schowa Teokryt i Wirgili.»

«Czyby jej też usłyszyć nie można?» Ozwała się zgodna a nalegająca prośba z ust wszystkich, nawet z niewieścich.

«Całej niepamiętam i byłaby zbyt długa — rzekł z przyzwoitą skromnością młody poeta — ale kiedy taka łaskawa wola wasza powiem drugą połowę, pani wojskiej i pannie Ewie podoba się lepiej, w pierwszej Mopsus opiewał zaloty Amintasa do pięknej lecz leniwej i ospałej Neery, w tej Licydowe do mniej urodziwej ale dobrej gospodyni Likory:

«Wtenczas Likorys krowy w dojniku doiła
Licydas sieczkę rzezał. «Zawsześ mnie żywiła
Ręko moja; kto Bogu dufa a pracuje
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.»
Dziś sieczkę rzeżesz, sieczka nie rzeże się sama.
Likorys, przy tej ręce będzie dobrze nama.
Ręko moja, kto Bogu dufa a pracuje
Do ostatniej starości nędzy nie uczuje.
Panem się nikt nie rodzi; siła zostawiają
Dzieciom rodzice, siła dzieci utracają.
Praca skarb najpewniejszy; kto się spuści na nie
I za żywota ma chleb i po nim zostanie.
I ty Likory u mnie nie będziesz żebrała
Nie będziesz, gdy nie będziesz ze mną próżnowała.
Ręko moja...

Widziałem cię u tańca, i tak mi się zdało
Iżeć tamto igrzysko najmniej nie przystało
Lubo cię w pląsy wzięto, lub do gonionego.
Trudno ciągnąć, kto niema umysłu do czego.
Piękniej ci u roboty, w tejeś przodek miała
U robotyś mi naprzód do serca przystała.
Ręko moja...

Pomnisz? kiedyśmy byli pospołu na żniwie
Pszenicę wtenczas żęto na siedzianej niwie
Zagon twój był wedle mnie; tak ci tam służyło
Szczęście, że sierpa w ręku ledwie dojrzeć było.
Jeszcześ nam przyśpiewała; przyznać ci się muszę,
Chcąc się tobie przeciwieć, siliłem się z dusze
I mówiłem do siebie: «Boże! jeźli zdarzysz,
Niech taki zawsze robi wedle mnie towarzysz.
Ręko moja,..

Widziałem, pod kądzielą kiedyś siadywała
Samać się do wrzeciona nić z palca puszczała,
Jedwab nie będzie taki; u ciebie i spanie
Najpóźniejsze, u ciebie i najrańsze wstanie.
Tobie czeladź nakarmić, tobie pochędożyć
Wszystko w domu i wszystko na miejscu położyć
Ława zawsze chędoga, pomyte naczynie;
Mówiłem; komu cię Bóg da, z tobą nie zginie.
Ręko moja...

Jeźliś mi przyjacielem, podobno nie zgadnę;
Gdyś chusty polewała onegda czeladne,
Były też tam i moje, a iż w ręce były
Przyjaznej, przed inszemi jawnie to świadczyły.
Biało mię sobie nosisz, noś mię sobie biało,
Równemu z równym zawsze na święcie przystało.
Chędogo, choć ubogo; bodaj się święciły
Ręce twe zakasane, bodaj memi były!
Ręko moja...

Dworniczko, ty się teraz przesypiasz w południe
Likorys krowy doi; nie bardzo to cudnie
Spać we dnie gospodyni; jeszczeć się nie dała
Znać czeladka; snadź żeś jej mało doglądała.
Teraz masz wierną, potem niewiem jaka będzie.
Jakobyś sama siadła, gdzie Likorys siędzie:
I kropla tam nie zginie, i nie zadojone
Cielęta, i mleka są skopce napełnione.
Ręko moja...

Koso, palec to; czyli kto zaloty stroi,
Abo się zamyśliwa, a przy kosie stoi,
Prędzej w palec zawadzi? O moja Likory,
Wiesz ty jakom cierpliwy i jakom nie skory.
Róbwa już raczej na się; służba nie na wieki.
Niech ja twej pewien będę, ty mojej opieki.
Ręka rękę umywa, noga wspiera nogi,
Przy wiernym przjacielu żaden nie ubogi.
Więcej Bóg ma niż rozdał; jest nasza u niego
Cząstka też; nie opuszcza on człeka żadnego.
A kto w zakonie jego prowadzi swe życie,
Wszystko się zdarza, wszystko płynie tam obficie.
Dufajmy mu, a on nam niechaj błogosławi.
I kiedyż ten dzień będzie, gdy nas obu stawi
Przed ołtarzem? uspokój proszę myśli moje,
Wszakeś i ty człowiekiem; uspokój i swoje.»
Tak śpiewał a już sieczki wielka kupa była,
I Likorys namyślnie u krów się bawiła.»

Gdy skończył i powszechne zabrzmiały pochwały gładkości wiersza, naturalności obrazu, czystej moralności każdego zda-

nia, a zwłaszcza zwrotki, Ewa powiedziała cicho do matki: «O! gdyby to można uprosić tę śliczną sielankę u pana Szymonowicza, nasz pan Łukasz by przepisał, a jabym się nauczyła dla pana Filipa.»

«Wartałoby coby każdy z was, panowie bracia w Apolinie — rzekł gospodarz już nieco podchmielony i nie słysząc wcale słów córki — podobnie nas uraczyć chciał jak zacny pan Szymon, jużeśmy się piwa, miodu i lekkiego wina opili; czas się zbliża na lepsze, na alikanty, małwazye, na starego ojcowskiego węgrzyna, muzyka brzmi za oknem i do pieśni wzywa, trzecie danie na stole, pieczyste i trawy, jedzmy co żywo, skoro zdejmą trzeci obrus i słodycze nam postawią, pora będzie najlepsza. Dalej Biernas, dobywaj pleśnią okryte butelki, nagotujcie kolejne puhary. A niech tu Nastka — rzekł obracając się do pachołka — przyprowadzi naszą Safo, dziedziczkę mojej lutni.»

«Orszulkę! Orszulkę! ową nieporównaną dziecinę! — ozwali się ci wszyscy co już w Czarnolesie bywali i znali ją. — Zaprawdę godzi się nam pokazać to utajone bóstwo.» — I wpuściła stara piastunka śliczną dziecinę, która już oddawna stojąc podedrzwiami prosiła się do uczonych gości. Prosto z otwartemi ręczynkami do szyi ojca pobiegła, a gdy ją postawił na swoich kolanach, wszystkim obecnym wdzięczne oddawała ukłony, przykładała różane swoje paluszki do ust koralowych, i tym którzy jej znani byli posyłała głośne i lube pocałowania.

«Żywy anioł z nieba — mówił Rybiński z Grochowskim — Istna cnej Wenery dziecina» — powtarzali drudzy z Szymonowiczem.

«Słuchaj — powiedział do niej ojciec gdy już trochę z pochwałami ucichli — ci panowie umieją składać wiersze, tak jak i ty składać zaczynasz, może który z nich powie nam co swego, może i ja co powiem, pomyśl i ty, i powiesz nam także.»

«Zgoda — odpowiedziała głaszcząc ojca po wąsach — jedno pozwólcie niech pierwej trochę posłucham i napatrzę się.» I to mówiąc oczy jej ścigały różne ciasta i przysmaki, które pachołki znosili na farfurach i cynowych półmiskach i ustawiali już na ostatnim obrusie. Matka to spostrzegłszy dała jej kawałek piżmowanego ciasta, i ciało dziecięcia jadło, a duch widać było, że uważa i myśli.

«Któż zacznie?» — spytał Kochanowski nalewając szacowny puhar sędziwym węgrzynem. —

«O! już wybaczycie, panie Janie, nie wszyscy mówić będziemy — przerwał Górnicki — ja zupełnie się wymawiam; minęły już owe czasy kiedym składał rymy, kiedy to Wasza

Miłość zwałeś lutnię moją Orfeową. Jeno w Babinie mogłem podpisać się poetą.» —

«I ja tożsamo — odezwał się Bielski — moje wiersze w kole niewiast by uszły, ale nie w tem Muz siedlisku.»

«Będzie mówił kto zechce, i komu co ślina do ust przyniesie — oświadczył gospodarz — przymusu żadnego, wolność i swoboda bez granic. Puhar obejdzie kolej, dawniej, częstokroć na dnie, znajdywało się natchnienie, może tak i dziś będzie. Po starszemu na gałęź! Panie Mikołaju, wam wino i piosnka.»

«Wiecie co ja nie poeta, jedno wierszokleta — odrzekł Rej kładąc z pokorą lewą rękę na piersiach, a prawą wyciągając po kielich —

Jam prosty Polak, nigdzie nie jeżdżając
Tum się pasł na dziedzinie jako w lecie zając;
Z granice Polskiej miłej nigdziem nie wyjechał
A z młodu bardzom długo nauki zaniechał.»[1]

«Otóż i mamy wierszyk! — zawołał Kochanowski wesoło. — Z Waszą Miłością sprawa nie trudna, spełnijcie puhar do kogo wola wasza, już z popisu kwitujemy.»

Rej równie do wiersza jak do napoju ochoczy spełnił duszkiem złote naczynie, i zawołał na Klonowicza:

«W ręce wasze, panie Sebastyanie;
Wiersze u nas latoś bardzo tanie;
Powiesz byle co: ita, fita, mita,
I juźci kwita.»

»Tem ci lepiej — przebąknął Klonowicz — i wysączył wino z puharu co do ostatniej kropli — ale choćbym chciał z czem wystąpić bądź ladajakiem, niewiem zgoła czy potrafię — dodał powłócząc oczami i głosem zmienionym a rozwlekłym:

Trunek kto zbytnie pije, rozum w nim wygasza;
A kto bardzo dolewa — i duszę wystrasza.»

«Dajcież sobie święty pokój z podobnie zdrożnemi prawidłami — okrzyknął się Kochanowski — komu głowa bardzo cięży, dalej go pod kurek, oblać zimną wodą.» I dał znak dobrze znany Szymkowi i Jurkowi, którzy wziąwszy Klo-

[1] Ostatni ten wiersz inaczej jest wydrukowany w dziełach Reja, znać zmienił go do okoliczności.

nowicza pod ramiona zaprowadzili go do fontanny; nie wzgardził ową ablucyą, a kiedy tęgo zmaczany otrząsł się jak dziki źrebiec w kniei, i usiadł znowu do stołu żwawy i przytomny, kurzyło się z czarnej czupryny jak z kotła wrzącej wody.

«Ja tam — przemówił Kochanowski odpowiadając na dwuwiersz Klonowicza — wcale inaczej trzymam o trunku, i większy mam dla niego szacunek.

Jam nie dbał nigdy o złoto
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przedemną,
A przyjaciel pijał ze mną;
A tymczasem robotnicy
Pieczę mieli o piwnicy.
To wszystko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie.
Ani dbam o kasztelana
Trzymając się mocno dzbana.»

«Oto wierszyk gładki i uczony, choć pracy nie widać — wyrzekł pół głosem Rybiński — prawdziwy mistrz nasz pan wojski.»

«I chciano żeby przy tym stole my młodzi się odzywali» — dopowiedział Grochowski.

«Panu Kochanowskiemu snadniej niźli wielu innym, ofiary składać Muzom — rzekł tu Klonowicz — ma pokój w domu, i na własnym zagonie siedzi, ale zrób co przy uciążliwym urzędzie i przy złej żonie, dalipan, lepiej by sobie kamień młyński u szyi uwiązać i cisnąć się w wodę. Nie raz w mojej ubogiej komórce szukam spoczynku, natchnienia, a tu wbiega żona zapłomieniona, siada mi na karku żebym jej dał pieniędzy na stroje, na wino. Ledwie jej się ciężkim kosztem pozbędę, i do pióra wracam z rozkoszą, wpadają pachołkowie miejscy wołając: «Sądź sprawę — wyznacz gospodę — wyszukaj konia dla sługi pana wojewody co z listem do pana starosty jedzie.» Przyjdzie z nędzy i z rozpaczy skończyć gdzie życie w szpitalu, a dalibóg, gdyby człowiek miał swobodę pisałby i tworzył jako tako.

Ja kiedy się nad prosty gmin ku niebu na chwilę
Do Febusa wychylę,
Wnet frasunek zazdrościwy jakiś wróg przytoczy,
Który mnie zaś w gmin wtłoczy.
Trzeba bowiem animuszu niezamarszczonego
Do wiersza uczonego.
Kiedyby się nad rzeczką mogła włóka dostać
Mogłoby się co sprostać.»

«Piszecie wy i tak pięknie a niepospolicie — powiedział Górnicki — jeno zacznijcie podawać do druku dzieła wasze, niech je świat pozna.»

«Jeszcze nie tak rychło — odrzekł Klonowicz — ja lubię z niemi się pieścić samotnie, odczytywać, poprawiać, przepisywać, czytać temu kto mi się podoba, póki w tece, póki pisane, póty moje; a to mój skarb jedyny, Muzy całą moją pociechą...»

«A któż z śmiertelnych, któremu wyższego ducha dali bogowie znajdzie ją gdzieindziej? czyżby u ludzi szukać jakiej osłody? jeden cię nie oceni, drugi cię oczerni, trzeci okradnie.» — Te dumne a gorzkie słowa wymówił długo milczący Stryjkowski, a wymówił je zupełnie gładko, język jego bowiem miał tę własność, że go wino rozwięzywało. — «Ja od dzieciństwa — ciągnął dalej — z księgami żyłem, w nich się kochałem:

Małom darów Cerery — mogąc słusznie — użył,
Bom cnocie, sławie wiecznej nie brzuchowi służył;
Częstom obiad przerywał usilnem czytaniem,
I rozmaitych rzeczy w mózgu rozmyślaniem,
Częstom łyżkę porzucił, a jak w zachwyceniu
Wziąwszy pióro strawiłem wieczerzę w ćwiczeniu.»

«Szczęście przynajmniej co Wasza Miłość dziś ni łyżki ni szklenicy nie rzucił» — przebąknął z lekką urazą Rej, który skoro była o brzuchu mowa, zawsze to brał za przymówkę do siebie.

«Ja się też bynajmniej nie zapieram — odpowiedział Stryjkowski żywo — iż z Bachusem potykam się często i chętnie; w rocie Sylena rzadko bywam, a ilekroć mnie płomienie cypryjskiej pani chcą ogarnąć, helikońskiemi zdrojami je gaszę...»

Tu Kochanowska spojrzała nieznacznie na męża pytając go oczyma, czy jużby nie wypadało jej i córce wstać od stołu? ale on trząsnął głową. Orszulka jeszcze z niczem się nie popisała, nie dojadłszy pachnącego ciasta oparła czoło na ramieniu ojca, patrzyła błędnie, i prawie było widać myśli snujące się na tem czole.

«Słowiczku mój, odezwij, że się nam — powiedział Kochanowski całując ją w głowę — cóż dziś tak długo usta twoje zamknione? nigdy tego nie bywało.»

A ona odpowiedziała poważnie:

«Myślę ojcze. — Gości wiele
Zda się kwitnie nam wesele;

A tu może już gdzie z boku,
Łza jest w sercu, łza jest w oku.
Kto wie czy za tą pogodą
Chmur czarnych wiatry nie wiodą.
Jedna jest błoga kraina
Gdzie trosk niema ni goryczy;
Tam tonie każda godzina,
W źródle szczęścia i słodyczy;
I znowu wypływa
Słodka i szczęśliwa.
Tam słońce wieczyste świeci
Dla ludzkich dzieci.
Bo wszelka człowiecza trwoga
Ginie u Boga.»

Zdumieli się wszyscy zacząwszy od ojca, może nie tyle nad wierszykiem — gdyż wiedzieli, że dziewczę rymuje z taką łatwością jak ptaszki śpiewają — ile nad duchem wierszyka, lecz nikomu nawet ojcu nie przyszedł w porę, nie przypadł do smaku. — Kochanowski w którym przy wesołej biesiadzie odzywała się światowa żyłka i nałogi swawolnej nieco młodości, nie rad smutnym myślom — tem bardziej, że mu zaraz stawał przed oczami oddalony przyjaciel — powstał żwawo, oddał Orszulkę matce, a już nie źle podpiły porwał pełny puhar, kazał pootwierać wszystkie okna, muzyce grać huczno i wesoło, i jakby na kieł biorąc tak się z Anakreonem odezwał:

«Skoro w rękę wezmę czaszę
Wnet zełba troski wystraszę;
Więc iż mniemam, że mam wiele
Ztąd mi łacno o wesele.
Wieniec musi być na głowie,
A fraszka wszyscy panowie.
Kto się chce bić — obuj zbroję;
Ja przy kuflu przedsię stoję;
Bo tak mniemam iż upitym
Lepiej leżeć niż zabitym.»

Skoro taką nótę podał gospodarz, natychmiast Rej, Klonowicz, Górnicki, Paprocki, Stryjkowski, wszyscy zgoła całem gardłem wtórować mu zaczęli, przemówił i Rybiński z Grochowskim, bo któż przy dobrem winie w gronie wesołych przyjaciół nie rozochoci się, przyszła i łacina na stół, rozruchał się też i kawaler Niegoszewski, któremu lekkie na pozór bo słodkie wino, także w głowie zaczmyczyło. Zaczęły się snuć koncepta, żarty, dwuznaczne ucinki bardzo dowcipne i śmie-

szne; nie jeden z nich mógłby zająć przyzwoite miejsce między owemi fraszkami, których zacny Bohomolec nie wydrukował; ale skoro podobny tok rozmowa przybrała, a wina coraz natarczywiej wołano i dolewano, Kochanowska z Ewą i z Orszulką wyszła z izby. — Nie zdziwi to zapewne ani rozgniewa nikogo, że i ja pójdę za jej przykładem.

ROZDZIAŁ XXII.

Błądziłem gdym trosk nie znał, dziś lepszy karany.
Psalm CXVII.

Ostatni to był dzień wesoły dla Kochanowskiego. Nić złota którą usłużne Parki przędły dla niego od lat tylu, jakby zczerniała nagle w ich ręku, wróżąc zapewne rychłe całego wątku wysnucie, albo raczej chrześciańskich używając wyrażeń: Opatrzność chciała tej pięknej ale jeszcze do świata lgnącej duszy nadać hart najzbawienniejszy, hart nieszczęścia, by doskonalszą i oczyszczoną powołać do siebie. — Widzimy nieraz dotąd podobne przykłady. Człowiekowi zacnemu wszystko dobrze się powodzi, ma szacunek u ludzi, on w sobie, drudzy między sobą mówią: «Słusznie że tak jest, tak się należy, tak być powinno do końca.» Tymczasem niespodzianie gdyby nawałnica spływa na tego człowieka niedola, jak w wysokie i nad inne wybiegłe drzewo grom po gromie uderza, i wnet pada wśród przerażenia całej okolicy, może sam jeden przygotowany do tego ciosu, i wzbudza w znajomych sobie tę zbawienną trwogę: «Kiedyć jemu tak — cóż mnie?»

W kilka godzin po rozjechaniu się uczonych i podochoconych gości, po odmówieniu spólnych pacierzy — na ten raz bez gospodarza, gdyż rzuciwszy się na łóżko tak jak był ubrany zasnął, jeszcze przed zachodem słońca — Kochanowska gdy się już wszyscy położyli i usnęli, wstała koło północy i zaczęła według swego codziennego zwyczaju śpiącą dziatwę oglądać, patrzyć czy której czego nie brakuje, czy dobrze i przystojnie leży? Otulając Orszulkę która wszystko z siebie zrzuciła, dostrzegła w jej główce i rączkach wielkiego gorąca, i strwożyła się bardzo — jak zwyczajnie matka. Już nie wróciła do swego łóżka, nie położyła się, tylko zarzuciwszy biały mentlik, to stała po całym kwadransie nad kołyską córki, a zasłaniając świecę ręką wpatrywała się w nią, to znowu chodziła niepewnym krokiem po sypialnej izbie, i koiła coraz wzmagającą się niespokojność mówiąc w sobie: «Ej! próżno się turbuję,

jeszcze sobie zaszkodzić mogę ... ona dziś tyle osób widziała, tyle słyszała rzeczy, sama u stołu na taki poważny wierszyk się zdobyła, jadła więcej niż codzień, ciasta, słodyczy, pokarmów niezdrowych, podobno i wina dał jej ojciec, niema nic dziwnego, nic strasznego w tej gorączce. Już jej tak nie raz bywało: ona miewa często główkę rozpaloną. Oto niedawno po odwiedzinach kanclerza — pamiętam — takżem się wylękła, całej nocy nie zmrużyłam oka, a ona Bogu dzięki wstała nazajutrz zdrowa i wesoła. Będzie tak i jutro, da Bóg. — Muszę jednak prosić męża, żeby przez czas jakiś nie zachęcał jej do rymowania, do śpiewania, żeby się nie popisywał z nią przed nikim, żeby nawet psalmów swoich przed nią nie powtarzał. Muszę i Nastce przykazać żeby jej nie usypiała dumkami, innym dziewczętom naszym to nie szkodziło; ale ona wszelką mądrość jakby piła, jakby brała w siebie, wybujała nadto, rozwinęła się za prędko, jak kwiatek zbytecznie chodowany ... kiedyć ona przed rokiem mówiła! żadne z naszych dzieci takie nie było ... bo i kiedyż i gdzie, równie cudownem dzieckiem rodzice się chlubili... Pan Bóg zabrał jak swoje... —» A na to wspomnienie dreszcz zimny biedną matkę przechodził, krew jej cała zbiegała się do serca, serce biło prędko i boleśnie, najokropniejsze ogarniały ją przeczucia, przerażało ją wskroś samo milczenie w około niej panujące, przerywane tylko ciężkiem chrapaniem męża w alkowie, za kotarą. Były już chwile kiedy usłyszawszy bolesny jęk Orszulki, dziwacznych słów kilka, albo przyspieszonego jej oddechu, chciała budzić jak najprędzej Ewę, Ludwinę, Nastkę i dom cały, użyć wszystkich swoich sekretów lekarskich i zapasów apteki, ale bała się znowu zatrwożyć ojca może na próżno, zaszkodzić jego zdrowiu. — On staropolskim zwyczajem utrzymywał, że kiedy niekiedy upić się, stanie za lekarstwo, byle po takowej przeprawie użyć snu ciągłego najmniej przez godzin dwanaście, a potem przetrwać całą dobę o jednej misie czystego a kwaśnego barszczu. —

Przebyła więc caluteńką noc Kochanowska nie śpiąc, nie kładąc się nawet i biedząc się sama jedna, dopóki pierwszy błysk zorzy wpadający przez okiennice nie obudził Ludwiny, która zawsze przed wschodem słońca wstawała, i szła albo do ogrodu pod jabłoń swoją, albo do kómórki na górę, zacząć dzień z Bogiem.

Zwierzyła się jej matka z niespokojnością swoją znacznie nawet pomnożoną, gdyż Orszulka zamiast ochłodnąć nad rankiem coraz była gorętsza. — Pobożna a niedoświadczona dzieweczka mniej daleko się zatrwożyła od Kochanowskiej, uspokoiła ją nawet cokolwiek słowy swojemi, pełnemi jak jej dusza spokoju i świętej nadziei, a chcąc obecnością swoją matce ulżyć, i dać jej czas do naradzenia się z Nastką o oposobach

ratowania prędkiego chorej dzieciny, nie wyszła już dnia tego na swoją poranną modlitwę; usiadła przy kolebce i nie odstąpiła jej na chwilę, dopóki Ewa i inne siostry nie wstały, a i wtedy zamiast się udać na ulubioną samotność, wolała dzielić trudy i zachody rodziny i całego domu. —

Orszulki gorączka za każdą chwilą wzmagać się zdawała, a nabrzękłe jej policzki ogniem pałały. Koło szóstej godziny zerwała się, obudziła i usiadła na posłaniu, ale rysy jej twarzy były zmienione, oczy obłąkane, słowa bez ładu. Z razu ani matki, ani Nastki, ani sióstr przybiegających do niej skwapliwie nie poznawała, owszem odpychała je od siebie, widać było, że mocno cierpi, a gdy jej pytano co ją boli? nie odpowiadała wprost, tylko z jękiem mówiła: «Kto mnie kocha, kto Jezusa kocha, niech mi weźmie głowę: spali się, rozpadnie, nie wytrzymam.» — Poznawszy z tych słów gdzie było siedlisko choroby, Kochanowska przeczuciem macierzyńskiem wiedziona, chciała koniecznie okładać część cierpiącą zimną wodą, lodem gdyby był, ale Nastka i inne służebne, z których każda coś innego raiła, nie dopuściły tego najlepszego w takim razie ratunku: «Zabiłby panienkę jak muchę, sposób taki — mówiły ze zgrozą — kto zaś słyszał w gorącu oziębić nagle! a to śmierć gotowa, tu potów trzeba gwałtem — potów — a wszystko złe wyjdzie.» I jedna po drugiej znosiły dziecinie tęgie i wrzące napoje, przykrywały ją futrami, chcąc wzbudzić owe pożądane poty. Kochanowska przerażona nie mając odwagi leczyć własne dziecię, ową nauką której tyle dla innych ufała, i wziąźć jakby na siebie odpowiedzialność życia Orszulki, nie śmiała im się sprzeciwiać; otrzymała przecież, że jej pozwolili przystawić dziecinie po parze pijawek za uszami, i gorczycowe plastry położyć na nóżki. — Lecz mimo tych wszystkich środków żaden znak polepszenia się nie objawiał, i kiedy Kochanowski przebudziwszy się nareszcie koło dziewiątej godziny, wyszedł z za swojej kotary, kiedy po zebraniu i krzątaniu się tylu kobiet, po ich twarzach pomięszanych poznał zaraz, że coś się stało jego Orszulce, kiedy w całym nieładzie wczorajszego ubioru, z włosami najeżonemi od przestrachu, z osłupiałemi oczyma stanął nad jej kolebką, i obaczył ją zmienioną i całą we krwi, zawołał okropnym głosem: Zabiliście ją, już po niej, już niemam Orszulki, ona umrze.»

I w rzeczy samej każda chwila jakby potwierdzała ów straszliwy wyrok. Śmierć gdyby cień kiedy noc się zbliża, zachodziła coraz wyraźniej na te wczora jeszcze pełne życia oblicze, trzęsła widocznie z coraz większą siłą, ów owoc niedojrzały. — Wszystkie używane domowe i stręczone z całej wsi i z okolic lekarstwa, żadnego nie robiły skutku. Na próżno Nastka i Świtkę przyzwała po kryjomu do dworu, a o północy wpuściła ją do sypialnej izby, nic nie pomogły wszystkie sztuki

mniemanej czarownicy: odżegnywania, zaklęcia, mierzenia, smarowania, spluwania, na które Kochanowscy oboje patrzyli z daleka z pewnym wstrętem, ale przecież nie śmieli ich zabronić; dziecina ciągle pałała, zdawać się mogło, że na węgiel spłonie, taki żar bił od niej, osobliwie od głowy, która jakby rosła w oczach patrzących, tak były mocne w niej bicia pulsów, tak silne bóle. — Dzień i noc dziecię leżało w srogiej wewnętrznej walce i prawie bez zmysłów, rzekłbyś, że mdłe jeszcze i niedojrzałe ciało objąć już dłużej niemoże nadzwyczajnego ducha, że przerwała się nagle równowaga, która je czas jakiś w towarzystwie trzymała, i idzie w ziemię roztrzaskane śmiertelne naczynie, a anielski jego mieszkaniec leci w górę, zająć godniejsze między swemi miejsce. — Głosiły tę walkę ducha z ciałem, rychły jej koniec i tryumf, słowa wymykające się czasami z ust dzieciny. Były w nich własne jej myśli i wyrażenia, były i zastósowane psalmy ojca, a w każdem z tych słów z niewypowiedzianą boleścią rodziców, którzy prawie ciągle siedzieli nachyleni nad jej kołyską, było oczywiste znamie, że coś w niej przeczuwa rychłą i nieochybną śmierć, że to już wyrok zapadły, niecofniony, że nawet — co wyrzec okropnie, ale czego zapewne niemal każdy z nas doznał przy łożu śmiertelnem ukochanej osoby — już i modlić się za nią za późno, bo już sam Bóg dekret śmierci podpisał.

Raz szeptała dziecina jakby sama do siebie:

«Jam trawa com nie czekała
Razu kosy sieczącej,
Alem przed czasem zniszczała
Ogniem plagi gorącej.»

Drugi raz siadając nagle w kołysce, patrząc śmiało w najciemniejszy kąt izby skazywała palcem i mówiła mocnym głosem:

«Śmierci! próżno mi grozisz.
Nic mi nie straszliwe
Twoje strzały popędliwe
Choć tu stoisz tuż przedemną
Nie lękam się — Bóg mój ze mną. —
Ustąp miejsca aniołowi!»

a to mówiąc wskazywała w drugą stronę izby koło okna gdzie Ludwina modliła się w cichości:

Widzisz go jak składa ręce,
Słyszysz jak słodko on mówi:
«Przyszedł koniec twojej męce
Wezmę cię na me ramiona,
Orszulko będziesz zbawiona.»

I wznosząc oczy w górę śpiewała z psalmistą:

«Bóg nadzieja moja od pierwszego ranka!
Wisiałam u piersi drogiej matki mojej
A już byłam w opiece, liche dziecko, Twojej.» —

To powiedziawszy wyciągała ręczyny, szukała wzrokiem matki, przykładała z uczuciem ręce jej do spiekłych ust swoich, a widząc ją na pół żywą, wybladłą, łzami zalaną, odzywała się do niej już po swojemu, mową zupełnie naturalną, prawie wesołą:

A płacz, matko, proszę;
Ja idę do nieba,
Na czyste rozkosze;
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja luba córka,
Oblęcze się w piórka,
Z aniołkami siędzie.
Matko! źleż ci będzie
Mieć swego aniołka?

I zdawało się po nagłej zmianie jej twarzy z cierpiącej w swobodną, z ludzkiej w Boską prawie, że już jest owym aniołkiem, że już używa owych rozkoszy; głos czysty, silny, a słodki i nadziemski wypuszczając z siebie śpiewała jak w niebie śpiewają:

«Mój wiekuisty pasterz mnie pasie;
Nie zejdzie mi nic na żadnym czasie,
Zawiódł mnie w pasze niepospolite,
Nad zdroje żywej wody obfite.
Wszystkim on łaskaw którzy służą Jemu
Tak w małym wieku jako dorosłemu.»

A zaprzestając znowu i śpiewu i wiersza, jakby dla silniejszego przekonania rodziców mówiła z powagą, nie jak maleńka dziecina, ale jak dojrzała świętą mądrością osób: «Umrzeć! i co złego umrzeć? Jezusowi umrzeć — to wiecznie żyć.» — I wpadając jakby w zachwycenie, klękała w kołysce, składała ręce i modliła się z zapałem: «O! rychłoż pójdę? — wołała — rychło się ukażę Jezusowi memu?» I po chwili jak gdyby już widziała spełnienie modłów swoich mówiła z najwyższą radością:

«O! idzie, idzie mój Jezus drogi!
Trzyma go Dziewica w bieli
Otaczają ich anieli;
Rzucę ja im się pod nogi,

Przyjmie Dzieciątko dziecinę
Przytuli matka sierotę...»

I w tem miejscu przerywając sobie nagle, jak gdyby na ów ziemski wyraz sieroty coś ziemskiego odezwało się w niej całej, zaczynała płakać do łez, przychodziła na chwilę zupełnie do siebie, poznawała wszystkich, wracała do dziecinnego rozumu, do dziecęcej tkliwości, wołała na siostry po ich imieniu, żegnała się z każdą z osobna, zwłaszcza z najmłodszą, z pięcioletnią Hanną, żegnała się z Nastką, z czeladzią, wołała nawet do kolebki psy domowe, kazała siebie przynosić łątki i zabawki swoje, i z niemi także się żegnała, matkę i ojca przyciągała do siebie, całowała ich ręce, głaskała po twarzy mówiąc żałośnie: «Już ja wam służyć nie będę — już nie zasiędę mego miejsca za wdzięcznym stołem waszym — już nie będę za matką z kluczami chodzić — muszę jechać sama w ciemną, w daleką i nieznaną drogę — muszę zaniechać waszego domu na zawsze...» I prosiła żeby okiennice i okna w izbie otworzyli, żeby się mogła jeszcze choć trochę napatrzyć światła słonecznego...

I w takim, w podobnym stanie trwała trzy dni i trzy noce w ciągłym ogniu, w ciągłem cierpieniu, przyjmując i biorąc chętnie wszystkie lekarstwa, znosząc bez szemrania wszelkie boleści, dziękując za każdą usługę, nareszcie czwartej nocy jeszcze dobrze przed świtaniem, wyrzekłszy wyraźnie i głośno, te trzy święte imiona: «Jezus, Marya, Józef!» umilkła, mowa w niej ustała zupełnie, oczy się przewróciły i zamknęły na pół, wzmogło się okropne robienie piersiami, zaczęło się granie w gardle, zgoła, nastąpiło ostateczne pasowanie się śmierci z życiem, straszliwe konanie. —

Już od trzech dni w srogiem i prawie pewnem oczekiwaniu tego nieprzebłaganego gościa, rodzice na tak wyraźne objawienie blizkiego jego nadejścia, padli na środku izby na kolana bez siły, zbladli, skamieniali, ciężki żal, głośne szlochania, trwoga opanowały młode siostry umierającej Orszulki, sędziwą Nastkę i obecną czeladź domową, jedna tylko Ludwina zachowała przytomność, jak gdyby najwięcej oswojona z owym posłańcem wieczności, albo najmniej mająca przyczyn obawiać się go. Ona rozpaliła gromnicę, wizerunek ukrzyżowanego Zbawiciela postawiła przy kołysce, wzięła święconej Jordanowej wody, pokropiła nią męczącą się dziecinę i wszystko co koło niej było; obrazek Matki Boskiej włożyła jej w rączki, a klękłszy przy ogromnej świecy, zaczęła czytać z książki uroczyście a rzewliwie akty konających. Mimowolnie wszyscy poklękli i mówić za nią zaczęli. Matka odzyskała nawet tyle władzy i siły, że przyczołgała się do konającego dziecięcia swojego, a uniżywszy się przed Bogiem zdobyła się na owe

wielkie słowa: «Panie! stań się wola Twoja!» I w tej samej chwili zatrzęsła się kołyska, głęboki jęk dał się słyszeć, dech lekki wionął, płomień gromnicy zadrżał, i nagle wszystko przestało, zrobiło się wielkie, głębokie, uroczyste milczenie, a każdy poznał, że przyszła śmierć, bo takie milczenie to mowa śmierci. —

Niemam siły, niemam serca, a podobno i słów niemam do opisania tego co działo się w Czarnolesie przez pierwsze chwile po tem spełnionem nieszczęściu. — Żal matki któżby poważył się oddać? ktoby wysłowił ów ból jakiego doznawać musiała tracąc część samej siebie, umierając za życia, i musząc żyć, mimo tej cząstkowej śmierci swojej. — I na odmalowanie żalu ojca nie łatwoby się odważyć, ale jak w tym razie niema żadnej potrzeby się silić, i byłoby rodzajem świętokradztwa, gdyby na wydanie uczuć Kochanowskiego po stracie Orszuli szukać słów innych, kiedy nam zostawił Treny.

Po pierwszych momentach osłupienia jakie ogarnia najczęściej po wielkiem nieszczęściu, po oddaniu ostatniej posługi «swojej wdzięcznej, niepospolitej dziecinie» głęboka i czarna rozpacz objęła Kochanowskiego. Póki jeszcze była w domu jego Orszulka, póki leżała w trumience na środku komnaty otoczona świecami, okryta kwiściem, póki się mógł wpatrywać w tę twarz ukochaną, której śmierć wróciła anielską pogodę i uśmiech, póki mógł całować te rączki złożone, w których błyszczał ów krzyżyk turkusowy, dar kanclerza, póki się nie zamknęło nad nią wieko grobowe, póki jej nie złożył obok matki swojej, nie przysypał ziemią — póty znał jeszcze jakieś granice w żalu swoim; ale kiedy wrócił ze Zwolenia i dom pusty zastał, przez kilka dni chodził jak obłąkany, albo też pogrążony w myślach siedział gdyby martwy po całych godzinach, o nic się nie pytał, nic nie słyszał, nie jadł prawie, nie spał wcale, sprawy gospodarskie, przyjmowanie życzliwych krewnych i sąsiadów — którzy na odgłos niedoli zbiegali się do Czarnolasu — wszystkie trudy i zabiegi potocznego życia, wszystko to ciężyło na biednej matce, i może z rzetelnem jej dobrem, bo te konieczne zachody odrywały ją od jej żalu, albo też rozrzewniały do łez, co także ulgą jej było. — Kochanowski zaś czuł i okazywał zupełną oschłość i rozdraźnienie w smutku swoim, z gniewem, częściej z cierpką ironią odpowiadał na słowa pociechy przyjaciół, na zalecanie mądrości i pobożnego męztwa, na przytaczanie przykładów, jak ten lub ów karę nieba wytrzymał. Obrażało go kiedy dostrzegł w domu, że już tak wszystko idzie jak szło za życia jego Orszuli, kiedy dosłyszał kogo bądź mówiącego o czem innem jak o niej, spostrzegłszy raz w kącie na ziemi jednę z jej zabawek, obruszył się jakby na bezbożność jaką, pozbierał sam wszystko co do niej należało, całe jej ochędoztwo, wszystkie ubiory, zaniósł do

swego pokoju, rozłożył na najlepszem miejscu i karmił tym widokiem wzrok swój, nie dozwalając nawet żonie dotknąć się najdrobniejszej szaty. I ta tkliwa dusza, znękana, pognębiona, nie ukołysała się cokolwiek, nie wróciła do siebie dopóki ręka nie uchwyciła pióra, dopóki przepełnionych uczuć swoich nie wylał na papier. Dziesiątej nocy po śmierci Orszulki siedząc samotny w swoim pokoju, tak kreślił swoje żale, a łzy z oczu mu płynęły:

I.

Wszystkie płacze, wszystkie łzy Heraklitowe
I lamenty i skargi Simonidowe:
Wszystkie troski na świecie, wszystkie wzdychania
I żale, i frasunki, i rąk łamania:
Wszystkie a wszystkie zaraz w dom się mój znoście
A mnie płakać mej wdzięcznej dziewki pomożcie:
Z którą mię niepobożna śmierć rozdzieliła,
I wszystkich moich pociech nagle zbawiła!
Próżno płakać, podobno drudzy rzeczecie;
Cóż prze Bóg żywy, nie jest próżno na świecie?
Wszystko próżno, macamy gdzie miękcej w rzeczy,
A ono wszędy ciśnie; błąd, wiek człowieczy.
Niewiem co lżej, czy smutku jawnie żałować
Czyli się z przyrodzeniem gwałtem mocować.

II.

Jeślim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić
A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić:
Bodajżebych był raczej kolebkę kołysał
I z drugiemi nieważne mamkom pieśni pisał,
Któremiby dziecinki noworodne śpiły
I swoich wychowańców lamenty tuliły.
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było,
Niźli w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło:
Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziewczyny
I skarżyć się na srogość ciężkiej Prozerpiny.
O prawo krzywdy pełne! o znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!
Tak li moja Orszula jeszcze żyć na świecie
Niemiawszy, musiała w rannym umrzeć lecie?
I nienapatrzywszy się jasności słonecznej
Poszła nieboga widzieć kraj ów nocy wiecznej.
A bodaj ani była świata oglądała!
Co bowiem więcej jeno ród a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

III.

Wzgardziłaś mną, dziedziczko moja ucieszona!
Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona
Ojczyzna, niźlibyś ty przestać na niej miała.
To prawda, żeby była nigdy nie zrównała
Z rannym rozumem twoim, z pięknemi przymioty
Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony,
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
A ty pociecho moja, już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojej tęsknice ukrócisz.

IV.

Zgwałciłaś, niepobożna śmierci, oczy moje
Żem widział umierając miłe dziecię swoje;
Widziałem kiedyś trzęsła owoc niedojrzały
A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.
Nigdyćby ona była bez wielkiej żałości
Mojej umrzeć nie mogła; nigdy bez ciężkości
I serdecznego bólu, w któremkolwiek lecie
Mnie by smutnego była odbiegła na świecie:
Anim ja już z jej śmierci nigdy żałościwszy,
Nigdy smutniejszy nie mógł być, ani tęskliwszy,
A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim
Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim,
A przynajmniej tymczasem mogłem by odprawić
Wiek swój i Persephonie ostatniej się stawić
Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej żałości,
Której równia nie widzę w tej tu śmiertelności.
Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
Swoich najmilszych dziatek patrząc, skamieniała.

V.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem
Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem:
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc
Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc:
Tę, jeźli ostre ciernie, lub rodne pokrzywy
Uprzątając sadnik ów podciął skwapliwy,
Mdleje zaraz; a zbywszy siły przyrodzonej
Upada przed nogami matki ulubionej.
Tak ci się mej najmilszej Orszuli dostało;
Przed oczyma rodziców swoich rosnąc, mało
Od ziemi się zniósłszy, duchem zaraźliwym
Srogiej śmierci otchniona, rodzicom troskliwym
U nóg martwa upadła. O zła Persephono
Mogłaześ tak wielu łzom dać upłynąć płono!

VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo Słowiańska,
Na którą nie tylko moja cząstka ziemiańska
Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaść miała!
Tęś nadzieję już po sobie okazowała
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając.
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła; nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga.
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami:
A tyś ani umierając śpiewać przestała —
I matkę ucałowawszy takeś żegnała:
«Już ja tobie, moja matko służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.»
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej ... był jej głos ostateczny.
A matce słysząc żegnania tak żałośliwe
Dobre serce, że od żalu zostało żywe!

VII.

Nieszczęsne ochędóztwo, żałosne ubiory
        Mojej najmilszej córy;
Po co me smutne oczy za sobą ciągniecie?
        Żalu mi przydajecie.
Już ona członeczków swych wami nie odzieje.
        Nie masz, nie masz nadzieje!
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany!
        Już letniczek pisany
I uploteczki w niwecz, i paski złocone,
        Matczyne dary płone.
Nie do takiej łożnicy, moja dziewko droga,
        Miała cię mać uboga
Doprowadzić, nie takąć dać obiecowała
        Wyprawę, jakąć dała.
Giezłeczko tylko dała, a lichą tkaneczkę;
        Ojciec ziemi bryłeczkę
W główki włożył ... Niestetyż! i posag, i ona
        W jednej skrzynce zamkniona.

VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim
Moja droga Orszulo, tym zniknieniem swoim;

Pełno nas, a jakoby nikogo nie było;
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszystkich mówiła, za wszystkich śpiewała
Wszystkieś w domu kąciki zawdy pobiegała;
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytniem głowę psować.
Teraz wszystko umilkło, szczere pustki w domu
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu.
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje,
A serce swej pociechy darmo upatruje.

IX.

Żaden ojciec podobno bardziej nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziej nad mię nie żałował,
A też ledwie się kiedy dziecię urodziło
Coby łaski rodziców swych tak godne było!
Ochędożne, posłuszne, karne, niepieszczone,
Śpiewać, mówić, rymować, jako co uczone;
Każdego ukłon trafić, wyrazić postawę
Obyczaje panieńskie umieć i zabawę.
Roztropne, obyczajne, ludzkie, nie rzewliwe
Dobrowolne, układne, skromne i wstydliwe.
Nigdy ona pokarmu rano nie wspomniała
Aż pierwej Bogu swoje modlitwy oddała;
Nie poszła spać, aż pierwej matkę pozdrowiła
I zdrowie rodziców swych Bogu poruczyła.
Zawdy przeciwko ojcu wszystkie przebyć progi
Zawdy się uradować i przywitać z drogi;
Każdej roboty pomódz; do każdej posługi
Uprzedzić było wszystkie rodziców swych sługi.
A to tak w małym wieku sobie poczynała,
Że więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała.
Tak wiele cnót jej młodość i takich dzielności
Nie mogła znieść; upadła od swojej bujności
Żniwa nie doczekawszy. Kłosie mój jedyny,
Jeszcześ mi się był nie stał, a ja twej godziny
Nie czekając, znowu cię w smutną ziemię sieję;
Ale pospołu z tobą grzebię i nadzieję.

X.

Orszulo moja wdzięczna, gdzieś mi się podziała?
W którą stronę, w którąś się krainę udała?
Czyś ty nad wszystkie nieba wysoko wniesiona
I tam w liczbę aniołów małych policzona?
Czyliś do raju wzięta? czyliś na szczęśliwe
Wyspy zaprowadzona? czy cię przez tęskliwe,
Chàron jeziora wiezie i napawa zdrojem
Niepomnym, że ty nie wiesz nic o płaczu moim?

Czy człowieka zrzuciwszy i myśli dziewicze
Wzięłaś na się postawę i piórka słowicze?
Czyli się w czyscu czyścisz, jeśli z strony ciała
Jakakolwiek zmazeczka na tobie została?
Czyś po śmierci tam poszła, kędyś pierwej była
Niżeś się na mą ciężką żałość urodziła?
Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest, lituj mej żałości
A nie możesz li w dawnej swej całości,
Pociesz mię, jako możesz, a staw się przedemną,
Lubo snem, lubo cieniem, lub marą nikczemną!...

Tak wynurzywszy w nieśmiertelnym rymie żale swoje Kochanowski ulżył sercu, zmiękł, złagodniał, a oparłszy się na stole zawarł mimowolnie oczy i usnął sam niewiedząc kiedy, usnął podobno pierwszy raz od śmierci Orszulki, spał do rana i co mu się już od kilku miesięcy nie trafiło, matka mu się przyśniła, matka, której ukazanie się było dla niego — jak wiemy — zawsze dobrodziejstwem, bo jeżeli ją ujrzał w dniach szczęścia zwiastowała mu nową radość, jeźli w dniach trwogi lub smutku uspokojenie mu przynosiła, ale poco i ten sen jego nieudolnemi opisywać słowami, kiedy są jego własne tak piękne:

«Żałość moja długo w noc oczu mi nie dała
Zamknąć i zemdlonego upokoić ciała,
Ledwie mię na godzinę przed świtaniem swemi
Sen leniwy otoczył skrzydły czarnawemi.
Na ten czas mi się matka właśnie ukazała,
A na ręku Orszulę moją wdzięczną miała;
Jako więc po paciorek do mnie przychodziła
Skoro z swego posłania rano się ruszyła:
Giezłeczko białe na niej, włoski pokręcone,
Twarz rumiana, a oczy ku śmiechu skłonione.
Patrzę co dalej będzie? aż matka tak rzecze:
«Spisz, Janie, czy cię żałość twoja zwykła piecze?»
Zatymem ciężko westchnął i tak mi się zdało
Żem się ocknął. A ona pomilczawszy mało
Znowu mówić poczęła: «Twój nieutulony
Płacz, synu mój, przywiódł mię w te tu wasze strony
Z krain bardzo dalekich; a łzy gorzkie twoje
Przeszły aż i umarłych tajemne pokoje,
Przyniosłam ci na ręku wdzięczną dziewkę twoją
Abyś ją mógł oglądać jeszcze, a tę swoją
Serdeczną żałość ujął, która tak ujmuje
Sił twoich, i tak zdrowie nieznacznie twe psuje.
Czyli nas już umarłe macie za stracone
I którym już na wieki słońce jest zgaszone?
A my owszem żywiemy żywot tem ważniejszy
Czem nad to grube ciało duch jest szlachetniejszy.

Ziemia w ziemię się wraca; a duch z nieba dany
Miałby zginąć ani na miejsca swe wezwany?
O to się ty nie frasuj, a wierz niewątpliwie
Że twoja najmilejsza Orszuleczka żywie.
A tu więc takim ci się kształtem pokazała,
Jakoby się śmiertelnym oczom poznać dała:
Ale między anioły i duchy wiecznemi
Jako wdzięczna jutrzenka świeci, a za swemi
Rodzicami się modli, jako to umiała
Z wami będąc, choć jeszcze słów nie domawiała.
Jeźliże też ztąd roście żałość, że jej lata
Pierwej są przyłomione, niźli tego świata
Rozkoszy zażyć mogła: o! biedne i płone
Rozkosze wasze! które tak są usadzone
Że w nich więcej frasunków i żałości więcej;
Czego ty doznać możesz sam z siebie napręcej.
Ucieszyłeś się kiedy z dziewki twej tak wiele
Żeby pociecha twoja i ono wesele
Mogło porównać z twoim dzisiejszym kłopotem?
Nie rzeczesz tego widzę. Także trzymaj o tem
Jakoś doznał; ani się frasuj, że tak rana
Twojej ze wszech najmilszej dziewce śmierć zesłana.
Nie od rozkoszyć poszła; poszłać od trudności,
Od pracy, od frasunków, od łez, od żałości.
Czego świat ma tak wiele, że by też co było
W tym doczesnym żywocie człowieczeństwu miło:
Musi smak swój utracić przez wielkość przysady
A przynajmniej przez bojaźń nieuchronnej zdrady.
Czegóż płaczesz prze Boga? czegóż nie zażyła?
Że sobie swym posagiem Pana nie kupiła;
Że przegróżek i cudzych fuków nie słuchała,
Że boleści w rodzeniu dziatek nie uznała?
Ani umie powiedzieć, czego jej troskliwa
Matka doszła: co większem utrapieniem bywa,
Czy je rodzić czy je grzeźć? Takieć pospolicie
Przysmaki wasze, czem wy sobie świat słodzicie.
W niebie szczere rozkosze, a do tego wieczne,
Od wszelkiej przekazy wolne i bezpieczne.
Tu troski nie panują, tu pracy nie znają;
Tu nieszczęście, tu miejsca przygody nie mają;
Tu choroby nie najdzie, tu niemasz starości
Tu śmierć łzami karmiona niema już wolności.
Żyjem wiek nieprzeżyty, wiecznej używamy
Dobrej myśli; przyczyny wszystkich rzeczy znamy;
Słońce nam zawdy świeci, dzień nigdy nie schodzi
Ani za sobą nocy niewidomej wodzi;
Twórcę wszech rzeczy widzim w jego majestacie,
Czego wy w ciele będąc próżno upatrzacie.
Tu w czas obróć swe myśli a chowaj się na te
Nieodmienne, synu mój rozkosze bogate.

Doznałeś co świat umie, i jego kochanie
Lepiej na czem ważniejszem zasadź swe staranie.
Skryte są Pańskie sądy; co się Jemu zdało
Najlepiej żeby się też i nam podobało.
Tego się, synu trzymaj, a ludzkie przygody
Mężnie noś; jeden jest Pan smutku i nagrody.»
Tu zniknęła. Jam się też ocknął. Aczciem prawie
Nie pewien, jeźlim przez sen słuchał, czy na jawie.»

ROZDZIAŁ XXIII.

Tak przyjaciela przyjaciel żałuje.
Psalm XXXV.

Od tego pamiętnego snu, od tego nowego zjawienia się drogiej matki, Kochanowski stał się zupełnie innym człowiekiem. Zdawało się, że dobroczynna ręka stargane jego myśli rozplątała, że rozwiązała ściśnione serce, wskrzesiła obumarłego ducha. Nieznośna jego żałość, czarna rozpacz, ostre skargi przybrały barwę łagodnej tęsknoty, pobożnego smutku. Płakał, ale rzęsiste łzy jego gasiły żal, bo płacząc zgadzał się, podlegał, i modlił się. Najchętniej siadywał samotny to pod lipą swoją, to w pokoju, to na tarasie, ale już słuchał uprzejmie i z wdzięcznością słów pociechy sąsiadów i krewnych, rozmawiał poufale z żoną, z Ewą, a podobno najpoufalej z Ludwiną. — Dusza świętej, od ziemi oderwanej dzieweczki najlepiej przystawała teraz do jego duszy, bo i on widocznie dążył gdzieś wyżej, i u niego tracił cenę świat ten i sława jego, i on jawnie poznawać zaczynał, że wielkie a nienasycone serce człowieka dla samego «Boga jest uczynione i nikt jedno sam Bóg napełnić go nie może.» Z zupełną rzetelnością, z głęboką pokorą powtarzał z Jobem: «Pan dał, Pan wziął według upodobania Swego: niech imię Pańskie będzie pochwalone.» Zgoła, zrobił się takim, jakim by powinien być każdy chrześcianin, gdyby każdy mógł się zdobyć na podobną doskonałość: zupełnie oddany woli Boga, przyjmujący z ręki Jego smutek jak dawniej przyjmował wesele, gotowy na większe jeszcze ciosy, gotowy na śmierć i na życie, byle bądź co bądź łaskę Boga odzyskał a odzyskaną zachował.

.Więcej niż w tydzień po owym śnie błogosławionym, właśnie w wigilią Wniebowzięcia Najświętszej Panny, Kochanowski wstał przed słońcem, oświadczywszy żonie, że ani na śniadanie ani na obiad nie wróci, dosiadł swego siwosza i po-

jechał do Zwolenia. Tam oczyścił się wodami świętej pokuty, wzmocnił duszę chlebem żywota, potem objechał z kolei, Barycz, Jasieniec, Policznę, Grodek, wszędzie dostał prawdziwą jałmużnę serca: łzę rzewną i błogosławieństwo, a wróciwszy na parę godzin przed wieczorem zamknął się w swoim pokoju, i zaczął przeglądać swoje papiery. Lubo dzień był ciepły, wskrzesił ognia w kominie i większą połowę tych papierów spalił. Kiedy z wyrazem tajemnej radości patrzył jak ogień pożera owe świadki i dowody innych zapewne czasów i innych uczuć, żona zastukała nieśmiało do drzwi i wezwała go do wieczerzy. Przyszedł wkrótce zamyślony ale pogodny jasność nawet biła z oblicza jego, zjadł nieco więcej niż zwykle, rozmawiał o krewnych u których był, a obiecując rychły powrót, poszedł znowu do siebie. — Zdziwiło i ucieszyło bardzo to postępowanie i matkę i córki. Od rana rozmawiały między sobą: «Dziś dzień naznaczony na nieochybny pówrót kochanych wędrowników naszych, dawniej jeszcze przed tem nieszczęściem, ojciec tak często o tym dniu wspominał, tak go niecierpliwie wyglądał! Ile to razy on nam mówił, że skoro czternasty sierpnia zawita, ani zejdzie z tarasu, jedno od rana do wieczora wypatrywać ich będzie. Dziś, kiedy dzień ten nadszedł, wyjechał skoro świt z domu, jeździł w zupełnie inne strony, nie naprzeciwko nich, i zda się czy zapomniał, czy też całkiem dobrej jest nadziei.»

«Panu Bogu za tę łaskę dziękować! — dopowiadała Kochanowska —» więcej niż od tygodnia — mówiła ciszej — widzę ja w waszym ojcu zbawienną a wielką odmianę. Z razu zdawało mi się — Boże odpuść — że on nie dosyć pobożnie skaranie Pańskie przyjmuje, poważyłam się nawet niejakie przełożenia mu czynić, ale teraz on mnie zawstydz poddaniem się a pokorą swoją. Prawdać, on mąż — ja niewiasta ... i matka.»

«I jabym rada z duszy tyle być spokojną co ojciec o naszych podróżnych — odezwała się tu Ewa spuszczając głowę w robotę swoją — ale choć najmocniej chcę, to jakoś niemogę. Zdaje mi się, że pan Filip nigdy nie przyjedzie. — A cienkim ręcznikiem który wyszywała — (gdyż czaprak już zupełnie był skończony) obcierała pokryjomu łzy spadające jak groch z jej oczów, wstyd jej było bowiem i bała się obrazić Boga i rodziców, płacząc nie spełna w miesiąc po śmierci Orszulki, nad czem innem jak nad stratą siostry.

Patrząc jednak na rzeczy ludzkiem okiem, uważając je jak my ziemscy — po ziemsku — słuszniejsze były łzy Ewy od pogody Kochanowskiego.

Ukończywszy wydzielone na ten dzień roboty, matka i trzy starsze córki siedziały sobie koło pieca w kółko, czekając rychło ojciec przyjdzie na wieczorne modlitwy, a gwarząc pół

głosem wystawiały sobie — już nie po raz pierwszy — jakie smutne będzie jego powitanie z przyjacielem, radziły także: czy by nie wypadało uprzedzić pierwej jakim sposobem Podlodowskiego a przynajmniej Filipa? Już miały zamiar wyprawić pana Łukasza Gupolskiego do najbliższej wioski, przez którą musieli przejeżdżać, żeby czatował na nich, i oznajmił im przytrafione nieszczęście, kiedy Nastka — której od śmierci Orszulki z dziesięć lat przybyło — jeszcze bledsza i więcej zapłakana niż zwykle, weszła do izby, a skrywszy się cokolwiek za piec chciała nieznacznie wywołać Ewę. Lecz Kochanowska dostrzegła i pomięszanie jej i skinienie ręki, strwożona myśl jej, naprzód dwie najmłodsze córeczki Hannę i Marychnę objęła, ale siedziały obie w kącie izby zajęte układaniem i wiązaniem snopków z ziół rozmaitych, które jutro jako w dzień Matki Boskiej Zielnej zanieść miano do kościoła. «Czy pan nie zasłabł!» zawołała porywając się ze swego stołka.

«Pan zdrów — w swoim pokoju — odpowiedziała stara piastunka — ale...»

«Cóż ale! mów.»

«Oto pan rotmistrz przyjechał.»

«Pan rotmistrz!» — krzyknęła Ewa biegnąc ku drzwiom, a była radość w jej głosie, był wesoły pospiech w jej skoku, gdyż nie postało w tej chwili w jej głowie, żeby mogło być nieszczęście, kiedy jej Filip przyjechał. I otworzyła na oścież drzwi od sieni i ujrzała swego Filipa. Ależ jakiego? Oczy kochanki ledwie go poznały: zbladły, przestraszony, schudzony, zaniedbany w ubiorze, ukazał jej się jako gdy kto z trumny wstanie, albo gdy kogo krew uchodzi, nie rzucił się jej do nóg, nie przemówił słowa, tylko stał oparty o ścianę, jak zbieg, jak winowajca. —

Filip wracał sam. Przeczucia Kochanowskiego przy żegnaniu się z przyjacielem spełniły się, Podlodowski już nie żył od miesiąca. —

Cała podróż powiodła im się była jak najpomyślniej, koni zakupili piękniejszych niż pierwszym razem a samych arabskich, panu podkoniuszemu udało się z nadzwyczajnem szczęściem zadosyć uczynić tajemnym a ważnym poleceniom króla: przepatrzył całe wojsko tureckie, wszystkie ich siły, nazbierał wiadomości potrzebnych a pomyślnych nie mało, i wracał rad i wesół. Sam Filip nie mógł więcej przyspieszać drogi od niego, nie mógł być szczęśliwszym za każdą ujechaną milą, zdawało się, że i na niego czeka wierna Bogdanka.

Jakoż czekała — ale była to inna Bogdanka, chociaż także wierna i słowna, bo nigdy żadnego człowieka nie minie. — Podlodowski w pierwszej podróży swojej do Turcyi, zwrócił był na siebie oczy męzką urodą, wybornem jeżdżeniem na

koniu, a okazywaniem pieniędzy wzbudził chciwość w łotrach, na jakich wielkim stolicom i okolicom ich nigdy nie zbywa. Napadli na niego, on obronił im się, jak wiemy. Ale tym razem do wyrażonych powodów przybyły nowe, wyższe osoby, zmiarkowały w jakim celu przybył, jakie wywozi wiadomości, i zawyrokowały, że najlepiej będzie pozbyć go się. Użyto tych samych łotrów, ale im dodano ludzi i broni, i zbrodnia udała się.

Kiedy Podlodowski, Filip i służba ich już o mil kilkanaście od Carogrodu wypoczywali koniom w noc piękną księżycową, a czuwając rozmawiali mile o dniu powrotu do Czarnolasu, o radośniejszym jeszcze dniu wesela, nagle, z kilku stron napadła na nich potęga ludzi zbrojnych, więcej niż po sześciu było na każdego, ledwie też dosiąść koni swoich potrafili, ale nie podobną się stało rzeczą obronić się albo umknąć. — Cała służba Podlodowskiego legła, a najpierwej on sam mimo nadludzkiego męztwa z jakiem stawiał się napastnikom, mimo synowskiego poświęcenia z jakiem Filip go bronił. Nieszczęsny, ujrzał na własne oczy głowę ojca odciętą od karku i schwytaną z okrzykiem tryumfu przez łotrów, tym jedynie uszedł śmierci iż w tej chwili ugodzony kilkoma razami, z żalu, z bólu, i z wielkiej utraty krwi padł jak bez duszy, i zapewne dla jakiegoś niespodzianego popłochu zostawionym był na placu bitwy przez zbójców, którzy zabrawszy wszystkie inne ciała, bogactwa i cudności na podarki ślubne zakupione, konie co do jednego, uszli w las i w ciemnościach jego przepadli.

Ocalony prawie cudem Filip, nad rankiem budzić się zaczął zwolna. Jeszcze osłabiona myśl jego nie zdołała objąć tej całej straszliwej przygody, jeszcze niewiedział wcale gdzie jest, co się z nim dzieje, jeszcze powiek otworzyć nie mógł, kiedy posłyszał zdaleka stąpanie niepewne, nierówne, a coś w nim go ostrzegło, że to stąpanie wroga. Przeczuciem, utaił w sobie dech. Dwóch ludzi stanęło nad nim. «Nie żyje!» — odezwał się jeden z nich w mowie krajowej. — «Coś się tu okropnego dziać musiało tej nocy — rzekł drugi pół głosem — i nie na próżnośmy owe krzyki słyszeli z naszej jamy, legło tu więcej takich jak ten młodzieniec, krwi stoi kałuża, konie leżą pozabijane, szczątki obcych ubiorów i zbroi ... uciekajmy by nas nie schwytano...» — «Zdjąćby mu jednak warto ten cudny pierścień — przemówił znowu drugi — to rubin wielce szącowny, ja się znam.» — «Zgoda — dodał tamten — jedno żwawo.» I uchwycili bez oporu rękę Filipa. Ale ta ręka była stłuczona, zsiniała, opuchła, palce nabrzękłe, nie było więc można ściągnąć pierścienia, bez żadnej narady nożem rzecz swoją sprawili, a porwawszy pierścień z ciekącym krwią pal-

cem, uszli co tchu nie oglądając się, ile że usłyszeli jęk swojej wskrzeszonej ofiary.

Ból jaki Filip cierpiał w tej chwili wystawić sobie łatwo, lecz większy jeszcze był żal za pierścieniem, który Ewa sama na palec mu włożyła, z którym żegnała się tak tkliwie, który on pod ciężkiem zaklęciem przyrzekł złożyć kiedyś u nóg jej. Ten żal miłosny oczucił go zupełnie, ale oraz cała okropność większego daleko nieszczęścia padła mu na serce, stanęła przed oczami. Strata zakładu wiary kochanki znikła przed pamięcią owej głowy ojcowskiej, którą widział w ręku zbójców, która już odcięta zdawała się jeszcze patrzyć na niego... Zerwał się na nogi, chciał wołać, biedz, szukać zemsty — lecz sił mu brakło, padł znowu na ziemię, a na domiar boleści, cóż ujrzał koło siebie? oto ulubionego Turczynka bez życia. — Jak sobie w tej chwili przypominał, biedne zwierzę pierwej przed nim było upadło, a nawet dosyć daleko od miejsca, gdzie on w końcu bronił ojca stojący i oparty o drzewo, ale przyczołgał się snadź koń wierny, żeby skonać u nóg pana swego... Na ten widok łzy rzęsiste oblały pokrwawioną twarz rotmistrza i do reszty umysł jego rozjaśniły. Dwie chęci zajęły znękaną jego duszę: domagać się sprawiedliwości za tak straszliwe zabójstwo ojca i dobroczyńcy, i przekonać się jak najrychlej czy Ewa zdrowa, czy żyje, czy go kocha? bo w tej chwili, taka ogarnęła go rozpacz, takie zwątpienie, iż pewny był, że wszystko stracił od razu. — Odzyskawszy nieco sił, zawlókł się do najbliższej wiejskiej osady, gdzie go przecie poratowano. Świadomy z pierwszej podróży, jak długiego czasu potrzeba w Turcyi, do otrzymania sprawiedliwości, wreszcie bez pieniędzy, następującemi tylko aktami rozpoczął sprawę, złożył u kadego skargę, stawił świadków, którzy wraz z nim pobojowisko zwiedzili, zostawił znalezione szczątki szat i zbroi, oświadczył, że król Polski, wielki «Batury Isztywan» poszukiwać będzie zbrodni na jego urzędniku dokonanej, a to uczyniwszy obrócił się ku Polsce. — O ile mu dozwoliły bolesne choć nie niebezpieczne rany, o tyle dążył, tam, gdzie mogło jeszcze być szczęście dla osieroconego serca, jeźli Ewa żyje, jeźli mu sprzyja. Przecież, im więcej zbliżał się do Czarnolasu, tem spokojniejszy był o życie, o uczucia Bogdanki, a tym silniejsze dręczyły go wyrzuty, że się nie pomścił za ojca, że nie odszukał jego ciała, że bez tych drogich zwłok wracał, i dla tego stał w sieni jak winowajca, i kilka chwil minęło zanim osłupiała Kochanowska i córki jej zrozumieć potrafiły ze słów jego, co się stało.

Kiedy Filip te straszliwe rzeczy przerywano opowiadał, skaleczoną rękę pokazywał, a mowę jego głuszyły jęki i płacze niewieście i dziecinne, kiedy zacna Hanna zapominając własnej siostrzyńskiej boleści wołała tylko: «Ach! mąż mój! mąż mój!»

Kochanowski stanął niespodzianie wśród nich, a o nic się nie pytając, wszystko odgadł. Nie wydał ani krzyku, ani jęku, jednej łzy nie uronił, zachwiał się tylko cały, i oprzeć się musiał na stojącej najbliżej niego Ludwinie: «Tego ciosu mi niedostawało i tegom się spodziewał — rzekł z głęboką ale ze spokojną boleścią, — Pan jawnie przemawiać do mnie raczy, chce żebym od razu odżałował wszystkiego i gotował się nà trwalsze rozkosze. Niech imię Jego będzie pochwalone!» A usiadłszy na ławie, którą mu przysunęła żona, kazał powtórzyć Filipowi, to co już był niewiastom powiedział i słuchał go długo w cichości. — «Zobaczymy się Jakóbie!» — zawołał nareszcie jakby odpowiadając tajemnej myśli i uśmiechnął się nadobnie. — «Ale pierwej — dodał rumieniąc się nagle i wstając — dopełnić muszę ostatecznego obowiązku jaki przyjaźń na mnie wkłada, muszę otrzymać sprawiedliwość za tę niesłychaną zbrodnię, za to zgwałcenie prawa narodów, alboż to taka śmierć jemu się należała! nie byłoż mu już zginąć tyle razy w obronie ojczyzny?... Toż i ciała jego mam nie ujrzeć nigdy, nie ucałować tej wdzięcznej głowy?... Młodzieńcze — rzekł obracając się do Filipa — trzeba nam niebawem wybierać się do Lublina, tam król i kanclerz zjechać mają w tych dniach, tam konwokacya dla sądzenia Zborowskich się zbiera: ja sam całą sprawę przyjaciela przedstawię Miłościwemu Panu; on jej wysłucha, on się pomści, sprawiedliwy, on uczuje własną krzywdę, on szacował mego Jakóba... Należy jeno wszystkie okoliczności tej straszliwej przygody zebrać i wyłożyć jasno i dokładnie, należy je spisać, gdyż niewiem czyby mi pamięć wiernie służyć chciała...»

A według tego jak mówił tak i uczynił. Niepospolite ukazując męztwo, przez dni kilka prawie z zimną krwią wypytywał się Owadowskiego o najdrobniejsze szczegóły pobytu i czynności przyjaciela w Carogrodzie, okropnej jego śmierci, a potem w nocy spisywał wszystko u siebie i obszerną a wymowną układał obronę. Po kilku takich dniach i nocach, pożegnał żonę i córki błogosławiąc je, wydał rozkazy co do gospodarstwa, jak gdyby długą miała być jego niebytność, o resztę radzić się kazał bratanka Andrzeja z Gródka, i pojechał do Lublina, a z nim Filip który mimo zawsze równego żalu za przybranym ojcem, postrzegł w przyćmionych łzami oczach Ewy, usłyszał z pobladłych ust jej, że może być jeszcze dla niego szczęście na świecie.

Ale dla Kochanowskiego zbliżała się już ostateczna godzina, przeczuwał ją, i ledwie wyjechał za wrota domowe, otwarcie zaczął mówić Filipowi o śmierci swojej. «Niewiem dnia i godziny kiedy nastąpi — powtarzał — ale wiem, że przyjaciel

niedługo czekać będzie spełnienia młodzieńczej umowy naszej — zdawna, ten wyrok podpisany gdzieś wyżej. — Bóg nie opuści wdowy i sierot moich... Ty młodzieńcze, będziesz synem mojej Hannie, będziesz bratem sióstr mojej pierworodnej i mego pogrobka... Pan w miłosierdziu swojem oświecił mnie niedolą, nie lękam się śmierci, raczej lękałbym się życia!...»

I w takich uczuciach, wśród pogodnych zwierzań się stanął w Lublinie, już zastał króla i kanclerza, już też i wiedziano o straszliwem zabiciu Podlodowskiego. — Stefan Batory mocno zmartwiony stratą wiernego sługi, nie mniej był obruszony na krzywdę majestatowi swemu uczynioną, przystał więc jak najchętniej na żądanie przyjaciela i szwagra obżałowanego, który domagał się jak o łaskę, aby sam rzecznikiem był w tej sprawie. Wyznaczył mu publiczne posłuchanie na dwudziesty drugi sierpnia. Kochanowski lubo słaby dnia tego, nie chciał uledz bynajmniej przedstawieniom młodego Filipa i synowca swego Krzysztofa, którzy go namawiali oba, żeby wyjednał sobie u monarchy odłożenie tego stawienia się na dzień następny. «Nie — odpowiadał — pójdę, iść muszę, dziś albo nigdy.» — I zdawało się, że jakaś niewidoma siła ciągnie go do zamku królewskiego. — Lecz zaledwie wstąpił w podwoje, zaledwie wszedł do sali, gdzie zebranych było kilku panów i urzędników dworu czekających przybycia monarchy, a którzy wszyscy powstali by zacnego poetę powitać — padł pośrodku nich uderzony apopleksyą. — Przerażenie i żal rozległy się w jednej chwili po całym gmachu, sam król przyszedł do łoża na którem złożono tymczasowo znakomitego męża, lekarzom swoim ratować go kazał; Zamojski sam go ratował, sam trzymał obnażoną jego rękę do krwi upuszczenia, z której już krew iść nie chciała. — Daremne były wszelkie starania: Kochanowski raz tylko na jedną chwilę otworzył oczy i podniósł je w górę, widać było, że się modli, zawołał raz jedyny niewyraźnym głosem: «O Boże!» i oddał ducha na zawsze.

Zbyteczna żałoba okryłaby ostatnie karty tych obrazów gdybym tu wystawić chciała żywy żal sprawiony tą nagłą śmiercią Jana Kochanowskiego, a to nie tylko w owym Czarnolesie tak długo wesołym i szczęśliwym, ale w całej Polsce. Mało który człowiek z ówczesnych, potrafił sobie tylu przyjaciół pozyskać, tyle wysłużyć sławy, mało który poruszył więcej łez, wzbudził więcej żałobliwych głosów. Bielski umieścił zgon jego w swojej kronice, Szymonowicz, Klonowicz, Paprocki, Grochowski, Niegoszewski i wielu innych poetów, pienia grobowe nad nim nócili. Ciało jego w wielkim poczcie panów, szlachty i prostego ludu, odprowadzone zostało ze

czcią do Zwolenia i pochowane obok matki jego i wdzięcznej Orszuli, a strapionej wdowie każdy niósł słowo pociechy. Choć ona nieboga już innej odtąd nie znała jak w Bogu i w dzieciach.

W parę miesięcy po śmierci męża powiła pożądanego i obiecywanego syna; poczciwa Nastka zdążyła jeszcze wypiastować go sama, trzymał go do chrztu Jan Zamojski, dał mu ojca i własne imię. Wychował się szczęśliwie ów pogrobek «którego oczy ojcowskie nie widziały» a gdy dorósł, próbował iść w ślady rodzica poety, i wuja rycerza: takie mu przynajmniej daje świadectwo Twardowski w poemacie swoim: «Władysław czwarty.» Wyliczając wodzów ciągnących na wojnę za młodym jeszcze królewiczem, mówi:

«Dalej Jan Kochanowski, który cechowany
W Helikonie z Muzami, dotąd się Febową
Bawił lutnią, Korwinom zacnym swym nie nową;
Porzucił zakąt wiejski, teraz na pogany
Od strun wdzięcznych do trąby, od pióra do piki,
Obok między drugiemi stawa wojowniki.»

A w tymże samym poemacie poźniej opisuje, jako ów Jan w czasie walnej bitwy pod Cerkwią w takiem był niebezpieczeństwie, że aż mu sam królewicz na obronę przyspieszył. —

Ewa miała czas i porę dowieść drugim i sobie, że jej serce godne było uczuć i wzbudzić miłość stałą i prawdziwą. Związek jej z Filipem Owadowskim doznał wielu przeszkód i nie dla samej podwójnej żałoby odroczony został; sprawdziło się na nim stare przysłowie: «Zwłoka w ożenieniu zawsze bywa szkodna», przecież doszedł nareszcie do skutku. Główną przeszkodą stał się testament Podlodowskiego, który choć ręką samego króla stwierdzony po długich prawnych sporach był uznany za nieważny, brakowało mu bowiem konieczniejszego warunku ważności podobnego aktu: podpisu trzech, a przynajmniej dwóch świadków, ze wszelką tedy prawną słusznością dalecy i bogaci krewni Podlodowskiego rozdzielili między siebie znaczny jego spadek.

Po takim wyroku sądowym Filip zupełnie ubogi, chciał odstąpić ręki Ewy. Pan Franciszek do urazy nie skłonny, cokolwiek przekrzesany między ludźmi, a wstąpieniem matki do klasztoru, zupełny pan Policzny i dwóch innych wiosek, gotów był upomnieć się o dawne prawa swoje; odzywał się także zdaleka choć ostrożnie pan Krzysztof, oświadczał się przez pana Andrzeja z Gródka starszy Mysłowski, który zdawna wielki miał szacunek dla panny wojskiej, ale ona ani słuchać o żadnym chciała. «Ja nie Studzienicy i dostatkom

pana podkoniuszego, nie temu pierścieniowi, który Turcy tak okropnie porwali, jeno panu Fil'pqwi Owadowskiemu oddałam serce i przysięgłam wiarę; on żyje, on mnie zawsze żoną swoją mieć chce, ja za innego póki życia nie pójdę. Albo zakonnicą, albo rotmistrzową, to moja nieprzełamana wola, mam do jej dotrzymania dwóch ojców naszych błogosławieństwo.» Matka mimo przedstawień przezornych przyjaciół sprzeciwiać jej się nie chciała, pobrali się więc Filip i Ewa w rok i sześć niedziel po Kochanowskiego śmierci; wesele było ciche, bez kołaczy, bez tańców, w szczupłem gronie bliższych krewnych, stary pan Dobiesław ze łzami w oczach zastępował miejsce swego kochanego Janka... Już ułożono, że w Czarnolesie przy matce mieszkać będą, dopokąd pan młody nie upatrzy sobie jakiego kawałka chleba, kiedy niespodzianie królowa Anna uwiadomiona o tej całej okoliczności, rada okazać szacunek swój zmarłemu poecie, nadała pierworodnej jego córce Ewie z Czarnolasu i Filipowi Owadowskiemu jej małżonkowi, na przeżycie, cztery wioski w Radomskiem, a poznawszy bliżej roztropnego młodzieńca używała go do posług swoich. — Całe szczęście jakie Ewa marzyła sobie w Studzienicy znalazła w mniej malowniczym i spokojniejszym Jadowie, lubo brakowało obudwóch ojców, aby się niem cieszyli, przecież to jej szczęście nie było bez chmur, jak to zwykle szczęście świeckie, gdyż z licznych dziatek, jakiemi ją Pan Bóg obdarzył jednę tylko uchowała córkę, inne w dziecinnym wieku pomarły. —

Ludwina na pół roku przed siostrą wyrzekła wieczne śluby swoje. W ostatnich czasach pobytu jej w rodzicielskim domu, Bóg, zdaje się jakby z umysłu jej przedstawił wszelkie niedole i troski ziemskiego kochania, ażeby jeszcze tem silniej, tem ochotniej do Boskiego oblubieńca dążyła. Kwiaty jej wieńca nigdy nie zwiędły, owszem rozkwitały codzień z nowym wdziękiem, bo codzień rosła w pokorze i pobożności, codzień żywot jej ziemski ściślej się żenił z wiecznością, a kiedy pełna lat i dobrych uczynków skończyła tę doczesną wędrówkę, klasztór Sandomierski miał wielką ochotę starania się o policzenie jej w poczet świętych patronek Polskich, tak wiele okazała wysokich cnót, i dowodów łask nadprzyrodzonych.

Dorota w ośmnastym roku poszła za pana Franciszka, i znalazły się panny w sąsiedztwie co zazdrościły jej losu. Rozrodzili się bardzo ich potomkowie, tak po mieczu jak po kądzieli. —

Pan Krzysztof trzymał się ciągle posady swojej i nie źle na tem wyszedł. Obyczajem dworskim zgodził się i na «Szwedzika» skoro go ujrzał w koronie, umiał nawet pozyskać

łaski jego. Posłował do Turek, nie mało królewszczyzn nagromadził, i tak dobrze kierować się umiał, że jeszcze względów Władysława czwartego doznawał.

Co do innych osób historycznych wspominanych w tych obrazach, jako i o tem w jaki sposób się spełniły pożądane lub obawiane wróżby, dzieje krajowe najlepiej nauczyć mogą, chociaż niestety! smutniejsze jeszcze nastąpiły zmiany w Rzeczypospolitej, niźli w Czarnolesie. —

KONIEC.

PRZYPISY.

Str. 3. Z Białaczewskich Kochanowska. Zwyczajnie matkę Kochanowskiego zowią Odrowążówną. Ona była herbu Odrowąż, córką Andrzeja i Anny Białaczewskich z Policzny. Sam Jan tak ją nazywa w pięknym nagrobku, który położył rodzicom w Zwoleńskim kościele i który tu przytaczam jak go wypisałam po łacinie w roku 1826, i jak przetłómaczonym został.

Petro Kochanovio terrae Sandomiriensis judici
et Annae de Bialaczew ejus conjugi
Cum extinctis beneficii auctoribus, tenuis admodum
referendae gratiae supersit ratio
Joannes Kochanovius
Parentibus indulgentissimis hunc lapidem jugibus
rigatum lachrimis posuit.
Obierunt alter anno XLVII. supra MD. aetatis sui LXII.
Altera decennio post quinquagenaria VI. filiis
et filiabus IV. superstitibus.

Piotrowi Kochanowskiemu, sędziemu Sandomierskiemu
i Annie Białaczewskiej jego małżonce.
Gdy po zgaśnięciu dobroczyńców, tak mało pozostaje sposobów
do okazania wdzięczności
Jan Kochanowski
najlepszym rodzicom ten kamień skropiony łzami położył.
Umarł ojciec 47 lat nad 1500 rok, wieku swego 62go
Matka w dziesięć lat po pięćdziesięciu, sześciu synów
cztery córki zostawiwszy.

Str. 3. Polska od morza do morza. Polska za Stefana Batorego graniczyła na północ z morzem Baltyckiem i z Estonią na ten czas szwedzką, na wschód z carstwem moskiewskiem i krajem Tatarów, na południe z morzem Czarnem, Wołochami i Węgrami, na zachód z Szlązkiem, z margrabstwem Brandeburskiem i z księstwem Pomorskiem. Główniejsze jej rzeki były Wisła, Niemen i Dźwina płynące ku morzu Baltyckiemu, tudzież Dniepr, Bug i Dniestr ku Czarnemu morzu spływające. Dzieliła się na prowincye koronne, Wielkie księztwo litewskie i hołdujące księstwa pruskie i kurlandzkie. Główniejsze jej miasta były w Koronie: Kraków, Lwów, Kijów, Lublin, Warszawa; w Prusiech Toruń, Gdańsk, Elbląg, Królewiec; w Litwie Wilno, Grodno; w Inflantach Ryga. Ludność Polski do czternastu milionów głów dochodziła.

Str. 4. Jednym z największych królów. Stefan Batory godzien jest bez wątpienia tej pochwały, i pewno byłoby z Polską inaczej, gdyby był dłużej panował, gdyby miał następców podobnych sobie. Urodził się w Węgrzech, 27. września 1533. roku. Ojciec jego Stefan, za panowania króla węgierskiego Jana z Zapola, był wojewodą siedmiogrodzkim, matka zwała się Katarzyna Thelegdy. Miał dwóch braci i sióstr kilka, przeto kiedy dla szczupłości dziedzictwa na cząstki podzielonego od dawnej świetności ten dom odpadał, przyjął służbę u Ferdynanda, króla węgierskiego; Katarzynę, córkę tegoż króla (która była potem trzecią żoną Zygmunta Augusta) księciu mantuańskiemu, pierwszemu jej mężowi odwoził, i w tej podróży nie mało

światła i ogłady nabył. — Przeniósł się potem do Jana, syna króla węgierskiego, i od niego wysłany posłem do cesarza, pod pozorem naruszonego rozejmu trzy lata blizko był pod strażą trzymany. — Tych szczupłych początków fortuny swojej nie tylko się nie wstydził, ale rad o nich rozmawiał, i przez cały ciąg życia widać w nim było męża, co wytrwał wiele, co i złego i dobrego na świecie zażył. Czasu niewoli swojej użył na wartowanie ksiąg, ztąd rostropność rzeczy doświadczeniem, poznaniem ludzi i krajów nabytą, pomnożył pilnem czytaniem. Za przywróceniem wolności i po śmierci księcia Jana, mimo czterech innych spółubiegaczy na księstwo siedmiogrodzkie został wyniesiony roku 1571, i wnet dał poznać najznamienitsze panującego przymioty, które mu zjednały miłość poddanych, szacunek postronnych. — Kiedy po ucieczce króla Henryka zebrał się roku 1575, w listopadzie sejm elekcyjny pod Warszawą, między ubiegającymi się o tron polski, posłowie siedmiogrodzcy, Jerzy Blaudrata i Marcin Berzewicy przedstawili książęcia swego; zalecał go i Selim, sułtan turecki. — Pierwszą myśl starania się o koronę polską podał był Batoremu Samuel Zborowski pan polski i wygnaniec, który na dworze jego szukał przytułku. — Z razu niemiał on za sobą tylko Jędrzeja Zborowskiego, brata Samuela, ale wnet mimo licznych stronników za Ernestem austryackim (do których i nasz Kochanowski należał), mimo tych co Piasta mieć chcieli i podawali na króla albo Jana Kostkę wojewodę sandomierskiego, albo Jędrzeja Tęczyńskiego wojewodę bełzkiego, 14. grudnia tegoż roku, Anna Jagiellonka ogłoszoną została królową, a Stefan Batory przydany jej za małżonka, i oraz królem polskim mianowany. Posłowie jego następujące warunki przysięgli: Przyszły król obowięzuje się: 1. Prawa poprzysiądz i mocno trzymać; 2. Długi koronne zapłacić; 3. Cokolwiek Moskiewski posiadł zdobywać; 4. Wieczne przymierze z Turki i Tatary uczynić; 5. Granice wszędzie osadzić; 6. Przed swoim przyjazdem sto tysięcy Złp. przysłać; 7. Więźnie niedawno od Tatarów pobrane wyswobodzić. — Wyprawieni posłowie Polacy do księcia siedmiogrodzkiego z oznajmieniem mu wyboru Polaków, zastali go w Megeszu, usłyszeli od niego potwierdzenie zaprzysiężonych warunków i te słowa: «Daj Boże, aby to z dobrem i ze szczęściem waszem było; jać się od tego nie wymawiam, a królem waszym będąc tej waszej chęci zawsze wdzięcznym być pragnę i dla tego już ojczyzny swej miłej i swego wszystkiego tu odbiegam, wszystek na wiarę waszą się zdaję, i za zdrowie wasze gotów będę umrzeć. Boże daj, aby i inni wspólnie z wami mnie za pana sobie przyjęli, aby jaka wewnętrzna wojna (czego Boże strzeż) między wami nie urosła.» — I w kwietniu tegoż roku 1576 zjechać do Krakowa obiecał. — Od tej pory garnąć się do elekta mocno zaczęli, strona Piastów zupełnie upadła, od Austryaka wielu odbiegało, sama nawet niepewność, jakiego był Batory wyznania zwiększała liczbę jego przyjaciół, bo protestanci, których wówczas moc była między polskiemi panami, mienili go być swoim. Ale w tem się omylili, lubo całe prawie Węgry za nową idąc nauką od Rzymu się oderwały, familia Batorych nie wzruszoną została, i Stefan choć dla przemagających różnowierców w ziemi siedmiogrodzkiej, kryć się musiał z wyznaniem swojem, choć jako żółnierz prostą miał wiarę w zawiłości teologii się nie wdając, przecież dobrym był katolikiem. — To zaraz na wstępie oświadczył księdzu Sulikowskiemu wysłanemu do niego na granice Polski przez biskupa kujawskiego, i gdy 22. kwietnia 1576. roku do Krakowa zjechał, zaraz 1. maja wraz z Anną królową ozdoby królewskie, a nazajutrz sakrament małżeństwa z rąk tegoż biskupa przyjął; prymas bowiem Uchański do którego to z urzędu należało, strony Ernesta jeszcze się trzymał. — W trudnych bardzo okolicznościach objął Stefan Batory rządy polskie. Panowie i szlachta rozerwani niezgodą, oswojeni już ze swawolną zuchwałością — skutek różności wiar i dwóch burzliwych bezkrólewiów — omamieni błędnem a przesadzonem zdaniem o prawach i przywilejach swoich, skarb publiczny zupełnie wypróżniony, sąsiedzi zewsząd straszni, z jednej strony cesarz Maksymilian wielkie czynił do wojny przygotowania ujmując się za bratem, z drugiej Turek groził, Tatarzyn plądrował, Kozak się buntował, Szwed, Duńczyk zarwać co chciał z krajów Rzeczypospolitej, a Moskal tylko wisiał nad Litwą, i Inflanty niesłychanem mordował okrucieństwem — a tu naród długim pokojem za Zygmunta Augusta i wzmagającym się zbytkiem nieco zgnuśniały, niepomyślnemi wyprawami na Moskwę zniechęcony, odzwyczajać się zaczynał od oręża przekładając nad niego wygodny pokój, i nie tyle narażający duch intrygi. Do tego, dołączyć jeszcze należało dziwne wymagania niektórych panów,

żeby im się król wywdzięczył za ten tron, który mu naraili, i niechęć ich, jeźli na godniejszych łaski i urzęda zlewał. — Żeby temu wszystkiemu zaradzić, potrzeba było niepospolitych przymiotów; miał je Stefan i użył ich o ile zuchwalstwo panów i niesforność szlachty użyć mu ich dozwoliły, o ile nie skrępowały najlepszych jego chęci i wysokich pomysłów. Naprzód, okazał wielką a konieczną dla monarchy znajomość ludzi, dobierając sobie drugiego siebie w Janie Zamojskim; potem, umysły zjątrzone starał się dobrocią ułagodzić; najniechętniejszym nie odebrał ani starostw ani urzędów, do województw opierających mu się listy pełne ludzkości pisał, zapraszając do jednoczenia się z nim i z Rzecząpospolitą. Prusy opierały się najdłużej, uległy — gdy sam do Torunia zjechał; jeden Gdańsk się trzymał; porządne zebrawszy wojsko obległ go i wnet przymusił do błagania go o łaskę. Nareszcie, gdy mimo tych dzielnych środków jeszcze nie były wytępione kłótnie domowe, król Stefan użył najlepszego sposobu do rozerwania ich i poskromienia: przedsięwziął wojnę zagraniczną, a z tylu nieprzyjaciół wybrał tego, o którym wiedział, że nikt się za nim nie ujmie, którego groźna potęga urosła najwięcej przez gnuśność sąsiadów, i z którym już wygrał ten co się nie boi; nie zaczepił go jednak póki od innych się nie zabezpieczył. Wojna moskiewska okryła go chwałą, miał bowiem król Stefan wszystkie zalety wielkiego wodza: odwagę, przytomność umysłu, stałość, umiejętność, przemysł, który nie tylko do układu wypraw, do walnych obrotów, oblężeń, ale do najmniejszych szczegółów rozciągał. Umiał on obmyślić, wynaleźć i wydoskonalić to co do prowadzenia wojny należało, a przytem dusza jego rycerska miłowała wojnę. Skoro honor korony, honor narodu o jej potrzebie go przekonał, wojną tchnął, wojna wszystkie myśli jego zajmowała, chociaż przez wrodzoną dobroć serca bolał nieraz nad nieszczęściami które sprowadza; i tak pod Wielkiemi Łukami przy zdobyciu zamku, kiedy zobaczył stosy trupów niewiast i dzieci, i ziemię przesiąkłą krwią — zapłakał. Bo do zalet króla i wodza łączył Stefan Batory przymioty człowieka. Przez miłość sprawiedliwości, ażeby sprawy odwlekane nie były ustanowił główny trybunał w Koronie 1578, w Litwie 1581. roku; te zaś co przy nim zostały sądził sam pracowicie. Wdzięczność jego była wielka; jeźli nie zawsze mógł się odwdzięczyć tak prędko jak pragnął nie zapomniał przysługi, zasługę prawdziwą umiał także nagradzać. — W życiu codziennem był uprzejmy, ludzki; powaga majestatu w nim nie odrażała, pociągała owszem zaufaniem bynajmniej nie ubliżając dostojności. Wchodził z godnością w rozmowy sam dodając serca tym, których pańska powaga i chwała bohatera jakiej bojaźni nabawiała. Ta ludzkość ztąd pochodziła, iż dusza zahartowana wojną, nauką była złagodzona. Był rzetelnie uczony, prócz swego, niemiecki, włoski język posiadał, a łaciński tak doskonale, iż nawet w owym wieku nie łatwo mu było znaleźć równego. Nie tylko nim dobrze mówił ale pisał wybornie: manifest, który wydał ze Swira przed zaczęciem wyprawy na Moskwę, gdzie szeroko i poważnie wszystkie przyczyny tej wojny opisał, uważany jest za wzór łacińskiego stylu. Historyą znał gruntownie, starożytnych pisarzy prawie wszystkich przewertował, Juliusza Cezara ksiąg z ręki nie wypuszczał, i nad innych przekładał; uczonych wielce cenił; chciał kilku obcych sprowadzić do Polski, wielkie im ofiarując korzyści, założył akademią w Wilnie, w ołocku i w Rydze kollegia, a ponieważ lubił nauki i za najpiękniejszą ozdobę państw je uważał, lubił i Jezuitów, którzy wówczas prawie nad wszystkich zakonników uczeni byli, i opiekował się niemi więcej dla tego żeby rozszerzali światło, jak żeby wytępiali kacerstwo. Bo jakkolwiek dobry katolik dalekim był od prześladowania różnowierców i owej chęci nawracania, z której pochodzi zgraja obłudników wyrzekających się jednej wiary, a przyjmujących drugą tylko na pozór. Gdy mu też radzono gwałtem odszczepieńców do wyznania katolickiego niewolić, wyrzekł: «Ja panuję nad ludem, Bóg nad sumieniami, trzy albowiem są rzeczy, które Bóg zostawił sobie: z niczego coś zrobić, przyszłość wiedzieć, sumieniem władać.» W roku 1581, wolne wyznanie wiary wszystkim zapewnił, a tą samą ręką którą fundusze podpisywał Jezuitom, wydał wyrok przeciw studentom krakowskim, którzy śmieli zburzyć kościół i cmentarz protestantów w Krakowie; w sprawie senatora z żydem, żydowi sprawiedliwość przyznał mówiąc: «Tak pan jak żyd zarówno są pod opieką moją.» — I przecież taki wielki, taki dobry, taki wyrozumiały król miał przeciwników, potwarców, miał nawet takich co na życie jego nastawali; na sejmach nieśli mu skargi i obelgi zamiast dziękczynień i prawie żaden sejm

według myśli jego nie poszedł. — Zarzucano mu skłonność do gniewu wcale nie dziwną w wojowniku i w takich okolicznościach, przecież gwałtu żadnego nigdy się nie dopuścił, uskramiał gniew łatwo i przebaczać umiał. Inni zadawali mu zbyteczną oszczędność; był rządny, rzecz pewna, ale skarbów nie zbierał i żaden z królów tyle własnych pieniędzy na wojsko, na urzędników i sługi swoje nie wysypał. Jedną jego przywarą było przywiązanie zbyteczne do Węgrów, których było u niego «na dworze i w komorze» pełno, bez orszaku i straży których nigdzie się nie ruszył; naród ten do hardości i zdzierstwa skłonny przykrzył się Polakom i ta niechęć spływała na króla. — Stefan Batory był wzrostu nadmierny, dosyć otyły, twarzy pociągłej, dużej ale wielce przystojnej, płci śniadej żywym rumieńcem okraszonej, nosa kęs zakrzywionego z jakim Atylę malują, włosów czarnych, zębów dziwnie białych, brodę dosyć krótko podstrzygał, wąsy długie obyczajem Węgrów nosił; w pokarmie i napoju bardzo skromny, daleki od wszelkiej chełpliwości. O żadnych miłostkach jego nie wspominają dzieje. Łowy i konie lubił namiętnie. — Albertrandi. Bielski. Czacki i t. d.

Str. 4. Królową Polką. Rzadkim i prawdziwie szczęśliwym trafem, czego Stefanowi Batoremu niedostawać mogło na króla polskiego — bo cudzoziemcem był i nie umiał po polsku — to znowu złączyło się w królowej, zacnej Annie Jagiellonce, tej prawdziwej i ostatniej królowej Polce. Córka starego Zygmunta, urodzona i wychowana w Polsce, z której nigdy w życiu nie wyjechała, straciwszy rodziców, brata, rozdzielona z siostrami, Polska stanęła jej za wszystko; myśli, uczucia, prace, dostatki, wszystko jej poświęciła. Nic złego doczytać się o niej nigdzie nie można, sama potwarz ją oszczędzała; wszędzie wspomnienie o miłości jej do kraju, o czystej pobożności, o miłosierdziu bez granic, o cierpliwości w niedoli i w ubóstwie, o skromności w powodzeniu, o pracowitości, o usilności do zaprowadzenia i utrzymania zgody, tych prawdziwych cnotach niewieścich. — Już prawie pięćdziesiątletnia gotowa jednak była oddać rękę młodemu Henrykowi, który wstręt do niej okazywał wyraźny, byle zakończyć okropność bezkrólewia. — Kiedy po jego ucieczce jedna partya obrała ją królem, długo tego zaszczytu przyjąć niechciała zasmucona obywatelów rozdwojeniem, bojąc się być kłótni nowych przyczyną, nie chciała ani tronu, ani męża, tylko szczęścia i spokojności ojczyzny. Gdy jej Batorego za małżonka przeznaczono, pracowała nad zjednaniem mu wszystkich, pisała sama do prymasa zaklinając go, żeby się dał ubłagać: «Jakby pięknie było gdyby elekt w zgodzie nas zastał, rozumiałby o nas samo dobre.» — Po wstąpieniu Stefana na tron, nieprzyjaciele jego chcieli ją przeciw niemu pobudzić, wiedząc ile by mu to zaszkodziło w oczach narodu; mówili jej, że jej nie kocha, że o rozwód się stara; ona głucha była na te potwarze, karciła je nawet, a w tem już nie tyle miała zasługi, gdyż Stefan Batory jakkolwiek ośm lat od niej młodszy, i zapewne nie kochający ją miłością, był wyrozumiałym, dobrym mężem i miał dla niej przyzwoite względy. — Ponieważ monarcha wojną i sprawami państwa zajęty, zmieniający często miejsca pobytu, nie mógł, a może i nie chciał mieć okazałego dworu, ona ta staranie wzięła na siebie, to w Krakowie, to w Warszawie — gdzie zdawna mieszkać bardzo lubiła — utrzymywała powagę królewską i narodowe zwyczaje. Otaczała się ludźmi uczonemi, wspierała ich i nagradzała, nie tylko chowała przy sobie znaczną liczbę panien dworskich, które z troskliwością matki strzegła, ale wydawała je dobrze za mąż, posażąc uczciwie. Gromadkę miała dzieci szlacheckich ubogich, które pod jej okiem wychowanie brały, a starała im się o zacnych i światłych nauczycieli. Jednym z takich był ksiądz Prowancy z Chełmna, człowiek uczony i dziwnie słodkiego ułożenia, który potem był nauczycielem synów Zygmunta III. pod nazwiskiem Władysławskiego. — Rozczulającą jest, acz bynajmniej nie dziwną, miłość jej z siostrami; nie zmieniły jej ani czas ani oddalenie, pisywały do siebie po polsku, i wzajemnie wstawiały się jedna za drugą, kiedy tego zachodziła potrzeba. Oto w dowód wyjątek z listu Zofii Jagiellonki do stanów polskich z dnia 3. stycznia 1573. roku, kiedy już oddawna była księżną bruńswicką, na obcej ziemi: «...A co się tknie królewnej waszej a siostry naszej, która dosyć już pierwej, niewiem jakich ludzi sprawą, (którym Pan Bóg niech płaci) użyła wiele kłopotu i żałości przed śmiercią królewską, także i niedostatku, tedy prosimy was, niechaj niebędzie w tem sieroctwie swem ruszana z miejsca na miejsce; bo niewiem komu kwoli miałaby się z Warszawy pomykać, z miasta tego, które jej

stanowi, i dla nabożeństwa i dla bezpieczeństwa i przystojnego wczasu należy; prosimy i powtóre, żebyście jej ztamtąd nie ruszali ... niechaj nikt żadnych przyczyn nie najduje na tę cną dziewkę, a ubogą i opuściałą sierotę...» — Wszyscy nasi pisarze na to zgadzają się, iż ze śmiercią Anny Jagiellonki ustały starożytne i ojczyste na dworze polskim zwyczaje. — Ktoby chciał poznać ją lepiej niech przeczyta kazanie na jej pogrzebie księdza Piotra Skargi.

Str. 4. Jan Zamojski. Ten wielki mąż, wielki nawet w błędach swoich, twórca królów, który sam mógł był być królem, właśnie w tym roku 1584 był w samej sile wieku i na szczycie swego znaczenia. Miał lat czterdzieści trzy; sam znaczny posiadając majątek i piękne imię był wielkim kanclerzem, hetmanem koronnym, starostą bełzkim, knyszyńskim i krakowskim. Straciwszy dwie żony, Annę Ossolińską i Krystynę Radziwiłłownę, rok temu ożenił się był z Gryzeldą córką Krzysztofa księcia siedmiogrodzkiego, rodzonego brata króla Stefana. Wspaniałość książęca tych godów weselnych odbytych w Krakowie, w obliczu obojga królestwa, uczty, gonitwy a nadewszystko pieniądze rozrzucane po rynku krakowskim wiele do myślenia dawały, wiele też obudzały zazdrości. — «Stefan Batory — mówi Albertrandi — dał nie mały dowód swojej znajomości ludzi oceniając od razu Zamojskiego i stawiając go na właściwem miejscu. — On poznał iż w człowieku, co wiek cały na naukach przepędził, co z polityki, a to jeszcze krajowej dotąd był znany, tai się biegły minister, a w tym którego zazdrość «szkolnikiem» nazywała, wiekopomny bohater. Nie dosyć na tem poznał w nim szczerego, stałego i światłego przyjaciela, co go wspierać radą, dźwigać pomocą, cieszyć mógł w przeciwnościach i niesprawiedliwych prześladowaniach niewdzięcznego narodu, i stawić mu w swojej osobie onego rzadkiego człowieka, na którym pospolicie monarchom schodzi, to jest, osobistego, nieodstępnego przyjaciela, jakim, że był Zamojski w zupełności tego wyrazu, poznać ztąd można, iż życia ich, jak w rzeczy samej, za ich czasów, tak i w historyi są nieoddzielne.» — Oto dla pamięci krótka biografia Jana Zamojskiego:

Rodził się 1. kwietnia 1541. roku, uczył się w Krasnymstawie pod Wojciechem Ostrowskim, roku 1558 wysłany do Paryża do dworu Delfina Franciszka; tam znudzony zabawami rzuca dwór, kryje się i oddaje się cały naukom.

Z rozkazu rodzicielskiego jedzie do Strasburga ćwiczyć się w nowej wierze — której ojciec sprzyjał.

Z kościołem pragnąc trzymać jedzie do Włoch, i w Padwie roku 1563 mianowamy jest rektorem — tam wydaje księgi o senacie rzymskim po łacinie. —

Roku 1566 wróciwszy do kraju trzy lata pracowite spędza nad wartowaniem i układaniem archiwów publicznych i tam dzieje, charakter, wady i potrzeby narodu swego poznaje.

Zygmunt August mianuje go starostą bełzkim.

Henryk Walezy daje mu dobra knyszyńskie.

Stefan Batory zaszczyca go na wstępie mniejszą pieczęcią po Wolskim, a nieco później wielką.

W wojnie moskiewskiej 1581. roku kiedy Mielecki hetman złożył buławę mianuje go wielkim hetmanem — dalej starostą krakowskim.

Sławne wesele z Batorówną odbyło się 12. czerwca 1583.

Zamojski umarł 3. czerwca 1605. roku, zostawiając z czwartej żony, Zofii Tarnowskiej, jednego syna Tomasza.

Str. 4. Hanna Dorota Podlodowska. Niektórzy dają jej imię Anny, drudzy, a między niemi Januszowski w dedykacyi pism Kochanowskiego zowie ją Dorotą, miała więc zapewne oba te imiona; my ją zwać będziemy Hanną, gdyż tak ją nazywał jej mąż, czego dowód w jego elegii łacińskiej do biskupa krakowskiego, w której zaprasza go do Czarnolasu, oto z niej wyjątek przekładu Brodzińskiego:

Tu gdy cię miejska wrzawa już cieszyć nie zdoła
Zawróć, Myszkowski, wartkie twej kolasy koła;
Progiem lichego domku nie wzgardzisz, bogaty,
Bo mają lary swoje i ubogie chaty.
Indziej, niechaj przysionek zadziwi cię złoty
I Paryjskiego Skopa kunsztowne roboty;

Tu masz pokój nadobny, bez musu zabawy
Owoc prosto z gałązek i lekkie potrawy,
Ranne ptaków przetwory i powietrze czyste,
Zwierciadlane jeziora i gaje cieniste;
Tu zabawą jeleniom zastawione sieci
Albo lep, w który ptastwo nieobaczne leci;
A wdzięczna Hanna moja, co przez lato zbierze
Tak miłemu gościowi poznosi w ofierze,
Przy stole na skinienia twoje będzie czuwać
I z winem napoczęte kielichy posuwać;
Skromnie poprosi, byś chciał ubóstwu przebaczyć,
Gdyby mogła radaby nektarem cię raczyć.

Podlodowskich ród był starodawny i zalecał się zasłużonemi ludźmi i senatorami możnemi. Jan Podlodowski był kasztelanem żarnowskim roku 1445, Jakób kasztelanem radomskim 1460. «Wieku mego — pisze Paprocki w herbach rycerstwa polskiego 1584. roku — byli ludzie znaczni w tym domu, na dworze króla polskiego, Rzeczypospolitej zasłużeni, na posługach jej bywając niepodłemi.» Górnicki w swoim Dworzaninie wspomina o Lupie Podlodowskim, mężu wielkich zalet. Stanisław Podlodowski wsławił się jako poseł ziem ruskich na sejmie piotrkowskim 1547. roku ze śmiałej mowy do Zygmunta I.

Str. 4. Ciennik altana; mówiono także dawniej chłodnik.
— Różańce z klekoczki. Staphylea pinnata, — nasienie jej wygląda jak paciorki. — Różańce ś. Dominik postanowił, który żył w końcu 12. wieku i w początkach 13. Różańce bardzo wzięte były w Polsce.

Str. 5. Drugą Odprawę posłów. Kochanowski jest autorem pierwszego dramatu polskiego pod tym tytułem. Graną była pierwszy raz w Jazdowie pod Warszawą, przed królem Stefanem i królową Anną, na weselu Jana Zamojskiego z drugą żoną Krystyną Radziwiłłowną dnia 12. stycznia 1578. Jest list Kochanowskiego który pisał przesyłając ją do Zamojskiego, a w nim te słowa. «...Posyłam Waszej Miłości tym śmielej chocia niemasz co, żem to jeszcze z przodku opowiadał, że to nie miało być ad amussim (wedle reguł) bo mistrz nie po temu.» — Przecież mimo tej skromności, Odprawa posłów wielką ma wartość. Spółcześni może jej zupełnie ani ocenili ani zrozumieli, Stanisławowscy krytycy całkiem nie poznali się na niej, ale zdaniem dzisiejszych znawców jest to doskonały dramat grecki, jakim żadna literatura obca do Ifigenii Goethego poszczycić się nie może, tak co do prostości intrygi, jak co do rozkładu scen, do naturalności dyalogu, piękności i rozmaitości wiersza. Kochanowski tak wysoki nawet objawia w niej talent, iż gdybyśmy byli mieli wówczas scenę polską, byłby zapewne jej ozdobą. Odprawa posłów dziś odegrana przez takich klasycznych aktorów jak n. p. panna Rachel. śpiewanemi chórami zrobiłaby niewątpliwie wielkie wrażenie; uznałby w niej każdy prawdziwą etiudę grecką (jak ją nazwał Mickiewicz) przez artystę wypracowaną. —

Str. 5. Przed wojną moskiewską. Ta wojna tyle głośna i zaszczytna wspominana już wyżej, uchwaloną została na sejmie warszawskim 1578. roku a zakończyła się 1582 traktatem pokoju w Zapolu zaczętym, w Kiwerowej horce podpisanym; zawarty on był na lat dziesięć między Stefanem polskim i Iwanem moskiewskim, obowięzującym jednak tylko do życia zobopólnego ich obudwóch. Skutkiem tego traktatu Wielkie Łuki, Psków, Wieliż, Uświat, i inne wielkie grody zabrane i zburzone przez Polaków oddano Moskwie; ta wzajemnie wszelkich do Inflant odstąpiła pretensyi, a Połock ze wszystkiemi bliższemi zamkami utracony z wielką hańbą 1563. roku za Zygmunta Augusta, wrócił do Polski. — I jak Kochanowski napisał:

Znowu tedy zkąd był wyszedł
W ręce polskie Połock przyszedł,
Za powodem szczęśliwego
Stefana króla polskiego.

Moskwa niesłychane straty w tej wojnie poniosła: kawał kraju spustoszony, trzykroć sto tysięcy zabitych, młodzieńców samych wziętych do niewoli do czterdziestu tysięcy, i nie było w wojsku polskiem najuboższego szlachcica, któryby najmniej trzech, czterech synów moskiewskich nie przyprowadził do domu. —

Str. 6. Zemły Wiślickie. Jeźli wierzyć dawnemu przysłowiu, te cztery rzeczy były w Koronie najlepsze:

Krakowski trzewik,
Poznańska panna
Przemyskie piwo
Wiślicka zemła.

Str. 7. Staropolskiego piwa. Wszystkie nasze dawne dzieła i sam język świadczą jako ten napój najwięcej był u nas używany. Piwnica zowie się od piwa; podchmielić sobie od chmielu, który piwu tęgość daje, a nawet samo słowo pić pijak, niewiem czy z piwem niema stósunku.

Str. 7. Kordyaczny, Kordyaka, to sama znaczyło co dziś nerwowy, spazmy. Kordyaka była uważana nie tyle jeszcze jako choroba, raczej jak pokusa, którą wszelkiemi siłami ducha zwyciężać należało. «Kordyaczny — pisze Skarga — wesołej myśli nie miał, boleć a wzdychać, serca trzęsienie jakby z przestrachu cierpieć musiał, spać dla ciężkości nie mógł» wszystko za sprawą złego ducha. — Niewyrachowane też to szkody wynikają z zaniedbania ojczystego języka, bez wątpienia owa choroba dobrego tonu — którą wiele kobiet udawało, póki jej na prawdę nie dostały — nie byłaby się tak zagęściła u nas zwłaszcza w początkach tego wieku, gdyby zamiast mówić: «ma słabe nerwy, cierpi spazmy» mówiono po prostu: «dostała kordyaki» a zamiast przepisać podróż za granicę, do wód modnych, żeby byli nakazali modlić się, pościć, iść do spowiedzi, biczować się.

Str. 8. Pod jednemi znakami niebieskiemi. Nie trzeba zdaje się przypominać iż wiek szesnasty mimo całego światła jakiem zajaśniał, był jeszcze wiekiem, w którym astrologia, owa nauka gwiazd, a raczej wiara w gwiazdy i w ów wpływ, jaki ich bieg wywierać ma na życie ludzkie, była w największej wziętości. Królowie, najuczeńsi ludzie mieli ją w poszanowaniu. I prawdę rzekłszy, jest coś szlachetniejszego religijniejszego nawet radzić się gwiazd, jak kart i innych guseł — jak to jeszcze wielu dziś robi. — Astrolog przynajmniej w niebo patrzy.

Str. 8. Jana Tarnowskiego. Jeden z najcnotliwszych, z najdzielniejszych ludzi naszych, rodził się 1488. roku za panowania Kazimierza Jagiellończyka, umarł 16. maja 1561 za Zygmunta Augusta. Kochanowski uczcił pamięć wielkiego męża pięknym rymem o jego śmierci, który napisał do syna jego Jana Krzysztofa. Są w tej pieśni te dwa wiersze tak szczęśliwie zastósowane niedawno do Niemcewicza:

Nakoniec pełen wieku i przystojnej chwały
Sam się prawie położył, jako kłos dojrzały.

Str. 10. Bratanek. To nazwanie mogłoby bezpiecznie zastąpić u nas francuzkiego kuzyna. Nie wiedzieć dla czego żywimy się i pożyczamy od języka, który nierównie jest uboższy w wyrazy od naszego: na wszelkie stopnie i rodzaje pokrewieństwa, powinowactwa mamy własne, rzetelniejsze nazwy jak Francuzi; niech przynajmniej niektóre wymienię i proszę je porównać w myśli z francuzkiemi:

Stryj — brat ojca;
Wuj — brat matki;
Stryjenka, wujenka — żony ich;
Ciotka — siostra matki czy ojca;
Pociot — mąż ciotki;
Synowiec, synowica — dzieci brata;
Siostrzeniec, siostrzenica — dzieci siostry;
Świekr, siostrzan, szwagier — mąż siostry;
Bratowa — żona brata, jątrew — żona brata mężowskiego, żołwica — siostra męża;
Zięć — mąż córki;
Synowa, niewiastka — żona syna;
Teść, teścina — rodzice żony czy męża;
Prastryj, praciotka, prawuj, prawujenka — rodzice stryjów, ciotek, wujów i t. d.

Str. 11. W barwę Podlodowskich. Podlodowscy byli herbu Janina, tarcza brunatna w polu czerwonem: barwa ich była także. Barwa wtedy nie zawsze znaczyła to co liberya u nas — był to raczej mundur, i panowie

swoich dworzan i ludzi zbrojnych, których wtedy trzymał każdy możniejszy szlachcic, w barwę herbową ubierali.

Str. 12. W Carogrodzie Turcy... «Podlodowski którego król do Turek słał ... był jeździec i gońca dobry, mąż ktemu osobliwej urody, aż mu się Turcy dziwowali...» (Bielski, księgi szóste).

Str. 12. Nie wieczerzamy dla piątku. W owym czasie posty były tak ściśle zachowywane jako i ów przepis jedzenia raz tylko na dzień, że nawet u dworu królewskiego w piątki nie bywało wieczerzy. Henryk Walezy winien był temu zwyczajowi łatwiejszą ucieczkę swoją z Krakowa. Dowiedziawszy się o śmierci brata swego króla francuzkiego po którym panować miał, z czwartku na piątek, 17. czerwca 1574. roku dla niepoznaki, że się do ojczyzny wybiera, dał wielką ucztę z tańcami, gdzie wesołością chciał pokryć swoje zamysły, nazajutrz zaś w piątek, pod pozorem, że wieczerzy niema, zamknął się niby w swoich pokojach, a w rzeczy zemknął.

Str. 14. Tatarzyn tu nie plądrował. Ponieważ w tych obrazach będzie częsta wzmianka o Tatarach nie zawadzi może coś o tej dziczy powiedzieć. — Przed wiekiem trzynastym nie było słychać o Tatarach; obszerne kraje w Azyi, dziś Tataryą mianowane, Grecy wielką Scytyą nazywali. Wiedzieć nie można źródła nazwiska Tatar, między sobą zowią się Mongołami. Dżingis-Chan dał początek panowaniu Tatarów mongolskich w Azyi, i rozsławił ich imię. W przeciągu lat dwudziestu podbił całą Scytyą, część Chin północnych, obie Bukarye, Indostan, Persyą a około roku 1223, dzicz jego doszła aż do Dniepru. To była pierwsza wyprawa Tatarów ku tej stronie. Wnuk jego Batu-Chan dalej sięgnął, panowanie swoje około morza Czarnego, aż do ujść Dniepru, Dniestru a nawet Dunaju rozciągnął; Podole całe swemi hordami Tatary okryli, i rządzili te krainy przez swoich baskaków czyli starostów. Uklękła Ruś pod ich jarzmem; książęta ruscy jeździć musieli do najwyższej czyli złotej hordy, aby albo śmierć, albo potwierdzenie godności swoich uzyskać. Roku 1240 za panowania Bolesława Wstydliwego Tatarzy napadli Polskę, Węgry, Szląsk paląc wsie, miasta, zabierając zdobycz obfitą i mnóstwo ludzi zaprowadzając w niewolę, a jak oni mówili, w jassyr. Ukraina i Podole zamieniły się w okropne pustynie; nareszcie Gedymin, książe litewski przygnębionych potęgą Tatarów książąt ruskich pokonał, a Olgierd syn jego wypędził Mongołów z Podola, z południowej Ukrainy, i na długi czas od ich napadu się ubezpieczył. Waleczny Witold synowiec jego a brat naszego Jagiełły, około roku 1397 wyprawił się na Tatarów ku Donowi, zwyciężył ich w ich hordach, nabrał ich wiele z żonami i z dziećmi, osadził koło Wilna, i dzielnych żołnierzy z nich poczynił, a choć później sam od Tamerlana porażony, przecież został przy zwierzchnictwie nad Tatarami zadnieprskiemi, którzy długo hołdowali królom polskim, i stawali z wojskami swemi na ich zawołanie. — Za panowania też Witolda w Litwie, a Jagiełły i synów jego w Polsce, zakwitnęły Podole i Ukraina przemysłem i handlem; zasilały zbożem Carogród, do Cypru szły ładowne polskiem zbożem okręty, a Tatarzy kiedy chcieli dla paszy bydło swoje na drugą stronę Dniestru przepędzać, opłacać się musieli panom polskim. Lecz zdobycie Carogrodu przez Mahometa II. sułtana tureckiego roku 1455, zmieniło całą postać rzeczy. Mahomet shołdował Tatarów niegdyś hołdowników Polski, i odtąd zaczęły się ich napady na krainy nasze opieką turecką wspierane. Za króla Aleksandra aż pod Wilno doszedł ten wylew krwawy, i zaledwie męztwem Michała Glińskiego wstrzymany został. Zwycięztwo pod Wiśniowcem roku 1520 przez Konstantego Ostrogskiego odniesione, ukróciło ich na czas jakiś, atoli z początkiem panowania Zygmunta Augusta, znowu straszliwie plądrować zaczęli, dopóki ich nie poraził na głowę Jan Tarnowski 1549. roku pod Tarnopolem. Zygmunt August ujęty smutnym stanem południowych krain swoich i poświęceniem się szlachty i panów tamecznych często bezowocnem, przedsięwziął różne środki obrony; czwartą część dochodów królewskich oddzielić kazał na utrzymanie żołnierza do strzeżenia granic — zkąd ten żołnierz kwarcianym został nazwany; przeznaczył lustratorów dla opisania miejsc i zamków Ukrainy, i na oznaczenia szlaków czyli dróg, któremi Tatarzy zwykli byli wchodzić i iść przez Polskę; ale nie dobrze wykonano te mądre urządzenia, krainy te prawie ciągle były trapione i niepokojone, a w czasie bezkrólewia po Henryku okropny znowu wytrzymały napad; opisał go wymownie Kochanowski

w pieśni VII. księgi pierwszej, zachęcając Polaków do starcia tej plamy. — Za Stefana Batorego już nie szło owej dziczy tak łatwo: dwa razy się kusili, raz w roku 1577, ale odparł ich książe zbarazki mając sobie nadesłane od króla z pod Gdańska posiłki, drugi raz w roku 1582 zamyślali o najeździe, lecz uprzedził ich mądry hetman Zamojski, Sieniawskiemu pilnującemu granic Rusi posyłając 22 chorągwi; ulękli się i zamiaru zaniechali. Obmyślono im też stałe przedmurze, zajęto się stawianiem fortec na Podolu i Ukrainie, król założył Korsuń, Zamojski własnym kosztem wzniósł Szarygród; zresztą w nieustannych prawie był Stefan Batory rokowaniach z Tatarami, gdzie się obrócił wszędzie posłów ich zastawał, a lubo jeszcze oswobodzić nie zdołał Rzeczypospolitej od donativum a raczej od podatku, który im opłacała, byłby tego pewno z czasem dokazał. — Krzycki, Bielski, Gwagnin pisarze za Zygmuntów i za Batorego żyjący, tak mówią o Tatarach: «Naród ten zupełnie jest różny w swym sposobie życia od innych, oni ani orzą, ani sieją, ani mają miast i siedlisk pewnych, z miejsca na miejsce przenoszą się, przyzwyczajeni na wytrzymanie głodu, zimna i gorąca; całe ich upodobanie w rozboju i rabunkach, dzielą się na hordy, każda do stu tysięcy jeźdźców do boju wystawić może; w napadach swoich dobywaniem zamków bawić się nie lubią, spaliwszy wsie i miasta, nabrawszy zdobyczy, wracają do siebie... Chorągwie ich z końskim ogonem, w ciągnieniu nierządnie idą, kędy kto chce, lud jest bardzo nikczemny i ledwie połowa ich jest coby łuki mieli. Pancerzów ani zbroi żadnej nie noszą, jedno w siermięgach czyli opończach się włóczą, a który łuku niema, kość kobylą uwiąże u kija i tak z tem jedzie. Niczem nie stoją jedno liczbą a prędkością swoją, i tem, że wielką nędzę ścierpieć mogą. Głodu ani pragnienia się nie boją, trzy dni bez jedzenia i wody trwać potrafią. Konie ich także gdy jedno trawy zjedzą z rosą, kilkanaście mil ubiedz gotowe, a ponieważ ich mają wiele na podwodzie, gdy mu jeden ustanie na drugiego wsiada, tego rzuca, a idący za nim biorą go i jedzą, bo kobyle mięso, pod kulbaką rozparzone, największym u nich przysmakiem... Dzisiejszy pisarz, wieszcz nasz ulubiony, tak w Kursie literatury sławiańskiej w kollegium francuzkiem mówił o Tatarach: «Stepy Azyi, dziś jeszcze noszące nazwisko Tataryi, wielekroć są większe od całej Europy; ludność ich nie wynosi nad cztery do sześciu milionów, ale każdy mężczyzna jest żołnierzem. Tu zdaje się, mitologia grecka mieściła swój Tartar, owe źródło wszystkich klęsk i nieszczęść. Ztąd także, wedle mniemania uczonych, pochodzi bajeczny Centaur, obraz ludzkiej natury, zaledwie wzniesionej nad bydlęcą. Tym człowiekiem-bydlęciem, tym Centaurem, jest Tatar. Budowa jego ciała, rozwinięta lepiej u góry niema dostatecznej podstawy, nogi słabe i źle uformowane zdają się mu służyć tylko do objęcia konia, na którym ciągle żyje, i z którym jakby jedną całość składa ... głowa niekształtnie okrągła jest niby ciężarem przydanym dla utrzymywania równowagi w pędzie ... Prócz zwierzęcej namiętności nic się nie wydaje w jego wzroku; blask czarnych jego oczu podobny jest do gasnącego węgla. Żadnych pojęć umysłowych, żadnego uczucia, żadnych wyobrażeń religijnych nic widać w Tatarzynie. Najmniejszego śladu mitologii i religii pierwotnej niemasz u Mongołów. Starożytni, którzy wspominają o tych ludach, mówią, że czciły one miecz, jako znak siły materyalnej... Ród ten zresztą może uchodzić za ideał ślepego posłuszeństwa, i to zdaje się stanowić całą zasadę jego organizacyi społecznej... Mongoł wrodzonym instynktem zgaduje wyższość drugiego i poddaje się jej bezwarunkowo. Maksyma dyscypliny militarnej wyciągnięta z długiego doświadczenia jest u nich skutkiem skłonności naturalnej ... Naczelnik każdy przychodził na świat wodzem, sztukę strategii posiadał do wysokiego stopnia... Dżingis-Chan, siedząc pod gwiazdą polarną dawał rozkazy dwom armiom, z których jedna niszczyła Indye, druga Niemcy... Częstokroć nawet bez rozkazów wodzowie niżsi zgadywali plan ogólny poruszeń, całe wojsko, całe to plemie prowadził zawsze instynkt niemylny zwierząt drapieżnych... — Gdybyśmy się teraz zapytali jaki był zamiar wypraw mongolskich w najdalsze strony świata, trudno byłoby dać odpowiedź. Wodzowie ich nie przywięzywali żadnej ceny do bogactw, których zdawali się szukać. Zniszczenie było jedynym ich widocznym celem. Na radzie jednego z tych wodzów rdztrząsano z zimną krwią, czy nie należałoby ludność całej Persyi wyciąć i kraj w pastwiska zamienić?... Władzcy mongolscy zapowiadali zawsze, iż są powołani karać świat, upokorzyć go i wytępić... Wiara ta jeszcze niewygasła w rodzie Dżingis-Chana... Łatwo tedy pojąć jakiem niebezpieczeń-

stwem groziły ludzkości te straszne hordy. Przez kilka wieków Sławianie wstrzymywali ten okropny napad całego plemienia...» Mickiewicz 3. Lekcya.

Str. 15. Rutki siać nie będzie. Po staropolsku znaczyło to, że starą panną nie zostanie.

Str. 15. Płonista — fałdzista, szeroka. —

Str. 15. W lubistku ją kąpałam. Lubistek, lubczyk, ligusticum, krew czyści i do kąpieli służy. Jest wiara w pospólstwie, że dziewczęta w nim z dzieciństwa kąpane podobają się mężczyznom. —

Str. 17. Na te zalecanki. Zalecać się, zalotnik, zalecanki, nie lepszeż to wyrazy od owych używanych pospolicie: adorator, kurę palić, kurę robić którémi nasz język potoczny szpecimy.

Str. 18. Za moją patronką. Oto jest w skróceniu żywot świętej Ludwiny, wyjęty z dzieła księdza Piotra Skargi: «Ludwina, Holenderka z miasteczka Schiedam, urodziła się z ubogich rodziców, którzy ręką chleba szukając bogobojnie żyli, przykazanie Boże pełniąc, a nikomu się nie przykrząc. Gdy lat miała dwanaście, do małżeństwa świętego starali się o nią niektórzy bogaci, przez urodę i piękne a wdzięczne jej obyczaje i dowcip do rzeczy domowych. Ojciec jej Piotr przyzwalał na to, chcąc ubóstwa swego przy niej poratować, ale ona prosiła ojca, żeby jej nie raił męża, jedno Chrystusa, któremu się oddać umyśliła. Co słysząc ojciec i matka święte jej myśli pochwaliwszy, nigdy jej potem z tem przykrzy nie byli, nic się na swoje ubóstwo nie oglądając. A ona pilniej się świata strzegła, kryjąc się od ludzi i od innych próżności. I zdobyła się na wielką prostotę, nabożeństwo i gorącość miłości Bożej. A mającą lat piętnaście nawiedził Pan Bóg niemocą, w której ona wszystką piękną urodę straciła, i tym, którzy ją radzi widzieli i małżeństwa jej pragnęli, od myśli odpadła. Co Pan sprawił, ten który piękne dusze miłuje, chociaż w ciele niepięknem, dla bezpieczności jej większej. — Gdy trochę wzmagała, dała się raz namówić towarzyszkom, iż z niemi do rzeki wyszła patrzyć na lód. Gdy inne biegały igrając, jedna z prędkiego biegu cicho stojącą Ludwinę trąciła, i słabą a niemocą zwątloną na lód wepchnęła, na którym się srodze stłukła i żebro jedno złamała; doniesiona do domu legła na łóżku, z którego do śmierci przez lat 38 nie wstawała.

Ręka była i wola Boża na taką niemoc, która wszystko przyrodzenie przechodziła. Poczyniły się jej wrzody, które jej sprawiały boleści nieznośne i niezleczone, a im je więcej leczono, tem było gorzej, i utraciwszy na lekarstwa ubogą majętność rodzice jej, Bogu ją oddawali. A ona boleść okrutną cierpiąc, a we dnie i w nocy pokoju nie mając, już codzień umierała, a ból tak jej wszystkie członki targał i rozbierał, iż się w żadnym kącie zostać nie mogła, po ziemi się wijąc i kurcząc. I rozmaite niemoce, choroby, coraz inne na nią przychodziły i trapiły ją, a ona tak w Panu Bogu trwała. Cztery lata pierwsze z niejaką tęsknością jako człowiek znosiła, ale gdy do niej kapłan jeden przyszedł, imieniem Jan Pot, jako od Boga posłany i upominał ją: do cierpliwości Chrystusowej, do rozmyślania męki, prac, frasunków, zelżywości jego, ona to obiecała i starała się czynić. Ale jeszcze Duch ś. nie osłodził jej był onego krzyża, wracała się do gorzkości i do świeckiego żalu. Przyjdzie drugi raz do niej on kapłan i pyta: «jeżeli się już przyuczyła cierpliwości, a jeżeli się nauczyła Chrystusowej miłości?» a ona rzekła: «Dobrze ty mnie radzisz, ojcze miły, ale ciężkość chorób moich nie dopuści mi, abym co słodko o Chrystusie Panie moim myśleć mogła.» A kapłan widząc dobrą wolę jej, rzekł: «Córko, wysłucha cię Bóg, pocznij jedno, trochę zmuszenia sobie uczyń: wołaj, pracuj, wygrasz. Światem tym, urodą którąś miała, i wszystkiemi pochlebstwy krótkiego tego wieku wzgardzaj mocno, a mów: by mi się to wszystkiego wróciło, i to czegom nie miała przyszło, za odrobinę pociechy duchownej w Chrystusie przedałabym to. A iż siła twoja mała, patrz na Chrystusa ukrzyżowanego, da On tobie, czegoć potrzeba do pomocy w duchu, i wleje w serce twoje pociechy, i podniesie je do świętych myśli.» Co słysząc panna, już do naśladowania Chrystusa się wzmagała. A gdy trzeci raz do niej przyszedł niosąc najświętszy sakrament, gdy jej rzekł: «Do tego czasu jam cię do rozmyślania męki Pańskiej wzbudzał, teraz niech sam Chrystus mówi do serca twojego, jeżelić go usłuchasz, będzieć zapłatą wielką twoją.» Zatem się pannie takie -

łzy rzuciły, iż przez dni piętnaście pohamować ich nie mogła. — I od tego czasu im niemocy cielesnej przybywało, tem się duchownej siły przyczyniało; nic jej już nie smakowało, jedno Jezus ukrzyżowany. I dzieliła sobie mękę jego na siedm części, i we dnie i w nocy z myśli jej nie spuszczała, zegar wszystkich godzin w głowie swojej mając. I tak w onej gorącości męki Pańskiej zapalona była, iż mówiła: «Nie ja cierpię, ale we mnie Chrystus.» A najokropniejsze boleści z dzięką cierpiała i prosiła jeszcze, aby jej cierpienia przybywało, i gdyby była mogła oną całą niemoc jedną Zdrowaś Marya odegnać, uczynić by tego nie chciała, tak jej karanie ono Pańskie miłe było.

Raz w mięsopusty, gdy ludzie szaleją i Pana Boga obrażają, prosiła, aby jej za grzechy ludzkie jeszcze niemocy się przyczyniło. I wnet w kolano wielki jej i nowy ból przypadł, aż do Wielkiejnocy. A gdy w mieście było powietrze, za ludzi się modląc, odniosła nowe dwa wrzody pod sercem i na gardle, za co dziękując, o trzeci prosiła w imię Trójcy ś. I wnet się ukazał wrzód szpetny na jagodzie, z czego się uradowała. Potem się dwa zleczyły, ale trzeci trwał zawsze. — Prawie nie spała i nie jadła. Jabłka czasem trochę skosztowała albo z mlekiem kruszynę chleba połknęła z wielką boleścią. — Matka jej umierając o modlitwę jej prosiła. I gdy umarła, ona pas z włosienicy na się włożyła, za nią pokutując. A co po niej zostało ubóstwa ubogim rozdała i pościółkę, sama na słomie i desce przestając, w ciasnej komórce. A Pan Bóg kapłana do niej jednego posłał, na imię Werbolda, który duchowną i cielesną jałmużną ją opatrzył i na kazaniu ludzi zgromił, iż onego tak niewinnej panienki niedostatku nie opatrowali. — Wielkie pociechy duchowne miewała, ale czasem je traciła i w smutku zostawała. Co gdy przypadało, z aniołem swoim rozmawiała pytając go: «Gdzieli poszedł najmilszy mój odemnie? rychłoli przyjdzie do serca miłością jego zranionego? Pozdrów odemnie najświętszą matkę Jego, apostoły, męczenniki, panny i inne.» I tak się cieszyła, a widomie czasem anioły widziała i niewymowną pociechę odnosiła. I często bywała w zachwyceniu, na dziwnie wesołe rajskie miejsca prowadzona była.

Gdy jej bóle i niemoce trochę wytchnąć dały, języka na zbudowanie bliźnich używała. Mawiała i radziła: «Kto chce, aby go duch Boży rządził, niech będzie posłuszny kościołowi i spowiednikowi swemu, przez którego Chrystus go sprawuje.» Gdy się kto użalał nad jej ubóstwem i pytał, czego jej potrzeba? mawiała: «Mam dosyć, przestaję na tem co jest; jeżeli bogactwy z drugiemi nie zrównam, ale ubóstwem zrównam, za które Panu Bogu dziękuję.» Gdy jej kto rzekł: Ciasną masz komórkę, zbuduję lepszą,» ona odpowiadała: «Ja na tej przestanę, ale kto tu po mojej śmierci szpital na tem miejscu zbuduje, prosić będę Pana Boga, aby się jałmużna jego obficie do niego wracała.» I tak się stało. — Wiele duchem Bożym wiedziała i opowiadała, wielu przykładem swoim nawróciła i wzięła koronę cierpliwości swojej dnia 14. kwietnia 1433. — Po śmierci jej ciało wszystko całe, piękne, bez żadnego wrzodu i ulamku znalezione jest, jakoby je żywemi farbami umalował.»

Str. 19. **Mógł być kasztelanem.** Niema podobno nikogo, coby nie wiedział, że Jan Zamojski nie mogąc znieść, aby człowiek taki jak Jan Kochanowski przestał na skromnej wiosce ojczystej, wyrobił dla niego kasztelanią połaniecką i przywilej mu na nią posłał. Podziękował obudwom Kochanowski za łaskę ale honoru nie przyjął, mówiąc: «iż nie chce puścić do domu dumnego i wiele potrzebującego kasztelana, któryby wnet to wszystko przemarnował, co zebrał Kochanowski.»

Str. 19. **Jego pieśni śpiewają po kościołach.** Prócz psałterza, którego są wydania z roku 1579, są jeszcze: «**Hymny kościelne Kochanowskiego, cokolwiek się ich w Brewiarzach rzymskich teraz najduje i nie które inne z dawniejszych co przedniejsze z łacińskiego przełożone i za tem trzeciem wydaniem na niektórych miejscach od Autora poprawione.** — Rzadki egzemplarz tych hymnów posiadała biblioteka puławska. —

Str. 20. **Chyba w jednej Jasnogórze.** Jasnogóra pospolicie Częstochową zwana, głośna na całą Sławiańszczyznę katolicką, należy zapewne do miejsc najobfitszych w drogie dla nas pamiątki; do jej odwiedzenia nie jedno serce polskie wzdycha dziś jak niegdyś pielgrzymi do miasta świętego. — Położona w dzisiejszem królestwie polskiem, niedaleko granic Szląska na

lewym brzegu Warty, w wesołej i uprawnej jest okolicy. Do samego prawie końca czternastego wieku była to przecież naga skała, którą może dla tego Jasną nazwano. Ale w roku 1382 w sierpniu, Władysław książe opolski chcąc szacowny obraz Matki Boskiej cudami słynący i jak mówią ś. Łukasza roboty, osłonić od Tatarów napaści i bluźnierstw, umyślił przenieść go z zamku bełzkiego na tę górę, i tym koncem wystawił i uposażył kościół i klasztor i oddał go przywołanym z Węgier zakonnikom, reguły ś. Pawła. Wnet to miejsce słynąć zaczęło i wabić lud pobożny. Przybywali ubodzy z modlitwami, bogaci z datkami. Władysław Jagiełło przybudował kaplicę, w której ołtarzu hebanowym złożony został święty obraz i jest do dziś dnia. Maciej Łubieński, arcybiskup gnieźnieński, zbudował kościół obszerniejszy od dawnego własnym kosztem, mając wzgląd na coraz liczniejsze pobożnych Słowian pielgrzymki. W roku 1430 Husyci czescy, nieprzyjaciele katolickiego wyznania i czci obrazów, wpadli do Jasnogóry, zrabowali ją, porwali obraz, twarzy świętej dwa cięcia dotąd znamienite zadawszy — ale obraz cudownym sposobem wrócił się do rąk księży Paulinów i na nowo osadzony w hebanowy ołtarz, w kaplicy Jagiełły odtąd wznowioną cześć od wiernych odbierał. — Dla osłonienia tego miejsca i zawartych w nim skarbów od napaści nieprzyjaciół, zakonnicy wzięli się do opasania go murami; pomogli im i rozszerzyli ich prace królowie polscy Władysław IV. i Jan Kazimierz, uznając je przydatne na fortecę. Wzniosły się tym sposobem dwa miasteczka, jedno w obrębie murów, drugie za murami, starą i nową Częstochową zwane; i wnet wsławiło się to miejsce w dziejach wojny. Szwedzi pod Karolem Gustawem napadli Polskę — zwątpił król Jan Kazimierz, zwątpili obywatele, wszędzie słaby opór najezdnicy znajdowali. Jasnogóra częstochowska niemając więcej nad 150 żołnierzy i 70 zakonników, umyśliła się bronić; ożywiała ją mocna wiara, że Matka niebieska synom broniącym matki ziemskiej pomoc Boską uprosi. Ksiądz Przeor Augustyn Kordecki i Stefan Zamojski, miecznik sieradzki, który się tam był schronił z całą rodziną, wzięli dowództwo i powiodło im się. Odparci Szwedzi ze wstydem przy odgłosie śpiewanych psalmów na wieżach Najświętszej Panny. To zwycięztwo podniosło ducha w narodzie, ośmieliło do zawiązania sławnej konfederacyi tyszowieckiej. Gdy pod przewodem Stefana Czarnieckiego Szweda wypędzono, Jan Kazimierz przybył z Maryą Ludwiką dziękować Matce Boskiej, ślubował otrzymać upoważnienie papieża do oddania jej uroczyście całego kraju w opiekę i mianowania jej królową polską; umyśliwszy zaś mocniejszą warownią z Częstochowy uczynić, sam we własne ręce wziął rydel i motykę i rozpoczął robotę. Za panowania Augusta II., w skutek bulli Ojca ś. Klemensa XI., roku 1717, ślub Jana Kazimierza został dopełniony. Odbytą została koronacya obrazu Najświętszej Panny 8. września w obec 150,000 pobożnych. — W roku 1806 zajęli Częstochowę bez oporu Francuzi. W roku 1813 z rozkazu cesarza Aleksandra zniesioną została warownia. — W roku 1817 zaświtał jeszcze piękny dzień dla Jasnogóry — stóletni jubileusz koronacyi obrazu. Znakomity w religijnym i literackim zawodzie, Jan Paweł Woronicz, wówczas biskup krakowski, zjechał dla przewodzenia temu ś. obrzędowi. Lud cisnął się zewsząd, trudno było policzyć pielgrzymów, ale samych komunikantów rozdano wtedy 123,400. Co też będzie 8. Września 1917. roku? Dziś żyjący w proch się rozsypiemy — ale będą da Bóg pobożne i szczęśliwsze wnuki! —

Str. 20. Co kozak to Grek. Kiedyśmy o Tatarach dosyć obszernie wspomnieli, nie zawadzi może i o kozakach coś powiedzieć. Był to lud wojenny, poetyczny, właściwych sobie obyczajów, do wolności i do wiary greckiej z zapałem przywiązany; początek jego, jak się zdaje, ze zbiegów różnych krain, którzy w 13. wieku, w czasie wielkich wojen, osiedli w ostrowiach czyli wyspach na Dnieprze będących (których to wysp ziemiopisarze nasi liczą do siedmiudziesiąt, a których część za porohami czyli spadami Dniepru położona Zaporohem czyli Zaporożem przezwaną została). Nazwę kozak dali im Tatarzy, gdyż kozak w języku tatarskim znaczy lekki jeździec, a owe zbiegi dosiadłszy rączych ukraińskich koni nie raz pomyślnie Tatarów gonili. — Jakiemi stopniami wzrastali w liczbę i siły, wiedzieć z pewnością nie można, poezye ich świadczą, że zdawna mieli bohaterów swoich; w naszej historyi dopiero za Zygmunta I. jest mowa o kozakach, jako o ludzie ruskim podległym panowaniu królów polskich. Król ten rozszerzył im ich ziemie od Zaporoża, obdarzył przywilejami, zachęcił do obsiadania w słobodach, to jest w wolnych na lat kilkadziesiąt od wszel-

kich powinności osadach; przełożony ich Ostafiej Daszkiewicz w Czerkasach mieszkający na sejmie 1522 przekładał Zygmuntowi, żeby zawsze na wyspach Dniepru utrzymywał ze dwa tysiące ludzi zbrojnych, którzyby na czajkach czyli łodziach wstrzymywali przeprawę Tatarów, i inne życzliwe dawał rady, których Polacy niestety prędko zapomnieli; i można rzec śmiało, że do Stefana Batorego kozacy nie wiele byli przydatnemi Polsce i raczej łotrostwem niżli porządnem rzemiosłem wojennem się bawili. Stefan dopiero w roku 1576 w zupełną milicyą ich zamienił, zamek Trechtymirów z przyległemi okolicami im nadał i pozwolił rozszerzyć słobody aż do Kijowa, do czego im jeszcze 20 mil kraju około Dniepru przyczynił; wtedy stolica ich z Czerkas przeniosła się do Trechtymirowa, a sąsiedni i niedostępny Monaster stał się składem ich skarbów, przywilejów i broni. Podzielił ich król Stefan na pułki, postanowił atamana czyli hetmana, assawułów i innych urzędników. Mianowanie hetmana królom polskim zostawił, a pierwszego mianował księcia Bohdana Różyńskiego, dając mu za znaki godności: chorągiew królewską, buńczuk, buławę i zwierciadło. Obowiązkiem jedynym kozaków była służba wojenna, którą własnym kosztem odbywać musieli; król tylko podczas wyprawy przysyłał dla każdego kozaka pułkowego dukata, skórę wołową a czasem i kożuch. Tenże król Stefan przepisał, aby właściciele włości ukraińskich nie bronili jednemu z synów każdego rolnika zaciągnąć się do milicyi kozackiej; złożyła się ich wnet niezmierna siła, z których Polska miała dzielną przeciw Tatarów zasłonę... Ale niestety! za następnych panowań podwójny ucisk panów polskich i wiary katolickiej nad grecką to sprawił, że w czem była Polski potęga, ztamtąd osłabienie jej sił a potem zguba i upadek początek swój wzięły!... Nie wchodząc w te smutne szczegóły, niepotrzebne do niniejszej powieści, wolę okrasić znowu te przypisy wyjątkiem z trzeciej lekcyi Mickiewicza o Ukrainie, o kozakach i ich poezyi: «Pośrodku, między państwami Mongołów i Turków, Rusi i Polski, leży kraj nierozgraniczony, wielce zajmujący dla historyi i literatury... Od dolnego Dunaju, prawie od miasta Belgradu, ciągną się z jednej strony w okół brzegu Karpatów, z drugiej nad morzem Czarnem, za Dniepr i Don aż do Kaukazu szerokie stepy... Trudno jednem nazwiskiem oznaczyć tę niezmierną przestrzeń... Różnym częściom tego kraju starożytni dawali nazwisko małej Scytyi. Rusini małej Rusi, Polacy aż tam szukali granic małej Polski. Obszerna część tej ziemi nosi imię Ukrainy, co znaczy kraj pograniczny... Pustynia bezludna, zasiedlana czasem i znów ogołacana z mieszkańców, ale zawsze żyzna i pokryta bujnem zielskiem, służyła od wieków za pastwisko dla koni przechożych barbarzyńców... Jest to wielka arterya wiążąca Europę z płaszczyzną Azyi środkowej: tędy życie azyatyckie wlewało się do Europy, tu trącały się o siebie te dwie części świata... Ptaki przelotne, owady wędrowne, powietrze morowe i hordy drapieżne ciągną tym szlakiem... Narody, które chciały stawić zaporę najściom, albo rozprawiać się między sobą, schodziły się na tem powszechnem bojowisku... Tu spotykały się wojska wschodu, w armiach Daryusza i Cyrusa, Rusi i Polski... Tu wziął swój początek lud wojenny znany pod nazwiskiem kozaków, złożony ze Sławian, Tatarów i Turków... Kozacy mówią pośrednim językiem między polskim i ruskim; przechodzili kolejno pod panowanie Polaków i Rusinów, niekiedy oddawali się Turkom... Płaszczyzny ukraińskie są stolicą poezyi lirycznej. Ztąd piosnki nieznajomych poetów, oblatywały często całą Sławiańszczyznę. Kozak siedząc przy swojej ziemlance albo budzie z trzciny, słucha w milczeniu jak koń jego pasący się niedaleko żuje trawę, puszcza wzrok po zielonym stepie i duma, marzy o bojach, które się tu odbywały, o zwycięztwach i klęskach, jakie tu zajdą... i t. d.»

Str. 21. Zawijka, szal po dzisiejszemu, duchenka, czepek nocny.

Str. 21. Wszystkie stany. Mało kto niestety! w naszej Polsce myślał przed Bogiem i przed ludźmi liczyć do stanów miejski i kmiecy, i pokutujemy za to zapomnienie. Jeszcze w roku 1705 bito numizmata z takim napisem:

Jedność troistej ręki niezłamana siła
Pan, senat i rycerstwo u Polaków była.

Str. 21. Starego Gomółki. Mikołaj Gomółka, muzyk i kompozytor polski, ułożył nótę do psalmów kościelnych; umarł 1510 roku za Zygmunta I.

Str. 22. Białemi onuczkami. Nie wszystkim już jest dziś wiadomy ten rodzaj obuwia, lubo jeszcze używany od wielu zwłaszcza w prostactwie. Są to kawałki płótna, któremi stopa się owija w zastępstwie pończoch. Osoby używające onuczek utrzymują, że byle płótno było codzień świeże a miękkie, obuwie to milsze jest od pończoch i lepiej nogę strzeże od odcisków i nagniotków. Wreszcie za czasów Kochanowskiego pończochy rzadkiem były zjawiskiem, i te co noszono, nie były takie jak dzisiejsze ale szyte, najczęściej sukienne; Elżbieta królowa angielska w owym czasie panująca podobno jednę tylko parę miała jedwabnych; u nas dzianie ich na drutach upowszechniły królowe saskie, i zapewne dopiero z francuzkim strojem upowszechniły się między naszemi mężczyznami. —

Str. 22. Nowinnego. Polak był zawsze datny a język jego bogaty; mamy więc różne wyrażenia na rozmaite dary: kolenda na nowy rok, wiązanie na imieniny, zalotne od kochanka, gościniec z drogi, nowinne za dobrą wiadomość i t. p.

Str. 23. Jej Miłość, Jego Miłość. Dziwnym i podobno w żadnym kraju nie używanym obyczajem, taki wówczas najpowszechniejszy był tytuł dla pań i panów. Z czasem przerobiło się to na Jegomość, Jejmość, i na nic nie znaczącą Imość. Z Waszej Miłości, zrobiła się Waszmość, Waszeć, Waść, Wać, Waćpan, Waćpani, Wasan, Asani. — Asindzi i Aśćka powstały ze skróconych Waszmość pan Dobrodziej, Waszmość pani Dobrodziejka. —

Str. 24. Pod ulubioną lipę. Lipa Kochanowskiego wszystkim jest znana, każdy lubi wystawiać sobie poetę pod jej cieniem. Często on ją wspomina w swoich piesniach i kilka osobnych do niej napisał. — Mylnem podaniem urosła wieść, jakoby ją w końcu zeszłego wieku świętokradzka ręka ścięła. Jest jeszcze dziś w Czarnolesie, a przynajmniej był w 1826. roku stary gospodarz nazwiskiem Pierzchała, który pamiętał jako się wywróciła, sama spróchniawszy zupełnie. Miejsce, gdzie stała, mieszkańcom Czarnolasu dotąd jest wiadome.

Str. 24. Przy ogromnym kominie. I o tym kominie pisał nie raz Kochanowski, między innemi tak kończy list do przyjaciela z dnia 6. października 1571. roku. «Tak my sam na wsi kiedy już zasiejemy, komin w koło obsiędziemy, a lada co mówimy i piszemy.»

Str. 24. Na Fiedora i na Borzuja. Kochanowski naśladował z Widy powieść wierszem pod tytułem Szachy. Bohaterami jej są Fiedor i Borzuj, zalotnicy królewnej duńskiej; wygrana w szachy ma stanowić któremu z nich piękna Anna się dostanie. Fiedor wygrywa. — Sztuki szachowe prócz króla i królowej nazywano inaczej wówczas jak dziś — wieża zwała się rochem, słoniem, konik rycerzem, laufer popem, piony draby, pieszki albo chłopki. Kiedy król rokował mówiono: idzie do kuchni.

Str. 25. Obraz Zbawiciela ... dziewięć muz. To połączenie w owym czasie było bardzo pospolite. — Wiara mocniejsza była w sercach niż może dziś jest — ale i zabytki mitologiczne nierównie więcej cenione i przytomne.

Str. 26. Ochędóztwo to znaczyło co dziś toaleta.

Str. 26. Snopek wiosenny. Do ośmnastego wieku nikt nie używał dziś tak pospolitego wyrazu bukiet; mówiono: wiązka, snopek, pęk kwiatów, girlanda była równianką, korona z kwiatów wieńcem.

Str. 27. Szlachetnego Bekiesza. Kasper Bekiesz, pan siedmiogrodzki, tyle znakomity, że się ubiegał z Batorym z bronią w ręku o tron swojej ojczyzny. — Batory zwyciężył, Bekiesz musiał uciekać; ale gdy Stefan już królem polskim będąc, Gdańszczan do posłuszeństwa przymuszał, Bekiesz przybył do niego do Prus i ofiarował mu swoje usługi. Z równą szlachetnością, jak uczynioną była ta ofiara, tak i przyjętą została. Bekiesz w wielu razach dał dowody najszczerszego przywiązania dawnemu przeciwnikowi, a Batory do poufałości swojej go przypuścił. W czasie moskiewskiej wojny Bekiesz dowodził Węgrom i cudów waleczności dokazywał; choć bardzo starganego zdrowia nieodstępował obozu i armat, tam jadał, tam sypiał i tam umarł po wzięciu Pskowa, żonę i dwóch synów królowi i Zamojskiemu poruczając. Pochowany został nad Wilnem na górze wysokiej

zwanej dotąd górą Bekieszową, dla tego nie w kościele, że był aryaninem. — Suknią węgierską, która za Batorego się upowszechniła, zwano bekieszką od jego sukni. Ktoby więc przed Batorym stroił Polaków w bekieszki, omyliłby się grubo. Taki błąd popełniła autorka «Pierwszego pasowania na rycerstwo Bolesława Krzywoustego» strojąc wojewodę Sieciecha w bekieszkę. Panie! przebacz jej, jako i wiele podobnych dawnych i obecnych błędów! —

Str. 32. W grobie ojcowskim położył. Można często napotkać w dziejach ówczesnych przygody z Tatarami podobne do przytoczonych tutaj. Strzemski Krzysztof, podsędek ziemi halickiej tak wykupił i do domu sprowadził ciało matki zaprowadzonej w jassyr: Stanisław Żółkiewski roku 1547, późniejszy kanclerz i hetman, tak był w dzieciństwie uratowany przez piastunkę; we wsi Turcynka pod Żółkwią wyprowadziła go na łąkę dla zabawy opodal od domu, w tem dano znać o zbliżających się Tatarach; ledwo z nim uciec zdołała. Co do porywania a potem do rozpoznawania dzieci, takie można znaleźć słowa w Siarczyńskim: «Jak się udało pójść w pogoń za Tatarami i odebrać im łupy, zwłaszcza niewolnika, to nie raz całe drabne wozy naładowane były zabranemi dziateczkami; zawożono je do jakiego głównego miasta, a tam przybiegały matki poznawać i odbierać swoje.»

Str. 33. Jakby krzyżownikiem wiecznym. Takie było powołanie narodu polskiego, walczyć ciągle to z pogaństwem, to z islamizmem, odpychać ich od chrześciańskiej Europy; mało kto wdzięczny im był za to poświęcenie, a najmniej te narody, co zakryte piersiami Polaków jakby przedmurzem jakiem, zakwitły błogą i większą od nas cywilizacyą, którą dziś przechwalają się nad nami. Nawet dziejopisowie średnich i późniejszych nieco wieków, Robertsony, Halamy, Guizoty i t. p. jednego «Bóg zapłać» nie mają dla Polaków, zdaje się, że o nich nic nie wiedzą. Nadzieja w dzisiejszych uczonych naszych, iż w wytrawnych i rzetelnych dziełach połączą zasługi i dzieje Słowian z dziejami i zasługami plemion łacińskich i teutońskich — do tej pory prawieśmy zupełnie wykluczeni z europejskiej rodziny. —

— Lud studzienicki. Na dowód jak obfitowały starania i ćwiczenia rycerskie Podlodowskiego służyć mogą te słowa Święckiego w opisie starożytnej Polski: «Studzienica nad Dniestrem. Była to niegdyś wielka wieś, która chłopstwem samem broniła się przez trzy dni atakom całej siły tureckiej w roku 1633 i niedobyli jej Turcy aż po utracie blizko tysiąca głów.»

Str. 33. Ustanowić zakon krzyżacki. Polakom nigdy nie zbywało na dobrych pomysłach, ale nigdy nie mieli wytrwałości. — Przed przywołaniem sławnego zakonu niemieckiego, Konrad książe mazowiecki miał zamiar ustanowić zakon własny krajowy, w celu ustawicznego walczenia przeciw Prusakom, dopókiby nie przyjęli wiary chrześciańskiej. Uzyskaną już była bulla papiezka w roku 1224 pozwalająca na ustanowienie nowego zakonu pod nazwą: braci rycerskiej służby Chrystusa; znaczna liczba rycerzy pod naczelnictwem mistrza Brunona wyświęciła się, mieli przepisany sobie nowy ubiór zakonny, biały płaszcz a na nim czerwony miecz i krzyż. Konrad darował im wieś Lieślin pod Inowrocławiem i wybudował dla nich miasto Dobrzyń nad Drwencą. Ale w pamiętnej bitwie z Prusakami pod Brodnicą, z której sam książe ledwie z życiem uszedł, owi bracia Dobrzyńscy tak zostali wybici, że ledwo pięciu zostało. Po tej klęsce brakło ducha Polakom do ponowienia własnego zakonu, woleli przywołać pod cięższemi warunkami gotowy do usług lecz dumny zakon niemieckich krzyżaków, który z czasem dopełnił wprawdzie swego zobowiązania się, pokonał, nawrócił Prusaków, ale zniemczył najpiękniejszą posiadłość Polski i stał się najzaciętszym jej nieprzyjacielem. Voigt, historya Prus.

Str. 34. Rozesłano wici. Wiciami nazywano listy królewskie zwołujące pospolite ruszenie na wojnę, dla tego «że je noszono na wiciach» pisze Bielski. — Maciejowski mówi: «Była to wić dębowa spleciona, znak kary na przypadek niestawienia się. Zwyczaj ten był znany nie tylko w Polsce ale i w Czechach, u Słowian zaś zakarpackich noszono po kraju miecz we krwi zbroczony z zagrożeniem, iż niestawający pójdzie w wieczną niewolę.» Wici te czyli listy były potrójne: «W pierwszych i wtórych — przytacza

Modrzewski — tylko to rozkazują, aby sobie każdy gotował czego na wojnę potrzeba: w trzecich oznajmują czas i miejsce, na które się wszyscy zjeżdżać mają.» —

Str. 34. Stefan, sędzia skromnej zasługi. Zachowała nam historya kilka podobnych przykładów o tym królu. Przytoczę tu jeden. Stanisław Pękosławski odznaczył się był na wojnie moskiewskiej; Stefan postanowił w sobie dać mu pierwsze wakujące starostwo. Nawinęło się wnet sandomierskie, o które wielu się ubiegało. Król kazał napisać przywilej dla Pękosławskiego i Zamojskiemu podać do przyłożenia pieczęci. Wielki kanclerz wiedząc, iż Pękosławski wcale o tę łaskę się nie stara, przedstawił monarsze, «że to właśnie ten był, który o starostwo nie prosił.» — «Prawda — odpowiedział — ale zasługi jego wymagaja nagrody; aż nadto prosi kto dobrze służy.»

Str. 34. Nazwę od konia. Dowodem tego eques, Ritter, chevalier. — Twierdzą nawet uczeni, że nazwa ruska kniaź pierwiastkowo znaczyła szlachcic, a także kniaź ma być od konia. —

Str. 35. Marcina Lubienieckiego i Piotra Broniewskiego. Są to rzetelne imiona i nazwiska dwóch dworzan Jakóba Podlodowskiego, którzy z nim w Turczech byli. Starałam się, żeby w całej tej powieści niebyło nazwiska zmyślonego, samych nawet wieśniaków imiona, Kosik, Papis, Baran, Bańaszek, Gryklik, wyjęte są z ksiąg kościelnych parafii polickiej, jako przed dwoma wiekami już zamieszkałe oddawna w Czarnolesie. Toż samo i co do wiosek, wszystkie tu wspominane zapisane są w papierach urzędowych z szesnastego wieku.

Str. 35. Do Grodna. Grodno, pierwsze miasto w Litwie po Wilnie, niegdyś zamek krzyżacki na górze nad Niemnem. Za Batorego było jeszcze lichem miasteczkiem. Król ten, który wolał mieszkać w Litwie niż w Polsce — bo więcej miał panów litewskich przychylnych sobie, a w borach więcej zwierza niż w lasach Korony — chętnie w niem przesiadywał i zamek murowany wystawił. Może go też wiodło do tego polubienia owo przeczucie, które często postrzegać się daje u ludzi wyższego umysłu, że tajemna skłonność ich wiedzie do miejsca gdzie umrzeć mają.

Str. 36. Zwłaszcza piechoty. «Przodkowie nasi polegając całkiem na jeździe mało co własnej używali piechoty, lecz zaciągali ją w potrzebie z Węgrów, Niemców, Czechów, a nawet i Szkotów. Pierwszy raz widzimy za Stefana roku 1578 prawa nakazujące wybrańców pieszych z miast i wsi królewskich, wedle słusznej liczby łanów. W czasie pamiętnej wyprawy na Moskwę, Batory znając jak wiele wojsku na piechocie zależy, pragnąc znieść przesąd wstydu służenia w niej, użył całej swej powagi i wziętości, by szlachtę od przesądu tego uleczyć, i do służenia pieszo zachęcić. W tym celu Zamojski wydał do szlachty zagrzewającą odezwę i rotmistrzowi Urowieckiemu pokrewnemu swemu zaciąganie jej powierzył, jak i kilku innym. Odpowiedział skutek ich usiłowaniom. Każdy z rotmistrzów około pięciuset piechoty ze szlachty zaciągnionej przyprowadził i tak powstała piechota polska, która przy dobywaniu twierdz cudów waleczności dokazywała. Przecież niema śladów, by tak pożyteczne zaciągi w późniejszych czasach naśladowane były.» (Wójcicki — Przysłowia II. 230). Pieszy żołnierz powinien się był stawić — według urządzenia króla Stefana — z rusznicą dobrze narządzoną, szablą, siekierką i barwą taką, jaką mu porucznik albo rotmistrz naznaczył z innemi pieszemi podobną. —

Str. 37. Trawą żyje... Panu Franciszkowi zapewne została w pamięci anekdota, którą nam Jan Kochanowski zostawił w tak zwanych Apophtegmatach swoich: «Barańczuch, Tatarzyn, którego był pan jego w Rzymie kardynałowi jednemu darował, kiedy go potem po kilku leciech jeden ze znajomych trafiwszy się do Rzymu pytał, jako się ma? powiedział: «Nie dobrze: trawę jesz kak baran» dając znać, że mu się sałata włoska niepodobała.»

Str. 38. Rdest czy Gaweński, Batory czy Badura... W czasie elekcyi po śmierci Zygmunta Augusta wielu stronników Henryka, braci szlachty, wymówić go nawet dobrze nie mogło; zwali go »Gaweński» — jak twierdzi Bielski — a Ernest Austryacki «inaczej u nich nie był jedno Rdest.» — W czasie zaś bezkrólewia po Henryku, na sejmie elekcyjnym,

marszałek koronny Opaliński, chcąc zniechęcić szlachtę od króla rodaka, podał za kandydata do tronu znanego szlachcica słupskiego Badurę; tem podaniem wszystkich do śmiechu pobudził, i rzeczy swojej dokazał. Nasz Kochanowski obecny na tym sejmie a także Piastowi przeciwny może ten koncept marszałkowi podsunął. —

Str. 45. Nad dumnym Iwanem. Iwan Bazylewicz znany pod nazwiskiem groźnego panował wtedy w Moskwie już od lat 50. W czwartym bowiem roku odumarł go ojciec. Zgadzają się nawet na to rosyjscy historycy, iż trudno wystawić sobie większego, okrutniejszego dziwaczniejszego tyrana. Między innemi zbrodniami syna własną ręką zabił w gniewie. — Duma jego wyrównywała srogości, mianował się czternastym potomkiem od Prusa, brata cesarza Augusta, rościł sobie prawa Bóg wie do jakich krajów, wzbraniał się Zygmunta Augusta nazywać królem a Stefana Batorego bratem, posłów zaś królewskich karmić kazał tak lichą strawą i tak się z niemi obchodził, że honor monarchy polskiego znieść bezkarnie tych zniewag nie dozwolił. —

Str. 46. Zawczesny pokój z Moskwą. Iwan, któremu dotąd wszystko się powodziło, który kazańskie i astrachańskie hordy Tatarów podbił, Turków do ucieczki przymuszał, a Polakami szczęśliwie wojował, upokorzony przez naszego Stefana, błagał o pokój, i jak go już dobrze bieda przycisnęła, posłał do papieża i dał mu poznać, że przystąpi do unii z rzymskim kościołem, byle go od Batorego uwolnił. Papież uwierzył i przysłał legata swego Possewina, który wiele nameczył króla Stefana i nareszcie nakłonił go do zawarcia zawczesnego pokoju. «Gdy minęło niebezpieczeństwo — (pisze Albertrandi II. 93) minęła i ona obłudna do unii przychylność, która i papieża zwiodła i króla nieraz żalu nabawiła, iż się zbyt powolnym na jego żądanie okazał.»

Str. 46. Polska głowa. Wiadomo, że Polacy słynęli zawsze z mocnych głów; cięcia, razy, które by Niemca albo innego zabiły, dla nich były prawie niczem. Niewiem czyby to nie pochodziło naprzód od staropolskiego zwyczaju mycia głowy i karku zimną wodą, a potem od odmiennego sposobu chodowania dzieci; we Francyi n. p. dziecię tygodniowe już nosi głowę, choć nią kiwa na wszystkie strony i osłabia muszkuły tym sposobem — u nas, do sześciu tygodni, do dwóch miesięcy nie dozwalają tego niemowlątkom naszym.

Str. 46. Zwój — rouleau. — Może i zbytkuję takim dokładnym wykładem.

Str. 48. Przeborkiem. Tak się zowie po staropolsku przedział włosów na głowie i zdaję mi się to nazwanie bardzo słuszne; jest to jakby droga przez bór włosów. Wszak i Francuzi mówią une forêt de cheveux.

Str. 52. Piotr mój ojciec... Nie szczędziłam pracy do wynalezienia rzetelnej wiadomości o rodzie i o rodzeństwie Kochanowskiego, bo najdrobniejsze szczegóły o takim człowieku drogie są. Oto jest czegom się dowiedzieć mogła nie z naszych herbarzy, które dopiero od Jana o Kochanowskich wspominają — ale z dokumentów familijnych i dotąd nie drukowanych. — Ojciec jego Piotr, urodzony 1485. roku miał pięciu braci, Jana (bo już to widać upodobane było u nich imię) Wita, Filipa, Tomasza i Dobiesława, i trzy siostry, z których starsza Dorota wydana była za Mysłowskiego, druga za Dąbrowskiego, trzecia za Siemińskiego. Jest w archiwum czarnoleskiem dział z roku 1518 między tem rodzeństwem, z którego się pokazuje, że Czarnolas, Barycz, Grodek, Zawada, Piastków, Wsioła, były wtedy w ręku Kochanowskich. Sycyny, gdzie nasz Jan się rodził, niema w liczbie wiosek objętych owym działem; znać, musiał ją wziąźć Piotr w posagu z żoną swoją, Anną Białaczewską i tam mieszkał dopóků po powtórnym dziale nie dostał mu się Czarnolas; jakoż są dowody w aktach, że roku 1542 ta wioska do niego należała. — O braciach Piotra i ich potomstwie nic nie znalazłam, prócz o najmłodszym Dobiesławie; Grodek i Barycz należały do niego, jeden syn jego Jan był podstarostą stężyckim, drugi Andrzej był stolnikiem sandomierskim, posłował na sejmy i kościoł w Gródku założył. Andrzej z żony swojej Anny Mysłowskiej zostawił dwóch synów Ewemiana i Jana, którzy stan duchowny sobie obrali. Jeden umarł 1604, drugi 1613. roku. — Piotr, ojciec Jana miał sześciu synów i cztery córki: najstarszy

Kasper, pisarz sandomierski, drugi nasz Jan, trzeci Mikołaj autor rotuł, czwarty Andrzej tłómacz Eneidy, piąty Jakób — o którym nic niewiem i najmłodszy jak się zdaje po wielu rzeczach, Piotr ów wyborny tłómacz Jerozolimy, kawaler maltański, który umarł w Krakowie sekretarzem Zygmunta III. 2. sierpnia 1620. roku i pochowany jest w kościele Franciszkanów. Zważywszy, że Piotr ojciec umarł 1547. roku, on żył lat siedmdziesiąt z górą. — Z kilku synów Mikołaja i Anny z Jasieńca żony jego, którzy po śmierci Jana otrzymali już od Zygmunta III. przywilej na zupełną własność pism stryja. jeden Krzysztof dał się poznać. Naprzód dworzanin króla Stefana, dalej chorąży sandomierski, był potem ciągle przy Zygmuncie III. który go bardzo lubił, do różnych używał poselstw, między innemi do Turcyi roku 1601, i obsypywał łaskami. Kiedy umarł w rok po królu Zygmuncie, był chorążym koronnym, starostą kozienieckim i znaczne dobra królewskie dzierżył. Albrycht Radziwiłł w pamiętnikach swoich tak o nim pisze 1633. roku: «W grudniu skończył życie doczesne Krzysztof Kochanowski, chorąży koronny, faworyt królewski; chorąztwo król Władysław oddał Koniecpolskiemu, kozienickie starostwo Kazanowskiemu, dobra królewskie pod Węgrami Rejowi.» — Posłowanie na sejmy Andrzeja syna Dobiesława i poselstwa Krzysztofa niektórzy pisarze kładą mylnie na kark naszego Jana — rada będę jeźli ten mój wywód objaśni powody do tych omyłek. — Dowodem, że jedna z sióstr Jana dostąpiła zamęźcia, jest wiersz jego pod napisem «Dziewosłąb»- który tak kończy:

Tom ja pisał na siostry swej miłej żądanie,
Które u mnie tak ważne jako rozkazanie.
I sama się do tego dobrze przyłożyła;
Naleźć rym, to nawiększa moja praca była.

Str. 55. Zacny Ossoliński. W jednej z elegii łacińskich Kochanowskiego został ślad tego co tu wspomina; oto z niej wyjątek tłómaczenia Brodzińskiego:

«Jakiem ci Ossoliński! winien jest podzięki
To wszystko z serca wydać nie mojej rzecz ręki.
. . . .
Ty też, Muzo! gdy w smutne popłynę otchłanie
Zdarz! niech ta pieśń na czasy dalekie zostanie;
Niech pozna wiek potomny ku mnie jego chęci,
Niech sława starożytna imię jego święci!
Bo kiedy na mnie nieszczęść zmówiło się mnóztwo
I miłość niepozbędna i twarde ubóztwo,
On mię jeden od czarnej rozpaczy wybawił
I w nieszczęśliwem dla mnie miejscu nie zostawił;
Wszelakich dróg próbował by mię z ran uleczył
Któremi do szaleństwa Bożek mię skaleczył.
Lecz wtedy taki ogień gorzał w mojem łonie
Jakim Etna wybucha lub Apońskie tonie;
I jakobym w cudownym zakosztował Locie
Anim myślał o miłym do kraju powrocie. II. 1.

Str. 55. Greta... Tak zwano miejską córkę powabną; było to skrócenie imienia Gertrudy pospolitego między mieszczkami.

Str. 55. Dział majątku. Oryginał tego działu z roku 1560 jest w archiwach radomskich; dowód w nim, że Kasper bierze Policznę, Wilczą i Polną Wolę i Boże Nowiny, Jan Czarnolas, Mikołaj Wolę, Sycynę i t. d.

Str. 55. Moim wikarym. Może nie będzie tu od rzeczy przytoczyć następujący wypis z ksiąg kościelnych Zwolenia; w dowód jako rzetelny, umieszczam go po łacinie i po polsku:

Visitatio Ecclesiae paroch. Zwolenensis Anno 1565. Ecclesia parochialis in Zwoleń. Chorus sacerdotalis post conflagrationem ex cocto latere aedificatus, reliquum ex asseribus et tabulis per cives est quoque confectum, non consecratum. Habet etiam indultum celebrandi. Collationis Regiae Majestatis. Plebanus D. Joannes Kochanowski Praepositus Posnaniensis non est in Sacris, nec in sua Plebanali residet, nec est ubi resideat, neglecta est etiam Domus Plebanalis licet sit bene provisus Plebanus. Vicarii Stanislaus de Bar-

thodzieie, qui est Commendarius sine scripta Commenda. R. Matthias de Zalesie. Hereticus est unus, Luca Danielis Gupolski etc.

Wizytacya kościoła parafialnego Zwoleńskiego roku 1565. Kościół parafialny w Zwoleniu. Prezbiterium po pożarze z cegły wybudowane, reszta zaś (kościoła) z belek i tarcic przez obywateli dokończona ale nie poświęcona. Ma jednak na odprawienie mszy ś. udzielony indult. Jest kollacyi królewskiej. Plebanem jest pan Jan Kochanowski, proboszcz poznański, nie mający święceń. Nie mieszka on w swojej plebanii, bo niema gdzie mieszkać, gdyż zaniedbany jest dom plebański, chociaż pleban ma dobrą posadę. Wikaryuszami są: Stanisław z Bartodziejów, który razem jest komendarzem bez pisanej komendy i ksiądz Maciej z Zalesia. Znajduje się (w tej parafii) jeden heretyk, Łukasz, syn Daniela, Gupolski i t. d.

Str. 55. Manucyusza, Karola Sygoniusza. Ci mężowie należący do liczby uczonych owego wieku a wspominani we wszystkich prawie biografiach Kochanowskiego, słusznie tu miejsce znaleźć powinni:

Manucyuszów Aldów było trzech: ojciec, syn i wnuk; pierwszy umarł 1515. roku, drugi 1575, trzeci 1597. Najznamienitszym był ojciec, który założył najsławniejszą drukarnię we Włoszech, a chcąc wydawać jak się należało greckich i łacińskich klasyków, otoczył się uczonemi i zawiązał jakby towarzystwo, które od jego imienia czy przydomku nazwano Academia Aldina; zdaje się, że nasz Kochanowski z synem był w przyjaźni, który był profesorem wymowy w Wenecyi a drukarnią, która imię Aldów nosi, w roku 1561 przeniósł do Rzymu, do Kapitolu. Prawie równie tyle zasług położył dla świata uczonego co ojciec — przecież przy końcu życia już nie tak starannie wychodziły dzieła z pod pras Aldów. — Stary Manucyusz takie zdanie zostawił o Polsce: «Sarmacya jeżeli kiedy była dziką, to dziś tej dzikości tak się pozbyła, że niemasz żadnego zaalpejskiego narodu, któryby się odznaczał więcej niż ona zamiłowaniem nauk, ludzkością i wdzięcznością.» Karol Sygoniusz (Carlo Sigone) urodził się w Modenie roku 1523. Od pierwszej młodości wsławił się rzadką biegłością w językach starożytnych, mianowicie w greckim. Jako autor piszący wyborną łaciną pierwszem ważniejszem jego dziełem były Fasti consulares wydane w roku 1550. Wezwany na profesora do Wenecyi a poźniej do Padwy, opuścił to ostatnie miasto w skutek zaciętej literackiej walki z tamże uczącym takoż profesorem Robertellem i przeniósł się do Bononii. W roku 1574 wydał najcelniejsze swoje dzieło: historyą panowania Longobardów we Włoszech. Papieże wzywali go do napisania historyi kościoła, Stefan Batory zapraszał go do Polski lecz nadaremnie. Umarł w Bononii tego samego roku co Kochanowski. Dowód jak ścisła wiązała ich zażyłość, pozostał w łacińskiej elegii IX. naszego Jana, pisanej roku 1560 zaraz po powrocie jego do Polski, która tak się zaczyna:

Taki przestwór, Karolu! obu nas rozdziela
Że nie wiem czy cię dojdzie ten list przyjaciela;
Jeźli jednak kto szczęsny od Arktejskiej strony
Stąpi na twoje brzegi morzem przypławiony,
Ten chociaż ci mojego nie przyniesie pienia,
Powie jednak niezmienne dla ciebie życzenia.
Rodan z Loarą moję słyszały tęsknicę,
Gdy przychodziło Gallów opuszczać stolicę,
Ale dom nieszczęśliwy rodzicy zbawiony
Głośno wołał powrotu do ojczystej strony:
Gdybym spóźnił jak drugi Ulisses w Itace
Ze starym psem bym płakał na zniszczone prace.
Lecz choć za Ryfejskiemi górami osiędę
Z tobą zawsze, Karolu! umysłem żyć będę;
Bo zacną twoją przyjaźń i chęci uznaję
Odkąd się między obce zabłąkałem kraje;
Z tobą Belgi zwiedziłem, z tobą Akwitany
Gród Marsylski nad samem morzem zbudowany,
Domy Celtów, Sekwanę, która modre wały
Wartkim pędem zakrąża pod Paryż wspaniały.
i t. d. —

Str. 56. Z Anakreonem w ręku. Poeta grecki, który wino i miłość najchętniej opiewał. Kochanowski bardzo biegły w greckim języku przełożył pięknie kilka jego pieśni — pierwsza zwłaszcza, umieszczona na początku księgi czwartej, bardzo jest chwalona. —

Str. 56. Pisało się Fraszki. W pismach Kochanowskiego jest trzy księgi ulotnych wierszyków pod tem nazwaniem, w liczbie których są zbyt wesołe i nieobyczajne. Choć się niemi król August, panowie i dworzanie przy kielichu bawili, i choć może im był winien w części Kochanowski powszechną wziętość, przecież za życia jego już mowa była, czy je wydać wszystkie bez wyboru? Drukarz odradzał mu to ustnie, a kiedy już wyjść miały pisał jeszcze do niego czyby nie wyrzucić grubszych? Kochanowski tak mu odpisał: «Wyrzucać co z fraszek, nie zda mi się, bo to jest jakoby dusza ich. A tak proszę przepuść im teraz W. M.» — Ksiądz Bohomolec wydając dzieła Kochanowskiego wypuścił nieprzystojne wierszyki, jako też najnowsze wydanie w Lipsku roku 1835 w 3. tomach, i te wydania powinny być w ręku młodych osób. —

Str. 57. Bogate dochody. Wielkiem nadużyciem — tak powszechnie cierpianem, że już w oczach niektórych przestało być nadużyciem — świeckie osoby gotujące się dopiero do stanu duchownego, a czasem i takie co nie myślały o nim wcale, używały dostatków i dochodów sług kościoła. Nie małe to było zgorszenie dla różnowierców i obfite źródło do ich pocisków na katolicyzm. Kochanowski odmówił opactwo sieciechowskie, ale proboszczem poznańskim jeszcze w roku 1571 się podpisywał; mam jednak to przekonanie, że tylko tytuł zachował, a dochodów nie brał. —

Str. 57. Za napis modlitwę. Taki był ten napis, który między Fraszkami jest umieszczony:

Panie, to moja praca, a zdarzenie twoje:
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje.
Inni niechaj pałace marmurowe mają
I szczerym złotogłowem ściany obijają.
Ja Panie, niechaj mieszkam w tem gniaździe ojczystem
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nie przykrą starością.

Str. 57. Bogdankę. Nasz język ma dziwnie piękne wyrażenia swoje. Czy może być naprzykład co wymowniejszego, trafniejszego jak ta nazwa Bogdana, Bogdanki przyznana temu i tej, którzy często nie wiedząc od urodzenia o sobie, nie znając się wcale schodzą się nagle, zwyczajnie przypadkiem, i w krótkim czasie przystają do siebie na to żeby, w obliczu Boga i ludzi we dwoje jednem żyć życiem i nierozdzielić się do śmierci.

Str. 59. Nic, nic, zdrów mój Franulko. Komuby się nie chciało wierzyć, aby w owych czasach takie mogło być pieszczone wychowanie, niech przeczyta żywot Mikołaja Reja z Nagłowic przez Trzecieskiego.

Str. 62. Wymierzona wdowie. — Lanckoronę Łaski wojewoda sieradzki odjął był gwałtem wdowie Wolskiego kasztelana czerskiego i trzymał ją siłą zbrojną. Król Stefan prawie zaraz po koronacyi swojej wysłał tam Stanisława z Górki i Cikowskiego dodawszy im węgierskiego rycerstwa; poddała się załoga i król kazał oddać własność skrzywdzonej wdowie. —

Str. 62. Do sobka. Sobek, sobkostwo, także wyborne wyrażenia; lepiej zda mi się oddają znaczenie egoisty, egoizmu, od przyjętego dziś samoluba i samolubstwa. Egoista nie tylko lubi siebie, ale żyje sobą, dla siebie.

Str. 67. Dołożył się Piotr ojciec. Są dotąd w papierach kościelnych w Policzny dowody tej wspólnej fundacyi pobożnego teścia i zięcia. Jest z roku 1531 zapis Białaczewskiego nadający przyszłemu proboszczowi Policzny, w jednem miejscu łanów siedm, w drugiem pół pięta. Piotr Kochanowski nie tylko, że dał na wybudowanie kościoła 4000 złp. (dzisiejszych 36,200) ale i część gruntów także wiecznym funduszem zapisał. Oba przy zabudowaniach dla plebana szkółkę postawili. W erekcyi tego kościoła danej i podpisanej przez Piotra Tomickiego, biskupa krakowskiego, wówczas podkanclerzego koronnego, w Krakowie 26. czerwca 1531, wyrażone są po-

wody dla czego ten kościoł fundowany; najważniejszym jest ten, że oddalenie dotychczasowej parafii dla mieszkańców Policzny, Czarnolasu i Świetlikowej Woli było bardzo niedogodne, mianowicie w czasie zimowym; mieli ją bowiem w Sieciechowie i w Zwoleniu więcej niż o milę drogi. Jus patronatus czyli prawo mianowania plebana, zapewnione w tejże erekcyi Białaczewskiemu i Kochanowskiemu, to jest dziedzicom Policzny i Czarnolasu. —

Str. 69. Z Modrzewskim, z Orzechowskim... Modrzewski Frycz. Był to jeden z najświatlejszych pisarzy naszych, z najżyczliwszych ojczyznie obywateli, szkoda, iż błędami różnowierców zarażony powstawał przeciw kościołowi. Wszakże dzieło jego «o poprawie Rzeczypospolitej» Zygmuntowi Augustowi przypisane, pełne rad i uwag zbawiennych, nie zamyka w sobie zdań przeciwnych wierze. Napisal je po łacinie i wydał roku 1551; przetłómaczył je wybornie po polsku Cypryan Bązylik i do druku podał 1557. Wielką wziętość znalazło to dzieło jako i inne prace Modrzewskiego; tłómaczóne były na niemiecki, francuzki i hiszpański język. Modrzewski w wielkich był łaskach u Zygmunta Augusta, sekretarzem jego i do różnych używany poselstw, mianowicie do Pawła IV. papieża, do Karola V. cesarza i do Ferdynanda hiszpańskiego. Rok urodzenia jego i śmierci nie jest wiadomy; jest tylko wzmianka, że kiedy 1590. roku zajęto się przedrukowaniem i zupełnem wydaniem pism jego, już oddawna nie żył. —

Orzechowski Stanisław. Również do znakomitych ludzi naszych i pisarzy należy, pisał i po polsku i po łacinie; mamy jego pióra Kronikę, żywot Jana Tarnowskiego i pełno pism i dysput teologicznych. Popędliwy, niestały z natury z zapałem rzucił się do nowej wiary; księdzem będąc, zrzekł się publicznie kapłaństwa, ożenił się 1551. roku z Magdaleną Młyńską, całą Polskę napełnił odgłosem zgorszeń, dysput, retraktacyi swoich, a był niepospolitej wymowy i bystrego dowcipu człowiek. «Wielkie szczęście — mówili spółcześni — że Orzechowski statku niema, inaczej czem Luter był w niemieckich krajach, tem on byłby u nas.»

Str. 69. Protaszewiczom, Solikowskim. Protaszewicz Waleryan urodzony 1505. roku, dowcipny, uczony, gorliwy, obrawszy sobie stan duchowny został w roku 1555 biskupem wileńskim i wiele do unii Litwy z Koroną się przyczynił. Za pasterstwa jego smutny był stan kościoła katolickiego w Litwie. Z jednej strony kościół grecki, z drugiej dyssydenci pod możnym wodzem Mikołajem Radziwiłłem odrywali od jedności kościelnej tysiące dusz. Protaszewicz opierał się im wszelkiemi siłami, wymową, surowością, dozorem; a gdy rady sobie dać nie mógł za namową kardynała Hozyusza sprowadził do Wilna jezuitów — który to zakon jak każdemu wiadomo postanowiony był najwięcej jako «taran do burzenia świątyni Baala.» — W roku 1579 oddał im kollegium gotowe na trzydzieści osób. Mimo wielkiego oporu Protaszewicz przed śmiercią swoją, zaszłą w 1579. roku, to sprawił, iż jezuici mieli kościół w Wilnie, a Grzegorz XIII. wydał bullę upoważniającą ich do założenia głównej szkoły w tem mieście. — Sam niegdyś ubogi i do znaczenia doszedłszy jedynie przez nauki, założył przy tejże szkole bursę dla kilkunastu uczniów ubogich zwaną bursa Valeriana.

Solikowski Jan Dymitr nieco później do wielkiej i pięknej doszedł sławy. Rodzice jego zacni obywatele województwa sieradzkiego ale nie majętni przeznaczyli go do duchownego stanu; stopniami idąc i zasługując się kościołowi i Rzeczypospolitej w roku 1582. został arcybiskupem lwowskim. Wzorem był dostojnych kapłanów; uczony, biegły teolog i łacinnik, nawracał najwięcej wymową i przekonywając rozum. Duchowieństwa pod nim będącego prawdziwym był pasterzem, uczonych kapłanów kochał i zawsze mawiał: «To u mnie ksiądz, kiedy nie przy księdzu, ale w księdzu widzę książkę.» Odwiedzającego go kapłana temi słowy witał: «Witam księże bracie! jak wam idą prace kościoła? jakie teraz księgi czytacie?» Uczniów szkoły lwowskiej chcąc do postępów zagrzewać, odwiedzał często i wypytywał się. W jednaniu rozerwanych serc i uspokajaniu religijnych niezgód nad podziw był szczęśliwy, dla ubogich prawie rozrzutny, a przytem wesoły, miły w obcowaniu. — Gdy spracowanego i już nie młodego ciężkie napastowały słabości, Zamojski zalecił lekarzowi Janowi Oczko, aby do niego napisał ofiarując mu swą pomoc; Solikowski tak odpisał: «Doskonałość wasza może zmniejszyć boleści, ale nie oddali nieuleczonych chorób, a

temi są prace i wiek. Mój kochany Oczko! już ja słyszę jak czas ostrzy kosę na ten dojrzały kłosek. Dajcie pokój starcowi, który wzdycha po trudach podróży do swobodnej gospody. Na nic wam się nie przyda, już i słabych rąk dźwigać nie może do Pana Boga zastępów, za całość Rzpltej... Miły Oczko, dziękuję wam, pozdrawiam i błogosławię was, a sobie szepcę: Est medicina Deus.» — Ten święty, mądry i cnotliwy biskup, ozdoba panowania króla Stefana, który dwadzieścia trzy poselstw odbył chwalebnie, a nawet jak widzieliśmy wyżej i do samego Batorego był wysyłany, umarł 1603. roku. — Wiele pism teologicznych, politycznych i historycznych zostawił, nawet i poezye łacińskie. —

Str. 70. Piękne rotuły. Rotuły te w liczbie dwunastu, które Mikołaj Kochanowski napisał dla synów swoich, drukowane są zawsze w raz z pismami Jana i godne tego. Trocha wierszem i zdatnością, zupełnie — sposobem myślenia, Mikołaj był bratem Jana. — Rotuły i parę wierszyków tegoż samego pióra zasługują na to, żeby wszystkie dzieci uczyły się ich na pamięć — trudnoby o lepsze nauki moralne. — Wyraz rotuły pochodzi od roty czyli formy, przepisu. —

— Andryszowiczowi. Uczony i sławny ówczesny drukarz krakowski i syn drukarza, polski Manucci, znany jest więcej pod nazwiskiem Jana Januszowskiego; nie przybrał go jednak aż później kiedy mu Zygmunt III. nadał szlachectwo i herb Kłośnik. On wydawał dzieła Kochanowskiego za jego życia, on je wydał kompletnie po śmierci przypisując je kasztelanowi Myszkowskiemu. Ta dedykacya bardzo zajmująca mieszczona jest zawsze na czele pism Jana. — Januszowski straciwszy żonę, chociaż miał trzech synów, Krzysztofa, Stanisława i Michała został księdzem w 1588. roku i umarł 1613.

Str. 71. Gorzałka mało gdzie znana. Jest wiele pomników pisanych dobrego stanu gospodarstwa w Polsce w szesnastym wieku. Między innemi egzystuje dokładny obraz starostwa łomżyńskiego od panowania Zygmunta Augusta do Sobieskiego. Łomża za Zygmunta Augusta miała 600 domów murowanych, rzemieślników wszelkiego rodzaju, miasto 5000 sztuk broni dostarczało w czasie wojny, ale też wtedy w całem starostwie z kilku miasteczek i ośmiudziesiąt wsi złożonem w jednem tylko szczególnie miejscu wypalano surowiec na gorzałkę, wszędzie były browary i chłopi pili piwo. Z czasem zmienił się stan rzeczy, wzmogła się gorzałka, przyszli żydzi, i do tego doszło, że za Sobieskiego ludność zmniejszyła się w starostwie o czwartą część, a w Łomży jeden tylko był kowal i wszędzie bieda i upadek.

Str. 71. W historyi lekarskiej sztuki w Polsce czytałam jako pierwszy kołtun pokazał się w Polsce 1599. roku.

Str. 71. Godzinki małe o Pana Chrystusowym krzyżu wyszły roku 1567. Może miło będzie nie jednej czytelniczce powtórzyć za Ewą Kochanowską modlitwę wierszem, która jest na czele tej książeczki:

Bądź pozdrowion, Krzyżu Święty
U Boga, u ludzi wzięty.
Przez Cię, dziwne frymarczenie
Stało się nad rozumienie.
Przed czasy sługom niewolnym
Byłeś morderstwem ogromnym,
Teraz się w Tobie kochają,
Królowie Cię wystawiają.
Przedtem łotr przeklęty każdy,
Śmiercią twą zginąłci zawdy;
Teraz by najgorszy mieni
Że przez Cię wszyscy zbawieni.
Krzyżu, tryumfie niebieski,
Tylkoć w Tobie ma dufanie
Ten świat, a wszyscy Polanie.
Racz nasze drogi prostować,
Drzwi niebieskie odszpontować,
A my Cię z królmi, z książęty,
Wielbić będziem, Krzyżu Święty!

Str. 75. Popularnej sławy. Już od szesnastu lat — jak wiadomo, zajmuje mnie myśl napisania o Kochanowskim i radością jest dla mnie, kiedy gdzie napotkam jego imię. Ale mogę śmiało wynać, żem się nacieszyła do woli tą radością, nie zdarzyło mi się bowiem wziąść do ręki dzieła, pisma polskiego, żeby w niem nie napotkać czasem zupełnie niespodzianie to pochwałę jego, to wiersz jaki, i poszłabym w zakład, że niema dotąd poety u nas równie często a chlubnie wspominanego i przytaczanego.

Str. 75. Patryarchalnego zwyczaju. Nie można dosyć zachęcać rodziców i sędziwe osoby aby dzieciom własnym i cudzym jak najwięcej o krajowych i o rodzinnych rzeczach mówiły, o tem wszystkiem co zapamiętać mogą. Oprócz wpływu zbawiennego na ducha narodowego podobne opowiadania lepiej i więcej uczą od wszelkich ksiąg. Mam tego dowód na samej sobie. Dziś do uklecenia jako tako niniejszych obrazów potrzebowałam lat kilkunastu czytania; Listy Rzeczyckiej, Pamiętniki Franciszki Krasińskiej napisałam niegdyś od razu, prawie bez żadnej książki; ale do listów Rzeczyckiej miałam żywe wspomnienia tego wszystkiego com słyszała w pierwszej młodości od babki mojej Prowidencyi z Fontannych Czempińskiej, która pamiętała wybornie Augusta III. — Pamiętniki zaś Krasińskiej wyjęte były z ust znakomitej Polki Anieli ze Świdzińskich Szymanowskiej, starościny wyszogrodzkiej, córki chrzestnej Franciszki Krasińskiej przy której chowałam się do lat trzynastu. — I właściwie nie mnie ale im należą się pochwały, które uzyskały te dwa pisemka. —

Str. 75. Z Fogelwerderem. Już wspominany w tej powieści; był to jeden z bliższych przyjaciół Kochanowskiego, na imię mu było Stanisław. Rodzina jego niemiecka i nie szlachecka przeniosła się do Polski; on obrał sobie stan duchowny i w tym celu był wysłany do Włoch na nauki. Został z kolei kanonikiem krakowskim, archidyakonem warszawskim, nareszcie proboszczem miechowskim. W naukach i językach biegły, sprawował legacyą w Hiszpanii wysłany od Zygmunta Augusta. Umarł 1603. roku mając lat 78. W ostatnich latach swego życia był kanclerzem Anny Austryaczki, żony Zygmunta III.

Str. 76. Nie było gazet. W początku siędmnastego wieku zaczęło dopiero wychodzić w Wenecyi pierwsze pismo zdające sprawę o bieżących politycznych wypadkach, regularnie co tydzień. Pisma te płacono pewną monetą nazwaną gazetta i od tej monety nazwa podobnym pismom została. Dawniej jeszcze bywały i u nas i wszędzie dyaryusze wojen, sejmów i uroczystości. Chiny od niepamiętnych czasów miały swój dziennik dworski pisany i ogłaszany codziennie; ale to wszystko nie było tem, czem pierwsza wenecka gazeta być zaczęła i którą wnet we wszelkich krajach naśladowano. — U nas próbowano wydawać gazety za Władysława IV. i Jana Kazimierza ale przerwy zachodziły — pierwszą ciągłą był Kuryer polski i zagraniczny, który zaczął wychodzić w końcu panowania Augusta II.

Str. 76. Poczta ... od Montelupich ... Zakład tyle użyteczny początek swój miał w Polsce od dwóch Włochów tego nazwiska. Oto nadanie poczty im uczynione przez Stefana Batorego: «Zważając użyteczność poczty od poprzednika naszego Zygmunta Augusta zaprowadzonej, tak w rządowych działaniach jak w prywatnych stósunkach, zatwierdzamy ją pod zarządem Sebastyana Montelupi, szlachcica florenckiego i Waleryana jego synowca, których zaleconą sobie mamy wierność i zdatność na tym urzędzie dawniej okazaną, i wszystkie poczty, które oni swoim kosztem utrzymywać będą na wszystkich traktach, onym oddajemy, pod tym warunkiem, że oni na trakcie z Krakowa do Wenecyi w miejscach ku temu przyzwoitych tyle koni utrzymywać będą, aby gońcy pocztowi z Krakowa do Wenecyi i z Wenecyi do Krakowa jeżdżący tam i nazad, w przeciągu piętnastu dni swoją podróż odbywali. Bieg ten poczt tak urządzony mieć chcemy, aby poczta dwa razy na miesiąc, to jest 24 razy do roku, z Krakowa do Wenecyi z Wenecyi do Krakowa chodziła. Pocztarze, którzy za sługi nasze poczytane być mają, cyfry nasze i herby na sukniach nosić będą. Gdybyśmy zaś z dworem naszym z Krakowa do innego przenieść się mieli miasta, obowięzują się wyżej wymienieni Sebastyan i Waleryan Montelupi listy i wszystkie pocztą przychodzące rzeczy swoim kosztem jak najspieszniej do Warszawy przesyłać. — Zarząd poczty oddajemy Sebastyanowi i Waleryanowi jego synowcowi na lat pięć począwszy od 15. lutego 1583. roku z pensyą tysiąca złp. (9050 złp. dzi-

siejszych) które co kwartał pobierać będą z kasy naszej celnej krakowskiej. — Tym więc naszym listem królewskim wszystkim naszym wiernym poddanym rozkazujemy, aby przerzeczonego Sebastyana Montelupi i Waleryana jego synowca za uprzywilejowanych dyrektorów poczt uznawali i onymże w stósunkach urzędu ich dotyczących posłusznemi się okazali. Wnemu. zaś Janowi Dulskiemu Kwi. chełmskiemu, podskarbiemu koronnemu i Wnemu. Hyacyntowi Młodziejowskiemu podskarbiemu naszemu nadwornemu zalecamy, aby umówioną płacę tysiąca złotych dyrektorowi poczty regularnie opłacali i kwity od nich odbierali, które my w porachunku dochodów naszych przyjmować przyrzekamy. Niniejsza umowa żadnej niema przynieść zmiany w kontrakcie zawartym o utrzymanie poczty między Najjaśniejszą królową małżonką naszą, a wyżej rzeczonym Sebastyanem Montelupim, gdy on wszystkim przyjętym na siebie obowiązkom czynić zadosyć przyrzeka. — Opłatę od listów prywatnych na pocztę oddanych, na 4 gr. pol. (dziś złp. 1 gr. 6) od listu ustanawiamy bez względu na odległość miejsc, gdzie listy iść mają, uwalniając od takowej opłaty zakony księży Franciszkanów, Dominikanów, Augustyanów i Karmelitów, których listy bez żadnej opłaty na pocztach przyjmowane mieć chcemy.» Stefan Król.

Dan w Niepołomicach 29. Stycznia 1583 panowania 7.

Ten Sebastyau Montelupi zaszczycony został indygenatem i umarł w Krakowie 1610. roku. Niesiecki sądzi, że rodzina Wilczogórskich istniejąca od niego pochodzi. Mogli Montelupiowie i nie polszczyć nazwiska swego, bo ktokolwiek zasłuży się ojczyznie, ten synem jej, choćby nazwisko jego cudzoziemskie było, choćby nie kończyło się ani na ski ani na wicz. — Co do ustanowienia opłaty jednostajnej od listów prywatnych, nadmienić tu należy, że Anglia i Francya dopiero w tych latach uznały jej słuszność i dogodność, i zaprowadziły ją u siebie. —

Str. 76. «Naród ... poselstw.» Cały ustęp temi dwoma słowami objęty, jest wypisany prawie co do litery z pięknej przedmowy do «Skarbca» wydawanego przez Karola Sienkiewicza.

Str. 77. ... Zbiory należały do najbogatszych... Czytając podobne wspomnienia nasuwa się samo z siebie pytanie: gdzie się podziały te nasze skarby? Ale zastanowiwszy się nad nieszczęściami naszemi, dziwić się należy, zkąd jeszcze gorliwi obywatele wydobyć, wynaleźć dziś mogą jakie takie zabytki? Wszak blizko od dwóch wieków, kto tylko chce, to je niszczy. Żołdactwo nieprzyjacielskie paliło stosami nasze najszacowniejsze pismienne bogactwa; grzali się, gotowali strawę swoją przy ich płomieniu!... Cześć szczera, wieniec obywatelski należy się tym, co resztki cudem pozostałe starają się wydobyć i upowszechnić!...

Str. 77. Ośpiewać musiał. W wierszach Kochanowskiego tak wiele jest obywatelskich, historycznych, iż wczytawszy się w nie, można poznać ducha owych czasów i główniejsze krajowe zdarzenia. Ja, która wartowałam je pilnie (i która pochlebiam sobie, że ta moja praca o śpiewaku z Czarnolasu zachęci moze nie jedną Polkę do poznania bliżej dzieł jego) zalecam czytelniczkom moim, aby odczytały wymienione tu poniżej wiersze w porządku w jakim mieszczę ich tytuły:

1) O śmierci Jana Tarnowskiego — zaszłej 1561.

2) Satyr, albo dziki mąż, Zygmuntowi Augustowi przypisany, zda się koło roku 1562.

3) Pamiątka Janowi Tęczyńskiemu, zmarłemu w Danii 1562. roku.

4) Zgoda, pisana w czasie soboru trydenckiego, który trwał od 1543 do 1563.

5) Proporzec albo hołd pruski 1569, gdzie piękne wspomnienie o unii Litwy z Koroną.

6) Narzekanie na spustoszenie Podola przez Tatarów, 1575.

7) Na Boga spuścić radzi wybór krola — tegoż roku.

8) Dryas Zamechska, po ukończonej wojnie gdańskiej 1578. roku 8. maja. —

9) Wtargnienie Radziwiłła do Moskwy 1581 — w tym wierszu widać jak dokładne miał wiadomości Kochanowski o tem co się w kraju i w obozie działo — zupełny to biuletyn tej wyprawy.

10) Opiewa zwycięztwa króla Stefana nad Moskwą i pokój roku 1582.

Co do dziejów dawniejszych piękna jest elegia o Wandzie, pochwała znakomitszych królów polskich, fragment bitwy u Warny;

prozą zaś: O Czechu i Lechu, i rzecz potoczna Wróżki rozmowa ziemianina i plebana, zdaje się zaraz po wyjeździe królowej Bony napisana. —

Str. 77. Osobiście w zgiełku ... przemówić. Został ślad tego w pisarzach spółczesnych. Czytać można w Orzelskim w opisie bezkrólewia po Henryku, w czasie sejmu konwokacyjnego pod Wolą 1575. roku co następuje: «W senacie jedni byli za Piastem, drudzy za obcym ... w stanie rycerskim na różne strony dzieliły się zdania. Jan Kochanowski, Sandomierzanin, wyborny poeta polski i szczęśliwy naśladowca łacińskich, rzekł: «Lękam się, by upierając się przy Piaście, nie powiedziano: że gdy król jeden opuścił Polaków, oni niemogąc już nikogo z obcych dostać do berła, między sobą szukać pana musieli; a nadto któryż z Polaków będzie tak dumny i zarozumiały by się odważył taką nadzieją napuszczać?» — «A jeżeli — odezwał się podkomorzy chełmski — znajdzie się taki, co się wszystkim tego zaszczytu godnym okaże, cóż wtenczas?» — Na to Jan Kochanowski: «Zawsze bym mniemał bezpieczniej obrać lub młodszego syna cesarza lub syna Wielkiego kniazia moskiewskiego; ci wzięci w młodym wieku, łatwoby się do praw, do mowy, do zwyczajów naszych nagięli i t. d.»

Pamiętniki Niemcewicza I.

Str. 79. Psalmy ... które w wyższej myśli ... i z pracą przekładał. — Rzecz jest dowiedziona, że Kochanowski z wyraźnego polecenia biskupów polskich wziął się do tej pracy. Kiedy różnowiercy przekładami biblii napełniali zbory swoje, szło o to prawym katolikom, żeby także mieli piękne a wierne tłómaczenia pisma świętego. Przyznać należy, iż wybór tłómacza psalmów był trafny. — Zdaniem znawców, zdaniem Mickiewicza, żadna literatura nowożytna nie posiada równie doskonale oddanych pieśni Dawida. Autor Wallenroda zowie nawet psałterz Kochanowskiego nie przekładem, ale utworem, dziełem natchnienia. — Dowodem sumienności, a oraz wyższej myśli, która Janowi w tej pracy towarzyszyła, może być następujący wyjątek z listu jego do Fogelwerdera z roku 1571: «Psałterz, iżeś Wasza Miłość obiecał, dobrześ uczynił; quid enim promittere cedit? (cóż szkodzi obiecać) ale póki go czekać, żeś Wasza Miłość kresu nie założył, i to też nie źle. Bo to Hessus trzy lata robił, a przedsię źle. Utcumque est*(jakkolwiek bądź) niewiem co za oracyą posłowie na witaniu królowi Imć przyniosą na sejm; ja się o trzydzieści psalmów staram, tractant fabrilia fabri (kowal niech kuje) trzydzieści, mówię i z dawnemi, bych zaś w nieprawdzie nie został. — Co się tycze reguły, którąś mi Wasza Miłość napisał, abych jej strzegł in vertendo (w tłómaczeniu) jest bardzo dobra i pewna. Jeno ja miewam czasem pisząc visie, (widzenia); ukazują mi się dwie boginie, jedna jest necessitas clavos trabes et cuneos manu gestans ahena (konieczność mająca w miedzianej dłoni gwoździe belkowe i kliny) a druga poetica nescio quid blandum spirans (poezya, której tchnienie tak przyjemne). Te dwie kiedy mnie obstąpią, niewiem co czynić? — i t. d.»

Str. 81. ... Były ... po dworach ... córy szlacheckie. Dla osób badających obyczaje ojczyste, niezmiernej uwagi jest godna, nagła a wielka zmiana, jaka zaszła u nas na dworach pańskich (biorąc je wyłącznie z niewieściej strony); a pamiętać jeszcze i na to należy, że u nas rewolucyi socyalnej nie było. Przez kilka wieków, prawie do końca ostatniego, widzisz u naszych panów grono córek szlachty bogatszej, uboższej, zasłużonej, bądź tymże samym panom, bądź ojczyznie; widzisz je pod dozorem zacnych mistrzyń, zajęte nabożeństwem, robotą do kościołów, ożywiające w dnie świąteczne pańskie pokoje zabawą i tańcami, nareszcie po kilku leciech pobytu wydawane za mąż z posagiem i według stanu swego. Na tych dworach słyszysz jedynie polską mowę, widzisz najlepsze obyczaje, baczny dozór a nawet taką surowość, że jak to wyczytać można w pamiętnikach Albrychta Radziwiłła pod datą 2. czerwca 1645 za płochość występną, panna i dwóch dworskich, kochanek i przyjaciel śmiercią karani zostali. — Dziś u potomków tych samych panów, nie raz równie majętnych, czasem i majętniejszych, cóż najczęściej zobaczysz? Oto dame de compagnie, lektorkę, guwernantkę, wszystko cudzoziemki; może gdzie w kąteczku jaką zwiędłą wychowankę Polkę, która francuzki romans czyta i złą polszczyzną do ciebie zagada. Widząc to, ledwie możesz wierzyć, żeby pół wieku takie

przeistoczenie sprawiło. Zdaje się, że owe dawne dwory i dzisiejsze jakaś przepaść, jakieś wieki dzielą.

Str. 82. Z własną i dzieci szkodą. Ile jestem przekonana, że matki do prowadzenia córek nikogo przybierać nie powinny, tyle jestem za tem, żeby do udzielania nauk pomocników miały. Nie podobna, aby kobieta mająca męża, gospodarstwo, obowiązki towarzyskie potrafiła sama uczyć jak się należy; wreszcie, lekcye przez obcych mężczyzn dawane, przy bacznym dozorze matki zawsze są korzystniejsze, choćby też dla tego jedynie, że regularne. Osobom osiadłym w mieście o przychodnich nauczycieli łatwo, ale jabym sądziła, że można by i po wsiach mieć takowych. Niech by się tylko zebrało kilka rodzin blizko siebie mieszkających, niechby tego szczerze chciały i jakąś ofiarę uczyniły, a nie wątpię, że po miasteczkach, po wsiach nawet osiadaliby ludzie posiadający dobrze język polski, dzieje krajowe i inne nauki rzetelnie potrzebne panienkom; konno czy wózkiem dojeżdżaliby parę razy w tydzień do uczennic już na godzin kilka; mieliby sami sposób do życia uczciwy i wieleby się mogli przyczynić do posunięcia oświaty narodowej i prawdziwej między młodem niewieściem pokoleniem. Z czasem zaczęliby tak osiadać rodacy posiadający muzykę, rysunek, i zapobiegłoby się przecież kiedyś owemu wstydzącemu i szkodliwemu haraczowi, który dobrowolnie płacimy obcym, jakby nam na innych nie dosyć było; jakbyśmy chcieli wszędzie i zawsze dowodzić, że nic sami przez siebie nie jesteśmy, nic nie umiemy, kiedyć nawet edukacyi dziewczęcia dokonać u nas nie można.

Str. 82. Zacząwszy od królowej Anny. Niemogę się wstrzymać od przytoczenia tu dwóch listów, które okażą najlepiej prawdę moich słów:

Do Proboszcza Kaplicy Jagiellońskiej w Krakowie.

Anna Dei Gratia Regina Poloniae, M. D. Lithuaniae, Russiae, Prussiae etc.

«Posyłamy wam obrus na ołtarz do kaplice, naszej roboty kosztownej, który wziąwszy wpiszecie w inwentarz kapliczny; szanować go będziecie niepożyczając nikomu, a oznajmijcie nam jako i kiedy wam będzie oddan. Zatem się modlitwom waszym poruczamy

Anna królowa Polska.

Księże Proboszczu — okazać ten list pannie Myślimskiej.

Panno Myślimska, prosimy kup tam nam krupek jęczmiennych co napiękniejszych, drobnych, białych, chendogich, bo teraz nasze nie dobre zdrowie; a poślijcie nam jako naprędzej być może korzec jeden Krakowski. A my zaraz pieniądze odeślemy, co za nie Wasza Miłość dasz.»

Str. 82. Po wynalezieniu druku. Wszystkim wiadomo, że druk wynaleziony został w środku piętnastego wieku. Pierwsza jak się zdaje książka łacińska znana drukowana w Krakowie jest z roku 1465 pierwsze polskie druki znane 1514. roku w agendzie łacińskiej — pierwsze dzieło znane całe polskie, żywot Chrystusa Pana przez Baltazara z Opecia przełożony roku 1522. —

Str. 85. Śmierć okropna Iwana. Mało którego ciemięzcy tak oczywiście i już za życia ścigała kara niebios. Ostatnia jego choroba przechodziła w mękach, w obrzydliwości cokolwiek słyszeć można podobnego. Bóle miał nie do wytrzymania, smrod był nieznośny z jego ciała a robactwo już przed czasem je toczyło. Skonać żadnym sposobem nie mógł, po trzy razy w przeciągu kilku dni umierał z największą ciężkością i znowu wracał do zmysłów. Zabitego przez siebie syna i inne nieprzeliczone ofiary widział snujące się przed nim, słyszał ich przekleństwa, błagał o przebaczenie, wił się jak wąż, piekło wytrzymywał. Synowi Fiedorowi przyszłemu następcy zalecił w ciągu tych cierpień, żeby więźniom, ktorzy jęczeli w jego kajdanach, modlić się nakazał o jego uzdrowienie a on ich uwolni i daruje im. Posłyszawszy to więźnie modlili się wielkim głosem, żeby się tyran męczył jeszcze okropniej i żeby umarł. — I tak się stało. — Gdy nareszcie skonał, pękły w nim natychmiast wnętrznosci i ciało się rozpruło; taki był fetor, że natychmiast wrzucono jego trupa w dół głęboki, czy też spalono. Zkąd powstała wieść między ludem, że zniknęło ciało jego. — (Heidenstein.)

Str. 88. Chwytka, cyga, piłka, bąk, po dzisiejszemu.

Str. 93. Kościół w Gródku. W papierach tego kościoła wystawionego tytułem ś. Trójcy są dokumenta jako był założony przez Andrzeja Kochanowskiego, syna Dobiesława roku 1593, dokończony już po jego śmierci zaszłej 1595. roku przez żonę jego Annę z Mysłowskich, poświęcony roku 1598 przez Jerzego Radziwiłła, kardynała i biskupa krakowskiego. — Nad zakrystyą jest nagrobek założyciela z szumnym bardzo napisem i obraz człowieka zasypiającego w zbroi. Nagrobek ten położył stryjowi synowiec Andrzej, syn Jana, drugiego syna Dobiesława. — Ciekawych odsyłam do Gródka, wioski o ćwierć mili od Czarnolasu.

Str. 94. Forbot koronka, muchajer wełniana tkanina. —

Str. 97. Ciała Floryana rycerza. Za Kazimierza Sprawiedliwego a za papieża Lucyusza III. roku 1183 kości tego męczennika i rycerza żyjącego około 280. roku sprowadzone zostały do Polski i przyjęte z wielką czcią i radością. Król Kazimierz wystawił kościół na Kleparzu w Krakowie pod imieniem ś. Floryana; tam ramię jego zostawił a ostatek ś. kości na zamek przeniósł, gdzie w grobie znamienitym spoczywają dotąd.

Str. 98. Owo ostatnie mieszkanie. Zwyczaj otaczania się pamięcią śmierci i grobu był pospolity w owym czasie. Anna Jagiellonka — której imię wspominam rada — miała także trumnę w swojej komnacie, a w niej ubiór śmiertelny własną jej ręką uszyty. Owa królowa, co o obrusach i o krupkach pisała, wielką była filozofką.

Str. 100. Piękny mi przywilej. Porządek elekcyi w roku 1573 przepisuje międzу innemi co następuje: «Panowie elektorowie zjeżdżając się na elekcyą do miasta nie powinni towarów, ani żadnych rzeczy gwałtem wydzierać; jadąc przez ulice i mosty powinni się spokojnie zachować, nie czynić tumultu, a gdyby który którego z mostu zepchnął ulegnie karze roku i sześciu niedziel wieży, lub karze gardła, gdyby zepchnięty utonął i t. d.

Str. 101. Jak w Babinie... Rzeczpospolita babińska (o której później będzie obszerniej) owo państwo wesołego Pszonki, rozdając urzęda swoje, gdy Jan Zamojski tyle godności krajowych najznamienitszych zjednoczył, mianowała go swoim Totumfakiem.

Str. 101. Dziś ma ją w kieszeni. Drobna szlachta tyle ufała Zamojskiemu, że po ucieczce Henryka wielu dawało mu plenipotencye na wybór króla, to jest blankiety z podpisem i pieczęcią, aby w nie zapisywał co mu się podoba. (Życie Zamojskiego).

Str. 101. I sam tego pożałuje. Te słowa aż nadto się sprawdziły. Zamojski, który doradził stanom na zjeździe bełzkim, aby każdy szlachcic co osobiście w obronie ojczyzny stawa, osobiście także do wyboru króla należał, którego stany usłuchały, i na elekcyą Batorego już nie wotowano województwami, ale przez każdego obecnego szlachcica — Zamojski mówię, widząc smutne skutki podobnego przywileju, podawał w roku 1590 projekt do porządniejszych elekcyi, ale ten projekt oporem kilku osób spełzł na niczem.

Str. 101. Dobreć on ma zęby. Herb Batorych jest trzy zęby; herb ten podług zwyczaju znajdował się na pieczęciach kanclerskich, które dawały sankcyą wszelkim wyrokom i urządzeniom, a ponieważ król Stefan wydał ich wiele surowych acz sprawiedliwych i mądrych, weszło w zwyczaj mówić: dobre on ma zęby, albo, pokazał mu zęby, wziął go na zęby, ostrzy na niego zęby i t. p.

Str. 101. Związali ręce. Na mocy paktów konwentów 8. lutego 1576 podpisanych, król Stefan zrzekł się zaciągania wojska bez wiedzy stanów, trzymania pospolitego ruszenia za granicą dłużej jak przez ćwierć roku i rozdzielania go na części.

Str. 103. W dzień Niewiniątek. Dziś po wielu naszych kościołach w dzień ś. Jana Ewangelisty dają pić wino zebranym wiernym, ale dawniej odbywało się to nazajutrz w dzień Niewiniątek, na pamiątkę krwi ich niewinnie przelanej za Boskie dzieciątko. — Matki, które potraciły dzieci w niemowlęctwie, zwykły były także dzień ten szczególniej święcić. —

Str. 111. Rzucił wieniec. Wieńce w owych czasach bardzo były używane i chętnie noszone. «Zygmunt stary w wieńcu róż rad chadzał» jak piszą nasi kronikarze. Złożyć wieniec na łóżku dziewczyny, zawiesić

go u drzwi jej domu, u okna jej pokoju, było to oznaką zalotów. W tańcach młodzieńcy ubiegali się o wieńce dziewcząt, na dnie uroczyste zawieszano niemi ściany, w niektóre święta okrywano niemi ołtarze. —

Str. 115. Zapaąęk, fartuch; wyraz lepszy i swój.

Str. 118. Prócz kalendarza krakowskiego... Kalendarze od dawnych czasów były książką najwięcej wziętą u naszej szlachty, dla wielu jedyną prócz nabożnej. Uczeni nasi twierdzą, iż nim się druk upowszechnił mieli pisane po łacinie, a roku 1494 już były krakowskie kalendarze drukowane; polski ścienny z roku 1531 ma istnieć dotąd. W roku 1584 tem potrzebniejsze były nowe kalendarze, iż przed dwoma laty nastąpiła była poprawa dawnego czyli Juliańskiego. Przyjęty wówczas rządzi dotąd całem chrześciaństwem wyjąwszy wyznawców greckiej wiary, którzy przy starym zostali, i dla tego między ich sposobem liczenia czasów i naszym jest różnicy o dni dziesięć. Gdyby rzeczy działy się sprawiedliwie na świecie nowy kalendarz powinien by się zwać Marcinowy. Jeszcze bowiem w roku 1515 nasz Marcin z Olkusza biegły matematyk przedstawił papieżowi Leonowi X. na zborze lateraneńskim pismo p. t. Nova Kalendarii romani reformatio, wyświecające wszystkie wady trwającego wtedy kalendarza Juliańskiego i sposób zaradzenia onym. Myśl ta bardzo chwalona dla różnych okoliczności dopiero 67 lat później za papieża Grzegorza XIII. wykonaną została; a chociaż zupełnie według naszego Marcina kalendarz nowy ułożono, zowie się on Gregoryański, nie zaś Marcinowy. — I Ameryka nie zowie się Kolumbią.

Str. 118. Ta księga arkuszowa. Ktoby chciał mieć wyobrażenie takich ksiąg pamięci niech się stara poznać gospodarskie dzieła Teodora Zawadzkiego pisarza z 17. wieku.

Str. 119. Zwyczaj ten, który wiele oszczędzał. Radabym, żeby ten opis wpadł w ręce których z młodych pań naszych, i żeby zwrócił jej myśl na samą siebie: «Czy też wie co ma w garderobie swojej? (bo tak dziś szatnię zowią) czy ma spis porządny tych rzeczy? czy je kiedy oblicza i wypytuje się służących?» Jak mnie wiadomo nie jedna dzisiejsza pani ledwie klejnoty pod własnym kluczem trzyma i to jeszcze nie zawsze je zamyka, co zresztą się dzieje ani wie. A ile to rzeczy marnuje się takiem niedbalstwem, ile ginie, ile nawet się zleży i zepsuje! a kto na tem traci najwięcej? ubodzy — owi młodsi bracia w Chrystusie.

Str. 122. Królewien wyprawy. W dowód przytoczę tu treść wyprawy Jadwigi, córki Kazimierza Jagiellończyka, wydanej 1475. roku za Jerzego elektora bawarskiego; dostała 15 kożuchów futrzanych, 14 szub, cortelów bogatych futrem podszytych 3, płaszczów takichże 3, tunik czyli całych sukien zamkniętych z rękawami 3; ogółem 38 szat futrzanych, letnich zaś kitajką podszytych tylko pięć, trzy płaszcze i dwie suknie.

Str. 122. Niewolnica mody. Z dziwactw mody dzisiejszej — bo kiedyż moda dziwaczną nie była — najwięcej mnie śmieszą rękawiczki krótkie do krótkich rękawów, a szczerze gniewają owe przepłacane chustki do nosa. Żadnego sensu, żadnego widoku w tej modzie nie widzę, ani to do twarzy, ani do kształtu, ani też do użytku, boć niepodobna używać takich chustek do tego, do czego od początku chustki do nosa są przeznaczone. Wreszcie niechże sobie dla zabawy kupuje takie szmatki królowa Wiktorya, księżna orleańska, pani Rotszyldowa i t. p., ale kiedy widzę taki przepłacony, zahaftowany, koronkami oszyty gałganek w ręku Polki, zawsze mam ochotę jej powiedzieć: «Piastujesz go zapewne na łzy nad ojczyzną, albo nad temi braćmi co koszul nie mają.» Boć każdy mi przyzna, że dzisiejszą modną chutką chyba łzę z oka upatrzonym kawałkiem gładkiego batystu obetrzeć można. —

Str. 127. Wzięły dobrze rózgą. Był to staropolski zwyczaj długo zachowywany; ja sama znałam sędziwe matrony, co w dzieciństwie swojem czy zasłużyły czy nie, co Piątek były bite na pamiątkę męki Chrystusowej, a skoro było potrzeba szczególnej jakiej łaski nieba, bito je mocniej, żeby ich modlitwy były skuteczniejsze. Polegano bowiem wiele na modlitwach niewinnych dziatek i one o tem wiedziały; być może, iż dla tego plagi wtenczas nie podliły, myśl wyższa, która im towarzyszyła wznosiła ducha

w dzieciach, nakłaniała je do strzeżenia owej niewinności co je zbliżała do Boga, co im niejaką wyższość dawała nad starszemi.

Str. 129. Tomasza Bielawskiego. Był to nieszczęsny wierszokleta owego wieku; roku 1565 wydał owego Myśliwca, o którym Kochanowski wspomina w szesnastu obrotach. Są w nim i takie wiersze:

Zaniechajcie się z tą butam
Poszczujem co ku prabutam
Ono zając la, la, biegaj Serafinie
Owa wskok rowem bieży, prosto ku Kwidzynie.

Bączalski Piotr, o którym niżej mowa, pisał także wiele i źle, a między innemi o Fortunie albo szczęściu; ponieważ same stare i nudne powtarzał rzeczy, przezwano go w Babinie polskim nowiniarzem.

Str. 132. Nie mało książek ... o sztuce leczenia. Była książka Falimirza o lekarskiej sztuce z roku 1534, było Franciszka Mymera dzieło: «Dobrego zdrowia rządzenie przez wszystkie miesiące roczne z roku 1543, był Lecznik w roku 1423 napisany a później wydrukowany, były w rękopismie szacowne dzieła Marcina Sennika, Syreniusza o przyrodzeniu i użyciu ziół i wiele innych, a na pokazanie jak dalece kobiety ówczesne trudniły się leczeniem, przytoczę tu biografią następującą: «Sybilla Dorota córka Jana Jerzego brandeburskiego, księżna na Lignicy i Brzegu, urodziła się 19. października 1590. roku. Rzadkiej urody, matka dzieciom, biegła w łacińskim języku, posiadała wiele znajomości w sztuce lekarskiej. Uważając się za Polkę lubiła Polaków i miała zawsze na swoim dworze dwie Polki, Zarembiankę i Żychlińską. Wydała w języku polskim i niemieckim w Brzegu dziełko tyczące się babienia p. t.: «Prosta rada dla niewiast ciężarnych, rodzących, także i w innych słabościach, szczególniej na wsi do użytku, przez dwie mało wiedzące białogłowy D. S. i M. F.» Pod pierwszą cyfrą ukrywa się sama księżna, pod drugą Małgorzata Fuss, nadworna akuszerka księżnej i powiernica we wszystkich jej czynnościach, szczególnie w sprawach lekarskich. — W tem pismie powstaje księżna na rozpalające trunki szczególniej na gorzałkę nazywając ją napojem czartowskim, a miejsce gdzie ją robią, główną apteką szatana. Książka ta rozdawana była bezpłatnie. — Sybilla Dorota umarła 19. marca 1625. roku. Na jej pogrzebie miał polską mowę ksiądz Kauer, pleban gminy katolickiej w Brzegu; życie jej opisał spółczesny Walenty Gierth a później Szmit.

St. 135. Chłopaka Turka. Wszystkie te szczegóły o stajni króla Stefana są rzetelne, jak to w pamiętnikach ówczesnych przekonać się można. Koń Batory dłużej żył od króla.

Str. 136. Twój Epinicion. Kochanowski napisał wiersz łaciński pod tym tytułem dla Stefana Batorego po wojnie moskiewskiej roku 1582. Drukowany był w Krakowie 1583. — Krzysztof Klabon był kompozytorem ówczesnym; on dorobił muzykę i do śpiewów godowych Jana Zamojskiego i Gryzeldy Batorówny również przez Kochanowskiego złożonych. Epinicion znaczy hymn tryumfalny.

Str. 140. Złotym łańcuchem. Królowie rozdawali je wtedy prawie tak jak dzisiejsze ordery.

Str. 142. Co nazywali wdzięczna. Wartoby używać tego wyrazu w miejscu gracieuse.

Str. 142. Bez gędźby po dawnemu muzyka — długo mówiono naczynia gędziebne.

Str. 142. Bekwarka. Sławny lutnista owego czasu, Kochanowski często o nim wspomina w wierszach swoich i nawet zdaje się, że weszło w przysłowie mówić: «Nie każdy weźmie po Bekwarku lutni.»

Str. 142. Śpiewaków Serbów. Serbowie, nadobna gałęź sławiańskiego szczepu, w których poezyi tyle jest wdzięku, właśnie wtedy ulegli pod jarzmem tureckiem i ich gęślarze chodzili po bratnich krainach opiewając ich niedole.

Str. 144. Obcym prawić umiał. Jest kilka pięknych wierszy godowych Kochanowskiego tak łacińskich jak polskich. W liczbie ostatnich celuje Epithalamium na wesele Krzysztofa Radziwiłła 1578. roku.

Str. 160. Mądry nasz Lew Sapieha. Syn Jana wojewody podlaskiego i Bohdany księżnej na Ostrogu, urodzony roku 1557, zmarły 1633, kanclerz Wielkiego ks. litewskiego, hetman i wojewoda wileński, poseł po dwa razy do Moskwy, zjednał sobie imię wielkiego obywatela nauką, cnotą i zasługami wysokiemi tak w wojnie jak w pokoju. On to ułożył sądy trybunału głównego dla Litwy na wzór urządzonych przez Jana Zamojskiego dla Korony. Z dwóch żon, Doroty Firlejowny i Halszki Radziwiłłowny zostawił trzech synów i córkę. — Oto wyjątek z owego listu, który pisał wówczas z Moskwy do króla Stefana:

«Posły, których Wielki kniaź i jego bojary do WKMci ślą, wyrozumiałem jako wysłani są, by żądać pokoju po największej części. Jać wzdy niechcę dać temu wiary, by WKMość tak łatwo na to przystał. WKMć sam łatwo odgadniesz w jakim stanie jest ta ziemia. Nienawiść a niezgoda ogarnęła co najznamienitsze pany, jak o tem dawniej pisałem; a co innego to ma znaczyć jedno upadek ich? A nigdy nie było, jak o tem wielu mniema, lepszej pogody do podbicia onej ziemi. czemu siła jest w trwodze. — Jawno też tu dają się słyszeć, jako WKMość nieomieszkasz tej sposobności; a podobna temu, iż jakoby już do WKMci sami w swej myśli przyłączali oba księztwa smoleńskie i siewierskie, jak o tem tu od znamienitych panów dowiedziałem się; a miał temu (zdarz Panie Boże, by się to tak stało) Bielski być prorokiem, i że WKMość nie długo tego czekać, będziesz w Moskwie. Nie trudnoby też to było, bo jednoby WKMość z pomocą Bożą Smoleńsk zadzierżał, toby WKMość żadnej twierdzy, albo przeszkody aż po samą Moskwę niemiał. Zamki, co to między niemi stoją, jako Dorohobuż, Wiazma, Mozajsk całkiem upadłe są a niemocne i t. d. —»

Str. 161. Nie skończymy ... na tej jednej wojnie... W słowach pana Krzysztofa niebyło żadnej przesady co do wysokich zamiarów króla Stefana; jak świadczą badacze ówczesnych dziejów pracował on w ostatnich latach panowania swego nad planami, które miały odnowić i ustalić politykę nie tylko Polski ale Europy. To co już zrobił i co zrobić zamyślał, zaczynało obudzać trwogę w postronnych; za jej dowód mogą posłużyć — między innemi — Millerowe pamiętniki, wydane niedawno w polskiem tłomaczeniu za staraniem hr. Tytusa Działyńskiego. Pisał je niegdyś po łacinie Wawrzyniec Miller, Niemiec, doktor prawa, i podał do druku w początku roku 1585. Gościł on był w Koronie, w Litwie, na Rusi, w Prusach, w Inflantach, w jakim charakterze, wiedzieć nie można z pewnością, przypatrzył się zblizka Batoremu i poznał się na nim, a nieprzyjaciel Polski, przekonawszy się o rosnącej jej potędze, za powrotem do swojej ojczyzny, pisze co widział, jakby umyślnie w tym celu, żeby ostrzedz ziomków o grożącem im niebezpieczeństwie. Przytoczę tu dwa wyjątki z ostatnich kartek tego dziełka; pierwszy dla wyobrażenia wielkich zalet króla Stefana, drugi wykaże jedną z głównych przyczyn, dla których u nas najpiękniejsze zamiary pełzły na niczem: «Jaki to wszystko koniec weźmie, to czas nam wyjawi, a przecież się może jaki któren znajdzie, co zachęcon mojemi dziejami, późniejsze sprawy baczyć pilno będzie; a ponieważ pod panowaniem tego króla wspaniale zacne odmiany dziać się poczęły, to słuszna by umieć takowe ocenić, a za byle co nie mieć je, i aby rozmyślano, jak to Pan Bóg dziwnie rządy a onych wymiany, przez te których sobie wybierze sprawia.» A dalej: [«Gdyby król polski zawziąwszy się teraz wszedł na Moskwę, toby onę wszystką mógł dostać. Ale Pan Bóg będzie też tam miał swoje, i rzuci jabłko niezgody pośród króla a stany Rzeczypospolitej, iż nie przyjdzie do jedności.»

Str. 162. Nasz orzeł w pustułkę się zamienił. Ten ptak miany był za godło niepłodności; kiedy w czasie obrzędów koronacyi Zygmunta Augusta spostrzeżono pustułkę ulatującą nad królem poczytano to zaraz za złą wróżbę, naleźli się tacy co mówili ze smutkiem: «Bezdzietnie zejdzie on z tego świata.» Dziwna rzecz, iż w tymże czasie kilka znakomitych rodzin polskich ustało.

Str. 162. Rozrzucanie pieniędzy. Na owem sławnem weselu Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną, dnia 12. czerwca 1583 przepych, zbytek, inne zaszczyty nie obraziły nikogo, ale rozrzucania pieniędzy ludowi na pamiątkę tego aktu bitych szlachta nie mogła darować. Był to już monarchiczny czyn, obrażał zatem mniemaną równość szlachecką.

Str. 162. Kanclerzyna poroniła... Czytam w pamiętnikach Millerowych na str. 152 te słowa: «Pod koniec kwietnia 1584. roku, Wielki kanclerz po poroni żony swojej miał wraz zjechać do Krakowa na roki z Knyszyna.» Dworskie pogłoski o jej zdrowiu spełniły się także; w krótce Gryzelda Batorówna trzecia żona Zamojskiego umarła bezdzietna. Drugą a tak mocno opłakiwaną żoną kanclerza była Krystyna Radziwiłłowna; na cześć pamięci jej, pułki które wytawił na wojną moskiewską były czarno ubrane. —

Str. 162. Dla synowców indygenatu. Stefan Batory z braci swoich Krzysztofa i Andrzeja miał dwóch synowców, Zygmunta, który po ojcu w księstwie siedmiogrodzkiem nastąpił, i Andrzeja, którego w młodym wieku wziął na swoją opiekę, do jezuitów w Pułtusku na naukę oddał i potem do stanu duchownego przeznaczył. Andrzej został pierwej kardynałem niż księdzem, w Rzymie w roku 1585 pierwsze święcenie otrzymał. — Był to młodzieniec wielkich zalet i gorącej duszy [a choć bez powołania kapłańską sukienkę przywdział, przecież odznaczał się pobożnością i obowiązki proboszcza miechowskiego z zaletą sprawował. Koniec życia jego dowiódł, że milsze mu było świeckie panowanie i że wolał kord od brewiarza. Już po śmierci Stefana Zygmunt Batory uległ był namowom cesarza Rudolfa i odstąpił mu Siedmiogród, wziąwszy w zamian księstwo opolskie i raciborskie w Szlązku. Lecz postrzegłszy błąd swój chciał wrócić do ojczyzny, niemogąc sam się w niej utrzymać, wezwał bratanka Andrzeja, wówczas biskupa warmińskiego, żeby on się starał odzyskać utracone księstwo i zachował i dla siebie. Andrzej nie mógł się oprzeć chęci panowania, mimo wszelkich przedstawień Zamojskiego, rzucił byt swobodny i obfity w Polsce i rzucił się w niebezpieczeństwa wojny. Zdradzony i opuszczony, po pierwszej utarczce uciekać musiał, a przebrany w siermięgę, z siedmią wiernemi Polakami kryć się w chacie wiejskiej; lecz i tam od cesarskich napadniony, lubo mężnie się bronił, dwa razy w głowę cięty siekierą, umarł dnia 28. października 1590. roku nie mając jak lat 33. — Co do zamysłów napomknionych Batorego względem synowców, czytam w Niemcewiczu: «Król Stefan chciał naprzód wyjednać indygenat dla nich, a potem jak wszelkie są do tego podobieństwa, dziedzictwo tronu dla nich zapewnić.»

Str. 162. ...Pyta się o listy księdza Reszki... Stanisław Reszka z gminnego stanu w Poznańskiem urodzony, uczeń a potem mistrz akademii krakowskiej, przez sławnego Hozyusza był użyty do prac piśmiennych, w czasie soboru trydenckiego; tam, gdy się dał poznać, od naszych królów i od papieżów był wielce szacowany. Henryk Walezy powoływał go do Francyi, Stefan Batory przełożył go nad wychowaniem synowca Andrzeja i wysłał z nim do Rzymu. Na sprawowaniu różnych poselstw strawił znaczną część życia; obcy i krajowi pisarze cnotę jego i naukę wynoszą, był w istocie pełen wiadomości, obfity w wymowie, w pismach dokładny, w radzie na wszystko baczny i skory. Pisał wiele za wiarą katolicką i za jej głową. Królowa Anna, Jan Zamojski szczególniej go lubili. Prócz dziekanii warszawskiej dostał później opactwo andrzejowskie; umarł w Neapolu 1603. roku. W szacownym zbiorze Ambrożego Grabowskiego p. t. «Starożytności historyczne polskie» (w którym żywiłam się nie raz z wielkim pożytkiem) jest korespondencya jego obszerna, właśnie z roku 1584; wypisuję z niej trzy listy tyczące się dziekanii warszawskiej o której pan Krzysztof nieco dalej wspomina:

List królowej Anny do księdza Reszki.

Z Krakowa dnia 5. Lutego 1584. «Dawamy WM. znać, że ztąd bierzemy się do Warszawy; gdzie iż znać, kościół pusty przez porządku jako przez pasterza i przez kaznodzieje, a WM. odjeżdżając miejsca i powinności swej pasterskiej nikimeś nie zasadził, trzeba się o to bać sądu Bożego. Napominamy przeto, aby WM. albo sam do nas owieczek swych przyjechał, albo jeźliby to być nie mogło drugiemu (upatrzywszy człowieka, kapłana godnego, statecznego i porządek miłującego, jakośmy z WM. mówili) puścił. Jakoż wiedząc pobożność i dobre baczenie WM. jesteśmy pewni, że z tych dwu rzeczy jednę uczynisz, a nam na ten list rychło odpiszesz, o co WM. żądamy. — A przytem WM. łaski Bożej i wszystkiego dobrego na ten rok i wiele innych winszujemy.»

Drugi list królowej Anny.

Z Krakowa dnia 23. Marca 1584. «Mieliśmy list WM. z Rzymu dnia 19. stycznia dany wespół z kamieniem indyjskim. Ta chęć, dobra wola, i życzliwość WM. którą zawdy ku sobie poznawamy, jest nam bardzo wdzięczna, a tem teraz bardziej, że i dobrego zdrowia nam życząc, czyniłeś tam WM. pilność o ten kamień, za pisaniem od doktora naszego, za który WM. bardzo dziękujemy i IMCKsiędzu kardynałowi Contarello, którego WM. nawiedź od nas, i podziękuj; a powiedz, że nam JMC. w tem, nie jedno wdzięczną, ale i wielce potrzebną rzecz uczynić raczył, i pomyślimy o tem, jakobyśmy za to JMci wdzięczność przystojną okazali. Ten kamień ustawicznie nosimy, i za łaską Bożą do tego czasu żadnej boleści jako bywała, jeszcześmy nie czuli.

«Kościół Warszawski przez niebytność WM. bardzo schodzi na wszystkiem, dla czego jako w każdej rzeczy wielką pobożność a baczność WM. po sobie okazujesz, pomyśl też i o tem, aby ten kościół z owieczkami Bożemi, jakośmy już WM. pisali, przez nieobecność pasterską nie schodził. — Kłodziński, Boże daj to aby nam tak służył, jakowe my nań baczenie mamy. Jakożci jest dobry człowiek, jeno siła czyni co my nie każemy, ale co się jemu podoba, z czego napomnii go WM. — Z tem żądam i WM. od Pana Boga zdrowia ze wszystkiem dobrem na czasy długie.»

Odpis księdza Reszki królowej Annie.

Z Rzymu, 7. Kwietnia 1584. «Miałem list WKr. Mości mej Miłościwej Pani, w którym mi rozkazować raczysz dwie rzeczy, pierwsza: abym w dziekanii mej Warszawskiej rezydował, wtóra, gdybym nie mógł rezydować, abym ją puścił; na co MKMości odpisując, naprzód widzę i Panu Bogu dziękuję, że WKMości serce ku temu kościołowi osobliwie obrócić raczył, iż WKMość jego dobrą sławę, porządek, a w nim chwałę Bożą taką widzieć pragniesz, jaka zaprawdę onemu miejscu zacnemu pod panowaniem i zwierzchnością WKMości przystoi. Co Pan Bóg o którego chwałę tak bardzo się starasz, i na tym świecie i na owym obficie płacić będzie, a my kapłany na to powołani prosić nie przestaniemy, abyś WKMość takowych zasług na tym świecie co nawięcej sobie jednać, a po wielu potem lat na tak pobożnych sprawach i zabawach strawionych, za tę doczesną, wieczną koronę odniesła. — Co się samej rzeczy dotycze, WKMość raczysz wiedzieć, iż mię to beneficium nad wszelaką nadzieję od króla JMCi spotkało którem ja nie wiedząc jego sposobu i powinności, z ręki i łaski króla JMCi przyjąć musiał. Potem, obaczywszy jaki z sobą ciężar i obowiązek niesie, o tymem myślał i mówił (ponieważem tam rezydować nie mógł) abym go takiem życzył, coby powinności dosyć mógł uczynić, i z tymem się przed JKr. Mością przez Posła papiezkiego i przed Patrem Possevinum otworzył; a WKMci samem ustnie powiedział, także i panu kanclerzowi, któremum też osobę księdza Charzyńskiego mienił, bardzo na to miejsce i urząd sposobną. Od JKr. Mości miałem tę odpowiedź, iż nie należało abym to na ten czas czynił, a iż na rezygnacyą JKr. Mć zezwolić nie chciał, ponieważem się zaś rychło miał wrócić do Polski. — Przyjechawszy do Rzymu dołożyłem się zwierzchności w tejże sprawie. Także mi się zatrzymać rozkazano, i czego mi było dla spokojności sumienia potrzeba w tem mi dogodzono. — Ja jednak od tegom nie odstąpił, abym rezygnować nie miał, gdy to łaska, wola i dozwolenie króla JMci będzie, acz nie pierwej, aż gdy tego bezpieczen będę, że się tem JKrMć nie obrazi ... i będą tam odemnie postanowieni prokuratorowie z tą mocą, aby o tej dziekanii uczynili co się od Boga postanowionej zwierzchności będzie zdało. Sam też mało co potem przyjechawszy, obecnie wszystko potwierdzę i dokonam cokolwiek w tej mierze potrzebnem będzie. —

«Nic innego na list WKMci odpowiedzieć nie umiem. A póki się ta rzecz nie dokończy, proszę uniżenie jako uprzejmy dali Bóg i chętliwy bogomodlca i najniższy sługa, aby WKMość oka swego z tego to warszawskiego kościoła spuszczać nie raczyła, ale wszystkie jego potrzeby i doległości przykładem świętych onych przodków swych, łaską i obroną swą zastępowała. Bóg wszechmogący na niebie płacić to wiecznym obyczajem obficie będzie.» —

Str. 162. Jabym go ożenił z królewną szwedzką. — Anna, córka króla Jana szwedzkiego i Katarzyny Jagiellonki, urodzona 1565. roku

przybyła do Polski wraz z bratem swoim Zygmuntem trzecim w roku 1587 mając lat 22. — Dziwna rzecz, że gdy się udało jej matce, syna w Szwecyi protestanckiej katolikiem wychować, córka do końca życia nie dała się namówić do rzymskiego kościoła, lubo mieszkała długi czas na dworze gorliwego brata i wśród jezuitów. W ostatnich latach życia schroniła się do Szlązka, do Brodnicy i tam w panieńskim stanie życie zakończyła roku 1625. — Znana była powszechnie z żarliwości religijnej, z miłosiernych uczynków i z wielkiego upodobania w nauce zielnictwa. Sama własnemi rękami ułożyła zielnik, który się dostał po jej śmierci do Radziwiłłów, i długo w Nieświeżu pokazywano ciekawym szczątki jego. Zachęcała do wydawania dzieł botanicznych; jej to nakładem wyszło w Krakowie 1613. roku u Skalskiego wielkie dzieło Syreniusza «o naturze i użyciu ziół.» Wydawca tego pośmiertnego dzieła Gabryel Janicki lekarz i nauczyciel przypisał je królewnie. —

W dowód, że królewna Anna trwała zacięcie mimo namów przy wierze swojej, przytaczam dwa następne wyjątki z korespondencyi ówczesnych: Z listu księdza Bernarda jezuity roku 1588: «Królewna nasza ze swojemi ministry w krótkim czasie za morze odjeżdża. Daj Boże, aby jechała i nigdy się nie wróciła. Jest omnibus scandalum.»

Z listu księdza Baranowskiego z Wilna 1589: «My ztąd wyjeżdżamy do Rewla, królewna z nami, radzibyśmy ją oddali panu ojcu, ponieważ do nas nawrócić się nie chciała ad catholicismum.» —

Str. 163. Ksiądz Warszewicki... «Stanisław Warszewicki, z domu znakomitego w Polsce, Jana Kapistrana Warszewickiego i Parysównej syn, wielkiemi przymioty, biegłością w kilku językach, wiadomością niepospolitą nauk i szczęśliwym rozumu obrotem tyle się Zygmuntowi Augustowi zalecił, iż go w poselstwach do książąt europejskich, do Porty, do listów i pism publicznych używał. Obrawszy sobie stan duchowny, kanonię gnieźnieńską i poznańską otrzymał. Pewnieby go zasługi wyżej podniosły, lecz Warszewicki użyteczność prawdziwą nad stopnie wysokie przekładał. Udał się do Rzymu roku 1567, zrzekł się wszelkich dostojności duchownych i świeckich i wraz z Stanisławem Kostką (później kanonizowanym) w poczet jezuitów się zaciągnął. Miał wtedy lat 40. Po odbytem doświadczeniu powołali go do ojczyzny jezuici polscy, których był podporą i ozdobą. Ledwie dom w Wilnie dla braci urządził, Grzegorz XIII. podwakroć go do króla Jana do Szwecyi wyprawiał, czyliby kraju tego do jedności z kościołem rzymskim skłonić niezdołał. Zamiar jego starań niemógł przyjść do skutku, królowa jednak Katarzyna zatrzymała go dla nauki młodego królewicza Zygmunta. Lat sześć misyą w Szwecyi zarządzał. Gdy do Polski wrócił, rządcą był domu jezuitów lat ośm, zkąd go papież Pius V. posłał do Wołochów, aby hospodara i naród do wiary katolickiej nawracał. Dwa lata tu bawił nie bez znacznego pożytku. W usłudze dla bliźnich roku 1601 w Krakowie życie zakończył mając lat 64. Napisał ksiąg nabożnych kilka.

(Obraz wieku Zygmunta III. przez Siarczyńskiego.)

Str. 163. Ś. Ignacego Loyoli... «Wiadomo wszystkim, iż ś. Ignacy Loyola był założycielem zgromadzenia jezuitów. Urodził się on w Hiszpanii roku 1491, w zamku Loyola, dziedzinie ojca swego Bertrama, matką jego była Maryna Sonen, zacna szlachianka. Ś. Ignacy, najmłodszy z trzynastu rodzeństwa, był naprzód znakomitym żołnierzem, później pustelnikiem, nareszcie w Paryżu odbywszy nauki w roku 1534, zmówił się z dziewięcią studentami i ślubowali razem Bogu poświęcić się nawracaniu niewiernych. W roku 1537 w Rzymie na kapłanów się wyświęciwszy, wnet przybrali nazwisko societatis Jesu i tam rozpoczęli naukę wiary w kościołku zwanym Santa Maria de Strada. W krótkim czasie zgromadzenie to znacznie się rozmnożyło; dwa pierwsze kollegia stanęły jeden w Portugalii, drugi w Indyach, a kiedy ś. Ignacy Loyola umarł w roku 1556, już było dwunastu prowincyałów, pod któremi około stu miejsc jezuitami osadzonych było. — Do Polski jezuici wprowadzeni zostali roku 1565. Pierwszym ich opiekunem u nas był Hozyusz, pierwszym prowincyałem Lainez, Hiszpan, niespracowany pomocnik ś. Ignacego. Pierwsze kollegium jezuickie polskie było w Braunsbergu w Prusach. Założyli oni w tem mieście wielką bibliotekę, którą roku 1626 Gustaw Adolf do Sztokholmu przewieźć kazał.

Str. 164. Po błogosławionym Janie Kantym. Jeden z świętych patronów naszych; rodził się w Kentach koło Oświecima z uczciwych i pobożnych rodziców roku 1412; dany na naukę do akademii krakowskiej, do teologii szczególniej się przykładał, a zostawszy kapłanem, był mistrzem teologii i filozofii i najwyższych cnót wzorem. Umarł 1473. roku. Ciało jego spoczywa dotąd w kościele ś. Anny w Krakowie. — Ten święty patron nasz uzyskał tę chwałę, że w brewiarzu rzymskim cały kościół katolicki przy mszy ś. wzywa go za Polskę w tych słowach:

O qui negasti nemini
Opem roganti patrium
Regnum tuere, postulant
Cives Poloni et exteri.

O! któryś nieodmawiał nikomu
Pomocy wzywającemu, ojczyste
Królestwo ochraniaj! proszą
Obywatele polscy i cudzoziemscy.

Str. 164. A na ich czele ksiądz Piotr Skarga. Ozdoba kościoła i piśmiennictwa naszego Piotr Skarga rodził się z ojca Michała i z matki Anny Świętkowskiej, w Grodziecu, w Mazowszu, roku 1536, umarł w Krakowie 1612. Gdzie indziej opisałam obszerną jego biografią, tu wspomnę tylko iż był to prawdziwy pisarz i kaznodzieja obywatel i że tak kochał i znał ojczyznę jak mało kto kochać i znać ją umie. — Sam powtarzał, iż wyrzekłszy się innych związków serca z miłości ojczystego kraju nigdy się nie wyzuł, a kiedy go pytano, czemu posiadając doskonale język łaciński mało nim pisze, odpowiadał: «Język łaciński jest stary, od wielu wieków zupełnie ukształcony, polski młodszy, potrzebuje wyrobienia. Wreszcie Polak jestem, dla Polaków tylko żyję, czuję i myślę.» — O bractwie tu wspominanem jako i o banku pobożnym jest wiadomość obszerna w moim opisie Krakowa z roku 1827. — Co zaś do szacunku jaki Skarga miał dla akademii krakowskiej, niech będą dowodem te słowa jego wyjęte z żywota błogosławionego Jana Kantego:

«Przesławna akademia krakowska, królów polskich szczęśliwą fundacya, korony tej ozdoba i kościoła ś. katolickiego podpora, jako dobre drzewo dobrych owoców wiele w mężach sławnych, których błogosławiona pamięć zostaje, rodziła i rodzi, którzy żywotem chwalebnym, nauką i pracą na żniwie Bożem i wychowaniu młodzi lata swoje trawiąc, pomocne nam do zbawienia i do cnót świętych przykłady zostawil. Miło mi wspomnieć na tych, których pamięć moja zaszła i których ćwiczenia i towarzystwa z uciechą zażywałem, na onych Benedyktów, Koźminów, Szadków, Sebastyanów, Leopolitów, Sylwiuszów, Pilznów, Herbestów; i kaznodziejów sławnych królów polskich, Tarczynów, Sokołowskich, Kłodawitów, których ta matka urodziła i z których się już niebo weseli. Jako cię zapomnieć mam złotej wymowy, Janie Leopolito, któryś na pogrzebowem kazaniu od świec zarażony umarł? i ciebie, Sokołowski, któryś pismem tak poważnem kościół Boży oświecił? byliście mi ochłodą i pobudką do dobrego. Nie ruszam tych, którzy pamięć moją przechodzą. Wiele było synów matki tej płodnej, jako współ zakonników, ludzie na cnotach, pobożności i nauce osadzeni, pokorni, gardziciele świata, nabożeństwu i naukom oddani, w wierze katolickiej nienaruszeni, pracowici, a na małych dochodach i u jednego stołu spólnie przestający; kościoła ś. obrońce, pilni nauczyciele uczniów wszystkich stanów. Roboty i prace ich na duchownych i świeckich Korony tej kwitnęły i do tego czasu kwitną.» —

Str. 164. Miłościwa Pani nad zamiar bawiąc w Krakowie. Czytam w herbach rycerstwa Paprockiego: «Czwartego czerwca 1583. roku królowa Anna przyjechała dosyć ochędożnie do Krakowa, proszona na wesele kanclerza. Tamże mieszkając przez ten wszystek rok, grób sobie w ojcowskiej kaplicy gotować kazała. Wyjechała z Krakowa, z płaczem wszystkich żegnając, drugiego maja 1584, do Skały na noc, ku Częstochowie, ztamtąd do Warszawy na mieszkanie.»

Str. 165. Nowa książka Fausta Socyna. Socyn, Włoch, rodem z Sienny, w Polsce długo mieszkał, ożenił się z Morsztynówną, umarł i pochowany został w Lusławicach niedaleko Bochni w roku 1604, mając lat 65. — Pisał on przeciwko Trójcy świętej jako i przeciw innym prawdom

religijnym, spór wiodąc nie tylko z katolikami ale i z wyznawcami Lutra i Kalwina a nawet i z Aryanami. Chciał on nową utworzyć sektę prawie żadnych dogmatów nie uznając i znalazł zwolenników, których zwano Socynianami. — Po napisaniu owej książki wynosić się musiał z Krakowa gdzie od czterech lat mieszkał; ale po zejściu króla Stefana wrócił do tego miasta i tam w roku 1598 był napadnięty w domu przez żarliwych uczniów akademii tak, że ledwie z życiem uszedł. —

Str. 166. Księdzu Sokołowskiemu. Stanisław Sokołowski, akademik krakowski, mistrz teologii i nauczyciel wymowy, mąż obszernej nauki, a przytem skromności rzadkiej. Sam ubogi odebrał wychowanie nakładem Jakóba Bielińskiego, a zwiedziwszy obce kraje, przez lat kilkanaście nauczał w akademii krakowskiej, gdzie kształcąc innych, najlepiej — jak sam wyznaje — ukształcił siebie. Oderwał go od tych prac Stefan Batory powołując go na spowiednika swego i na kaznodzieję. Miewał przed królem łacińskie kązania, które potem dla dworu po polsku powtarzał. Bolognetti, legat Grzegorza XIII. papieża w Polsce, w liście do Włoch pisanym takie umieścił słowa: «Trzy rzeczy godne podziwienia widziałem w tym kraju: Stefana króla najmędrszego, Zamojskiego kanclerza najroztropniejszego i Sokołowskiego kaznodzieję prawie Boskiego.» Sokołowski wiele napisał dzieł pobożnych i uczonych, duchowieństwu zwłaszcza przydatnych. — Otrzymawszy kanonią krakowską przestawał na tej dostojności, i wyżej się piąć niechciał, lubo mógł. Zatopiony w naukach, lubił innym do nich pomagać. Dręczony przez lat 13 nieustannym prawie bólem głowy, od urzędu kaznodziei się wyprosił, ale ciągle pracował, pisał i nauczał. Był bardzo szpetny, ułomny, twarzy nieprzyjemnej, lecz piękne własności duszy nagradzały te wady ciała. Umarł z żalem powszechnym roku 1593 mając lat 56.

Str. 166. Jedno co nas tu martwi... Do tego całego ustępu o lekarzach, o stanie zdrowia króla Stefana, o bojaźni trucizny jako i do smutnych wróżb o jego końcu, może nie zawadzi dołączyć następujące wiadomości z różnych ksiąg i pamiętników ówczesnych zebrane:

Symonius, rodem z Luki, którą dla wyznania kalwińskiego przymuszony był opuścić, wielu ksiąg antykatolickich pisarz, polecony był Batoremu przez nadwornego jego lekarza Mikołaja Bukcellę Padewczyka, i trafiło się, że on sam był przez trzy pierwsze dni przy ostatniej a krótkiej chorobie króla Stefana, zaszłej w Grodnie w końcu roku 1586. Bukcella bowiem właśnie za dozwoleniem królewskiem do dóbr swoich był odjechał i nie przybył aż wtedy gdy już ratunku nie było. — Wszyscy utrzymywali, że Symonius jak najgorzej króla leczył i że mimo zdrowia mocnego, niechorując prawie, wielki Stefan winą tych złych leków zgubiony został. Mówiono nawet o truciznie; Symonius bronił się i usprawiedliwiał w kilku pismach, ale nic z niego plamy raz rzuconej słusznie czy niesłusznie zmyć nie zdołało; musiał Polskę opuścić, gdzie każdemu był najboleśniejszym widokiem. — Ostatnią chorobę i śmierć nigdy dosyć nieodżałowanego króla tak opisał naoczny świadek, zdaje się lekarz. Jest to zarazem zajmujący obraz zwyczajów Stefana Batorego, sposobu życia ówczesnego i stanu sztuki lekarskiej u nas:

«Król JMć miał na prawej nodze o dwa palce pod kolanem aż do kostki rodzaj wyrzutu, w którym bywały ranki niegłębokie ciekące. Na tejże nodze niżej kolana miał aperturę a kiedy z niej mało ciekło nie miewał apetytu, nocy bywały niespokojne i bezsenne. Przyszła na niego choroba w niedzielę 7. grudnia 1586, i zdało mu się jakoby go pchły kąsały. Miał na to lekarstwo, że go ścierano chustami ciepłemi po wszystkiem ciele, i tego też dnia ścierano go. Położywszy się na łoże nie spał, czuł tęskność i owe jakby pcheł kąsanie z niejakiem czuciem gorącości w głowie. Potem w nocy wstał na prywatne miejsce i tam długi czas był na zimnie i wietrze. (??) Idąc ztamtąd przez komórkę, która jest przed komnatą gdzie leżał, hałas się zrobił, usłyszał go Węgrzyn co przy nim sypiał; otworzył do onej komórki i znalazł króla klęczącego we drzwiach u ławy; zapytał go: «Co się dzieje, Miłościwy Panie?» Król rzekł: «Niewiem co się dzieje.» Na to Węgrzyn: «A czemu WKMość upadł?» Król odpowiedział: «Niewiem, co się ze mną działo.» A wtem zobaczył, że sobie zranił chorą nogę a prócz tego zakrwawił jagodę prawą, nos i czoło z uderzenia o ławę. Szedł potem do łóżka i posłał po Symoniusza, bo Bukcella dopiero we wtorek przyjechał.

W poniedziałek dał mu Symonius manny, która go mało sprawiła. Na obiedzie jadł bardzo mało, pił wino; od tego czasu nikt do niego nie chodził jedno doktorowie i dwa Węgry, Terens i Kiepszea; a król zakazał aby o tem stłuczeniu jego nic nie mówili, a iż w poniedziałek manna mało go sprawiła we wtorek namówił go Terens, aby wziął konfekt z kwiatów brzoskwiniowych, których sam używał, i wziął; a iż była wnętrzna gorączka, nie dali mu samego wina, ale z wodą. Napiwszy się raz albo dwa na obiedzie, wypił potem szklankę wódki cynamonowej mocnej, toż i na wieczór zrobił, poczem rzekł król iż chce spać. Skoro się układł powiedział: «Jużci mnie napada pierwsza choroba.» To było o godzinie dziesiątej na pół zegarzu w nocy, zatem nogi spuścił jakoby chciał wstać, aż tu oczy wywrócił w górę, a zakręciwszy się zgrzytał zębami; a oni tarli zaraz głowę, uszy ciągnęli i palce u nóg i ręce. Potem, gdy ku sobie przyszedł otworzywszy oczy rzekł: «Dla Boga! co czynicie?» — Rzekli: «WKMość źleś się miał.» Odpowiedział: «Prawda jest.» — Zatem przyszła nań wielka duszność, że ledwie tchnął; przysadzili więc wielkie bańki na słabiznach, a duszność poczęła odchodzić, i tak oną noc miał bardzo ciężką i niespokojną.

«Nazajutrz, aby ściągnęli krew z głowy dali mu pigułki zielochanem et extracti elebori, które zażył. Na obiedzie bardzo mało jadł, uskarżał się na wodę, pozwolili mu więc doktorowie wina z trzecią częścią wody. Kazał przy sobie nalać szklenicę wina, a gdy nalali dwie części nie kazał wody lać, mówiąc: «Będę samo wino pił.» I wypił toż na wieczerzy, ale bardzo mało jadł, a usta płukał wodą, bo miał pragnienie. — A gdy się położył, o siódmej godzinie na pół zegarzu, znowu przyszła choroba; czynił jako i pierwej, a gdy ku sobie przyszedł, powiedział, że mu coś wstępuje po lewej stronie w głowę. We czwartek dali mu Castorii et in aqua hysopi a przed obiadem stawiali bańki, dwie na prawej stronie pod łopatką a niżej jednę po lewej stronie pod łopatką, a dwie małe pod kostką na nodze. A iż wiedzieli, iż jest species caduci, nie chcieli mu dać wina ale wodę zmięszaną z chlebem. Sam więc król wziął chleb, włożył w wodę i tak moczył. Potem napił się troszkę dwa kroć, ale bardzo mało jadł, jedno dwa jaja. Zmięszali mu potem wodę z konfektem mannym i przecedzili, którą też pijał tak niekiedy we zdrowiu w lecie, i wypił jej razem z kwartę, bo miał wielkie pragnienie; potem, po małym czasie spał spokojnie więcej niż dwie godziny, mówił rzeźwie jako zdrowy. Na wieczerzy nie chciał jeść, rozumiejąc, że mu wieczerza szkodziła. — Bawili go doktorowie, aby minęła godzina, o której choroba nań przychodziła, ale skoro przyszła jedenasta godzina na półzegarzu w nocy choroba przyszła, po której trudne oddychanie przez całą noc. — Tejże nocy o piątej na półzegarzu przededniem dali mu takież pigułki, uczyniwszy z nich konfekt. Na obiedzie bardzo mało jadł, a pozwolili mu trochę wina z wodą. Po obiedzie był smętny i gorzej się miał, wszakże nie nazbyt słaby, sam stawał, ale po czwartej godzinie po południu przyszła choroba, od której go już wzbudzić nie mogli bo razem ze śmiercią się skończyła. — Pytałem się Bukcelli jeźli król dawniej miewał kaduk (wielką chorobę?) a powiedział iż jeszcze w siedmiogrodzkiej ziemi przyszła była nań affectia więcej niż przez tydzień, co żadnym sposobem niemógł mówić to co chciał, ale pamiętał i pisał dobrze. Posły cesarskie, które na ten czas u niego były, pismem odprawował, i tu w Polsce, już temu pięć lat przeszło miał podobną chorobę przez kilka dni z ciężką dusznością.

«Przy bytności Bukcelli balwierzę wnętrzności wyjmowali z niego; Bukcella im pomagał. Wszystkie viscera zdrowiuchne, wątroba także, żołądek, śledziona, płuco jedno przy sercu zdrowe tylko lewe naciekło, bo się był bardzo potłukł. Nerki nadzwyczajne, jako wołowe; co dziwna, bo w człowieku nerki są jako w skopie. Czego ani ja ani Bukcella nie widzieliśmy w żadnem ciele. Szukał Bukcella in omnibus visceribus i nic nie znalazł tylko w onej pęcherzynie kędy żółć bywa, w tej dziurze kędy wychodzi, kamień tak wielki jako muszkatołowa gałka, że do onej pęcherzynki nic nie wschodziło żółci, i nic jej też nie było, tylko woda szczera i drugi kamyk; wszakże to nie jest causa mortis, bo i w gołębiach i w koniach żółci nie masz ale się rozchodzi po wszystkiem ciele... Doktor Symonius, gdym go pytał o śmierci królewskiej coby była za przyczyna, powiedział, iż asyna cum syncope i accusabat aquam, którą król pił, nie tak żeby była causa mortis, ale żeby miała accellare mortem

i powiedział: «By był wino pił, mógł by był jeszcze dzień albo dwa żyw być i Panu Bogu się sprawić i rzeczy rozprawić.» Ale tak się to dzieje: Adam na Ewę, Ewa na węża spędza a grzech zostaje.» —

List Thurneisera lekarza elektora brandeburskiego do króla Stefana, 13. Lipca roku 1578.

«Odebrałem list WKMci przez pana ·Bojanowskiego ze Lwowa dnia 21. maja do mnie pisany. Jestem ja z liczby tych ludzi, którzy od wielu lat z magnatami przestając potrzeby ich poznawać umiem; a stósownie do tego com od pana Bojanowskiego słyszał, posyłam WKMci pewne antydotum czyli Alexipharmacum przeciw wszelkiej truciznie przystósowane do natury i do kompleksyi WKMci. Balsam ten z niemałą pracą sporządziłem stósownie do prawideł kabalistyki i magii naturalnej, bo złość ludzka teraz do tego stopnia doszła, że ostrożnym być należy, nie tylko w jedzeniu i piciu, ale nawet w ubiorze, umywaniu i dotknieniu; bo zdrada ukrytą być może w sprzętach rozmaitych, w stołkach i ławach, których gdy się kto dotknie, albo przez nie przestąpi życie utracić może, a czasem skutek dopiero piętnastego a nawet trzydziestego dnia się pokazuje, a jad przez muszkuły, nerwy i żyły do serca przenika. Tego więc kosztownego balsamu, który stargane siły krzepi i od trucizny chroni, posyłam WKMości cztery porcye, których obyczajem na dworach królewskich używanym w obliczu pana Bojanowskiego skosztowałem, i on za mną toż samo uczynił. Proszę Najwyższego aby WKMci dawne wrócił zdrowie.»

Str. 166. Nasz vere nobilis... Stanisław Sobocki dworzaninem był króla Stefana, wielce od niego lubionym. Ksiądz Konarski jezuita w kazaniu jakie miał na jego pogrzebie 1589. roku, to o nim powiedział: «Prawie to był mąż serca wielkiego. Odprawiwszy dziecinne lata w domu, dobrze od rodziców wychowany, gdy do obcych krajów pojechał, ćwiczył się nie tylko tańczyć, na lutence grać, maszkary stroić, jako temi czasy panięta nasze, ale na koń dobrze wsiadać, broni umieć dobrze użyć, rusznicą dobrze zmierzyć, przebiegi żołnierskie wiedzieć. Na toć jego peregrynacye do Turek, do Hiszpanii, do Włoch, do Niemiec, do Węgier, do Malty (kędy z nieprzyjacielem krzyża Bożego i pojedynkiem i w uszykowanem wojsku dobrze sobie poczynał) i niemal do wszystkich państw chrześciańskich. Tak się ćwiczył szlachcic! Z tej szkoły zacnym rotmistrzem na dwu koronnych wojnach, przy królu mądrym a walecznym Stefanie znaczne roty prowadził i nieprzyjacielowi silnym był, i królowi i wszystkim co go znali bardzo miłym. A nie tylko miał męztwo szlachcicowi rycerzowi potrzebne, miał i wielkie baczenie, wielki rozum do spraw prawie szlacheckich; o którego mądrości, cnocie, wierze przeciw panu, by nie było insze świadectwa, sam oto, że Stefan on król mądry a prawy królów wizerunek zwykł to o nim mawiać: Vere nobilis Sobocki. Prawy szlachcic Sobocki...»

Str. 166. Rad widzę pana Smolika. Piotr Smolik, herbu Kotwicz, dziedzic na Wolfanowicach, na wielu wyprawach wojennych doświadczonego męztwa. Był on dworzaninem króla Stefana i dwóch następnych monarchów, wszystkim trzem wielce miły z bystrości dowcipu i z wesołości umysłu. Umiał bawić i podobać się wszystkim stanom, bez niczyjej przykrości i szkody. Ostatnim będąc ze swego domu zszedł ze świata roku 1637; Seweryn Bonar z Balic, położył mu nagrobek w Krakowie u księży Franciszkanów z następną pochwałą: Ita in omni vita jucundum honesto miscuit, ut quidquid diceret, aequae prudens ac argutum esset. (Tak w całem życiu wesołość z uczciwością łączył, że cokolwiek powiedział było równie roztropne jak dowcipne.)

Str. 166. Ciekawy wizerunek w Paryżu zrobiony. Wizerunek Polaka tak się pastwiącego nad Henrykiem trzecim znajduje się w bibliotece narodowej paryzkiej w zbiorze pod tytułem: «Collection de pamphlets et de brochures latines et françaises relatives au regne Henri III.» Godzien przerysowania właszcza dla ubioru. —

Str. 167. Do waszego Sylva rerum... Las rzeczy: Tak zwano grube volumina czyli zbiory samym obrazkom poświęcone, w które Polak lubownik zgromadzał czasowe portrety, mapy, wyobrażenia bitew, różne rysunki, drzeworyty i sztychy; znachodzą się jeszcze dziś ślady takowych po starych ojcach naszych. —

Str. 167. Na kołacze weselne zjadę. Tłuste i smaczne ciasta, które na każdej uczcie weselnej musiały mieć miejsce tak u bogatych jak u uboższych; poświadczają to następne wiersze Szymonowicza z sielanki, w której opisuje wesele:

Niech kucharze potrawy dziwnę wymyślają
Niechaj win rozmaitych hojnie nalewają,
Kołacze grunt wszystkiemu, a może rzec śmiele
Bez kołaczy jakoby nie było wesele.

Str. 167. Jest to Teresa z Awila. Urodzona 1515. roku zmarła 1582, kanonizowana 1622, święta Teresa jest jedną z tych niewiast, których życiem i pismami cała płeć nasza chlubić się powinna. Szkoda tylko, że mało są znane zwłaszcza u nas, gdzie Ninony, Montespany, Pompadury nierównie są popularniejsze od Teresy Awila, Katarzyny z Sienny, Johanny Chantal i im podobnych. — Jeźli Bóg zdrowia użyczy, zakładam sobie zaradzić o ile w mocy mojej będzie temu niedostatkowi naszemu, zebrać koleją lat żywoty znamienitszych świętych kobiet i dać wyjątki z dzieł tych, które pisały. — Niektórzy mi mówią, żè byłoby zyskowniejszem przetłomaczyć z parę romansów pani Sand — ale ja inaczej trzymam o rodaczkach moich. —

Str. 173. Pan Andrzej Wirgilego przekłada. Przekład ten, któremu znawcy nie zbyt wielkie zalety przyznają, wyszedł z drukarni Łazarzowej w Krakowie 1594. roku. W przypisaniu Janowi Zamojskiemu tłomacz wyznaje, iż za namową jego przedsięwziął tę pracę. —

Str. 173. Ośpiewam żywot i zgon Warneńczyka. Tej pięknej myśli Kochanowski nie zdążył wykonać, został tylko ułamek owej pracy, wydrukowany jest w poezyach jego jako Fragment bitwy z Amuratem u Warny.

Str. 174. ... Stary Długosz. Jan Długosz, kanonik krakowski, nominat arcybiskup lwowski, urodzony 1415. roku, zmarły 1480, jest dotąd jednym z najcelniejszych dziejopisów naszych. Historya jego napisana po łacinie podzielona jest na dwanaście ksiąg, do których później dodano trzynastą. — Długosz był nauczycielem synów Kazimierza Jagiellończyka i najwięcej dzieł klasycznych łacińskich do Polski sprowadził i upowszechnił —

Str. 174. ... Mój Żółkiewski. Stanisław Żółkiewski, później hetman i kanclerz wielki koronny, o którym już było wspomnienie w przypisach pierwej, był blizkim krewnym Jana Zamojskiego i pod nim uczył się sztuki wojowania. Tak był piękny, iż w igrzyskach na weselu kanclerza i Gryzeldy boginią Dyannę przedstawiał a potem w lat kilkadziesiąt, owę głowę odciętą od tułuba w bitwie pod Cecorą, Turcy obnosili po ulicach Stambułu, i ledwie za ogromny okup wraz z ciałem rodzinie wydali!...

Str. 176. List księdza dziekana ... najświeższy. Może miło będzie nie jednej z czytelniczek moich przeczytać ów list, który kanclerz odebrał w Czarnolesie, a pierwej jeszcze trzy samego Zamojskiego, na które ten był prawie odpisem i które wszystkie razem objaśnią całą sprawę kardynalstwa i wyprawienia do Rzyma pana Andrzeja Batorego, jako i inne polityczne wydarzenia.

List Zamojskiego do księdza Reszki do Rzymu. Z Krakowa 22. Stycznia 1584.

«Zaleciwszy przyjacielskie chęci swe w łaskę Waszej Miłości, dziękuję, żeś mi WM. o szczęśliwem tam przyjechaniu pana Andrzeja oznajmić raczył. Chwała Panu Bogu, żeście WM. w dobrem zdrowiu tam przyjechali i tak honorifice byli przyjęci. Dalej winszuję tego WM., żebyście do końca póki tam będziecie umieli w to potrafić. Za co JKr. Mość będzie WM. powinien, i ja z osoby swej to WM. odsługować chcę. Proszę de statu (o stanie) pana Batorego oznajmuj mi WM. jako najczęściej za wszelaką okazyą.

«Myśmy sam teraz nie do końca w dobrej przyjaźni z cesarzem tureckim dla onych szkód, które kozacy poczynili, zaczem też i to i owo z Ukrainy jako więc w takich sprawach bywa, ponawia się. My w kroku stoim, i jako możemy łatamy i ujmujemy te rzeczy. Proszę, daj mi WM. znać, co tam o

tem są za rozumienia? I przyszłoliby do czego, jakobyśmy się chęci od panów chrześciańskich spodziewać mieli? Jakoż ja praesertim in tam pia et communi causa (zwłaszcza w tak świętej i wspólnej sprawie) nic o chęci ich przeciwko nam nie wątpię. Wszakżę nie znagła się WM. o tem wywiaduj i nie lada z kim o tem mów. — Posyłam WM. trzy numizmata twarzy króla JMci, oddaj WM. jeden Antoniemu Mureto, drugi Fulvio Ursino, trzeci Gambasce Poetae. Także też swoich trzy WM. posyłam, które WM. tymże po jednym rozdaj. Z tem się łaskawej przyjaźni WM. zalecam. Życzliwy przyjaciel służyć gotów.» J. Z.

Drugi list tegoż do tegoż. Z Knyszyna 13. Lutego 1584.

«Chęci swe przyjacielskie WM., zaleciwszy., dobrego zdrowia i fortun wszelakich WM. od Pana Boga życzę. Jakom pierwszym listem swym z Krakowa WM. winszował ... tak i teraz znowu winszuję. Sequitur zatem, żebyście WM. albo pan Andrzej tę wzbudzoną o sobie u Ojca ś. i u ludzi tamtych opinią i ich przeciw sobie chęci, obyczajmi i postępkami swemi statecznemi zadzierżywał, a oto się starał, żeby jako przodek tak i koniec był dobry, i jednym torem jego sprawy były prowadzone. Co nie dla tego przypominam, abym wątpił żeby nie miał JMć i umieć i chcieć o to się starać, i tego u siebie uważać; ale mając z JMcią związek powinny i rozumiejąc, że dobre i poczesne JMci też i na mnie po jakiejkolwiek części ma przypadać, przeto chciałem krótce to przypomnieć u WM. —

«Około drogi do Bononii jeźliby miał JMć z Ojcem ś. jechać albo nie deliberowaliśmy z królem JMcią gdym teraz z Krakowa przyjechawszy do niego się był do Grodna trochę dorwał; jeno w tej deliberacyi naszej tego nam nie dostawało, żebyśmy byli wiedzieli zdanie WM. około tego... A tak JK. Mość na WMci to rozsądek puszcza i rozumieszli WM. żeby mógł na tej drodze JMć nie podlej stać od innych, tedy król JMć nie będzie przeciw temu... A gdyby nie mogło się a pari z drugiemi na tej drodze stać, tedy lepiej z Rzymu uprzedzić wyjazd papiezki i do Medyolanu się obrócić a tam te miesiące przy kardynale Boromeuszu (przy ś. Karolu) strawić, jego świętobliwości się przypatrywać i przy nim się sposobić do professyej swej; co wszystko JKr. Mość zdaniu i rozsądkowi WM. zleca. — Mówiłem z JKM. i o pieniądze, tak dla tej drogi, jeźliby ją wziął przedsię JMć za WM. zdaniem, jako i dla upominków zwykłych officialibus (urzędnikom) gdy do kardynalstwa przyjdzie. JKMć raczył nad to co jest pierwej destinatum, trzy tysiące dukatów postąpić JMci i już rozkazał dać listy do pana Montelupiego, że te pieniądze tam WM. representatur... Z tem się przyjaźni WM. zalecam.» J. Z.

Trzeci list tegoż do tegoż z Knyszyna 15. Lutego 1584.

«Iż wola i chęć Ojca ś. jest skłonna do kreowania kardynałem pana Andrzeja jest to wdzięczno niepomału JKMci. Ale jednak nie zdało się było JKMci, żeby miał co około tego do Ojca ś. i deklarować mu się w tem, z tej przyczyny aby nie rozumiano żeby JKMć dla tego jeno posłał tam synowca swego żeby kardynalstwo odniósł; a no pewno nie ta była intencya JKMci ale ta raczej, aby pokazał u wszystkiego świata jako jest devotus Jego Swiętobliwości, i dał innym panom chrześciańskim pobudkę i przykład do czczenia Jego Świętobliwości. Ktemu też aby i pan Andrzej gdyż go JKr. Mć już za wolą jego samego na ten stan duchowny i na chwałę miłego Boga obrócił, na tem tam miejscu gdzie jest religionis nostri caput (wiary naszej głowa) i w tej tam gromadzie ludzi i w pobożeństwie i w naukach przednich, sposobił się tem lepiej do tej której wziął przedsię profesyej. Tą tedy intencyą tam go posławszy nie chciał był JKMć z tem się popisować aby miał sollicitować u papieża o ten jego honor rozumiejąc, że dosyć jeszcze może być do czasu; alem ja perswadował i wiodłem do tego JKMć aby dał co o tem znać Jego Świętobliwosc a to dla tego, kiedyby to teraz się zaniechało i z tem odjechał pan Andrzej, a rozniosło się to po świecie, że Ojciec ś. nie dawno kreowawszy poczet nie mały kardynałów minął synowca króla polskiego ... aby nie rozumieli zatem ludzie, żeby albo obyczaje i osoba pana Andrzeja nie podobała się Ojcu ś., albo nie jest chęcien Kr. JMci. Co gdym tak perswadował, przestał na tem król JMć i pisze list swój w tej mierze do Ojca ś.... Przy oddawaniu, acz do poparcia tej sprawy racyej u Ojca ś. przywodzić podobno nie potrzeba, gdyż sam jest chętny do tego, i przeciw JKMci ojcowski prawie afekt i chęć pokazuje zawdy,

wszakże nie wadzi przypomnieć, że gdy Jego świat ornabit eo honore (ozdobi tym zaszczytem) krew JKMci pokaże wszystkiemu światu jako sobie waży króla JMci, który pewnie iście devotissimus jest stolicy apostolskiej i na poświadczonie tego, synowca swego własnego do Jego Świętobliwości posłał, a panem jest takim, że może być godnym i potrzebnym zawdy chrześciaństwu. Ktemu cedet ta rzecz, da Pan Bóg in rem kościoła katolickiego bo on i w Polsce mając stryja króla może być godny i pożyteczny kościołowi i tem bardziej w Transylwanii ojczyznie swej, gdzie radby król JMć aby przywróconą była religia katolicka i wszelaką pieczą o tem ma. Do czego, a któżby nad pana Andrzeja był sposobniejszy?... A iż osobno go teraz samego kardynałem Jego Świętobliwości renuncyuje, a nie w owym poczcie i katalogu, którzy niedawno są renunciowani, mało nie lepiej zda mi się to będzie ... bo które kardynały z wielkich familii Ojciec ś. kreował, to osobno same tylko... Z tem się przyjaźni i miłości WM. zalecam.» J. Z.

List księdza Reszki do Jana Zamojskiego z Rzymu 18. Kwietnia 1584.

«Dnia 4. aprilis wziąłem przez wenecką pocztę dwoje listy WM. Miłościwego Pana, bardzo odemnie oczekiwane, na które rzymską swą polszczyzną zaraz odpisuję. Było to Miłościwy Panie u wielu ludzi w podziwieniu, ze JPan Andrzej z drugiemi nie był kardynałem kreowany i dziwnie to rozbierali; a z naszych oczu i twarzy wizerunek chęci i myśli naszych wybierali, jakośmy to zaniechanie przyjmowali? Ja w prawdzie którego natura ad simulationem (do udawania) zgoła nic, ale ani ad dissimulationem (do zmyślania) nie uczyniła, będąc z tego zaniedbania nie pomału żałośnym wolałem przez kilka dni doma się zatrzymać, niż żal swój oczyma, i twarzą ludziom opowiadać. Ale iż opinia o mądrości i baczeniu wielkiem króla JMC. już przedtem między wszystkiemi dosyć jasna i wszem wiadoma była, a przytem się na każdy dzień co dalej tem bardziej przypatrowali sprawom, obyczajom, postępkom, nabożeństwu, zabawkom, towarzystwu JPana Andrzeja, za to ludzie to zaniechanie papiezkie przyjmowali, iż go tem dygnitarstwem Ojciec ś. minął nie dla jakiego zaniedbania, ale iż tę zwłokę chciał mieć król JMC. aby się pierwej rzeczom przypatrzył, do języka i obyczajów sposobił, na które discursy jam też nic nie replikował, i takeśmy z łaski Bożej obronną ręką nasza existimatią zachowali. W czem bardzo też umiał dogodzić JPan Andrzej, gdyż ani w twarzy, ani w mowie, ani w żadnej sprawie swej żadnego znaku chciwego animuszu, po sobie nigdy nie pokazał, prowadząc żywot swój zaczętym torem z wielką sławą swą i podziwieniem ludzi wielkich, a tych jeszcze więcej którzy się w rozmowie z JMcią i baczeniu pięknemu i rozrywce tym latom nie zwykłej i wymowie z bliża przypatrowali, zaczem i to szło iż nie tylko pragnęli tego, ale drudzy też mówili z papieżem o to dygnitarstwo, i dał się nie raz w tem papież słyszeć, iż nie wiedział w tej mierze woli króla JMci... O Bonońskiej drodze jeszcze pewności niemasz. Tuszą wszyscy iż się papież w drugim tygodniu odkryje. Co jeźli pojedziemy, w imię Boże za papieżem, dogadzać będziemy godności króla, jedno nam nie łajcie. Wiele ten respekt z sobą sumptu niesie, że tak wielkiego króla synowiec; a przecie proporców nie rozciągamy, jakoby nad nas już nie było; ale też żaglów nie zwijamy, jak by nas z naszą vocatią nie stało... Iż WM. rozkazujesz abym zdanie swoje przepisował na potem, uczynię to ... ale proszę aby to WM. uszu nie obrażało, a przy samym WM. zostało, bo w tej mierze bardzo by się nie dogodziło chceniu i żądaniu JPana Andrzeja. — Jeśliżeby kardynałem został, a biskupstwa jeszcze żadnego w Polsce nie miał podobnoby nie wadziło tu go przez drugą zimę zatrzymać. Staralibyśmy się o to aby między innemi kardynały deputati w radzie bywał, rzeczom wielkim się przysłuchiwał i pojmował; swoje też ingenium (umysł) sposobne do wielkich rzeczy wiekim ludziom pokazał; z czego by mógł wielki pożytek i sławę odnieść. Zatemby mogło i to pójść, żeby się legatem de latere do Polski wrócił, na którem miejscu mógłby bardzo rzeczy kościoła Bożego z wielką sławą swą i pociechą królewską podeprzeć. Ktemu papież bardzo w lata ciężkie i niebezpieczne wchodzi, ludzie też i to i owo mówią, mogłoby być żeby pomógł takiego papieża obrać, któryby rzeczom królestwa i króla polskiego tak był pomocnym i przychylnym jako ten teraz sąsiadom naszym. Ku temu iż się na tę ś. Ligę zanosi potrzeba tu znaczną osobę mieć z korony naszej do

poparcia rzeczy tak ważnych. Wszakże to wszystko racz WM. w uszu swoich umorzyć... Co się Ligi ś. dotycze, dałem dziś tydzień WM. znać iż na moją propozycyą którąm uczynił z listu WM. Ojciec ś. chciał rozmyślnie odpowiedzieć. Wczora byliśmy na audyencyi; papież powiedział: iż tego jest pewien, że każdy pan i król chrześciański ze strony swej na tego pogańca rad pojedzie, gdy społeczne porozumienie i związek do tego przystąpi. Odpowiedzieliśmy: iż się droga do tego jakoby zagrodziła, że i cesarz i król hiszpański i Wenetowie przymierze z Turkiem mają. Na to papież: «To ordinarya, łatwo by się to rozwiązało. Mam listy od króla Filipa, żebyśmy dla jego przymierza przedsięwzięcia naszego nie puszczali, gdyż on jest gotów na nasze pisanie i rozkazanie ten związek rozwiązać. Nie idzie nam tedy tak o cesarza i o króla Filipa jako o Wenety, którzy swym rzeczom aż nazbyt folgują. Co się nas dotycze, my się do tej sprawy powinni być czujemy, i wszelaką pomoc, ratunek i nakład jesteśmy gotowi uczynić.» — Zatem JPan Andrzej: «By panowie chrześciańscy króla JMci polskiego pieniędzmi ratowali, jąłby się on *swemi zębami* tego nieprzyjaciela, a miałby i ludu dosyć i dobrego i gotowego.» — Na to papież: «To nowy sposob o pieniężnym ratunku, o tym się jeszcze nigdy nie mowiło. Niech tego pewien będzie król JMć, iż od nas wszelakiej rady i pomocy i ratunku w tak pobożnej sprawie może być bezpieczen.» — To jest odpowiedź Ojca ś. na ową propositią WM. Pókim to pisał, kardynał Comensis po mnie posłał i chciał widzieć ten list WM. do mnie pisany. Czytałem mu po łacinie vertowawszy, ale bacznie ogradzając nieco. Był z tego bardzo kontent... Pytał mnie jako do WM. pisywam? Powiedziałem, że i po łacinie i po polsku. «A gdy — prawi — co sekretnego, macież *cifras* jakie między sobą?» — «Nie mamy.» — «A dobrzeż to?» — «Nic nie sprawujemy zacobyśmy wstydać się mieli.» — «A kiedy by listy do rąk nieprzyjaciół przyszły, nie dobrze aby consilia miały na świat wynijść, a tak miejcież jakie cyfry, a zwłaszcza w tej niniejszej sprawie tak ważnej.» — I kazał mi abym z temi listy wyprawił z Wenecyi do Wiednia kogo pewnego bez omieszkania; com też obiecał uczynić i piszę o tem do Wenecyi. Co potem będzie nie zaniecham oznajmić... Widzę iż we wszystkiem mają tu wielkie oko na króla JPana naszego, za co niech będzie Pan Bóg pochwalon.» —

Str. 179. *Czy nie napadają kanclerza mdłości.* Była to słabość, która i zgon jego poprzedziła. Czytam w życiu Jana Zamojskiego przez Bohomolca: «Dnia 3. czerwca 1605. roku po wesołych z domowemi i gośćmi rozmowach, nie czując żadnej na zdrowiu słabości, udał się do snu, którego po południu miał zwyczaj zażywać. Gdy się ocknął, mdłości go ogarnęły tak mocno, że w krótkim czasie na ręku żony, syna jedynaka i przyjaciół dokonał chwalebnego życia.» — Ów «syn jedynak» był to Tomasz, urodzony z czwartej żony kanclerza, z Zofii Tarnowskiej. Nie miał jeszcze lat dziesięciu, kiedy go ojciec odumarł. Piękny a może jedyny egzemplarz jego portretu widziałam w Paryżu, w szacownym zbiorze pana Adolfa Cichoskiego, który chlubnem a niezmęczonem staraniem nie jedną już pamiątkę ojczystą uratował od zaguby. — Zapewne już po śmierci Jana Zamojskiego portret ten Tomasza był wyrytowany jako jedynego dziedzica tak wielkiego majątku, a większego jeszcze imienia. — Młodzieniaszek od lat dziesięciu do dwunastu stoi koło stołu, prawa ręka oparta na książce, lewa na karabeli, suknia zda się aksamitna czarna spięta na guziki, zarzucona ferezya z okrągłym kołnierzem gronostajami podbitym, pas wązki, twarz młoda nie wiele jeszcze znacząca, czoło wysokie, włosow bardzo mało. Na tle po lewej ręce jest herb Zamojskich. A dodać tu należy, że Tomasz Zamojski liczony jest między sławne dzieci. W dziele pod tytułem: «*Des enfans devenus celèbres par leurs études ou par leurs écrits*,» wydanem w Paryżu bezimiennie 1688. roku jest *Tomasz Zamojski* i ten szczegół o nim, że w 13 leciech umiał doskonale po grecku, po łacinie, po turecku, po niemiecku.

Str. 186. ...*Maciejowska z domu.* Katarzyna Wapowska, urodzona 1548. roku córka Kaspra Maciejowskiego koniuszego koronnego, należy do liczby zacnych Polek z szesnastego wieku. Skromne i karne w domu matki wziąwszy wychowanie, w siedmnastym roku wybór rodziców, zgodny ze skłonnością jej serca dał jej za męża Andrzeja Wapowskiego na ówczas podkomorzego sanockiego, a potem kasztelana przemyskiego. — Lat tylko

dziewięć kosztowała domowego z nim szczęścia; przerwane zostało okropną i niespodzianą jego śmiercią. Uczyniwszy dla pamięci jego co tylko w mocy jej było, poznała, że powinnością jej jest zachować mu wiarę, wychować dobrze syna i zarządzać troskliwie obszernym majątkiem. Wszystkich tych obowiązków dopełniła jak najlepiej, syn jej Stanisław wyszedł za jej staraniem na dobrego chrześcianina i użytecznego obywatela, a dom jej w Dynowie na Rusi stał się wzorem rządu, gościnności, wylania dla przyjaźni, hojności dla ubóstwa; część jego znaczną zajmowali starcy niedołężni i chorzy poddani, których pilnie opatrywała potrzeby, sama niosąc cierpiącym ratunek i pociechę. Dzieci, sieroty pielęgnowała z czułością matki i przyzwoite im dawała wychowanie; umieszczanym przez nią chłopcom w szkołach w Jarosławiu dosyłała żywności, sprawiała odzienie. A ponieważ wady wiejskiego ludu największej są skutkiem jego ciemnoty, starała się o jego oświecenie; nieuczonych popów ruskich namawiała do sprzedania ich dziedzicznych popostw, a osadzała oświeceńszemi kapłanami cerkwie w dobrach swoich. Nie potrzebowała przejeżdżać się do miast stołecznych i za granicę dla rozerwania się i skracania czasu, mile i użytecznie schodziło jej życie w domu, u siebie. Król Stefan, Zamojski, Goślicki biskup przemyski i pierwsze w kraju osoby wysoko ją szacowali. Umarła pełna cnót roku 1596. Syn jej ożenił się z Katarzyną Kostczanką i miał z niej trzech synów i pięć córek. —

Str. 186. O biedneż dzieci!... Niebłogosławieństwo Boskie, które zwykle jawnie się objawia na rodzinach nieprzyjaznych własnej ojczyźnie, okazało się także na Zborowskich z Rytwiana. Z ośmiu synów Marcina ani jeden się nie rozrodził w trwałe potomstwo. Syn starszy Samuela, Aleksander, był ostatnim potomkiem tej dzielnicy — umarł 1621. roku. —

Str. 187. ...Gdy uciekł król Henryk. Z powodu tej ucieczki śpiewaną była w Krakowie zabawna piosnka która tak się zaczynała:

Rex Henricus
Wyrządził Polakom psicus...

Lud krakowski w podobieństwie jak paryzki ze wszystkiego piosnki składać lubił i umiał. —

Str. 187. Pobudzał kozaków do buntu... Chociaż Samuel Zborowski miał i ma dotąd stronników i obrońców swoich, przecież śmiało twierdzić można, że był to nie tylko wichrzyciel, ale i zły człowiek. W Paprockim, który wielkim jego jest przyjacielem i zawsze «sławnym Polakiem» go nazywa, czytam te słowa: «U Niżowych kozaków, którzy się Zaporowskiemi mołojcami zowią deklarowan za hetmana, uroczyście przyjął buławę, ale potem i z Moskwą był w zmowie; Kozacy go posądzili, że ich wydać chce i już go chcieli karać według obyczaju swego, opasawszy mocno, piasku w zanadra nasypać, a w Dnieper wrzucić ..., ale przecie wybawiony został...» — Widać tedy, że zdrada była dla niego jakby potrzebą.

Str. 187. Bawiąc w obozie naszym...» Prawa polskie były tak dobroczynne, że pozwalały wywołanym przystępu do obozów, kiedy wojna toczyła się za granicą, a to żeby winowajca mógł jakim świetnym a użytecznym czynem zmyć przestępstwo swoje. —

Str. 187. Zarówno ze zdrajcą Ościkiem. Grzegorz Ościk, właściciel wsi Kowarka o dwie mile od Wilna, w czasie moskiewskiej wojny, potajemne miał związki z nieprzyjacielem. Za pomocą sługi swego Bartłomieja sfałszował podpisy i pieczęcie kilku senatorów, czem sobie większe zaufanie jednał u nieprzyjaciół. Jego spisek wydał tenże sam sługa Bartłomiej, złożono na Ościka sąd wojskowy i został ścięty publicznie w Wilnie, 18. czerwca 1580. Syn jego Jan, młody jeszcze i zupełnie niewinny, na sejmie warszawskim w następnym roku uwolniony był od okropnej winy ojca. —

Str. 189. ...Herburt... Piskorzewski... Heidenstein. Oto krótka wiadomość o tych trzech mężach. Herburt Jan, Katarzyny Drohojowskiej i Jana kasztelana sanockiego syn, był bystrego dowcipu i niepospolitej nauki człowiek, ale butny i zuchwały. Krewny Zamojskiego długo do liczby poufałych jego przyjaciół należał, ale potem zupełnie z nim zerwał, a w czasie rokoszu Zebrzydowskiego wielkich łotrostw się dopuścił. Umarł 1626. roku. — Piskorzewski Mateusz, kanonik wileński był znakomitym mówcą i rymopisem. Zamojski kochał go jako przyjaciela i jak uczonego

męża poważał, lubił go mieć i w wyprawach wojennych towarzyszem swoim. — Heidenstein Reinhold (z którego często dwóch mężów robią Heidensteina i Reinholda) był długo podręcznym i domownikiem u Jana Zamojskiego; mianowany sekretarzem króla Stefana w końcu jego panowania, zachował ten urząd przy Zygmuncie III. i w zajściach między tym królem a Zamojskim był pośrednikiem i tłómaczem, zawsze przychylnym kanclerzowi. W wieku podeszłym dwór porzucił i trudnił się pisaniem dzieł użytecznych. Zostawił ich znaczną liczbę zwłaszcza historycznych, a najznakomitsze o wojnie moskiewskiej. Pisał po łacinie, umarł 1620. roku.

Str. 199. Jak otworzył obozową szkatułkę apteczną... Lekarska sztuka miana była dawnemi czasy za dobrodziejstwo, za uczynek miłosierny i każdy starał się znać na niej choć cokolwiek, żeby módz ratować w razie bliźniego, na wzór owego Samarytanina w ewangelii, który umiał sam opatrzyć rany podróżnego. Nawet znakomici dostojeństwem mężowie nie mieli sobie za ujmę powagi podręcznemi lekarstwami ulgę przynosić cierpiącym. «Byli niektórzy zacni hetmani, — pisze Sarnicki w księgach hetmańskich — którzy w lekarskich naukach byli uczeni i gdy który z żołnierzy chorował, wnet ze swej szkatuły snać gotowsze lekarstwa niż drugi doktor dobywszy, onym użyczali, jako był pan Jędrzej z Górki, kasztelan poznański (zmarły 1551. roku). Ten u Starodubu będąc hetmanem, acz miał lekarze, snać lepiej niż inny, bo ten dom zawdy z wielkim dostatkiem i z wielkim rządem dwór swój wiódł: wszakoż jednak szkatuła u niego bywała lekarstw i rzeczy osobliwszych, niż w znacznej aptece. I pamiętają dotychmiast niektórzy experientie i lekarstwa, które więc przy stole z rozkoszą convivorum (biesiadników) i powieściami jako był wymowca i krasomowca wielki rozpowiadał.» — (Wyjęte z szacownego dzieła Ambrożego Grabowskiego).

Str. 199. Batury Isztywan... Takież nazwanie i podobne wyrażenia znaleźć można w liście Miurad-hana sułtana do Batorego roku 1578. Umieścił go w zbiorze swoim Sękowski. —

Str. 200. ... Ruszyć lepszą drogą do Carogrodu. Tym samym gościńcem co Podlodowski jeździł po kilka razy w te strony Tarnowski poseł Zygmunta Augusta do Turcyi. Jednej podróży jego jest szczegółowy opis w kronice Bielskiego. Tarnowski wyjechawszy z Lublina w wigilią Bożego Ciała 1569. roku stanął w Carogrodzie 14. lipca. —

Str. 201. Kochanowskiego mapy... Wszystkie te mapy i wiele innych jeszcze rzadszych i piękniejszych miałam przyjemność oglądać w zmiankowanym już zbiorze pan Adolfa Cichoskiego w Paryżu. —

Str. 202. Treść rozmowy ojca z córkami... Wiadomości tu umieszczone brane są po większej części z dzieł ówczesnych i wiele także — co do Polski — z pism samego Kochanowskiego.

Str. 206. Było to gdzieś na morzu... Sławna bitwa pod Lepantem w Morei, roku 1571. Polak, który na niej się znajdował, był to Zygmunt Srzedziński, kawaler maltański; dzielnie się sprawił, gdyż bardzo był waleczny i z wypraw morskich przeciw Turkom i zbójcom znany. Lata długie przebywszy za granicą w służbie wojennej, wrócił do ojczyzny wytchnąć starganym siłom i umarł roku 1616.

Str. 208. Nie obejdzie się bez okropnej wojny. Było to w istocie zarzewie sławnej i krwawej wojny trzydziestoletniej, epoka najzaciętszej walki w pismach i mowach między katolikami i protestantami. Ci ostatni niestety! podbudzani byli okropnemi przykładami, mianowicie inkwizycyą w Hiszpanii, rzezią nocy ś. Bartłomieja we Francyi.

Str. 208. Jego Francuzi jeno nas obmawiali. Nie koniecznie pochlebny przytoczę tu dla nas wyjątek, ale przecież wiedzieć należy wszystko co się własnych rzeczy tyczy, choćby też i nie miłe. Są to wiersze poety francuzkiego Filipa Desportes, który z Henrykiem trzecim przyjechał w zimie do Polski i oczywiście nie podobała mu się; jeszcze tedy prędzej od króla odjechał i tak się z nią żegnał:

Adieu Pologne, adieu plaines désertes,
Toujoùrs de neige et de glace couvertes,
Adieu, pays d'un éternel adieu;
Ton air, tes moeurs m'ont si fort sue déplaire
Qu'il faudra bien que tout me soit contraire,
Si jamais plus je retourne en ce lieu.
Adieu maisons d'admirable structure,
Poêles, adieu, qui dans votre cloture
Mille animaux pêle mêle entassaient,
Filles, garçons, veaux et boeufs tout ensemble.
Un tel ménage à l'age d'or ressemble
Tant regretté par les siècles passés.
Quoiqu'on m'ait dit de vos moeurs inciviles,
De vos habits, de vos méchantes villes,
De vos esprits pleins de légèreté,
Sarmates fiers, je n'en voulais rien croire,
Ni ne pensais que vous pussiez tant boire;
L'eussé-je cru sans y avoir été?
Barbare peuple, arrogant et volage,
Vanteur, causeur, n'ayant rien que langage
Qui jour et nuit dans un poêle enfermé,
Pour tout plaisir se joue avec un verre,
Ronfle à la table ou s'endort sur la terre:
Ce ne sont pas vos traits redoutables,
Lourds Polonais, qui vous font indomptables,
La pauvreté seulement vous défend.
. . . .

Czytając te wiersze, a raczej ten paszkwil, możemy z innej strony mieć pociechę. Desportes był jednym z pierwszych poetów francuzkich owego czasu po Ronsardzie — my zaś mieliśmy wtedy trochę lepszych poetów i od Ronsarda. —

Str. 208. Bóg wie na jaki koniec mu przyjdzie... Henryk III. zginął z ręki fanatyka dnia 1. sierpnia 1589. Zwał on się Jakób Clement, był zakonnikiem reguły ś. Dominika.

Str. 208. Marya Stuart... W lat trzy niespełna po tej rozmowie dnia 18. lutego 1587, poniosła głowę swoją królowa szkocka na rusztowanie; stałość jej przy wierze katolickiej, odważna śmierć zasłoniły ogromne błędy i winy, jakie jej historya zarzuca, i nadały jej w wielu oczach świętą postać męczenniczki. W żywotach świętych księdza Piotra Skargi jest opis jej męczeństwa. Co zaś do obrazu prześladowań, jakich właśnie w owym czasie katolicy doznawali od srogiej choć mądrej Elżbiety, posłuży następujący ułamek z listu znajomego już nam księdza Reszki do Wojciecha Baranowskiego, sekretarza królewskiego:

Z Rzymu 18. maja 1584... «Wielka jest moc i potęga zacnych kapłanów ... i właśnie na ten czas ta rzecz jaśnie w Anglii się pokazuje, gdzie żadna moc piekielna, żadne męki, miecze, ognie, strzały, powrozy, stałości kapłanów chrześciańskich przełomić nie mogą, których na każdy miesiąc ta Jezabel Angielska okrutnie morduje... — Prosił rektor Collegii Anglici w poniedziałek przeszły pana Andrzeja do Collegium, gdzie najpierwej mszy z piękną muzyką wysłuchawszy, do stołuśmy siedli, między ośmiudziesiąt onych młodzieńców angielskich, jako aniołów Bożych, których bracia, szwagry, stryje, powinne, dla wyznania wiary Chrystusowej w Anglii potracono, o czem gdy człowiek historye czyta, od płaczu się strzymać niemoże. A przecie nie tylko nic tem okrucieństwem nie są strwożeni ci młodzieńcy, ale prawie są zapaleni chęcią męczeństwa, od rektora swego prosząc za osobliwą łaskę, aby ich do Anglii posłał, żeby jako towarzysze ich, tenże kielich dla wiary chrześciańskiej pić mogli. Pokazywano też nam one srogie powrozy krwią pokropione, one krzyżyki, chusteczki, których w więzieniu i po Anglii chodząc do służby Bożej używali; na co patrząc zdało nam się, iż się zaś one srogich Neronów i Dyoklecyanów czasy przywróciły... Ale bądź Tobie chwała, miły Panie! który przepuścił Nerony, ten

dał Piotry i Pawły; który Juliana, ten i ś. Grzegorza, który innych tyranów, ten i wiele rozmaitych męczenników. — Przy obiedzie była bardzo piękna oracya in laudem (na cześć) króla JMci i pana Andrzeja, także potem Musica na wszelkich instrumenciech, gdzie [wiersze piękne in laudem JMci śpiewano. Po muzyce, JMC przystąpił do onych młodzieńców męczenników Bożych i dziękował im za ich uczciwe przyjęcie; samego siebie też i króla stryja swego chęć ofiarował, gdyby się przygodzić ich rzeczom do czego mogła...»

Str. 210. Ojciec święty stara się nagrodzić... Czytam w Skardze w obroku duchownym do żywota ś. Józafata króla indyjskiego: «Indye są i były światu wiadome strony... Wiele już tam królestw i niezliczonych ludzi Chrystusowi się kłaniają w posłuszeństwie kościoła rzymskiego. A roku tego 1585 z Japonu i wysep onych bardzo dalekich, 23. marca, do Grzegorza XIII., od trzech wielkich królów posłowie dla oddania posłuszeństwa ojcu wszystkiego chrześciaństwa i pasterzowi powszechnemu owiec Chrystusowych, Piotrowemu potomkowi, przyjechali. Ten Japon i wyspy jego bardzo są odległe i dalekie od Europy, tak, iż trzy lata trawić na tej drodze ci posłowie musieli; a są szerokie, wielkie i bogate państwa, tak, iż włoskim, hiszpańskim, francuzkim, niemieckim w rządzie, w gęstych miastach, w wojennych postępkach i w ostrości rozumu nic nie ustępują, krom tego, iż prawego Boga nie znali. Przed lat kilką i trzydziestą zapłynęli tam kapłani Societatis Jesu i siejąc głos i naukę zbawiennej ewangelii pierwej nie mało ubogich i podłego stanu ludzi do sieci Chrystusowej zagarnęli, a potem i zacnego stanu panowie przystępowali; aż nakoniec królowie i monarchowie do wiary i pokłonu Chrystusowego przywiedzeni są.» — Przyczem przytacza Skarga trzy listy królów indyjskich Bungi, Arimanorum i Omuranorum do papieża — a potem kończy na tych słowach: «Dziwuj się, wierny katoliku, wielkiej gorącości do rozmnożenia wiary Chrystusowej, Grzegorza XIII. Nie tylko w Niemcach, we Francyi, w Polsce, w Węgrzech (okrom tego co w Rzymie) ale i w tych tak dalekich Indyach japońskich kosztem swoim i jałmużną wychowywa japońskie dzieci i młodzieńce, którzyby do kapłaństwa na rozmnożenie wiary językiem swoim u swoich godni byli. I tam zaszły jałmużny jego i staranie o dusze ludzkie... O niewysławiona chęci do pozyskania dusz Chrystusowi, dusz błędnych i grzesznych!»

Str. 210. Polskę zwać należało szczęśliwszą... «Ze wszystkich narodów Europy — pisze jeden z naszych uczonych — sam tylko Polak w wieku szesnastym zakrwawionym fanatykiem nie był, i to niech będzie chwałą republikańskiego rządu; pod nim każdy szlachcic był bratem, choć tedy Polak został kacerzem, bratem katolika senatora ani szlachcica być nie przestał i żyli zgodnie. Łagodność Zygmunta Augusta, światła pobożność Batorego sprawiły, że nie prześladowani kacerze sami wracali do wiary ojców, zwłaszcza gdy Skarga i podobni jemu przekonywać ich zaczęli.»

Str. 211. ... Święto Sobótek... Każdy wie, że święto Sobótek zabytek jeszcze pogański i w wielu miejscach dotąd u Słowian przechowany, odbywa się w wigilią ś. Jana, 23. czerwca — skakanie przez ogień, rzucanie wianków na wodę stanowią głównie ten obchód. Za czasów Kochanowskiego jeszcze powszechniejszy był ten zwyczaj i jest śliczna jego poezya pod tytułem Pieśń świętojańska o Sobótce; dwanaście panien występuje w niej z kolei i każda śpiewa. Dziwno mi, że z tej poezyi nie przyszło jeszcze nigdy nikomu utworzyć prawdziwie wiejskiej fety; a byłaby bardzo ładna. —

Str. 218. Heleny cesarzowej... Matka wielkiego Konstantyna, pierwszego cesarza rzymskiego chrześcianina, ś. Helena, odprawiła drogę do ziemi świętej; za jej staraniem wynalezione zostało drzewo krzyża świętego; na grobie Pańskim, w Betleem i w wielu innych miejscach wystawiła kościoły. —

Str. 218. Grób Gotfreda Bulioniusza... Był to jeden z książąt chrześciańskich, który najwięcej uświetnił pierwszą krucyatę zaczętą jak

wiadomo w roku 1096 i który jednozgodnie królem jerozolimskim był ogłoszony. Wszyscy znają sławne poema Torkwata Tassa osnute na tem zdarzeniu — a Polkom nigdy dosyć zalecać nie można, aby czytały Jerozolimę wyzwoloną w pięknym przekładzie Piotra Kochanowskiego, brata najmłodszego Jana. Pierwsze wydanie tego przekładu wyszło w Krakowie 1618. roku.

Str. 221. Ciało starej królowej... Bona Sforcya, żona Zygmunta I. wyjechawszy z Polski po śmierci męża i uwiózłszy skarby ogromne, umarła 1558 w Barze stolicy księstwa swojego. Pobożna Anna królowa własnym nakładem grób jej tam wystawiła.

Str. 222. Muszę podać do druku opis peregrynacyi mojej... Uczynił to Radziwiłł i wyszedł ten opis roku 1601, ale po łacinie, przetłómaczony z polskiego przez Tomasza Tretera. Polski oryginał pokazał się dopiero światu 1617. roku. Umieściłam tu z umysłu krótką treść tej podróży, żeby zachęcić czytelniczki moje do poznania samego dzieła. Jakkolwiek książe Sierotka nie był uczonym człowiekiem, dzieło jego nader jest miłe i zajmujące. Sama prostoduszność autora ma wdzięk wielki. Wreszcie właśnie w tej porze, kiedy mamy mieć opis niedawnej pielgrzymki do ziemi świętej przez księdza Hołowińskiego, przyjemnie będzie porównywać te dwie podróże, które więcej niż pół trzecia wieku przedziela. —

Str. 225. Grzmoty i pioruny ... dowód gniewu Boskiego. Nawet święci Pańscy nie byli wolni od tej trwogi. Czytam w Skardze o ś. Jadwidze, księżnie polskiej zmarłej 15. października 1243. roku te słowa: «Gromów i błyskania jako sądu Bożego się bojąc nie prędzej się uspokoiła, aż kapłan przyzwany na obronę, ręce na głowę jej włożył, jakoby za oną tarczą od gniewu Boskiego się broniła. A gdy przestały a jasność się wróciła, ręce kapłańskie całowała, rozumiejąc, iż z poświęcenia miały tę moc, że gniew Boski ubłagać mogły.» — Kiedym zaś przytoczyła ten wyjątek ze Skargi, nie mogę się wstrzymać od wypisania tu drugiego z «obroku duchownego do żywota ś. Ceada biskupa» chociaż obok niego mój «opis burzy» źle się wyda. Żałuję mocno, żem na to miejsce nie natrafiła pierwej, byłabym niektóre szczegóły dodała do mego obrazu. «Święty był obyczaj — mówi Skarga — przodków naszych chrześcian starych, ktory jeszcze i sam pomnę, iż gdy grzmoty albo postrach na powietrzu wszczynał się, dzwonami plebani ludzi do modlitwy wzywali; a tak każdy w domu gospodarz, albo gospodyni przed obrazem, który na ścianie zawdy mieli, wezwawszy wszystkich domowników swoich do modlitwy, zapalali świecę, którą **gromnicą** od tego zwali; kadzenie ziół przeżegnanych czynili, pobudzając do bojaźni Bożej dziatki i czeladkę swoją i takiemi słowami mówiąc: «Widzicie, miłe dziatki, miła czeladko, jako Pan Bóg na niebie straszliwy, który zaraz złego zabić piorunem może, daleko straszliwszy i z większą mocą przyjdzie na on sąd ogromny! Czyńcież dobrze a złego się strzeżcie, abyście w okrutną karę Boską nie popadli.» Takim świątobliwym obyczajem tych zacnych gospodarzów pełniły się one słowa: «Pójdźcie sam, dziatki, bojaźni Bożej nauczę was.»

Str. 228. W Babinie... Obiecane pierwej szczegóły o tej wesołej rzeczypospolitej tu mieszczę, o ile mi się udało ich nazbierać:

Stanisław Pszonka, herbu Janina, sędzia lubelski, wesoły, dowcipny, majętny, założył około 1560. roku we wsi swojej w Babinie, niedaleko Lublina, towarzystwo z uczciwych a żartobliwych osób, czyli raczej rzeczpospolitą, gdzie na wzór rzeczypospolitej polskiej były sejmy mowy, senat, urzędnicy, protokóły, patenta, akta. Ale tam urzęda, godności i przydomki były na wspak rozdawane, i tak gaduła zostawał kanclerzem, samochwał hetmanem, nie lubiący nauki mistrzem i t. p. Co tylko było ludzi znamienitych dowcipem wtedy w Polsce, wszyscy chcieli być obywatelami tej wesołej rzeczypospolitej; jej dzieje, a raczej żarty, ucinki, krotofile przedmiotem były rozmów, sam król Zygmunt August wielce się nią zajmował i chciał dokładnie wiedzieć co tam się działo. Razu jednego zapytał się Stanisława Pszonki: «A któż królem w Babinie?» — «Uchowaj Boże — odpowiedział natychmiast starosta Babiński — abyśmy za życia twego, miłościwy panie, innego obierali króla.» — Zygmunt August nie uraził się bynajmniej

tą nie tylko swobodną ale zuchwałą odpowiedzią szlachcica polskiego; Mickiewicz też w jednej ze swoich lekcyi paryzkich przytoczył ją obok obrazu srogości Iwana moskiewskiego, jako dowód najlepszy różnicy w owym czasie Polski a Moskwy. — Stanisław Pszonka umarł około roku 1570; syn jego, który zszedł bezdzietnie, chciał przechować krotofilny zakład ojcowski, jednak mimo najlepszych chęci już mu się tak nie wiodło jak ojcu. Na toż samo zdobył się synowiec jego, Adam, podkomorzy lubelski, który żył cały wiek i przez lat kilkadziesiąt był gorliwym starostą babińskim; a jezli się zdarzył zjazd obywateli w czasie jego niebytności, zastępowała go w urzędzie żona Ewa z Lasockich. — Ród Pszonków przetrwał ród Jagiełłów i Wazów, ustał dopiero za Sobieskiego, a z nim rzeczpospolita babińska. W samem jej trwaniu jest dowód, że jak w zarodzie swoim tak i póżniej nie miała na celu ani dogodzenia politycznej zawiści, ani oszczerstwa osób; chciała tylko bawiąc się poprawiać obyczaje narodowe i karcić dowcipem nadużycia wkradające się w rządy. Dla tego też należały do niej osoby poważne i te nawet, które były przedmiotem jej przycinków. Wszak Jan Zamojski gdy do pieczęci buławę dołączył, mianowany był jej Totum-fakiem, dla tego nie przestał pisać się jej obywatelem. — Protokóły babińskie utrzymywane do końca i inne ciekawe akta zniszczyli, zrabowali Szwedzi; udało się jednak troskliwemu o rzeczy ojczyste księciu Adamowi Czartoryskiemu wydobyć z bibliotek szwedzkich za staraniem Felicyana Biernackiego akta Babińskie od 1601. roku do 1677. Parę wyjątków z tych akt przytaczam:

«AD. 1604 24. maja. JMĆ pan Walery Trepka został doktorem babińskim z tej miary, iż kilka garcy małmazyi każe wypić w największej gorączce, i powiedział, że pana ojca tak uleczył.»

«AD. 1617 4. Novembris. JMĆ pan Mikołaj Stradomski powiedział, iż drzewo grabowe długo moczone w krzemień się obróci i skrzesze nim ogień kiedy zechce. Dał się jegomości urząd chemika babińskiego.»

«AD. 1634. JMĆ pan Mikołaj Ciechociński został doktorem babińskim z tej przyczyny, iż doświadczone lekarstwo powiedział na kołtun: Podpiwszy sobie dobrze, zwadzić się z kim i dać go sobie wyrwać.»

Z pierwszego pół wieku bytu rzeczypospolitej babińskiej nie są znane dotąd żadne akta; wiadomo jednak dowodnie, że Jan Kochanowski, Zamojski, Rej, Paprocki, Szymonowicz i wielu innych znakomitych mężów było jej obywatelami. W wielu poezyach ówczesnych jest wzmianka o Babinie, są i osobne wiersze na cześć Pszonków a mianowicie pióra Achacego Kmity. Kronikarze nasi wspominali o tej rzeczypospolitej; Sarnicki mówi: «Do naprawy obyczajów, mówienia roztropnego, nauczania obyczajnej wstrzemięźliwości, żart ten był bardzo pożyteczny.» — Krasicki ze zwykłym sobie dowcipem tak wspomniał o Babinie:

Tu Pszonka dobrej myśli chcąc być sprawcą
Nowego państwa został prawodawcą;
A za tak sławnym idąc przewodnikiem
Kto głupstwo zrobił został urzędnikiem.
Gdyby tych indziej używano względów,
Byłby niezmierny nacisk do urzędów.

Str. 228. Starego pana Reja... Mikołaj Rej rodził się 1515. roku i póżnej doczekał starości. Niewiadomo dotąd z pewnością, czy protestantem czy katolikiem umarł, i mało o którym pisarzu naszym tyle mówiono i pisano źle i dobrze, zwłaszcza póki żył. Lubo i dziś nie jednostajne o nim są zdania, przecież nikt mu nie odmawia wielkich zasług w literaturze narodowej. Mickiewicz w swoim Kursie parę lekcyi poświęcił. Oto jest kilka słów schwytanych z tych lekcyi: «Kardynał Hozyusz wśród kłopotu europejskich interesów wielką ważność przywięzywał do nawrócenia jednego szlachcica, którego pisma wiele robiły hałasu... Mikołaj Rej pismami religijnemi, psalmami, nareszcie polemicznemi pamfletami ściągnął był uwagę dworu i całej szlachty. Uderzało to wszystkich, że w pismach drukowanych znajdowały się po raz pierwszy owe zdania, namiętności i przesądy, któremi wrzała liczna a panująca w Polsce szlachta. Dotąd bowiem uczucia naro-

dowe i religijne objawiały się w pieśniach, a niekiedy tylko odzywały się w ogromnych in folio łacińskich, których sam ogrom odrażał leniwą do nauki szlachtę. Rej naj swoją epokę dość uczony, dobrze przytem świadomy równie toku pieśni jak stylu polskiego, mięszając te dwa różne od siebie rodzaje umiał się równie podobać uczonym, jak szlachcie, a nawet ludowi. Doskonale on reprezentował Polskę i swoją epokę, a głównie stan, którego był członkiem. Mamy biografią jego, napisaną przez Trzecieskiego. Biografia ta jest oraz biografią całej szlachty polskiej z początku szesnastego wieku... Mikołaj Rej urodził się z familii krakowskiej, młodość swą wszakże spędził na Czerwonej Rusi, i tam zapewne żyjąc wśród najmuzykalniejszego, najpoetyczniejszego w Sławiańszczyznie ludu, nabrał smaku do muzyki i poezyi, a oraz zachwycił ten tok popularnej prostoty, który cechuje wszystkie jego pisma. — Jedyną szkołą dla ówczesnej młodzieży była akademia krakowska; lecz ojciec Mikołaja z powodu szczególnego do syna jedynaka przywiązania niechąc się z nim rozstawać, chował go przy sobie na wsi. Młody Rej bujał po lasach, łąkach i po nad brzegami Dniestru. Myśliwski jego i rybacki talent słynął daleko ... powszechnie postrzegano w nim niepospolite zdolności i każdy mawiał: «chłopiec ten da sobie radę na świecie»... Aż też nareszcie i ojciec się namyślił wyprawić go do szkoły. Rej wszakże skosztowawszy już wolności i towarzyskiego życia, uparcie niechciał się niczego uczyć. Ojciec więc chcąc go umieścić na dworze jakiego wojewody lub starosty, sprawił mu czerwono purpurowe suknie; ale Rej pociąwszy na kawałki owe suknie, porobił z nich kołnierzyki, które czepiał na szyję wronom i gawronom, a poczciwy ojciec musiał nową z Krakowa sprowadzać wyprawę. — Wojewoda, którego ojciec Reja wybrał mu na politycznego i moralnego przewodnika, był człowiek rozumny, poznał też i ocenił zdolności młodzieńca. Rej nauczył się przy nim pisać po polsku i składać listy. — W Krakowie świetny wówczas był dwór, pełno cudzoziemców, mówiono wszystkiemi językami; krążyły książki najciekawsze owego czasu; wszystko to stanowczy wpływ wywarło na Reja. Nieumiejętny ten szlachcic wziął się do łaciny, w krótkim bardzo czasie zaczął pojmować teologiczne i polemiczne książki ... i sam wziął się do pisania takowych... Wprowadzono wówczas do kościołów podług czeskiej i niemieckiej metody pieśni pisane mową potoczną — tłómaczono nawet na ten język rytuał katolicki. Rej w celu podobania się uczonym i czeskim kościołom, starał się zastósować miarę pieśni gminnej polskiej i ruskiej do formy łacińskiej i czeskiej. W licznym skarbie miar i metrów gminnej poezyi polskiej wybierał on najbiedniejsze, najciaśniejsze kształty. Wówczas bowiem prawdziwa pieśń uważaną była za rzecz zupełnie obcą literaturze, i Rej, aby jej zjednać przyjęcie uczonych, musiał ją odzierać z tego właśnie co jej bogactwo i barwę stanowiło. — A tak zyskawszy Rej wzięcie między uczonemi, nie oddał żadnej przysługi poezyi. Jako poeta jest on mało znaczący, brakuje mu nawet duszy poetycznej. Uniesiony popędem wieku nie mógł on skupić w sobie dość ducha, aby wydać dzieło uderzające, już to natchnieniem, już to formą... Nierównie większą jest wartość Reja jako pisarza prozą ... dzieła jego zdają się być pisane pod tym samym wpływem, pod którym pisali sławni owego wieku pisarze: Baltazar Castiglione i Michał Montaigne; współczesny Castigliona, dawniejszym jest on nad Montaigna. — Wspólne są tym wielkim pisarzom, i chęć przyodziania w potoczne słowo ówczesnych sporów religijnych i politycznych, i talent wyrażania wzniosłych myśli i uczuć głębokich, po prostu i bez zawikłania, i lekkość z jaką do traktowania najtrudniejszysh przedmiotów przystępują; każdy z nich wszakże reprezentuje naród i stan, do którego należy... Polski nasz szlachcic nie dorównał francuzkiemu w erudycyi ... ale obejmuje on wyraźniejszy plan (w Żywocie człowieka poczciwego), zupełniejszy filozoficzny systemat, a to z powodu, iż miał więcej szczeroty i wiary ... stara się on ze wszystkich swych postrzeżeń utworzyć całość, biorąc sobie za wzór swej całości królestwo polskie ... Przesadza on równie jak Montaigne cytacyami, ta wszakże zachodzi między niemi dwoma różnica, że Francuz żyje w sobie tylko i w książkach, Polak zaś w naturze i w biblii. Wszystkie porównania Reja z natury i z biblii są czerpane, wszystkie jego przenośnie i obrazy brane są na ojczystym gruncie, jest u niego głębokie uczucie natury i zwierzęcego życia, którego niedostaje Montaignowi i t. d.»

Str. 229. On pierwszy moje wiersze pochwalił... To zdarzenie tak jest opisane przez Kaspra Miaskowskiego, którego zbiór rytmów wyszedł w Poznaniu 1622. roku i który jest jednym z lepszych poetów naszych z siedmnastego wieku: «Na jednym zjeździe w sandomierskiej ziemi, gdzie przyjaciele Jana Kochanowskiego na ten czas w Paryżu nauce będącego ukazali gościom tamecznym pieśń od niego posłaną (patrz ks. II. p. 9) był i Mikołaj Rej, którego naród nasz ma mieć w tej cenie jako Grekowie Hezyoda, Rzymianie Enniusza, bo ci trzej narodom swym drogę do nauk pokazali. Tenże Rej wziął tedy tę pieśń Kochanowskiego i pilnie onej przypatrzywszy się, zwołał wszystkich gości i powiedziawszy nieco o swych pracach, wielce dowcip i wymowę młodego Kochanowskiego chwaląc, zawołał:

Temu w nauce dank przed sobą dawam
I pieśń bogini sławiańskiej oddawam.»

Str. 229. Łukasz Górnicki... Urodzony koło 1530. roku, żył jeszcze w roku 1591; po śmierci Zygmunta Augusta, od którego wielce był lubiony, osiadł wraz z żoną Broniewską z domu, w Lipinkach, na Podlasiu, i tam się oddał — równie jak Kochanowski w Czarnolesie — ziemiaństwu i naukom. Dworzanin jego, naśladowany z Baltazara Castiglione, rzecz o dobrodziejstwach z Seneki, wyszły za jego życia; reszta dzieł: Dzieje w koronie polskiej, Rozmowa o elekcyi, i inne wydał dopiero po śmierci ojcowskiej syn starszy, proboszcz warmiński. Górnicki składał wiersze ale po łacinie; Kochanowski chwaląc je w swoich łacińskich poezyach tak się wyraża:

Gornicius Orphaea fingit carmina digna lyra...
(Górnicki składa wiersze godne Orfeusza liry).

Str. 230. Sebastyan Klonowicz... Urodzony 1551. roku w Sulmierzycach w Wielkopolsce, umarł w szpitalu lubelskim roku 1608. — Niektórzy z dzisiejszych krytyków przyznają mu większy talent i więcej narodowości niźli Kochanowskiemu, lubo ani za życia, ani później nigdy tyle nie był ceniony ile śpiewak czarnoleski. Najlepsze jego dzieło ma być poemat łaciński Victoria Deorum (zwycięztwo Bogów), nad którem dziesięć lat pracował. W Worku Judaszowym po polsku napisanym odmalował wiernie ówczasowe obyczaje i krajowe sprawy; pisał i innych rzeczy wiele, między innemi Flisa czyli spuszczanie statków Wisłą; jak sam wyznał w przemowie, ułożył ten poemat «w czasie dwutygodniowej żeglugi do Gdańska, ku przestrodze i ucieszeniu szyprów polskich po Wiśle pływających i ku ulżeniu na wodzie tęskności ich.» — Mogę zaręczyć, że i na lądzie bardzo miło się czyta i dla języka wielce jest szacowne. W Przyjacielu ludu w zeszłym roku (1840) była odezwa dzisiejszego plebana Sulmierzyc, szanownego księdza Siwickiego, zachęcając do wystawienia pomnika w miejscu jego urodzenia «Krytykowi i pogromcy nadużyć w owym «czasie, i który jaśniejąc przez pół wieku na parnasie polskim umarł w ubóstwie...» Niewiem czy to wezwanie otrzymało jaki skutek, a godziłoby się bardzo. We Francyi wchodzi teraz w zwyczaj, że mieściny i wioski wznoszą pomniki sławnym krajowcom swoim; my co lubimy Francuzów naśladować czemubyśmy także podobnie robić nie mieli? Zamiast pasztetów sztrazburskich, win szampańskich, strojów paryzkich, lepiejby daleko na takie wydawać rzeczy. — Pomniki ojczyste obudzają ducha w narodzie, podnoszą piękne sztuki, kraj ciekawszym czynią. Proszę sobie wystawić wioskę polską z jakim pięknym rodowitym posągiem czy grobowcem — już by to było zarzewie do kilku iskier światła dla włościan, już cel odwiedzin dla przejeżdżających, już jakiś nowy wdzięk miejscowy dla właściciela — a może (bo trzeba do każdego przekonania trafiać) i źródło nowej intraty. —

Str. 230. Maciej Stryjkowski... Urodzony 1547. roku w Osostowie, blizko Łowicza, herbu Leliwa z powodu jąkania się swego chętniej przestawał z księgami, niż z ludźmi. Miasteczko Brzeziny było mu Padwą i Bononią, tam w szóstym roku uczyć się zaczął i dopiero po dwudziestu leciech pojechał do akademii zagranicznych. Następnie upodobał sobie rycerskie rzemiosło, a potem uczone wędrówki; zwiedził kraje północne,

Moskwę, Finlandyą, całe nadbrzeże baltyckiego morza, Turcyą azyatycką i europejską, a wszędzie uważał na to, co się sławiańskich mianowicie polskich dotykało dziejów, i co u nas dotąd rzadko się trafia, zrysował sam z natury wiele starodawnych pomników. Wróciwszy z Turcyi 1575. roku przejęty wzrastającą bisurmanów potęgą, świadek naoczny złego i upokarzającego przyjęcia jakiego doznał poseł Rzeczypospolitej Tarnowski, napisał poemat o wolności korony polskiej, w którym złym rymem ale dobrą chęcią wystawiał rodakom grożące im niebezpieczeństwo; w tych czasach także został księdzem i otrzymał kanonią żmudzką za staraniem możnego opiekuna i przyjaciela Aleksandra Chodkiewicza. W czasie jego powtórnego pobytu w Turczech, Gwagnin Włoch, pod którym niegdyś służył wojskowo, wydrukował po łacinie opis Sarmacyi europejskiej pod swojem imieniem; Stryjkowski wróciwszy oświadczył, że to było jego dzieło, narzekał na skradzenie i odtąd więcej jeszcze na rodzaj ludzki powstawał. Spór ten literacki dotąd nie jest rozstrzygnięty. — W ostatnich latach swego życia został sekretarzem Stefana Batorego i mało co przed królem tym umarł. — Tytuł kroniki jego polskiej, litewskiej i żmudzkiej niesłychanie szumny i długi dowodzi zarozumienie autora, przecież dzieło same bardzo jest godne czytania. Dla dania próbki wierszy, któremi prozę swoją przeplatał, przytaczam następujący wyjątek o Jagielle:

Tak on król święty w Grodku śmierci dług zapłacił
Męztwem, cnotliwem życiem z Heroimi się zbracił.
Słuchając szczebiotania słowika wdzięcznego
Szedł do chórów anielskich śpiewania wiecznego.
Zimno, głód, posty znosił w kożuchu baranim,
Soboli, złotogłowiu nie ujrzałeś na nim.
A był tak bardzo hojny, iż wszystko rozdawał;
A z zyskiem gdy co komu dał, on dzień wyznawał.
Łowami się z młodości aż do śmierci bawił,
A sprawiedliwość świętą każdemu odprawił.
A niźli na dwór wyszedł trzykroć się uwinął
W koło na jednej nodze, by go zły raz minął;
Każdy post w chlebie, w wodzie, w nabożeństwie znosił;
A tego dał połowę o co go kto prosił.
A dla tego sowito musiał więcej prosić
Kto chciał połowę skutkiem swej prośby odnosić.
Wina, miodu nie pijał, tak trzeźwy był zawżdy,
Przezedni się w łaźni mył, albo na dzień każdy,
A winnikiem się chłostał, mówiąc a je je je,
Po litewsku, a w ciepłe na zwierzchnicy zieje.
Dar namniejszy tak wdzięcznie każdego przyjmował
Iż w czwór sposób sowito hojnie obdarował.
Na postronnych był hojny, kościoły nadawał,
A czasem aż na obiad ledwo z łoża wstawał.
Wzrostu sam był miernego, twarzy, szyje długiej.
Daj nam Boże Jagiełki takiej dostać drugiej,
Jak ta Litewska była, która oświeciła
Polskę i w Litwie prawdę Bożą rozmnożyła.

Przygoda Stryjkowskiego w dzieciństwie opisana była w 30. Nrze. Rozrywek na roku 1825. —

Str. 230. Joachima Bielskiego... Urodzony we wsi Białej, w Sieradzkiem, herbu Prawdzic, zmarły w samym końcu szesnastego wieku; dziejopis ten zaleca się prostotą, czystą polszczyzną i nadzwyczajną skromnością. Całem jego usiłowaniem, celem pracy całego życia było oczyścić, poprawić, dopełnić dzieło ojcowskie, i jak drudzy w cudze pióra się stroją, tak on rad był wszystkie swoje zalety na karb ojca położył. Nie tylko polskiem dziejopisarstwem ale i rymami tak polskiemi jak łacińskiemi się wsławił. — Miał dwóch synów, których wychowaniem trudnił się sam. Jego kronika cała prozą pisana z większą przyjemnością się czyta niż Stryjkowskiego i jest nierównie dokładniejsza.

Str. 230. Bartoszowi Paprockiemu... Urodzony w Mazowszu, we wsi Paprocka Wola, herbu Jastrzębiec, roku 1540, umarł we Lwowie 1614. Sam bez majątku i znaczenia a żądający wyniesienia, ożenił się z bogatą kasztelanką wdową po dwóch mężach; tak mu dokuczała, iż lubo chciwy byłby się wyrzekł majątku, a nawet uciekł z domu i pojechał za granicę. — Przecież pani Bartoszowa trzeciego męża nie przeżyła. — Paprocki jakkolwiek charakterem nie słynął, jako heraldyk wielkie ma zalety. Porwany szałem rymotworstwa — na którą to słabość wielu ówczesnych pisarzy chorowało — dużu wierszów lichych naklecił. Targał się na sławę Zamojskiego a Zborowskim wyraźnie sprzyjał. —

Str. 231. Szymon Szymonowicz... Urodzony we Lwowie roku 1557, Ormianin i nie szlachcic, odbył nauki w akademii krakowskiej, a później kształcił się w Rzymie. Za powrotem do kraju zalecony Janowi Zamojskiemu przez księdza Sokołowskiego, umiał zyskać jego przyjaźń i względy. Używał go kanclerz do pisania listów i do różnych poleceń, a gdy mu Bóg dał syna, owego jedynaka, Tomasza, jemu go z samego dzieciństwa powierzył, i ostatnią wolą swoją jego nadzorcą wyznaczył. Szymonowicz godnie odpowiedział tak wielkiemu zaufaniu, i dopiero gdy wychowanek jego lat doszedł, odstąpił go, i osiadł we wsi Czernce, darowanej mu przez kanclerza; tam, jako uszlachcony od Zygmunta III. nazwisko przybrał Bendońskiego, i jak utrzymują niektórzy został księdzem. Niezrównanym był w swoim rodzaju poetą; wiersze jego łacińskie i polskie należą do celniejszych zabytków naszych, osobliwie Sielanki, któremi dotąd najwięcej słynie. Słodycz jego obyczajów i przyjemna powierzchowność powszechnie były uznane. Wiersz, o którym Kochanowska wspomina, było to pisemko pod tytułem: Flagellum livoris (Bicz na zawistnych) wydane 1583. roku, którem broni Zamojskiego przeciw jego potwarcom. —

Str. 231. Rybińskiego Jana i Stanisława Grochowskiego. Rybiński wierszopis celny, brat Macieja tłómacza psalmów, żył jeszcze w 1607. roku. W czasie, o którym tu mowa, z łacińskich wierszy najwięcej był znany, ale później pisał po polsku. Jest jego gęśli różnorymnych księga jedna, Wiosna i inne rzeczy. — Grochowski z ubogiego domu w Mazowszu, uczył się u jezuitów i uzyskał pochwały Skargi i Wujka. Mimo tego całe życie gniotło go ubostwo a choć księdzem został, małej tylko wioski się doczekał pod Kruszwicą; te wiersze o niej napisał:

Imie ma swoje małe Piecki wioska,
Na małych rzeczach mała bywa troska.

Mówią niektórzy, iż Grochowski dla tego mimo cnót, nauki i talentu nie zrobił majątku, że pochlebiać panom nie umiał, owszem ostrą prawdę im mówił w swoich satyrycznych pismach. Zostawił różnych dzieł do trzydziestu wierszem i prozą, najwięcej pobożnych. Właściwe znamie jego poezyi jest (mówi Siarczyński) słodycz, prostota i płynność. — Zbyt mało jest znany. —

Str. 232. Kiedy posunę myśl ... w przyszłe czasy... Nie wszystkie owe piękne wróżby Kochanowskiego się spełniły, niestety! jednak co do języka, sam zapewne przewidywać nie mógł większej doskonałości i harmonii nad te, które nam objawił Bohdan Zaleski w swoich poezyach. — Polki, co nie umiecie po polsku, uczcie się jak najprędzej, żebyście go zrozumieć i ocenić mogły. Zaprawdę, lepiej wam będzie po czytaniu jego, jak po Bajronie, Goetem, Lamartinie i t. p.

Str. 233. Bianka ... rosiata... Ze wszystkich wymienionych przysmaków może te dwa potrzebują wytłómaczenia: Bianka, są to jajka bite z migdałami, cukrem i perfumami. Rosiata, mleko warzone gęsto z jajami i na zimno dane.

Str. 234. Balcera ... Stanisławski. Pierwszy był zawołanym kuchmistrzem Zygmunta Augusta, drugi Stefana Batorego. —

Str. 234. Bądź gościom rada... Jest świadectwo gościnności Kochanowskiej i oraz dowód, że imie, którem mąż ją nazywał, było Hanna,

w elegii jego łacińskiej do Myszkowskiego biskupa; kładę tu z niej wyjątek przekładu Brodzińskiego:

«Tu, gdy cię miejska wrzawa już cieszyć nie zdoła,
Zawróć Myszkowski, wartkie twej kolebki koła;
Progiem lichego domku nie wzgardziesz, bogaty,
Bo mają lasy swoje i ubogie chaty;
Indziej, niechaj przysionek zadziwi cię złoty
I paryjskiego Skopa kunsztowne roboty,
Tu masz pokój nadobny, bez musu zabawy,
Owoc prosto z gałązek i lekkie potrawy,
Ranne ptaków przetwory i powietrze czyste
Zwierciadlane jeziora i gaje cieniste;
A wdzięczna Hanna moja co przez lato zbierze
Tak miłemu gościowi poznosi w ofierze;
Przy stole na skinienia twoje będzie czuwać
I z winem napoczęte kielichy posuwać;
Skromnie poprosi byś chciał ubóstwu przebaczyć
Gdyby mogła, radaby nektarem cię raczyć.»

Str. 237. Stanisław Niegoszewski... Bystrym dowcipem i nadzwyczajną pamięcią obdarzony miany był w owym czasie za cud rozumu ludzkiego; ale zbyt zapalony do nauk, nadto zarozumiały, wszystkie chciał pochłonąć a żadnej strawić nie umiał. Mało przebywał w rodowitym kraju, języki stare i obce znał lepiej niż własny i nic cudownego po tem dziwie nam nie zostało. O jego życiu mało jest dokładnych szczegółów a o rodzie żadnych; wiadomo tylko, że Jan Zamojski wabił go do Polski, katedrę w akademii krakowskiej i względy króla mu obiecywał: wiadomo i to, że Niegoszewski był w kraju roku 1584 i może najlepsze wiersze swoje napisał i wydrukował w Krakowie, pod tytułem Epigrammata Joanni Kochanovio. Umarł młodo na słabość piersiową. — Wiele bardzo się mozolił nad dziwacznemi płodami i temi najwięcej publiczność włoską zastanawiał. Senat wenecki, który go uwieńczył jako poetę, szlachcicem i kawalerem rzeczypospolitej uczynił, dał mu znaczny podarek pieniężny za te dwa wiersze:

Sibenete tradesse desse dartete nebis
Et sisere trofere tulere forte resiste.

Cała zaleta tych wierszy jest, że czy je czytać od początku czy od końca zawsze te same słowa się układają; ale co do sensu — jak to zwykle bywa w takich wymuszonych robotach — bardzo słabego domacać się można, i to rozłożywszy je w następujący sposób:

Si bene te trades, sedes sed arte tenebis
Et sis e retro fere tulere forte resiste.

Co znaczy po polsku:

Jeźli dobrze się tłómaczysz, siedzisz, lecz dzielnie się trzymasz,
I umiesz na wzajem znosić, mocno się opieraj.

Program owego posiedzenia, o którem wspomina tu Kochanowski, a później Górnicki, był taki: Na czele wielkiego arkusza wyrysowano lwa ze skrzydłami, na którego całej postaci wiersze rozmaitego gatunku dziwnym kształtem ułożone były, pod lwem napis następujący po łacinie: «Na wieczny Stanisława Niegoszewskiego Polaka ku imieniowi Wenetów uszanowania dowód, tudzież na godny znak wzajemnej z Aldem Manuccim przyjaźni i na niejakąś pamięć swojej tu bytności, z przywiązania do nauk, za zdolnego sądem przyjaciół uznany, wszystkie teologiczne twierdzenia i całą Arystotelesową naukę dowodzić przedsiębierze:

1) Z teologii dogmatycznej i szkolnej.

2) Z ogólnej Arystotelesa filozofii naturalnej, moralnej i Boskiej.

3) Z matematyki.

«Z nauk tych na wszystkie zarzuty odpowiadać będzie wierszem heksametrem i pentametrem. Aby zaś każdy się przekonał, jak dalece w pięknych i przedniejszych naukach postąpił, w jakiej bądź zadanej sobie materyi prozą lub wierszem bez przygotowania mówić będzie. Nakoniec w platonicznych liczbach i kabalistycznych marzeniach podług upodobania czynione zarzuty zbijać się podejmuje w kościele ś. Jana i Pawła w Wenecyi dnia 2. lutego 1584.»

Znajduję w tej chwili w notatkach moich z roku 1827 te słowa: «Dziś, w dzień Najświętszej Panny Gromnicznej byłam w bibliotece uniwersytetu warszawskiego; między innemi ciekawościami widziałam wiele pism Niegoszewskiego, po grecku, po łacinie, po hiszpańsku, po arabsku, po hebrajsku, polskich tylko brakowało; widziałam i listy jego do Jana Zamojskiego, czytałam szumny program jego posiedzenia, a co dziwna, właśnie w rocznicę dnia, w którym toż posiedzenie się odbywało, 243 lat temu.»

Str. 239. Cynowemi chochłami... Chochła to samo znaczy co łyżka; do tych czas w Lubelskiem i w wielu innych okolicach łyżeczkę do śmietanki chochełką nazywają, i podobno to wytłómaczenie jedynie potrzebnem się okaże dla takich prawych Mazurek jak ja.

Str. 239. Sposób rychłego trawienia... Ta żołądkowa Rejowska tradycya utrzymuje się dotąd; znałam sama sędziwego szlachcica polskiego, który był w stanie zjeść potężnie trzy obiady jednego dnia, ale musiał wypić po każdym przynajmniej kwartę ciepłego piwa. — Po wielu naszych narodowych potrawach lepsze piwo od wina. —

Str. 242. Dobył księgę w czwórce... Kto wie czy nie ten sam egzemplarz jest do dziś dnia w bibliotece publicznej paryzkiej, pod napisem: Nobiliaire Polonais de Paprocki fol. M. 1176 année 1584. Zupełnie cały, czysty, papier piękny, druk poprawny. Niewiem, czy które dzisiejsze wydanie doczeka równie podeszłego wieku. — Przerzucając to dzieło nie mogłam przeczytać bez rozśmiania się na głos (co mocno zdziwiło cichych czytelników biblioteki) następującej wiadomości, na której stronnicy już niepamiętam: «Jadwiga, trzecia córka Kosobudzkiego kasztelana sierpskiego. — Tej działem dostał się Krajków i Potlipy. Naprzód była za Wiśniewskim, rzeczonym Owiesek, starostą mławskim, potem za Życzkiem, a za trzecim scriptorem tych ksiąg. Tej ciało leży w ojczyznie jej własnej Krajkowie. Umarła 1572. roku w sobotę kwietnią. Requiescat in sancta pace.»

Str. 244. W jakowymś Dworzaninie... Dworzanin Polski wyszedł pierwszy raz z druku w Krakowie 1566. roku. W pierwszym tomie na str. 299 wydania Gałęzowskiego jest dwuznaczne słowa pana Reja czyli kalembur po dzisiejszemu, ale powtórzyć go nie śmiem.

Str. 252. Których zacny Bohomolec... Wiadomo, że ksiądz Bohomolec, któremu winniśmy wydanie czterech celniejszych kronikarzy naszych, wydał także poezye Kochanowskiego wyjąwszy nieobyczajne; to wydanie powinno być w ręku żeńskiej młodzieży. —

Str. 260. Tak kreśli swoje żale... Postrzeże się każdy, iż nie wszystkie Treny i nie dosłownie tu wypisane, porządek ich nawet nieco zmieniony, spodziewam się jednak, że mi tego za złe nikt nie poczyta.

Str. 263. Więcej nad trzydzieści miesięcy nie miała. Dowiedziawszy się tak dokładnie o wieku Orszulki, nie jedna z czytelniczek moich może zarzuci przesadę jej obrazowi. Com ja o niej powiedziała, zupełnie jest ugruntowane na słowach ojca w Trenach i na tym tkliwym napisie, który na ich czele położył:

Orszuli Kochanowskiej.

«Wdzięcznej, ucieszonej, niepospolitej dziecinie, która cnót wszystkie i dzielności panieńskich początki wielkie pokazawszy, nagle, nieodpowiednie w niedoszłym wieku swoim, z wielkim a nieznośnym Rodziców swych żalem zgasła: Jan Kochanowski, niefortunny Ojciec, swojej najmilszej dziewce ze łzami napisał:

Niemasz cię, Orszulo moja!»

Wreszcie, czyż nie było na świecie tyle dzieci osobliwych, cudownych prawie? I dla tego właśnie, że natura w nich wysiliła się zbytecznie, żadne nie wyrosło, nie wychowało się. Prócz tego, nasza czarnoleska dzieweczka nic nie umiała jedno powtarzać i składać wierszyki, ileż nierównie więcej zadziwiających przykładów zawczesności dzieci znaleźć można w dziełach im poświęconych? Mogłabym ich tu zebrać kilkanaście, ale niech mi wolno będzie choć następującą wiadomość przytoczyć z dzieła pana Freville o sławnych dzieciach:

«Henryk Heinecken urodzony w Lubece 1720. roku w ośmiu miesiącach zaczął mówić, przed rokiem mówił zupełnie dobrze; w ośmnastu miesiącach umiał rzędem znaczniejsze zdarzenia historyi świętej i opowiadał je; w trzydziestu miesiącach na zapytania z greckiej i rzymskiej historyi odpowiadać potrafił, a prócz rodowitego języka mówił po łacinie i po francuzku. Sława jego tyle się rozeszła, że król duński ówczesny, Fryderyk IV. zapragnął go widzieć; powieźli więc rodzice małego Henrysia do Kopenhagi, powiedział królowi mowę po łacinie swojego układu i całemu dworowi odpowiadał trafnie i uczenie na wszelkie pytania. Zmęczył się jednak bardzo tym popisem, i nie odstępująca go nigdy matka, młoda i piękna kobieta, prosiła króla, żeby jej pozwolił go nakarmić; mały mędrzec jeszcze ssał. — Za powrotem z Kopenhagi umyślili rodzice odstawić go od piersi, a chcąc, żeby rychlej się odzwyczaił rozłączyli go z matką; z tej dwojakiej tęsknoty i z wysilenia rozumu dostał suchot, i umarł niemając jeszcze pięciu lat.»

Str. 272. Układał obronę... Owa obrona Kochanowskiego oczywiście nie doszła do nas, ale oto są wypisy z trzech dzieł historycznych o okropnej śmierci Podlodowskiego i jej skutkach:

Z Bielskiego księgi szóstej: «Przyszła nowina z Turek, że Podlodowskiego (którego król do Turek słał) Turcy w karwaserze w nocy najechawszy pojmali i pobrali wszystko przy nim, a potem na lesie zabili; co rozumiem, na zaprzą uczyniono, i na łotrostwo zegnano, przeto, że się wojsku tureckiemu, które szło do Persyi a było dosyć nędzne, przypatrował; więc, że toż kilkanaście koni arabskich na schwał dobrych królowi wiódł, na których się często po Konstantynopolu przejeżdżał. A był jeździec i gońca dobry, mąż ktemu osobliwej urody, tak iż się mu Turcy dziwowali, części to z zazdrości uczynili. — Słał potem cesarz turecki Musztafę, czausa swojego, omawiając, że się to nad wolę jego stało, i to łotrostwo (na które zganiano) pojmać kazał, z których sprawiedliwość uczynić obiecował.»

Z Albertrandego tom II. str. 145: «Był wtedy w Turczech Podlodowski podkoniuszy królewski wysłany od króla na skupienie dzielnych koni. Na niego naprzód turecka zapalczywość zapęd swój obróciła. Wyjechał już był z Carogrodu, kupione konie prowadząc do Polski, i pod wsią jedną nocował, gdy go zgraja Turków napadła; jemu i ludziom przy nim będącym głowy ucięto, konie i sprzęt wszelki zabrano. Wszakże byli co rozumieli, iż się sam tego nieszczęścia nabawił, zbyt ciekawie się przypatrując wojsku tureckiemu z perskiej wyprawy w opłakanym stanie wracającemu, i że w Carogrodzie nad miarę się popisował z wyboru koni od siebie kupionych.»

Z Pamiętników Millerowych... «Doszły króla pisma co też prawda była, jako Turcy posła i koniuszego Podlodowskiego zabili, a wszystek onego orszak porozsiekiwali na drobne kawałki, krom jednego ... który cudownym sposobem utaić się podołał a zatem ztamtąd wydobyć się. — Wkrótce potem wysyła cesarz turecki gońca z listami i omawia się, że on

cale tego nie świadom był, lecz że zechce wziąć sprawę tego należytą jak się to stało, a wspaniałem poselstwem szeroko o tem uwiadomić. — Pod te czasy przybył poseł turecki Mustafa na Grodno, król przybył tam także z Wilna... Poselstwo to przywiodło omawianie z sobą, co się tyczy zabicia polskiego posła a koniuszego Podlodowskiego, iże on przekroczył granice swej zupełnej mocy, bo zbliżył się do wojska, które Turek na Persa był zbroił, by go obejrzeć; a tak od Turków, ale wzdy bez rozkazu i nauki cesarskiej zabity jest. Sprawców tego przysłał królowi, dając mu pod rząd ich gardła.»

Str. 273. Padł pośród nich... W biografii Kochanowskiego przez księdza Bohomolca są te słowa: «Gdy w Lublinie przed królem Stefanem miał stawać w sprawie Podlodowskiego przeciwko prawu narodów od Turków zabitego, z niezmiernym wszystkich żalem zszedł nagle z tego świata.» Inni zaś biografowie jako to Krasicki, Niesiecki, Braun, mylą się i Podlodowskiego raz od kozaków, drugi raz od Tatarów zabitego mieć chcą. Brodziński w przedmowie do elegii Kochanowskiego także prawdy się trzymał, ale autorka biblioteczki wrocławskiej podobno też się pomyliła.

Str. 274. Którego oczy ojcowskie nie widziały... Podobne słowa znaleźć można w dedykacyi dzieł Kochanowskiego Janowi Myszkowskiemu, synowcowi biskupa, przez Januszowskiego, pod datą 12. grudnia 1585. roku. Mówi on tam że: «Jejmość pani (Dorota) Kochanowska żałosna po swym panie, małżonku, wiedząc o tym, że sam nieboszczyk ze mną o tem stanowił, zebrawszy część jego rzeczy pisanych i tych co już w druku przedtem były, do mych rąk je posłała, abym wszystkie kosztem swoim wydał. Ja tedy wziąwszy przedsię człowieka tak wielkiego, i rzeczy jego żadnym wiekiem niezrównane, nie chcąc aby tak goło na świat wyszły ... ważyłem się W. Mci je przypisać i ofiarować... Naprzód, dla tego, by się tej śmierci było czem w gardle oprzeć, i żeby człowieka tak wielkiego w ziemię ze wszystkiem nie grzebła, ale owszem jednemu posthumowi «którego oczy jego nie widziały» powinnymj jego i potomnym wzór i pamięć zostawiła ... i t. d.» — Tu jest miejsce dodać, że owo wydanie Januszowskiego miało pokup wielki i przedrukowywane było na wszelkie strony i sposoby. Synowcowie Kochanowskiego — a najpewniej pan Krysztof — zwrócili na to oczy, weszli w układy z Januszowskim, i wyrobili sobie przywilej drukowania dzieł stryja dla siebie; o czem świadczy następne ostrzeżenie na czele późniejszych wydań będące, które dowodzi oraz opieki jakiej doznawała już w tym czasie u nas własność literacka:

«Za przywilejem JKMci JMĆ panom Kochanowskim, synowcom sławnej pamięci pana Jana Kochanowskiego, nikomu nie jest wolno pism żadnych przerzeczonego pana Kochanowskiego stryja JCMciów przedtem wydanych drukować, bez woli i wyraźnego powolenia JMĆ panów Kochanowskich, ani gdzie indziej drukowanych, w państwach JKMci przedawać; ani pod pretekstem kancyonalików na małą frakturę wydawać albo publikować; pod winą pięciuset czerwonych złotych i utracenia wszystkich ksiąg takowych: której winy połowa jedna do skarbu JKMci irremissibiliter przypada, a druga stronie ukrzywdzonej; jako szerzej o tem świadczy przywilej JKMci dany na sejmie walnym w Warszawie 1611. roku.»

Str. 274. Testament Podlodowskiego... Podpis króla panującego nie nadawał u nas nienaruszalności testamentu, zaświadcza to uczony Czacki. Zygmunt I. podpisał w roku 1518. testament Stanisława z Kurozwęk; oburzyła się na to cała szlachta sandomierska, kiedy po śmierci owego Stanisława odkryło się, że dzieciom własnym nie wiele zostawił, a obcym zapisał majątek. Na skargi szlachty obiecał król nie potwierdzać testamentów, i odtąd jeźli się trafiło monarsze mniej prawne podpisać, wzruszać je sądowo pozwalano. —

Str. 275. Królowa Anna nadała... Akt pierwotny tego nadania zaginął jak się zdaje, ale są w metryce koronnej w Warszawie dwa jego

następujące dowody, które wyszukane zostały przy zamianie Jadowa i innych dóbr narodowych za miasto Zamość:

«Dnia 8. czerwca 1589. roku. W Bydgoszczy Zygmunt III. potwierdza przywilej na wsi Jadów, Zawieszczyły, Zawady i Wyglądały przez Annę Jagiellonkę Filipowi Owadowskiemu i Ewie z Czarnolasu Kochanowskiej małżonkom, na przeżycie nadany.»

«Dnia 6. lipca 1612. roku w Warszawie Konstancya Austryaczka zezwoliła na cessyą dóbr Jadowa przez Filipa Owadowskiego na rzecz Jana Szułapskiego.»

Co zaś do posług, do których królowa Anna używała Filipa, czytam w Niesieckim pod herbem Łabędź: «Filip Dunin Owadowski, stolnik Sandomierski, od summy neapolitańskiej, imieniem królewskiem prowizye odbierał.» — Jedyna pozostała córka Ewy i Filipa, Zuzanna, wydaną została za Sebastyana Wołuckiego kasztelana małopolskiego, starostę rawskiego. Jak podanie niesie brała ślub w tej samej sukni białej adamaszkowej co matka, babka i prababka. —

Str. 275. W poczet ś. patronek polskich... Choć ten zamiar nie udał się z czarnoleską Ludwiną, mamy jednak naszą własną świętą tego imienia, spółczesną tamtej; czytam w Siarczyńskim:

«Ludwina, pobożna i błogosławiona, rodziczka z miasteczka Kentów, z uczciwych rodziców, u których w młodości będąc, bydło pasała. Będącą w polu, pielgrzymki do Rzymu idące wzięły z sobą; gdzie ona świętobliwie żyjąc przez lat trzydzieści, stacye rzymskich kościołów obchodząc, groby świętych nawiedzała. Lubo miała habit ś. Franciszka tercyarki, jednak najwięcej w kościele zwanym Minerwy, u Dominikanów bywała, żyjąc z jałmużny; przez swoje pobożne uczynki i świątobliwy żywot, błogosławioną się stała; dnia 23. kwietnia 1623, mając lat 60, w Rzymie umarła. — Po śmierci do ciała jej wszystek prawie Rzym z wielkim tłumem przychodził, bo wielom była znajoma jej świątobliwość; trudno ją było pogrześć do dnia trzeciego. Pochowano ją zaś z wielką uczciwością w kościele polskim ś. Stanisława, po lewej stronie ołtarza ś. Jacka, do której uciekający się wiele łask za jej przyczyną doznawają i za świętą poczytują.» — Nasze panie polskie, które od jakiegoś czasu tak uczęszczają do Włoch, a szczególniej do Rzymu, niechby też były łaskawe dopytać się o grób tej naszej rodaczki i o jakie pamiątki po niej; a te co sztuce malarstwa się oddają, niechby nam wystawiły obraz owej świętej pasterki. — O! jakby rychło zbogaciły się nasze skarby ojczyste, gdyby każda majętna i utalentowana osoba, bądź podróżując, bądź trudniąc się pięknemi sztukami, obok własnej rozrywki i przyjemności miała także na celu chwałę narodową! Jakby w krótkim czasie nasze kościoły się ozdobiły, gdyby każda młoda Polka co rysować się uczy, postanowiła w sobie, dojść kiedyś do tego, żeby choć dobrą kopią pięknego obrazu, dom Boży na rodzinnej ziemi zbogacić! Stoimy niżej w oświacie od innych ucywilizowanych narodów, ale nigdy nie staniemy w równi z niemi, jeżeli każde z nas nie będzie miało za świętą powinność dopomódz do przyspieszenia tego postępu. —

Str. 275. Pan Krzysztof... Albrecht Radziwiłł w pamiętnikach swoich niedawno wydanych przez hr. Edwarda Raczyńskiego tak pisze: «W grudniu 1633. roku skończył życie doczesne pan Krzysztof Kochanowski, chorąży koronny, faworyt królewski. Chorąztwo król oddał Koniecpolskiemu, kozienickie starostwo Kazanowskiemu, dobra królewskie pod Węgrami Rejowi.» Jest także dowód jego posłowania do Turcyi, a ponieważ niewiem aby gdzie drukowanym był o tu go mieszczę, lubo zupełnie do dziejów panowania Zygmunta III. należy:

«Instrukcya Urodzonemu Krzysztofowi Kochanowskiemu chorążemu Sandomierskiemu Dworzaninowi i Posłowi naszemu, dana w obozie nad rzeką Ganzą dnia 16. Października 1601. roku.»

Poseł nasz jako najprędzej wyprawić się ma i pospieszyć do Konstantynopola, a naprzód, widzieć się z JMP. wojewodą Lubelskim i rozmówić się z nim o rzeczach Wołoskich i Multańskich, w których ma zlecenie najpilniejsze; także i z panem starostą Kamienieckim, który też miał osobliwe zlecenie nasze o uspokojeniu tumultu Multańskiego; tam w rozmowie zrozumie, jaki już wstępd o tego się uczynil, i jeźli sprawić się może; co, gdzieby mógł przyjść do rozmowy z Radułą Bozowskim, i z innemi pany Multańskiemi za daniem im glejtu, sprawować będzie z pilnością, albo więc przez kogo inszego człeka pewnego i bacznego dawszy mu Credens, żeby nie przez pismo to się odprawowało dla pewnych konsyderacyi; ukazać im naprzód, że to umysł i przedsięwzięcie nasze, jako ziemię Wołoską tak i Multańską w dobrym porządku zachować, a do tego przywieźć, aby pod obroną naszą i koroną, cieszyli się obywatele ich ozdobami takiemi, jako też insze prowincye podległe nam przeciwko woli naszej, owszem obchodził nas bardzo postępek, który się stał z Udrą i Negrą pany Multańskiemi; opatrzy się to, aby żaden nie był stanu szlacheckiego takim postępkiem uciążony, i sądowe sprawy aby porządnie odprawowane były; chcemy do tego przywieźć rzeczy, żeby na te tam urzędy ziemi Multańskiej nie Wołochowie, ale jego tam narodu ludzie domów starożytnych, tam wychowani, dawani byli, a w tem żeby upośledzani nie byli. Na ten czas aby znosili Siemiona, który wedle woli JKMci zachować się we wszystkiem musi. Posyłamy do cesarza tureckiego dla zastawienia warownego rzeczy tych; gdzieby więc nie mogło być ukojenie i pogodzenie ich stateczne, starać się aby umówienie między niemi uczynione, zostawione było do czasu pewnego, aż zjedzie nazad posłaniec nasz od cesarza tureckiego; opatrzy się to, że na tem miejscu hospodarskiem zawsze stawion będzie greckiego nabożeństwa człek, nie narodu greckiego, ale narodu i despotów ich; aby cierpliwi byli, przywodzić ich do tego z pilnością.

Do bezpiecznego a rychłego przybycia do Konstantynopola dopomogą pp. wojewodowie Wołoscy i Multańscy, kiedy przyjechawszy i otrzymawszy audyencyą list nasz odda i powie, acześmy zabawieni tą winą przeciw nieprzyjacielowi naszemu, który się targnął na dostojeństwo nasze i prowincyą państwa naszego, przeciw któremu z wojskiem posyłamy; o czem dowiedziawszy się nieprzyjaciel, lubo przed tem surowie się stawił, ustąpił z wojskiem swem; i na tem jesteśmy, abyśmy uspokoili tę zamięszaną prowincyą; nie zaniechamy jednak obmyśliwania o pokoju i bezpieczeństwie inszych prowincyi przyległych państwom cesarza tureckiego, aby obojgu tak naszym jak jego państwom na niczem nie schodziło; a w tem jak upatrujemy — najwięcej zależy na uspokojeniu ziemi Multańskiej, które być może za takiem postanowieniem; co się wyżej wspomniało o urzędach narodu tegoż także i sądach, aby bezprawnie nie był nikt skazywan, gdyż łaskawością i sprawiedliwością zatrzymywane bywają państwa, tym sposobem zachowana być może w dobym rządzie, jako mająca ludzi szlacheckich więcej niźli ziemia Wołoska, przeto też mniej tumultów w niej bywało.

I to też przytem przyłoży, aby dla zachowania statecznej przyjaźni, kogobyśmy zalecili nabożeństwa greckiego podawany był na województwo Multańskie, tegoż i w ziemi Wołoskiej potrzebę być baczemy, aby nikt bez rozsądzenia nie był uciążon. Przez kilka poselstw naszych okazywaliśmy cesarzowi tureckiemu, jako ziemia Bogdańska albo Mołdawska należy nam i koronie polskiej, i hospodarowie jej hołdownicy królów polskich byli; zaszły czasy trudne na koronę i zabawa wojenna z wielą nieprzyjaciołmi, z Prussy, z Moskwą i z Tatary; pod czas jeden nie mogąc tej ziemi opatrować, pozwolono hospodarowi tamecznemu, aby 2000 cz. zł. cesarzowi tureckiemu pozwolił na czas; jest o tem wiele pisma w skarbie naszym o poddaństwie hospodarów królom polskim i trwał ten zwyczaj do panowania króla Zygmunta Augusta przodka i wuja naszego; zachodziły potem rozmaite postępki przez ludzie przewrotne za zbytniemi podarkami do oszukiwania i rozlania krwi okrutnego wspierania się, a zatem do zepsowania i zniszczenia tejże ziemi; toż przychodzi i na ziemię Multańską.

Przełoży i to jako Michał i Aaron przeciwko ojcu cesarza tureckiego wojnę podnieśli, zamięszania pełno było, zamki tureckie dobywane, zabierania ludzi, łupy za Donata działy się, ludzie kupieccy tak z cesarskich jako i naszych państw, pobrani z majętności ich i mordowani byli; nie znosiliśmy tego; gdy cesarz turecki inszemi wojnami zatrudniony był, posłaliśmy wojsko nasze do Wołoch; tem wojskiem Rozwan, który na Aarona poszedł, wyparty był, i potem gdy się znowu wrócił, porażony, pojmany i na gardle skarany był. Nie ustało to w Wołoszech tak łatwo, że i drugiego roku wojsko nasze przy granicy dla obrony i bezpieczeństwa tej ziemi trzymane być musiało; wszystko to z wielkim kosztem i nakładem naszym i koronnym było. Nastąpił zatem Michał, ziemię tę tem więcej zatrudnił jeszcze aż do Chocimia ostatniego Wołoskiego zamku wyparł, w Podolskich i Pokuckich krajach dobra niektóre nasze i poddanych naszych ludzi szlacheckich wyplądrował. My acześmy z inszej strony nieprzyjaciela mieli, wyprawiliśmy jednak zarazem wojsko potężne, którem nie jedno ziemia Wołoska od tyraństwa Michałowego oswobodzona, ale nieprzyjaciel ten, który przez lat ośm cesarza tureckiego państwa trapił i Siedmiogrody zabiwszy wojewodę posiadł był, a nie to jedno, ale osiędzenie wszystkich inszych monarchii brał przedsię; do Multan zaszedłszy za nim, wojska nasze w miejscu dobrze mocnem między górami, wodami, lasami, poraziły go; obóz jego z armatą odjęty i potem od części wojska tam zostawiony; tegoż nieprzyjaciela zebrany ostatek z pogromu ludzi pobitych, i sam z ziemi wygnany jest, i prowincya ta uspokojona. Stało się to sprawiedliwym sądem Boga wszechmocnego, że uchodzić musiał człek zły, tam gdzieby zapłatę za swe złości i karanie odniósł.

To przełożywszy ukaże Poseł zwyczaj monarchów wielkich, że od których bywają w wojnach ratowani szczodrobliwie przeciw takim stawić się zwykli. Uczynił to król ś. p. Zygmunt przodek i dziad nasz, który margrabi Brandeburskiemu księstwo Pruskie darował, i potomstwo jego dotąd z tej szczodrobliwości królewskiej weseli się. Uczynił też *Zygmunt* August przodek i wuj nasz, że ks. Kurlandzkie i Semigalskie, Gotardowi mistrzowi Krzyżackiemu podał za to, że mu wojny dopomógł. Tedy acz nas Pan Bóg przełożyć raczył zacnym i mocnym narodom, którym królujemy, jako też przodkowie nasi królowali, o takim, że umyśle i chęci cesarza tureckiego rozumienia i dufności My jesteśmy, który panem wielu królestw jest; jakiej dobrotliwości byli przodkowie nasi przeciw nieprzyjaciołom swym, tak przeciwko nam spodziewamy się i pewni być chcemy, że się nie da przejść w tem wszem monarchom. Przypomnieć się może Aleksandra Wielkiego macedońskiego króla przykład, który także własne możne państwa oddawał, nie jeno tym, którym jakokolwiek należały, ale też swe własne; to Rzymianie czynili, nie będąc królami, tak chętliwemi się stawiali przeciw ludziom sobie sprzyjaznym. Sprawa to jest wielkich i wspaniałych monarchów, która im wielką sławę, wielką cześć, i obfitość przyjaciół jedna.

Nakoniec i to przypomnieć, że tem pokazać ma cesarz światu wszystkiemu, jako poważa przyjaźń naszą, i nie da nikomu przyczyny do zarzucenia tego, że my mając prawo do tej prowincyi mołdawskiej i wiele kosztów, przewagi, i trudów dla niej podjąwszy, żadnej władzy i pożytku mieć byśmy nie mieli i otrzymać jej nie mogli, gdyby nam tej ziemi zupełnie ustąpić nie miał, która tak odległa jest od państw cesarskich — a nam tej chęci swej w tem nie pokazał. Obrona tej ziemi dobrze więcej nas kosztuje, niźli ten haracz wynosi. Jeźli się usadzą przy tem upornie, że nie zechcą pozwolić — do czego może przywieźć — na tem przestać, nie rozrywając rzeczy. — Do tego przełoży, że niektóre zamki Węgierskie są należące do królestwa polskiego, których przyglądali przodkowie nasi, z tych przyczyn, iż królowie Polscy królmi Węgierskiemi, a królowie Węgierscy Polskiemi też bywali, i zawsze zachodziły spowinowacenia i ztąd dufamy, że nie zechce cesarz, aby prawu naszemu ujma jaka miała się w tem stać; napomnieć też, żeby na granicach koronnych wojsko cesarza tureckiego, pobliższem byciem i wojowaniem zamieszania jakiego nie uczyniło; z tej miary teraz zwłaszcza, że słychać o ciągnieniu jego pod Koszyce,

aby co takiego nie było, coby stany koronne tak blizkiem wojowaniem miało trwożyć. To jest co przekładamy cesarzowi przez Posła, aby chęci naszych i przyjaźni wdzięcznemi będąc, i onę znając którą statecznie i szczerze zatrzymywamy, swą też przeciw nam w tem żądaniu naszem pokazał, starać się będzie nakoniec aby jako najlepiej sprawiwszy, do nas powrócił co prędzej.

Przydatek do tej Instrukcyi.

Pilne staranie czynić Poseł nasz w traktowaniu będzie, aby nam ustąpiono zupełnie ziemi Wołoskiej, jeźliby do tego rzeczy przywiedzione być nie mogły, tedy aby ten haracz który cesarzowi tureckiemu dawają wiecznym czasem puszczony nam i koronie był; a gdyby i w tem trudni byli, wieść do tego, żeby na lat trzydzieści, czterdzieści, co by się otrzymać mogło; nakonieć co wytargowano być może, przestać na tem na ten czas.

(Z biblioteki Załuskich rękopism Jakóba Zadzika.)

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.



